



T e s s G e r r i t s e n

Bez skrupułów 01

Z zimną krewią

(Sen o miłości)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ślub się nie odbył. Odwołany. Zero. Kaput.

Nina Cormier siedziała w zakrystii i gapiała się w lustro. Dlaczego nie może płakać? Straszny ból czaił się gdzieś głęboko, ale jeszcze go nie czuła.

Wlepiała tylko suche oczy w swoje odbicie. Panna młoda jak z obrazka. Welon cienki jak pajęczyna przesłania twarz. Ramiączko gorsetu atlasowej sukni wyszywanej perełkami opada ponętnie z jej ramienia. Długie czarne włosy zwinięte w miękki węzeł. Każdy, kto widział ją tego ranka - jej matka, siostra, macocha Daniella - twierdził, że jest piękną panną młodą.

Tyle że pan miody nie zadał sobie trudu, by się pojawić. Nie miał nawet dość odwagi, by ją zawiadomić osobiście. Po pół roku planów i marzeń przysłał bilecik zaledwie dwadzieścia minut przed ceremonią. Przez swojego świadka. „Nina, potrzebuję czasu, aby to przemyśleć. Przepraszam. Wyjeżdżam na kilka dni. Zadzwoń. Robert”.

Zmusiła się, by przeczytać wiadomość jeszcze raz. „Potrzebuję czasu... Potrzebuję czasu...”

Ile czasu może potrzebować mężczyzna?

Rok wcześniej wprowadziła się do doktora Roberta Bledsoe. Tylko tak możemy się przekonać, czy do siebie pasujemy, powiedział jej. Małżeństwo to poważne zobowiązanie, więc nie chciał popełnić błędu. Liczący sobie czterdzieści jeden lat Robert miał już za sobą kilka katastrofalnych związków. Nie chciał kolejny raz się pomylić.

Chciał mieć pewność, że Nina jest kobietą, na którą czekał przez całe swoje życie.

Ona była pewna, że Robert to właśnie ten. Tak pewna, że gdy zaproponował, by zamieszkali razem, tego samego dnia poszła prosto do domu, żeby się spakować...

- Nina? Nina, otwórz! - Za klamkę szarpała jej siostra Wendy. - Proszę, wpuść mnie.

Nina schowała twarz w dłoniach.

- Nie chcę teraz nikogo widzieć.

- Nie powinnaś być sama.

- Chcę być sama.

- Goście już pojechali. Jestem sama.

- Nie chcę z nikim rozmawiać. Jedź do domu, dobrze? Za drzwiami zapadła cisza. Po chwili Wendy zapytała:

- Jeżeli pojedę, to kto cię zawiezie do domu?

- Zamówię taksówkę. Albo ojciec Sullivan mnie podwiezie. Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć.

- Na pewno nie chcesz porozmawiać?

- Na pewno. Zadzwoń do ciebie później, dobrze?

- Rób, co chcesz.

Wendy zawahała się, a potem z pewną dozą zjadliwości, która przebiła się nawet przez dębowe drzwi, dodała:

- Robert to gnojek. Zawsze tak myślałam. Nina siedziała przy toalecie, podpierając głowę rękami. Chciało

się jej płakać, ale nie mogła wycisnąć z siebie ani jednej łzy. Kroki

Wendy zaczęły się oddalać, a potem w pustym kościele zapadła cisza. Ale łzy nie płynęły. Nie mogła teraz myśleć o Robercie. Zamiast tego jej umysł zdawał się skupiać na praktycznej stronie odwołanego ślubu. Wesele i całe to zmarnowane jedzenie. Prezenty, które musi zwrócić. Bilety na wyspę Świętego Jana. Może powinna sama polecieć na miesiąc miodowy i zapomnieć o doktorze Bledsoe. Pojedzie, weźmie tylko bikini. Przynajmniej zamiast złamanego serca będzie miała opaleniznę.

Powoli podniosła głowę i spojrzała w lustro. Nie taka znowu piękna ta panna młoda, pomyślała. Szminka się jej rozmazała, włosy rozczochrały. Ruina. W nagłym przyplywie gniewu zerwała z głowy welon. Spinki poleciały na wszystkie strony i uwolniły kaskadę czarnych włosów. Do diabła z welonem, pomyślała i wrzuciła go do kosza. Bukiet z białych lilii i różyczek też tam wylądował. Poczowała się lepiej. Furia pobudziła ją do działania. Zerwała się na nogi.

Ruszyła z kościelnej ubieralni do nawy. Za nią wlokł się tren. Puste już ławy ozdobione były girlandami białych goździków, a ołtarz bukietami róż i gipsówki. To była scena pięknie udekorowana ślub, który nigdy się nie odbędzie. Ale Nina minęła ołtarz i szła w kierunku głównych drzwi, nie zwracając uwagi na owoce ciężkiej pracy dekoratorów, które przypominały o niepowodzeniu. Skoncentrowała się na ucieczce. Nawet zatroskany głos ojca Sullivana nie zdołał jej zatrzymać.

Pchnęła drzwi i zatrzymała się na schodach. Uderzył ją blask lipcowego słońca i nagle boleśnie zdała sobie sprawę, jak bardzo musi się rzucać w oczy.

Samotna kobieta, w sukni ślubnej, próbująca złapać taksówkę. Dopiero wtedy, w pułapce jaskrawego światła, poczuła pierwsze łzy.

O nie, Boże, nie. Załamie się i rozplacze tu, na schodach. Na widoku tych wszystkich cholernych samochodów.

- Nina? Nina, kochanie.

Odwróciła się. O stopień wyżej stał ojciec Sullivan.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytał. - Może chcesz wejść i porozmawiać?

Przygnębiona potrząsnęła głową.

- Chcę się stąd wydostać. Proszę, tylko tyle.

- Tak, tak, oczywiście. - Delikatnie wziął ją pod rękę. - Zawiozę cię do domu.

Pomógł jej zejść ze schodów i zaprowadził na kościelny parking. Zebrała zabrudzony już tren i wsiadła do samochodu. Góra atlasu spiętrzyła się jej na kolanach.

Ojciec Sullivan wśliznął się za kierownicę. W samochodzie było gorąco, ale nie uruchomił silnika. Przez moment siedzieli w kłępującej ciszy.

- Wiem, że trudno ci pojąć, jaki zamysł mógł mieć w tym wszystkim

Wszechmogący - zaczął cicho. - Ale musi być jakiś powód, Nino. W tej chwili może nie być dla ciebie oczywisty. Może ci się wydawać, że Pan odwrócił się od ciebie.

- To Robert się ode mnie odwrócił - powiedziała. Pociągnęła nosem i wytarła twarz czystym rogiem trenu. - Odwrócił się i prysnął.

- Mężczyźni u progu małżeństwa często mają mieszane uczucia. Jestem przekonany, że dla doktora Bledsoe była to poważna decyzja...

- Poważna decyzja? A dla mnie nie?

- Nie, nie, źle mnie zrozumiałaś.

- Ach, proszę mnie zawieźć do domu. Pokręcił głową i włożył kluczyk do stacyjki.

- Chciałem ci tylko wytłumaczyć, kochanie, może trochę niezręcznie, że to nie jest jeszcze koniec świata. Nino, przeznaczenie zawsze nas zaskakuje. Nigdy nie spodziewamy się trudnych momentów. Są sprawy, które uderzają w nas jak grom z jasnego nieba.

W tym momencie budynkiem kościoła wstrząsnął ogłuszający huk. Wybuch roztrzaskał witraże w oknach i grad odłamków kolorowego szkła zasypał parking. Na dach samochodu pofrunęły kartki z porwanych mszałów i kawałki ław.

Gdy biały dym trochę się przerzedził, Nina zobaczyła, jak z nieba spływa chmura kwiatowych płatków i osadza się na przedniej szybie, tuż przed oczami zszokowanego ojca Sullivana.

- Jak grom z jasnego nieba - szepnęła. - Nie można było tego lepiej ująć.

Wy dwaj to na bank największe patałachy roku. Sam Navarro, detektyw policji w Portland, siedzący naprzeciwko wyraźnie zdenerwowanego Normy Liddella, nawet nie mrugnął okiem. W

pokoju konferencyjnym komisariatu była ich piątka, a Sam nie miał zamiaru sprawić satysfakcji temu gwiazdorowi, prokuratorowi okręgowemu, i pokazać, że robi to na nim jakieś wrażenie. Nie miał też zamiaru odpierać oskarżeń, bo rzeczywiście nawalili. On i Gillis ostro nawalili, i zginął gliniarz. Idiota, fakt, ale zawsze gliniarz. Jeden z nich.

- Nigdy nie daliśmy Marty'emu Pickettowi pozwolenia na zbliżenie się do miejsca wybuchu - odezwał się partner Sama, Gordon Gillis. - Nie mieliśmy pojęcia, że przekroczy linię...

- Byliście tam na służbie - wtrącił Liddell - i to czyni was odpowiedzialnymi.

- Zaraz, zaraz - bronił się Gillis. - Pickett też nie jest bez winy.

- To był jeszcze żółtodziób.

- Powinien był przestrzegać procedur. Gdyby...

- Zamknij się, Gillis - przerwał mu Sam. Gillis spojrzał na swojego partnera.

- Sam, ja tylko staram się bronić naszego stanowiska.

- To nam nie pomoże. I tak zostaliśmy wytypowani na winowajców.

Sam zmierzył wzrokiem Liddella.

- Czego pan chce, prokuratorze? Publicznej chłosty? Naszego odejścia?

- Nikt wam nie każe odchodzić - wtrącił się ich szef, Abe Coopersmith. - A ta dyskusja do niczego nie prowadzi.

- Musimy wszcząć postępowanie dyscyplinarne

- upierał się Liddell. - Nie żyje funkcjonariusz policji.

- Myśli pan, że o tym nie wiem? - warknął Coopersmith. - To ja musiałem zawiadomić wdowę. Nie mówiąc już o tych wszystkich krwiożerczych reporterach. Dostyc tego gadania, panie prokuratorze. To był jeden z nas. Gliniarz, nie prawnik.

Sam spojrział ze zdumieniem na szefa. To coś nowego, Coopersmith po jego stronie. Abe Coopersmith nie używał wielu słów, a już na pewno nie słów przychylnych jemu.

Ale Liddell działał im na nerwy. Zaatakowani gliniarze zawsze trzymają się razem.

- Wróćmy do naszej sprawy, dobrze? - ciągnął Coopersmith. -Mamy w mieście bombiarza. I pierwszy wypadek śmiertelny. Co wiemy? - Popatrzył na Sama, który stał na czele nowo utworzonego Wydziału ds. Zamachów Bombowych.

- Niezbyt wiele - przyznał Sam.

Otworzył teczkę i wyjął plik papierów. Rozdał kopie czterem mężczyznom siedzącym przy stole

- Liddellowi, Coopersmithowi, Gillisowi i Erniemu Takedzie, ekspertowi ze Stanowego Laboratorium Kryminalistycznego.

- Pierwszy wybuch nastąpił około drugiej piętnaście nad ranem. Drugi około drugiej trzydzieści. Ten drugi praktycznie zrównał z ziemią magazyny firmy R.S. Hancock. Spowodował też drobne zniszczenia w dwóch sąsiednich budynkach. Pierwszą bombę znalazł nocny strażnik. Zauważył ślady włamania i przeszukał pomieszczenia. Bombę podłożono na biurku w jednym z biur. Zadzwoił o pierwszej

trzydzieści nad ranem. Gillis był tam około pierwszej pięćdziesiąt, ja o drugiej. Otoczyliśmy teren i kiedy przyjechał wóz saperski, wybuchła pierwsza bomba. Kwadrans później, zanim zdołaliśmy przeszukać budynek, wybuchła druga. Zabiła Picketta.

Sam spojrział na Liddella, ale tym razem prokurator okręgowy siedział cicho.

- Dynamit był produkcji zakładów Dupont - dodał. W sali na chwilę zapanowała cisza.

- Ten sam numer serii Duponta co w dwóch zeszłorocznych bombach? - zapytał Coopersmith.

- To możliwe - odparł Sam - bo dynamit z tym numerem serii to jedyna zgłoszona kradzież, jaką mieliśmy tu od lat.

- Ale sprawa bomb Vincenta Spectre'a została zamknięta w ubiegłym roku. I wiemy, że Vincent nie żyje - zaproponował Liddell. -A więc kto robi te bomby?

- To może być uczeń Vincenta. Ktoś, kto nie tylko opanował technikę swojego mistrza, ale ma jeszcze dostęp do jego zapasów dynamitu. Których nie znaleźliśmy.

- Nie potwierdzono, że dynamit pochodzi ze skradzionej serii -upierał się Liddell. - Może wcale nie ma związku z bombami Spectre'a.

- Obawiam się, że mamy inne dowody - wtrącił Sam. - To się wam nie spodoba. - Popatrzył na Emiego Takedę. - Powiedz im, Ernie.

Takeda, który nie lubił publicznych wystąpień, nie odrywał wzroku od raportu z laboratorium.

- Na podstawie materiałów zebranych na miejscu wybuchu - zaczął czytać - można postawić wstępną hipotezę na temat budowy mechanizmu.

Prawdopodobnie zapłon elektryczny został wywołany przez opóźniony obwód elektroniczny. Spowodowało to eksplozję lasek dynamitu za pomocą lontu typu Prima. Zostały one sklezione dwucalową zieloną taśmą izolacyjną. -

Takeda odchrząknął i w końcu podniósł wzrok. - Obwód z opóźniaczem jest taki sam, jakiego używał nieżyjący już Vincent Spectre w zeszłorocznych bombach.

Liddell popatrzył na Sama.

- Te same obwody, ten sam dynamit?

- Widocznie Vincent Spectre przed śmiercią sprzedał trochę swych umiejętności. Teraz mamy drugie pokolenie bombiarzy na tapecie.

- Powinniśmy opracować profil psychologiczny nowego gracza na rynku - włączył się Sam. - Zamachy bombowe Spectre'a miały podłoże czysto finansowe. Wynajmowano go, żeby odwalił robotę, i robił to bach, bach, bach. Sprawnie. Efektywnie. Ten nowy bombiarz musi dopiero wypracować sobie markę.

- Twoje słowa świadczą o tym - powiedział Liddell - że czekasz, aż znów uderzy.

Lekko znużony Sam przytaknął:

- Niestety, to właśnie powiedziałem.

Ktoś nagle zastukał i policjantka wsunęła głowę w otwarte drzwi:

Przepraszam, telefon do Navarra i Gillisa.

- Odbiorę - odrzekł Gillis, po czym wstał nieporadnie i podszedł do telefonu wiszącego na ścianie.

Liddell ciągle koncentrował się na Samie.

- A więc to jest wszystko, co elita Portland ma w zanadrzu? Czekamy na następną bombę, aby ustalić schemat działania przestępców? A potem może wpadniemy na jakiś pomysł, co by się dało zrobić?

- Zamach bombowy, panie Liddell - rzekł spokojnie Sam - jest aktem tchórzostwa. To czyn przestępczy dokonany przy nieobecności sprawcy. Nie ma osoby, odcisków palców, świadków podłożenia, nie ma...

- Szefie - wtrącił Gillis, odkładając słuchawkę. - Jest następna...

- Niech to szlag! - zawołał Coopersmith.

Sam zerwał się na nogi i ruszył w kierunku drzwi.

- A tym razem co? - zapytał Liddell. - Znowu magazyny?

- Nie - odparł Gillis. - Kościół.

Kiedy Sam i Gillis podjechali do kościoła pod wezwaniem Dobrego Pasterza, teren był już ogrodzony przez policję. Po obu stronach ulicy zebrał się tłum.

Forest Avenue została zablokowana przez trzy radiowozy, dwie straże pożarne i ambulans. Ciężarówkę saperów z naczepą w kształcie beczki ustawiono przed głównym

wejściem, a raczej tym, co po nim pozostało. Wyrwane z zawiasów drzwi leżały u stóp schodów.

Wszystko pokrywała warstwa odłamków szkła. Wiatr rozwiewał na chodniku podarte kartki modlitewników jak suche liście. Gillis zaklął.

- To była duża sztuka.

Kiedy zbliżyli się do taśmy policyjnej, oficer dowodzący przywitał ich z wyraźną ulgą.

- Navarro! Cieszę się, że wpadłeś.

- Są ofiary? - zapytał Sam.

- Chyba nie. Kościół był pusty. Czysty przypadek. O drugiej miał być ślub, ale w ostatniej chwili został odwołany.

- Czyj ślub?

- Jakiegoś lekarza. Panna młoda siedzi w samochodzie policyjnym. Ona i pastor widzieli wybuch z parkingu.

- Później z nią porozmawiam. Niech czeka. Pastor też. Sprawdzę, czy nie ma drugiego ładunku.

- Nie kępuj się, nie mam nic przeciwko temu.

Sam włożył nylonowy kombinezon z zachodzącymi na siebie stalowych płytek. Niósł też maskę ochronną na wypadek, gdyby znaleziono drugą bombę. Technik od ładunków, podobnie ubrany, stał przy frontowych drzwiach i czekał na rozkaz wejścia do kościoła. Gillis miał czekać przy ciężarówce. Tym razem jego rola polegała na dostarczeniu instrumentów i przygotowaniu pojemnika na bombę.

- Dobra - rzekł Sam do technika. - Idziemy. Weszli do zięjącego pustką miejsca po bramie wejściowej. Najpierw Sam wychwycił zapach - mocny i słodkawy. Dynamit, pomyślał. Siła eksplozji spowodowała, że tylne ławy się przewróciły. Te z przodu, bliżej ołtarza, rozleciały się w drzazgi. Wszystkie witraże były roztrzaskane, a puste ramy okien wychodzących na południe wypełniało przytłumione słoneczne światło.

Sam i technik automatycznie rozdzielili się i zaczęli przesuwając się wzdłuż przeciwnych ścian nawy. Budynek miał być dokładnie przeszukany później, teraz musieli się skupić na znalezieniu kolejnej bomby. Śmierć Marty'ego Picketta obciążała sumienie Sama i nie miał zamiaru wpuścić tu żadnego policjanta, zanim wszystkiego nie sprawdzi.

Obydwaj mężczyźni poruszali się powoli z powodu zalegającego gruzu. Odór dynamitu się nasilał. Zbliżamy się, pomyślał Sam. Bombę podłożono gdzieś tutaj...

Przed ołtarzem, tam gdzie stał kiedyś pierwszy rząd ław, zobaczyli zięjący krater o średnicy metra, dość płytki. Wybuch rozerwał dywan i warstwę izolacyjną, ale betonowa wylewka pozostała nienaruszona. Płytki krater jest charakterystyczny dla powolnej eksplozji. Zgadza się, to dynamit.

Ale temu mogą się przyjrzeć później. Teraz muszą szukać dalej. Skończyli z nawą, przeszli do korytarzy, ubieralni i toalet. Nic. Weszli

do aneksu i sprawdzili kancelarię, salki, klasy szkółki niedzielnej. Nic. Wyszli przez tylne wyjście i przeszukali murek na zewnątrz. Nic.

Usatysfakcjonowany Sam wrócił na linię policyjną, gdzie czekał już Gillis.

Zdjął kombinezon i oświadczył:

- Budynek jest czysty. Ekipa gotowa?

Gillis wskazał szóstkę ludzi czekających obok ciężarówki saperskiej. Czterech policjantów i dwóch laborantów ścisnęło w rękach torebki na dowody.

- Czekają na rozkaz - powiedział.

- Najpierw niech wejdzie fotograf, potem ekipa. Krater jest z przodu, przed pierwszym rzędem ław po prawej.

- Dynamit?

Sam kiwnął głową.

- Jeżeli mogę polegać na swoim węchu. - Odwrócił się i popatrzył na tłum gapiów. - Porozmawiam teraz ze świadkami. Gdzie jest pastor?

- Zawieźli go na ostry dyżur. Bóle w klatce piersiowej. Sam westchnął zirytowany.

- Ktoś go przesłuchał?

- Policjant. Mamy zeznanie.

- Dobrze. No to zostaje nam panna młoda.

- Czeką w radiowozie. Nazywa się Nina Cormier.

- Cormier. W porządku.

Sam schylił się i przeszedł pod żółtą policyjną taśmą. Poszukał wzrokiem ponad tłumem gapiów służbowych samochodów i zauważył

sylwetkę kobiety siedzącej w jednym z nich. Nie poruszyła się, gdy się zbliżył. Patrzyła przed siebie jak manekin w salonie ze ślubnymi sukniami. Pochylił się i zastukał w okno samochodu. Kobieta odwróciła się. Zobaczył duże ciemne oczy, rozmazany tusz, ale jej twarz była ładna. Pokazał jej gestem, aby opuściła szybę.

- Pani Cormier? Detektyw Sam Navarro, policja.
- Chcę wracać do domu - powiedziała. - Rozmawiałam już z tyloma policjantami. Czy nie mogłabym już jechać?
- Najpierw muszę zadać pani kilka pytań.
- Kilka?
- No dobrze, więcej niż kilka. Gdy westchnęła, zauważył, jaka jest zmęczona.
- Jeżeli odpowiem na wszystkie pytania, to będę mogła pojechać do domu?
- Obiecuję.
- Dotrzymuje pan obietnic?
- Zawsze - odrzekł poważnie. Spojrzała na ręce splecione na kolanach.
- Dobrze - mruknęła. - Mężczyźni i ich obietnice.
- Słucham?
- Nic, nic.

Okrążył radiowóz, otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Nie odezwała się; siedziała zrezygnowana. Góra spienionego białego atłasu zdawała się ją przytłaczać bez reszty. Fryzura rozsypała się i jedwabiste pasma czarnych włosów spadały na jej ramiona. Niezbyt

piękny obrazek szczęśliwej panny młodej, pomyślał. Wygląda na otepiałą i bardzo samotną.

Gdzie, do cholery, jest pan młody?

Zdusił w sobie słowa instynktownego współczucia, sięgnął po notes i otworzył na czystej stronie.

- Poproszę o nazwisko i imię oraz adres.

- Nina Margaret Cormier, 318 Ocean View Drive - wyszeptała. Spojrzał na nią.

Wzrok miała ciągle utkwiony w rękach

złożonych na kolanach.

- Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło. Siedziała w wozie policyjnym już od półtorej godziny,

rozmawiała z trzema policjantami, odpowiedziała na wszystkie ich pytania. Jej ślub to katastrofa, ledwo uszła z życiem, a ludzie na ulicy przyglądali się jej, jakby była jakimś dziwolągiem. A ten zimny jak ryba gliniarz oczekuje, że zacznie znowu od początku?

- Panno Cormier... - Westchnął. - Im prędzej skończymy, tym prędzej pani pojedzie. Co się stało?

- Usłyszałam wybuch. Mogę już jechać?

- Co to znaczy wybuch?

- Głośny huk. Dużo dymu i stłuczonego szkła.

- Powiedziała pani: dym. Jakiego był koloru?

- Słucham?

- Czarny? Biały?

- A czy to ważne?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Westchnęła z irytacją.

- Chyba biały.

- Chyba?

- No dobrze. Jestem pewna, że biały.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć. Po raz pierwszy jej wzrok zatrzymał się na jego twarzy. Gdyby się uśmiechnął, gdyby miał w sobie choć odrobinę ciepła, byłaby to miła twarz. Musi mieć grubo ponad trzydziestkę. Ciemne włosy, powinien być je ostrzyć już ze dwa tygodnie temu. Twarz pociągła, piękne zęby, przenikliwe zielone oczy jak u romantycznego filmowego gliniarza, grającego główną rolę. Tylko że to nie jest filmowy gliniarz. To jest prawdziwy gliniarz z odznaką, zupełnie pozbawiony czaru. Obserwował ją obojętnie, jak gdyby oceniał jej przydatność na świadka.

Odzwajemniła jego spojrzenie, myśląc: i oto jestem, porzucona panna młoda. Pewnie się zastanawia, czego mi brakuje. Jaka jest moja straszliwa skaza, która spowodowała, że zostałam wystawiona do wiatru przy ołtarzu.

Schowała pięści w zwojach atłasu na podołku.

- Jestem pewna, że dym był biały - oznajmiła. - Jakiegokolwiek miałyby to mieć znaczenie.

- To ma znaczenie. Wskazuje na nieobecność węgla.

- Ach, tak. Rozumiem.

- A płomienie?

- Nie. Żadnych płomieni.

- Czują pani jakiś zapach?

- Coś jak gaz?

- Jakikolwiek zapach?
 - Nie pamiętam. Ale byłam na dworze.
 - Gdzie konkretnie?
 - Siedziałam z ojcem Sullivanem w jego samochodzie. Na parkingu z boku. A więc nie wyczułabym gazu. Zresztą naturalny gaz nie ma zapachu, prawda?
 - Trudno go wyczuć.
 - A więc to bez znaczenia. Że go nie czułam.
 - Czy widziała pani kogoś w pobliżu, przed eksplozją?
 - Był ojciec Sullivan. I kilka osób z mojej rodziny. Ale wszyscy odjechali wcześniej.
 - A obcy ludzie? Ktoś, kogo pani nie zna?
 - Wewnątrz nie było nikogo, kiedy to się stało.
 - Tuż przed eksplozją, panno Cormier.
 - Przed?
 - Czy widziała pani kogoś, kto nie powinien był tam się znaleźć? Jego zielone oczy wytrzymały jej pytający wzrok.
 - Ma pan na myśli... uważa pan, że... - Milczał. - To nie był ulatniający się gaz?
 - Nie. To była bomba.
- Osunęła się na oparcie. To nie był wypadek, pomyślała. Wcale nie wypadek...
- Panno Cormier?
- Przeraziło ją jego beznamiętne spojrzenie.

- Przepraszam, ale muszę zadać pani to pytanie. Proszę zrozumieć, że muszę zbadać ten trop.

Przełknęła głośno.

- Jakie... jakie pytanie?

- Czy ktoś chce panią zabić?

18

ROZDZIAŁ DRUGI

- To wariactwo - powiedziała. - Kompletny idiotyzm.
- Muszę wziąć pod uwagę taką możliwość.
- Jaką? Że ta bomba była przeznaczona dla mnie?
- Pani ślub miał się odbyć o drugiej. Eksplozja nastąpiła o drugiej czterdzieści, tuż przy pierwszym rzędzie ław. Blisko ołtarza. Nie mam wątpliwości, że przy tej sile wybuchu i pani, i wszyscy goście zginęliby. Albo zostali ciężko ranni. Mówimy o bombie, nie o ulatniającym się gazie. To nie wypadek. Bomba miała kogoś zabić. Tylko kogo?
- Milczała. To wszystko jest zbyt straszne.
- Kto był zaproszony?
- Miał przyjść... Miał być...
- Pani i wielebny Sullivan. Kto jeszcze?
- Robert, mój narzeczony. I moja siostra Wendy. I Jeremy Wall, świadek...
- Kto jeszcze?
- Mój ojciec miał mnie prowadzić do ołtarza. I mała druhna niosąca kwiaty, chłopiec niosący obrączki...
- Interesują mnie tylko dorośli. Zaczniemy od pani. Tępo potrząsnęła głową.
- To nie mogło... nie o mnie chodziło.
- Dlaczego?
- To niemożliwe.
- Skąd ma pani taką pewność?

- Bo nikt nie chciałby, żebym zginęła! Jej piskliwy okrzyk go zaskoczył.

Stojący na ulicy policjant

odwrócił się i spojrzał na nich. Sam uspokoił go gestem ręki, że wszystko jest w porządku.

Nina gniotła w rękę obrębek sukni. Ten facet jest okropny. Bez cienia ludzkich uczuć. Chociaż w samochodzie zrobiło się gorąco, po plecach przebiegł jej dreszcz.

- Czy możemy się temu bliżej przyjrzeć? - zapytał. Nie odpowiedziała.

- Panno Cormier, a co z pani byłymi... narzeczonymi? Czy jest ktoś, kogo unieszczęśliwiłoby pani małżeństwo?

- Nie - szepnęła.

- Żadnego ekspartnera?

- Nie w ciągu ostatniego roku.

- Czy właśnie tyle czasu była pani związana ze swoim narzeczonym? Rok?

- Tak.

- Poproszę jego imię, nazwisko i adres.

- Doktor Robert Bledsoe, 318 Ocean View Drive.

- Ten sam adres?

- Mieszkamy razem.

- Dlaczego ślub został odwołany?

- O to musi zapytać pan Roberta.

- A więc to była jego decyzja? Aby odwołać ślub?

- Zostawił mnie przy ołtarzu, jak to się zwykle mówi.

- Czy pani wie dlaczego? Zaśmiała się gorzko.
- Doszłam do wniosku, że umysł mężczyzny jest dla mnie kompletną zagadką.
- Nie było żadnych znaków ostrzegawczych?
- To było tak nieoczekiwane jak... ta bomba. Jeżeli to rzeczywiście była bomba.
- O której ślub został odwołany?
- Około wpół do drugiej. Ja już byłam w kościele. Wtedy Jeremy, družba Roberta, przyniósł bilecik. Robert nie miał nawet odwagi sam mi o tym powiedzieć - dodała z oburzeniem.
- Co było w bileciku?
- Że potrzebuje więcej czasu. I że wyjeżdża.
- Czy jest jakiś powód, żeby Robert...
- Nie, to niemożliwe! - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Pyta pan, czy Robert mógł mieć z tym coś wspólnego?
- Staram się mieć oczy otwarte, panno Cormier.
- Robert nie jest zdolny do zbrodni. Na Boga, jest lekarzem!
- W porządku. Zostawmy to na razie. Przyjrzyjmy się innym ewentualnościom. Rozumiem, że pani pracuje?
- Jestem pielęgniarzką w Centrum Medycznym Maine.
- Jaki oddział?
- Izba przyjęć ratownictwa medycznego.
- Jakież problemy w pracy? Konflikt z personelem?
- Nie. Dogadujemy się.
- Pogrożki? Na przykład od pacjentów?

- Gdybym miała wrogów, wiedziałabym o tym - odrzekła zdenerwowana.
 - Niekoniecznie.
 - Robi pan wszystko, żeby mnie wyprowadzić z równowagi.
 - Proszę tylko, żeby się pani przyjrzała swojemu życiu osobistemu. Niech pani pomyśli o wszystkich osobach, które pani nie lubią.
- Nina zapadła się w fotel. Wszyscy, którzy mnie nie lubią. Pomyślała o rodzinie. Swojej starszej siostrze Wendy, z którą nigdy nie była blisko. Matce Lydii i jej mężu, bogatym snobie. Ojcu imieniem George, którego czwarta żona, wypasiona blondyna, uważała jego dzieci za denerwującą niedogodność. Stanowili dużą, dysfunkcyjną rodzinę, ale na pewno nie było między nimi morderców. Potrząsnęła głową.
- Nie ma nikogo takiego. Westchnął i po chwili zamknął notes.
 - W porządku. Myślę, że to na razie wszystko.
 - Na razie?
 - Pewnie będę jeszcze miał pytania. Kiedy porozmawiam z innymi gośćmi.
- Wysiadł z samochodu i dodał przez otwarte okno:
- Jeżeli coś się pani przypomni, proszę zadzwonić. Napisał coś w notesie i podał jej wyrwaną kartkę z imieniem i nazwiskiem oraz telefonem.
 - To bezpośredni numer - oznajmił. - Można mnie złapać całą dobę przez policyjną centralę telefoniczną.

- Czyli... Mogę już jechać do domu?

- Tak. - Już odchodził.

- Detektywie?

Odwrócił się. Nie zdawała sobie sprawy, że jest taki wysoki. Jak on się zmieścił obok niej w samochodzie?

- O co chodzi, panno Cormier?

- Powiedział pan, że mogę już jechać.

- Tak.

- Ale nie mam czym.

Skinęła głową w stronę zburzonego kościoła.

- Może pan mógłby zadzwonić do mojej matki, żeby po mnie przyjechała?

- Do matki?

Rozejrzał się wokół, by przekazać to zadanie komuś innemu. W końcu zrezygnowany wrócił do wozu policyjnego i otworzył drzwi z jej strony.

- Niech pani wysiądzie. Odwiozę panią moim samochodem.

- Prosiłam tylko, żeby pan zadzwonił.

- To drobiazg. - Wyciągnął rękę, by jej pomóc. - I tak muszę wstąpić do pani matki.

- Do mojej matki? Po co?

- Była na ślubie. Muszę z nią porozmawiać. Za jednym zamachem załatwię i jedno, i drugie.

Elegancko powiedziane, pomyślała.

Udała, że nie widzi wyciągniętej ręki. Z trudnością wygrzebała się z samochodu, bo tren okręcił się wokół jej stóp i musiała go kilka razy kopnąć, żeby się uwolnić. Przyglądał się jej rozbawiony, aż w końcu schwyciła brzeg sukni i z głośnym szelestem materiału go wyminęła.

- Panno Cormier?

- Co? - rzuciła przez ramię.

- Mój samochód stoi po tamtej stronie. Stanęła. Wyraźnie się zaczerwieniła. Pan detektyw uśmiechał się jak kot, który właśnie zżarł kanarka.

- Granatowy taurus. Jest otwarty. Zaraz przyjdę. Odwrócił się i odszedł w przeciwnym kierunku, w stronę grupki policjantów, a Nina ruszyła do samochodu. Z obrzydzeniem zajrzała do środka. Ma pojechać tym rzęchem? W tym śmietniku? Kiedy otworzyła drzwi, wypadł papierowy kubek. Na podłodze, przy fotelu pasażera, leżała pusta torba z McDonalda, kilka kolejnych kubków po kawie i „Portland Press Herald” sprzed dwóch dni. Tylnie siedzenie zawałone było innymi gazetami i aktami spraw. Na wierzchu leżała teczka, marynarka i ni z gruszki, ni z pietruszki rękawica baseballowa. Zebrała śmieci ze swojej strony, rzuciła do tyłu i wsiadła. Miała nadzieję, że siedzenie jest czyste.

Detektyw Zimna Ryba już nadchodził. Podwinał wcześniej rękawy koszuli i rozluźnił krawat. Był wyraźnie rozgorączkowany i chociaż się spieszył, to podwładni nękali go jeszcze pytaniami.

W końcu usiadł za kierownicą i trzasnął drzwiami.

- Dobrze, gdzie mieszka pani matka?
- Cape Elizabeth. Ale widzę, że jest pan zajęty...
- Mój partner dopilnuje interesu. Podrzucę panią, porozmawiam z matką i wstąpię do szpitala, do ojca Sullivana.
- Świetnie. W ten sposób za jednym zamachem załatwi pan trzy sprawy.
- Wierzę w efektywność pracy.

Jechali w milczeniu. Nie widziała sensu w podtrzymywaniu rozmowy. On nie doceniłby uprzejmości. Wyglądała więc przez okno i myślała ponuro o przyjęciu weselnym i tartinkach czekających na gości, którzy się nie pojawiają. Będzie musiała zadzwonić i poprosić, by jedzenie, zanim się zepsuje, zawieziono do stołówki dla bezdomnych. No i jeszcze te prezenty, dziesiątki prezentów w domu. Wróc - w domu Roberta. To nigdy nie był jej prawdziwy dom. Tylko tam mieszkała, jak lokator. Sama wpadła na pomysł, by płacić połowę kredytu. Robert często mówił, że docenia i szanuje jej niezależność, jej potrzebę posiadania własnej tożsamości. W każdym dobrym związku, mówił, prawa i obowiązki rozłożone są pół na pół. Tak było od początku. Na jednej randce płacił on, na drugiej ona. Właściwie to ona nalegała, by pokazać mu, jaka jest wyzwolona.

To takie głupie. Nigdy nie byłam wyzwolona, pomyślała. Zawsze marzyłam o dniu, kiedy zostanę żoną doktora Bledsoe. Tego oczekiwała po niej rodzina: żeby dobrze wyszła za męża. Nigdy nie rozumieli, dlaczego poszła do szkoły dla pielęgniarek. Dla nich był to jedynie sposób na złapanie męża. Lekarza. No i go złapała.

I co mi z tego zostało? Sterta prezentów, które muszę odesłać, suknia ślubna, której nie mogę zwrócić, i dzień, którego nigdy nie zapomnę. Najbardziej wstrząsnęło nią upokorzenie. Nie fakt, że Robert zniknął. Nawet nie to, że mogła zginąć w gruzach kościoła. Sama eksplozja wydawała się jej nierzeczywista, jak z telenoweli. Tak odległa jak ten facet siedzący obok niej.

- Dobrze sobie pani radzi - zauważył. Zdziwiona, że detektyw Zimna Ryba odezwał się,

spojrzała w jego stronę.

- Słucham?

- Przyjęła to pani spokojnie. Spokojniej niż inni.

- Nie wiem, jak inaczej mogłabym to przyjąć.

- Nie dziwiłbym się, gdyby po wybuchu bomby wpadła pani w histerię.

- Jestem pielęgniarką. Nie bawię się w histerię.

- Ale to musiał być dla pani szok. Może jeszcze nastąpić reakcja emocjonalna.

- Chce pan powiedzieć, że to jest cisza przed burzą?

- Coś w tym rodzaju.

Ich spojrzenia spotkały się, ale musiał popatrzeć na drogę i cień porozumienia zniknął.

- Dlaczego nie było z panią w kościele rodziny?

- Odesłałam ich do domu.

- Nie oczekiwała pani wsparcia? Wyjrzała przez okno.

- Moja rodzina nie należy do wspierających. I chyba... chciałam zostać sama. Zranione zwierzę ukrywa się, aby lizać rany. Tego potrzebowałam. Zamrugła, by przepędzić łzy, i ucichła.
- Wiem, że nie ma pani teraz ochoty na rozmowę, ale proszę mi odpowiedzieć tylko na jedno pytanie. Kto mógł być celem ataku? Może ojciec Sullivan?
- To ostatnia osoba, którą ktoś zechciałby skrzywdzić.
- To był jego kościół. Znajdowałby się w centrum wybuchu.
- Ojciec Sullivan jest najmiłszym człowiekiem na świecie! Zimą rozdaje na ulicy koce, kłóci się o łóżka w schroniskach. Na pogotowiu, kiedy mamy bezdomnych, dzwoniemy do niego.
- Nie kwestionuję jego charakteru. Pytam tylko o jego wrogów.
- On nie ma wrogów - oświadczyła sucho.
- A reszta gości? Czy ktoś z nich mógł być celem?
- Nie wyobrażam sobie...
- Świadek Jeremy Wall. Proszę mi o nim opowiedzieć.
- Jeremy? Studiował razem z Robertem. Jest radiologiem, pracuje w Centrum Medycznym Maine.
- Żonaty?
- Kawaler. Stary kawaler.
- A pani siostra Wendy? Była druhną?
- Jest mężatką.
- Ma wrogów?
- Chyba tylko kogoś, kto nienawidzi doskonałości.
- To znaczy?

- No, jest córką, o jakiej marzy każdy rodzic.
- W przeciwieństwie do pani? Nina wzruszyła ramionami.
- Jak pan to zgadł?
- W porządku, a więc zostaje jeden główny zawodnik. Ten, który przez przypadek się nie pojawił.

Nina patrzyła przed siebie. Co mam powiedzieć mu o Robercie, jeżeli sama nic nie wiem, pomyślała.

Odetchnęła z ulgą, kiedy nie pytał już dalej. Widocznie zrozumiał, że posunął się za daleko. Że jest już na skraju wytrzymałości. Kiedy jechali krętą drogą do Cape Elizabeth, poczuła, że spokój ją opuszcza. Ostrzegł ją. Reakcja emocjonalna. Ból przebijający się przez otępienie.

Trzymała się nieźle, przetrwała dwa kolejne szoki i uroniła zaledwie kilka łez. Teraz zaczęły jej dygotać ręce, a z każdym oddechem toczyła walkę, by się nie rozsłochać.

Gdy w końcu zatrzymali się przed domem matki, Nina ledwo się trzymała. Nie czekała, aż Sam otworzy jej drzwi. Wydostała się niezręcznie, przytrzymując kłęby pogniecionego materiału. Gdy wszedł na schody, ona już desperacko dzwoniła do drzwi, modląc się, by matka wpuściła ją, zanim się rozsypie.

Drzwi otwarły się na oścież. Lydia, ciągle jeszcze w eleganckiej sukni, stanęła jak wryta na widok swojej rozczochranej i wymiętej córki.

- Nina? Och, moja biedna Nina! - Rozłożyła ramiona.

Nina wpadła w jej objęcia. Tak mocno pragnęła, by ją ktoś przytulił, że nie od razu zauważyła, że Lydia cofnęła się o krok, by nie pognieść swojej zielonej, jedwabnej sukni.

Ale usłyszała pytanie matki.

- Nie było wiadomości od Roberta?

Nina zeszywniała. Błagam, pomyślała, nie rób mi tego.

- Jestem pewna, że można to wszystko naprawić - rzekła Lydia. - Usiądźcie z Robertem i porozmawiajcie szczerze...

Nina odsunęła się.

- Nie mam zamiaru siadać do żadnej rozmowy z Robertem. A szczerze to chyba nigdy nie rozmawialiśmy.

- Kochanie, to normalne, że jesteś wściekła...

- A ty nie jesteś wściekła, mamó? Czy nie mogłabyś być wściekła ze mną?

- Tak, oczywiście. Ale nie możesz odrzucić Roberta tylko dlatego, że...

Sam odchrząknął głośno i dopiero wtedy Lydia zauważyła, że ktoś stoi przed drzwiami.

- Sam Navarro, policja z Portland. Pani Cormier?

- Obecnie noszę nazwisko Warrenton. - Zmarszczyła brwi. - O co chodzi? Co policja ma z tym wspólnego?

- Zdarzył się wypadek w kościele. Trwa dochodzenie.

- Wypadek?

- Podłożono bombę.

- Pan chyba żartuje.

- Nie. Wybuch nastąpił o drugiej czterdzieści pięć po południu. Na szczęście nikt nie został ranny. Ale gdyby ślub się odbył...

Lydia zbladła. Cofnęła się o krok i zaniemówiła.

- Pani Warrenton, muszę pani zadać parę pytań. Nina nie chciała tego słuchać.

Usłyszała już zbyt wiele pytań.

Poszła na górę do pokoju gościnnego, gdzie została jej walizka, ta, którą spakowała na wyjazd na wyspę.

Miała w niej kostiumy kąpielowe, letnie sukienki i krem do opalania.

Wszystko, czego potrzebowała na tydzień w raju.

Zdjęła ślubną suknię i ostrożnie rozłożyła ją na fotelu. Zawisała tam biała i jakby martwa. Bezużyteczna. Zbadała zawartość walizki. Jej marzenia leżały pogrzebane wśród arkuszy bibułki do pakowania. Wtedy opuściły ją resztki samokontroli. Usiadła na łóżku w samej bieliźnie i teraz, kiedy była już sama, poddała się rozpacz.

Lydia Warrenton była inna. Sam zauważył to już w chwili, gdy otworzyła drzwi. Starannie umalowana, elegancko uczesana, w zielonej sukni podkreślającej szczupłą sylwetkę, nie wyglądała na matkę panny młodej. Było oczywiście podobieństwo fizyczne. Obydwie miały czarne włosy i takie same czarne, ocienione gęstymi rzęsami oczy. Nina jednak miała w sobie jakieś ciepło i wrażliwość, podczas gdy Lydia była zimna i zachowywała się z rezerwą, jakby okalał ją mur, niepozwalający się do niej zbliżyć. Piękna i bogata, pomyślał, patrząc na pokój, w którym się znaleźli.

Dom był prawdziwym muzeum antyków. Przedtem zauważył na podjeździe mercedesa. A salon, do którego go wprowadziła, miał wspaniały widok na ocean. Widok za milion dolarów.

Lydia usiadła skromnie na kanapie pokrytej brokatem i wskazała mu fotel. Jego haftowane obicie było tak nieskazitelne, że z trudem stłumił w sobie chęć sprawdzenia czystości swojego ubrania, zanim zapadł się w poduszki.

- Bomba - powtórzyła cicho Lydia, potrząsając głową. - Kto podłożyłby bombę pod kościół?

- To nie pierwsza bomba w mieście. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Ma pan na myśli magazyny? W zeszłym tygodniu? Czytałam, że miało to coś wspólnego z mafią.

- Była taka hipoteza.

- Ale to kościół. Jaki może być związek?

- Pani Warrenton, też go nie widzimy. Ale musimy się dowiedzieć, czy jakiś istnieje. Może pani nam pomoże. Czy nie zna pani powodu, dla którego ktoś chciałby wysadzić w powietrze kościół Dobrego Pasterza?

- Nic nie wiem o tym kościele. Nie chodzę do niego. To była decyzja mojej córki, żeby w nim odbył się ślub.

- Brzmi to tak, jak gdyby pani tego nie aprobowała. Wzruszyła ramionami.

- Nina ma swój szczególny sposób działania. Ja wybrałabym bardziej... renomowaną instytucję. I dłuższą listę gości. Ale to cała Nina. Ona chciała ślubu skromnego.

Styl życia Lydii Warrenton na pewno nie jest skromny, pomyślał Sam, rozglądając się po salonie.

- Ale do rzeczy. Nie znam żadnego powodu, aby ktoś mógł zapragnąć wysadzić w powietrze ten kościół.

- O której pani z niego wyszła?

- Kilka minut po drugiej. Kiedy stało się oczywiste, że nic nie mogę dla Niny zrobić.

- Kiedy pani czekała, nie zauważyła pani przypadkiem kogoś, kto nie powinien był tam się znaleźć?

- Byli tylko ludzie, których się spodziewałam. Dekoratorzy z kwiaciarni, pastor, goście.

- Nazwiska?

- Ja, moja córka Wendy. Świadek, nie pamiętam jego nazwiska. Mój były mąż George i jego ostatnia żona.

- Ostatnia.

Prychnęła pogardliwie.

- Daniella. Czwarta, jak dotąd.

- A pani mąż?

- Samolot Edwarda z Chicago miał dwie godziny opóźnienia.

- A więc nawet jeszcze nie dojechał?

- Nie. Ale miał zamiar dotrzeć na przyjęcie.

- Czy mogę zapytać, czym się pani mąż zajmuje?

- Jest prezesem Ridley Warrenton.

- Koncernu papierniczego?

- Tak.

To wiele wyjaśnia - i dom, i mercedesa, pomyślał Sam. Ridley Warrenton było jednym z największych właścicieli gruntów w północnym Maine. Produkty przemysłu drzewnego, od tarcicy do wysokogatunkowego papieru, szły na cały świat.

Następnego pytania nie dało się uniknąć.

- Pani Warrenton, czy pani mąż ma wrogów? Jej reakcja go zdziwiła.

Roześmiała się.

- Każdy z jego pieniędzmi ma wrogów. - Czy może pani kogoś wymienić?

- O to musiałby pan poprosić Edwarda.

- Tak też zrobię - odparł, wstając. - Skoro tylko mąż pani wróci, proszę go poprosić, żeby do mnie zadzwonił.

- Mój mąż jest bardzo zajęтым człowiekiem.

- Ja też, szanowna pani - odrzekł i, skinąwszy głową, odwrócił się i wyszedł.

Na podjeździe posiedział przez chwilę w swoim taurusie i przypatrzył się jeszcze raz pałacykowi. To bez wątpienia jeden z najwspanialszych domów, w jakim był. Nie żeby bywał w pałacykach. Sam Navarro, syn bostońskiego gliniarza, który też był synem bos-tońskiego gliniarza. W wieku dwunastu lat przeprowadził się do Portland wraz ze świeżo owdowiałą matką. Nic nie przyszło im łatwo. Jego matka zaakceptowała tę prawdę życiową z rezygnacją.

Ale nie

Sam. Jego okres dojrzewania to było pięć długich lat buntu. Bójki na boisku szkolnym, papierosy w łazience, wystawanie na Monument Square z podejrzanym elementem. W jego dzieciństwie nie było pałacyków. Zapalił silnik i odjechał. Śledztwo dopiero się zaczyna: on i Gillis mają przed sobą długą noc. Trzeba przesłuchać pastora, dekoratora, świadków i pana młodego.

Przede wszystkim pana młodego, bo to on odwołał ślub. Jego decyzja, przypadkowa czy zaplanowana, uratowała życie kilkunastu osobom. Wygląda to na nadmiar szczęścia. Czyżby Bledsoe został ostrzeżony? Czy to on miał być celem ataku? Czy to był rzeczywisty powód porzucenia narzeczonej przed ołtarzem?

Obraz Niny Cormier wrócił do niego w całej swojej jaskrawości. To twarz, jakiej łatwo nie zapomni. Chodzi nie tylko o duże brązowe oczy i pełne usta. Największe wrażenie zrobiła na nim duma tej kobiety. Ten rodzaj dumy, który kazał jej trzymać głowę wysoko nawet wtedy, gdy płakała. Podziwiał ją za to. Zero narzekania, zero uzalania się nad sobą. Ta kobieta została upokorzona, porzucona i o mało nie wyleciała w powietrze, ale miała dosyć siły, żeby mu się postawić. To było jednocześnie zabawne i irytujące. Jak na kobietę, której pewnie podawano wszystko na srebrnej tacy, miała w sobie imponującą siłę przetrwania. Dostała dziś czarną polewkę, i ją zjadła.

Zdumiewająca, naprawdę zdumiewająca kobieta. Co doktor Robert Bledsoe o niej powie?

Było już po piątej, kiedy Nina w końcu wynurzyła się z pokoju gościnnego swojej matki.

Spokojna i opanowana, miała na sobie dżinsy i koszulkę. Wcześniej powiesiła w szafie suknię ślubną. Nie chciała nawet na nią patrzeć. Zeszła na dół i zastała matkę w salonie, ze szklanką whisky w ręku. Detektywa Navarro już nie było. Lydia podniosła drinka do ust, a grzechoczące kostki lodu zdradziły, że trzęsą jej się ręce.

- Mamo?

Lydia wzdrygnęła się na dźwięk głosu córki.

- Przestraszyłaś mnie.

- Chyba już pójdę. Dobrze się czujesz?

- Tak. Tak, oczywiście. - Lydia zadrżała, a potem, jakby sobie coś przypomniała, zapytała: - A ty?

- Wszystko będzie dobrze. Potrzebuję tylko trochę czasu. Z dala od Roberta. Matka i córka popatrzyły na siebie. Żadna nie odezwała się, żadna nie wiedziała, co powiedzieć. Zawsze tak było między nimi. Matka była zbyt zajęta sobą, aby okazywać córce uczucia. I to był rezultat - ta cisza panująca pomiędzy dwiema kobietami, które prawie się nie znają i nie rozumieją.

Lydia znowu wypiła łyk whisky.

- Jak ci poszło z tym detektywem?

- Zadawał pytania, a ja odpowiadałam. - Lydia wzruszyła ramionami.

- Powiedział coś? Kto mógł to zrobić?

- Nie, był zamknięty jak ostryga, i niezbyt miły. Nina nie mogła się nie zgodzić. Widziała już kostki lodu cieplejsze od Sama Navarro. Ale w końcu facet wykonuje tylko swoją pracę. Nie płacą mu za to, żeby był czarujący.
 - Jeżeli chcesz, to możesz zostać na kolację - odezwała się Lydia. - Zostań. Poproszę kucharza...
 - Nie, w porządku. Ale dziękuję. Lydia spojrzała na nią.
 - To z powodu Edwarda?
 - Nie, mamo. Naprawdę.
 - To dlatego tak rzadko nas odwiedzasz. Z powodu niego. Chciałabym, żebyś go polubiła. - Lydia westchnęła i spojrzała w głąb swej szklanki. - On jest dla mnie bardzo dobry. I hojny. Musisz mu to przyznać.
- Kiedy Nina myślała o swoim ojczymie, „hojny” nie był pierwszym przymiotnikiem, jaki przychodził jej do głowy. Raczej wybrałaby słowo „bezwzględny”. Bezwzględny i dominujący. Nie chciała rozmawiać o Edwardzie.
- Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.
- Muszę pojechać do domu i spakować rzeczy. Bo będę musiała się wyprowadzić.
 - Czy nie możecie jakoś się pogodzić?
 - Po tym, co się dzisiaj stało?
 - A może spróbujecie? Może powinniście porozmawiać? Może coś można zmienić?
 - Mamo, proszę... Lydia usiadła głębiej.

- W każdym razie jesteś zaproszona na kolację.
- Może innym razem - odrzekła Nina cicho. - Do widzenia, mamó.

Wychodząc, nie usłyszała odpowiedzi.

Jej honda była zaparkowana z boku domu, tam, gdzie ją rano zostawiła. Tego ranka, gdy czekała na swój ślub. Jaka Lydia była z niej dumna, kiedy siedziały razem w limuzynie! Tak powinna matka patrzeć na córkę. Tak jak nigdy dotąd. I pewnie nigdy już tak na nią nie popatrzy.

Jazda do kościoła, uśmiechy, radość, to wszystko było tak odległe. Zapaliła hondę i wycofała się spod domu matki.

Skierowała się na południe, w stronę Hunts Point, gdzie stał dom Roberta.

Droga była kręta, a ona jechała na automatycznym pilocie, bezmyślnie kręcąc na zakrętach kierownicą. A jeżeli Robert wcale nie wyjechał?

Złapała mocniej za kierownicę i pomyślała o tym wszystkim, co chciałyby mu powiedzieć. Jaka się czuła wykorzystana i zdradzona. „Cały rok”, przelatywało jej przez myśl. „Cały cholerny rok mojego życia”.

Dopiero kiedy minęła Smugglers Cove, spojrzała w lusterko wsteczne. Jechał za nią czarny ford. Ten sam czarny ford, którego widziała parę minut wcześniej, koło Delano Park. Kiedyś nie przejmowałyby się tym. Ale dzisiaj, po tych wszystkich pytaniach detektywa. ..

Starła się pozbyć niesprecyzowanego uczucia niepokoju i jechała dalej. Skrzyła w Ocean House Drive. Ford też. Nie było powodu do niepokoju. W końcu Ocean House Drive to główna ulica w tej dzielnicy.

Aby się uspokoić, zjechała w lewo, w stronę Peabbles Point. To mało uczęszczana droga. Na pewno tutaj ona i ford się rozdziela. Tymczasem tak się nie stało. Teraz zaczęła się bać. Nacisnęła na pedał gazu. Honda przyspieszyła. Wiedziała, że jedzie za szybko, ale musi zgubić forda. Tylko że znów się nie udało. Ford też przyspieszył. Właściwie to się nawet zbliżał. Nagle jego kierowca dodał gazu i samochód znalazł się obok niej. Brali zakręty bok w bok, jadąc równolegle.

Chce ją zepchnąć z drogi! Spojrzała w bok, ale przez przydymioną szybę zobaczyła tylko sylwetkę kierowcy. Dlaczego to robisz? Dlaczego?

Ford nieoczekiwanie skrzył i uderzył w hondę. Zmagała się z kierownicą, by utrzymać samochód na drodze. Niech szlag trafi tego szaleńca! Musi go zgubić.

Z całej siły nacisnęła na hamulec. Ford wystrzelił do przodu, ale tylko na moment. Natychmiast zwolnił i znów jechał obok, co chwilę uderzając w jej bok.

Udało się jej znów popatrzeć w bok i ku swojemu zdziwieniu zobaczyła, że okno przy siedzeniu pasażera jest otwarte. Kierowcą był mężczyzna. Ciemne włosy, okulary słoneczne. Odwróciła wzrok i w odległości pięćdziesięciu metrów zobaczyła wierzchołek wzniesienia.

Jakiś samochód właśnie z niego zjeżdżał, mknąc prosto na forda. Zapiszczały opony. Nina odczuła ostatecznie uderzenie w samochód i ukłucia tłukącego się szkła. I wtedy wyleciała z drogi. Nie straciła jednak przytomności, nawet gdy honda dachowała ponad krzakami i drzewkami.

W końcu zatrzymała się pionowo na niedużym klonie. Nina wprawdzie była zupełnie świadoma, lecz przez moment nie mogła się ruszyć. Była zbyt oszołomiona, aby odczuwać ból czy chociaż strach. Zdziwiła się, że jeszcze żyje.

Powoli szok zaczął przeradzać się w dyskomfort. Bolała ją klatka piersiowa i ramiona. Pas uratował jej życie, ale ucierpiały żebra. Jęcząc, nacisnęła klamrę i uwalniając się, padła do przodu, na kierownicę.

- Ojej, proszę pani!

Odwróciła się i zobaczyła w oknie przerażoną twarz starszego mężczyzny.

Mocnym szarpnięciem otworzył drzwi.

- Co się stało? Jak się pani czuje?

- Jestem... chyba dobrze.

- Lepiej wezwę pogotowie.

- Nie, wszystko dobrze. Naprawdę.

Wzięła głęboki oddech. Bolały ją żebra, ale to chyba były jedyne obrażenia. Z pomocą starszego pana wydostała się z samochodu i chwiejnie stanęła na nogach. Widok samochodu był następnym szokiem.

To był wrak. Drzwi od strony kierowcy były wgięte, okno strzaskane, a przedni zderzak rozleciał się zupełnie. Odwróciła się i popatrzyła na szosę.

- A ten czarny samochód... - powiedziała.

- Ten idiota, który próbował panią wyprzedzić?

- Gdzie on jest?

- Uciekł. Powinna pani zgłosić faceta na policję. Pewnie jest pijany.

Pijany? O nie. Drżąc, popatrzyła na drogę, lecz ta była pusta. Czarny ford rozplynął się we mgle.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gordon Gillis jadł hamburgera z frytkami.

- Coś ciekawego? - zapytał.

- Ni cholery.

Sam powiesił kurtkę na wieszaku i zmęczony opadł na krzesło za swoim biurkiem.

- Jak tam pastor?

- Nie najgorzej. Ale zatrzymali go na obserwację.

- Miał jakieś pomysły co do bomby?

- Mówi, że nie ma wrogów. A dla tych, z którymi rozmawiam, ojciec Sullivan to prawdziwy święty. A co u ciebie?

- Przesłuchałem świadków i kwiaciarza. Nikt niczego nie widział.

- A dozorca?

- Ciągłe go szukamy. Żona mówi, że zwykle wraca o szóstej. Poślę Cooleya, żeby z nim porozmawiał.

- Ojciec Sullivan mówi, że dozorca otwiera główne drzwi o siódmej rano.

Każdy mógł wejść i zostawić paczkę.

- A wczoraj wieczorem? - zapytał Gillis. - O której zamknął drzwi?

- Zwykle zamyka sekretarka. Pracuje na pół etatu. Normalnie zrobiłaby to około szóstej po południu. Niestety, dziś wyjechała na urlop. Do rodziny w Massachusetts. Próbujemy ją... - Urwał, bo zadzwonił telefon Gillisa.

- Tak, co się stało?

Sam przyglądał się, jak jego partner zapisuje coś na bloczku, który mu zaraz podsunął. Trundy Point Road. Zaraz potem Gillis powiedział:

- Zaraz przyjedziemy - i odłożył słuchawkę.
- Co jest? - zapytał Sam.
- Raport z patrolu. Panna młoda, ta z kościoła.
- Nina Cormier?
- Jej samochód spadł z drogi na Trundy Point. Sam poderwał się.
- A co z nią?
- W porządku. Poprosiła, żeby nas zawiadomili.
- O wypadku? Dlaczego?
- Bo to nie był wypadek. Ktoś zepchnął ją z drogi.

Bolały ją zebra i obojczyk, twarz była podrapana odpryskami szkła. Ale przynajmniej w głowie miała jasno. Na tyle jasno, by rozpoznać mężczyznę wysiadającego z granatowego taurusa, który właśnie nadjechał. To ten ponury detektyw, Sam Navarro. Nawet nie spojrzał w jej kierunku.

Zmierzchało już. Nina przyglądała się, jak detektyw rozmawia z policjantem. Po chwili obaj zeszli w dół do wraku samochodu. Sam, jak skradający się kot, obszedł hondę. Porusza się ze swobodną gracją drapieżnika, jest absolutnie skoncentrowany, pomyślała Nina. W pewnym momencie zatrzymał się i ukucnął, by obejrzeć coś na ziemi. Potem wstał i przyjrzał się bliżej oknu od strony kierowcy.

Dotknął resztek szkła, otworzył drzwi i wszedł za kierownicę. Czego on, u licha, szuka? Widziała jego głowę, ukazującą się i znikającą w oknie. Na koniec wyłonił się z samochodu, rozczochrany i wymięty. Znowu zwrócił się do policjanta, po czym odwrócił się i zaczął iść w jej kierunku. Od razu poczuła, że puls jej przyspieszył. Było w tym mężczyźnie coś, co ją fascynowało, a zarazem przerażało. Nie jego wygląd, choć i ten był imponujący. Raczej sposób, w jaki na nią patrzył: obojętnie. Jego tajemniczość wyprowadzała ją z równowagi. Większość mężczyzn uważała Ninę za atrakcyjną i zwykle starali się być dla niej przynajmniej mili. Ten człowiek zdawał się uważać ją za kolejną przyszłą ofiarę zabójstwa. Godną zainteresowania dla jego intelektu, i to wszystko. Wyprostowała się i wytrzymała jego wzrok.

- Jak się pani czuje?

- Kilka siniaków. Kilka skaleczeń. To wszystko.

- Nie chce pani jechać do szpitala? Mogę panią zawieźć.

- Nie, nie trzeba. Jestem pielęgniarką i coś wiem.

- Mówi się, że lekarze i pielęgniarki to najgorsi pacjenci. Na wszelki wypadek zawiozę panią na pogotowie.

Zaśmiała się z niedowierzaniem.

- To brzmi jak rozkaz.

- Bo to jest rozkaz.

- Myślę, że wiedziałabym, gdybym...

Mówiła do jego pleców. Ten facet się od niej odwrócił!

- Panie Navarro! - zawołała.

- Tak? - Spojrzał na nią przez ramię.

- Nie, to nie jest... - Urwała i westchnęła. - Ach, mniejsza z tym -mruknęła i poszła za nim. Nie warto się z nim kłócić. Kiedy siadała w fotelu, odczuła ostry ból w klatce piersiowej. Może jednak on ma rację? Niektóre obrażenia ujawniają się po kilku godzinach, a nawet dniach. Trudno jej było przyznać się przed sobą, że pan Kamienna Twarz może się nie mylić co do jej stanu. Nie czuła się zbyt dobrze, by rozmawiać podczas jazdy. W końcu to Sam przerwał ciszę.

- Może mi pani powiedzieć, co się stało?

- Złożyłam już zeznanie. Ktoś zepchnął mnie z drogi.

- Tak, czarny ford, mężczyzna. Rejestracja stanu Maine.

- A więc przekazano panu szczegóły.

- Świadek mówił, że to był pijany kierowca, który chciał panią wyprzedzić na górce. Mówił, że nie wyglądało to na celowe działanie.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem już, co o tym myśleć.

- Gdzie po raz pierwszy zauważył pani forda?

- Chyba gdzieś koło Smugglers Cove. Pomyślałam, że wygląda, jakby mnie śledził.

- Zmieniał pasy? Przeszkadzał innym kierowcom?

- Nie. Po prostu jechał za mną.

- Czekał pod domem pani matki? Spochmurniała i spojrzała na niego.
Wydźwięk

jego pytań nieznacznie się zmienił. Zaczęły brzmieć neutralnie. Nawet sceptycznie. Ale to ostatnie pytanie dało jej do zrozumienia, że bierze pod uwagę inną wersję niż zeznania świadka.

- Co pan sugeruje?

- Po prostu biorę pod uwagę różne możliwości.

- Patrol drogowy myślał, że to pijak.

- Ma prawo do swojego zdania.

- A jakie jest pana zdanie?

Milczał, prowadząc samochód z tym cholernie denerwującym spokojem. Czy ten człowiek okazuje kiedyś jakieś emocje? Zapragnęła chociaż raz zobaczyć, jak go coś wyprowadza z równowagi.

- Panie Navarro, płacę podatki. To ja wypłacam panu pensję. Chyba zasługuję na jakieś wyjaśnienie?

- O, stara gadka o budżetówce.

- Użyję każdej gadki, żeby wydrzeć z pana odpowiedź!

- Nie jestem pewien, czy chce ją pani usłyszeć.

- A dlaczegoż by nie?

- Obejrzałem pani samochód. To, co zobaczyłem, potwierdza pani wersję. Na karoserii po stronie kierowcy są odpryski czarnego lakieru świadczące o tym, że pojazd, który uderzył panią, jest rzeczywiście czarny.

- Czyli że nie jestem daltonistką.

- Zauważyłem też, że okno od strony kierowcy jest rozbite. I że stłuczenie jest gwiaździste. Nie takie, jakiego oczekiwałbym po dachowaniu.
- Bo było już rozbite, kiedy wyleciałam z drogi.
- Skąd pani wie?
- Pamiętam, że czułam lecące szkło. Pokaleczyło mi twarz. Przed dachowaniem.
- Jest pani pewna? Na sto procent?
- Tak. Czy to ważne?
- Bardzo ważne - odrzekł cicho - bo zgadza się z tym, co znalazłem w pani samochodzie.
- A co pan znalazł w moim samochodzie?
- W drzwiach pasażera po prawej, które zakleszczyły się o drzewo. Metal był pognięty i dlatego policja nie zauważyła tego wcześniej. Ale wiedziałem, że gdzieś będzie. I znalazłem.
- Co pan znalazł?
- Dziurę po kuli.

Nina poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Nie mogła wymówić słowa. Siedziała w ciszy, zszokowana, a świat wokół niej zawirował. Sam zaś mówił dalej. Beznamiętnie, zimno. To nie człowiek, pomyślała, to maszyna, robot.

- Kula musiała uderzyć w pani okno, z tyłu głowy, dlatego szkło się rozprysło. Kula ominęła panią i zrobiła dziurę w plastikowej obudowie drzwi pasażera i pewnie tam dalej siedzi. Znajdziemy ją.

Wieczorem dowiemy się, jaki to kaliber. I jaka to broń. Dlaczego ktoś chce panią zabić? Potrząsnęła głową.

- To jakieś nieporozumienie.

- Ten facet zadaje sobie wiele trudu. Wysadził w powietrze kościół. Śledził panią. Strzelał. Gdzie tu nieporozumienie?

- Ależ na pewno...

- Proszę pomyśleć. Ktoś na pewno chce panią zabić.

- Powiedziałałam panu, nie mam żadnych wrogów! - Musi pani mieć.

- Nie mam! - Zapłakała i schwyciła się za głowę.

- Nie mam - powtórzyła.

- Przykro mi. Wiem, to trudno przyjąć, że...

- Nie wie pan. - Podniosła głowę. - Nie ma pan bladego pojęcia. Zawsze myślałam, że ludzie mnie lubią. Albo przynajmniej mnie nie nienawidzą. To takie trudne mieć dobre stosunki ze wszystkimi. A teraz pan mi mówi, że jest gdzieś ktoś, kto chce...

- Urwała i wpatrzyła się w ciemniejącą drogę. Zapadła cisza. Sam wiedział, że sytuacja jest zbyt delikatna, by

atakować Ninę kolejnymi pytaniami. Podejrzywał, że jej fizyczny i emocjonalny ból jest znacznie większy niż ten, któremu pozwoliła się ujawnić. Sądząc po stanie samochodu, jej ciało doznało brutalnego ataku.

W szpitalu, gdy Ninę badał lekarz, Sam przemierzał poczekalnię. Po kilku prześwietleniach wyszła jeszcze bledsza. Zaczyna to do niej

docierać, pomyślał. Nie może już dłużej zaprzeczać, że zagrożenie jest realne. Gdy znalazła się znów w jego samochodzie, zapadła w milczenie. Popatrywał na nią, czekając, aż wybuchnie płaczem i zacznie histeryzować, ale była nad wyraz spokojna.

- Nie powinna pani być dzisiaj sama - zauważył.

- Dokąd panią odwieźć?

Jedyną odpowiedzią było wzruszenie ramion.

- Do matki? Zawiozę panią do domu po rzeczy i... - Nie. Nie do matki - odrzekła cicho.

- Dlaczego nie?

- Nie chcę sprawiać jej... kłopotu.

- Kłopotu? Przepraszam bardzo, ale czy nie od tego są matki? Żeby nas podnieść i otrzepać?

- Mój ojczym nie należy do osób, które mogą kogokolwiek wesprzeć.

- Czy ona nie może dać schronienia swojej córce we własnym domu?

- To nie jest jej własny dom, detektywie. To jest dom jej męża. A on mnie nie akceptuje. Z wzajemnością.

Uderzyło go, jak bardzo jest odważna. I samotna.

- Od dnia ślubu Edward Warrenton zaczął kontrolować każdy aspekt życia mojej matki. Rządzi nią, a ona godzi się z tym bez słowa skargi. Bo jego pieniądze są dla niej tego warte. Nie mogłam już tego znieść. I kiedyś wygarnęłam mu, co o tym myślę.

- I pewnie postąpiła pani słusznie.
 - Nie było to korzystne dla rodzinnej harmonii. Dlatego pojechał do Chicago w interesach. Żeby nie być na moim ślubie. - Westchnęła i oparła się o zagłówek.
 - Wiem, że nie powinnam złościć się na matkę, ale nic na to nie poradzę. Denerwuje mnie, że nigdy mu się nie przeciwstawiła.
 - Dobrze. To nie do matki. Więc może do ojca? Lekko kiwnęła głową.
 - Myślę, że mogę zostać u niego.
 - Zgoda. Bo nie pozwolę, żeby była pani dziś sama. Jak tylko wyrwało mu się to z gardła, pomyślał, że nie powinien był tego mówić. Zabrzmiało to tak, jakby mu na niej zależało. Jakby uczucia zaczęły ingerować w jego obowiązki. Jest zbyt dobry jako glina, i zbyt ostrożny, by do tego dopuścić. Wydawało mu się, że czuje jej zdziwione spojrzenie. Tonem chłodniejszym, niż zamierzał, dodał:
 - Może pani być jedynym ogniwem łączącym nas z eksplozją. Potrzebuję pani żywej i zdrowej dla dobra dochodzenia.
 - Tak, oczywiście.
- Znowu patrzyła przed siebie. Nie odezwała się już ani słowem. W końcu podjechali pod dom na Ocean View Drive. Zaparkował, a ona miała już wysiadać, kiedy złapał ją za rękę i wciągnął z powrotem do środka.
- Proszę zaczekać.
 - O co chodzi?

- Proszę poczekać.

Rozejrzał się po ulicy, szukając samochodów i ludzi. Czegoś podejrzanego. Ulica była pusta.

- W porządku. - Wsiadł, obszedł samochód i otworzył jej drzwi. - Niech pani spakuje jedną walizkę. Na więcej nie mamy czasu.

- Nie mam zamiaru zabierać ze sobą mebli.

- Chciałbym, żeby to się odbyło szybko i sprawnie. Jeśli ktoś naprawdę pani szuka, to tu przyjdzie. A więc nie marudźmy, dobrze?

Uwaga mająca podkreślić zagrożenie wywarła zamierzony efekt. Nina pomknęła do domu. Musiał ją przekonać, że powinna poczekać na werandzie, zanim nie sprawdzi szybko domu. Chwilę później wystawił głowę przez drzwi i zawołał:

- W porządku.

Gdy się pakowała, Sam rozglądał się po salonie. Dom był stary, ale przestronny, urządzone gustownie, z widokiem na ocean. Typowy dom, w jakim może mieszkać lekarz. Podszedł do fortepianu -Steinwaya - i zagrał kilka nut.

- Kto gra? - zawołał.

- Robert - odparła z góry. - Ja mam drewniane ucho. Przyjrzał się fotografii stojącej na fortepianie. Uśmiechnięta

para. Nina i jakiś niebieskooki blondyn. Pewnie Robert Bledsoe. Wydawało się, że facet ma wszystko: urodę, pieniądze, wykształcenie. I tę kobietę.

Kobietę, której nie chce. Na drugiej ścianie salonu wisiały dyplomy.

Wszystkie należały do Roberta. Szkoła prywatna Groton. Licencjat w Dartmouth. Dyplom lekarza z Harvardu. Najlepsze

szkoły, Ivy League. Zięć - marzenie każdej matki. Nic dziwnego, że Lydia Warrenton usilnie zachęcała córkę do zgody.

Dźwięk dzwoniącego telefonu był tak nieoczekiwany, że Sam natychmiast odczuł przyływ adrenaliny.

- Mam odebrać? - Nina stała w drzwiach, spięta i wystraszona.

- Tak.

Podeszła do telefonu i po chwili wahania podniosła słuchawkę. Przysunął się bliżej, ale kiedy powiedziała „halo”, nikt się nie odezwał.

- Halo? - powtórzyła Nina. - Kto mówi? Halo? Usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki, a potem sygnał. Spojrzała na Sama. Stała bardzo blisko, jej włosy jak czarny jedwab musnęły jego twarz. Popatrzył jej w oczy i zareagował na jej bliskość nieoczekiwanym przyływem pożądania.

Tak nie powinno być. Postąpił krok do tyłu, by zwiększyć dystans między nimi. I chociaż stali teraz w odległości dobrego metra, nadal odczuwał jej magnetyzm. Ta kobieta nie daje mi myśleć jasno i logicznie. To niebezpieczne.

Opuścił wzrok i zauważył migające światelko automatycznej sekretarki.

- Ma pani trzy wiadomości - oznajmił.

- Słucham?

- Sekretarka.

Trochę nieprzytomnie spojrzała na telefon i nacisnęła guzik. Usłyszeli trzy sygnały, potem trzy razy ciszę i sygnał. Nina stała jak sparaliżowana i wpatrywała się w aparat.

- Dlaczego? Dlaczego dzwonią i nie odzywają się?

- Żeby sprawdzić, czy jest pani w domu. Znaczenie tego wyjaśnienia natychmiast uderzyło ją z całą mocą. Odskoczyła od telefonu jak oparzona.

- Muszę się stąd wydostać! - zawołała i pobiegła do sypialni. Poszedł za nią i zobaczył, jak wrzuca ubrania do walizki, nie

tracąc czasu na ich składanie. Spodnie, bluzki, bieliznę, wszystko na raz.

- Tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Idziemy - rzekł.

- Tak, tak, ma pan rację.

Zakręciła się i wpadła do łazienki. Usłyszała przewracające się słoiczki, a po chwili Nina wróciła z pękatą kosmetyczką i wrzuciła ją do walizki. Zamknął walizkę i powtórzył:

- Idziemy.

W samochodzie siedziała skulona i milczała. Sam zerkał co chwilę w lusterko wsteczne, ale nikt za nimi nie jechał.

- Proszę się uspokoić. Jest dobrze. Odwiozę panią do domu ojca i będzie pani bezpieczna.

- A co potem? - zapytała cicho. - Jak długo mam się ukrywać? Tygodnie, miesiące?

- Tak długo, aż nie rozwikłamy tej zagadki. Potrząsnęła głową w smutnym geście zdumienia.

- To nie ma sensu. Nic tu nie ma sensu.
 - Może coś się wyjaśni, kiedy porozmawiamy z pani narzeczoną. Czy nie wie pani, gdzie on może być?
 - Wydaje mi się, że jestem ostatnią osobą, której Robert by się zwierzył. W bileciku napisał, że wyjeżdża na jakiś czas. Chyba chciał od wszystkiego uciec. Ode mnie...
 - Od pani? Czy od kogoś innego?
 - Jest tyle spraw, których nie pojmuję. Nic mi nie mówił. Boże, gdybym tylko mogła zrozumieć. Byłoby mi lżej.
- Co to za człowiek, ten Robert Bledsoe? - zastanawiał się. Jaki mężczyzna zostawia tak kobietę? Samą w obliczu zagrożenia?
- Osoba, która dzwoniła, może teraz złożyć pani wizytę. Chciałbym to zobaczyć. Ciekawe, kto się zjawi.
 - Tak, oczywiście - potaknęła.
 - Mogę wejść?
 - Do środka?
 - Jeżeli nasz podejrzany zjawi się, będzie musiał się włamać. Chciałbym na niego poczekać.
 - Może pana zabić - zauważyła.
 - Nie jestem bohaterem, panno Cormier. Nie będę ryzykował.
 - Ale jeżeli się pojawi...
 - Będę gotowy. - Uśmiechnął się szeroko, by podtrzymać ją na duchu. Wcale mu się nie udało. Wyglądało na to, że bała się bardziej niż przedtem. O niego? Nie wiadomo dlaczego poprawiło mu to humor. Świetnie. Zaraz ukręci sobie stryczek na swoją szyję, i to z

powodu pięknych brązowych oczu. To jest dokładnie taka sytuacja, jakiej gliniarze powinni unikać: robienie z siebie bohatera dla jakiejś ładnej kobitki. Tak giną ludzie. On też mógł tak zginąć.

- Nie powinien pan być sam.

- Nie będę sam. Dostanę wsparcie.

- Jest pan pewien?

- Jasne.

- Obiecuję pan? I nie będzie pan ryzykował?

- A co to? Jest pani moją matką? - odpalił zirytowany. Wyjęła klucze i rzuciła je na deskę rozdzielczą.

- Nie, nie jestem pana matką, ale potrzebuję pana żywego i zdrowego, żeby rozwiązał pan tę zagadkę.

Zasłużył na to. Ona martwi się o jego bezpieczeństwo, a on odpowiada jej sarkazmem. Wiedział tylko, że ilekroć spojrzał jej w oczy, miał nieprzepartą ochotę odwrócić się i wiać. Zanim nie wpadnie w pułapkę.

Chwilę później przejechali przez bramę z kutego żelaza i znaleźli się na podjeździe domu ojca Niny. Nie czekała, aż Sam otworzy jej drzwi. Wysiadła z samochodu i wbiegła na kamienne schody. Sam poszedł za nią, niosąc walizkę. Przy okazji przyjrzał się domowi. Był olbrzymi, jeszcze wspanialszy niż dom Lydii Warrenton, z alarmem uważanym za rolls-royce'a systemów zabezpieczeń.

Dzwonek zabrzmiał jak dzwon kościelny. Odezwało się echo z dziesiątek pokoi. Drzwi otworzyła blondynka - i to jaka! Miała

niewiele ponad trzydziestkę, ubrana była w błyszczący obcisły kombinezon z lycry, który podkreślał jędrne wypukłości jej ciała. Twarz kobiety lekko świeciła od zdrowego wysiłku, a z głębi domu dochodził odgłos rytmicznej muzyki towarzyszącej wideo z aerobikiem.

- Cześć, Daniello - rzekła Nina.

Twarz Danielli przybrała grymas współczucia, dla Sama trochę zbyt automatyczny, żeby mógł być prawdziwy.

- Och, Nino! Tak mi przykro! Dzwoniła Wendy i powiedziała mi o kościele. Czy są ranni?

- Nie. Dzięki Bogu. - Nina zrobiła przerwę, jak gdyby bała się zapytać. - Czy mogłabym zostać u was na noc?

Wyraz współczucia zniknął z twarzy Danielli. Spojrzała krzywo na walizkę, którą trzymał Sam.

- Eee, hm... muszę porozmawiać z twoim tatą. Teraz jest w jacuzzi, a...

- Nina nie ma wyjścia - oznajmił Sam, wyminął Danielle i wszedł do domu. - Sama nie jest bezpieczna.

Wzrok Danielli przeniósł się na niego. W tych niebieskich oczach bez wyrazu zauważył błysk zainteresowania.

- Obawiam się, że nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

- To jest detektyw Navarro - przedstawiła go Nina. - Z wydziału do spraw zamachów w Portland. Daniella Cormier. Moja... Żona mojego ojca.

„Macocho” to było właściwe słowo, ale ta przystojna blondynka nie wyglądała na niczyją macochę. A spojrzenie, jakie mu posłała, nie było wcale matczyne. Daniella przekrzywiła głowę w geście wyrażającym zarówno ciekawość, jak i gotowość do flirtu.

- A więc jest pan policjantem?

- Tak, proszę pani.

- Myśli pan, że w kościele była bomba?

- Nie wolno mi o tym mówić. Trwa dochodzenie. Gładko zakończył rozmowę i zwrócił się do Niny:

- Zostawiam panią. Proszę pamiętać o zamknięciu bramy. I włączeniu alarmu. Skontaktuję się z panią rano.

Skłonił głowę na pożegnanie, nie odrywając wzroku od oczu Niny. Trwało to krótko, ale zdziwiło go natychmiastowe uczucie więzi z tą kobietą. Pociągała go tak mocno, że musiał stoczyć ze sobą walkę, by ją opuścić.

Pożegnał się i wyszedł. W mroku przystanął i przyjrzał się domowi. W obecności dwojga ludzi Nina powinna być bezpieczna. Chociaż nie wiadomo na ile okazaliby się pomocni w sytuacji kryzysowej. Ojciec moczy się w jacuzzi, a królowa lycry i hormonów nie wzbudza szaleńczego zaufania. Przynajmniej Nina jest inteligentna; mógł liczyć na to, że rozpozna ewentualne zagrożenie.

Skierował się z powrotem do domu Roberta Bledsoe na Ocean View Drive.

Zostawił auto na bocznej ulicy.

Otworzył drzwi wejściowe kluczami Niny i zadzwonił do Gillisa, by zorganizował grupę patrolującą okolicę. Zaciągnął zasłony i usiadł, by poczekać. Dochodziła dziewiąta.

Pół godziny później, nieco zniecierpliwiony, zaczął przemierzać salon, potem kuchnię, jadalnię i hol. Ktoś obserwujący dom z zewnątrz oczekiwałby, że światła będą zapalać się i gasnąć w różnych pomieszczeniach, a potem mieszkańcy udadzą się na spoczynek. Sam zgasił światło w salonie i poszedł do sypialni.

Nina zostawiła otwartą górną szufladę komody. Sam zerknął z zaciekawieniem na jej bieliznę. Coś czarnego i jedwabnego leżało na samym wierzchu i kokieteryjnie zwisało jednym rożkiem na zewnątrz. Nie mogąc powstrzymać odruchu, podniósł to coś, co pewnie więcej odsłaniało, niż zakrywało, wrzucił to z powrotem do szuflady i szybko ją zatrzęsął. Znowu się zdekoncentrował. Coś w Ninie Cormier i w jego reakcji na nią sprawia, że zachowuje się głupio jak żółtodziób.

W swojej pracy spotykał wiele kobiet. Niektóre były bardzo atrakcyjne. Jak Daniella, macocha Niny. Dotąd udawało mu się zachować rozsądek i nie zaciągać ich do łóżka. To była sprawa samokontroli i instynktu samozachowawczego. Kobiety, z którymi miał do czynienia, zwykle miały kłopoty i łatwo mogłyby uznać Sama za rycerza na białym koniu.

Takie wyobrażenie zazwyczaj nie trwa długo. Prędzej czy później rycerz straci zbroję, a one widzą, kim naprawdę jest -zwykłym gliną. Ani bogatym, ani błyskotliwym. Nie miał wiele do zaoferowania.

Zdarzyło się tak raz. Tylko raz. Ona była początkującą aktoreczką próbującą pozbyć się agresywnego chłopaka; on był jeszcze początkującym gliniarzem, który miał jej pilnować.

Zaiskrzyło. Sprzyjające okoliczności. Ale dziewczyna nie była odpowiednia. Przez kilka zwariowanych tygodni był zakochany, myślał, że ona też. Potem rzuciła go jak gorący kartofel. Dostał bolesną nauczkę: nie miesza się romansu z pracą. Nigdy potem nie przekroczył tej granicy i teraz też nie miał zamiaru tego robić.

Odwrócił się od komody i już miał przejść na drugą stronę pokoju, kiedy usłyszał stuknięcie. Dochodziło od strony drzwi wejściowych.

Natychmiast zgasił światło w sypialni i sięgnął po broń. Wśliznął się do holu, zatrzymał przy wejściu do salonu i szybko omiótł wzrokiem panującą tam ciemność.

Przez okna sączyło się przytłumione światło z ulicy. W pokoju nie wyczuwało się ruchu, nie widać też było podejrzanych cieni. Od drzwi wejściowych doszło go ciche skrobanie i kilka nut elektronicznej muzyczki.

Wycelował broń w stronę wejścia. Przykucnął i był gotów strzelić, kiedy drzwi się otworzą. W świetle lampy ulicznej dojrzał sylwetkę mężczyzny.

- Policja! - krzyknął. - Stać!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mężczyzna zamarł.

- Ręce do góry! Szybciej! Obydwie ręce wystrzeliły w górę.

- Nie strzelać! - zabrzmiał przerażony głos.

Sam bokiem przesunął się w stronę kontaktu i zapalił światło. Oślepiło ich obu. Sam popatrzył na mężczyznę stojącego przed nim i zaklął. Na ganku zadudniły kroki i do środka wpadło dwóch policjantów.

- Mamy go, Navarro! - zawołał jeden z nich.

- W ostatniej chwili - mruknął Sam z lekceważeniem. - Zostawcie go. To nie ten facet.

Schował broń i popatrzył na wysokiego blondyna, na którego twarzy malowało się przerażenie.

- Detektyw Sam Navarro, policja. Doktor Bledsoe?

- Tak, to ja. Co tu się dzieje? Co robicie w moim domu?

- Gdzie pan był przez cały dzień, doktorze?

- Byłem... Mogę opuścić ręce?

- Oczywiście.

Spojrzał ze strachem na policjantów za jego plecami.

- Czy oni muszą... koniecznie celować we mnie?

- Możecie iść - powiedział Sam.

- A obserwacja? - zapytał jeden. - Odwołujesz?

- Wątpię, czy coś się jeszcze dzisiaj wydarzy. Ale do rana pokręćcie się po okolicy.

Policjanci wyszli, a Sam znowu zapytał:

- Gdzie pan był, doktorze?

Teraz, kiedy już nie celowały w niego dwa pistolety, przerażenie na twarzy Roberta przerodziło się w gniew.

- Najpierw proszę mi powiedzieć, co pan robi w moim domu! Czy mamy państwo policyjne? Policja włamuje się i grozi właścicielom? Nie ma pan prawa tu przebywać. Załatwię pana, jeżeli zaraz nie zobaczę nakazu rewizji!

- Nie mam nakazu.

- Nie ma pan nakazu? - Robert zaśmiał się triumfująco i nieprzyjemnie. -

Wszedł pan do mojego domu bez nakazu? Włamuje się pan i jeszcze mi grozi?

- Nie włamałem się - odparł Sam chłodno. - Wszedłem frontowymi drzwiami.

- O tak, na pewno.

Sam wyciągnął klucze Niny i pokazał je Robertowi.

- Te klucze należą do mojej narzeczonej! Skąd pan je ma?

- Pożyczyła mi je.

- Cooo? - Teraz już wrzeszczał. - Gdzie ona jest? Nie miała prawa dawać nikomu kluczy od mojego domu!

- Myli się pan, doktorze. Nina Cormier tu mieszkała, jest więc to nie tylko pana dom. Daje jej to prawo, żeby upoważnić policję do wejścia, i to właśnie zrobiła.

Sam przyglądał mu się badawczo.

- A teraz zapytam pana po raz trzeci. Gdzie pan był?

- Wyjeżdżałem - warknął Robert.

- A konkretniej?
- Dobrze. Pojechałem do Bostonu.
- Dlaczego?
- Co to jest, przesłuchanie? Nie muszę z panem rozmawiać! A właściwie powinienem skontaktować się z moim prawnikiem.
Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.
- Nie potrzebuje pan prawnika. Chyba że popełnił pan przestępstwo.
- Przesłuchanie? - Robert odwrócił się gwałtownie. - Czy pan mnie o coś oskarża?
- Nie oskarżam, ale potrzebuję kilku odpowiedzi. Czy wie pan, co się stało dzisiaj w kościele?
Robert odłożył słuchawkę i pokiwał głową.
- Słyszałem, że była jakaś eksplozja, w wiadomościach. Dlatego wróciłem. Martwiłem się, czy ktoś nie został ranny.
- Na szczęście kościół był już pusty, kiedy to się stało. Robert odetchnął z ulgą.
- Dzięki Bogu - powiedział cicho.
Dalej trzymał rękę na telefonie, jak gdyby zastanawiał się, czy podnieść znowu słuchawkę.
- Czy policja, czy pan wie, co spowodowało wybuch?
- Tak, to była bomba.
Robert aż podskoczył. Ponownie wlepił wzrok w Sama, a potem powoli osunął się na najbliższe krzesło.

- Słyszałem tylko... w radiu mówili, że to była eksplozja. Nic nie mówili o bombie.

- Nie złożyliśmy jeszcze oświadczenia dla prasy.

- Po jaką cholere ktoś podkładałby bombę w kościele?

- Też chcemy się tego dowiedzieć. Gdyby ślub się odbył, zginęłyby dziesiątki ludzi. Nina powiedziała mi, że to pan go odwołał. Dlaczego?

- Nie mogłem. - Robert ukrył twarz w dłoniach. - Nie jestem gotowy na małżeństwo.

- A więc pana powody były czysto osobiste?

- A jakie mogły być?

Nagle na twarzy Roberta odmalował się wyraz zrozumienia.

- O Boże, chyba pan nie uważa, że mam z tą bombą coś wspólnego?

- Owszem, przeszło mi to przez myśl. Proszę wziąć pod uwagę okoliczności.

Odwołał pan ślub, po czym wyjechał pan z miasta. Oczywiście, że zastanawialiśmy się nad pańskimi motywami. Może panu grożono i zdecydował się pan uciec.

- Nie. Odwołałem ślub, bo nie chciałem się żenić.

- Może mi pan powiedzieć dlaczego?

- Nie, nie mogę.

Zerwał się z krzesła i podszedł do baru. Nalał sobie whisky i wypił jednym haustem, nie patrząc na Sama.

- Poznałem pana narzeczoną. To miła kobieta. Bystra i atrakcyjna.

Przynajmniej dla niego cholernie atrakcyjna.

- Pyta pan, dlaczego zostawiłem ją przed ołtarzem?

- Tak. Dlaczego?

Robert dokończył drinka i nalał sobie następnego. - Pokłóciliście się?

- Nie.

- Co to było, doktorze? Przestraszył się pan? Znudziła się panu? A może jest inna kobieta?

Robert popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

- To nie pana interes, do cholery. Wynos się pan stąd.

- Jeżeli pan nalega. Ale jeszcze porozmawiamy. Sam podszedł do drzwi frontowych i zatrzymał się.

- Czy zna pan kogoś, kto chciałby zabić pańską narzeczoną?

- Nie, co za głupie pytanie.

- Dziś po południu ktoś usiłował zepchnąć jej samochód z drogi. Robert wzdrygnął się. Był naprawdę zaskoczony.

- Ninę? Kto?

- Tego właśnie chcę się dowiedzieć. To może mieć związek z eksplozją. Kto może chcieć jej śmierci?

Po wahaniu trwającym może ułamek sekundy Robert odpowiedział:

- Nie wiem. Nie znam nikogo takiego. A gdzie ona jest?

- W bezpiecznym miejscu. Ale nie może się wiecznie ukrywać. Więc jeżeli coś się panu przypomni, proszę do mnie zadzwonić. Jeżeli panu jeszcze na niej zależy.

Robert milczał.

Sam odwrócił się na pięcie i wyszedł. Jadąc do domu, zadzwonił z samochodu do Gillisa. Jego partner, jak można było przypuszczać, siedział jeszcze przy biurku.

- Pan młody wrócił - powiedział Sam. - Twierdzi, że nie ma pojęcia, dlaczego w kościele była bomba.

- Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi?

- Coś nowego?

- Tak. Dozorca zniknął.

- Co?

- Otwierał dziś rano kościół. Cały wieczór próbowaliśmy go odnaleźć. Nie dotarł do domu.

Sam poczuł, jak mu przyspiesza puls.

- Ciekawe.

- Ogłosiliśmy już, że jest poszukiwany. Nazywa się Jimmy Brogan.

Notowany. Drobne kradzieże cztery lata temu, dwa razy jazda pod wpływem alkoholu. Nic poważniejszego. Wysłałem Cooleya, żeby pogadał z jego żoną i przeszukał dom.

- Czy Brogan ma jakieś doświadczenie z materiałami wybuchowymi?

- Tego jeszcze nie ustaliliśmy. Żona przysięga na wszystkie świętości, że jest czysty. I że zawsze wraca do domu na kolację.

- To mało, Gillis. Daj mi więcej.

- Nie mam nic więcej. Mam sobie wypruć żyły? Jestem wykończony, idę do domu.

- Dobrze, kończ. Widzimy się rano.

Jadąc do domu, Sam analizował fakty. Odwołany ślub. Znikający dozorca. Zabójca w czarnym fordzie. I bomba.

I co w tym wszystkim robi Nina Cormier?

Było już wpół do dwunastej, kiedy dotarł w końcu do siebie. Kiedy zapalił światło, przywitał go swojski bałagan. Co za śmietnik! W końcu kiedyś musi tu posprzątać. A może lepiej się przeprowadzić; to byłoby łatwiejsze.

Przeszedł przez pokój, zbierając brudne ubrania i talerze. Włączył pralkę, a naczynia wstawił do zlewu. Sobotnia noc, a kawaler robi pranie. Hurra! Postać trochę w kuchni, słuchając pralki i zastanawiając się, co mógłby zrobić, by to mieszkanie stało się prawdziwym domem. Może meble? Jego dom był fajny, przyzwoity, ale porównywał go ciągle z domem Roberta Bledsoe. Fortepian Steinwaya. To dopiero dom! Spodobałby się każdej kobiecie.

Do cholery, nie wiedziałby nawet, jak zająć się kobietą, nawet gdyby jakaś zupełnie zwariowała i z nim zamieszkała. Długo był singlem, za długo.

Oczywiście miewał dziewczyny, ale nie na stałe. Musiał przyznać, że bardzo często wina była po jego stronie. No i ta jego praca. Nie mogły zrozumieć, dlaczego facet przy zdrowych zmysłach wybrał sobie bomby i bombiarzy. To była dla nich osobista obelga, że nie chciał porzucić swego zajęcia i w zamian zająć się nimi.

A może nie spotkał nigdy kobiety, która sprawiłaby, że chciałby to wszystko rzucić. I taki jest rezultat, pomyślał, patrząc na kosz z bielizną. Kawalerskie życie.

Niech pralka skończy, idę spać. Jak zwykle sam.

W domu przy 318 Ocean View Drive zapaliły się światła. Ktoś tam jest. Ta cała Cormier? Robert Bledsoe? Oboje?

Przejeżdżając obok swoim zielonym jeepem cherokee, przyjrzał się domowi. Odnotował w myślach gęsty żywopłot wzdłuż okien, cień sosen i brzózek odgraniczających posesję z obu stron. Dużo miejsc do ukrycia się.

W samochodzie zaparkowanym niedaleko domu zauważył dwie sylwetki mężczyzn. Policja, pomyślał. Obserwują. A więc nie dzisiaj.

Skreślił i pojechał dalej. To może poczekać. Trzeba tylko posprzątać, dopilnować szczegółów. Można to zrobić w wolnej chwili. Teraz są ważniejsze sprawy. I ma na nie tylko tydzień. Skierował się w stronę miasta. O dziewiątej rano strażnicy przyszedli po Billy'ego „Bałwana” Binforda, by eskortować go z więziennej celi.

Jego adwokat, Albert Darien, już czekał. Przez oddzielającą ich szybę z pleksiglasu Billy widział ponurą minę Dariena i zorientował się, że wiadomości nie są dobre. Usiadł naprzeciwko swego obrońcy. Strażnik nie stał na tyle blisko, by słyszeć ich rozmowę, ale Billy był na tyle sprytny, by wiedzieć, że nie może mówić swobodnie. Całe to zawracanie głowy na temat tajności rozmów pomiędzy adwokatem a klientem to kupa gówna. Jeżeli federalnym albo prokuratorowi

okręgowemu zależy, mogą przykleić podsłuch każdemu, nawet księdzu. Skandal, takie pogwałcenie praw obywatelskich.

- Cześć, Billy - rzekł Darien do słuchawki. - Dobrze cię traktują?

- Owszem, jak hrabiego. A jak myślisz, do cholery? Musisz mi coś załatwić, Darien. Telewizor. Chcę mieć własny telewizor.

- Billy, są problemy.

Billy'emu nie podobał się ton głosu Dariena.

- Jakie problemy?

- Liddell nie chce ugody. Chce procesu. Każdy inny prokurator okręgowy zaoszczędziłby sobie kłopotu, ale Liddell chce chyba użyć twojej sprawy jako przepustki do Blaine House.

- Liddell kandyduje na gubernatora?

- Jeszcze tego nie ogłosił. Ale jeśli wsadzi cię do pudła, zostanie złotowłosym ulubieńcem wyborców.

A prawdę mówiąc, Billy, ma na ciebie dosyć, żeby cię uziemić. Billy pochylił się do przodu i piorunującym wzrokiem przeszył pleksiglas oddzielający go od obrońcy.

- Za co ci płacę? Co robisz w tej sytuacji?

- Mają dużo. Hobart zeznaje jako świadek oskarżenia.

- Hobart to dupek. Podważenie jego zeznań to małe piwo.

- Mają twoje listy przewozowe. Wszystko jest na papierze, Billy.

- No to spróbujmy jeszcze raz załatwić ugodę. Cokolwiek. Muszę stąd wyjść.

- Powiedziałem ci, Liddell odrzucił ugodę. Billy zamilkł, a potem powiedział cicho:

- Liddella można załatwić. Dariena zamurowało.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Załatw ugodę. O Liddella się nie martw. Zajmę się...
- Nie chcę o niczym wiedzieć. - Darien odsunął się, ręce mu drżały. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, jasne?
- I nie musisz. To moja działka.
- W nic mnie nie wrabiaj.
- Chcę tylko, żebyś nie dopuścił do procesu. I wyciągnij mnie stąd jak najszybciej. Kumasza?
- Tak. Tak. - Darien nerwowo spojrzał na strażnika, który nie zwracał uwagi na ich rozmowę. - Spróbuję.
- Uważaj - dodał Billy. Bezczelny uśmiech rozlał mu się na twarzy. - W przyszłym tygodniu coś się zmieni. W biurze prokuratora będą szczęśliwi, że chcemy ugody.
- Dlaczego? Co się stanie w przyszłym tygodniu?
- Nie chcesz tego wiedzieć.

Darien ciężko wypuścił powietrze i skinął głową.

- Masz rację. Nie chcę wiedzieć.

Ninę obudziło dudnienie basów muzyczki do aerobiku. Znalazła Danielle na dole, rozciągniętą na wypolerowanej dębowej posadzce siłowni. Tego ranka Daniella ubrana była w błyszczący różowy strój. Jej szczupłe nogi bez wysiłku przecinały powietrze w rytm muzyki. Nina stała zafascynowana widokiem naprężonych mięśni.

Daniella ciężko pracowała na swój wygląd. Było to właściwie jej jedyne zajęcie. Odkąd poślubiła George'a Cormiera, jej jedynym celem w życiu była walka o doskonałość swego ciała.

Muzyka ucichła. Daniella zerwała się na nogi, sięgnęła po ręcznik i zauważyła stojącą w drzwiach Ninę.

- O, dzień dobry.

- Dzień dobry - odrzekła Nina. - Chyba zasnęłam. Czy tata pojechał już do pracy?

- Wiesz, jaki on jest. Lubi wstawać o świcie.

Daniela wytarła ręcznikiem delikatną warstwę potu. Zapadła krepująca cisza. Zawsze tak było. I nie tylko z powodu niezręczności ich relacji, tych przedziwnych okoliczności, które sprawiły, że ta blond bogini stała się macochą Niny. Poza tym, że były związane osobą George'a Cormiera, te dwie kobiety nie miały z sobą nic wspólnego.

I nigdy dotąd ta świadomość nie była dla Niny bardziej dojmująca niż teraz, kiedy wpatrywała się w doskonałą twarz tej doskonałej blondynki.

Daniella wsiadła na rower treningowy i zaczęła pedałować.

- George miał jakieś posiedzenie rady nadzorczej. Wróci na kolację. Aha, i miałaś rano dwa telefony. Jeden od tego policjanta. No wiesz, tego przystojniaczka.

- Detektywa Navarro?

- Tak, chciał sprawdzić, co u ciebie.

A więc martwi się o mnie, pomyślała Nina i zaraz poczuła się lepiej. Zależy mu na tyle, by sprawdzić, czy żyje i jak się czuje. A może po prostu chciał wiedzieć, czy nie ma następnego trupa. Tak, chyba dlatego dzwonił.

Znowu poczuła się paskudnie i już miała wyjść, ale zatrzymała się.

- A ten dragi telefon? Mówiłaś, że były dwa?

- Ach tak. - Daniella, ciągle pedałując, spojrzała niewinnie znad kierownicy. - Drugi telefon był od Roberta.

Nina zamarła zszokowana.

- Robert dzwonił?

- Chciał się dowiedzieć, czy cię tu nie ma. - Gdzie on jest?

- W domu.

Nina potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Mogłaś mi powiedzieć o tym wcześniej.

- Spałaś. Nie chciałam cię budzić. Zresztą powiedział, że zadzwoni później.

Nie będę czekać na później. Chcę odpowiedzi teraz. I niech powie mi w twarz, pomyślała i z bijącym sercem wyszła z domu. Wzięła mercedesa ojca i pojechała na Ocean View Drive. Nie zorientuje się, ma jeszcze w garażu zapasowego jaguara i bmw.

Zanim zatrzymała się na podjeździe przed domem Roberta, trzęsła się już ze złości i strachu. Co, u licha, ma mu powiedzieć? A co on powie jej?

Weszła na ganek i zadzwoniła. Nie miała swoich kluczy. Zostały u Navarry. A zresztą nie jest to już jej dom.

Drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich zdziwiony Robert. Miał na sobie szorty do biegania i koszulkę. Jego twarz była zdrowo zarumieniona od wysiłku fizycznego. Nie był to obraz mężczyzny stęsknionego za narzeczoną.

- Ach, to ty, Nino. Martwiłem się... o ciebie. Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Dzwoniłem nawet do domu twojego ojca. -Co się stało, Robercie? Dlaczego mnie zostawiłeś?

Spojrzał w bok.

- Nie jest łatwo to wyjaśnić

- Mnie też nie było łatwo powiedzieć wszystkim, żeby poszli do domu. Nie wiedząc, dlaczego wszystko się rozleciało. Powinieneś być mnie uprzedzić. Tydzień wcześniej. Dzień wcześniej. A zostawiłeś mnie w kościele, z tym cholernym bukietem! Żebym myślała, że to moja wina. Że zrobiłam coś złego.

- To nie twoja wina.

- A czyja?

Patrzył w bok, jakby nie chciał spojrzeć jej w oczy. Jakby się czegoś bał i dlatego milczał.

- Mieszkaliśmy razem przez cały rok - powiedziała ze smutkiem. - A ja nie mam pojęcia, kim naprawdę jesteś.

Tłumiąc płacz, odepchnęła go, weszła do domu i skierowała się prosto do sypialni.

- Co robisz? - zawołał.
- Pakuję resztę rzeczy. I wynoszę się z twojego życia.
- Nina, zachowujmy się jak dorośli. Próbowaliśmy. Nie wypaliło. Czy nie możemy rozstać się jak przyjaciele?
- A co, jesteśmy przyjaciółmi?
- Chciałbym tak myśleć.

Potrząsnęła głową i roześmiała się gorzko.

- Przyjaciel nie wbije ci noża w plecy, a potem jeszcze go przekreśli.
Zaczęła otwierać szafy w sypialni i wyrzucać ubrania na łóżko. Nie zależało jej na porządku, chciała tylko wyrwać się z tego domu jak najszybciej i nigdy go już nie widzieć. Roberta też. Jeszcze przed chwilą myślała, że mogą uratować związek, pozbierać kawałki i poskładać jakoś swoje wspólne życie. Teraz uznała, że to niemożliwe. Już go nie chce. Nie wiedziała nawet, co ją w nim pociągało. Jego wygląd, fakt, że był lekarzem - to wszystko jest bardzo miłe, ale nie tak ważne. Nie, to co widziała w Robertcie, lub wyobrażała sobie, że widzi - to była inteligencja, poczucie humoru i troskliwość. Zaprezentował jej te walory. Co za oszustwo!

Robert obserwował ją z miną zranionej, szlachetnej ofiary. Jak gdyby to wszystko było jej winą. Nie zwracając na niego uwagi, wyciągnęła z szafy następną porcję wieszaków i rzuciła na łóżko. Stos był już tak wysoki, że zaczął się przechylać.

- Czy musisz to robić właśnie teraz?

- Tak.
 - Nie ma tylu walizek.
 - Wezmę worki na śmieci. Muszę zabrać książki.
 - Dzisiaj? Masz ich tony!
 - W tym tygodniu mam kupę czasu. Przecież to mój miodowy miesiąc.
 - Jesteś niepoważna. Posłuchaj, wiem, że jesteś wściekła. Masz do tego prawo. Ale nie szalej.
 - Będę szaleć, kiedy mam na to ochotę!
- Odgłos chrząknięcia sprawił, że zaskoczeni odwrócili się oboje. W drzwiach sypialni stał Sam Navarro i patrzył na nich z rozbawieniem.
- Czy wy, gliniarze, nigdy nie pukacie? - warknął Robert.
 - Pukałem - odparł Sam - ale nikt nie odpowiadał. A drzwi frontowe były szeroko otwarte.
 - Narusza pan moje prawa, znowu wchodzi pan na moją posesję bez nakazu.
 - On nie potrzebuje nakazu - wtrąciła Nina.
 - Według prawa potrzebuje.
 - Nie, jeżeli ja go zapraszam.
 - Nie zapraszałaś go. Wszedł sam.
 - Drzwi były otwarte. Zaniepokoiłem się. - Spojrzał na Ninę. - To nie było bardzo mądre, panno Cormier, przyjechać tutaj samej. Powinna była pani mnie uprzedzić.

- A co to, jestem pana więźniem? - odparowała i wyjęła z szafy następny stos ubrań. - A jak pan mnie znalazł?
- Zadzwoiłem do Danielli tuż po pani wyjściu. Powiedziała, że pewnie pani jest tutaj.
- No i jestem. Tyle że zajęta.
- Tak - odrzekł Robert. - W tym jest dobra. Nina obróciła się i stanęła twarzą do eks narzeczonego.
- A to co miało znaczyć?
- To nie tylko moja wina! Do zrujnowania związku potrzeba dwojga ludzi.
- Ja cię nie zostawiłam w kościele!
- Zostawiałaś mnie inaczej. W domu, wieczorami, całymi miesiącami.
- Co? Co?
- Co wieczór byłem sam! Cieszyłbym się, gdybym mógł wracać do ciepłego domu, gdzie czekałabyś na mnie z kolacją. Ale ciebie nigdy nie było!
- Miałam dyżury. Nie mogłam tego zmienić!
- Mogłaś rzucić pracę.
- I co robić? Bawić się w panią domu dla faceta, który nie mógł się nawet zdecydować, czy chce się ze mną ożenić?
- Gdybyś mnie kochała, zrobiłabyś to.
- O Boże, nie wierzę, że według ciebie to moja wina. Za mało cię kochałam!
- Nina, muszę z panią porozmawiać - wtrącił Sam.

- Nie teraz! - Nina i Robert wrzasnęli zgodnym chórem.
- Powinnaś wiedzieć, że miałem swoje powody, żeby to zrobić. Ile można mieć cierpliwości? A potem jest naturalne, że facet zaczyna się rozglądać wokół siebie.
- Rozglądać? - Wlepiała w niego wzrok, jakby nagle coś do niej dotarło, i dodała cicho: - A więc jest inna.
- A co myślisz?
- Znam ją?
- To teraz nie ma żadnego znaczenia.
- Dla mnie ma. Kiedy ją poznałeś?
- Jakiś czas temu. - Odwrócił wzrok.
- Kiedy?
- Posłuchaj, to nie ma teraz...
- Planowaliśmy ten ślub przez ostatnie sześć miesięcy. Obydwoje. I nigdy nie zadałeś sobie trudu, żeby poinformować mnie, że spotykasz się z inną kobietą?
- To oczywiście, że nie myślisz teraz rozsądnie. Więc nie rozmawiajmy na ten temat.
- Nie? Myślę rozsądniej niż pół roku temu. Odpowiedziało jej trzaśnięcie drzwiami.

Inna kobieta, pomyślała, nie wiedziałam. Nigdy go nawet o to nie podejrzewała. Zrobiło jej się nagle niedobrze i osunęła się na łóżko. Sterta ciuchów zjechała na podłogę, ale nawet tego nie zauważyła. Ani nie zdawała sobie sprawy, że łzy spływają jej po policzkach i kapią na bluzkę. Czowała mdłości i jednocześnie obojętność

na wszystko, poza jej własnym bólem. Nawet się nie zorientowała, że Sam usiadł obok.

- Nino, on nie jest tego wart. Nie martw się nim. Dopiero kiedy poczuła ciepły dotyk jego ręki,

spojrzała w jego stronę i zobaczyła, jak wpatruje się w jej twarz.

- Nie martwię się - powiedziała.

Delikatnie pogłodził ją po mokrym od łez policzku.

- Oj, chyba tak.

- Nie, nie. - Oparła się o niego i ukryła twarz w jego koszuli. - Nie martwię się - wyszeptwała.

Prawie nie poczuła, kiedy oplótł ją ramionami i przytulił. Potem trzymał ją mocno, nic nie mówiąc. Jak zwykle, małowówny glina. Ale była świadoma jego oddechu grzejącego jej włosy, warg muskających czubek głowy i przyspieszonego bicia serca. To nic nie znaczy, pomyślała. Po prostu jest dla niej miły. Pocieszał ją, tak jak pocieszałby każdego skrzywdzonego człowieka. Ona robi to codziennie w szpitalu. To jest jej praca. I jego praca. Ach, ale to takie miłe.

Całą siłą woli wydostała się z jego uścisku. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła spokojną twarz i nieprzeniknione oczy. Żadnej pasji czy pożądania. Oficer policji, w pełni kontrolujący swe uczucia. Szybko otarła łzy. Czowała się teraz zażenowana tym, że był świadkiem jej konfrontacji z Robertem. Wstała i zaczęła zbierać rzeczy.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytał.

- Nie.

- Chyba powinnaś. Mężczyzna, którego kochałaś, porzuca cię dla innej. To musi boleć.

- Dobrze, muszę z kimś o tym porozmawiać! -Rzuciła stos ubrań na łóżko i popatrzyła mu w oczy: - Ale nie z gliniarzem o kamiennej twarzy, którego to nic nie obchodzi!

Zapadła długa cisza. Chociaż patrzył na nią bez cienia emocji, wyczuła, że to był ostry cios. A on był zbyt dumny, by się do tego przyznać.

- Przepraszam. O Boże, Navarro, przepraszam cię. Nie zasłużyłeś na to.

- Właściwie to chyba zasłużyłem.

- Wykonujesz swoją pracę. A ja napadam na ciebie. Kompletnie zdegowana usiadła obok niego.

- Wyładowałam się na tobie. Jestem wściekła. Jestem wściekła na siebie, że obudził we mnie poczucie winy.

- Jakie poczucie winy?

- To zupełne wariactwo! Nie rozumiem, dlaczego to ja mam się czuć winna!

Wygląda, jakbym go zaniedbywała. Ale nie mogłam rzucić pracy, nawet dla niego. Kocham swój zawód.

- Jest lekarzem. Też musiał dużo pracować. Nocne dyżury, weekendy.

- To prawda.

- Narzekałaś?

- Oczywiście, że nie. To jego praca.

- No i...?

- Och! - westchnęła. - Co za hipokryzja.
 - No pewnie. Ja bym się nie spodziewał, że moja żona rzuci pracę, którą lubi, żeby gotować mi kolacje i co wieczór na mnie czekać.
 - Naprawdę?
 - To nie miłość. To posiadanie.
 - Myślę, że twoja żona jest bardzo szczęśliwą kobietą.
 - Mówiłem tylko teoretycznie.
 - Chcesz powiedzieć, że... to tylko teoretyczna żona? Potwierdził skinieniem głowy.
- A więc nie jest żonaty. Ta informacja nieoczekiwanie ją ucieszyła. Co się z nią dzieje? Uciekła wzrokiem w bok, bo przestraszyła się, że Sam zobaczy jej zmieszanie.
- Powiedziałeś, że... no... że musisz ze mną pogadać.
 - Tak, w sprawie śledztwa.
 - To musi być coś naprawdę ważnego, skoro zadałeś sobie tyle trudu, żeby mnie odszukać.
 - Obawiam się, że jest coś nowego. Niezbyt przyjemnego.
 - Coś się stało? - Zamarła.
 - Powiedz mi, co wiesz o dozorczy. Zdumiona, potrząsnęła głową.
 - Nie znam go. Nawet nie znam jego nazwiska.
 - Nazywał się Jimmy Brogan. Wczoraj przez cały wieczór go szukaliśmy. Wiemy, że rano otwierał drzwi. Ale nie wiemy, co się z nim stało po eksplozji. Nie pokazał się w sąsiednim barze, gdzie zwykle chodzi po południu.

- Powiedziałeś „nazywał się”. Czy to oznacza...
- Dziś rano znaleźliśmy jego ciało. W samochodzie zaparkowanym w polu, koło Scarborough. Zginął od kuli. Strzał w głowę. Broń była w samochodzie, z jego odciskami palców.
- Samobójstwo? - zapytała cicho.
- Tak to wygląda.
- Siedziała bez słowa, zbyt zszokowana, by się odezwać.
- Jeszcze czekamy na raport z laboratorium kryminalistycznego. Jest kilka szczegółów, które mnie niepokoją. To zbyt proste. Jak paczuszka. Każdy luźny wątek sprawy jest zawiązany na kokardkę.
- Nawet wątek podłożonego ładunku?
- Tak. W bagażniku było kilka przedmiotów łączących Brogana z bombą. Lont. Zielona taśma izolacyjna. Dowody są zbyt oczywiste.
- I nie jesteś przekonany...
- Chodzi o to, że nie ma żadnego śladu związku Brogana z materiałami wybuchowymi. Nie ma też motywu. Czy możesz nam jakoś pomóc?
- Nic nie wiem o tym człowieku.
- Czy znasz nazwisko „Brogan” ?
- Nie.
- Ale on znał twoje. W jego wozie był kawałek papieru z twoim adresem. Jego twarz była nieprzenikniona. Przeraziło ją, jak mało mogła wyczytać w jego oczach. Jak głęboko skrywa się człowiek w tym policjancie.

- Po co był mu mój adres?
- Musisz mieć z nim coś wspólnego.
- Nie znam nikogo o nazwisku Brogan.
- To dlaczego chciał cię zabić? Zepchnąć z drogi?
- Skąd wiesz, że to był on?
- Samochód. Ten, w którym znaleźliśmy jego ciało.
- Czarny?
- Tak. To był czarny ford.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sam zawiózł ją do kostnicy. Nie odzywali się do siebie. Nie chciał wprowadzać jej w szczegóły, a ona też tego nie pragnęła. Przez całą drogę zastanawiała się, kim był Jimmy Brogan i dlaczego chciał ją zabić.

W kostnicy Sam trzymał ją za ramię, aż dotarli do chłodni. Był cały czas przy niej, kiedy pracownik podprowadził ich do szuflad. Kiedy wysunął jedną z nich, wzdrygnęła się nieświadomie. Sam podtrzymał ją, bo wiedział, że widok będzie straszny.

- Nie wygląda dobrze - ostrzegł pracownik kostnicy. - Jest pani gotowa?

Nina kiwnęła głową. Mężczyzna odsunął prześcieradło i cofnął się o krok.

Jako pielęgniarzka na oddziale ratunkowym widziała sporo, ale ten widok przebił wszystko. Popatrzyła na to, co zostało z twarzy mężczyzny, i szybko się odwróciła.

- Nie znam go - wyszeptała.

- Jesteś pewna?

Ponownie kiwnęła głową i nagle poczuła, że chwieje się na nogach. Sam wyprowadził ją i posadził w biurze koronera z kubkiem gorącej herbaty, a sam zadzwonił do swojego partnera. Nie słuchała ich rozmowy, zarejestrowała tylko jego neutralny głos, nie zdradzający okropności, jakiej był świadkiem.

- Nie rozpoznaje go. Nazwiska też nie. Jesteś pewien, że nie używał innego?

Nina grzała dłonie o kubek z herbatą, ale jej nie pila. Jeszcze odczuwała mdłości. Na biurku, obok którego siedziała, leżały akta Jimmy'ego Brogana, otwarte na danych osobowych. Większość tego, co widziała, nie wywoływała w niej żadnych wspomnień. Ani jego adres, ani nazwisko panięskie żony. Tylko nazwa pracodawcy nie była jej obca: kościół Dobrego Pasterza. Zastanowiła się, czy powiadomiono ojca Sullivana, a w ogóle to jak on się czuje? To był kolejny szok dla starszego już człowieka. Najpierw bomba w kościele, teraz śmierć dozorca. Powinna go dziś odwiedzić i upewnić się, że wszystko jest W porządku...

- Dzięki, Gillis. Wróć o trzeciej. W porządku, organizuj to. Sam odłożył słuchawkę i zwrócił się do niej.

- Co jest? W porządku?

- Tak, oczywiście. - Wzdrygnęła się.

- Nie wyglądasz za dobrze. Musisz odpocząć. Chodź, czas na lunch. Niedaleko stąd jest kafejka.

- Możesz teraz myśleć o lunchu?

- To dla mnie punkt honoru, żeby nigdy nie przegapić okazji na posiłek. A może wolisz, żebym zabrał cię do domu?

- Obojętne gdzie - powiedziała, wstając - byle nie tu. Nina grzebała z roztargnieniem w sałacie, podczas gdy Sam pożerał hamburgera.

- Nie wiem, jak to robisz - powiedziała. - Jak możesz iść prosto z kostnicy na lunch?

- Konieczność. - Wzruszył ramionami. - W tym zawodzie można bardzo łatwo schudnąć.
- Jako policjant musisz widzieć okropne rzeczy.
- Jesteś pielęgniarką. Myślę, że też już co nieco widziałaś.
- Tak, ale na ogół przyjeżdżają do nas jeszcze żywi. Wytarł ręce w serwetkę i odsunął pusty talerz.
- To prawda. Jeżeli to bomba, to kiedy już dotrę na miejsce, rzadko zdarza mi się widzieć żywych.
- Jak możesz z tym żyć? Jak można mieć taką pracę?
- To wyzwanie.
- No, Navarro. Jak z tym sobie radzisz?
- Mam na imię Sam, dobrze? Jak sobie radzę? Tu raczej chodzi o to, dlaczego sobie radzę. To nie tylko wyzwanie. Ludzie, którzy podkładają bomby, to specjalny rodzaj kryminalistów. To nie jest facet, który zrobi napad na sklep z gorzałą. Bombiarze są cwańsi. Niektórzy są geniuszami. Ale to tchórze. Zabijają na odległość. I dlatego są tak niebezpieczni. A moja praca jest tym bardziej satysfakcjonująca. Jeżeli ich złapię.
- A więc praca sprawia ci przyjemność.
- Przyjemność nie jest tu właściwym słowem. To raczej polega na tym, że nie mogę odłożyć układanki. Patrę na kawałki i obracam je w palcach. Próbuję rozszyfrować umysł osoby, która to robi. Może dlatego jestem takim potworem. Że próbuję połączyć te kawałki.
- A może to znaczy, że jesteś wyjątkowym gliną. Roześmiał się.
- Albo to, albo mam takiego samego fioła jak bombiarze.

Spojrzała na niego i nagle zdziwiło ją, dlaczego kiedyś jego oczy wydały się jej takie zimne. Trochę śmiechu i Sam Navarro zmieniał się w normalnego człowieka. I to bardzo atrakcyjnego.

Nie pozwolę, żeby to się stało, pomyślała z nagłą determinacją. To będzie duży błąd, z ramion Roberta prosto w ramiona gliny. Zmusiła się, by spojrzeć w bok, a nie na jego twarz, i w końcu popatrzyła na jego ręce. Długie, opalone palce.

- Jeżeli to Brogan podłożył bombę, nie musimy już się o nic martwić.

- Jeżeli.

- Ale dowody są mocne. Nie jesteś przekonany?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. To jakiś instynkt. Mam uczucie... Dlatego musisz być jeszcze ostrożna.

Zobaczyła, że już się nie uśmiecha. Powrócił glina.

- Uważasz, że to jeszcze nie koniec - powiedziała.

- Tak. Tak uważam.

Sam odwiózł Ninę na Ocean View Drive, pomógł załadować do mercedesa książki i ciuchy. Upewnił się, że jest bezpieczna w drodze do domu swojego ojca.

Potem wrócił na posterunek. Mieli odprawę o trzeciej. Sam, Gillis, Takeda z laboratorium kryminalistycznego i trzeci detektyw z oddziału specjalnego, Francis Cooley.

Wszyscy wyłożyli swoje kawałki układanki.

Cooley odezwał się pierwszy:

- Wielokrotnie sprawdzałem Jimmy'ego Brojana. Nie używał pseudonimu. To jego prawdziwe nazwisko. Czterdzieści pięć lat, urodzony i wychowany w South Portland, notowany za drobne wykroczenia. Żonaty od dziesięciu lat, bezdzietny. Zatrudniony przez ojca Sullivana osiem lat temu. Pracował jako dozorca i złota rączka w kościele. Żadnych problemów, poza tym, że kilka razy się spóźnił albo przyszedł na kacu. Nie służył w wojsku, wykształcenie średnie. Żona mówi, że był dyslektykiem. Nie wierzę, że taki facet potrafi złożyć bombę.

- Czy pani Brojan wie, dlaczego miał w samochodzie adres Niny? - zapytał Sam.

- Nie, nigdy nie słyszała jej nazwiska. Powiedziała, że to nie jest pismo jej męża.

- Jakież kłopoty małżeńskie?

- Szczęśliwi jak gołąbki, z tego co mówiła. Jest zrozpaczona.

- A więc mamy szczęśliwego w małżeństwie, niewykształconego i dyslektycznego dozorcę w charakterze głównego podejrzanego?

- Obawiam się, że tak, Navarro. Sam potrząsnął głową.

- Jest coraz gorzej. - Popatrzył na Takedę. - Ernie, daj nam coś. Takeda, jak zwykle zdenerwowany, odchrząknął.

- Nie spodoba się wam to, co powiem.

- Wal.

- Dobra. Pierwsze, broń znaleziona w wozie została skradziona rok temu w Miami, legalnemu posiadaczowi. Nie wiemy, jak znalazła się w posiadaniu Brojana. Żona twierdzi, że nie znał się zupełnie na

broni. Druga rzecz, to samochód Brogana spychał z drogi hondę panny Cormier. Odpryski farby pasują, w dwie strony. Trzecia, przedmioty w bagażniku pasują do użytych w ładunku podłożonym w kościele. Dwucalowa zielona taśma izolacyjna. Identyczny lont.

- To znak rozpoznawczy Vincenta Spectre'a - zauważył Gillis. -Zielona taśma izolacyjna.

- Oznacza to zapewne, że mamy do czynienia z uczniem Vincenta. I jeszcze coś się wam nie spodoba. Właśnie dostaliśmy wstępny raport od koronera. Na zwłokach nie ma śladów prochu. Nie należy wyciągać jednoznacznych wniosków, bo proch może się łatwo zetrzeć z rąk. Ale jest to argument przeciwko hipotezie samobójstwa. Ważniejszy jednak jest uraz czaszki.

- Co? - zawołali Sam i Gillis jednocześnie.

- Wgłębiony uraz czaszki, prawa kość ciemieniowa. Z powodu głębokiej i rozległej rany od kuli nie od razu został zauważony, ale wykazało go prześwietlenie. Jimmy'ego Brogana uderzono w głowę, zanim oddano do niego strzał.

W pokoju zapadła cisza na dobre dziesięć sekund. Potem odezwał się Gillis:

- A ja już prawie to kupiłem. W całości.

- Dobry jest - mruknął Sam - ale nie do końca. -Popatrzył na Cooleya. - Chcę wiedzieć więcej o Bro-ganie. Chcę, żebyście ty i twoi ludzie odszukali nazwiska wszystkich jego koleś, wszystkich znajomych. Porozmawiajcie z nimi. Wygląda na to, że nasz dozorca wpadł w złe towarzystwo. Może ktoś coś wie, może ktoś coś widział.

- A nie sprawdzą tego faceci z Wydziału Zabójstw?
- Sprawdźmy i my. Mogą coś przegapić. I bez żadnych kłótni o to, czyja to sprawa, dobrze? Nie chcemy im odbierać zasług. Chcemy tylko bombiarza. Cooley westchnął i wstał.
- No to z powrotem do wdówki Brogan.
- Gillis - powiedział Sam - muszę porozmawiać ze świadkami. Sprawdź, czy nie mają związków z Bro-ganem. Albo czy go rozpoznają ze zdjęcia. Wracam do szpitala, żeby pogadać z ojcem Sullivanem. I z doktorem Bledsoe.
- A co z panną młodą?
- Przycisnąłem ją dwa razy, ale nic o nim nie wie.
- Wygląda na to, że właśnie ona jest w centrum tych wypadków.
- Wiem, i nie ma zielonego pojęcia dlaczego. Ale może jej były narzeczony coś nam powie.

Wstali i rozeszli się do swoich zadań. Znalezienie bombiarza musi być pracą zespołową i chociaż Sam miał dobrych fachowców, to jednak było ich za mało. Po śmierci niedoświadczonego policjanta do akcji wkroczył Wydział Zabójstw, co odebrało im znaczne siły i środki. Dla nich Wydział ds. Bomb był tylko garstką techników, których wzywali, gdy nie chcieli, by wybuch urwał im łeb.

Chłopcy z Zabójstw byli cwani.

Ale chłopcy od bomb jeszcze cwańsi.

I dlatego Navarro sam pojechał do Centrum Medycznego Maine, by jeszcze raz przesłuchać ojca Sullivana. Ostatnia informacja o

przyczynie śmierci Brogana zrodziła kilka nowych pytań. Może Brogan jest niewinną ofiarą. Może był świadkiem czegoś, o czym powiedział pastorowi. W szpitalu okazało się, że ojciec Sullivan został przeniesiony z oddziału intensywnej opieki medycznej do zwykłej sali. Atak serca wykluczono. Został Sullivana siedzącego w łóżku i wyglądającego ponuro. Miał gościa - był to Yeats z Wydziału Zabójstw. Nie należał do ulubieńców Sama.

- Cześć, Navarro - rzekł Yeats zaczepnym tonem. - Wyluzuj. Już się tym zajęliśmy.

- Chciałbym porozmawiać z ojcem Sullivanem.

- Rób, co chcesz. - Yeats skierował się do drzwi. Sam zwrócił się do starszego mężczyzny, który

miał minę dość nieszczęśliwą, kiedy zobaczył następnego policjanta.

- Przepraszam, ojcie - zaczął Sam - ale obawiam się, że muszę zadać jeszcze kilka pytań.

Pastor westchnął, na jego pomarszczonej twarzy odmalowało się wyraźne zmęczenie.

- Nie mogę panu powiedzieć nic ponad to, co już powiedziałem.

- Czy poinformowano pana o śmierci Brogana?

- Tak. Nawet dokładniej niż trzeba.

Sam usiadł na krzeselku. Pastor wyglądał dziś lepiej, ale ciągle był słaby.

Wydarzenia ostatniej doby musiały być porażające.

Najpierw zrujnowany kościół, a potem zamordowanie dozorczy. Samowi żal było męczyć starego człowieka następnymi pytaniami, ale nie miał wyjścia. Niestety, ojciec Sullivan nie wiedział nic o prywatnym życiu Jimmy'ego Brogana. Ani też dlaczego Brogan, lub ktokolwiek inny, miałby zaatakować kościół Dobrego Pasterza. Zdarzały się, oczywiście, drobne akty wandalizmu czy kradzieże. Dlatego kazał zamykać drzwi na noc, co go martwiło niepomernie, bo uważał, że świątynie winny być otwarte dla potrzebujących dzień i noc. Ale firma ubezpieczeniowa nalegała i ojciec Sullivan nakazał personelowi zamykać o szóstej po południu i otwierać co rano o siódmej.

- I od tego czasu nie było aktów wandalizmu?

- Żadnego - potwierdził pastor. - Aż do bomby. To nie ma sensu, pomyślał Sam. Yeats miał rację.

Szkoda czasu. Wstawał już, by się pożegnać, kiedy usłyszeli stukanie do drzwi, w których po chwili ukazała się dobrze zbudowana kobieta.

- Ojciec Sullivan - zapytała - nie przeszkadzam? Pośepna twarz pastora złagodniała.

- Helen! Cieszę się, że wróciłaś! Słyszałaś, co się stało?

- Tak, w telewizji. Jak tylko zobaczyłam, spakowałam się i ruszyłam do domu.

- Kobieta, z bukietem goździków w dłoni, podeszła do łóżka i objęła pastora. - Widziałam już kościół. Przejeżdżałam obok. Co za ruina.

- Nie wiesz jeszcze najgorszego - zauważył ojciec Sullivan i przełknął ślinę. - Jimmy nie żyje.
- O Boże. Czy... to w wybuchu?
- Nie. Podobno się zastrzelił. Nie wiedziałem, że ma broń. Helen, chwiejąc się, zrobiła krok w tył. Sam schwycił ją za pulchne ramię i pomógł usiąść. Jej twarz pobieliała.
- Przepraszam panią - rzekł Sam spokojnie - detektyw Navarro z Portland. Czy mogę prosić o imię i nazwisko?
- Helen Whipple - wydukała.
- Jest pani sekretarką w kościele? Popatrzyła na niego niewidzącymi oczami.
- Tak.
- Próbowaliśmy się z panią skontaktować.
- Byłam... byłam u siostry. W Amherst. - Siedziała, wyłamując palce i potrząsając głową. - Nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze wczoraj widziałam Jim-my'ego. Nie wierzę, że nie żyje.
- Widziała pani Brogana? O której?
- To było rano. Zanim wyjechałam. - Zaczęła grzebać w torebce, szukając na gwałt chusteczki. -Wpadłam, żeby zapłacić parę rachunków przed wyjazdem.
- Rozmawialiście?
- Oczywiście. Jimmy jest taki... - rozpląkała się - był taki miły. Zawsze przychodził do kancelarii pogadać. Ponieważ wyjeżdżałam na urlop, a ojca jeszcze nie było, poprosiłam Jimmy'ego, żeby mi coś załatwił.

- Co?

- Och, było tyle zamieszania. Ten ślub. Ciagle przychodził dekorator, żeby zadzwonić do kwiaciarni. W męskiej toalecie ciekła umywalka i trzeba to było szybko naprawić. Musiałam dać Jimmy'emu ostatnie wskazówki. Gdzie kłaść prezenty ślubne i do którego hydraulika zadzwonić. Ulżyło mi, kiedy przyszedł ojciec Sullivan i mogłam już jechać.

- Przepraszam panią - przerwał Sam - powiedziała pani coś o prezentach ślubnych.

- Tak. To takie kłopotliwe. Niektórzy ludzie przysyłają prezenty do kościoła, zamiast do domu panny młodej.

- Ile prezentów dostarczono do kościoła?

- Tylko jeden. Jimmy, och, biedny Jimmy. To takie niesprawiedliwe. A jego żona...

Sam walczył z sobą, by zachować cierpliwość.

- I co z tym prezentem?

- Aha. O to chodzi. Jimmy powiedział, że dostarczył go jakiś mężczyzna. Pokazał mi pudełko. Było pięknie zapakowane, ozdobione srebrnymi dzwoneczkami i błyszczącymi wstążkami.

- Pani Whipple. - Sam znów jej przerwał. - Co się stało z tym prezentem?

- Nie wiem. Powiedziałam Jimmy'emu, żeby przekazał go matce panny młodej. Myślę, że to właśnie zrobił.

- Ale matki panny młodej jeszcze nie było, prawda? Co więc mógł Jimmy z nim zrobić?

Helen bezradnie wzruszyła ramionami.

- Chyba położył go tam, gdzie mogła go łatwo znaleźć. Na przedniej ławie. Przednia ława. Centrum wybuchu.

- Do kogo był zaadresowany? - zapytał ostro.

- Do państwa młodych, oczywiście.

- Do doktora Bledsoe i jego narzeczonej?

- Tak. Tak było napisane na bileciku. Państwo Bledsoe. Zaczyna się układać, pomyślał Sam, wsiadając do samochodu.

Sposób, w jaki bomba została dostarczona. Czas podłożenia. Ale nie wiedział jeszcze, dla kogo była przeznaczona. Czy Nina Cormier lub Robert Bledsoe mieli zginąć?

Nina nie wie nic o wrogach. Nie może mu pomóc. Pojechał więc na Ocean View Drive, do domu Roberta. Tym razem cholerny doktorek musi odpowiedzieć na parę pytań. A dwa pierwsze to: kim jest kobieta, z którą się widuje, i czy jest zazdrosna na tyle, by wysadzić w powietrze ślub swojego kochanka - i zabić tuzin ludzi na dokładkę.

Dwie przecznice przed jego domem stwierdził, że coś się stało. Zobaczył migające światła policyjne i grupki gapiów na chodnikach. Zaparkował i szybko przecisnął się przez tłum. Na końcu podjazdu do domu Roberta Bledsoe zobaczył żółtą taśmę policyjną rozciągniętą pomiędzy dwoma koziółkami. Pokazał policjantowi odznakę i poszedł w stronę domu.

Detektyw Yeats z Wydziału Zabójstw przywitał go swoim zwykłym tonem, obwieszczającym ja tu rządę".

- Cześć jeszcze raz, Navarro. Wszystko mamy pod kontrolą.

- Co macie pod kontrolą?

Yeats wskazał na bmw stojące na podjeździe.

Powoli Sam okrążył tylny zderzak. Dopiero wtedy zauważył krew. Na kierownicy i przednim siedzeniu. Mała kałuża już zakrzepła na betonie.

- Robert Bledsoe - oznajmił Yeats - strzał w skroń. Zabrała go już karetka.

Żyje, ale wątpię, czy się z tego wykaraska. Wjechał na podjazd i właśnie wysiadał. W bagażniku miał torbę z zakupami. Lody jeszcze się nie rozmroziły. Sąsiadka widziała zielonego jeepa, który odjechał tuż przedtem, jak zobaczyła ciało. Mówi, że za kierownicą siedział mężczyzna, ale nie widziała jego twarzy.

- Mężczyzna? - Sam się poderwał. - Ciemne włosy?

- Tak.

- O Boże! - Sam pędem ruszył do samochodu.

Nina, pomyślał. Ciemnowłosy mężczyzna zepchnął Ninę z drogi. Teraz Bledsoe nie żyje. Czy Nina będzie następną?

- Navarro! - wołał za nim Yeats.

On jednak już zatrzasnął drzwi samochodu. Zawrócił i na sygnale ruszył w stronę domu George'a Cormiera.

Nie odrywał ręki od dzwonka, aż w drzwiach pojawiła się Daniella, z uśmiechem na bezbłędnie umalowanej twarzy.

- O, dzień dobry, detektywie.

- Gdzie jest Nina? - zawołał, wpychając się do środka.
- Na górze. A o co chodzi?
- Muszę z nią porozmawiać. Natychmiast. Wbiegł na schody, ale zatrzymał się na podeście, usłyszawszy kroki piętro wyżej. Spojrzał w górę i zobaczył Ninę z rozpuszczonymi włosami. Jest bezpieczna, pomyślał z ulgą. Jeszcze. Była ubrana w dżinsy i koszulkę, przez ramię przewiesiła torebkę, tak jakby właśnie miała wyjść.
Gdy schodziła, dobiegł do niego zapach mydła i szamponu. Zapach Niny, rozpoznał go z przyjemnym uczuciem. Kiedy zdążył go zapamiętać?
- Czy coś się stało? - zapytała już na dole.
- Nikt do ciebie nie zadzwonił?
- W jakiej sprawie?
- Roberta.
Zamarła i wbiła w niego wzrok. Widział pytanie w jej oczach i wiedział, że boi się je zadać.
- Lepiej jedź ze mną.
- Dokąd?
- Do szpitala. Zabrali go. Delikatnie poprowadził ją do drzwi.
- Zaczekajcie! - zawołała Daniella.
Sam odwrócił się. Daniella stała jak wryta, patrząc na nich z przerażeniem.
- Co z Robertem? Co się stało?
- Strzelano do niego. Niedawno, przed jego domem. Obawiam się, że nie wygląda to dobrze.

Daniella cofnęła się o krok, jakby ją ktoś uderzył. Jej reakcja, ten wyraz przerażenia w oczach, powiedziały Samowi wszystko. A więc to ona jest tą drugą, pomyślał. Ta blondynka o doskonałej urodzie i wyrzeźbionej sylwetce. Czuł, jak ręka Niny drży. Pociągnął ją w stronę drzwi.

- Jedźmy już - powiedział. - Nie ma dużo czasu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następne cztery godziny spędzili w poczekalni szpitalnej. Chociaż Nina nie była częścią zespołu walczącego teraz o życie Roberta, mogła sobie wyobrazić, co tam się działo. Liczne transfuzje i wlewy soli fizjologicznej. Walka o powstrzymanie krwotoku, ustabilizowanie ciśnienia, rytmu serca. Znała to dobrze, bo wiele razy pracowała w zespole ratującym życie. Teraz mogła tylko czekać. Chociaż jej związek z Robertem został nieodwołalnie zerwany, chociaż nie przebaczyła mu zdrady, to na pewno nie chciała, żeby został ranny. Albo zastrzelony.

Tylko obecność Sama powodowała, że zachowała jeszcze zdrowe zmysły. Godziny wlokły się w nieskończoność, ale Sam tkwił przy niej na kanapie, trzymając ją za rękę w geście cichego wsparcia. Widziała, że jest zmęczony, ale siedział przy niej, choć dochodziła już dziesiąta.

I był z nią, gdy wyszedł neurochirurg, by ich zawiadomić, że Robert zmarł na stole operacyjnym.

Nina przyjęła ten cios w ciszy, zbyt otępiała, by płakać czy powiedzieć coś więcej niż „Dziękuję za pańskie starania”. Niezupełnie zdawała sobie sprawę, że Sam ją objął. Dopiero gdy nogi odmówiły jej posłuszeństwa, poczuła, że ją podtrzymuje.

- Zawiozę cię do domu - powiedział cicho. - Nic więcej nie możesz tu zrobić. Przymknęła. Pomógł jej wstać i poprowadził ku drzwiom. Byli już w połowie drogi, kiedy usłyszeli jakiś głos:

- Panno Cormier! Muszę zadać pani parę pytań.

Nina odwróciła się i popatrzyła na mężczyznę o szczurzej twarzy. Nie pamiętała jego nazwiska, ale wiedziała, że jest policjantem; przez cały wieczór kręcił się po poczekalni. Teraz przyglądał się jej ciekawie, w nieprzyjemny sposób.

- Nie teraz, Yeats - warknął Sam, popychając Ninę w kierunku wyjścia. - To nie jest dobry moment.

- To jest najlepszy moment, żeby pytać - odrzekł gliniarz. - Tuż po zdarzeniu.

- Powiedziała mi już, że nic o tym nie wie.

- Ale ja tego nie słyszałem. - Yeats zwrócił się do Niny: - Panno Cormier, jestem z Wydziału Zabójstw. Pani narzeczony nie odzyskał przytomności, więc nie mogliśmy go przesłuchać. Dlatego muszę porozmawiać z panią. Gdzie pani była dziś po południu?

Zaskoczona Nina potrząsnęła głową.

- Byłam w domu ojca. Nie wiedziałam, co się stało, aż...

- Aż jej powiedziałem - skończył za nią Sam.

- Ty ją zawiadomiłeś, Navarro?

- Pojechałem prosto z miejsca zbrodni do domu ojca panny Cormier. Możesz zapytać Danielli Cormier, ona to potwierdzi.

- I zapytam. - Yeats utkwiał w niej wzrok. - Jak rozumiem, pani i doktor Bledsoe odwołaliście zaręczyny. I pani była w trakcie wyprowadzania się z jego domu.

- Tak - potwierdziła Nina cicho.

- Wyobrażam sobie, że miała pani wielkie poczucie krzywdy. Czy kiedykolwiek rozważała pani, hm, odegranie się na nim?

Przerażona, gwałtownie potrząsnęła głową.

- Pan chyba nie uważa, że miałam z tym coś wspólnego?

- A miała pani?

- Dość tego, Yeats.

- A ty co, Navarro? Jesteś jej adwokatem?

- Nie musi odpowiadać na takie pytania.

- Właśnie że musi. Może nie dziś wieczorem, ale musi. Sam wziął Ninę pod rękę i poszli do drzwi.

- Uważaj, Navarro! - krzyknął Yeats, gdy wychodzili. Stąpasz po cienkim lodzie.

Chociaż Sam nie odpowiedział, Nina wyczuła, że jest wściekły. Kiedy siedzieli już w jego samochodzie, powiedziała cicho:

- Dziękuję ci, Sam.

- Za co?

- Za to, że obroniłeś mnie przed tym okropnym człowiekiem.

- W końcu będziesz musiała z nim porozmawiać. Yeats to gnojek, ale wykonuje swoją pracę.

Ty też, pomyślała z odrobiną smutku. Odwróciła się, by spojrzeć przez okno. Sam znów jest gliną i próbuje rozwiązać zagadkę. Ona jest tylko jednym z jej kawałków.

- Porozmawiasz z nim jutro - dodał Sam. - Uważaj, jest naprawdę ostry.

- Nie mam nic do powiedzenia. Byłam u ojca. Wiesz o tym. Daniella też to potwierdzi.

- Nikt nie podważa twojego alibi, ale zabójstwa można dokonać cudzymi rękami. Mordercę można wynająć.

Odwróciła się do niego z wyrazem niedowierzania.

- Nie myślisz chyba...

- Wiem tylko, że to jest logiczne rozumowanie. Gdy ktoś zostaje zamordowany, podejrzanym numer jeden jest zawsze małżonek lub kochanek, żona lub dziewczyna. Ty i Bledsoe właśnie zerwaliście zaręczyny. I stało się to w najbardziej publiczny i bolesny sposób, jaki można sobie wyobrazić. Nie wymaga to wielkiego wysiłku intelektualnego, żeby zacząć podejrzewać cię o mordercze zamiary.

- Nie jestem zabójczynią. Wiesz, że nie! Jechał przed siebie, jak gdyby nie usłyszał ani słowa.

- Navarro, słyszałeś? Nie jestem zabójczynią!

- Słyszałem.

- To dlaczego nic nie mówisz?

- Bo myślę, że znów coś się dzieje.

Dopiero wtedy zauważyła, że z niepokojem spogląda w lusterko wsteczne.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Gillis? Zrób coś dla mnie. Dowiedz się, czy Yeats śledzi Ninę Cormier. Tak, teraz. Jestem w samochodzie. Oddzwoń.

Nina odwróciła się i popatrzyła na światła jadącego za nimi samochodu.

- Ktoś nas śledzi?

- Nie jestem pewien. Zauważyłem tylko, że ten samochód ruszył za nami, kiedy odjeżdżaliśmy spod szpitala.

- Twój kolega z Wydziału Zabójstw pewnie uważa, że jestem naprawdę niebezpieczna, skoro kazał mnie śledzić.

- Po prostu ma oko na podejrzaną. Podejrzana, pomyślała. Dobrze, że w ciemnościach nie widać mojej twarzy. Czy dla ciebie też jestem podejrzana? Jechał ostrożnie, by nie wzbudzić podejrzeń w człowieku w samochodzie za nimi. W napiętej ciszy dzwonek telefonu zabrzmiał przejmująco. Podniósł słuchawkę.

- Navarro. - Zapadła cisza, a potem spytał: - Jesteś pewien? -Znów spojrzał w lusterko. - Jestem na skrzyżowaniu Congress i Braeburn, jadę na zachód. Mała półciężarówka, wygląda jak jeep cherokee. Skręcę gwałtownie obok Houlton. Bądź gotowy i czekaj, weźmiemy go z dwóch stron. Nie spłosz go. Na początek podjedź na tyle blisko, żeby mu się przyjrzeć. Dobra, skręcam. Będę za pięć minut.

Odłożył słuchawkę i zerknął na Ninę z niepokojeni.

- Zorientowałaś się, co się dzieje?

- Ten za nami to nie glina. A więc kto to jest?

- Zaraz się dowiemy. Teraz słuchaj. Za chwilę schylisz się do podłogi tuż przy drzwiach. Jeszcze nie teraz, nie chcę w nim wzbudzać podejrzeń. Ale jak Gillis będzie za nim, może być gorąco. Jesteś gotowa?

- Nie mam wielkiego wyboru...

Skrecił. Nie za szybko - ot, zwykła zmiana kierunku, jakby się właśnie zdecydował pojechać inną trasą.

Ten drugi samochód też skrecił. Sam wrócił na Congress Street. Jechali teraz na wschód, jak gdyby wracali tam, skąd przyjechali. O dziesiątej trzydzięci w niedzielę ruch był nieduży i łatwo było obserwować drogę.

- Jest Gillis - zauważył Sam. - Punktualnie. Skinął w kierunku granatowej toyoty zaparkowanej przy krawężniku. Minęli ją, a chwilę później toyota włączyła się do ruchu, tuż za jeepem.

- Podejrzany jak szyneczka w kanapce - mruknął Sam z nutą triumfu w głosie. Dojeżdżali do świateł, które właśnie zmieniały się na żółte. Celowo zwolnił, aby obydwa samochody zostały za nim.

Nagle bez ostrzeżenia jeep wyrwał się z piskiem opon do przodu i przejechał przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. Sam rzucił mięsem i nacisnął gaz. Też przejechali, choć z bocznej ulicy wjeżdżała na skrzyżowanie półciężarówka. Sam szarpnął w bok kierownicą i pognął za jeepem. Ten nagle skrecił w następną przecznicę.

- Ten gość to spryciarz - bąknął Sam. - Wiedział, że zastawiliśmy na niego pułapkę.

- Uważaj! - krzyknęła Nina, bo jakiś parkujący samochód właśnie włączył się do ruchu.

To czyste wariactwo, pomyślała, jadę z maniakami za kierownicą. Skrećili w wąską przerwę między domami. Nina musiała

przytrzymać się deski rozdzielczej, przed oczami zakręciły się jej kubły na śmieci. Nie było śladu jeeпа. Toyota Gillisa zatrzymała się z piskiem tuż za nimi.

- W którą stronę?

- Nie wiem! - odkrzyknął Sam. - Pojadę na wschód. Skręcił w prawo. Nina zerknęła do tyłu i zobaczyła, jak Gillis skręca w lewo i jedzie w przeciwną stronę. Na pewno jeden z nich dostrzeże uciekiniera.

Cztery przecznice dalej nie było śladu jeeпа. Sam sięgnął po słuchawkę i nakręcił numer Gillisa.

- Nie widzę go, a ty?

W odpowiedzi usłyszał jęk zawodu.

- W porządku, przynajmniej masz numer rejestracyjny. Zadzwoń później.

- Zauważył numery? - zapytała Nina.

- Tablice z Massachusetts. Już sprawdzają. Przy odrobinie szczęścia złapią go.

- Popatrz na Ninę. - Chyba nie powinnaś wracać do domu ojca.

- Myślisz, że mnie śledził - powiedziała cicho.

- Tylko dlaczego? Dzieje się tu coś dziwnego, coś, w co musisz być zamieszana ty i Robert. Niczego się nie domyślasz?

Potrząsnęła głową.

- To jakaś pomyłka - szepnęła.

- Ktoś zadaje sobie wiele trudu, żeby unieszkodliwić ciebie i Roberta. Nie przypuszczam, żeby ten ktoś mógł, lub mogła, mylić się w wyborze celu.

- Mogła? Naprawdę myślisz...

- Tak jak powiedziałem, morderstwa nie trzeba dokonać osobiście. Można za nie zapłacić. Jestem coraz bardziej przekonany, że mamy do czynienia z zawodowcem.

Nina dygotała. Nie mogła się już kłócić. Ten człowiek mówi tak chłodno o jej życiu, a ono wisi na włosku.

- Wiem, że trudno ci to teraz przyjąć - dodał - ale w twoim wypadku zaprzeczanie może mieć fatalne następstwa. Zrozum to wreszcie. Fakty są brutalne. Robert nie żyje. A ty możesz być następna.

Ale po co ktoś miałby mnie zabijać?!

- Nie możemy obarczać winą Jimmy'ego Brogana

- zauważył Sam. - Myślę, że on jest niewinny. Zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć, więc się go pozbyto. A potem upozorowano samobójstwo, żeby zbić nas z tropu. I odciągnąć uwagę od dochodzenia "w sprawie bomby. Nasz morderca jest bardzo sprytny. I poluje na konkretne osoby.

Usłyszała w jego głosie czystą, beznamietną logikę.

- Dowiedziałem się dzisiaj jeszcze czegoś - dodał.

- W dniu waszego ślubu dostarczono do kościoła prezent. Jimmy Brogan mógł widzieć mężczyznę, który go doręczył. Przypuszczamy,

że Brogan położył paczkę gdzieś obok frontowych ław. Tuż kolo miejsca eksplozji. Prezent był zaadresowany do ciebie i Roberta.

Urwał, aby mogła odrzucić te oczywiste fakty. Nie zrobiła tego. Informacje napływały zbyt szybko i miała kłopot z uporaniem się z ich konsekwencjami.

- Pomóż mi, Nino. Kto to jest? I jaki ma motyw?

- Powiedziała ci, nie wiem!

- Robert przyznał, że jest inna kobieta. Czy domyślasz się, kim ona jest?

- Nie.

- Czy nie odniosłaś wrażenia, że Daniella i Robert byli sobie bliscy?

Nina zamarła. Daniella? Zastanowiła się nad ostatnimi miesiącami.

Przypomniła sobie wieczory, jakie spędziła z Robertem w domu swojego ojca. Wszystkie zaproszenia, kolacje. Było jej miło, że jej narzeczony został tak szybko zaakceptowany przez nich oboje, że chociaż raz w rodzinie Cormierów zapanowała harmonia. Daniella, która dotąd nie darzyła swojej pasierbicy szczególnie ciepłymi uczuciami, zaczęła nagle zapraszać ją i Roberta na wszystkie towarzyskie okazje. Daniella i Robert.

- I z tego powodu - ciągnął Sam - też nie powinnaś wracać dziś do domu ojca.

- Myślisz, że Daniella...

- Będziemy ją jeszcze przesłuchiwać.

- Ale dlaczego miałyby zabić Roberta? Skoro go kochała?

- Zazdrość? Jeżeli ona nie może go mieć, to nikt go nie dostanie?
- Ale on zerwał zaręczyny! Między nami wszystko było skończone!
- Naprawdę?

Wyczuła ukryte napięcie w jego cichym głosie.

- Byłeś tam, Sam. Słyszałeś naszą kłótnię. Nie kochał mnie już. Czasami myślę, że nigdy mnie nie kochał. - Zwiesiła głowę. - Dla niego to był naprawdę koniec.

- A dla ciebie?

Poczuła łzy pod powiekami. Cały wieczór skutecznie powstrzymywała płacz. Podczas tych niekończących się godzin w szpitalu zdołała się ukryć całkowicie w swoim otepieniu, tak że kiedy dowiedziała się o śmierci Roberta, zarejestrowała ten fakt gdzieś głęboko w świadomości, lecz go nie odczuła. Żadnego szoku, żadnego żalu. Wiedziała, że powinna pogрузić się w żałobie. Niezależnie od tego, jak mocno Robert ją skrzywdził, ciągle był człowiekiem, z którym przeżyła ostatni rok.

To, co działo się teraz, było jakimś zupełnie innym życiem. To nie było jej życie. Ani Roberta. To był sen, bez żadnego odniesienia do rzeczywistości. Zaczęła płakać. Cicho, jakby z wyczerpania.

Sam milczał. Po prostu jechał przed siebie, podczas gdy kobieta obok roniła ciche łzy. Wiele chciał jej powiedzieć. Chciał jej przypomnieć, że Robert był gnojkiem pierwszej wody, że nie warto nad nim płakać. Ale z zakochanymi kobietami nie można rozmawiać

logicznie. Był przekonany, że kochała Roberta i że jej łzy o tym świadczą. Mocniej ścisnął kierownicę, sfrustrowany niemożnością ukojenia jej żalu. Tacy faceci jak Robert nie są warci łez żadnej kobiety. Ale to z ich powodu najczęściej płakały. Złoci chłopcy. Spojrzał na Ninę wtuloną w drzwi samochodu i poczuł przyływ współczucia. I coś więcej, coś co go zadziwiło. Tęsknotę.

Natychmiast ją w sobie zdusił. To kolejny znak, że nie powinien był się znaleźć w takiej sytuacji. Jest w porządku, jeżeli gliniarz komuś współczuje, ale jeżeli uczucia zaczynają przekraczać tę niewidzialną granicę i stają się niebezpieczne, czas się wycofać.

Nie mogę się wycofać. Nie dzisiaj. Dopiero kiedy upewnię się, że jest bezpieczna.

- Nie możesz jechać do ojca ani do matki - zauważył. - Jej dom nie ma alarmu ani zamykanej bramy. Zabójca łatwo by cię znalazł.

- Wynajęłam... dziś mieszkanie. Nie ma jeszcze mebli, ale...

- Przypuszczam, że Daniella o tym wie?

- Tak, oczywiście.

- A więc nic z tego. A twoje przyjaciółki?

- Mają dzieci. Gdyby się dowiedziały, że ściga mnie zabójca... - Wzięła głęboki oddech. - Pójdę do hotelu.

Zauważył, że zeszywniała i się wyprostowała. No tak, stara się zrobić dobrą minę do złej gry. Boże, co mógłby zrobić? Ona jest przerażona i ma do tego pełne prawo. Oboje są wykończeni. Nie może jej zostawić o tej porze w jakimś przypadkowym hotelu. Samej.

Zjazd na drogę numer jeden jest tuż-tuż. Skręcił.

Dwadzieścia minut później minęli duże skupiska drzew. Nieliczne domy oddalone były od siebie i stały na gęsto zalesionych parcelach. To właśnie spodobało się Samowi w tej okolicy. Jako chłopiec, najpierw w Bostonie, potem w Portland, mieszkał zawsze w centrum miasta. Wyrastał wśród betonu i asfaltu, lecz zawsze pociągał go las. Teraz każdego lata wyjeżdżał na północ łowić ryby i obozować nad jeziorem. Przez resztę roku musiał się zadowolić domem w spokojnej okolicy, pełnej brzoź i sosen.

Skręcił w swoją prywatną drogę przez zagajnik. Nieutwardzona nawierzchnia zmieniła się w podjazd wysypany żwirem. Dopiero gdy wyłączył silnik i spojrzął na swój domek, ogarnęły go wątpliwości. Nie ma czym się chwalić. Prefabrykowana chatka z drewna cedrowego, z dwiema sypialniami, którą poskładał trzy lata temu latem. Jeżeli chodzi o wnętrze, to też nie był pewien, w jakim stanie je zostawił. No ale nie ma odwrotu.

Wysiadł i obszedł samochód, by otworzyć drzwi. Zdziwiła się na widok małego domku w lesie.

- Gdzie jesteśmy?

- W miejscu na pewno bezpieczniejszym niż hotel. - Wskazał ręką na ganek. - Tylko na dzisiaj. Zanim zorganizujemy coś innego.

- Kto tu mieszka?

- Ja.

Jeżeli zaniepokoiła się, to nie dała tego po sobie poznać. W ciszy czekała, aż otworzy drzwi. Wszedł za nią do środka i zapalił światło.

Dzięki Bogu, pokój dzienny wygląda nieźle. Żadnych ciuchów na kanapie ani brudnych naczyń na stoliku. Nie żeby było nieskazitelnie czysto. Wokół wałały się gazety, a w kątach kłębki kurzu, w końcu jest to pokój niezbyt porządnickiego singla. Ale przynajmniej nie jest to kompletna katastrofa. Tylko częściowa.

Zamknął drzwi na klucz i na zasuwę. Stała na środku, lekko osłupiała. Z powodu bałaganu? Gdy dotknął jej ramienia, lekko się wzdrygnęła.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Nie wyglądasz.

W rzeczywistości wyglądała żałośnie. Oczy miała zaczerwienione, a policzki trupio blade. Zaprzagnął wziąć jej twarz w dłonie i rozgrzać swoim dotykiem. Nie najlepszy pomysł. Zamienia się w litościwego wujka dla kobitek w tarapatach, a ta kobieta naprawdę jest w tarapatach.

Ruszył do sypialni gościnnej. Jeden rzut oka na pobojuwisko i zrezygnował z tego pomysłu. Tu nie można wpuścić gościa. Ani wroga. Jest tylko jedno rozwiązanie. On będzie spał na kanapie, a ona w jego sypialni.

Pościel. O Boże, czy jest jakaś czysta pościel?

Nerwowo pogrzebał w szafie i znalazł czysty komplet. No, nie jest z nim tak źle. Odwrócił się od szafy i znalazł się z Niną twarz w twarz. Wyciągnęła ręce po prześcieradła.

- Pościelę na kanapie.

- To na łóżko. Będziesz spać w moim pokoju.
 - Nie, Sam. I tak czuję się winna. Pościę na kanapie.
- Coś w sposobie, w jaki patrzyła na niego - może ten uniesiony podbródek - mówiło mu, że ma dość odgrywania obiektu litości. Podał jej pościel i koc.
- Kanapa ma góry i doliny.
 - Ostatnio zostałam przeciągnięta przez liczne góry i doliny. Kilka więcej nie sprawi mi różnicy.
- Prawie żarcik. To dobrze. Próbuje wziąć się w garść. Imponująca siła woli. Ścieliła kanapę, a w tym czasie Sam próbował z kuchni dodzwonić się do domu Gillisa.
- Te tablice z Massachusetts - mówił Gillis - zostały skradzione dwa tygodnie temu. Nie znaleziono jeszcze jeepa. Stary, ten facet jest bardzo szybki.
 - I niebezpieczny.
 - Myślisz, że to nasz bombiarz?
 - I ten, który strzela. To wszystko jest poplątane, Gillis.
 - A jak tu się wpisuje bomba w magazynach zeszłego tygodnia? Ustaliliśmy, że to mafia.
 - Tak. Paskudna wiadomość dla rywali Billy'ego Binforda.
 - Binford jest w więzieniu. Jego przyszłość nie wygląda zbyt różowo. Po co by zlecał podłożenie bomby w kościele?
 - Kościół nie był celem. Jestem prawie zupełnie pewny, że celem był Bledsoe albo Nina Cormier. Albo oboje.

- W jaki sposób to się łączy z Binfordem?
- Nie wiem. Nina nie słyszała o Binfordzie.
- Sam potarł podbródek i wyczuł ostry zarost. O Boże, jaki jest zmęczony. Zbyt zmęczony, żeby coś dziś zrozumieć.
- Jest jeszcze jeden wątek, którego nie wykluczyliśmy. Stara porządna zbrodnia z miłości. Przesłuchiwałaś Danielle Cormier.
- Tak. Zaraz po eksplozji. Ale łaska.
- Nie wyczułeś nic dziwnego?
- Co masz na myśli?
- Czegoś, co ci nie pasowało? Jej reakcje, odpowiedzi?
- Nic takiego sobie nie przypominam. Była naprawdę oszołomiona. O co ci chodzi?
- Myślę, że chłopcy z Zabójstw powinni ją przesłuchać jeszcze dziś w nocy.
- Przekażę to Yeatsowi. Masz jakieś przeczucie?
- Ona i Robert Bledsoe mieli mały romansik na boku.
- I z zazdrości wysadziła kościół w powietrze? - Gillis się roześmiał. - To nie ten typ.
- Pamiętasz, co mówią o kobietach?
- Tak. Ale nie mogę sobie wyobrazić, żeby piękna blondynka...
- Uważaj na hormony, Gillis.
- Jeżeli ktoś tu ma uważać na hormony, to tylko ty. Też tak sędzę, pomyślał Sam i odwiesił słuchawkę.

Zatrzymał się na chwilę w kuchni i po raz kolejny upomniął samego siebie - jestem glina, mam chronić ludzi, a nie ich uwodzić. Ani się w nich zakochiwać.

Wszedł do pokoju. Na widok Niny jego postanowienia skruszyły się na kawałki. Stała w oknie i wpatrywała się w ciemność. Nie powiesił firanek, bo tu, w lesie, nie było potrzeby. Ale teraz zdał sobie sprawę, że ta kobieta jest narażona na niebezpieczeństwo. I to go zmartwiło - bardziej, niż chciałby się do tego przyznać.

- Lepiej by było, gdybyś odsunęła się od okien. Odwróciła się ze zdziwieniem

- Chyba nie myślisz, że ktoś mógł jechać za nami?

- Nie. Ale mimo to trzymaj się z daleka. Trzęsąc się, podeszła do kanapy i usiadła. Zdażyła już ją rozłożyć i pościelić. Dopiero teraz Sam zauważył swój podarty koc. Marne meble, wystrzępiona pościel. Nigdy przedtem to mu nie przeszkadzało. Tak wiele spraw w jego kawalerskim życiu nie doskwierało mu, bo nie zastanawiał się dotąd, o ile lepsze i słodsze mogłoby ono być. Dopiero teraz, gdy zobaczył, jak Nina siada na kanapie, spostrzegł, że pokój jest ubogi. Tylko obecność tej kobiety nadaje mu jakieś ciepło. Niestety, wkrótce już jej tu nie będzie.

Im prędzej, tym lepiej. Zanim stanie się jeszcze ważniejsza, zanim wśliźnie się jeszcze głębiej w jego życie.

Podszedł do kominka, z powrotem do kuchni, jakby nie mógł znaleźć sobie miejsca. Instynkt podpowiadał mu, że powinien coś powiedzieć.

- Pewnie jesteś głodna.

- Nie mogę myśleć o jedzeniu. - Potrząsnęła głową. - Nie mogę myśleć o niczym poza...

- Robertem?

Opuściła głowę i milczała. Czyżby znowu płakała? Ma do tego prawo. Ale siedziała tylko bez ruchu, jak gdyby walczyła o to, by utrzymać swoje uczucia na wodzy.

Usiadł na krześle naprzeciwko niej.

- Opowiedz mi o Robertcie. Wszystko, co o nim wiesz. Oddychała jeszcze nierówno, a po chwili rzekła cicho:

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Mieszkaliśmy razem przez rok. A teraz wydaje mi się, że go wcale nie znałam.

- Spotkaliście się w pracy?

- Tak, w izbie przyjęć. Pracowałam tam od trzech lat. Potem dołączył do nas Robert. Był dobrym lekarzem. Jednym z najlepszych, z którymi pracowałam. Fajnie się z nim rozmawiało. Dużo podróżował, robił różne ciekawe rzeczy. Pamiętam, jak się zdziwiłam, że nie był żonaty.

- Nigdy?

- Nigdy. Powiedział mi, że nie spotkał jeszcze kobiety, z którą chciałby spędzić życie.

- Zważywszy na jego wiek, musiał być bardzo wybredny. W jej wzroku pojawił się ślad rozbawienia.

- Ty też nie jesteś żonaty. Czy to znaczy, że także jesteś bardzo wybredny?

- Winien, wysoki sędzie. Ale też nie starałem się za bardzo.
 - Nie jesteś zainteresowany?
 - Nie mam czasu na romanse. Taka praca. Westchnęła.
 - Taka jest męska natura. Wcale nie chcecie się żenić.
 - Czy ja to powiedziałem?
 - Zrozumiałam to po latach staropanieństwa.
 - Wszyscy jesteśmy szuje, o to ci chodzi? Wróćmy do jednej konkretnej szui, Roberta. Mówiłaś, że spotkaliście się w pogotowiu. To była miłość od pierwszego wejrzenia?
- Gdy odchyliła głowę, dostrzegł na jej twarzy ból.
- Nie. Przynajmniej nie dla mnie. Chociaż oczywiście uważałam, że jest atrakcyjny.
- Oczywiście, pomyślał Sam cynicznie.
- Ale kiedy zaprosił mnie na pierwszą randkę, nie przypuszczałam, że to będzie miało przyszłość. Dopiero jak przedstawiłam go mamie, zrozumiałam, że to świetna partia. Mama była zachwycona. Przez te wszystkie lata chodziłam z chłopakami, których uważała za nieudaczników. A tu proszę, pojawia się lekarz. Już słyszała dzwony weselne.
 - A ojciec?
 - Chyba odetchnął z ulgą, że wreszcie umawiam się z kimś, kto ożeni się ze mną nie dla jego pieniędzy. Zawsze się tego obawiał. Jego pieniądze. Jego żony. Albo raczej aktualnej żony.
 - Po tym, co widziałaś w małżeństwach swoich rodziców, dziwne, że sama chciałaś się w to bawić.

- Ale dlatego właśnie chciałam wyjść za mąż! Żeby nam się udało. W mojej rodzinie nigdy nie było stabilności. Rodzice rozwiedli się, kiedy miałam osiem lat. Potem nastąpił stały pochód macoch i partnerów matki. Nie chciałam, żeby moje życie tak wyglądało. -Wzdychając, popatrzyła na lewą rękę bez pierścionka. - Teraz zastanawiam się, czy trwałe małżeństwo to nie jest przypadkiem jeszcze jedna legenda.

- Małżeństwo moich rodziców było stabilne. I dobre.

- Było?

- Zanim mój tata nie umarł. Był gliną, w Bostonie. Nie dożył dwudziestolecia w służbie.

Teraz to Sam nie patrzył na nią. Zapatrzył się w jakiś daleki punkt w pokoju, unikając jej współczującego wzroku. Nie potrzebował jej współczucia.

Rodzice umierają i żyje się dalej. Nie ma wyboru.

- Kiedy mój tata zmarł, mama i ja przeprowadziliśmy się do Portland - ciągnął.

- Chciała żyć w spokojniejszym miejscu. W mieście, gdzie nie musiałyby się martwić, że jej dzieciak zostanie zastrzelony na ulicy.

Posłał jej smutny uśmiech.

- Nie była zbyt szczęśliwa, że zostałem policjantem.

- Dlaczego nim zostałeś?

- Miałem to chyba w genach. Dlaczego zostałeś pielęgniarką?

- Tego na pewno nie było w genach.

Oparła się wygodniej i przez chwilę pomyślała.

- Myślę, że potrzebowałam niesienia pomocy bezpośrednio. Lubię kontakt z ludźmi. To było dla mnie ważne, szybka pomoc. Nie jakaś bliżej niesprecyzowana idea służby dla ludzkości. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Powiedziałeś, że twoja mama nie chciała, żebyś został policjantem. Mojej matce też niezbyt podobał się mój wybór.
- Co miała przeciwko pielęgniarstwu?
- Nic. To po prostu nie był właściwy zawód dla jej córki. Uważa, że jest to praca fizyczna, coś, co powinny robić inne kobiety. Spodziewała się, że dobrze wyjdę za mąż, zostanę elegancką panią domu, będę przyjmować gości i pomagać ludzkości, organizując rauty charytatywne. Dlatego tak ją uszczęśliwiły moje zaręczyny. Myślała, że jestem już na właściwej drodze. Właściwie to była ze mnie dumna... po raz pierwszy.
- Ale nie dlatego chciałaś poślubić Roberta? Aby sprawić satysfakcję matce?
- Nie wiem. Już nie wiem.
- A miłość? Musiałaś go kochać?
- Jak mogę być czegokolwiek pewna? Właśnie się dowiedziałam, że spotykał się z inną. Teraz wydaje mi się, że zastygłam w jakimś śnie. W miłości do mężczyzny, którego wymyśliłam.
- Wcisnęła się w oparcie kanapy i zamknęła oczy.
- Nie chcę już więcej o nim rozmawiać.
- Ważne, żebyś mi powiedziała wszystko. Żebyś rozważyła wszelkie możliwe powody, dla których ktoś mógł chcieć jego śmierci.

Nikt nie podchodzi do obcego człowieka i nie strzela mu w głowę. Zabójca musi mieć powód.

- Może nie miał. Może to wariat. Albo naćpany. Robert mógł znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

- Sama w to nie wierzysz, prawda?

- Nie, chyba nie - odrzekła cicho. Obserwował ją jeszcze przez moment, myśląc, jaka jest słaba i bezradna. Gdyby był kimś innym, wziąłby ją w ramiona, przynosząc ciepło i ulgę. Nagle poczuł się zniesmaczony sobą. To nie jest odpowiedni moment na pytania i bycie policjantem. Lecz tylko to pozwalało mu utrzymać wygodny dystans. To go chroniło, izolowało. Od niej. Wstał z krzesła.

- Myślę, że obydwójce potrzebujemy snu. Jej odpowiedzią było skinienie głową.

- Jeżeli czegoś potrzebujesz, mój pokój jest na końcu korytarza. Jesteś pewna, że nie chcesz spać w sypialni?

- Będzie mi tu dobrze. Dobranoc.

To był dla niego sygnał, by się wycofać.

W swoim pokoju rozpiął koszulę, przemierzając przestrzeń między szafą a komodą. Czuł się bardziej rozkojarzony niż zmęczony. Mózg pracował z prędkością jednej mili na minutę. W ciągu ostatnich dwóch dni wysadzono w powietrze kościół, zastrzelono człowieka, a kobietę zepchnięto z drogi w oczywistym zamiarze popełnienia morderstwa. Był pewien, że to wszystko łączy się ze sobą, a nawet z wybuchem w magazynach tydzień wcześniej, lecz nie mógł odnaleźć

związku. Może jest za głupi. Może jego mózg, zbyt otumaniony hormonami, nie działa sprawnie.

To wszystko jej wina. Nie potrzebował ani nie chciał takich komplikacji. Ale nie mógł myśleć o tej sprawie, żeby gdzieś w tle nie przewijała się myśl o Ninie.

A teraz jest u niego w domu.

Żadna kobieta nie spała pod jego dachem od... dawna. Jego ostatni romans to kilka tygodni z kobietą, którą poznał na jakimś przyjęciu. Potem, za obopólną zgodą, sprawa się skończyła. Żadnych komplikacji czy złamanych serc.

I niewiele też satysfakcji.

Ostatnio satysfakcję przynosiła mu tylko praca. To jedyne, na co mógł liczyć: nigdy nie zabraknie przestępców.

Zgasił światło i wyciągnął się na łóżku, ale nie miał jeszcze ochoty spać.

Myślał o Ninie. Byliby strasznie niedobraną parą. Jej matka przeraziłaby się, gdyby jej córkę zaczął odwiedzać gliniarz. Gdyby miał w ogóle szansę. To błąd, że ją tu przywiózł. Ostatnio popełnia zbyt wiele błędów.

Jutro, pomyślał, już jej tu nie będzie. I zapanuję nad wszystkim.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wiedziała, że powinna popłakać, ale nie mogła. Leżała na kanapie i myślała o miesiącach przeżytych z Robertem, które miały być wstępem do wspólnego życia. Kiedy to się rozpadło? Kiedy przestał mówić jej prawdę? Powinna była coś zauważyć. Uciekające spojrzenia, ciszę. Przypomniała sobie, że dwa tygodnie wcześniej zaproponował, by przelożyć ślub. Pomyślała wtedy, że to przedślubna trema. Wszystkie przygotowania były już zakończone, data ustalona.

Musiał się czuć jak w pułapce.

Och, Robercie. Gdybyś tylko powiedział mi prawdę. Z prawdą poradziłaby sobie. Z bólem, odrzuceniem. Była wystarczająco silna i dorosła. Nie mogła sobie poradzić z tym, że przez tyle czasu mieszkała z mężczyzną, którego prawie nie знаła. Już się nie dowie, co naprawdę do niej czuł. Jego śmierć sprawiła, że nie miała już możliwości, by mu przebaczyć.

W końcu zapadła w sen, ale kanapa rzeczywiście była niewygodna i nękały ją sny.

Nie o Robercie, ale o Samie. Stał obok niej, cichy i poważny. W jego oczach nie było żadnych emocji, tylko ta nieczytelna obojętność obcego człowieka. Wyciągnął do niej dłoń tak, jakby chciał ją wziąć za rękę. Ale kiedy spojrzała w dół, miała na rękach kajdanki.

- Jesteś winna - rzekł. - Winna, winna, winna. Obudziła się ze łzami w oczach. Nigdy nie czuła się taka samotna, zredukowana do żalosnego szukania schronienia w domu gliniarza, który ma ją w

nosie, który uważał ją za niewiele więcej niż dodatkowy obowiązek. I kłopot. Uwagę jej zwrócił przelotny cień w oknie. Nie zauważyłaby go wcale, gdyby nie to, że pojawił się tak blisko, z prawej strony - ciemna plama poruszająca się na linii jej wzroku. Nagle serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

Znowu coś się poruszyło i przebiegł cień. Zerwała się z kanapy i pobiegła na oślep do pokoju Sama. Nie stuknęła, tylko wpadła do środka.

- Sam? - Nic. Brak reakcji. Jak szalona rzuciła się, by go obudzić, i jej ręce natrafiły na ciepłe, nagie ciało. - Sam?

Dotyk Niny poderwał go tak gwałtownie, że odskoczyła przestraszona.

- Co? - zawołał. - Co jest?

- Ktoś chodzi koło domu!

Natychmiast się dobudził. Zsunął się z łóżka i sięgnął po spodnie leżące na krześle.

- Zostań tutaj - wyszeptał.

- Co masz zamiar zrobić?

Odpowiedział jej szcęk metalu. Broń. To jasne, że ma broń. W końcu jest gliniarzem.

- Zostań tu - rozkazał i wysliznął się z sypialni. Trzęsąc się z zimna, stanęła przy drzwiach i nasłuchiwała.

Słyszała odgłos kroków Sama w korytarzu i w pokoju. Potem zapadła

taka cisza, że każdy jej wydech brzmiał jak dzwon. Chyba nie wyszedł z domu?

Skrzypnięcie powracających kroków sprawiło, że odsunęła się spod drzwi.

Schowała się po drugiej stronie łóżka za materac. Dopiero kiedy usłyszała, jak Sam wypowiada jej imię, ośmieliła się podnieść głowę.

- Jestem tutaj - powiedziała szeptem i nagle poczuła się śmiesznie, wychodząc ze swej kryjówki.

- Nie ma nikogo.

- Ale ja kogoś widziałam. Coś.

- To mogła być sarna. Może przeleciała sowa. Położył broń na stoliku nocnym. Podskoczyła na dźwięk metalu stukającego o drewno. Nienawidziła broni.

- Nina, wiem, że się boisz. Masz do tego prawo. Ale sprawdziłem, nie ma tam nikogo. - Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. - Zmarzłaś.

- Boję się. O Boże, Sam, tak się boję... Położył ręce na jej ramionach.

Trzęsła się tak mocno, że nie mogła wykrztusić słowa. Niezręcznie przyciągnął ją do siebie, aż oparła się wygodnie o jego pierś. Gdy w końcu ją objął, poczuła, że znalazła się w domu. Otoczona ciepłem i bezpieczna. To nie był mężczyzna, który się jej śnił, zimny, ponury policjant, ale ktoś, kto ją przytulał i pocieszał uspokajającymi słowami. Mężczyzna, który zatopił twarz w jej włosach, którego usta szukały jej ust.

Pocałunek był delikatny. Słodki. Nie taki, jaki kojarzył się jej z Samem. Oczywiście, nie spodziewała się, że znajdzie kiedyś pocieszenie w jego ramionach. Ale oto znalazła się w jego objęciach i nigdy dotąd nie czuła się tak bezpieczna.

Jeszcze drżała, gdy zaprowadził ją do łóżka i okrył ich oboje kołdrą. Pocałował ją znowu, delikatnie i bez żadnych oczekiwań. Ciepło łóżka i dwojga ciał sprawiło, że przestała dygotać. Uświadomiła sobie teraz wiele innych nieoczekiwanych rzeczy: zapach jego skóry, szorstkość torsu. A przede wszystkim dotyk warg.

Leżeli w swoich ramionach, ze splecionymi nogami. Pocałunek przerodził się w pożądanie, czyste i proste, na które odpowiedziała z gotowością, która ją samą zaskoczyła. Jej wargi rozchyliły się na jego przywitanie. Poprzez skłębioną pościel i swoje ubranie poczuła dowód jego narastającego podniecenia. Nie oczekiwała, że tak się stanie. Ale kiedy zatopili się w pocałunku i jego ręka zsunęła się po jej biodrach, wiedziała już, że to jest nieuniknione. Pomimo swej nieodgadnionej twarzy Sam Navarro miał w sobie więcej namiętności niż którykolwiek ze znanych jej mężczyzn.

To on pierwszy odzyskał kontrolę. Nagle przestał ją całować.

- Sam? - wyszeptała.

Oderwał się od niej i usiadł na brzegu łóżka. Obserwowała go w ciemnościach, jak przeczesywał dłonią włosy. Zadrżał, gdy pogładziła jego plecy. Pragnął jej - to wiedziała. Ale miał rację, to jest błąd. Ona się boi i potrzebuje obrońcy. To naturalne, że szukają pocieszenia w swoich objęciach, nawet jeśli ma to być tymczasowe.

Siedział skulony na łóżku, a ona go pragnęła.

- To nie jest takie straszne, prawda? To, co zdarzyło się między nami? - powiedziała.

- Nie dam się znowu w to wciągnąć. Nie mogę.

- To nie musi mieć znaczenia, Sam.

- Tak to widzisz? Szybki numerek bez znaczenia?

- Nie. Wcale nie to chciałam powiedzieć.

- Ale tak by się to skończyło. Wiesz, że to klasyk. Ja chcę cię chronić, ty chcesz rycerza na białym koniu. Póki ta sytuacja trwa, jest dobrze. A potem wszystko się rozleci. - Wstał i podszedł do drzwi. - Pośpię na kanapie.

Leżała sama w jego łóżku, próbując uporządkować emocje. To nie ma sensu. Niczego już nie kontroluje. Próbowała sobie przypomnieć, kiedy jej życie było w doskonałej harmonii.

Zanim związała się z Robertem. Ale dała się złapać na lep bajeczki o małżeństwie doskonałym. I tu popełniła błąd. Uwierzyła w bajki. Jej rzeczywistość to dorastanie w niepełnej rodzinie, z kolejnymi ojczymami i macochami, z matką i ojcem, którzy sobą pogardzali. Dopóki nie spotkała Roberta, nie myślała o małżeństwie. Była zupełnie zadowolona ze swojego życia i pracy. Pracy, która podtrzymywała ją na duchu.

Mogłaby do tego wrócić. Wróci. Marzenie o szczęśliwym małżeństwie, całe to fantazjowanie, jest już martwe.

Sam obudził się o świcie. Kanapa była jeszcze bardziej niewygodna, niż podejrzewał. Sen miał niespokojny, bolało go ramię,

a o siódmej rano nie nadawał się do obcowania z ludźmi. I kiedy zadzwonił telefon, trudno mu było odpowiedzieć nawet grzecznym „Halo”.

- Navarro, wytłumacz się - rzekł Abe Coopersmith. Sam westchnął:

- Dzień dobry, szefie.

- Właśnie mi nagadał Yeats z Zabójstw. Nie powinienem ci tego mówić, Sam. Zostaw tę Cormier w spokoju.

- Ma pan rację, szefie. Nie powinien pan mi tego mówić. Ale pan powiedział.

- Jest coś między wami?

- Uważałem, że jest zagrożona. Musiałem działać.

- Gdzie ona jest teraz? Sam zawahał się.

- Jest tutaj - przyznał. - U mnie w domu.

- Cholera.

- Ktoś nas wczoraj śledził. Pomyślałem, że to nie jest rozsądne, żeby zostawić ją samą. Bez ochrony.

- I zabrałeś ją do domu? Gdzie twój zdrowy rozsądek?

Nie wiem, pomyślał Sam. Zgubił się, kiedy popatrzyłem w duże brązowe oczy Niny Cormier.

- Tylko mi nie mów, że coś was łączy. Tylko mi tego nie mów - powiedział Abe Coopersmith.

- Nic nas nie łączy.

- I niech tak zostanie. Bo Yeats chce, żeby przyjechała na przesłuchanie.

- W sprawie śmierci Roberta Bledsoe? Yeats szuka po omacku. Ona o niczym nie wie.

- Chce ją przesłuchać. Przywieź ją. Za godzinę.

- Ma żelazne alibi...

- Przywieź ją, Navarro.

Abe Coopersmith odłożył słuchawkę. Nie ma wyjścia. Nie chciał tego robić, ale musi oddać Ninę w ręce chłopaków z Zabójstw. Ich przesłuchanie może być brutalne, ale to ich praca. Jako glina nie mógł im w tym przeszkodzić. Poszedł do sypialni korytarza i zapukał. Kiedy nie odpowiadała, ostrożnie otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Spała jak kamień, z włosami rozrzuconymi na poduszce jak czarny, wspaniały wachlarz. Jej widok leżącej spokojnie w jego łóżku sprawił, że wypełniła go tęsknota, tak intensywna, że musiał schwycić za klamkę, by się nie zachwiać. Dopiero gdy ją w sobie zdusił, odważył się wejść do pokoju.

Obudziła się przy pierwszym, łagodnym potrząśnięciu za ramię. Oszołomiona, popatrzyła na niego łagodnie jak dziecko, tak że musiał odkaszlnąć, żeby głos mu nie zadrzał.

- Musisz wstać - powiedział. - Detektywi z Wydziału Zabójstw chcą z tobą rozmawiać.

- Kiedy?

- Za godzinę. Masz czas, żeby wziąć prysznic. Kawa gotowa. Popatrzyła tylko na niego ze zdumieniem. I nic dziwnego. W

nocy obejmowali się jak kochankowie, a rano on zachowuje się jak

obcy człowiek. Popęłnił błąd, że wszedł do niej do pokoju. Powinien stworzyć dystans pomiędu nimi.

- Jestem pewien, że będzie to rutynowe przesłuchanie. Ale jeżeli uważasz, że potrzebny jest adwokat...

- Po co mi adwokat?

- To nie byłby zły pomysł.

- Nie potrzebuję adwokata. Nic nie zrobiłam. Spojrzała na niego wyzywająco. Chciał bronić jej praw, a ona źle go zrozumiała i uznała to za oskarżenie.

- Będą na nas czekać - oznajmił i wyszedł z pokoju.

Kiedy brała prysznic, spróbował sklecić śniadanie, ale miał tylko zamrożoną bagietkę i pudełko starych płatków śniadaniowych. Spizarnia i lodówka wyglądały żałosnie; stan kawalerski wyczerał z każdego kąta i Sam wcale nie był z tego dumny. Zniechęcony wyszedł na dwór po gazetę, którą zostawiano w skrzynce na końcu podjazdu. Wracął już do domu, gdy nagle coś przykuło jego uwagę.

Odcisk stopy. Lub raczej ślady stóp w miękkiej ziemi, wzdłuż okien pokoju dziennego, które znikały w lesie. Męskie buty, z grubą podeszwą. Rozmiar jedenasty, może większe.

Spojrzał w kierunku domu i zastanowił się, co też ten mężczyzna ostatniej nocy mógł zobaczyć. Tylko ciemności? Czy Ninę, ruchomy cel?

Podszedł do samochodu i metodycznie obejrzał go od zderzaka do zderzaka. Nie znalazł żadnych niepokojących śladów. Widocznie zwariował. Może te ślady nic nie znaczą.

Wrócił do środka, kiedy Nina kończyła już pić kawę. Twarz miała zaróżowioną, a włosy jeszcze mokre.

- Co się stało? - zapytała.

- Nic. Wszystko w porządku.

Wyrzwał przez okno i pomyślał, że ten dom stoi na odludziu. Jakim łatwym celem dla zabójcy są te okna.

- Musimy jechać.

Powinam była posłuchać rady Sama. Wziąć adwokata. Przeleciało jej to przez myśl, gdy na policji usiadła naprzeciwko trzech detektywów. Byli uprzejmi, ale wyczuwała ich ledwo ukrytą napastliwość. Szczególnie detektyw Yeats kojarzył się jej z atakującym psem — jeszcze na smyczy. Popatrzyła na Sama, mając nadzieję na odrobinę wsparcia moralnego. Nic. Podczas przesłuchania nawet na nią nie spojrział. Stał sztywno przy oknie i patrzył na coś odległego. Przywiózł ją tutaj, a teraz zostawił. To glina, jasne, że musi spełnić swój obowiązek. A teraz gra swoją rolę na całego.

- To wszystko, co wiem - oświadczyła, patrząc na Yeatsa. - Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

- Była pani jego narzeczoną. Jeżeli ktoś coś wie, to tylko pani.

- Nie. Nawet mnie tam nie było. Zapytajcie Da-nielli...

- Zapytaliśmy. Potwierdza pani alibi - przyznał Yeats.

- To dlaczego bez przerwy zadajecie mi te same pytania?

- Bo morderstwo nie musi być popełnione osobiście - wyjaśnił jeden z policjantów.

Yeats pochylił się ku niej i przymilnie rzekł:

- To musiało być dla pani strasznie upokarzające, żeby tak zostać pod ołtarzem. Cały świat się dowiedział, że on pani nie chce. -Milczała. -
Mężczyzna, któremu pani ufa. Którego pani kocha. Całe tygodnie, może miesiące, oszukuje panią. Prawdopodobnie śmieje się za pani plecami. Taki człowiek nie zasługuje na kobietę taką jak pani. Ale pani i tak go kocha. A on sprawia pani tylko ból.

Opuściła głowę i dalej nic nie mówiła.

- Niech pani powie, Nino. Nie chciała się pani mu odwdzięczyć? Sprawić mu choć trochę bólu?

- Nie, nie w ten sposób - wyszeptała.

- Nawet kiedy dowiedziała się pani, że panią zdradza? Nawet wtedy, kiedy okazało się, że z pani macochą?

Popatrzyła ostro na Yeatsa.

- To prawda. Daniella się przyznała. Od jakiegoś czasu się spotykali, kiedy była pani w pracy. Nie wiedziała pani?

Nina w ciszy potrząsnęła głową.

- Myślę, że może jednak pani wiedziała. Dowiedziała się sama. Lub może od niego.

- Nie.

- Jak się pani poczuła? Skrzywdzona? Wściekła?

- Nie wiedziałam.

- Wściekła na tyle, żeby się zemścić? Znaleźć kogoś, kto zrobi to za panią?

- Nie wiedziałam!

- To nie do wiary, Nino. Oczekuje pani, że uwierzymy na słowo, że nic pani nie wiedziała?

- Nie!

- Wiedziała pani. To pani...

- Dość - wtrącił Sam. - Co ty chcesz osiągnąć, Yeats?

- Wykonuję swoją pracę.

- Nękaś ją. Przesłuchujesz bez adwokata.

- Po co jej adwokat? Twierdzi, że jest niewinna.

- Jest niewinna.

Yeats, zadowolony z siebie, popatrzył porozumiewawczo na pozostałych policjantów.

- To chyba oczywiste, Navarro, że nie możesz już dłużej uczestniczyć w tym śledztwie.

- To nie leży w twoich kompetencjach.

- Abe Coopersmith mnie upoważnił.

- Yeats, nic mnie to nie obchodzi... Odpowiedź Sama zagłuszył brzęczyk kieszonkowego pagera. Zirytowany go wyłączył.

- Jeszcze nie skończyłem - warknął i wyszedł z sali.

- A teraz, panno Cormier - zaczął Yeats, z którego twarzy zniknęły wszelkie ślady przychylności, a pojawił się uśmiezek rottweilera z paszczą pełną zębów jak brzytwy - wróćmy do naszej rozmowy.

Wzywał go Ernie Takeda z laboratorium kryminalistycznego, a kod na pagerze wskazywał, że wiadomość jest pilna. Oddzwonił ze swojego biurka.

Musiał wykreć numer kilka razy; linia była zajęta. Kiedy zwykle opanowany Ernie w końcu odpowiedział, w jego głosie brzmiała niespotykana u niego nuta podekscytowania.

- Mamy coś dla ciebie, Sam. Coś, co cię uszczęśliwi.

- Dobra. Uszczęśliwiał mnie.

- Odcisk palca. Częściowy, z jednego z fragmentów zapalnika bomby w magazynach. Może wystarczyć do identyfikacji naszego bombiarza.

Wysłałem już wydruk odcisku do Krajowego Centrum Identyfikacji.

Przepuszczenie go przez system zajmie im kilka dni. Bądź cierpliwy. I miej nadzieję, że nasz bombiarz jest w jakiejś kartotece.

- Masz rację, Ernie. Uczyniłeś mnie szczęśliwym człowiekiem.

- I jeszcze jedno. Ta bomba w kościele.

- Tak?

- Zapalnik był w ozdobnym papierze ze wstążką. Miał zadziałać przy otwieraniu. Włączył się za wcześnie. Pewnie jakieś zwarcie.

- Wspomniałeś o ozdobnym papierze.

- Tak. Srebrnobiały papier.

Ozdobne opakowanie na ślub, pomyślał Sam, przypominając sobie prezent dostarczony tego ranka do kościoła. Jeżeli bomba miała eksplodować przy otwieraniu, nie było już wątpliwości, kim miały być ofiary.

Ale dlaczego mordować Ninę? - zastanawiał się, wracając do sali przesłuchań.

Czy można całą tę sprawę przypisać zazdrości jednej

kobiety? Daniella Cormier miała motyw, ale czy posunęłaby się tak daleko, by wynająć bombiarza? Czegoś tu nie rozumiał.

Otworzył drzwi i stanął jak wryty. Trzech detektywów z Zabójstw siedziało nadal przy stole. Nina znikła.

- Gdzie ona jest?

- Wyszła. - Yeats wzruszył ramionami.

- Co?

- Znudziły się jej nasze pytania, więc wyszła.

- Pozwoliliście jej wyjść?

- Nie przedstawiliśmy jej żadnego oskarżenia. Sugerujesz, Navarro, że powinniśmy?

Odpowiedź Sama nie nadawała się do powtórzenia. Z nagłym uczuciem niepokoju zostawił Yeatsa i pobiegł do drzwi wejściowych. Stanął na chodniku i rozejrzał się w obie strony. Nigdzie jej nie dostrzegł.

Ktoś próbuje ją zabić, myślał, kierując się w stronę samochodu. Muszę znaleźć ją pierwszy.

Z telefonu w aucie zadzwonił do domu ojca Niny. Nie było jej tam. Zadzwonił do domu Roberta. Nikt nie odpowiedział. Zadzwonił do domu Lydii Warrenton. Tam też jej nie było. Coś przeczuwając, pojechał jednak do domu Lydii na Cape Elizabeth. W trudnej sytuacji ludzie często uciekają do domu, szukając pociechy.

Zastał Lydię w domu.

- Nie rozmawiałam z nią od wczoraj rano - oznajmiła, wprowadzając Sama do pokoju z widokiem na ocean. - Jestem przekonana, że nie przyjechałaby tutaj.
 - Czy nie wie pani, do kogo mogłaby się zwrócić? Lydia potrząsnęła głową.
 - Obawiam się, że nie jesteśmy sobie bliskie. Nigdy nie byliśmy. No, nie była najłatwiejszym dzieckiem.
 - Co pani ma na myśli?
- Lydia usiadła na białej kanapie. Jej jedwabny garnitur stanowił dramatyczną plamę na bladych poduszkach.
- Wiem, że zabrzmi to okropnie, ale zawiodłam się na Ninie. Stworzyliśmy jej tak wiele możliwości. Na przykład mogła uczyć się za granicą. W szkole w Szwajcarii. Jej siostra Wendy była tam i wiele skorzystała. Ale Nina nie chciała wyjechać. Uparła się, że zostanie w domu. A inne sprawy. Chłopcy, których przyprowadzała do domu. Te śmieszne ubrania, które nosiła. Mogła tak wiele zrobić ze swoim życiem, a niczego nie osiągnęła.
 - Zdobyła wykształcenie pielęgniarckie. Lydia wzruszyła ramionami.
 - Jak tysiące innych dziewczyn.
 - Ona nie jest inną dziewczyną. Jest pani córką.
 - I dlatego oczekiwałam od niej więcej. Jej siostra mówi w trzech językach, gra na fortepianie i wiolonczeli. Wyszła za prawnika, który oczekuje na wysokie stanowisko. A Nina... - Westchnęła. - Żeby siostry tak się różniły...

- A może kochała pani każdą z nich inaczej. Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- Panie Navarro! - usłyszał jej wołanie już przy drzwiach frontowych.

Odwrócił się. Lydia była tak zadbana i elegancka, że zdawała się nierealna.

Niedotykalna.

Zupełnie nie jak Nina.

- Myślę, że myli się pan co do mnie i mojej córki.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Chciałabym, żeby pan zrozumiał, że zrobiłam wszystko, co mogłam w tych okolicznościach.

- Ona też - odparł Sam i wyszedł z domu.

Już w samochodzie zastanowił się, dokąd jechać. Następna runda telefonów nie przyniosła nic nowego. Gdzie, u licha, ona jest? Zaraz, zaraz, a to jej nowe mieszkanie? Mówiła, że jest przy Taylor Street. Pewnie nie ma tam jeszcze telefonu, musi więc pojechać. Po drodze myślał o tym, co powiedziała mu Lydia Warren-ton. Jak musiała się czuć Nina, dorastając jako czarna owca, nielubiane dziecko. Zawsze w tarapatach, przy dezaprobachie mamusi. Sam miał to szczęście, że matka zaszczepiła w nim poczucie własnej wartości.

Teraz rozumiał, dlaczego chciała poślubić Roberta. Ślub z Robertem Bledsoe spotkałby się z wielką aprobatą matki. Ale nawet to okazało się katastrofą.

Kiedy znalazł się przed apartamentowcem Niny, był już wściekły. Na Lydię, George'a Cormiera i korowód jego żon, na całą

rodzinę Cormierów za zrujnowanie poczucia własnej wartości u tej małej dziewczynki.

Zastukał do drzwi mocniej, niż było trzeba.

Nikt nie otworzył. Tutaj też jej nie ma.

Gdzie jesteś, Nino? Już miał wracać, kiedy instynktownie nacisnął klamkę.

Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Popchnął je i zawołał:

- Nina?

Nagle jego wzrok skoncentrował się na druciku cienkim jak włos. Był prawie niewidoczny, cieniutka srebrna niteczka okalająca framugę i biegnąca do sufitu. O Boże...

Błyskawicznie odskoczył do tyłu i rzucił się w bok, na schody. Siła eksplozji uderzyła w otwarte drzwi i wyrwała ścianę, niosąc za sobą czarną chmurę drewna i gruzu.

Ogłuszony, oszołomiony podmuchem, leżał na twarzy, a z sufitu padał na niego deszcz kawałków rumowiska.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Człowieku - mruknął Gillis - ale dałeś czadu.

Stali na zewnątrz, za żółtą linią policyjną, i czekali na resztę ekipy. Dom, czyli to, co z niego zostało, przeszukano, lecz nie znaleziono innych ładunków.

Teraz miał wkroczyć Ernie, który podzielił plan budynku na kwadraty i wręczając torebki plastikowe na dowody rzeczowe swoim pracownikom, przydzielał im jednocześnie indywidualne zadania.

Sam wiedział już, co znajdują. Osad z dynamitu produkcji zakładów Duponta. Kawałki dwucalowej zielonej taśmy izolacyjnej. Lont firmy Prima. To samo, co w kościele i magazynach. I w każdej innej bombie skonstruowanej przez nieżyjącego Vincenta Spectre'a.

Kto jest twoim następcą, Spectre? - zastanawiał się Sam. Komu powierzyłeś sekrety swojego rzemiosła? Dlaczego Nina Cormier jest na muszce?

W głowie mu waliło od tych pytań. Ciągle jeszcze był pokryty kurzem, policzek miał posiniaczony i spuchnięty i prawie nie słyszał na lewe ucho. Ale nie mógł narzekać: przeżył. Nina nie miałaby tyle szczęścia.

- Muszę ją znaleźć - oznajmił. - Zanim on to zrobi.

- Sprawdziliśmy znowu u rodziny - odrzekł Gillis.

- U ojca, matki, siostry. Nigdzie się nie pokazała.

- Gdzie, do cholery, mogła pojechać? - Sam zaczął nerwowo chodzić wzdłuż policyjnej taśmy. - Wychodzi z posterunku, łapie taksówkę albo autobus. I co potem?

- Kiedy moja żona jest wściekła, idzie na zakupy -podpowiedział Gillis uczynnie.

- Dzwonię jeszcze raz do rodziny.

Sam poszedł w kierunku swojego wozu i już miał sięgnąć przez okno po słuchawkę, gdy nagle skupił wzrok na skraju tłumu. Na końcu ulicy zauważył drobną ciemnowłosą postać. Mimo odległości odczytał na jej bladej twarzy strach i szok.

- Nina - rzekł pod nosem i rzucił się w jej kierunku, rozpychając tłum. - Nina! Widziała, jak walczy, by się do niej przedostać. Teraz i ona zanurzyła się w tłumie gapiów i rozpaczliwie starała się do niego dotrzeć. Odnaleźli się i padli sobie w ramiona.

Wzdrygnął się, kiedy zdał sobie sprawę, że wokół jest pełno napierających na nich ludzi.

- Zabieram cię stąd - oświadczył.

Przyciskając ją mocno do swojego boku, poprowadził w kierunku samochodu.

Cały czas omiatał wzrokiem twarz, wypatrując gwałtownych ruchów.

Dopiero kiedy wepchnął ją bezpiecznie do taurusa, odetchnął z ulgą.

- Gillis! - zawołał. - Przejmujesz dowodzenie!

- Dokąd jedziesz?

- Zabieram ją w bezpieczne miejsce. - Ale...

Sam nie odpowiedział. Uruchomił samochód i odjechał. Nina patrzyła na jego pokiereszowaną twarz, pył na włosach.

- O Boże, Sam - wyszeptała. - Jesteś ranny...

- Trochę głuchy na jedno ucho, ale poza tym w porządku. Wyraźnie mu nie uwierzyła.

- Padłem, zanim nastąpił wybuch. Detonator miał pięciosekundowy opóźniacz, uruchamiany przez otwarcie drzwi. -Urwał i dodał spokojnie: - To było dla ciebie.

Nie odpowiedziała, lecz on wszystko wyczytał w jej oczach. Ta bomba nie była pomyłką, przypadkowym atakiem. Nina musi w końcu przyznać, że jest celem.

- Badamy poszlaki. Yeats ma przesłuchać jeszcze raz Danielle, ale to chyba ślepy zaułek. Mamy częściowy odcisk palca z wybuchu w magazynach, czekamy na identyfikację. Do tego czasu musimy chronić twoje życie. A to znaczy, że musisz współpracować. I robić to, co ci mówię. - Westchnął z rezygnacją i mocniej złapał za kierownicę. - To nie było mądre, Nino. To, co dziś zrobiłaś.

- Byłam wściekła. Miałam dosyć tych gliniarzy.

- Więc uciekłaś z posterunku? Nie mówiąc mi, dokąd idziesz?

- Rzuciłaś mnie na pożarcie. Czekałam tylko, aż Yeats zakuje mnie w kajdanki. Podałeś mi mnie na tacy.

- Nie miałem wyboru. I tak by cię przesłuchał.

- On uważa, że jestem winna. A ponieważ jest tego pewien, pomyślałam, że ty też masz wątpliwości.

- Nie mam - odparł szczerze. A po tej ostatniej bombie i Yeats nie będzie ich miał. Jesteś celem.

Przed sobą mieli zjazd na drogę stanową numer 95.

- Dokąd jedziemy?

- Wyjeżdżamy z miasta. Portland nie jest dla ciebie bezpieczne. Mam dla ciebie kemping dla wędkarzy nad jeziorem Coleman. Bywam tam od kilku lat. Warunki harcerskie, ale możesz tam zostać tak długo, jak będzie trzeba.

- Nie zostaniesz ze mną?

- Mam robotę, Nino. Inaczej nie znajdę odpowiedzi.

- Oczywiście, masz rację - rzekła cicho. - Czasami zapominam, że jesteś gliną. Stał w tłumie po drugiej stronie ulicy i przyglądał się technikom biegającym z torebkami na dowody i notesami. Sądząc po ilości stłuczonego szkła i gruzie zalegającym na ulicy, wybuch musiał być naprawdę imponujący. Ale tak to przecież zaplanował.

Szkoda, że Nina Cormier jest jeszcze żywa.

Dostrzegł ją chwilę wcześniej, jak eskortował ją przez tłum ten detektyw, Sam Navarro. Rozpoznał go od razu. Przez lata śledził jego karierę, czytał wszystkie wiadomości na temat Wydziału ds. Bomb. Wiedział też o Gordonie Gillisie i Emiem Takedzie. To są przeciwnicy, a dobry żołnierz zna swojego przeciwnika.

Navarro pomógł kobiecie wsiąść do samochodu. Był nadzwyczaj opiekuńczy, a przecież romanse w pracy nie były w jego stylu. Tacy gliniarze jak on powinni być profesjonalistami. Co jest z pracownikami państwowymi w dzisiejszych czasach?

Navarro i kobieta odjechali. Nie ma sensu jechać za nimi; nadarzy się inna okazja. Teraz musi zrobić coś jeszcze. I ma tylko dwa dni, żeby skończyć. Poprawił rękawiczki i opuścił tłum niezauważony.

Billy Binford był szczęśliwy. Nawet uśmiechał się do adwokata siedzącego za szybą z pleksiglasu.

- Wszystko będzie w porządku, Darien - powiedział. - Załatwione. Przygotuj się do negocjowania ugody. I wydostań mnie stąd, ale szybko.

Darien potrząsnął głową.

- Mówiłem ci, Liddell nie ma ochoty na żadne ugody. Chce zyskać punkty za twój wyrok.

- Darien, Darien. Nie masz w sobie wiary.

- Ale zdrowo oceniam rzeczywistość. Liddell chce awansu. I dlatego musisz dostać wyrok.

- Nikt tu nie dostanie żadnego wyroku. Nie po sobocie.

- Co?

- Ja nic nie mówiłem! Wierz mi, Liddell to nie problem.

- Nie chcę nic wiedzieć. Nic mi nie mów. Billy popatrzył na adwokata z mieszaniną litości i rozbawienia.

- Wiesz co? Jesteś jak ta małpa z łapami na uszach. Nie chcesz usłyszeć nic złego. Cały ty.

- Tak - zgodził się Darien i smutno zwiesił głowę. - Taki właśnie jestem.

W kominku buzował ogień, ale Nina była przemarznięta. Na zewnątrz zapadał zmierzch, resztki dziennego światła ginęły za wysokimi gęstymi sosnami. Znad jeziora dochodził krzyk nura i niósł się dalej echem. Nigdy nie bała się lasu, ciemności czy samotności. Lecz dziś była w strachu i nie chciała, by Sam ją zostawił.

Wrócił do domku z naręczem drewna.

- Powinno ci wystarczyć na kilka dni - powiedział, układając je przy kominku.

- Rozmawiałem z Henrym Pearlem i jego żoną. Obozują wyżej. Obiecali wpadać kilka razy dziennie. Znam ich i wiem, że możesz na nich liczyć. W razie czego zastukaj do ich drzwi.

Skończył układać drewno i otrzepał ręce z brudu. Z podwiniętymi rękawami i trocinami na spodniach wyglądał raczej na drwala niż miejskiego policjanta.

Wrzucił następne polano do ognia. Płomienie buchnęły w górę z trzaskiem iskier. Odwrócił się, by spojrzeć na nią, ale nie widziała jego ukrytej w cieniu twarzy.

- Tu naprawdę będziesz bezpieczna, Nino. Nie zostawiłbym cię samej, gdybym miał chociaż cień wątpliwości.

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Nic mi nie będzie.

- W kuchni jest wędka i pudełko z przynętą i haczykami, jeżeli będziesz chciała iść na pstrągi. Możesz nosić wszystko, co znajdziesz w szafie. Nic nie będzie pasowało, ale przynajmniej będzie ci ciepło. Żona Henry'ego przyniesie jutro trochę damskich ciuchów. - Urwał i roześmiał się. - One też nie będą pasować. Jest dwa razy taka jak ja.

- Dam sobie radę, Sam. Nie martw się o mnie. Zapadła dłuższa cisza. Oboje wiedzieli, że nie ma już nic do dodania, ale nie mogli się ruszyć. Sam rozejrzył się po pokoju, jak gdyby nie chciał stąd odjeżdżać.

- Masz przed sobą długą drogę. Powinieneś coś zjeść przed wyjazdem. Czy mogę ci zaproponować kolację? Powiedzmy, makaron z serem dla koneserów sztuki kulinarnej?

- Wszystko, tylko nie to - rzekł z uśmiechem. Przejrzeli w kuchni zakupy, jakie zrobili po drodze.

Wkrótce na małym stoliku kempingowym znalazł się omlet z pieczarkami, bagietka i butelka wina. Elektryczność nie dotarła jeszcze do tej części jeziora, więc jedli przy świetle lampy naftowej. Zmierzch przerodził się w ciemność z akompaniamentem świerszczy.

Obserwowała go w słabym świetle lampy i nie mogła oderwać wzroku od poranionego policzka. Jak blisko śmierci znalazł się tego popołudnia! Ale przecież taką wykonuje pracę, cały czas bierze na siebie ryzyko. Bomby. Śmierć. Zwariowany gliniarz, pomyślała. I ja też chyba zwariowałam, bo chyba się w nim zakochałam.

Wypiła łyk wina, cały czas świadoma jego obecności. I tego, jaki jest pociągający - tak mocno, że zapomniała o jedzeniu. Musiała sobie przypomnieć, że po prostu wykonuje swoją pracę, że dla niego jest tylko kawałkiem układanki, ale wyobraziła sobie inne kolacje, inne wieczory, które mogliby spędzić razem. Tutaj, nad jeziorem. Światło świec, śmiech. Dzieci. Dobrze by sobie radził z dziećmi. Byłby cierpliwy i delikatny, taki jak dla niej.

Skąd to wiem? Śnię. Fantazjuję, pomyślała. Sięgnęła przez stół, aby dolać mu wina. Nakrył ręką kieliszek.

- Muszę wracać.

- Ach tak, oczywiście.

Nerwowo odstawiła butelkę. Złożyła i rozłożyła serwetkę. Nie rozmawiali i nie patrzyli na siebie przez całą minutę. Przynajmniej ona nie patrzyła.

Ale kiedy w końcu podniosła wzrok, zobaczyła, że na nią patrzy. Nie jak policjant na świadka czy kawałek układanki. Patrzy na nią jak mężczyzna na kobietę, której pragnie.

- Muszę jechać - mruknął.

- Wiem.

- Zanim zrobi się za późno.

- Jest jeszcze wcześniej.

- Jestem potrzebny, w mieście.

Przygryzła wargę i nie odpowiedziała. On ma rację, oczywiście. Miasto go potrzebuje. Wszyscy go potrzebują. Ona jest tylko drobnym szczegółem, którym musiał się zająć. Teraz, kiedy została już ukryta, on może wrócić do swoich prawdziwych spraw, prawdziwych problemów.

Ale wygląda na to, że wcale nie chce mu się jechać. Nie ruszał się z krzesła, dalej na nią patrzył. W końcu odwróciła wzrok i nerwowo chwyciła za kieliszek.

Zdziwiła się, kiedy złapał ją za rękę. Bez słowa odstawił kieliszek. Podniósł jej dłoń, wewnętrzną częścią do góry, i pocałował delikatnie w nadgarstek.

Muśnięcie warg, pieszczota oddechu, co za słodka tortura. Jeżeli całowanie jednego centymetra kwadratowego jej skóry sieje w niej takie spustoszenie, to co mógłby zrobić z resztą?

Zamknęła oczy i wydała cichy delikatny jęk.

- Nie chcę, żebyś jechał - wyszeptała.

- To nie jest dobry pomysł. Żebym został.

- Dlaczego?

- Dlatego. - Znowu pocałował jej nadgarstek. - I dlatego. - Jego wargi powędrowały wyżej, a broda rozkosznie drażniła jej wrażliwą skórę. - To błąd. Wiesz o tym. I ja wiem.

- Cały czas popełniam błędy, i nie zawsze ich żałuję. Zobaczył w jej oczach i strach, i odwagę. Niczego już przed nim nie ukrywała, mógł w nich wyczytać wszystko.

Wstał od stołu. I ona też. Przyciągnął ją do siebie, wziął jej twarz w dłonie i pochylił nad jej ustami. Pocałunek, słodki od wina i pożądania, sprawił, że nogi się pod nią ugięły. Straciła na moment równowagę i objęła go ramionami. Zanim zdołała odzyskać oddech, znów ją mocno pocałował. Ręka Sama ześliznęła się do jej talii, potem bioder. Nie musiał jej przygarniać do siebie; i tak czuła, że jest gotowy. I to ją jeszcze bardziej podnieciło.

- Powinniśmy przestać... - Oddech Sama stał się ciężki. Odpowiedziała mu pocałunkiem, w którym utonęły wszelkie słowa. Porozumiewały się tylko ciała.

Obydwoje gorączkowo zdejmowali swoje ubrania, żądni dotyku nagiej skóry. Najpierw spadł sweter Niny, a potem jego koszula. Spleceni przenieśli się do drugiego pokoju, gdzie z kominka nie bił już żar, tylko ciepła poświata. Ciągłe ją całując, Sam zerwał z kanapy futrzaną narzutę i rzucił na podłogę przy palenisku. W migoczącym świetle gasnącego ognia uklękli naprzeciwko siebie. Nina była głodna jego dotyku, który sprawiał, że czuła się słaba. Zdobyta. Jej ciało było w stanie płynnym, roztapiało się.

- Marzyłem o tobie - wyszeptał. - Wczoraj w nocy, u mnie w domu, marzyłem, żeby wziąć cię w ramiona. Dotykać cię tak jak teraz. Ale kiedy się obudziłem, powiedziałem sobie, że to niemożliwe. Że to czysta fantazja. Tęsknota. Ale nie powinienem...

- Chcę ciebie. Chcę, żebyśmy...

- Ja też cię pragnę. Ale boję się, że będziemy tego żałować.

- To pożałujemy potem. Dziś jesteśmy tylko ty i ja. Pocałował ją. Była gotowa, ale nie chciał się

spieszyć. Chciał, aby ta chwila trwała. Kiedy ukląkł przy niej, nie mogła powstrzymać uczucia podziwu.

Jaki on jest wspaniały. Nie tylko ciałem, ale i duchem. W jego oczach widziała ciepło i opiekuńczość. Wcześniej to wszystko przed nią ukrywał, pod tą maską twardego gliny. Teraz nie chował już nic.

I ona niczego nie skrywała. Zbyt pogrążyła się w rozkoszy, by pomyśleć o skromności czy wstydzie.

- Proszę - wyszeptała. - Och, Sam, proszę...

Dopiero gdy doszła do krawędzi, doprowadził ją i siebie do szczytu. A kiedy do niego dotarła, spadła w przepaść tym cudownym wolnym lotem, nie sama, bo spadali razem, by wylądować miękko i łagodnie.

W jego ramionach zasnęła, ciepła i bezpieczna.

Później, dużo później obudził ją chłód nocy. Ogień wygasł i chociaż zawinęła się w futrzak, drżała z zimna. Była sama. Otuliła się ciaśniej i wyrzła przez okno. W świetle księżycy zobaczyła, że samochód Sama zniknął.

Już za nim tęsknię, pomyślała. Jego brak odczuwała jak głęboki ciemny wir. Poszła do sypialni i wśliznęła się pod koce, ale nadal dygotała. Kiedy odjechał, zabrał ze sobą całe ciepło. Całą radość.

Przestraszyło ją, że tak mocno odczuwa jego nieobecność. Nie miała zamiaru zakochać się, nie może sobie na to pozwolić. To, czego doświadczyli dziś w nocy, to przyjemność. Radość z ciała drugiego człowieka. Jako kochanek był cudowny. Ale do prawdziwej miłości się nie nadaje. Nic dziwnego, że uciekł w nocy jak złodziej. Wiedział, że to był błąd, tak jak ona. A teraz pewnie żałuje tego, co się stało. Zagrzebała się głębiej w koce i czekała na sen lub na świt - Co przyjdzie pierwsze. Co złagodzi brak Sama. Ale noc, zimna i samotna, ciągnęła się w nieskończoność.

To był błąd. Głupi, kretyński błąd. Przez całą drogę powrotną do Portland długą ciemną autostradą Sam zadawał sobie pytanie, jak mógł pozwolić, żeby to się stało.

Jakby nic nie wiedział. Ciągnęło ich do siebie od pierwszej chwili, kiedy się spotkali. Chciał to zwalczyć, przypominał sobie, że jest glina, a Nina ważnym ogniwnem w śledztwie. Dobrzy policjanci nie wpadają w taką pułapkę. Uważał siebie za dobrego policjanta. Teraz wie, że był zbyt ludzki, że Nina była pokusą, której nie mógł się oprzeć, i że śledztwo na pewno ucierpi, ponieważ on stracił obiektywność. Nie tylko ucierpi śledztwo, ale on też. Było naturalne, że wystraszona Nina zwróci się w stronę swojego obrońcy. Powinien był trzymać się od niej z daleka, a swoje uczucia trzymać na wodzy. O pierwszej nad ranem był już z powrotem w mieście. Pół godziny później siedział przy swoim biurku, nadrabiając zaległości w czytaniu wstępnych raportów od Erniego. Tak jak podejrzewał, bomba w mieszkaniu Niny była podobna do tych, które wybuchły w kościele i magazynach. Jediną różnicę stanowił sposób detonacji. W magazynie był to prosty włącznik czasowy. W kościele bomba w paczce miała wybuchnąć podczas otwierania. Mieszkanie Niny było okablowane i miało wylecieć w powietrze po otwarciu drzwi. Bombiarz jest facetem wszechstronnym. Potrafi spowodować eksplozję na różne sposoby. Umie zróżnicować mechanizm w zależności od sytuacji i to czyni go niezwykle niebezpiecznym. Pojechał do domu o piątej rano, złapał dwie godziny snu i wrócił na posterunek o ósmej, na odprawę. Na twarzach osób siedzących wokół stołu konferencyjnego widać było napięcie, co nie mogło dziwić przy trzech bombach w

ciągu dwóch tygodni. Gillis wyglądał na zmarnowanego, Abe Coopersmith był drażliwy, i nawet zwykle pozbawiony emocji Ernie okazywał irytację. Jedną z jej przyczyn była obecność dwóch agentów federalnych z Wydziału ds. Alkoholu, Tytoniu i Broni. Obaj mieli miny poważnych ekspertów odwiedzających Kozią Wólkę.

Ale najbardziej ich denerwowała obecność wielce szanownego prokuratora okręgowego i cholernego palanta, Norma Liddella, który wymachiwał porannym wydaniem „New York Timesa”.

- Spójrzcie na tytuły! - krzyczał. - „Portland w stanie Maine stolicą zamachów bombowych”? Nowy Jork mówi to o nas? O nas? - Rzucił gazetę na stół. - Co się, do cholery, dzieje w tym mieście? Kim jest ten bombiarz?

- Możemy podać prawdopodobny profil psychologiczny - odpowiedział jeden z agentów.

- Jest białym mężczyzną, inteligentnym...

- Wiem już, że jest inteligentny! - szczechnął Liddell. - Sto razy inteligentniejszy od nas. Nie potrzebuję żadnych profili psychologicznych. Chcę wiedzieć, kim jest. Czy ktoś ma choć blade pojęcie o jego tożsamości? Przy stole zapadła cisza. Po chwili Sam powiedział:

- Wiemy, kogo chce zabić.

- Masz na myśli tę Cormier? - prychnął Liddell. - Jak dotąd nikt nie wpadł na to, dlaczego ona jest celem.

- Ale ona nas doprowadzi do bombiarza.

- A te bomby w magazynach? - zapytał Abe Coopersmith. - Jaki mają związek z Niną Cormier?

- Tego nie wiem - przyznał Sam z ociąganiem.

- Na pewno ludzie Billy'ego Binforda zlecili podłożenie ładunków w magazynach - zasugerował Liddell. - To logiczne posunięcie z jego strony. Zastraszyć świadka oskarżenia. Czy ta Cormier ma jakiś związek z Binfordem?

- Wie o nim tylko z gazet - odrzekł Sam. - Nie ma żadnych powiązań.

- A jej rodzina? Łączy ich coś z Binfordem?

- Nie, też nie - odparł Gillis. - Sprawdziliśmy finanse całej rodziny. Ojca Niny Cormier, matki, ojczyma, macochy. Żadnych powiązań z Binfordem. Jej narzeczony też był czysty.

Liddell opadł na oparcie krzesła.

- Coś się szykuje. Czuję to. Binford planuje coś większego.

- Skąd wiesz? - zapytał Abe Coopersmith.

- Mam swoje źródła. - Liddell potrząsnął głową z obrzydzeniem. - Wreszcie wsadziłem Bałwana za kratki, a on dalej pociąga za sznurki i ma w nosie aparat sądowy. Jestem przekonany, że bomba w magazynach to taktyka zastraszenia. Próbuje zastraszyć wszystkich moich świadków. Jeżeli nie doprowadzę do wyroku skazującego, za kilka miesięcy będzie na wolności. I wtedy będzie ich straszył osobiście.

- Ale są duże szanse, że zostanie skazany - zapewnił go Abe Coopersmith. -
Masz wiarygodnych świadków, dane o przepływach finansowych. I
praworządnego sędziego.

- Mimo tego - odrzekł Liddell - Binford mataczy. Ma coś w zanadrzu.
Chciałbym wiedzieć co. - Spojrzał na Sama. - Gdzie ukrywasz Ninę Cormier?

- W bezpiecznym miejscu.

- To tajemnica państwowa, czy co?

- W tych okolicznościach wolałbym, żeby znał ją tylko Gillis i ja. Jeżeli macie
pytania do Niny, mogę je zadać.

- Chcę tylko wiedzieć, jaki jest jej związek z bombami. Dlaczego Bałwan chce
ją zamordować.

- Może to nie ma związku z Binfordem - zasugerował Sam. - On jest w
więzieniu, a my mamy do czynienia z kimś innym. Bombiarzem.

- Dobrze. Więc znajdź mi go - warknął Liddell - zanim będą mówić, że
Portland to amerykański Bejrut. - Wstał z krzesła, by zasygnalizować koniec
odprawy. - Proces Binforda zaczyna się za miesiąc. Nie życzę sobie, aby moi
świadkowie byli zastraszeni przez następne bomby. Macie złapać faceta,
zanim rozłoży mi sprawę.

I z tym Liddell majestatycznie odszedł w siną dal.

- Ludzie, rok wyborów to piekło - mruknął Gillis. Kiedy opuszczali salę, Abe
Coopersmith zawołał:

- Navarro, na słówko.

Sam zaczekał, a Abe Coopersmith zamknął drzwi.

- Ty i Nina Cormier. Co się dzieje?
 - Potrzebuje ochrony. Pilnuję jej.
 - To wszystko, co dla niej robisz? Sam westchnął ze znużeniem.
 - Może... jestem bardziej zaangażowany, niż powinienem.
 - Tak przypuszczałem. - Coopersmith potrząsnął głową. - Jesteś na to za cwany, Sam. Taki błąd popełniają żółtodzioby. Nie ty.
 - Wiem.
 - To może was oboje postawić w groźnej sytuacji. Powinienem wykopać cię ze śledztwa.
 - Muszę zostać.
 - Z powodu tej kobiety?
 - Muszę go złapać. Znajdę go.
 - W porządku. Tylko trzymaj się z daleka od Niny Cormier. Nie powinienem ci tego mówić. Jak coś takiego się dzieje, ktoś obrywa. Teraz ona myśli, jaki to z ciebie John Wayne. Ale kiedy wszystko się skończy, zobaczy, że jesteś taki sam jak wszyscy. Nie stawiaj się w tej sytuacji. To niezła laska, ma tatusia z furą szmalu. Nie potrzebuje gliniarza.
- Ma rację, pomyślał Sam. Wiem z doświadczenia. Ktoś tu dostanie po tyłku. I to będę ja.
- Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się nagle i wstawił w nie głowę podniecony Ernie Takeda.
- Nie uwierzcie! - zawołał, machając świstkiem papieru z faksu.
 - Co jest? - zapytał Abe Coopersmith.
 - Zidentyfikowali odcisk palca z kawałka bomby.

- I?

- Pasuje. To Vincent Spectre.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Sam.

Wyrwał Erniemu faks i wlepił w niego wzrok. To, co wyczytał, nie pozostawiało żadnych wątpliwości: identyfikacja jest jednoznaczna.

- To jakieś nieporozumienie - wybąkał Coopersmith. - Znaleźli jego ciało.

Spectre nie żyje i został pochowany kilka miesięcy temu.

Sam spojrzał mu w oczy.

- Widocznie nie...

150

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Łódź była stara i zniszczona, ale nie przeciekała, kiedy Nina wypłynęła na jezioro. Było późne popołudnie, po wodzie leniwie sunęła para nurów, niezrażona obecnością samotnej wiosłarki. Panowała absolutna cisza, absolutny spokój w ten gorący, letni dzień.

Nina skierowała łódź na środek jeziora i tam pozwoliła jej dryfować. Sama położyła się na dnie i wpatrywała w niebo. Widziała nad sobą ptaki i opalizującą w słońcu ważkę. Nagle usłyszała, że ktoś ją woła.

Zerwała się tak szybko, że łódź się zachwiała. Zobaczyła go na brzegu, stał i machał do niej.

Powiosłowała z powrotem. Dlaczego wrócił tak szybko? Wczoraj zniknął bez słowa pożegnania, tak jak mężczyzna zostawia kobietę, której nie chce już nigdy widzieć.

I oto teraz czeka spokojnie na brzegu, patrząc na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Nie rozumiała go. Nigdy go nie zrozumie. Doprowadzał ją do szaleństwa, a teraz, gdy pokonywała ostatnie metry wody, czuła, że to słodkie szaleństwo znowu ją ogarnia. Potrzebowała całej siły woli, by je zwalczyć. Rzuciła mu linę. Przyciągnął łódź do brzegu i pomógł jej wysiąść. Uścisk jego dłoni na jej ramieniu był cudowny, ale jeden rzut oka na jego twarz rozwiał wszelką nadzieję na to, że przybył tu jako kochanek. To była twarz policjanta, służbowa. To nie ten mężczyzna, który trzymał ją w ramionach.

- Jest coś nowego - oznajmił.

- Co? - zapytała równie chłodno.

- Chyba wiemy, kim jest bombiarz. Chciałbym, żebyś obejrzała kilka zdjęć.

Nina usiadła na kanapie przy kominku - tym samym kominku, który ogrzewał ich poprzedniej nocy - by przejrzeć album ze zdjęciami policyjnymi. Nie paliło się i odczuwała zimno, na ciele i duszy. Sam usiadł daleko, nie odzywając się słowem. Patrzył na nią wyczekująco.

Zmusiła się do koncentracji. Oglądała uważnie jedno zdjęcie po drugim, aż doszła do ostatniej strony. Potrząsając przecząco głową, zamknęła album.

- Nie rozpoznaję nikogo - oznajmiła.

- Jesteś pewna?

- Tak. Dlaczego pytasz? Kogo mam rozpoznać? Jego rozczarowanie było widoczne.

- Popatrz na tę twarz. - Otworzył album na czwartej stronie. - Trzecia od góry, pierwsza kolumna. Widziałaś kiedyś tego człowieka?

Przyjrzała się zdjęciu uważnie, a potem powiedziała:

- Nie, nie znam go.

Sam opadł na oparcie kanapy zniechęcony.

- To nie ma sensu.

Nina, skupiona na fotografii, widziała mężczyznę około czterdziestki, o jasnych włosach, niebieskich oczach i zapadniętych policzkach. Uwagę jej przyciągnęły jego oczy. Wpatrywały się w nią,

jak gdyby chciał ją zastraszyć, i paliły jak żywe. Nina bezwiednie zadrżała.

- Kto to jest? - zapytała.

- Nazywa się, nazywał, Vincent Spectre. Metr o-siemdziesiąt wzrostu, osiemdziesiąt kilo, czterdzieści sześć lat. Przynajmniej tyle by miał teraz.

Gdyby żył.

- A więc nie wiesz, czy żyje?

- Myśleliśmy, że nie.

- Nie macie pewności?

- Już nie.

Sam podniósł się z kanapy. Robiło się zimno; ukląkł przy palenisku i zaczął układać rozpałkę.

- Przez dwanaście lat - zaczął - Vincent Spectre był specjalistą od rozbiórki w wojsku. Potem został zwolniony ze służby. Dyscyplinarnie, za drobne kradzieże. Zbudowanie nowej kariery nie zabrało mu dużo czasu. Został, jak to się mówi, ekspertem. Duży huk, duża kasa. Każdy, kto zapłacił za jego umiejętności, mógł go wynająć. Pracował dla terrorystów, mafii, bossów grup przestępczych w całym kraju. Całymi latami kosił kasę, ale w końcu szczęście go opuściło. Rozpoznano go na filmie z kamery w banku. Aresztowany, skazany, odsiedział tylko rok. Potem uciekł.

Sam podpalił małe kawałki drewna, które z trzaskiem zajęły się ogniem.

Położył na wierzchu polano i odwrócił się do Niny.

- Pół roku temu znaleziono szczątki Spectre'a w gruzach, jakie pozostały po jednej z jego bomb w hurtowni. To znaczy, uważano, że

to jego szczątki. Teraz okazuje się, że musiał to być ktoś inny. I że Spectre żyje.

- Skąd to wiecie?

- Mamy odcisk jego palca. Znaleziony po wybuchu w magazynach.

- Myślicie, że wysadził też kościół?

- Prawie na pewno. Vincent Spectre próbuje cię zabić.

- Ale ja nie znam żadnego Vincenta Spectre'a! Dotąd nie słyszałam nawet jego nazwiska!

- I nie rozpoznajesz go ze zdjęcia.

- Nie.

Sam wstał. Za nim buzował ogień, pochłaniając polano.

- Pokazaliśmy zdjęcie Vincenta twojej rodzinie. Też go nie rozpoznają.

- To musi być jakaś pomyłka. Nawet jeżeli ten człowiek żyje, nie ma żadnego powodu, żeby mnie zabić.

- Mógł go ktoś wynająć.

- Już to sprawdzaliście. I myśleliście, że to Daniella.

- To dalej jest możliwe. Ona oczywiście zaprzecza. I przeszła pomyślnie test na wykrywaczu kłamstwa.

- Pozwoliła wam zrobić test?

- Tak, zgodziła się.

Nina ze zdumieniem pokręciła głową.

- Musiała być cholernie wkurzona.

- Była bardzo zadowolona, że może dać takie przedstawienie. Każdy facet w Wydziale się za nią obejrzał.

- Aha, jest w tym dobra. Owinęła sobie mojego ojca wokół palca. I Roberta też
- dodała Nina cicho.

Sam przemierzał pokój długimi krokami.

- Wracamy więc do Vincenta Spectre'a - powiedział - i do tego, jaki jest jego związek z tobą lub Robertem.

- Powtarzam, nigdy nie słyszałam jego nazwiska. Nie pamiętam też, żeby Robert kiedykolwiek je wymienił.

Sam przystanął przy kominku. Na tle płomieni nie było widać wyrazu jego twarzy.

- Spectre żyje. Skonstruował bombę dla ciebie i Roberta. Dlaczego?

Popatrzyła jeszcze raz na fotografię Vincenta, ale z nikim nie kojarzyła jego twarzy. Oczy, może oczy wydały się jej trochę znajome. Mogła kiedyś już widzieć ich wyraz. Ale nie twarz.

- Powiedz mi o nim więcej - poprosiła.

Sam podszedł do kanapy i usiadł obok Niny. Nie na tyle blisko, by jej dotykać, ale tak, że była świadoma jego obecności.

- Urodził się w Kalifornii. Wstąpił do armii, kiedy miał dziewiętnaście lat.

Szybko okazało się, że ma smykałkę do materiałów wybuchowych, i przeszedł szkolenie. Służył podczas konfliktu w Grenadzie i Panamie. Tam stracił palec, próbując rozbroić ładunek terrorystyczny. Mógł wtedy pójść na rentę...

- Zaczekaj. Powiedziałeś, że nie miał palca?

- Tak.

- U której ręki?

- Lewej. Dlaczego pytasz?

Ucichła, nagle coś w jej pamięci ożyło. Brakujący palec. Dlaczego ten obraz był wciąż żywy i tak wyrazisty?

- Czy to był palec środkowy lewej dłoni?

Sam sięgnął po teczkę, przerzucił strony i powiedział:

- Tak. Środkowy lewej dłoni.

- Bez kikuta? Brakowało całego?

- Tak. Musieli amputować do samej kostki. - Przyglądał się Ninie bacznie i z uwagą. - A więc jednak go znasz.

- Nie jestem... pewna. Pamiętam człowieka z amputowanym palcem, lewym środkowym...

- Gdzie go widziałaś?

- W izbie przyjęć. Kilka tygodni temu. Miał na sobie rękawiczki, i nie chciał ich zdjąć. Ale musiałam mu sprawdzić tętno. Ściągnęłam lewą rękawiczkę. Zdziwiłam się, że nie ma palca. Palec w rękawiczce wypchany był watą. Chyba... musiałam się gapić.

Pamiętam, że spytałam, jak go stracił. Powiedział, że zaplątał mu się w jakiejś maszynie.

- Jak się znalazł w izbie przyjęć?

- Hm, myślę, że to był wypadek. Och, już pamiętam. Przewrócił go rower.

Rozciął sobie rękę i trzeba było założyć szwy. Najdziwniejsze było to, że potem zniknął. Jak tylko rana została zszyta, wyszłam po coś na chwilę. Kiedy wróciłam, już go nie było.

Ani dziękuję, ani do widzenia, nic. Po prostu zniknął. Pomyślałam wtedy, że chciał uniknąć zapłacenia rachunku. Ale potem dowiedziałam się, że zapłacił. Gotówką.

- Pamiętasz jego nazwisko?

- Nie. - Wzruszyła ramionami.

- Opowiedz mi, jak wyglądał. Wszystko, co pamiętasz. Umilkła na chwilę, starając się przywołać twarz mężczyzny, którego widziała kilka tygodni temu, i to raz.

- Pamiętam, że był dość wysoki. Kiedy położył się na stole, jego stopy zwisały. Był mniej więcej twojego wzrostu.

- Mam metr osiemdziesiąt trzy, czyli on jest nieco niższy. A twarz? Włosy, oczy?

- Miał ciemne włosy, prawie czarne. A oczy...

Usiadła wygodniej i spróbowała się skoncentrować. Pamiętała, jak zdziwił ją brak palca. Że spojrzała w górę i napotkała jego wzrok.

- Chyba niebieskie.

- Zgadza się. Czarne włosy nie. Ale mógł je ufarbować.

- Twarz była inna. Nie taka jak na tym zdjęciu.

- Spectre ma kasę. Mógł zapłacić za operację plastyczną. Przez sześć miesięcy uznawaliśmy go za zmarłego. Przez ten czas mógł przemienić się w zupełnie innego człowieka.

- Dlaczego chce mnie zabić?

- Widziałas jego twarz. Mogłaś go zidentyfikować.

- Wielu ludzi musiało widzieć jego twarz!

- Ty jesteś jedyną osobą, która może połączyć jego wygląd z mężczyzną bez palca. Powiedziałaś, że miał na sobie rękawiczki, ale nie chciał ich zdjąć.
 - Tak, ale to była część jego munduru. Być może jedynym powodem, że miał rękawiczki...
 - Jakiego munduru?
 - To była jakaś marynarka ze złotymi guzikami. Białe rękawiczki. Spodnie z lampasem. Wiesz, jak windziarz albo portier...
 - Czy na marynarce było jakieś logo? Nazwa hotelu czy budynku?
 - Nie.
- Sam zerwał się na nogi i zaczął przemierzać pokój.
- Dobrze, dobrze. Ma mały wypadek. Kaleczy rękę, musi iść na pogotowie, żeby mu ją zszyli. Ty zauważasz, że nie ma palca. Widzisz jego twarz i to, że ma na sobie mundur...
 - To za mało, żebym stała się dla niego zagrożeniem.
 - Niekoniecznie. Teraz ma zupełnie nową tożsamość. Władze nie mają pojęcia, jak wygląda. Zdradza go tylko brakujący palec. Widziałaś jego twarz. Możesz go zidentyfikować.
 - Nic o nim nie wiedziałam. Nie wpadłoby mi do głowy, żeby iść na policję.
 - Mieliśmy już wątpliwości co do jego rzekomej śmierci. Podejrzewaliśmy, że żyje i działa nadal. Jeszcze jedna bomba i byśmy się domyślili. Wystarczyłoby tylko ogłosić publicznie, że szukamy

człowieka bez lewego środkowego palca. Zawiadomiłabyś nas, prawda?

- Oczywiście.

- I tego się obawiał. Że powiesz nam, jak wygląda. Przez dłuższą chwilę milczała. Wlepiała wzrok w album ze

zdjęciami przestępców, myśląc o tym dniu w szpitalu. Próbując przypomnieć sobie pacjentów, trudniejsze przypadki. Bolące gardła i zwichnięte kostki.

Przez osiem lat zajmowała się tyłoma pacjentami, że dni zdawały się zlewać w jedną całość. Ale przypomniała sobie jeszcze jeden szczegół.

Dotyczący mężczyzny w rękawiczkach. I nagle ją zmroziło.

- Lekarz, który zszywał ranę...

- Tak? Kto to był?

- Robert. To był Robert.

Sam znieruchomiał. I wtedy oboje zrozumieli. Robert także widział twarz pacjenta, zauważył brak palca. Tak jak Nina, mógł zidentyfikować Vincenta Spectre'a.

Sam wziął Ninę za rękę i podciągnął ją na nogi.

- Chodź.

Stali teraz twarzą w twarz. Jej serce zatańczyło z podniecenia.

- Zabieram cię do Portland - powiedział.

- Teraz?

- Chciałbym, żebyś popracowała z rysownikiem policyjnym. Zobaczymy, czy we dwójkę stworzycie portret pamięciowy Spectre'a.

- Nie wiem, czy potrafię. Gdybym go zobaczyła, poznałabym go. Ale opisać jego twarz...

- Rysownik ci pomoże. Ważne, że mamy od czego zacząć. Potrzebuję też twojej pomocy, żeby przejrzeć dokumentację izby przyjęć. Może jest tam coś, o czym zapomniałaś.

- Trzymamy kopie kart pacjenta. Znajdę ją. Zrobię wszystko, co chcesz, pomyślała, jeżeli tylko przerwiesz tę grę w twardego policjanta.

Kiedy tak stali i patrzyli na siebie, wydawało się jej, że widzi w jego oczach tęsknotę. Odwrócił się nienaturalnie szybko, by wyjąć z szafy marynarkę.

Okrył nią ramiona Niny. Samo muśnięcie palcami jej skóry sprawiło, że zadrżała. Też odwróciła się, by popatrzeć mu w oczy. Doprowadzić do konfrontacji.

- Czy coś się między nami wydarzyło? - spytała cicho.

- Co masz na myśli?

- Ostatnia noc. Nie wyobraziłam sobie tego, Sam. Kochaliśmy się, tutaj, w tym pokoju. Czy zrobiłam coś nie tak? Dlaczego jesteś taki... obojętny?

Westchnął ze znużeniem. I chyba z żalem.

- To nie powinno było się zdarzyć. To był błąd.

- Nieprawda.

- Nino, jesteś wystraszona, szukasz bohatera. Przypadkowo spełniam tę rolę.

- Ale ty nie grasz żadnej roli! Ani ja. Sam, zależy mi na tobie. Chyba się w tobie zakochałam.

Spojrzał na nią w milczeniu, lecz cisza była bardziej dojmująca niż jakiegokolwiek słowa.

- O Boże, jaka jestem głupia. Oczywiście, że ciągle ci się to zdarza. Kobiety rzucają się na ciebie.

- To nie jest tak.

- Nie? Bohaterski glina. Która może się oprzeć? Jak wyglądam w porównaniu z innymi?

- Nie ma żadnych innych! Nino, nie próbuję cię odepchnąć. Chcę tylko, żebyś zrozumiała, że to okoliczności popchnęły nas ku sobie. Zagrożenie. Patrzysz na mnie i nie widzisz moich wad. Tego, że nie jestem właściwym facetem dla ciebie. Byłaś zaręczona z Robertem Bledsoe. To nie moja liga. Lekarz. Rezydencja nad oceanem. Kimże ja jestem, jak nie zwykłym policjantem? Potrząsnęła głową, bo nagle do jej oczu napłynęły łzy.

- Czy naprawdę myślisz, że tak cię widzę?

- Taki jestem.

- Jesteś kimś więcej niż gliniarzem. Dotknęła jego twarzy. Wzdrygnął się, ale nie odsunął od pieśczoły jej palców.

- Sam, jesteś dobry i delikatny. Odważny. Nigdy nie spotkałam takiego mężczyzny jak ty. A więc dobrze, jesteś gliną. Ale to tylko część ciebie. Ocaliłeś moje życie. Pilnowałeś mnie...

- To jest moja praca.

- Tylko? - Patrzył na nią, jakby powiedzenie prawdy przychodziło mu z trudem. - Tylko praca, Sam?

- Nie, więcej niż praca. Znaczysz dla mnie więcej. Uśmiechnęła się z radością. Przecież odczuła to w nocy - jego ciepło i troskę. Jak by nie zaprzeczał, pod maską obojętności kryje się żywy człowiek. Tak bardzo pragnęła paść mu w ramiona, przywołać prawdziwego Sama z jego kryjówki.

Delikatnie odsunął jej dłoń ze swojej twarzy.

- Proszę cię, Nino. Nie utrudniaj... Mam zadanie do wykonania i nie mogę się dekoncentrować. To niebezpieczne. Dla nas.

- Ale zależy ci. Tyle tylko chcę wiedzieć. Pokiwał głową. Teraz na nic więcej nie mogła liczyć.

- Robi się późno. Musimy jechać - mruknął i odwrócił się do drzwi. - Zaczekam na ciebie w samochodzie.

Nina zmarszczyła czoło na widok portretu.

- Coś tu nie tak - powiedziała.

- Co jest nie tak? - zapytał Sam.

- Nie wiem. Nie jest łatwo odtworzyć czyjaś twarz. Widziałam go tylko raz.

Nie zarejestrowałam świadomie kształtu jego nosa czy podbródka.

- Czy przypomina ten portret?

Nina patrzyła na ekran komputera. Już od godziny bawili się różnymi liniami zarostu, nosami i szczękami. To, co powstawało, było sztuczne, bez życia. Jak każdy inny policyjny portret, który widziała.

- Uczciwie mówiąc - przyznała z westchnieniem

- nie jestem pewna, czy tak wygląda. Jeżeli mi go pokażecie, to go poznam.

Ale nie jestem dobra w odtwarzaniu.

Sam, nieco rozczarowany, zwrócił się do technika:

- Wydrukuj to. Wyślij kopie do stacji telewizyjnych.

- Tak jest, Navarro.

- Przepraszam. Wiele chyba nie pomogłam - powiedziała Nina, kiedy Sam ją wyprowadzał.

- Dobrze się spisałaś. Masz rację, niełatwo jest odtworzyć czyjąś twarz.

Szczególnie kiedy widziało się ją tylko raz. Naprawdę uważasz, że poznałabyś go, gdybyś go zobaczyła?

- Tak, jestem tego pewna.

- Tylko tego od ciebie potrzebujemy. Zakładając, że go złapiemy. Co nas prowadzi do następnej sprawy.

- O co chodzi?

- Gillis jest już w szpitalu, wyciąga dokumentację pacjentów. Potrzebuje twojej pomocy.

- To na pewno mogę zrobić.

Znaleźli Gillisa w jednym z pokoi administracji szpitala. Na stole przed nim piętrzył się stos papierów. W świetle jarzeńówek twarz miał ziemistą. Była prawie północ, a on był na służbie od siódmej rano. Tak jak Sam.

Dla nich obu noc się dopiero zaczynała.

- Znalazłem coś, co wygląda na właściwą kartę

- oznajmił Gillis. - Dwudziestego dziewiątego maja, piąta po południu. To chyba to, panno Cormier?

- Tak, być może.

Gillis podał jej formularz. Był to jednostronicowy zapis wizyty w izbie przyjęć. Na górze widniało nazwisko, Lawrence Foley, potem adres i informacja o sposobie płatności. W rubryce „Powód wizyty” rozpoznała swoje pismo: Zranienie, lewe przedramię. Poniżej napisała: biały mężczyzna, czterdzieści sześć lat, uderzony na przejściu przez rower. Upadł, rozciął przedramię o błotnik. Bez utraty przytomności.

- Tak, to ten - stwierdziła. - Jest podpis Roberta, tu na dole. Lekarza wykonującego zabieg. To on szył

- cztery szwy, jak wynika z zapisu.

- Sprawdziliśmy to nazwisko? - zapytał Sam Gillisa.

- Pod tym adresem nie ma nikogo o tym nazwisku. A numer telefonu jest fikcyjny.

- Bingo - odrzekł Sam. - Fałszywy adres, fałszywa tożsamość. To nasz człowiek.

- Ale nie jesteśmy bliżej złapania go - podkreślił Gillis. - Nie zostawia śladów, wskazówek. Gdzie mamy szukać?

- Portret pamięciowy został już rozesłany. Wiemy, że nosi coś w rodzaju munduru, portiera czy boya hotelowego. Sprawdzimy wszystkie hotele. Spróbujemy porównać portret z wyglądem pracowników.

- Sam zastanowił się przez chwilę. - Hotel. Dlaczego zatrudniłby się w hotelu?

- Potrzebował pracy? - podrzucił Gillis.

- Jako boy? - Sam pokręcił głową. - Jeżeli to naprawdę jest Vincent Spectre, to ma powód. Kontrakt.

Usiadł i potarł oczy. Późna pora i stres dawały się już we znaki. Nina pragnęła wyciągnąć do niego rękę, wygładzić ślady zmartwienia na jego twarzy, ale zabrakło jej odwagi. Nie przy Gillisie. Może nigdy. Dał jej jasno do zrozumienia, że rozprasza jego uwagę, a to jest niebezpieczne. Sam wstał i zaczął spacerować, jak gdyby bronił się przed zaśnięciem.

- Musimy sprawdzić wszystkie hotele. Zorganizować okazanie chłopców hotelowych. Musimy sprawdzić raporty policyjne. Może ktoś dzwonił w sprawie tej kolizji rowerowej.

- Dobra, każę Cooleyowi tym się zająć.

- Musimy się dowiedzieć, na kogo poluje. Kto jest celem?

- W nocy tego się nie dowiemy - odrzekł Gillis. - Musimy mieć więcej danych.

- Ziewnął i dodał: - Potrzebujemy snu. Obaj.

- On ma rację - rzekła Nina. - Nie możesz funkcjonować bez snu, Sam. Musisz się przespać.

- A w tym czasie Spectre zaplanuje Bóg wie jaką katastrofę. Do tej pory mieliśmy szczęście. Tylko jedna ofiara wybuchu. Ale następnym razem...

Sam przestał chodzić po pokoju. Nie miał już siły. Stał w jednym miejscu, zwiesił ramiona, jakby z jego ciała uszło powietrze. Gillis popatrzył na Ninę.

- Zabierz go do domu, dobrze? Zanim się przewróci i będę musiał go ciągnąć.

Nina wstała z krzesła.

- Chodź, Sam - rzekła cicho. - Zawiozę cię do domu.

W drodze do samochodu jeszcze się kłócił, że jest w doskonałej formie i może się za kierownicą. Nina równie stanowczo stwierdziła, że stanowi zagrożenie. Gdy tylko opuściła parking szpitalny, Sam zasnął.

Pod domem obudziła go na tyle, by wysiadł z samochodu i wszedł do domu. W sypialni zdjął kaburę, ściągnął buty i padł na łóżko. Jego ostatnimi słowami było coś na kształt przeprosin. Potem zasnął jak kamień.

Uśmiechając się, okryła go i wyszła sprawdzić drzwi i okna. Wszystko było zamknięte na klucz.

Wróciła do sypialni, rozebrała się po ciemku i wśliznęła się do łóżka. Sam się nie poruszył. Delikatnie pogładziła go po głowie i pomyślała: mój biedny Sam. Dziś w nocy to ja będę cię strzec.

Wzdychając, odwrócił się do niej i wyciągnął rękę, by przytulić ją do siebie. Nawet we śnie chciał ją chronić.

Jak żaden z mężczyzn, których знаła. Tej nocy, w jego ramionach, nic nie może się jej stać.

Rano w wiadomościach pokazano jego portret.

Vincent Spectre popatrzył na rysunek i zaśmiał się cicho. Ale numer. Wcale niepodobny. Uszy za duże, szczeka za szeroka, oczy małe i okrągłe. Przecież on nie ma takich oczu. Dlaczego tak im marnie wyszło? Co się stało z jakością pracy organów ścigania?

- Szukaj wiatru w polu - mruknął pod nosem.

Sam Navarro traci formę, jeżeli stać go na tylko taki portret. Szkoda. Takim był bystrym, naprawdę godnym przeciwnikiem. A teraz okazuje się, że to taki sam durny glina jak inni. Chociaż udało mu się wyciągnąć jeden poprawny wniosek: Vincent Spectre jest cały i zdrowy. Znowu w grze.

- Zobaczycie, jaki jestem zdrowy - powiedział. Ta Cormier musiała opisać jego twarz policji.

Chociaż wcale nie martwił się portretem, to powinien uważać. Nina może go rozpoznać. Jedyne ona jest w stanie połączyć jego twarz z nazwiskiem i zniweczyć jego plan. Trzeba się jej w końcu pozbyć.

Wyłączył telewizor i poszedł do sypialni, gdzie spała kobieta, którą poznał trzy tygodnie wcześniej w Klubie Trzech Światel, dokąd poszedł zobaczyć rewię tancerek topless. Marilyn Dukoff była blondynką w czerwonych stringach obszytych cekinami. Twarz miała ordynarną, inteligencję niemal żadną, ale jej figura była cudem natury i silikonu. Jak wiele innych kobiet żyjących z egzotycznego tańca, potrzebowała pieniędzy i uczucia.

Dawał jej to wszystko nader hojnie.

Przyjmowała jego dary z prawdziwą wdzięcznością. Była jak szczeniaczek, zbyt długo zaniedbywany i teraz bardzo posłuszny i żądny aprobaty. A najlepsze ze wszystkiego jest to, że nie zadaje pytań. Zna swoje miejsce.

Usiadł koło niej na łóżku i obudził szturchnięciem.

- Marilyn?

Otworzyła jedno zaspane oko i uśmiechnęła się do niego.

- Dzień dobry.

Odwzajemnił jej uśmiech i pocałował ją. Jak zwykle oddała mu pocałunek ochoczo. Z wdzięcznością. Zdjął ubranie i położył się obok jej zdumiewająco zbudowanego ciała. Nie musiał długo wprawiać jej w stosowny nastrój.

Kiedy skończyli, leżała uśmiechnięta i zaspokojona, a on wiedział, że nadeszła właściwa chwila, by ją poprosić.

- Wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę - szepnął.

Dwie godziny później blondynka w szarym kostiumie pokazała oficerowi służby więziennej swój dowód tożsamości.

- Jestem prawnikiem firmy Frick and Darien - oznajmiła. - Mam się zobaczyć z naszym klientem, Billym Binfordem.

Chwilę później zaprowadzono ją do sali widzeń. Billy Bałwan usiadł po drugiej stronie pleksiglasu. Patrzył na nią przez chwilę i powiedział:

- Oglądałem wiadomości. Co się dzieje?

- Mówi, że to konieczne - odrzekła blondynka.

- Chcę, żeby zrobił swoją robotę tak, jak obiecał.

- Już się tym zajął. Wszystko według planu. Masz tylko siedzieć i czekać.

Billy popatrzył na strażnika więziennego, który stał niedaleko ze znudzoną miną.

- Postawiłem na to wszystko.

- Załatwi się. Chce się upewnić, że dotrzymasz słowa. Forsa do końca tygodnia.

- Nie. Muszę mieć pewność. Zbliża się data procesu, i to szybko, za szybko. Liczę na niego.

Blondynka tylko się uśmiechnęła.

- Załatwi się - powiedziała. - On to gwarantuje.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Obudził go zapach kawy i czegoś pysznego. Sobota. Leżał w łóżku sam, ale ktoś jeszcze był w domu. Słyszał krzątanie w kuchni, cichy brzęk talerzy. Po raz pierwszy od miesiący uśmiechnął się do siebie, wstając i idąc pod prysznic. W kuchni jest kobieta, i to kobieta robiąca śniadanie. Zdumiewające, jak odmienił się dom. Stał się ciepły i przyjazny.

Wytrzeł się i stanął przed lustrem, by się ogolić. I wtedy uśmiech zamarł na jego twarzy. Jak długo spał? I to tak mocno, że nie słyszał, kiedy Nina wstała, nawet kiedy brała prysznic. W nocy ktoś mógł się łatwo włamać, a on by to przespał. Jestem dla niej bezużyteczny, pomyślał. Nie może tropić Spectre'a i jednocześnie dbać o bezpieczeństwo Niny. Nie ma tyle samozaparcia i obiektywizmu. Jest bardziej niż bezużyteczny; stanowi zagrożenie dla jej życia.

Stało się to, czego się obawiał.

Skończył się golić, ubrał się i poszedł do kuchni. Sam widok Niny stojącej przy piecyku wystarczył, by zburzyć jego determinację. Odwróciła się i uśmiechnęła.

- Dzień dobry - powiedziała i objęła go słodko pachnącymi ramionami.

Boże, to przecież marzenie każdego faceta. Albo, przynajmniej, jego marzenie: wspaniała kobieta w jego kuchni. Uśmiech na dzień dobry.

Jajecznica na patelni. Czuł, jak mięknie jego opór, a do głosu dochodzą męskie żądze. Dzieje się tak zawsze, kiedy jest zbyt blisko niej.

- Nino, musimy porozmawiać.

- Tak? O sprawie?

- Nie. O tobie. I o mnie.

Promienny uśmiech zniknął z jej twarzy. Czowała już wcześniej, że spotka ją cios. Wyłożyła jajecznicę na talerz i zastygła bez ruchu. W takich chwilach nie znosił siebie, ale jednocześnie wiedział, że nie ma innego sposobu, by to załatwić - jeżeli Nina naprawdę jest mu bliska.

- To, co stało się w nocy...

- Ale nic się nie stało. Przywiozłam cię do domu i położyłam do łóżka.

- I o tym właśnie mówię. Nino, byłem tak zmęczony, że przez sypialnię mógł przejechać pociąg, a ja nie poruszyłbym palcem. Jak mam cię chronić, kiedy zasypiam jak kamień?

- Och, Sarn. Nie oczekuję, że będziesz moim opiekunem. Wczoraj to ja chciałam zaopiekować się tobą. Byłam szczęśliwa, że mogę to zrobić.

- Ale ja jestem policjantem, Nino. To ja jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo.

- A choć raz nie możesz przestać nim być? I pozwolić, żebym się tobą zaopiekowała? Nie jestem taka bezradna, a ty nie jesteś taki twardy. Kiedy się bałam, stałeś przy mnie. Teraz ja chcę stać przy tobie.

- To nie mnie mogą zabić. To nie jest dobry pomysł, żeby się angażować, i oboje o tym wiemy. Nie mogę pilnować cię tak, jak powinienem. Każdy inny glina zrobiłby to lepiej.

- Nie ufam żadnemu innemu glinie. Ufam tobie.

- I to może być śmiertelny błąd.

Odsunął się, by złapać trochę powietrza, by zwiększyć dystans pomiędzy nimi.

Nie potrafił myśleć jasno, gdy była tak blisko; jej zapach i dotyk były zbyt podniecające. Nalał sobie kawy, by czymś się zająć, ale jego ręka drżała.

- Muszę się skupić, Nino. Znaleźć Spectre'a. To jest najlepszy sposób na zapewnienie ci bezpieczeństwa.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na stół nakryty do śniadania, sztućce i serwetki, szklanki soku.

Znowu poczuł ukłucie żalu. Znalazłem w końcu kobietę, która jest mi bliska, i robię wszystko, by ją odepchnąć.

- A więc co proponujesz, Sam?

- Uważam, że powinnaś mieć ochronę.

- Zaczynam myśleć, że nie jesteśmy w ogóle związani.

- Na Boga, Nino. Spaliśmy ze sobą! Jak mocniej może dwoje ludzi związać się ze sobą?

- Dla niektórych seks jest czysto fizyczną sprawą. Niech to szlag trafi, nie da się zrobić w tę beznadziejną

rozmowę. Podpuszcza go, by powiedział, że to było coś więcej niż seks. Nie miał zamiaru przyznać, że to prawda, ani pokazać, jak bardzo jest przerażony, że ją straci.

Wiedział, co należy zrobić. Podszedł do telefonu. Poprosi Coopersmitha o przydzielenie ochroniarza.

Już miał podnieść słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił.

- Sam, to ja.
- Cześć, Gillis.
- Co z tobą? Dochodzi dwunasta. Ustawiliśmy okazanie na pierwszą. Faceci z pięciu hoteli. Możesz przywieźć Ninę, żeby się im przyjrzała? To znaczy, jeżeli jest z tobą.
- Jest - przyznał Sam.
- Tak też myślałem. O pierwszej. Słyszysz?
Odłożył słuchawkę i przeczesał ręką wilgotne jeszcze włosy. Boże. Prawie południe? Rozleniwił się. Jeżeli nie będzie przyzwocie wykonywał swojej pracy, Nina będzie biedna.
- Co powiedział Gillis? - zapytała.
- O pierwszej jest okazanie. Chcą, żebyś przyjrzała się kilku chłopcom hotelowym. Możesz?
- Oczywiście. Chcę, żeby to się skończyło, tak jak ty. - Wytrzymała jego wzrok z miną wyrażającą świadomą decyzję. - Masz ważniejsze rzeczy na głowie niż niańczenie mnie.
Nie próbował z nią dyskutować. Nie powiedział ani słowa. Ale kiedy wychodziła z kuchni, zostawiając go przy pięknie nakrytym do śniadania stole, pomyślał, że nie ma racji. Nie ma na świecie nic ważniejszego niż to, że chce się nią zaopiekować.
Przez weneckie lustro widać było ośmiu mężczyzn ustawionych w rzędzie. Wszyscy mieli trochę głupie miny.
Nina dokładnie przyglądała się mundurowi każdego z nich, doszukując się czegoś, co widziała wcześniej. Jakiegoś szczegółu, który rozbudziłby jej pamięć.

- Nie widzę podobnego munduru. - Potrząsnęła głową.
- Jesteś absolutnie pewna? - zapytał Gillis.
- Tak, jestem pewna. To żaden z nich. Usłyszała westchnienie rozczarowania.

To Norm

Liddell, prokurator okręgowy, stojący obok Gillisa. Sam nie odzywał się i miał pokerową minę.

- Widzę, że to tylko strata mojego czasu - oznajmił Liddell. - To wszystko, co masz w zanadrzu, Navarro? Kilku chłopaków z hotelu?
- Wiemy, że Spectre miał na sobie jakiś mundur, podobny do uniformu boya hotelowego - wyjaśnił Sam. - Chcieliśmy, by panna Cormier kilku zobaczyła.
- Odnaleźliśmy raport policyjny w sprawie tego wypadku rowerowego - dodał Gillis.

- Rowerzysta sam zadzwonił. Chyba się bał sądu i złożył zeznanie, że uderzył przechodnia poza zebra.

Najwyraźniej Spectre przechodził przez jezdnię Congress Street nieprawidłowo, kiedy został potrącony.

- Congress? - zaniepokoił się Liddell.
- Obok hotelu Pioneer - dodał Sam. - Tego, w którym pojutrze ma zatrzymać się gubernator. Jest gościem honorowym i ma wygłosić przemówienie na seminarium dla biznesmenów.
- Myślicie, że to on jest celem Spectre'a?
- Możliwe. Pioneer jest przeszukiwany. Szczególnie apartament gubernatora.
- A chłopcy hotelowi?

- Wyeliminowaliśmy ich wszystkich z powodu wzrostu i wieku. Nie ma nikogo bez palca. Ten z numerem trzy jest najbliższy opisowi Spectre'a. Ale ma wszystkie palce. Chcieliśmy, żeby Nina przyjrzała się mundurom.

- Ale żaden z nich to nie Spectre.

- Nie. Żadnemu nie brakuje palca.

Wzrok Niny skierował się ku numerowi trzy. Ubrany był w czerwoną marynarkę boya i czarne spodnie.

- Czy tak są ubrani wszyscy chłopcy Pioniera?

- Tak - odparł Gillis. - Dlaczego pytasz?

- To nie jest ten uniform, który widziałam.

- A jaka jest różnica?

- Człowiek, którego widziałam w izbie przyjęć, miał zieloną marynarkę. Ciemnozieloną. Na pewno nie czerwoną.

Gillis potrząsnął głową.

- Więc mamy problem. W Holiday Inn uniform jest też czerwony. W Marriotcie zielony, ale to daleko od miejsca kraksy rowerowej.

- Mimo to sprawdźcie ich personel - zażądał Liddell. - Nawet gdybyście mieli przesłuchać każdego boya w mieście, muszę złapać tego faceta. I to zanim wysadzi w powietrze jakąś grubą rybę. O której przyjeżdża gubernator?

- Po południu - odrzekł Gillis. Liddell spojrział na zegarek.

- Mamy pełne dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli coś się będzie działo, dzwońcie. Zrozumiano?

- Tak jest, Wasza Wysokość - mruknął Gillis. Liddell popatrzył na niego groźnie, ale widocznie zdecydował się nie komentować.

- Moja żona i ja będziemy wieczorem w Teatrze Branta. Będę miał ze sobą pager, na wszelki wypadek.

- Będzie pan pierwszy na naszej liście.

- Jesteśmy na widelcu. Nie spieprzmy tego.

To był ostatni strzał Liddella i policjanci przyjęli go w ciszy. Dopiero kiedy Liddell wyszedł, Gillis warknął:

- Dam wycisk temu facetowi. Przysięgam, dam mu wycisk.

- Uspokój się, Gillis. Kiedyś zostanie gubernatorem.

- Wtedy sam pomogę Spectre'owi podłożyć mu bombę. Sam wziął Ninę za rękę i wyprowadził ją z pokoju.

- Chodź. Przedstawię ci twojego nowego ochroniarza. Już mnie sprzedał, pomyślała.

- Na razie zamieszkas w hotelu - ciągnął. - Będzie cię pilnował posterunkowy Pressler. To bardzo czujny policjant. Mam do niego zaufanie.

- To znaczy, że ja też mogę mu zaufać?

- Całkowicie. Zadzwoń, kiedy znajdziemy następnych podejrzanych. Będziesz musiała ich zidentyfikować.

- Więc przez jakiś czas cię nie zobaczę.

- Tak. To może trochę potrwać.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Nie było tu żadnej prywatności; z pewnością nie był to czas ani miejsce, by mogła mu wyznać, co do

niego czuje. Trudno było się pożegnać. A jeszcze trudniej patrzeć na jego obojętność.

A więc wraca Pan Policjant. Ale po wydarzeniach ostatniego tygodnia poradzi sobie, łącznie z tym, że znowu związała się z niewłaściwym facetem.

- Znajdź Spectre'a - rzekła chłodno. - Rozpoznam go. Tylko szybko. Muszę wrócić do normalnego życia.

- Pracujemy dzień i noc. Damy ci znać.

- Liczę na to.

Sierżant Leon Pressler nie był zbyt rozmowny. Właściwie to nie rozmawiał wcale. Przez ostatnie trzy godziny ten miody wysportowany policjant udawał sfinksa i bez słowa przemierzał pokój hotelowy, sprawdzając drzwi i okna.

Mówił tylko „Tak, proszę pani” lub „Nie, proszę pani”.

Czy małomówność i niedostępność to cechy każdego gliny? -zastanawiała się Nina. A może dostał rozkaz, by nie gadać ze świadkiem?

Próbowała czytać książkę kupioną w hotelowym kiosku, ale po kilku rozdziałach ją zamknęła. Jego milczenie działało jej na nerwy. To po prostu nienaturalne, by spędzić z kimś dzień w pokoju i nawet nie porozmawiać. Bóg wie, że chciała coś z niego wyciągnąć.

- Długo jesteś w policji?

- Tak, proszę pani.

- Lubisz to?

- Tak, proszę pani.

- Boisz się czasem?
- Nie, proszę pani.
- Nigdy?
- Czasami.

No, to doszliśmy do czegoś, pomyślała. Ale posterunkowy Pressler podszedł do okna i wyjrzał, ignorując ją kompletnie. Nina odłożyła książkę i ponowiła próbę.

- Czy takie zadanie cię nudzi?
- Nie, proszę pani.
- Mnie by nudziło. Siedzieć cały dzień w pokoju hotelowym i nic nie robić.
- Coś się może zdarzyć.
- Jestem pewna, że jesteś na to przygotowany. Westchnęła i sięgnęła po pilota, by włączyć telewizor. Pięć minut skakania po kanałach nie przyniosło nic ciekawego. Wyłączyła telewizor.
- Mogę zadzwonić?
- Nie.
- Chcę tylko zadzwonić do szefowej w szpitalu. Powiedzieć, że mnie nie będzie w przyszłym tygodniu.
- Detektyw Navarro powiedział: „Żadnych telefonów”. To dla pani bezpieczeństwa. Wyraźnie to podkreślił.
- Co jeszcze powiedział ten wspaniały detektyw? - Mam cały czas pani pilnować. Nie spuszczać pani z oka. Bo jeżeli coś się pani stanie... - Urwał i odkaszlnął.

- To co?
- Będę miał z nim do czynienia.
- O, to się musisz starać.
- Chciał mieć pewność, że będę szczególnie czujny. Jestem mu to winien.
- Co to znaczy, że jesteś mu to winien? Sierżant Pressler nie odchodził od okna. Stał tyłem, jakby chciał uniknąć jej wzroku.
- Kilka lat temu podczas interwencji domowej zostałem postrzelony. Mężowi nie podobało się, że się wtrącam w jego sprawy...
- O Boże.
- Poprosiłem o pomoc. Navarro odpowiedział pierwszy. - Pressler odwrócił się i spojrzał na Ninę. - No i widzi pani. Jestem mu wdzięczny. - Znowu skierował wzrok na okno.
- Znasz go dobrze? Pressler wzruszył ramionami.
- To dobry glina. Ale bardzo skryty. Chyba nikt go nie zna dobrze.
Łącznie ze mną, pomyślała. Wzięła znowu pilota i przeskoczyła z opery mydlanej na serial sądowy, a potem na turniej golfa. Poczwała, że w jej mózgu znowu kilka komórek obumarło. Co teraz robi Sam?
I bezlitośnie stłumiła w sobie to pytanie.
Ciekawe, co Nina teraz robi. Sam spróbował stłumić ciekawość i skoncentrować się na tym, o czym mówiono na odprawie, ale myślami ciągle wracał do Niny. Szczególnie jej bezpieczeństwa. Miał zaufanie do Presslera. Ten miody policjant jest bystry i odpowiedzialny, a do

tego zawdzięczał mu życie. Jeżeli można powierzyć komuś życie Niny, to na pewno jemu. Nie mógł jednak pozbyć się uczucia niepokoju. Nawet strachu. To jeszcze jeden dowód na to, że stracił obiektywizm, że jego uczucia mają wpływ na jego pracę.

- ...wszystko, na co nas stać? Sam? Sam zwrócił się do Abe'a Coopersmitha:

- Słucham?

- Czy ty jesteś z nami, Navarro?

- Przepraszam. Myślałem o czymś innym.

- Szef pytał, czy nie mamy innych wątków w naszej sprawie -wyjaśnił usłużnie Gillis.

- Sprawdzamy wszystko - odparł Sam. - Rozesłaliśmy portret pamięciowy Spectre'a. Sprawdziliśmy hotele w Portland. Dotąd nie natrafiliśmy na pracownika bez palca. Niestety, pracujemy w ciemno. Nie wiemy, kto jest celem Spectre'a, kiedy zamierza uderzyć ani gdzie ma zaatakować. Mamy tylko świadka, który widział jego twarz.

- No i jego uniform chłopca hotelowego.

- Tak.

- Pokazaliście wszystkie rodzaje mundurów pannie Cormier?

- Zbieramy jeszcze mundury z kilku miejsc - odrzekł Gillis - a także przesłuchaliśmy rowerzystę. Nie może wiele powiedzieć o mężczyźnie, którego potrafił. Stało się to tak szybko, że nie zwrócił uwagi na jego twarz. Ale potwierdził, że marynarka była koloru zielonego. Potwierdził też, że stało się to na rogu Congress Street i Franklin Avenue.

- Przeczesałiśmy cały teren - mówił dalej Sam
- i pokazaliśmy portret kaźdemu sklepikarzowi i urzędnikowi w promieniu pięciu przecznic. Nikt nie rozpoznał twarzy.
- Abe Coopersmith westchnął zniechęcony.
- Jutro po południu przyjeźdźa do nas gubernator. A w mieście szaleje bombiarz.
- Nie wiemy, czy istnieje jakiś związek. Celem Spectre'a może być ktoś inny.
- Może nawet niczego nie planować - zasugerował Gillis. - Może zakończył swą robotę. Może nawet już wyjechał.
- Musimy zakładać, że wciąż tu jest-ostrzegł Abe Coopersmith. -I że coś knuje.
- Mamy dwadzieścia cztery godziny do spotkania z gubernatorem. Do tego czasu coś się wydarzy
- dodał Sam.
- Mam nadzieję - mruknął Abe Coopersmith, wstając. - Nie potrzebujemy następnej bomby i martwego gubernatora.
- Zaczniemy od góry. Takt trzydziesty szósty.
- Dyrygent podniósł batutę. Kiedy ją opuścił, trąbki zabrzmiały dźwiękami bluesa „Wrong Side of the Track”. Po sekundzie dołączyły dęte drewniane i kontrabas. Potem wśliznął się saksofon, a jego tęskny płacz podchwycił melodię.
- Nigdy nie rozumiałem jazzu - poskarżył się dyrektor Teatru Branta, obserwując próbę ze środka widowni. - Kupa skisłych nut. Wszystkie instrumenty ze sobą walczą.

- Ja lubię jazz - stwierdził główny bileter.

- Dobra, dobra. Ty to nawet lubisz rap. Masz marny gust. Dyrektor rozejrzał się po teatrze, sprawdzając puste fotele.

Wszędzie było czysto, w przejściach nie dostrzegł śmieci. Publiczność dziś wieczorem będzie elegancka. Sami prawnicy czy inne typy. Nie podobałyby im się brudne dywany czy stare programy wetknięte za oparcia krzeseł.

Jeszcze rok wcześniej w budynku mieściło się kino wyświetlające filmy pornograficzne dla anonimowych mężczyzn bez twarzy. Nowy właściciel wszystko zmienił. Obecnie, dzięki prywatnym funduszom lokalnego dobroczyńcy, teatr odrodził się jako centrum żywej kultury, w którym grano sztuki i musicale. Niestety, przedstawienia nie przyciągały takich tłumów jak pornosy. Dyrektora to nie dziwiło.

Ale tego wieczoru frekwencja jest zapewniona: pięćset zarezerwowanych i zapłaconych miejsc, przygotowane dodatkowe wejściówki - wszystko na rzecz Organizacji Bezpłatnej Pomocy Prawnej. Wszyscy ci prawnicy płacą, żeby słuchać jazzu. Nie mógł tego pojąć. Ale był zadowolony, że wszystkie miejsca zostały sprzedane.

- Wygląda na to, że zabraknie nam dziś jednego człowieka - rzekł bileter.

- Kogo?

- Tego nowego, którego przyjąłeś. Wiesz, tego z Agencji. Był w pracy dwa dni temu, ale od tego czasu go nie widziałem. Próbowałem dzwonić, ale nikt nie odpowiada.

Dyrektor zaklął.

- Nie można polegać na tych z Agencji.

- W życiu.

- Będziesz musiał obskoczyć cały ten tłum z czterema ludźmi.

- Nie ma lekko. Pięćset miejsc.

- Niech część sama znajdzie swoje miejsca. To prawnicy, podobno są kumaci.

Dyrektor spojrział na zegarek. Szósta trzydzieści. Zdąży zjeść w biurze kanapkę z peklowaną wołowiną.

- Za godzinę otwieramy. Lepiej zjedz kolację.

- Dobra. - Szef bileterów zdjął zieloną marynarkę z oparcia fotela i pogwizdując, poszedł na kolację.

O siódmej trzydzieści Pressler zawiózł Ninę do głównej siedziby policji. W budynku było ciszej niż po południu, biurka puste, podobnie korytarze.

Pressler zaprowadził Ninę na górę i wprowadził do jednego z pokoi.

Sam przywitał ją skinieniem głowy i krótkim „Halo”. Odpowiedziała mu tak samo. Pressler pozostał w pokoju, gdzie siedział jeszcze Gillis i inny policjant w cywilu. Z taką widownią nie chciała ujawniać się ze swoimi uczuciami. Tak jak Sam.

- Chcielibyśmy, żebyś przyjrzała się tym uniformom. - Sam wskazał długi stół konferencyjny, na którym leżało sześć

mundurowych marynarek w różnych kolorach. - Mamy tu boyów hotelowych, windziarza i biletera z multipleksu w centrum miasta. Rozpoznajesz coś? Nina zbliżyła się do stołu. Przyglądała się ze skupieniem wszystkim marynarkom, badając materiał, guziki i wyhaftowane logo. Niektóre miały ozdoby ze złotego pasmanteryjnego warkocza, inne naszywki z imieniem i nazwiskiem pracownika. Potrząsnęła głową:

- To żadna z nich.

- A ta zielona na samym końcu?

- Ma złoty sznur. Marynarka, którą pamiętam, miała czarny szamerunek, zakrecony o tutaj, na ramieniu.

- Jezui! - wymamrotał Gillis. - Kobiety pamiętają takie dziwne rzeczy.

- Dobra. - Sam westchnął. - Pressler, zrób sobie przerwę i coś zjedz. Zawiozę pannę Cormier do hotelu. Przyjedź za godzinę.

Pokój wyludnił się. Zostali tylko Sam i Nina. Przez dłuższą chwilę nie zamienili nawet słowa. Nawet na siebie nie patrzyli.

- Mam nadzieję, że w hotelu jest ci wygodnie

- odezwał się w końcu.

- Tak, ale jeszcze jeden dzień i zwariuję.

- Jeszcze nie jest bezpiecznie.

- A kiedy będzie?

- Kiedy złapiemy Spectre'a.

- Jeżeli wam się w ogóle uda. - Potrząsnęła głową.

- Nie mogę tak żyć. Mam pracę. Jakieś życie. Nie mogę pozostawać w hotelu z gliną, który doprowadza mnie do szału.

- Pressler coś zrobił? - zaniepokoił się Sam.

- Przez chwilę nie usiedzi spokojnie! Bez przerwy sprawdza okna. Nie pozwala mi skorzystać z telefonu. I nie potrafi prowadzić przyzwoitej konwersacji.

- Leon tylko wykonuje swoją pracę.

- Może i tak. Ale działa mi na nerwy. - Wzdychając, postąpiła o krok w jego kierunku. - Sam, nie mogę siedzieć w ukryciu. Muszę prowadzić normalne życie.

- Zaczekaj. Chcemy, żebyś przeszła przez to żywa.

- A może wyjadę? Gdzieś daleko, na jakiś czas...

- Możemy cię tu potrzebować, Nino.

- Po co? Macie jego odciski. Wiecie, że nie ma palca. Możecie go bez problemu zidentyfikować...

- Ale najpierw musimy go zobaczyć. I do tego możemy potrzebować ciebie, żebyś rozpoznała go w tłumie. Musisz więc zostać. Pod ręką. Będiesz bezpieczna, obiecuję.

- No chyba. Jeżeli chcecie złapać tego faceta. Wziął ją za ramiona.

- To nie jest jedyny powód, i wiesz o tym.

- Naprawdę wiem?

Przysunął się bliżej. Przez jedną zdumiewającą chwilę myślała, że ma zamiar ją pocałować. Ale gwałtowne stukanie do drzwi sprawiło, że oboje się poderwali.

W drzwiach stanął Gillis.

- Hm. Idę po hamburgera. Coś ci przynieść, Sam?

- Nie, dziękuję. Zjemy coś w hotelu Niny.

- Dobra. - Gillis uśmiechnął się przepaszająco. - Wracam za godzinę.

Wyszedł, zostawiając ich samych. Ale ta chwila już minęła. Jeżeli nawet Sam zamierzał ją pocałować, nic już na to nie wskazywało.

- Odwiozę cię teraz - rzekł po prostu.

W samochodzie poczuła się tak, jakby powrócili do dnia, gdy zobaczyli się po raz pierwszy, kiedy był detektywem o kamiennej twarzy, a ona otumanioną ofiarą. Tak jakby wydarzenia minionego tygodnia - ich wspólne wieczory i noc spędzona naprawdę razem - nie miały w ogóle miejsca. Wygląda na to, że jest zdecydowany unikać rozmowy o uczuciach. Jedynym bezpiecznym tematem jest sprawa. Ale i tu Sam nie był gadatliwy.

- Zauważyłam, że rozesłaliście portret pamięciowy.

- Jest wszędzie, telewizja, gazety.

- Jakiś odzew?

- Zostaliśmy zasypani informacjami. Straciliśmy cały dzień na ich sprawdzenie. Ale nic z tego nie wynika.

- Obawiam się, że mój opis nie pomógł.

- Zrobiłaś, co mogłaś.

Wyjrzała przez okno na ulice śródmieścia. Była już ósma, letni zmierzch przeradzał się w noc.

- Gdybym go zobaczyła, tobym go poznała. Jestem pewna.
 - Tylko tego od ciebie potrzebujemy.
- I ty też tylko tego ode mnie potrzebujesz, pomyślała ze smutkiem.
- A co się będzie działo jutro? - spytała.
 - Mamy nadzieję, że ktoś go rozpozna.
 - Czy Spectre w ogóle jest w Portland?
 - Instynkt podpowiada mi, że tak. I że knuje coś dużego. A ty jesteś główną przeszkodą. Dlatego musimy trzymać cię w ukryciu.
 - Dłużej tego nie wytrzymam. Nie mogę nawet zadzwonić.
 - Nie chcemy, żeby ktoś wiedział, gdzie jesteś.
 - Nikomu nie powiem. Obiecuję. Źle się z tym czuję, że jestem taka odcięta od wszystkich.
 - Dobrze - westchnął. - Do kogo chcesz zadzwonić?
 - Mogłabym zacząć od mojej siostry Wendy.
 - Myślałem, że nie jesteście w dobrych stosunkach.
 - Nie, ale to w końcu moja siostra. I może przekazać całej rodzinie, że u mnie wszystko w porządku.
- Pomyślał przez chwilę, a potem powiedział:
- Dobrze, dzwoń. Z telefonu w samochodzie. Ale...
 - Wiem, wiem. Nie mów jej, gdzie jestem. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer Wendy.
 - Rezydencja państwa Haywardów.
 - Mówi Nina. Jestem siostrą Wendy. Czy ją zastałam?

- Przykro mi, ale państwo Hayward wyszli. Jestem opiekunką do dzieci. Czy ma do pani oddzwonić?
- Nie, nie będzie mnie. Ale może spróbuję później. Czy pani wie, o której wróci?
- Są w Teatrze Branta na imprezie Fundacji Pomocy Prawnej. Do dziesiątej trzydzieści. A potem zwykle idą na kawę, więc spodziewam się, że będą w domu około północy.
- O, to za późno. Zadzwoń jutro. Dziękuję. - Nina odłożyła słuchawkę i westchnęła zawiedziona.
- Nie ma jej?
- Nie. Powinam się spodziewać, że ich nie będzie. W kancelarii Jake'a dzień pracy nie kończy się o piątej. Wieczory też są zajęte na spotkania biznesowe.
- Twój szwagier jest adwokatem?
- Ma ambicję zostać sędzią. A ma dopiero trzydzieści lat.
- Szybki zawodnik.
- Tak, i potrzebuje szybkiej żony. Wendy jest w tym doskonała. Założę się, że teraz w teatrze kokietuje jakiegoś sędziego. Potrafi to zrobić bez wysiłku. To ona jest w rodzinie politykiem. - Spojrzała na Sama i zobaczyła, że zmarszczył czoło. - Coś się stało?
- W jakim teatrze? Dokąd poszli?
- Do Teatru Branta. Na imprezę na cel charytatywny.
- Imprezę charytatywną?
- Opiekunka powiedziała, że to na Fundację Pomocy Prawnej. Dlaczego pytasz?

- Teatr Branta. Znow jest otwarty?
 - Od miesiąca. Przedtem to był koszmar. Te wszystkie pornosy.
 - Cholera jasna! Dlaczego o tym nie pomyślałem? Bez ostrzeżenia zawrócił z piskiem opon i skierował się w stronę centrum, skąd właśnie przyjechali.
 - Co ty robisz? - zawołała.
 - Teatr Branta. Kto tam będzie? Jak myślisz?
 - Sami prawnicy.
 - Racja. I nasz ogólnie szanowany prokurator okręgowy, Norm Liddell. Nie kocham specjalnie prawników, ale też nie mam ochoty na zbieranie ich martwych ciał.
 - Myślisz, że to teatr będzie celem?
 - Potrzebują dzisiaj bileterów. Pomyśl. Jak jest ubrany bileter?
 - Często są to czarne spodnie i biała koszula.
 - Ale w takim wspaniałym starym teatrze jak Brant? Mogą być ubrani w zielone marynarki z czarnym szamerunkiem...
 - I tam jedziemy? Skinął głową.
 - Chcę, żebyś się przyjrzała. Może jesteśmy blisko. Powiesz mi, czy mundur, jaki widziałas, mógł należeć do biletera teatralnego.
- Kiedy zatrzymali się naprzeciwko teatru, było już po ósmej. Sam nie tracił czasu na parkowanie; postawił samochód na ukos, na zakazie. Kiedy wysiedli, portier zawołał:
- Hej, nie możecie tu parkować!
 - Policja! - Sam pokazał odznakę. - Musimy wejść.

Hol był pusty. Przez zamknięte drzwi wiodące na widownię dobiegały klarnety grające bluesa, synkopo-wy rytm perkusji. Nigdzie nie było widać żadnego biletera.

Sam otworzył drzwi i wśliznął się na salę. Po chwili wrócił z protestującym głośno bileterem.

- Popatrz - rzekł do Niny. - To ten?

Nina popatrzyła na krótką zieloną marynarkę z czarnym szamerunkiem i złotymi guzikami.

- Tak. To ten.

- Ilu bileterów dziś pracuje? - zapytał Sam.

- Kim pan jest?

- Policja. Tu może być bomba. Szybko. Ilu bileterów?

- Bomba? - Wzrok mężczyzny nerwowo pobiegł w stronę głównych drzwi. - Dziś mamy czterech.

- Tylko czterech?

- Tak. Jeden nie przyszedł.

- Ten bez palca?

- Kurde, nie wiem. Nosimy rękawiczki. Bileter znowu popatrzył w stronę wyjścia.

- Naprawdę myślicie, że tu może być bomba?

- Nie stać nas na pomyłkę. Muszę ewakuować ludzi. - Sam spojrzał na Ninę. - Zaczekaj na mnie w samochodzie.

- Przecież będziesz potrzebował pomocy... Widziała, jak otworzył drzwi i poszedł szybko środkowym przejściem, wspiął się na

scenę i skierował się w stronę oburzonego dyrygenta. Muzycy przestali grać. Sam schwycił mikrofon.

- Panie i panowie. Policja. Alarm bombowy. Spokojnie, ale szybko, proszę wszystkich o opuszczenie budynku. Powtarzam, proszę zachować spokój i opuścić teatr.

Nina musiała się cofnąć, by uniknąć napierającego tłumu. W zamieszaniu straciła Sama z pola widzenia, ale ciągle słyszała jego głos.

- Proszę zachować spokój. Nie ma bezpośredniego zagrożenia. Proszę opuścić budynek.

On wyjdzie ostatni, pomyślała. To jemu zagraża największe niebezpieczeństwo, jeżeli bomba jednak wybuchnie.

Teraz ucieka najwięcej ludzi. Tłum mężczyzn i kobiet w wieczorowych strojach. Względny porządek załamał się tak niespodziewanie, że nawet nie spostrzegła tej chwili. Może ktoś przydepnął brzeg długiej sukni; może zbyt wiele stóp biegło w stronę wyjścia. Nagle ludzie zaczęli się potykać i przewracać. Jakaś kobieta krzyczała. Ci, którzy jeszcze byli na widowni, natychmiast wpadli w panikę.

I ruszyli w stronę wyjścia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nina patrzyła z przerażeniem, jak kobieta w długiej wieczorowej sukni pada pod nogi tłumu. Próbowwała dotrzeć do niej, ale musiała ulec napierającej sile i znalazła się na ulicy.

Chodnik zappełnił się już oszołomionymi uciekinierami. Z ulgą zauważyła w oddali Wendy i Jake'a; przynajmniej siostra jest bezpieczna. Fala ludzi w drzwiach teatru zdawała się słabnąć. Ale gdzie jest Sam? Czy już wyszedł? Nagle spostrzegła go w tłumie koło głównych drzwi. Obejmował ramieniem starszego mężczyznę, którego wyprowadził i posadził na chodniku, opierając o latarnię.

Kiedy Nina ruszyła ku nim, Sam zawołał:

- Potrzebuje pomocy. Zajmij się nim!
- Dokąd idziesz?
- Wracam. W sali jest jeszcze kilka osób. - Pomogę ci...
- Pomożesz mi, jeśli tu zostaniesz. Zaopiekuj się nim.

On ma swoją pracę, pomyślała, patrząc na Sama wbiegającego do budynku. Ja też. Skierowała uwagę na starszego mężczyznę opartego o słup latarni.

Uklękła obok niego i zapytała:

- Jak się pan czuje?
- Mam ból w klatce piersiowej...

O nie. Atak serca. A karetki nie widać. Natychmiast położyła go na chodniku, zbadała puls i rozpięła koszulę. Była tak zajęta swoim pacjentem, że ledwo zauważyła pierwszy wóz patrolowy, który zatrzymał się przed teatrem.

Zdezorientowany tłum żądał wyjaśnień.

Podniosła głowę i zobaczyła, jak Sam przepycha się znowu przez główne wejście, niosąc kobietę w długiej wieczorowej sukni. Położył ją u stóp Niny.

- Jest jeszcze jedna - powiedział i zawrócił.

- Navarro! - zawołał ktoś.

Sam odwrócił się na widok mężczyzny w smokingu.

- Co tu się, do cholery, dzieje?

- Nie mogę teraz, Liddell. Muszę coś zrobić.

- Jest zagrożenie bombowe? Ktoś dzwonił?

- Nikt nie dzwonił.

- To dlaczego zarządziłeś ewakuację?

- Uniform biletera.

Sam znowu skierował się do wejścia.

- Navarro! - wrzasnął Liddell. - Żądam wyjaśnień! Są ranni! Jeżeli nie możesz tego wytłumaczyć...

Sam zniknął w drzwiach wejściowych. Liddell miotał się przed teatrem, czekając na dalszy ciąg awantury. W końcu sfrustrowany zawołał:

- Odpowiesz mi za to, Navarro!

To były jego ostatnie słowa przed eksplozją.

Podmuch odrzucił Ninę w tył. Upadła, zdzierając łokcie o chodnik, ale nie czuła bólu. Szok ogłuszył ją i pozostawił w stanie zawieszenia i nierzeczywistości. Widziała odłamki szkła uderzające w zaparkowane samochody. Dym wijący się w powietrzu i dziesiątki ludzi leżących na asfalcie, tak samo oszołomionych jak ona. Główne

drzwi do teatru wygięte pod przedziwnym kątem i wiszące na jednym zawiasie.

W przenikliwej ciszy usłyszała pierwszy jęk. Potem następny. Potem płacz i krzyki rannych. Z trudem usiadła i dopiero wtedy poczuła ból. Zdarte łokcie krwawiły. Głowa bolała ją tak, że ledwo powstrzymała torsję. Ale wraz ze świadomością bólu powoli zaczęła powracać pamięć tego, co wydarzyło się tuż przed eksplozją.

Sam. Sam wszedł do budynku.

Gdzie on jest? Rozejrzała się po ulicy i chodniku, ale widziała wszystko przez mgłę. Zobaczyła, jak Liddell siedzi pod latarnią i jęczy. Przy nim był przytomny już mężczyzna, którego Sam wcześniej wyciągnął z teatru.

Niezdarnie wstała i natychmiast uderzyły ją nudności, tak że upadła na kolana. Z trudem je przezwyciężyła i dotarła do wejścia. W środku było ciemno, zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć. Jedynym źródłem światła była ponura poświata dobiegająca z ulicy przez szklane drzwi. Potknęła się o gruz i wylądowała na kolanach. Szybko wstała, choć wiedziała już, że to beznadziejne. Poruszanie się w ciemnościach, a tym bardziej odnalezienie kogoś było niemożliwe.

- Sam? - zawołała, posuwając się w głąb holu.

- Sam? - Jej własny głos, przepełniony rozpaczą, odpowiedział jej echem.

Pamiętała, że wszedł do holu tuż przed wybuchem.

- Sam!

Tym razem usłyszała przytłumioną odpowiedź.

- Nina? - Nie dochodziła z budynku, tylko z ze-wnątrz. Z ulicy. -Nina?

- Jestem tutaj. Tutaj...

Przedarła się przez ciemności i znalazła się w uścisku, który nie był wcale delikatny.

- Co ty, u licha, robisz w środku? - zapytał ostro.

- Szukam ciebie.

- Miałaś zostać na ulicy. Z dala od budynku. Kiedy nie mogłem cię znaleźć...

Jego ramiona otoczyły ją mocniej, przytulając ją tak, że wydawało się jej, że w jej piersi bije jego serce.

- Następnym razem masz mnie słuchać.

- Myślałam, że jesteś w środku.

- Wyszedłem innymi drzwiami.

- Nie widziałam cię!

- Wyciągałem ostatniego widza. Wydostaliśmy się w chwili, kiedy wybuchła bomba. Odrzuciło nas na chodnik.

Puścił Ninę, by na nią popatrzeć. Dopiero wtedy zobaczyła krew spływającą z jego skroni.

- Sam, musi obejrzeć cię lekarz.

- Jest dużo ludzi, którzy potrzebują lekarza. - Rozejrzał się wokół. - Mogę poczekać.

Nina dopiero teraz zauważyła otaczający ich chaos.

- Musimy zorganizować transport rannych. Do roboty.

- Czujesz się na siłach?

Kiwnęła głową i posłała mu szybki uśmiech.

- To mój numer popisowy, detektywie. Wypadki. Poszła w tłum. Teraz, kiedy wiedziała, że Sam jest cały i zdrowy, mogła skoncentrować się na tym, co konieczne. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że to będzie pracowita noc. Nie tylko tutaj, na ulicy, ale i w izbie przyjęć. Wszystkie szpitale w okolicy wezwą pielęgniarki, by zajęły się ofiarami.

Głowa bolała ją bardziej niż kiedykolwiek, zdarte łokcie piekły przy każdym ruchu. Ale teraz jest tu jedyną pielęgniarką. Zajęła się najbliższą raną kobietą, której noga krwawiła. Uklękała, oderwała pas materiału od dołu sukni i sprawnie wykorzystwała go jako opaskę uciskową. Kiedy zawiązywała prowizoryczny opatrunek, z satysfakcją stwierdziła, że krwotok się zatrzymał. To na początek, pomyślała i poszukała wzrokiem kolejnego pacjenta. Były ich dziesiątki...

Po drugiej stronie ulicy, z twarzą ukrytą w cieniu, stał Vincent Spectre i przeklinał. Sędzia Stanley Dalton i Norm Liddell przeżyli. Spectre widział młodego prokuratora okręgowego, jak siedział oparty o latarnię, trzymając się za głowę. Blondynka to pewnie jego żona. Tkwili w środku chaosu, otoczeni dziesiątkami innych rannych widzów. Nie da się po prostu podejść i wykończyć Liddella. Za dużo świadków. Sam Navarro jest o kilka kroków, i na pewno uzbrojony.

Kolejne upokorzenie. Jego opinia legnie w gruzach, nie mówiąc już o koncie bankowym. Bałwan obiecał mu czterysta tysięcy dolarów za śmierć Daltona i Liddella. Spectre uważał, że to eleganckie

rozwiązanie: wykończyć ich obu naraz. Przy tej liczbie ofiar nikt by nie zgadł, o kogo naprawdę chodziło.

Ale obaj żyją i nie będzie forsy. Zadanie stało się zbyt ryzykowne, by je wykonać, szczególnie z tym Navarro na karku. Z powodu niego trzeba się wycofać.

Wzrok Vincenta zatrzymał się na Ninie. Opatrywała właśnie jednego z rannych. To jej wina - klęska, jaką poniósł. Widocznie przekazała policji tyle informacji, że skojarzyli je z bombą. Mundur biletera na pewno był tu tropem. To kolejny szczegół, o który nie zadbał, no i mamy wynik. Sędzia i prokurator żyją, a kasa poszła się bujać. I do tego ta pielęgniarka może go rozpoznać.

Choć portret pamięciowy jest beznadziejny, Spectre miał przeczucie, że jeżeli Nina go zobaczy, to z pewnością go rozpozna. Stanowi zagrożenie, którego nie mógł dłużej lekceważyć. Ale teraz nie będzie okazji. Nie w tym tłumie, nie na ulicy. Przyjeżdżały kolejne karetki na sygnale. Policja wstrzymała ruch.

Trzeba się zmywać. Spectre odwrócił się na pięcie i oddalił. Z każdym krokiem jego frustracja narastała.

Zawsze szczyił się tym, że uważa na drobiazgi. Każdy, kto pracuje z materiałami wybuchowymi, musi przywiązywać wielką wagę do szczegółów, inaczej nie przeżyje. Spectre zamierzał pozostać w swojej branży, a to oznacza, że musi zadbać o drobiazgi. Więc następnym drobiazgiem będzie Nina.

Sam przystanął na chwilę wśród potłuczonego szkła i zmęczony popatrzył stronę Niny. Minęło półtorej godziny od eksplozji, a na ulicy panowało jeszcze zamieszanie. Wozy policyjne i karetki parkowały po obu stronach, ich światła mrugały jak w dyskotece. Ratownicy byli wszędzie, odrzucali gruz i szukali rannych. Najcięższe przypadki odwieziono już do szpitali, ale dziesiątki jeszcze czekały na transport.

Pośrodku morza nieszczęścia Nina stanowiła oazę spokoju i kompetencji. Patrzył, jak ukłękła przy jęczącym z bólu mężczyźnie i opatrywała jego krwawiącą rękę. A potem szepnęła coś do niego, pogładziła po policzku i zajęła się kolejną ofiarą. Zorientowała się, że ktoś ją obserwuje, i zerknęła w stronę Sama. Na chwilę ich spojrzenia spotkały się ponad tym całym chaosem. Pomachała mu i kiwnęła głową, jak gdyby chciała powiedzieć: będzie dobrze. Potem zwróciła się ku następnemu rannemu.

Sam powrócił znów do śledztwa. Gillis przyjechał trzy kwadranse wcześniej z maską i kombinezonem saperskim. Reszta ekipy dołączyła po kolei - najpierw trzech techników, potem Ernie Takeda i detektyw Cooley. Pojawił się nawet Abe Coopersmith, choć jego obecność była bardziej symboliczna niż praktyczna.

To była działka Sama i wszyscy o tym wiedzieli. Wszyscy trwali w oczekiwaniu.

Sam i Gillis w hełmach z lampkami weszli do teatru. Poszukiwania utrudniały panujące w budynku ciemności. Sam, torując sobie drogę wśród gruzu, posuwał się lewym, a Gillis prawym

przejściem. W tylnych rzędach foteli ucierpiała tylko tapicerka. Ale w miarę zbliżania się do sceny zniszczenia były coraz większe.

- Dynamit, sądząc po zapachu - stwierdził Gillis.

- Wygląda na to, że centrum wybuchu było z przodu.

Sam szedł powoli w kierunku kanału dla orkiestry. Światłem lampki na helmie omiatał ciemności, badając podłogę wokół sceny - a może raczej tego, co było kiedyś sceną. Pozostał tylko stos strzaskanych desek.

- Tutaj jest krater - zauważył Gillis.

Sam dołączył do niego. Obaj ukłękli, by lepiej się kraterowi przyjrzeć. Tak jak przy bombie w kościele tydzień wcześniej, zagłębienie było płytkie, świadczące o eksplozji z opóźnionym zapłonem. Dynamit.

- Trzeci rząd naprzeciwko sceny - powiedział Sam. - Ciekawe, kto tu siedział.

- Numerowane miejsca? Jak myślisz?

- Jeżeli to prawda, to mamy piękną listę potencjalnych ofiar.

- To chyba jasne - potaknął Gillis.

- Możemy wezwać ekipę poszukiwawczą. - Sam wstał i natychmiast zakręciło mu się w głowie. Skutki wybuchu. Ostatnio widział tyle gruzowisk, że chyba mu się mózg zlasował. Trochę świeżego powietrza dobrze mu zrobi.

- W porządku? - zapytał Gillis.

- Tak. Muszę na chwilę wyjść.

Niepewnym krokiem ruszył w stronę holu i drzwi. Na ulicy oparł się o słup latarni, oddychając głęboko. Zawrót głowy minął i Sam się rozejrzał. Tłum przeredził się, rannych już zabrano. Został tylko jeden ambulans.

Gdzie jest Nina? Ta myśl natychmiast go otrzeźwiła. Nigdzie jej nie widział. Sama znikła? Czy ją zabrano?

Młody policjant przy barierkach odgradzających scenę wybuchu, zapytany o pielęgniarkę bez fartucha, powiedział mu, że odjechała w jednej z karettek z rannym.

Podziękował mu, poszedł do swego auta i sięgnął po telefon. Musi się upewnić, czy jest bezpieczna. Wykreślił numer izby przyjęć jej szpitala. Linia była zajęta.

Zniechęcony wsiadł do samochodu.

- Jadę do szpitala! - zawołał w kierunku Gillisa. - Zaraz wracam. Nie zwracając uwagi na zdziwienie partnera, odbił od krawężnika i wyminął parkujące pojazdy policyjne. Kwadrans później zaparkował obok wejścia do izby przyjęć. Już w drzwiach słyszał odgłosy bieganiny. Poczekalnia była pełna ludzi. Przepchnął się przez tłum do recepcji, którą obsługiwała zagoniona pielęgniarka.

- Detektyw Navarro, policja z Portland - przedstawił się. - Czy pracuje tu Nina Cormier?

- Nie, nie dzisiaj, o ile mi wiadomo.

- Przyjechała jednym z ambulansów.

- Mogłam jej nie zauważyć. Zaraz sprawdzę. - Połączyła się interkomem i zapytała: - Jest tu policjant. Chce rozmawiać z Niną. Jeżeli jest, może wyjść? Czekał przez dobre dziesięć minut z narastającą niecierpliwością. Nina się nie pojawiała. Tłum w poczekalni gęstniał, a co gorsza, pojawili się reporterzy i kamery. Pielęgniarka w recepcji zapomniała o nim zupełnie.

Nie mógł już czekać dłużej i przepchnął się poza kontuar recepcji.

Pielęgniarka uspokajała rozhisteryzowaną rodzinę; nie zauważyła nawet Sama, który wdarł się na zakazany obszar i podążył teraz korytarzem oddziału ratunkowego. Wszystkie pokoje zabiegowe były zajęte. Widział przerażone twarze, zakrwawione ubrania. Ale Niny nie było.

Wrócił do miejsca, z którego przyszedł, i zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach. Była to sala operacyjna. Zza drzwi dobiegały głosy, dźwięk instrumentów. Zdawał sobie sprawę, że to sytuacja kryzysowa i nie chciał przeszkadzać, ale nie miał wyboru. Otworzył drzwi.

Na stole leżał pacjent. Pod światłami jego ciało było białe i zwiotczałe. Przy nim uwijało się sześć osób - jedna przy reanimacji, inne przy kroplówkach i lekach. Stał jak wryty, przerażony tą sceną.

- Sam?

Dopiero wtedy zauważył Ninę, która podeszła do niego z drugiego końca sali. Tak jak pozostałe pielęgniarki, ubrana była w niebieski strój personelu operacyjnego.

Wzięła go za ramię i wyciągnęła na korytarz.

- Co tu robisz? - zapytała ściszym głosem.

- Znikłaś. Nie wiedziałem, co się z tobą stało.

- Przyjechałam karetką. Pomyślałam, że będą mnie potrzebować. - Spojrzała na drzwi sali. - I miałam rację.

- Nino, nie możesz tak po prostu zniknąć, nic mi nie mówiąc! Bałem się o ciebie.

Jej twarz wyrażała spokój i zdziwienie. Milczała.

- Słuchasz mnie? - zapytał. - Tak - odrzekła cicho. - Ale nie wierzę własnym uszom. Chyba się wystraszyłeś.

- Nie. Tylko... Chciałem powiedzieć... - Zrezygnowany potrząsnął głową. - Dobrze. Wystraszyłem się. Nie chciałem, żeby ci się coś stało.

- Bo jestem twoim świadkiem?

Spojrzał jej w oczy, te piękne i poważne oczy. Nigdy dotąd nie czuł się tak uzależniony. To było nowe uczucie i wcale mu się nie podobało. Nie należał do mężczyzn, których łatwo można nastraszyć, ale fakt, że doświadczył takiego strachu na myśl, że mógłby ją utracić, uświadomił mu, że zaangażował się o wiele bardziej, niż miał to w planach.

- Sam? - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. Schwycił jej dłoń i delikatnie opuścił.

- Następnym razem musisz mi powiedzieć, dokąd idziesz. Chodzi o twoje życie. Jeżeli chcesz ryzykować, to twoja sprawa. Ale

dopóki nie zaaresztujemy Spectre'a, to ja za ciebie odpowiadam. Rozumiesz?
Uwolniła dłoń; był to gest nie tylko fizyczny, ale mający też znaczenie emocjonalne, i to go zraniło.

- Rozumiem to doskonale - odrzekła sztywno.
- To dobrze. A teraz powinnaś wrócić do hotelu.
- Nie mogę teraz wyjść. Potrzebują mnie.
- Ja ciebie też potrzebuję. Żywej.
- Rozejrzyj się! - Wskazała na zapchaną rannymi poczekalnię. -Ci wszyscy ludzie muszą być zbadani i opatrzeni. Nie mogę tak po prostu wyjść.
- Nino, mam zadanie do wykonania. A twoje bezpieczeństwo jest jego częścią.
- Ja też mam zadanie do wykonania!

Na chwilę ich wzrok się spotkał. Potem Nina wyrzuciła z siebie:

- Nie mam na to czasu! - i ruszyła w stronę sali.
- Nina!
- Wykonuję moją pracę. A ty zajmij się swoją.
- Przyślę kogoś, żeby cię pilnował.
- Rób, co chcesz.
- O której skończycie?

Zatrzymała się i spojrzała na czekających pacjentów.

- Mogę tylko zgadywać. Rano?
- A więc przyjadę po ciebie o szóstej.

- Jak pan uważa, detektywie - odparowała i popchnęła drzwi do sali. Widział ją jeszcze przez chwilę, jak dołączyła do zespołu chirurgicznego, a potem drzwi się zamknęły.

Ona ma rację, pomyślał. Powiniennem zająć się pracą. Z telefonu w wozie połączył się z Presslerem i kazał mu przysłać swojego zmiennika do izby przyjęć Centrum Medycznego Maine, by podjął służbę w nocy. Uspokojony, że Nina będzie w dobrych rękach, wrócił na miejsce eksplozji. Była jedenasta trzydzieści. Noc dopiero się zaczynała.

Tylko siłą woli przetrwała następne siedem godzin. Rozmowa z Samem zraniła ją i rozgniewała. Musiała zmusić się, by skoncentrować się na pracy i zająć się dziesiątkami rannych wypełniających poczekalnię. Lecz co jakiś czas, kiedy robiła sobie przerwę, by zebrać myśli lub odetchnąć, przyłapywała się na tym, że zastanawia się nad słowami Sama.

„Mam zadanie do wykonania. A twoje bezpieczeństwo jest jego częścią”. To wszystko, czym ona jest dla niego? Zadaniem, ciężarem? A czego właściwie oczekiwała? Od samego początku był funkcjonariuszem państwowym, uosobieniem chłodu. Oczywiście, że miał przebłyski cieplejszych uczuć. Czasem nawet można było w nim dostrzec człowieka o prawdziwej dobroci. Ale zawsze, gdy była przekonana, że ujrzała prawdziwego Sama, uciekał jak oparzony.

Tej nocy tylko praca trzymała ją przy życiu. Nawet nie zauważyła, kiedy wstało słońce. Przed szóstą była już tak zmęczona, że z trudem utrzymywała się na nogach, ale przynajmniej poczekalnia

była pusta. Większość personelu medycznego, jeszcze pod wpływem szoku, zebrała się w pokoju wypoczynkowym na zasłużoną kawę. Nina już miała do nich dołączyć, kiedy usłyszała swoje imię.

Odwróciła się i zobaczyła Sama. Wyglądał na równie wyczerpanego jak ona. Zmęczone oczy, nieogolona twarz. Na jego widok gniew, który wzbierał w niej przez całą noc, zniknął natychmiast. Mój biedny, biedny Sam, pomyślała. Dajesz z siebie tak wiele, a czy ktoś ci podziękuje?

Nie odezwał się, tylko popatrzył na nią ze znużeniem. Otoczyła go ramionami i przez chwilę stali objęci, drżąc ze zmęczenia. Potem usłyszała jego cichy głos:

- Chodźmy do domu.

- Tak. Chcę tego - odrzekła z uśmiechem.

Nie pamiętała, jak dotarli na miejsce. Wiedziała tylko, że przysnęła i chwilę później znalazła się już na podjeździe, a Sam próbował ją dobudzić. Razem dowlekli się do domu, do jego sypialni. Nie miała siły na żadne zdrożne myśli, nawet wtedy, gdy rozebrali się i padli do łóżka, nawet gdy jego usta dotknęły jej twarzy i poczuła we włosach jego ciepły oddech i zasnęła.

Było jej tak ciepło, tak cudownie, kiedy leżała obok niego. Jak gdyby tu było jej miejsce, w jego łóżku. Sam patrzył zaspanymi oczyma na Ninę, która spała jak kamień. Było już po południu. Powinien wstać dawno temu, ale nie miał na to siły. Robi się za stary na tę pracę. Przez ostatnie osiemnaście lat był gliniarzem pełną gębą. Chociaż przeżywał momenty, kiedy nienawidził swej pracy, kiedy jej

ponure strony przyćmiewały fakt, że ją kochał, to nigdy dotąd nie miał wątpliwości co do swego powołania. A teraz zupełnie przestało mu na tym zależeć.

Teraz pragnął spędzić wieczność w tym łóżku, patrząc na tę kobietę. Napawał się jej widokiem. Tylko we śnie mógł bezpiecznie się jej przyglądać. Inaczej czuł się zbyt odsłonięty, mogła odczytać jego myśli, przełamać bariery, dotrzeć prosto do jego serca. Bał się przyznać, nawet przed sobą samym, do uczucia, jakie do niej żywił.

Nie może dopuścić, by odeszła. Czy to znaczy, że ją kocha? Tego nie wiedział. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie tak sprawy miały się potoczyć.

Poprzedniej nocy na gruzach teatru podziwiał tę nową Ninę, jakiej przedtem nie znał. Kobietę pełną współczucia i jednocześnie siły.

Byłoby bardzo łatwo się w niej zakochać, ale to byłby błąd. Za miesiąc, za rok przejrzy na oczy i zobaczy, kim on jest naprawdę: zwykłym facetem wykonującym swą pracę najlepiej jak potrafi, a nie bohaterem z odznaką policyjną. Tymczasem ona w tym szpitalu, otoczona facetami takimi jak Robert Bledsoe, z tytułami naukowymi i rezydencjami nad oceanem... Czy szybko zmęczyłaby się gliną, który się w niej zakochał?

Usiadł na brzegu łóżka i przeczesał ręką włosy, próbując pozbyć się resztek snu. Jego umysł pracował na pół gwizdka. Potrzebował kawy, jedzenia, czegokolwiek, by zaskoczyć. Jeszcze tyle szczegółów do wyjaśnienia, tyle wątków do sprawdzenia.

Nagle poczuł na plecach dotknięcie miękkie jak jedwab. Natychmiast zapomniał o pracy. Odwrócił się i zobaczył, że Nina uśmiecha się do niego, jeszcze zaspana, ale wypoczęta i zadowolona.

- Która godzina?

- Dochodzi trzecia.

- Tak długo spaliśmy?

- Oboje potrzebowaliśmy snu. Mogliśmy się zrelaksować, bo Pressler obserwuje dom.

Otworzyła ramiona. Trudno się było oprzeć takiemu zaproszeniu. Przyjmując je z westchnieniem, położył się obok Niny i poszukał jej ust. Ich ciała zareagowały natychmiast. Ramiona splotły się, stali się jednym ciepłem. Nie miał już odwrotu, za bardzo jej pragnął. Chciał poczuć, jak się połączą po raz ostatni. Jeżeli nie może jej zatrzymać, to może ją mieć choć przez chwilę. I na zawsze zapamięta jej twarz, jej uśmiech, jej słodki jęk pożądania. Ale nawet gdy osiągnął szczyt, kiedy ogarnęło go wspaniałe uczucie ulgi, pomyślał, że to za mało.

To zawsze będzie za mało. Nie pragnął tylko jej ciała, pragnął jej duszy.

Zaspokoił na jakiś czas swoją namiętność, ale w dalszym ciągu nękało go poczucie depresji i braku satysfakcji. Nie tego oczekuje samotny facet. Był zły na siebie, że doprowadził do tej sytuacji. Pozwolił tej kobiecie zająć tak ważne miejsce w swoim życiu. Coraz ważniejsze.

Teraz może tylko uciec. Wstał i poszedł wziąć prysznic. Kiedy pojawił się znowu, jeszcze mokry, siedziała na brzegu łóżka i przyglądała mu się ze zdziwieniem.

- Muszę wracać do pracy - oznajmił, wkładając czystą koszulę. -Poproszę Presslera, żeby wszedł do środka.
- Bomba wybuchła i to kończy sprawę. Spectre jest już pewnie o tysiąc mil stąd.
- Nie mogę ryzykować.
- Inni też mogą go rozpoznać. Na przykład bileterzy.
- Jeden uderzył głową o krawężnik. Na przemian traci i odzyskuje przytomność. Drugi nie może się nawet zdecydować co do koloru oczu Spectre'a. Oto jak pomocni są bileterzy.
- Ale masz innych świadków i Spectre o tym wie. To nam rozwiązuje sprawę.
- Co przez to rozumiesz?
- Mogę przestać się martwić, że będę ofiarą, a ty nie musisz już mnie ochraniać. I możesz wrócić do pracy.
- To jest część mojej pracy.
- Już mi o tym mówiłeś.

Uniosła brodę. W jej oczach błysnęły łzy.

- Szkoda, że nie jestem czymś więcej niż twoja praca. O Boże, chciałabym...
- Nino, proszę. To nie pomaga ani tobie, ani mnie. Opuściła głowę. Ukląkł przed nią i wziął ją za rękę.
- Wiesz, że mi się podobasz. Zaśmiała się ironicznie.

- To chyba oczywiste.
- Jesteś wspaniałą dziewczyną. Jeżeli kiedyś mnie przywiozą karetką do szpitala, mam nadzieję, że to ty się mną zajmiesz.
- Ale?
- Ale... nie mogę sobie wyobrazić nas razem. Nie na dłuższą metę.
- Zranił ją i nienawidził siebie za tchórzostwo. Nie miał w sobie głębokiej wiary w przyszłość ich związku. Nie miał wiary w nią. Jednego był tylko pewien - tego, że nigdy jej nie zapomni. Wstał, ale Nina nie zareagowała.
- Tu nie chodzi o ciebie, Nino, tylko o mnie. Wiele lat temu coś się wydarzyło. Przekonało mnie to, że sytuacja, w jakiej się znajdujemy, nie może trwać. Jest sztuczna. Przerażona kobieta. Glina. Prowadzi to do mało realistycznych oczekiwań.
- Daruj sobie te wykłady z psychologii, Sam. Nie muszę słuchać o źle ulokowanych uczuciach.
- Musisz mnie zrozumieć. Bo to działa w dwie strony. Co ty czujesz do mnie i co ja czuję do ciebie. Chcę się tobą opiekować, chcę cię ochraniać. Ja też nie mogę dać sobie z tym rady.
- Powiedziałeś, że coś się wydarzyło. Kobieta...? Skinął głową.
- Ta sama sytuacja? Przestraszona kobieta, opiekuńczy glina? Znow skinął głową.
- Och! - Potrząsnęła głową i mruknęła: - Ale wpadłam.
- Oboje wpadliśmy.
- I kto kogo zostawił, Sam? Poprzednim razem?

- Zdarzyło się to tylko raz. Poza tobą. Odwrócił się i zaczął spacerować po pokoju.

- Byłem początkującym gliną. Dwadzieścia dwa lata. Przydzielono mnie do ochrony kobiety, za którą ktoś chodził. Mówiła, że ma dwadzieścia osiem lat, ale była bliżej czterdziestki. Nic dziwnego, że się zadurzyłem. Najdziwniejsze było to, że z wzajemnością. Przynajmniej do chwili, kiedy kryzys minął.

Wtedy stwierdziła, że nie jestem wcale taki wspaniały. I miała rację. - Urwał i spojrzał na nią. - To jest ten cholerny realizm życiowy. Odziera nas ze złudzeń. A ja jestem zwykłym, ciężko pracującym gliniarzem. Najczęściej uczciwym. Bystrzejszym niż inni, głupszym od jeszcze innych. Krótko mówiąc, nie jestem bohaterem. Więc kiedy to zrozumiała, odwróciła się na pięcie i odeszła w siną dal, pozostawiając za sobą smutnego, za to mądrzejszego żółtodzioba.

- I myślisz, że ja to też zrobię.

- Powinnaś. Bo zasługujesz na tak wiele, Nino. Więcej, niż mógłbym ci dać.

- To, czego naprawdę chcę, nie ma nic wspólnego z tym, co może mi dać jakikolwiek mężczyzna.

- Pomyśl o Robercie. O tym, co mogliście mieć.

- Robert to doskonały przykład! Miał wszystko. Poza tym, czego od niego potrzebowałam.

- A co to było?

- Miłość, lojalność. Uczciwość. Właśnie to pragnął jej ofiarować.

- Teraz myślisz, że to wystarcza. Ale kiedyś możesz stwierdzić, że to za mało.
- To więcej, niż otrzymałam od Roberta. - Więcej, niż dostanę kiedykolwiek od ciebie, mówiły jej oczy.

Nie próbował przekonywać jej, że może być inaczej.

- Zawołam Presslera. Zostanie z tobą przez cały dzień.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Nie powinnaś być sama.

- I nie będę. Wrócę do domu ojca. Jest tam skomplikowany system alarmowy.

No i psy. Teraz, kiedy już wiemy, że to nie Daniella biega w kółko,

podkładając bomby, będę tam bezpieczna. - Rozejrzała się wokół. - Zresztą nie powinnam się ukrywać u ciebie w domu.

- Możesz tu zostać tak długo, jak to będzie konieczne.

- Nie rozumiesz, Sam. Jest jasne dla nas obojga, że ten związek nie ma przyszłości.

Nie podjął dyskusji. I to, nie co innego, ubodło ją najbardziej. Poznał to po jej twarzy.

- Zawiozę cię tam - powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł, bo nie mógł znieść jej wzroku.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Chyba wiemy, kto miał być ofiarą - stwierdził Sam. - Nasz wspaniały prokurator okręgowy, Liddell.

Abe Coopersmith patrzył to na niego, to na Gillisa.

- Jesteście pewni?

- Chyba tak. Bomba musiała być podłożona gdzieś trzecim rzędzie, między miejscami siódmym a dziesiątym. Zaproszenia były rezerwowane parę tygodni wcześniej. Zanalizowaliśmy listę zaproszonych siedzących na tych miejscach, lub niedaleko nich. Liddell i jego żona byli w samym środku.

Zginęliby na miejscu.

- Kto jeszcze siedział w tym rzędzie?

- Sędzia Dalton, kilka foteli dalej - odrzekł Gillis. - Pewnie też by zginął. Lub zostałby poważnie ranny.

- A inni goście w tym rzędzie?

- Sprawdziliśmy ich. Profesor prawa z Kalifornii. Kilku krewnych sędziego Daltona. Para pracowników kancelarii prawnej. Wątpliwe, czy ktoś z nich zainteresowałby płatnego zabójcę. I pewnie zainteresuje pana ostatni raport Erniego. Dynamit marki Dupont. Lont firmy Prima. Zielona taśma izolacyjna.

- Spectre - zawyrokował Coopersmith. Usiadł wygodniej i westchnął ze znużeniem. Wszyscy byli zmęczeni. Każdy z nich pracował przez całą noc, potem złapał kilka godzin snu i wrócił na posterunek. Była piąta po południu, niedługo zacznie się kolejna noc. - Ten facet powraca z zaświatów z żądzą krwi - dodał.

- Tak, ale coś nie ma szczęścia - zauważył Gillis. - Niedoszłe ofiary przeżyły zamach. Liddell. Sędzia Dalton. Nina Cormier. Legendarny Vincent Spectre musi być bardzo sfrustrowany.

- A jaki wstyd! - dodał Sam. - Ucierpiała jego opinia, a może nawet po takim niepowodzeniu jest skończony.

- Wiemy, kto go wynajął?

Sam i Gillis wymienili spojrzenia.

- Zgadujemy w ciemno.

- Billy Binford?

Sam potwierdził skinieniem głowy.

- Jego proces ma się odbyć za miesiąc. Liddell był przeciwny ugodzie. Mówi się, że wyrok skazujący jest mu potrzebny w kampanii wyborczej. Bałwan wie, że grozi mu wiele lat więzienia. Chce się pozbyć Liddella.

- Gdyby Sam nie ewakuował teatru - wtrącił Gillis

- to stracilibyśmy połowę prokuratorów. Sądy zostałyby zablokowane na kilka miesięcy. Tym sposobem prawnicy Binforda załatwiliby mu ugodę.

- Czy możemy to udowodnić?

- Jeszcze nie. Adwokat Binforda, Albert Darien, udaje, że nic nie wie.

Laboratorium bada taśmy z kamer w więzieniu i przygląda się osobom odwiedzającym Binforda. Może zidentyfikujemy pośrednika.

- Myślicie, że to nie adwokat?

- To możliwe. Jeżeli znajdziemy pośrednika, możemy go powiązać ze Spectre'em.

- Idźcie tym tropem - zgodził się Abe Coopersmith. - Chcę mieć tego faceta. I to szybko.

Wpół do szóstej odprawa się skończyła, a Sam w poszukiwaniu zastrzyku kofeiny na następne osiem godzin poszedł po kawę do automatu. Zdążył wypić tylko łyk, gdy przybył Norm Liddell. Sam nie mógł stłumić w sobie uczucia satysfakcji na widok siniaków i zadrapań na twarzy prokuratora. Obrażenia nie były znaczne, ale ubiegłej nocy, po eksplozji, Liddell dosyć głośno domagał się pomocy lekarskiej. Jego żona, która miała złamaną rękę, kazała mu się w końcu zamknąć i zachowywać jak mężczyzna. Teraz jego poharatana twarz wyrażała skruchę.

- B...ry wieczór, Navarro - bąknął.

- ...wieczór.

- Chciałbym, no... - Odchrząknął i rozejrzał się wokół, jakby chciał sprawdzić, czy nikt go nie słucha.

- Jak się czuje żona? - zapytał Sam.

- Dobrze. Będzie w gipsie przez jakiś czas. Na szczęście to nie było otwarte złamanie.

- Była wczoraj bardzo dzielna, zważywszy jej obrażenia - ocenił Sam. Nie tak jak ty, pomyślał.

- O tak, moja żona ma nerwy ze stali. Właściwie to o tym chciałem porozmawiać.

- Tak?

- Posłuchaj, Navarro. Wczoraj... chyba niepotrzebnie na ciebie naskoczyłem. Nie wiedziałem, że miałeś informację o bombie.

Sam nie odezwał się ani słowem. Nie chciał przerywać przedstawienia, które sprawiało mu taką radość.

- Kiedy zastanowiłem się nad tą sprawą, nad ewakuacją, uznałem, że powinienem był wiedzieć, że miałaś swoje powody. Ale, do cholery, widziałem tylko tych wszystkich rannych. Myślałem, że doprowadziłeś do tego bez żadnej przyczyny i... - Urwał. Widać było, że ze sobą walczy. - Jak by nie było, przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte. - Po tych słowach Liddell odetchnął z ulgą. - Może pan powiedzieć żonie, że sprawa jest załatwiona.

Wyraz twarzy Liddella zdradził Samowi, że jego podejrzenia były słuszne. Przeprosiny były pomysłem pani Liddell, niech Bóg błogosławi jej nerwy ze stali. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc, jak prokurator sztywno idzie w stronę biura kapitana Cooper-smitha. Pan prokurator okręgowy nie jest w swoim domu tą osobą, która nosi spodnie.

- Hej, Sam! - zawołał Gillis, wkładając po drodze marynarkę. -Idziemy.

- Dokąd?

- Obejrzeć taśmę z więzienia. Bałwan i jego gość sprzed kilku dni.

Sam poczuł nagły przypływ adrenaliny.

- To był Spectre?

- Nie, to była kobieta.

- To ta. Blondynka.

Sam i Gillis pochyłili się w stronę ekranu, by przyrzeć się czarno-białemu obrazowi kobiety. Jej twarz co chwilę zasłaniały inne osoby odwiedzające więzienie. Kobieta miała rzeczywiście jasne włosy, dwadzieścia do trzydziestu lat i figurę seksbomby.

- Dobra, zatrzymaj - powiedział Cooley do technika obsługującego wideo. - Tu ją dobrze widać.

W stop klatce pojawiła się sylwetka kobiety między dwoma innymi odwiedzającymi. Kobieta była ubrana w prostą spódnicę i chyba miała w ręku teczkę. Sądząc po ubraniu, mogła być prawniczką lub kobietą interesu. Ale dwa szczegóły nie pasowały. Jednym były buty. Kamera uchwyciła jej lewą stopę w seksownym sandałku na wysokiej szpilce, z delikatnym paseczkiem w kostce.

- Czegoś takiego nie wkłada się do sądu - zauważył Sam.

- Chyba że chce się uwieść sędziego - dodał Gillis. - I popatrz na jej makijaż. To był ten drugi szczegół, który nie pasował. Żadna prawniczka nie wymalowałaby się tak do pracy. Sztuczne rzęsy. Cienie na powiekach jak tropikalna ryba. Szminka do ust nałożona długimi, śmiałymi pociągnięciami.

- Stary, to nie jest zwykła dziewczyna - zauważył Gillis.

- Jakie jest nazwisko w książce wejść? - zapytał Sam. Cooley spojrział do notatek.

- Wpisała się jako Marilyn Dukoff. Za cel wizyty podała konsultację adwokata z klientem.

Gillis roześmiał się.

- Jeżeli ona jest adwokatem, to idę na prawo.
 - Powiedziała, dla jakiej kancelarii pracuje?
 - Frick i Darien.
 - Kłamała?
 - Nie ma jej na liście partnerów, aplikantów i urzędników. Ale... chyba wiemy, gdzie pracuje.
 - No?
 - Klub Alhambra.
- Gillis spojrział na Sama, robiąc minę „a nie mówiłem”?
- Niech zgadnę! - Sam się roześmiał. - Tancerka egzotyczna.
 - Bingo - potwierdził Cooley.
 - Czy na pewno mówimy o tej samej Marilyn Dukoff?
 - Myślę, że tak - odparł Cooley. - Wszyscy odwiedzający więzienie muszą okazać dowód tożsamości. Blondynka podała nazwisko i przedstawiła prawo jazdy ze stanu Maine. Wyciągnęliśmy jej akta. Tu jest zdjęcie.
- Cooley podał kopię zdjęcia Samowi i Gillisowi.
- To ona - potwierdził Gillis.
 - Myślę, że wparowała pod własnym nazwiskiem i nie zawracała sobie głowy fałszywym dowodem tożsamości. Sfałszowała jedynie zawód.
 - Który nic wspólnego nie ma z prawem - orzekł Gillis.
 - Dobra robota. - Sam skinął głową w stronę Cooleya.
 - Niestety - dodał młody detektyw - nie mogę znaleźć tej kobiety. Rzuciła pracę dwa tygodnie temu. Posłałem człowieka pod

adres na jej prawie jazdy. Nikt nie otwiera. Telefon niedawno odłączono. Chyba pora na rewizję.

- Postarajmy się o nakaz. - Sam wstał i spojrzał na Gillisa. - W samochodzie. Za dziesięć minut.

- Do blondynki?

- Chyba że masz lepsze propozycje?

Gillis zerknął w kierunku ekranu, na którym zatrzymał się obraz zgrabnej kostki i seksownego pantofelka.

- Lepsze niż to? - Roześmiał się. - Nie sądzę. Policja jest zbyt blisko. Spectre, skulony w wejściu do

apartamentowca obok domu Marylin, obserwował wychodzących policjantów. Zdażył wcześniej sprawdzić, czy nie zostawiła śladów mogących doprowadzić do jej obecnego miejsca pobytu. Na szczęście zdołał się wymknąć tuż przed przybyciem Navarry.

Siedzieli tam od godziny. Są dobrzy, ale on jest lepszy. Kilka godzin po eksplozji przeniósł Marilyn do mieszkania w odległej części miasta. Wiedział, że policja odkryje, kim miały być jego ofiary, gdy znajdzie miejsce podłożenia bomby. I że Marilyn stanie się obiektem ich zainteresowania. Na szczęście poszła na współpracę.

Niestety, przestała już być potrzebna, i trzeba będzie zakończyć tę znajomość. Ale przedtem musi wykonać jeszcze jedno zadanie.

Twarz mu stężała na widok znanej sylwetki. Z budynku wyszedł Navarro.

Kojarzył się Vincentowi ze wszystkimi niepowodzeniami ostatniego tygodnia. Ten detektyw jest mózgiem śledztwa, człowiekiem odpowiedzialnym za to, że Liddell jeszcze żyje.

Zamach nieudany. Forsy nie ma. Navarro kosztuje go kupę kasy. Spectre przyglądał się gliniarzom konferującym na chodniku. Była ich piątka, ale to Navarro skupiał na sobie gniew Spectre'a. To była wojna, test na determinację. Najbezpieczniej byłoby wyjechać po cichu z miasta i poszukać kontraktów gdzie indziej. W Miami albo w Nowym Orleanie. Ale jego opinia ucierpiała znacznie; nie był już pewien, czy znajdzie pracę. Miał przeczucie, że Navarro nie zrezygnuje ze śledztwa, że gdziekolwiek Vincent się pojawi, tam będzie go ścigać. A poza tym musi się odegrać. Nie może tak po prostu zniknąć. Trzech gliniarzy wsiadło do nieoznakowanego samochodu i odjechało. Chwilę potem odjechała reszta. Niczego nie znaleźli u Marilyn, już on o to zadbał. Złap mnie, jeśli możesz, Navarro, pomyślał, bo złapię cię pierwszy. Wyprostował się z przytupem, czując, jak krew znowu zaczyna krążyć w jego zdrętwiałych nogach. Wyszedł z wnęki w bramie i za rogiem wsiadł do samochodu. Raz na zawsze musi to załatwić. Plan jest doskonały. Wymaga on pomocy Marilyn. Jeden krótki telefon - i nigdy więcej o nic jej nie poprosi. Kolacja była świetna. Towarzystwo do kitu. Daniella, ubrana w mieniący się złotem, zielony obcisły trykot i krótką portfelową spódniczkę, przebierała obojętnie widelcem w sałacie, ignorując półmisek z pieczoną kaczką i dzikim ryżem. Nie rozmawiała z mężem ani on nie rozmawiał z nią, a Nina czuła się zbyt niezręcznie, by się odezwać.

Po przesłuchaniach sprawa romansu Danielli z Robertem wyszła na jaw. Nina nie mogła wybaczyć jej zdrady, ale mogła się przynajmniej zmusić do spędzenia z nią wieczoru w cywilizowany sposób.

Ojciec jednak był w szoku. Jego żonie na pokaz, blondynce młodszej od niego o trzydzieści lat, nie wystarczało małżeństwo dla pieniędzy. Potrzebowała młodszego mężczyzny. George Cormier, choć zenił się cztery razy, ciągle nie umiał znaleźć właściwej kobiety.

Chyba będzie czwarty rozwód, pomyślała Nina. Spojrzała na ojca, potem na Danielle. Chociaż go kochała, nie mogła powstrzymać się od myśli, że oboje są sobie wari. W najgorszy możliwy sposób.

Daniella odłożyła widelec.

- Wybaczcie - powiedziała - ale nie mam apetytu. Pójdę obejrzeć film.

- A ja? - zdenerwował się George. - Wiem, że jestem tylko starym i nudnym mężem, ale kilka wieczorów w tygodniu to nie jest chyba zbyt wygórowana prośba? Biorąc pod uwagę wszystko, co w zamian dostajesz.

- Co dostaję? - Daniella zerwała się na równe nogi. - Wszystkie pieniądze świata nie zrównoważą małżeństwa z takim starym capem jak ty.

- Capem?

- Starym capem. Słyszysz? Starym. - Pochyliła się nad stołem. -W każdym znaczeniu tego słowa.

On też zerwał się od stołu.

- Ty zdziro...

- No dalej, zbluzgaj mnie. Ja też potrafię. Odrzuciła mchem głowy włosy i wyszła z jadalni.

George jeszcze przez chwilę patrzył za nią. Potem opadł na krzesło i wyszeptał:

- O Boże, co ja miałem w głowie, że się z nią ożeniłem?

Nic nie miałeś w głowie, chciała odpowiedzieć Nina. Dotknęła ramienia ojca.

- Zdaje się, że żadne z nas nie potrafi dobierać sobie małżonka. Prawda?

Popatrzył na córkę ze współczuciem.

- Kochanie, mam nadzieję, że nie odziedziczyłaś po mnie braku szczęścia w miłości.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Kolacja, prawie nietknięta, stała na stole. Z sąsiedniego pokoju dochodziła muzyka. Szybki dudniący rytm taśmy do aerobiku. Daniella starała się poskromić gniew, rzeźbiąc swoje nowe i lepsze ciało. Sprytna dziewczyna - po rozwodzie będzie wyglądać jak milion dolarów.

Nina westchnęła i odsunęła się z krzesłem od stołu.

- Nie wiem, tato, czy to brak szczęścia, czy jakaś wada charakteru, ale niektórym pisana jest samotność.

- Nie tobie, Nino. Ty musisz kogoś kochać. Zawsze musiałaś. I dlatego tak łatwo cię pokochać.

Zaśmiała się smutno, ale nic nie powiedziała. Łatwo pokochać, łatwo porzucić, pomyślała. Ciekawe, co teraz robi Sam. O czym

myśli. Na pewno nie o niej. Za dużo w nim gliniarza, by rozpraszały go nieważne sprawy.

Ale kiedy zadzwonił telefon, nie mogła stłumić w sobie nadziei, że to może on. Serce jej biło mocno, kiedy słuchała Danielli odpowiadającej na telefon.

- To do ciebie, Nino. Szpital.

- Halo?

- Tu Gladys Power, przełożona nocnej zmiany. Przepraszam, że przeszkadzam. Dostałam pani telefon od pani mamy. Kilka osób z personelu jest chorych i chciałabym panią poprosić o zastępstwo w izbie przyjęć.

- Na nocnym dyżurze?

- Tak. Jest nam pani naprawdę potrzebna.

Nina spojrzała w stronę siłowni Danielli, skąd dobiegała coraz głośniejsza muzyka. Musi wydostać się z tego domu. Jak najdalej od tego pola bitwy.

- Dobrze, mogę wziąć zastępstwo.

- To do zobaczenia o jedenastej.

- O jedenastej? - zdziwiła się Nina. Nocna zmiana zaczynała się zwykle o północy. - Mam przyjść godzinę wcześniej?

- Jeżeli pani może. Jest nas za mało także na popołudniowym dyżurze.

- Dobrze. Będę o jedenastej.

Odłożyła słuchawkę i odetchnęła z ulgą. Tego potrzebuje. Pracy. Może osiem godzin sytuacji kryzysowych odwróci jej uwagę od Sama.

Marilyn rozłączyła się.

- Powiedziała, że przyjedzie. Spectre pokiwał głową z aprobatą.

- Bardzo dobrze to załatwiłaś.

- No jasne. - Marilyn obdarzyła go pełnym satysfakcji uśmiechem, który zdawał się mówić: jestem warta każdego centa, którego mi dajesz.

- Niczego nie podejrzewa?

- Nic a nic. Mówię ci, przyjedzie. O jedenastej, tak jak chciałeś. - Marilyn obliznęła drapieżnie wargi i zapytała: - A teraz dostanę to, co zechcę?

- A co chcesz? - Uśmiechnął się.

- Przecież wiesz.

Przykleiła się do niego i rozpięła mu pasek. Bezwiednie wstrzymał oddech, kiedy jej mała gorąca rączka wśliznęła mu się w spodnie. Jej dotyk był rozkoszny, profesjonalny. Umiała sprawić, by mężczyzna błagał o więcej. Cieszymy się chwilą, pomyślał. Ona jest chętna, a on ma jeszcze trochę czasu. Trochę zabawy z Marilyn, a potem trzeba się zabrać do poważnej pracy.

Osunęła się na kolana.

- Powiedziałeś, że mi zapłacisz tyle, ile jestem warta.

- Obiecałem...

- Jestem warta bardzo dużo. Prawda?

- Tak... tak...

- A mogę być warta jeszcze więcej.

Szarpnął się gwałtownie z rozkoszy i oddychając ciężko, pieścił jej twarz i szyję. Taka długa smukła szyja. Tak łatwo można by teraz skończyć. Ale niech najpierw ona skończy...

- O tak - wyszeptała. - Jesteś gotowy. Przyciągnął ją mocno do siebie i pomyślał, że może szkoda...

Było wpół do jedenastej, kiedy Sam, zmęczony, wszedł do domu. Najpierw usłyszał ciszę. Pustka. Dom stracił duszę.

Zapalił światła, ale to też nie rozwiało cieni. Od trzech lat był to jego dom, do którego co dzień wracał. Teraz to miejsce było zimne i obce. Kolacja? Nie miał siły gotować. Przez cały wieczór chciał zadzwonić, ale zawsze coś mu przeszkadzało. Teraz ma chwilę spokoju i zadzwoni do niej. Powie jej to, co bał się powiedzieć wcześniej. To, czego nie może już dłużej ukrywać przed nią ani przed sobą.

Zdał sobie z tego sprawę w trakcie przeszukiwania mieszkania Marilyn Dukoff. Stał w sypialni tej kobiety i wpatrywał się w puste szuflady i materac w paski. I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ogarnęło go uczucie samotności tak silne, że poczuł ból w sercu. Bo ten opuszczony pokój stał się nagle symbolem jego życia. Spełniał jakiś cel, miał swoją funkcję, a jednak był całkiem pusty. Za długo już jestem gliną, pomyślał wtedy, to pochłania całe moje życie. W tej pustej sypialni zrozumiał, jak niewiele ma. Ani żony, ani dzieci, ani rodziny.

Nina otworzyła mu oczy na szansę. Tak, bał się. Wiedział, jak bardzo, jak głęboko zraniłoby go, gdyby go kiedyś opuściła. Ale jeżeli nie zaryzykuje... Podniósł słuchawkę i wykręcił numer ojca Niny. Po chwili usłyszał obojętny głos Danielli.

- To Sam Navarro. Przepraszam, że dzwonię tak późno. Czy mogę rozmawiać z Niną?

- Nie ma jej.

Jak to nie ma? Miała pozostawać w bezpiecznym miejscu, a nie łązić bez ochrony. Bóg wie gdzie.

- Może pani mi powiedzieć, dokąd pojechała?

- Do szpitala. Zadzwonili, żeby wzięła nocny dyżur.

- W izbie przyjęć?

- Chyba tak.

- Dziękuję.

Odłożył słuchawkę. Uczucie rozczarowania ciążyło mu tak, jakby był to fizyczny ciężar spoczywający na jego barkach. Do diabła, nie będzie dłużej czekał. Powie jej od razu. Wykręcił numer oddziału ratunkowego.

- Izba przyjęć.

- Mówi detektyw Sam Navarro, z policji w Portland. Czy mogę prosić Ninę Cormier?

- Niny nie ma.

- Jak przyjdzie, proszę jej przekazać, żeby zadzwoniła do mnie do domu.

- Dzisiaj jej nie będzie.

.....Powiedziano mi, że ktoś do niej zadzwonił, aby przyjechała na nocny dyżur.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Czy może pani to sprawdzić? To pilne.

- Zapytam przełożoną. Proszę poczekać.

W ciszy, która zapadła, Sam usłyszał szum krwi w uszach. Coś tu nie gra.

Włączył się jego instynkt.

- Detektywie - jego rozmówczyni wróciła do telefonu -przełożona nic o tym nie wie. Zgodnie z grafiką Nina nie ma dyżurów aż do przyszłego tygodnia.

- Dziękuję - odrzekł cicho Sam.

Siedział przez chwilę, myśląc o telefonie ze szpitala. Ktoś wiedział, że Nina jest u ojca. Ktoś namówił ją, by opuściła strzeżony dom wieczorem, kiedy jest mało świadków, którzy mogą zobaczyć, co się dzieje.

Ktoś? Spectre.

W mgnieniu oka wszedł do samochodu. Ruszając z rykiem silnika, wiedział, że może być za późno. Trzymając kierownicę jedną ręką, pędził w stronę autostrady, wykrecając jednocześnie numer Gillisa.

- Jadę do szpitala! - krzyknął, usłyszawszy zaspany głos swojego partnera. - Spectre tam jest!

- Co?

- Nina miała fałszywy telefon z prośbą, żeby przyjechała do pracy. To na pewno on.

- Już jadę! - zawołał Gillis.

Sam skoncentrował się na drodze. Prędkościomierz pokazywał siedemdziesiąt mil. Osiemdziesiąt. Żeby tylko zdążył, modlił się. Przycisnął gaz do deski. Podziemny parking szpitala opustoszał, ale Nina się tym nie przejęła. Często korzystała z niego w nocy, kiedy miała dyżury. Nie na darmo Portland to jedno z najbezpieczniejszych miast w Ameryce. Pod warunkiem, że się nie jest do odstrzału, pomyślała.

Zaparkowała i posiedziała jeszcze chwilę, żeby uspokoić nerwy. Chciała zacząć pracę w pełni skoncentrowana na swoich zadaniach. Nie na pogroźkach. Nie na Samie. Jak już raz wejdzie w te drzwi, będzie przede wszystkim pielęgniarką.

Otworzyła drzwi i wysiadła. Brakuje jeszcze godziny do końca zmiany. O północy parking będzie pełen pracowników, przyjeżdżających i odjeżdżających. Teraz jednak było tu pusto. Przyspieszyła. Winda o dziesięć metrów, droga wolna.

Nie zauważyła mężczyzny, który wyszedł zza samochodu, ale poczuła, jak chwycił ją za ramię i przyłożył do skroni pistolet. Jej krzyk ucichł, kiedy zabrzmiały jego pierwsze słowa.

- Zamknij się, albo stracisz życie.

Szarpnął ją spod windy i popchnął w stronę zaparkowanych aut. Przez moment widziała jego twarz. Spectre. Ciągnął ją za ramię z

przerazającą siłą. Szlochając i potykając się, walczyła z myślą, że zaraz ją zabije, tu, gdzie nikt nie widzi...

Łomot jej własnego pulsu był tak głośny, że w pierwszej chwili nie usłyszała cichego pisku opon. Jej prześladowca jednak zamarł, nie zwalniając ucisku ręki na jej ramieniu. Teraz i Nina usłyszała hamulce.

Z niezwykłą siłą Spectre rzucił nią za zaparkowany wóz. To moja jedyna szansa ucieczki, pomyślała.

Zacząła się szamotać, starając mu się wyrwać. I tak ją zabije. Czy to się zdarzy w jakimś ciemnym kącie, czy tu, na środku, nie podda się bez walki.

Kopała, walczyła i usiłowała dosięgnąć paznokciami jego twarzy.

Odwinął się i szybki cios wylądował na jej podbródku. Ból ją oślepił.

Zatoczyła się i poczuła, że osuwa się na ziemię. Schwycił ją znów za ramię i zaczął wlec po asfalcie. Była zbyt oszołomiona, by nadal walczyć. Nagle w jej oczy wbiło się jaskrawe światło. Znów usłyszała jazgot opon i znalazła się w światłach reflektorów.

- Stać! - Sam. To Sam! - Puść ją, Spectre! Lufa znów znalazła się przy głowie Niny.

- Cóż za precyzyjne wyczucie czasu, Navarro - zadrwił Spectre bez cienia paniki w głosie.

- Powiedziałem, puść ją.

- To rozkaz? Mam nadzieję, że nie. Bo biorąc pod uwagę położenie tej młodej kobiety - Spectre schwycił Ninę za brodę i

odwrócił ją do Sama - obrażanie mnie może być szkodliwe dla jej zdrowia.
- Widziałem cię. Twoją twarz znają też bileterzy z Branta. Straciłeś powód, żeby ją zabić!

- Straciłem powód? Pomyśl trochę. - Spectre, ciągle trzymając broń przy skroni Niny, popchnął ją w kierunku Sama. - Z drogi, Navarro.

- Nie potrzebujesz jej...

- Ale ty jej potrzebujesz.

Nina dostrzegła na twarzy Sama ślad paniki. Stał z wycelowaną bronią, ale nie odważył się strzelić, bo ona stała na linii ognia. Próbowwała osunąć się na ziemię, ale Spectre był zbyt silny, by jej nie utrzymać. Ciągnął ją ramieniem okręconym wokół szyi niczym stryczek.

- Odsuń się!

- Nie jest ci potrzebna!

- Cofnij się, albo ją rozwalę!

Sam zrobił krok do tyłu, potem następny. Jego broń stała się bezużyteczna.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, zobaczyła w oczach Sama rozpacz.

- Nina - powiedział. - Nina...

Spectre wciągnął ją do samochodu Sama, zatrzasnął drzwi i mszył z piskiem opon. Zobaczyła jeszcze przesuwane się szybko za oknem zaparkowane samochody i betonowe słupy, a potem wóz

przebił się przez szlaban bramki bezpieczeństwa. Spectre nacisnął gaz do dechy. Z rykiem silnika wypadli na ulicę.

Zanim zebrała myśli, broń znów była przy jej skroni. Spojrzała na jego przerażająco spokojną twarz. Twarz człowieka, który wie, że ma kontrolę.

- Nie mam nic do stracenia, jeżeli cię zabiję.

- A więc zrób to - wyszeptała.

- Mam plan. Jesteś jego częścią.

- Jaki plan? Roześmiał się szczerze.

- Powiedzmy, że dotyczy on Navarry, jego wydziału i sporej ilości dynamitu.

Lubię widowiskowe zakończenia, a ty? - rzekł z uśmiechem.

Teraz zrozumiała, że przed sobą ma potwora.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Sam desperacko pędził rampą podziemnego parkingu. Wypadł z budynku w ostatniej chwili, by zobaczyć swój wóz ze Spectre'em za kierownicą. Straciłem ją, pomyślał, gdy tylne światła znikły mu z oczu. Mój Boże...

Wydał z siebie okrzyk gniewu, rozpacz i usłyszał w ciemnościach echo. Za późno. Przyjechał za późno.

Błysk reflektorów sprawił, że się odwrócił i ujrzał światła samochodu, który wyjechał zza rogu.

- Gillis! - krzyknął. Kierowca nie zdążył jeszcze zahamować, kiedy Sam już wskoczył i zatrzasnął za sobą drzwi. - Jedź. Jedź! -zawołał.

- Co? - Gillis nie rozumiał, o co chodzi.

- Spectre ma Ninę! Szybciej!

- W którą stronę?

- W lewo. Tędy!

Gillis skręcił za róg, paląc asfalt, i dwie przecznice dalej dostrzegli tylne światła samochodu Sama, jak na skrzyżowaniu skręcał w prawo.

- Widzę go - rzeki Gillis i skręcił tak samo. Spectre musiał ich zauważyć, bo chwilę później

przyspieszył i przejechał skrzyżowanie na czerwonym. Samochody wpadały w poślizg, by uniknąć kolizji.

Kiedy Gillis lawirował między pojazdami, Sam wezwał przez telefon wszystkie wozy patrolowe. Przy odrobinie szczęścia otoczą Spectre'a.

- Ten facet to wariat - orzekł Gillis.

- Nie zgub jej.

- On nas wszystkich pozabija. Popatrz!

Przed nimi Spectre skręcił na pasy przeciwnego kierunku jazdy, wyminął samochód zbliżający się z naprzeciwka i w ostatniej chwili uciekł z powrotem na prawą stronę przed nadjeżdżającą ciężarówką.

- Trzymaj się za nimi! - rozkazał Sam.

- Robię, co mogę - odparł Gillis i zjechał na lewy pas, ale musiał wrócić na swoją stronę. Tracili sekundy, które działały na korzyść Spectre'a. Gillis w końcu zdołał wyprzedzić jeden samochód, a potem uciec przed nadjeżdżającą półciężarówką.

Spectre'a nie było nigdzie widać.

- Gdzie on jest, do cholery?

Wpatrywali się w drogę, widzieli tu i tam tylne światła innych samochodów, ale poza tym droga była pusta. Jechali dalej, mijali skrzyżowanie za skrzyżowaniem, badając wzrokiem boczne ulice. Po każdej przecznicy Sam wpadał w coraz większą panikę. Pół mili dalej musiał zaakceptować fakt, że go zgubili. A on utracił Ninę.

Gillis prowadził teraz w ponurej ciszy. Żaden z nich tego nie powiedział głośno, ale obaj wiedzieli, że los Niny może być przesądzony.

- Przykro mi, Sam - powiedział cicho Gillis. -Boże, tak mi przykro.
Sam patrzył w przestrzeń ze łzami w oczach. Mijały chwile. Cała wieczność.
Zgłaszały się wozy patrolowe. Nie było śladu samochodu. Ani Spectre'a.

W końcu, o północy, Gillis zaparkował.

- Jest jeszcze szansa - powiedział.

Sam zwiesił głowę i podparł ją rękami. Szansa. Szukaj wiatru w polu. Ile bym dał za jedną małą szansę...

Jego wzrok spoczął na telefonie Gillisa. Jedna mała szansa. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

- Do kogo dzwonisz?

- Do Spectre'a.

- Co?

- Dzwonię na swój numer w samochodzie. Słyszał, jak telefon dzwoni. Pięć razy. Sześć.

W końcu Spectre odpowiedział wygłupowym falseci-kiem.

- Halo, dodzwoniłeś się na policję w Portland. Nikt nie może odebrać, bo zgubiliśmy telefon.

- Tu Navarro - warknął Sam.

- Witam, detektywie. Jak się pan miewa?

- Co z nią?

- Z kim?

- Jak dziewczyna?

- Ach, chodzi pewnie o tę młodą damę. Może sama panu powie.

Nastąpiła przerwa. Sam usłyszał przytłumione głosy oraz jakby cichy, daleki jęk. Potem usłyszał Ninę.

- Sam?

- Nie jesteś ranna?

- Nie, nie. Wszystko w porządku.

- Gdzie jesteś? Dokąd cię zabrał?

- Ooo - wtrącił Spectre - zakazany temat, detektywie. Obawiam się, że muszę zakończyć tę rozmowę.

- Zaczekaj. Zaczekaj! - zawołał Sam.

- Chcesz się pożegnać?

- Jeśli coś jej się stanie, przysięgam, że cię zabiję.

- I to mówi obrońca porządku publicznego?

- Mówię poważnie. Zabiję cię.

- Jestem w szoku.

- Spectre!

Odpowiedział mu cichy, szyderczy śmiech. A potem połączenie gwałtownie się urwało. Roztrzęsiony Sam chciał się jeszcze raz połączyć, ale linia była zajęta. Policzył do dziesięciu i zadzwonił znowu. Zajęte.

- Ona żyje. - Sam odłożył słuchawkę.

- Gdzie oni są?

- Nie zdążyła mi powiedzieć.

- Minęła godzina. Mogą być gdziekolwiek w promieniu pięćdziesięciu mil.

- Wiem, wiem.

Sam próbował zebrać myśli i nie ulegać panice.

Wiele lat był policjantem i zawsze potrafił zachować zimną krew i zdolność koncentracji. Ale tej nocy, po raz pierwszy w swojej karierze, paraliżował go strach.

- Dlaczego jej nie zabił? - zastanawiał się Gillis. Sam spojrzał na partnera. Przynajmniej mózg Gillisa jeszcze funkcjonuje.

- Ma jakiś powód - ciągnął Gillis.

- Karta przetargowa. Zabezpieczenie, na wypadek gdyby został złapany.

- Nie, może uciec. Teraz ona bardziej mu przeszkadza, niż pomaga.

Zakładnicy spowalniają ucieczkę. Komplikują sprawy. Ale pozwala jej żyć.

Na razie, pomyślał Sam, wściekły z powodu swej bezradności. Spojrzał znowu na telefon i w jego głowie odezwało się echo. Przypomniał sobie coś, co usłyszał w telefonie podczas krótkiej przerwy, kiedy to Spectre podawał telefon Ninie. Ten odległy jęk, wznoszący się i opadający. Syrena. Wykręcił numer.

- Telefon alarmowy - usłyszał.

- Detektyw Sam Navarro, policja w Portland. Proszę mi podać listę wozów wysłanych w ciągu ostatnich dwudziestu minut. W kierunku południowym.

- Jakiego rodzaju pojazdy?

- Wszystkie. Karetki, straż pożarna, policja. Przez chwilę panowała cisza.

- Detektywie, mówi kierowniczką zmiany. Sprawdziłam południowy Portland. W sumie mamy trzy wyjazdy w ciągu ostatnich dwudziestu minut. O jedenastej pięćdziesiąt pięć wysłano karetkę na adres 2203 Green Street. O dwunastej dziesięć policja pojechała na 751 Bickford Street, bo włączył się alarm.

I o dwunastej trzynaście wezwano wóz policyjny w okolicy Munjoy Hill, skąd zgłoszono zakłócenie porządku publicznego. Straży pożarnej w tym czasie nie wysyłano.

- Dobra, dziękuję.

Sam zakreślił na mapie trzy miejsca.

- Co teraz? - zapytał Gillis.

- Słyszałem syrenę w telefonie, kiedy rozmawiałem ze Spectre'em. To znaczy, że był niedaleko od karetki lub wozu policyjnego. Wysłano je w trzy miejsca. Gillis popatrzył na mapę i potrząsnął głową.

- Tu są dziesiątki przecznic.

- Ale to już jest punkt zaczepienia.

- Taki jak stóg siana.

- Nic więcej nie mamy. Zaczniemy od Munjoy Hill.

- To szaleństwo, jeździć tak za syrenami.

- Munjoy Hill, Gillis. Jedź.

- Jesteś wykończony. Ja też. Wracajmy na posterunek i zaczekajmy na rozwój wypadków. Sam, słuchasz mnie?

- Tak, do diabła! - krzyknął Sam w przypiływie furii. Potem z jękiem opuścił głowę. - To moja wina. To przeze mnie zginie. Byli tuż przede mną, a ja nie potrafiłem jej ocalić. W żaden sposób.

- Tyle dla ciebie znaczy? - Gillis westchnął ze zrozumieniem.

- I Spectre o tym wie, dlatego trzyma ją przy życiu. Aby mnie dręczyć. I manipulować mną. Ma w ręku asa i nim gra. Musimy ją znaleźć.

- Teraz ma przewagę. Ma kogoś, na kim tobie bardzo zależy. A ty jesteś gliną, na którym chce się zemścić.

Zadzwoił telefon.

- Gillis. - Po chwili rozłączył się i zapalił silnik.

- Jackman Avenue - wyjaśnił, włączając się do ruchu.

- To może być przełom. Znaleźli ciało.

Sam zastygł w bezruchu. Strach ścisnął mu krtań tak, że nie mógł oddychać.

- Czyje ciało? - zapytał cicho.

- Marilyn Dukoff.

Podśpiewywał „Dixie”, splatając kolorowe druty i rozciągając je na podłodze. Nina siedziała na ciężkim bujanym fotelu, przywiązana za ręce i nogi. Mogła mu się tylko bezradnie przyglądać, jego skrzynce na narzędzia, lutownicy i dwóm tuzinom lasek dynamitu.

- Dixieland, mój Dixieland... - Spectre zakończył rozciąganie drutów i zajął się dynamitem. Przy pomocy zielonej taśmy izolacyjnej połączył laski w pęczki po trzy i ułożył je w kartonowym pudełku. - Życ w Dixieland, pić w Dixieland i umrzeć w słodkim Dixie! - ryczał,

a jego głos odbijał się echem o wysokie ściany pustej hali. Odwrócił się do Niny i głęboko uklonił.

- Jesteś szalony - wyszeptała.

- Czymże jest szaleństwo? Któż to wie? Owinął zieloną taśmą ostatnie trzy laski dynamitu, a potem z podziwem przyjrzał się swojemu dziełu.

- Jak to mówią? „Nie szalej, tylko się zemścij”. Nie jestem szalony. Ale mam zamiar się zemścić.

Podniósł pudełko z dynamitem, ruszył w kierunku Niny i nagle się potknął. Jej serce stanęło, kiedy pęczki dynamitu omal nie wypadły na podłogę tuż pod jej nogi. Łapiąc pudełko, Spectre głośno wciągnął powietrze, udając przerażenie. Ku zdumieniu Niny roześmiał się.

- Stary kawał - przyznał - ale zawsze działa. Pomyślała, że naprawdę jest szalony, patrząc, jak rozkłada laski dynamitu w równej odległości od siebie.

- Naprawdę szkoda zmarnować tyle dobrego dynamitu, ale muszę zrobić dobre wrażenie. I mam już dosyć Navarry i jego dziewięciu żywotów.

- Zakładasz pułapkę.

- Ale jesteś bystra.

- Dlaczego chcesz go zabić?

- Dlatego.

- On jest tylko policjantem wykonującym swoją pracę.

- Tylko policjantem? - Odwrócił się do niej, ale cień skrywał jego twarz. - On jest kimś więcej. Jest wyzwaniem. Moją nemezis, przeznaczeniem. I pomyśleć, że po tylu latach sukcesów w Bostonie czy Miami trafię w takim małym mieście na godnego siebie przeciwnika. Nawet nie w Portland w Oregonie, a w Portland w Maine. - Roześmiał się z obrzydzeniem do samego siebie. - Sprawa pomiędzy Navarra a mną skończy się w tym magazynie. Podszedł do niej z ostatnią paczką dynamitu. Usiadł przy fotelu, na którym siedziała spętana Nina.

- Panno Cormier, dla pani zachowałem ostatnią eksplozję -oznajmił, przyklejając dynamit pod fotelem. - To się stanie tak szybko, że nie zorientujesz się nawet, jak wyrosną ci anielskie skrzydła.

- On nie jest idiotą. Domyśli się, że to pułapka. Spectre zaczął rozwijać kolejne metry kabla splecionego z różnokolorowych drutów.

- Tak, to oczywiste, że to nie jest byle jaka bomba. Te wszystkie kable mają go zdezorientować. Nie znajdzie sensu... - Odciał biały, a potem czerwony. Połączył końce lutownicą. - A czas ucieka. Minuty, potem sekundy. Który kabel prowadzi do detonatora? Który powinien przeciąć? Przetnie niewłaściwy i wszystko idzie z dymem. Magazyn. Ty. I on, jeżeli wytrzyma do końca. To beznadziejny dylemat. Jeżeli zostanie, żeby rozbroić ładunek, możecie oboje zginąć. Jeżeli stchórzy i ucieknie, zginiesz ty, zostawiając go z poczuciem winy, od którego już się nie uwolni. W każdym wypadku Navarro będzie cierpiał.

- Nie możesz wygrać.

- Oszczędź mi moralizowania. Mam robotę. I nie za dużo czasu. Podwiązał druty do pozostałych paczek dynamitu, krzyżując kolory i łącząc końcówki z zapalnikami. Mówił, że nie ma dużo czasu, przypomniała sobie Nina. Popatrzyła na przedmioty leżące na podłodze. Zegar cyfrowy. Nadajnik radiowy. Będzie to mechanizm czasowy, odliczanie uruchomi się przez ten nadajnik. Spectre zdaży bezpiecznie opuścić budynek po uzbromieniu bomby. Kiedy ta eksploduje, on będzie już daleko. Trzymaj się z dala, Sam. Proszę cię, żebyś trzymał się z dala. I żyj, pomyślała. Spectre wstał z kolan i spojrzał na zegarek.

- Jeszcze godzina i dzwonię. - Uśmiechnął się do niej. - Trzecia nad ranem, panno Cormier. Godzina równie dobra jak inne, żeby umrzeć, prawda? Leżące na podłodze bezwładne ciało kobiety było nagie od talii w dół. Dostała tylko jeden strzał, w głowę.

- Dostaliśmy wiadomość o dziesiątej czterdzieści pięć -raportował Yeats z Wydziału Zabójstw.

- Jeden z lokatorów zauważył plamy krwi przesiąkające przez sufit i wezwał właścicielkę. Otworzyła drzwi, zobaczyła ciało i wezwała nas. Znaleźliśmy dowód tożsamości w torebce ofiary. I zadzwoniliśmy do ciebie.

- Są jacyś świadkowie? - spytał Gillis.

- Nie. Użył tłumika, a potem wymknął się tak, że nikt go nie zauważył.

Sam rozejrzał się po skromnym pokoiku. Ściany nagie, szafy prawie puste, pudła z ubraniami na podłodze - wszystko wskazywało na to, że Marilyn Dukoff nie zdążyła się w nim urządzić.

Słowa Yeatsa potwierdziły jego przypuszczenia.

- Wprowadziła się wczoraj jako Marilyn Brown. Zapłaciła gotówką kaucję i czynsz za pierwszy miesiąc. To wszystko, co właścicielka mogła mi powiedzieć.

- Miała jakichś gości? - zapytał Gillis.

- Sąsiad zza ściany słyszał wczoraj męski głos. Ale nikogo nie widział.

- Spectre - powiedział Sam.

Kryminolodzy przeczesywali pokój w poszukiwaniu odcisków palców i innych dowodów. Sam wiedział, że nie znajdą niczego. Już Spectre o to zadbał. Nie ma sensu tutaj sterczeć, powinni raczej iść śladem syreny. Już miał ruszyć w stronę drzwi, gdy usłyszał głos jednego z policjantów:

- Niewiele w tej torebce. Portfel, klucze, kilka rachunków...

- Jakie rachunki? - zapytał Sam.

- Elektryczność, telefon. Woda. Na stare mieszkanie. Nazwisko Dukoff. Wysłane na skrytkę pocztową.

- Pokaż mi rachunek za telefon. - Omal nie jęknął z zawodu, kiedy go zobaczył. Składał się z dwóch stron. Wymienione w nim były rozmowy zamiejscowe, większość z nich do Bangor, kilka do Massachusetts i na Florydę. Odnalezienie numerów zajmie godziny i doprowadzi jedynie do przyjaciół i rodziny Marilyn.

Toteż skupił się na numerze podanym na samym dole rachunku. Była to rozmowa na koszt odbiorcy, z numeru w South Portland, z datą sprzed dziesięciu dni, o dziesiątej siedemnaście wieczorem. Ktoś zadzwonił na koszt Marilyn, a ona zgodziła się ponieść koszt rozmowy.

- Może coś mamy - myślał głośno Sam.

- Zadzwońmy do centrali z samochodu, ale nie wiem, dokąd to ma nas zaprowadzić - mruknął Gillis.

- To przeczucie - przyznał Sam.

Gdy znaleźli się z powrotem w wozie Gillisa, Sam zadzwonił do kierownika Informacji Telefonicznej.

Po sprawdzeniu w komputerze pracownica potwierdziła, że rozmowę zamówiono z automatu.

- Róg Calderwood i Hardwick, w South Portland.

- Tam jest chyba stacja benzynowa?

- Być może, detektywie. Ale nie wiem na pewno. Sam rozłączył się i sięgnął po mapę South Portland.

Znalazł to miejsce i pokazał Gillisowi.

- Ale tam są tylko tereny przemysłowe.

- Tym bardziej dziwne, że ktoś zadzwonił o tak późnej porze.

- To mógł być ktoś z rodziny albo ktoś znajomy.

- To musiał być Spectre - upierał się Sam w nagłym przypiływie podniecenia. - South Portland. Jedziemy.

- Co?

Sam rzucił Gillisowi mapę.

- Tu masz Bickford Street. Wysłano tam patrol o dwunastej dziesiąt. A tu jest Calderwood i Hardwick. Patrol policyjny musiał tamtędy przejeżdżać.

- Myślisz, że Spectre zaszył się gdzieś w okolicy? Sam zakreślił na mapie koło.

- Jest gdzieś tutaj. Musi tu być. Gillis włączył silnik.

- Może nasz stóg siana się skurczył.

Dwadzieścia minut później byli już na rogu Calderwood i Hardwick.

Rzeczywiście, znajdowała się tam stacja benzynowa, nieczynna, z napisem „Na sprzedaż”. Sam i Gillis siedzieli w wozie przy pracującym silniku i obserwowali ulicę. Nie było żadnego ruchu.

Gillis ruszył na Hardwick. Budynki przemysłowe. Tereny niezabudowane.

Centrum wyposażenia żeglarskiego. Hurtowa sprzedaż drewna. Fabryczka

mebli. Wszystko zamknięte, parkingi puste, budynki ciemne. Skręcili w

Calderwood. Po przejechaniu niespełna mili Sam dostrzegł światło. Błede,

słaba poświata dobywająca się z małego okienka, jedyne w tym budynku.

Kiedy zbliżali się, Gillis wyłączył reflektory.

- To stary magazyn Stimsona - stwierdził Sam.

- Nie ma żadnego samochodu na parkingu - zauważył Gillis - ale chyba ktoś tam jest. Przecież przetwórnię Stimsona zamknięto w zeszłym roku, prawda?

Sam wysiadał już z samochodu

- Hej! - szepnął Gillis. - Nie powinniśmy poprosić o wsparcie?

- Zadzwoń. Pójdę sprawdzić.

- Sam! - syknął Gillis. - Sam!

Naładowany adrenaliną, Sam zignorował ostrzeżenia partnera i ruszył w stronę magazynów. Ciemności działały na jego korzyść; jeżeli ktoś jest w środku, nie może go zauważyć. Przez szpary w słuzach dla ciężarówek zobaczył więcej światła. Obszedł budynek, ale nie mógł zajrzeć do środka, bo nie było okien. Tylne i frontowe drzwi były zamknięte. Przy wejściu spotkał Gillisa.

- Już jadą.

- Muszę się dostać do środka.

- Nie wiemy, co tam się dzieje. - Gillis stanął nagle i spojrzał na swój samochód.

Dzwonił telefon. Obaj podbiegli, by odebrać.

- Navarro.

- Detektywie - odezwa! się dyspozytor - mogę przełączyć rozmowę? To podobno pilne.

Nastąpiła przerwa, kilka kliknięć w słuchawce i odezwał się męski głos.

- Cieszę się, że się dodzwoniłem, detektywie. Taki telefon w samochodzie to dobra rzecz.

- Spectre?

- Osobiste zaproszenie, detektywie. Tylko dla pana. Dawno oczekiwane spotkanie z kimś, kto jest obok mnie.

- Co z nią?

- Wszystko w najlepszym porządku. - Spectre przerwał i dodał z delikatną pogroźką: - Na razie.

- Czego żadasz ode mnie?

- Niczego. Chcę tylko, żebyś przyszedł i odebrał pannę Cormier. Sprawia mi kłopot. A ja muszę stąd wyjechać.

- Gdzie ona jest?

- Dam ci wskazówkę. Śledź.

- Co?

- Może nazwa Stimson coś ci mówi? Poszukaj adresu. Przepraszam, że mnie tu nie będzie, żeby cię przywitać, ale naprawdę muszę jechać.

Spectre wyłączył się i uśmiechnął się do Niny.

- Muszę jechać. Twój kochaś będzie tu za chwilę.

Podniósł skrzynkę z narzędziami i włożył do samochodu, którym wjechał do hali przez służbę, by nie było go widać. Zostawia mnie na przynętę, pomyślała. W magazynie było zimno, ale poczuła, jak kropla potu spływa jej po skroni, gdy zobaczyła, że Spectre sięga po nadajnik. Jeśli naciśnie guzik na urządzeniu radiowym, zacznie się odliczanie czasu do detonacji. Po dziesięciu minutach bomba wybuchnie. Serce ścisnęło się jej boleśnie, gdy zobaczyła, że sięgnął do przycisku. Potem uśmiechnął się do niej.

- Jeszcze nie - powiedział - nie chcę zacząć zbyt wcześnie. Pożegnaj ode mnie Navarre. Powiedz mu, że żałuję, że nie zobaczę wielkiego bum.

Odsunął zasuwę na drzwiach służby i nacisnął klamkę. Drzwi podniosły się w górę ze zgrzytem metalu. Były już prawie zupełnie otwarte, kiedy Spectre zamarł. Tuż przed nim zapaliły się przednie światła samochodu.

- Stój! - padł rozkaz. - Ręce na głowę! Sam, pomyślała Nina. Znalazłeś mnie...

- Ręce do góry! - krzyknął Sam. - Ręce! Wydawało się, że Spectre zawahał się przez chwilę.

Potem powoli podniósł ręce nad głowę.

- Sam! - krzyknęła Nina. - Tu jest bomba! Ma nadajnik!

- Odlóż to - rozkazał Sam. - Odlóż, bo strzelam!

- Ależ oczywiście - potaknął Spectre.

Powoli schylił się i postawił nadajnik na podłodze. W magazynie rozbrzmiał echem wyraźny odgłos kliknięcia. O Boże, uzbroił bombę, pomyślała Nina.

- Lepiej uciekajcie - powiedział Spectre i dał nura w bok, na stos skrzynek.

Nie był wystarczająco szybki. Sam zdążył strzelić dwa razy. Obydwa razy celnie. Spectre padł na kolana i zaczął się czołgać, jakby był pod wpływem alkoholu. Jak pływak próbujący swych sił na piasku.

- Już nie żyjecie. - Łapał powietrze ze świstem przypominającym śmiech. - Wszyscy...

Sam ruszył w kierunku Niny.

- Nie! - zawołała. - Stój!

- Co jest? - zapytał zdumiony.
- Pod fotelem jest bomba. - Nina zaczęła płakać.
- Wybuchnie, jeżeli przetniesz więzy!

Sam natychmiast zarejestrował skrócone kable oplatające fotel i podążył za nimi wzrokiem do pierwszej wiązki dynamitu leżącej na widoku.

- Rozłożył osiemnaście lasek w całym budynku, trzy pod moim fotelem. Wybuchną za dziesięć minut.

Ich spojrzenia spotkały się. Nina zobaczyła w oczach Sama panikę, którą szybko stłumił. Przekroczył kabel i przykucnął obok jej fotela.

- Wyciągnę cię stąd - obiecał.
- Jest mało czasu!
- Dziesięć minut? - Roześmiał się nerwowo. - To kupa czasu. -Ukląkł i zajrzał pod siedzenie. Nie powiedział nic, ale kiedy się podniósł, spochmurniał. Odwrócił się i zawołał Gillisa.

- Tutaj. Mam skrzynkę z narzędziami. Co jest?
- Trzy laski pod fotelem, detonator czasowy.
- Sam wysunął najeżony drutami mechanizm i ostrożnie postawił go na podłodze. - Wygląda na prosty obwód. Muszę to przeanalizować.
- Ile mamy czasu?
- Osiem minut i czterdzieści pięć sekund, a czas leci. Gillis zaklął.
- Nie ma czasu na wezwanie ciężarówki saperskiej.

Ciszę nocną przecięło wycie syren. Przy służbie zatrzymały się dwa wozy policyjne.

- Mamy wsparcie. - Gillis podbiegł do drzwi, żeby powstrzymać ludzi. - Nie wchodzić! Mamy bombę! Otoczyć halę! Wezwijcie ambulans.

Ambulans nie będzie potrzebny, pomyślała Nina. Jeżeli ta bomba eksploduje, nie będzie co zbierać. Próbowwała uspokoić galopujący rytm serca, by nie popaść w histerię, ale przejmujący strach utrudniał jej oddychanie. Nie mogła zrobić nic, aby ocalić życie. Miała związane nadgarstki i kostki. Jeżeli poruszy się zbyt gwałtownie, może zdetonować bombę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sam badał kłębownisko drutów. Tyle kabli! Potrzebowałyby godziny, by prześledzić ich drogę, a mają tylko minuty. Chociaż nie powiedział ani słowa, Nina widziała napięcie na jego twarzy i pierwsze krople potu zbierające się na czole.

Wrócił Gillis.

- Sprawdziłem budynek. Spectre podłożył piętnaście lub więcej lasek. Więcej zapalników nie widziałem. Mechanizm kontrolujący jest w twoich rękach.

- To zbyt proste - mruknął Sam, nie spuszczać z oka obwodów. - On chce, żebym przeciął ten drut.

- A może to podwójna zmyłka? Wiedział, że będziemy podejrzliwi. Specjalnie zrobił to jak najprościej, żeby nas zmylić.

- To wygląda jak detonator, ale pokrywa jest zanitowana na głucho. Pod spodem może być zupełnie inny przycisk. Magnetyczny lont lub mechanizm Castle'a-Robinsa. Jeżeli zdejmę nakrętkę, może odpalić.

Gillis spojrzął na czasomierz.

- Pięć minut.

- Wiem.

Sam ochrypl z napięcia, ale absolutnie pewną ręką sprawdzał obwody. Jedno szarpnięcie niewłaściwego kabla i wszyscy troje wyparują. Na zewnątrz wyły kolejne syreny. Słysać było głosy i zamieszanie. Ale w środku panowała cisza. Sam wziął głęboki oddech i zerknął na Ninę.

- W porządku?

Potaknęła, choć zobaczył, że zaczyna panikować. Na to liczył Spectre.

Dylemat bez wyjścia. Który drut przeciąć? Jeden? Żaden? Obydwoje zginą.

- Dwie i pół minuty - oznajmił Gillis.

- Wychodź stąd - rozkazał Sam.

- Przyda ci się dodatkowa para rąk.

- A twoim dzieciom ojciec. Wynoś się, do diabła. Gillis nie ruszył się. Sam podniósł kombinerki i wybrał biały kabel.

- Zgadujesz, Sam.

- Instynkt, stary. Zawsze mi się udawało. Lepiej wyjdź. Już tylko dwie minuty. Nic mi nie pomożesz.

- Sam...

- Wychodź.

- Czekam z butelką whisky - szepnął Gillis.

- Dobrze. A teraz idź. Zostali we dwoje.

..... Sam - wyszeptała Nina.

Wydawało się, że jej nie słyszy, bo za mocno koncentrował się na obwodzie.

Kombinerki zawisły w powietrzu, gdy Sam dokonywał wyboru między życiem a śmiercią.

- Wyjdź, Sam - poprosiła.

- Nino, to jest moja praca.

- Twoją pracą nie jest umieranie!.....Nie umrzemy.

- Masz rację. Ty nie. Jeżeli teraz wyjdiesz...

- Nie wychodzę. Rozumiesz?

Zobaczyła, że zdecydował się. Wybrał życie - lub śmierć z nią. Nie patrzył na nią glina, ale mężczyzna, który ją kochał. Mężczyzna, którego ona kochała.

Łzy popłynęły po jej twarzy.

- Mamy minutę. Muszę zgadywać. Jeżeli się nie mylę, powinienem przeciąć ten drut. - Odetchnął głośno. - Dowiemy się szybko. - Zbliżył ząbki kombinerek do białego kabla. - Dobrze. To ten.

- Zaczekaj.

- O co chodzi?

- Kiedy Spectre wiązał kable, przyłutował biały do czerwonego, a potem owinał zieloną taśmą. Czy to ważne?

Sam wpatrywał się w drut, który miał właśnie przeciąć.

- Bardzo ważne - odrzekł cicho. - Cholernie ważne.

- Sam! - rozległ się głos Gillisa przez megafon. - Dziesięć sekund!

Dziesięć sekund, by uciec. Sam objął ząbkami czarny kabel i podniósł głowę. Patrzyli na siebie po raz ostatni.

- Kocham cię - powiedział.

Skinęła głową, po jej twarzy płynęły łzy.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała szeptem. Nie odwracali od siebie wzroku, kiedy kombinerki

ściskały kabel. Gdy ząbki przecinały plastikową osłonę, Sam patrzył na nią, a ona na niego. Kabel przełamał się na dwie części.

Przez chwilę żadne z nich się nie ruszyło. Zastygli, sparaliżowani myślą o śmierci. Nagle Gillis zawołał na zewnątrz:

- Sam? Koniec odliczania. Sam!

Sam rzucił się naprzód, by uwolnić Ninę z więzów, po czym porwał ją w ramiona i wyniósł z magazynu.

Ulicę rozjaśniały migające światła wozów policyjnych, ambulansów, straży pożarnej. Sam przeniósł ją poza żółtą taśmę policyjną i postawił na nogach. Natychmiast otoczył ich tłum policjantów, szef Coopersmith i Liddell pośród nich, żądnych wiadomości. Sam ich zignorował. Stał tylko, obejmując Ninę i chroniąc ją przed chaosem.

- Cofnąć się! - zawołał Gillis. - Zróbcie im miejsce! Co z bombą?

- Rozbrojona. Ale uważajcie. Spectre mógł zostawić nam ostatnią niespodziankę.

- Zajmę się tym. - Gillis ruszył w stronę hali, ale odwrócił się. -Hej, Sam?

- Tak?

- Myślę, że zasłużyłeś na emeryturę. - Wyszczерzył zęby, a potem poszedł.

Nina popatrzyła na Sama. Chociaż niebezpieczeństwo minęło, serce mu waliło nieprzytomnie, tak jak jej- Nie opuściłeś mnie - szepnęła. - Mogłeś...

- Nie, nie mogłem.

- Mówiłam ci, żebyś wyszedł! Chciałam tego.

- A ja chciałem zostać. - Mocno ujął jej twarz w dłonie. - Nie było dla mnie żadnego innego miejsca, Nino, tylko obok ciebie. I zawsze chcę być obok ciebie.

Wiedziała, że obserwują ich dziesiątki par oczu. Przyjechała już telewizja, błyskały reflektory, obsypywano ich gradem pytań. Noc pulsowała głosami i wielokolorowymi światłami. Ale teraz, kiedy obejmował ją, kiedy całowali się, poza nimi nie było nikogo.

EP I LOG

Zaczęła się ceremonia ślubna.

Nina, pod rękę z ojcem, weszła na leśną polanę. Towarzyszyła im romantyczna irlandzka melodia grana przez harfę i flet. Pod baldachimem jaskrawych, jesiennych liści czekał Sam. Uśmiechał się nerwowo, jak początkujący glina podczas pierwszego patrolu. Obok niego stał jego świadek Gillis oraz pastor Sullivan, obaj również szeroko uśmiechnięci.

Pod drzewami zebrała się mała grupka przyjaciół i krewnych: Wendy z mężem, szef Coopersmith, koleżanki i koledzy Niny z pracy, Lydia pogodzona z faktem, że jej córka wychodzi za mąż za zwykłego glinę. Pewnych rzeczy w życiu nie można zmienić, pomyślała Nina. Zaakceptowała to. Może i Lydia kiedyś to zaakceptuje.

Muzyka przycichła, a jesienne liście spadały czerwonym i pomarańczowym deszczem. Sam wyciągnął do niej dłoń. Jego uśmiech powiedział Ninie wszystko, co chciała wiedzieć. Ujęła go za rękę.

T e s s G e r r i t s e n

Bez skrupułów 02

Cz a r n a l o t e r i a

PROLOG

Dobry Boże, czasem przeszłość powraca, żeby nas zniszczyć.

Doktor Henry Tanaka spoglądał przez okno gabinetu na smagany deszczem parking i zastanawiał się, dlaczego po tylu latach wypłynęła sprawa zgonu jednej z pacjentek. By przyczynić się do jego zguby?

Na dworze przemoknięta pielęgniarka w białym fartuchu przemykała chyłkiem do samochodu. Skrzywił się. Jeszcze jedna, która zapomniała parasola. Dzień, jak to zwykle w Honolulu, wstał jasny i słoneczny. Jednak około trzeciej od strony gór Koolau nadciągnęły chmury, niosąc deszcz, który przeszedł w gwałtowną nawałnicę. Ulicami popłynęły strumienie brudnej wody. I to akurat w chwili, gdy ludzie kończyli pracę i szli do domu.

Henry Tanaka odwrócił się od okna i spojrzał na list. Z daty na stemple wynikało, że został wysłany przed tygodniem, lecz jak większość korespondencji utonął w stertach medycznych pism oraz katalogów, ofert firm farmaceutycznych, którymi zawałony był cały gabinet. Gdy tego ranka recepcjonistka dyskretnie mu go podsunęła, przeraził się, spojrzawszy na nazwisko nadawcy: Joseph Kahanu, adwokat.

Niewzłocznie otworzył kopertę. Teraz zaś skulił się w fotelu i kolejny raz odczytał suchą treść:

Szanowny panie doktorze!

W imieniu pana Charlesa Deckera, którego mam zaszczyt reprezentować, zwracam się do pana z prośbą o udostępnienie kompletnej dokumentacji medycznej dotyczącej wszelkich zabiegów, jakim została poddana pani Jennifer Brook, która w chwili zgonu przebywała jako pańska pacjentka na oddziale położniczym...

Jennifer Brook. Doktor Tanaka miał nadzieję, że zdoła zapomnieć to nazwisko.

Ogarnęło go przemożne znużenie - rodzaj wyczerpania, które spada na człowieka, gdy odkryje, że nie jest w stanie uciec od przeszłości sunącej za nim niczym groźny cień. Próbował wykrzesać z siebie bodaj tyle energii, ile potrzeba, by dowlec się do samochodu i ruszyć do domu. Bezskutecznie. Ogarnięty całkowitym bezwładem woli, siedział nieruchomo przy biurku i wpatrywał się tępo w cztery

ściany gabinetu. Swego sanktuarium. Jego zgaszone spojrzenie przesuwano się po oprawionych w ramki dyplomach, certyfikatach, zdjęciach. Wokół wisiały fotki pomarszczonych noworodków oraz ich rozpromienionych rodziców. Ilu dzieciom pomógł przyjść na świat? Dawno temu stracił rachubę.

W końcu przemógł się i wstał z fotela, wyrwany z odrętwienia odgłosem, który dobiegł z sąsiadującej z gabinetem poczekalni: był pewny, że cicho stuknęły drzwi. Zaintrygowany wyjrzał na zewnątrz.

- Peggy? Jeszcze nie wyszłaś?

W poczekalni nie było żywej duszy. Tanaka omiół spojrzeniem kwiecistą sofę i fotele, stojący obok niski stolik z równo ułożonymi kolorowymi pismami, po czym zatrzymał wzrok na drzwiach prowadzących na szpitalny korytarz. Były otwarte.

Absolutną ciszę opustoszałych pomieszczeń zakłócił stłumiony, metaliczny szcęk. Henry chwilę nasłuchiwał. Dźwięk dobiegał z jednego z gabinetów zabiegowych.

- Peggy? - Wyszedł na korytarz i zajrzał do pierwszego gabinetu. Zapalił światło, lecz nie ujrzał nic prócz lśniącej umywalki z nierdzewnej stali, fotela ginekologicznego i szafki z lekami. Przeszedł więc do następnego gabinetu. Tu również wszystko było w porządku.

Przeszedł na drugą stronę korytarza, kierując się w stronę ostatniego z gabinetów. Już miał zapalić światło, gdy nagle znieruchomiał. Instynktownie wyczuł, iż w ciemności czyha na niego śmiertelny wróg.

Przerażony, zaczął ostrożnie wycofywać się na korytarz. Gdy w końcu się odwrócił, by uciec, zrozumiał, że popełnił błąd. Napastnik przyczał się bowiem za drzwiami.

Ostrze z szybkością błyskawicy przejechało po jego szyi. Henry Tanaka zachwiał się, zatoczył do tyłu i przewrócił na stojak z narzędziami. Gdy próbował wstać, wyczuł, że podłoga jest lepka od krwi. Życie uchodziło z niego przeraźliwie szybko, lecz nawykły do racjonalnego myślenia umysł nie poddawał się bez walki. Lekarz błyskawicznie zdiagnozował swoje obrażenia i chłodno przeanalizował szanse na przeżycie.

Przecięta aorta. W ciągu paru minut nastąpi wykrwawienie. Trzeba natychmiast zatamować krew... Czuł, że już zaczynają drętwieć mu nogi.

Nie zostało mu wiele czasu. Na czworakach podpełzł do szafki, w której trzymano leki i opatrunki. Nikły blask światła odbitego od przeszklonych drzwi był dla jego słabnących zmysłów latarnią morską, ostatnią nadzieją ratunku. Wtem jakiś cień przysłonił światło sączące się do gabinetu z korytarza. Henry domyślił się, że napastnik stanął w drzwiach i na niego patrzy. Mimo to czołgał się dalej. W ostatnim przeblysku świadomości zdołał dźwignąć się na nogi i otworzyć szafkę. Z półek posypały się na niego paczki sterylnej gazy. Macając na oślep, chwycił pierwszą z brzegu, rozdarł opakowanie i, wyszarpnąwszy opatrunek, przycisnął go do szyi.

Pochłonięty tą czynnością, nie widział, jak ostrze zatacza ostateczny śmiertcionośny łuk nad jego głową.

Gdy rozplatało mu kark, próbował krzyknąć, lecz dźwięk, który wydobył się z jego gardła, przypominał ledwie słyszalny szept.

To był jego ostatni oddech. Chwilę później bezwładnie osunął się na podłogę.

Charlie Decker leżał nagi w wąskim twardym łóżku. Dławił go zwierzęcy strach.

Za oknem biła krwista luna neonu: The Victory Hotel. W ostatnim słowie przepaliła się litera t. Pozostałe ułożyły się w napis hoel, który kojarzył mu się ze słowem hole, czyli dziura. The Victory Hole. Miejsce rzeczywiście zasługiwało na to mało pochlebne miano. Tu każda radość i każde zwycięstwo bezpowrotnie ginęło w czarnej otchłani.

Zamknął oczy, lecz neon nadal płonął, zupełnie jakby zdołał wcisnąć się ukradkiem pod jego powieki. Odwrócił się więc plecami do okna i zakrył głowę poduszką. Otoczył go duszący, obmierzły zapach brudnej pościeli, więc natychmiast cisnął ją w kąt. Ciężko dźwignął się z legowiska i podszedł do okna, by wyrzucić na ulicę. Długowłosa blondyna w mini dobijała targu z klientem w chevroletcie. Gdzieś niedaleko co chwila wybuchały gromkie śmiechy, mieszając się z melodią piosenki: „To już nieważne”. W ciemnym zaułku unosił się fetor gnijących śmieci zmieszany ze słodkim aromatem kwitnących krzewów: charakterystyczny zapach bocznej uliczki raj. Zebrało mu się na wymioty. Było zbyt gorąco, by zamknąć okno, zbyt gorąco, by spać, a nawet by oddychać.

Powlókł się do stolika i zapalił lampkę. Z pierwszej strony gazety krzyczał wciąż ten sam tytuł: „Lekarz z Honolulu zaszlachtowany we własnym gabinecie”.

Strużka potu spłynęła mu po piersi. Gwałtownym ruchem zrzucił gazetę na podłogę. Potem usiadł i chwycił się za głowę.

W oddali wybrzmiały ostatnie akordy melodii; następna piosenka zaczęła się od głośnego jazgotu gitar i huku perkusji. Wokalista wykrzyczał: „Tak bardzo tego pragnę, oh yeah, baby, tak bardzo, bardzo...”.

Charlie wolno uniósł głowę i spojrzał na zdjęcie Jenny. Uśmiechała się jak zwykle. Ona zawsze była uśmiechnięta. Dotknął fotografii, próbując przypomnieć sobie kształt i ciepło jej twarzy; nieubłagany czas zatarł część wspomnień.

Sięgnął po notatnik, otworzył go na czystej stronie i zaczął pisać.

Oto co od nich usłyszałem:

„Potrzeba czasu...

Czas leczy rany, pozwala zapomnieć”.

Oto co im odpowiedziałem:

„Uzdrowienie nie polega na zapominaniu

Lecz na pamięci

O tobie.

O zapachu morza na twojej skórze;

O odcisniętych na piasku śladach twoich drobnych pięknych stóp.

Pamięć jest bezkresna.

Leżysz więc, teraz i na zawsze, na brzegu morza.

Otwierasz oczy. Dotykasz mnie.

Słońce przepływa przez twoje palce.

I czuję się uleczony. Czuję się uleczony”.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Doktor Kate Chesne pewną ręką wstrzyknęła pacjentce dwieście miligramów pentothalu. Obserwując uważnie powolną wędrówkę słupka jasnożółtego płynu, który tłoczyła przez plastikową rurkę i wenflon wprost do żyły, powiedziała półgłosem:

- Ellen, za chwilę zrobisz się senna. Zamknij oczy. I spokojnie odpłyn.

- Na razie nic nie czuję.

- Jeszcze moment. - Kate lekko uściśnęła ramię kobiety. Wiedziała, że wystarczy drobny gest, by pacjent poczuł się bezpieczniej. Czasem wystarczy dotyk. Albo dobre słowo wypowiedziane ciepłym głosem. - Wyobraź sobie, że unosisz się na wodzie - szepnęła. - Pomyśl o błękitnym niebie i obłokach...

Ellen odpowiedziała leniwym uśmiechem. Ostre światło lamp bezlitośnie demaskowało wszystkie niedoskonałości i znamiona na jej skórze. Na stole operacyjnym nikt nie wygląda atrakcyjnie. Piękna Ellen O'Brien nie była tu wyjątkiem.

- Śmieszne - mruknęła - ale wcale się nie boję.

- Słusznie, bo nie ma czego. Jesteś w dobrych rękach. Bo moich - zapewniła ją żartobliwie Kate.

- Przecież wiem. - Ellen wyciągnęła do niej dłoń. Ich palce ma moment się splotły.

Wahadłowe drzwi otworzyły się i do sali wszedł doktor Guy Santini, chirurg o posturze niedźwiedzia, który w kwiecistym czepeczku na głowie prezentował się dość groteskowo.

- Jak sytuacja, Kate? - zapytał.

- Właśnie podaję pentothal.

- Ellen, jesteś jeszcze z nami? - zagadnął, i podszedłszy do stołu, wziął kobietę za rękę.

- Na dobre i na złe - odparła. - Ale nie ukrywam, że wolałabym być w Filadelfii.

- Będiesz, będziesz. Ale już bez woreczka żółciowego - odparł.

- No sama nie wiem... Nawet go już polubiłam. - Powieki zaczęły jej opadać. - Guy, pamiętaj, co mi obiecałeś! - mruknęła. - Żadnej blizny!

- Naprawdę ci to obiecałem?

- Naprawdę!

- Widzisz! Mówiłem ci! - Chirurg mruknął porozumiewawczo do Kate. - Nie ma gorszych pacjentek niż pielęgniarki. Te to mają wymagania!

- Niech pan lepiej uważa, doktorze! - ostrzegła jedna z instrumentariuszek. - Prędzej czy później pan też trafi na stół. A wtedy my się panem zajmiemy!

- Już się boję!

Kate spostrzegła, że Ellen wreszcie zasnęła. Dla pewności zawołała ją po imieniu i dotknęła jej przymkniętych powiek. Ellen nie reagowała.

- Odpłynęła.

- Katie, moje ty kochanie - westchnął Santini z uznaniem. - Robisz naprawdę świetną robotę jak na...

- Babę? Jasne! Wiem!

- Dobra, idę się myć i jedziemy z tym koksem! - zarządził. - A jak wyniki badań? Dobre?

- Jeśli chodzi o krew, to idealne.

- A EKG?

- W normie. Zrobiłam je wczoraj wieczorem. Lekarz zatrzymał się w progu i zasalutował.

- Kiedy jesteś obok, człowiek czuje się zwolniony z obowiązku myślenia. Aha, byłbym zapomniał. Drogie panie - zwrócił się do instrumentariuszek - słowo ostrzeżenia. Nasz stażysta to mańkut.

- A chociaż przystojny? - zapytała jedna z nich.

- Piękny jak marzenie, Cindy! - rzucił, puszczając do niej oko. - Powiem mu, że pytałaś - dodał, znikając w drzwiach.

- Ja nie wiem, jak ta żona z nim wytrzymuje?! - Cindy wzniosła oczy do nieba.

Przez następne dziesięć minut wszystko toczyło się zgodnie z ustalonym trybem. Kate z wprawą wykonywała rutynowe czynności. Wprowadziła do tchawicy rurkę intubacyjną i podłączyła ją do respiratora. Następnie wyregulowała przepływ tlenu i dobrała odpowiednie proporcje środka znieczulającego i podtlenku azotu. Od tej chwili życie Ellen spoczywało w jej rękach, dlatego. wszystko sprawdzała po dwa, a nawet trzy razy. Mówi się, że praca anestezjologa to dziewięćdziesiąt dziewięć procent nudy i jeden procent horroru - właśnie przed tym jednym procentem starała się zabezpieczyć. Była aż nadto świadoma, że gdy pojawiają się

komplikacje, nie ma czasu na wahanie. Decyzja musi być natychmiastowa.

Dziś czuła się wyjątkowo spokojna. Operacja nie była skomplikowana, więc zakładała, że wszystko pójdzie gładko. Ellen ma raptem czterdzieści jeden lat. I poza kamieniami w woreczku stanowi okaz zdrowia.

Guy Santini wrócił do sali, trzymając w górze wyszorowane ręce. Tuż za nim kroczył „piękny jak marzenie” leworęczny stażysta, który w butach na grubej podeszwie osiągał imponujący wzrost stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów. Obaj poddali się rytuałowi wkładania sterylnych fartuchów i rękawiczek, któremu towarzyszyło charakterystyczne strzelanie lateksu.

Gdy byli gotowi, zespół ustawił się wokół stołu. Kate popatrzyła po osłoniętych maskami twarzach. Poza stażystą wszyscy świetnie się znali. Pierwsza stała Ann Richter, instrumentariuszka, tak zwana „krążąca”. Zawsze skupiona, zawsze schludna i kompetentna, nigdy nie traciła zimnej krwi. Niech no tylko ktoś rzucił podczas operacji jakiś dowcip, od razu spotykał się z jej karcącym spojrzeniem.

Obok niej stał Guy Santini, który na bloku operacyjnym czuł się jak u siebie w domu. Jowialny i przyjaźnie nastawiony do świata, wyglądał na ciężkiego i niezdarnego. Patrząc na jego zwalistą sylwetkę, trudno było uwierzyć, że jest pierwszorzędnym chirurgiem. Jednak gdy brał do ręki skalpel, czynił cuda.

Miejsce po przeciwnej stronie stołu zajął mocno zafrasowany stażysta, który miał pecha urodzić się mańkudem. I wreszcie Cindy, instrumentariuszka, ciemnooka nimfa zawsze skora do śmiechu. I zawsze w pełnym makijażu. Tym razem pomalowała oczy nowym jaskrawym cieniem o nazwie „orientalny malachit”, który mienił się jak łuska tropikalnej rybki.

- Fajny kolor - pochwalił Guy, wyciągając rękę po skalpel.
- Dzięki, doktorze - odparła, podając mu narzędzie.
- Podoba mi się o wiele bardziej niż poprzedni. Jak on się nazywał? Hiszpański muł?
- Mech, doktorze!
- Wszystko jedno. Nie uważasz, kolego, że odcień jest naprawdę niezwykły? - zagadnął stażystę, który na wszelki wypadek nie zabierał głosu. - Kojarzy mi się z moim ulubionym kolorem. Zaraz, jak on się nazywa? A, już wiem. „Proszek do szorowania”.

Stażysta zachichotał, a Cindy posłała mu gniewne spojrzenie. Biedak nie wiedział, że właśnie pogrzebał swoją jedyną szansę, by zostać kochankiem roku.

Guy wykonał pierwsze cięcie. Gdy na skórze pojawiła się szkarłatna linia, stażysta natychmiast usunął krew wacikiem. Ruchy obu chirurgów były idealnie zsynchronizowane. Rozumieli się bez słów.

Kate obserwowała ich ze swego miejsca u szczytu stołu. Siedziała tuż obok głowy Ellen i wsłuchiwała się w rytm pracy jej serca. Nie działo się nic niepokojącego. Właśnie w takich warunkach lubiła pracować najbardziej - gdy miała pewność, że wszystko jest pod kontrolą. Pośród zimnego lśnienia chirurgicznej stali czuła się jak w domu, a szum wentylacji i rytmiczne pikanie kardiomonitora były dla niej odprężającym muzycznym tłem spektaklu rozgrywającego się na operacyjnym stole.

Guy wykonał głębsze cięcie.

- Kate, mięśnie są za bardzo napięte. Ciężko będzie je rozchylić - uprzedził Guy.

- Zobaczę, co się da zrobić. - Odwróciła się do szafki z lekarami i otworzyła szufladkę z napisem „scolina”. Był to lek podawany dożylnie i powodujący zwiotczenie mięśni, dzięki czemu chirurg mógł łatwiej dostać się do jamy brzusznej.

Zerknęła na zawartość szuflady i ze zdziwieniem zmarszczyła czoło.

- Ann? Mam tylko jedną fiolkę scoliny. Przyniesiesz mi więcej?

- Dziwne - odezwała się Cindy. - Wczoraj po południu uzupełniałam zapasy.

- Możliwe, ale została tylko jedna fiołka. - Kate wciągnęła do strzykawki pięć centymetrów sześciennych przezroczystego płynu i zrobiła Ellen zastrzyk. Lek zaczął działać mniej więcej po minucie.

Tymczasem Guy przeciął warstwę tłuszczu i przymierzał się do nacięcia tkanki mięśniowej.

- Mięśnie nadal twarde - rzucił. Kate zerknęła na ścienny zegar.

- Minęły trzy minuty. Powinno już zadziałać.

- Ale nie działa.

- Dobra, podam jeszcze trochę. - Wyciągnęła z fiolki kolejne trzy centymetry i wstrzyknęła do żyły. - Ann, zaraz będę potrzebowała nową fiolkę. Zostało mi tylko... - Urwała, słysząc przenikliwy pisk

kardiomonitora. Gwałtownie podniosła głowę. Jedno spojrzenie na ekran wystarczyło, by skoczyła na równe nogi.

Serce Ellen O'Brien przestało bić.

W ułamku sekundy w sali zawrzało jak w ulu. Padały nerwowe komendy, tace i szafki z narzędziami z hukiem odjechały na bok. Stażysta wgramolił się na stołeczek i napierał całym ciężarem ciała na klatkę piersiową Ellen.

Na oczach zdruzgotanej Kate spełniał się koszmarny sen każdego anestezjologa. Nieszczęsny jeden procent horroru stał się faktem.

Bez wątpienia była to najgorsza chwila w jej życiu. Walczyła ze sobą, by nie ulec ogólnej panice. Nie tracąc trzeźwości umysłu, wstrzykiwała Ellen kolejne fiołki adrenaliny. Najpierw dożylnie, później prosto w serce. Tracę ją, powtarzała w myślach. Dobry Boże, ja naprawdę ją tracę. W pewnej chwili spostrzegła na kardiomonitorze gwałtowne migotanie linii. Jak sygnał S.O.S. wysyłany przez gasnące życie.

- Defibrylator! - zawołała do Ann stojącej obok urządzenia. - Dwieście dzuli!

Ann nawet nie drgnęła. Jej twarz miała barwę alabastru.

- Ann?! - krzyknęła Kate. - Dwieście dzuli!

Ostatecznie to Cindy podbiegła i włączyła przyrząd. Gdy wskazówka doszła do dwustu dzuli, Guy złapał elektrody. Gdy przycisnął je do piersi Ellen, jej ciało podskoczyło bezwładnie. Jakby była marionetką, którą ktoś szarpnął za wszystkie sznurki naraz.

Na monitorze trzepotanie uspokoiło się i przeszło w spłaszczoną falę. Nieomylny znak, że serce umiera.

Kate nie przyjmowała tego do świadomości. Wstrzykiwała lek za lekiem, desperacko próbując pobudzić je do życia. Wszystko na nic. W pewnej chwili zrozumiała, że tej bitwy już nie wygra. Patrzyła przez łzy, jak na wykresie spłaszczona fala przechodzi w linię ciągłą, bez celu biegnącą po ekranie.

- Koniec balu - mruknął Guy i dał znak, by przerwać reanimację. Złany potem stażysta odsunął się do stołu.

- Nie! - Kate położyła ręce na klatce piersiowej Ellen. - To jeszcze nie koniec - syknęła, uciskając klatkę niemal z furią. - Nie koniec! - Wściekle uciskała oporne mięśnie i żebra. Rozmasować serce, mózg musi mieć tlen! Uratuję cię, powtarzała jak w transie.

Reanimowała ją, dopóki zmęczone ręce nie odmówiły posłuszeństwa. Ellen, nie poddawaj się! Żyj!

- Kate... - Guy delikatnie dotknął jej ramienia.

- Nie poddawajmy się! Jeszcze nie...

- Kate. - Powoli odciągnął ją od stołu. - To już koniec - szepnął.

Ktoś wyciszył kardiomonitor. Przenikliwy pisk ucichł i nastąpiła martwa cisza. Kate odwróciła się i spostrzegła, że wszyscy na nią patrzą. Spojrzała na wykres.

Pokazywał linię ciągłą.

Drgnęła, gdy sanitariusz zasuwiał zamek worka z ciałem Ellen. Nieprzyjemny zgrzyt poraził ją okrutną nieodwracalnością. Pakowanie do praktycznego worka tego, co jeszcze przed chwilą było żyjącą i oddychającą kobietą, wydało się nieprzyzwoite. Gdy sanitariusz pchnął nosze, by potoczyć je do kostnicy, Kate się odwróciła. Skrzywienie oddalało się, aż wreszcie ucichło. A ona nadal stała sama w pustej sali.

Przez łzy spoglądała na walające się wszędzie zakrwawione gaziki i fiolki po lekach. Żalosalne odpady po każdej szpitalnej śmierci. Za chwilę ktoś je uprzątnie i podda utylizacji. I już nie będzie śladu po tragedii, która właśnie się rozegrała.

Oczywiście nie licząc ciała w kostnicy. Oraz pytań. O tak, tych padnie całe mnóstwo. Ze strony rodziców Ellen. Ze strony szpitala. Zasypią ją i nie będzie umiała na nie odpowiedzieć. Ze znużeniem ściągnęła czepek i potrząsnęła głową. Gęste pasma ciemnych włosów opadły na ramiona, co przyniosło jej pewien rodzaj ulgi. Potrzebowała samotności - żeby spokojnie wszystko przemyśleć. I żeby zrozumieć. Odwróciła się, wreszcie gotowa, by wyjść.

W drzwiach czekał na nią Guy Santini. W wyrazie jego twarzy dostrzegła coś, co ją zaniepokoiło.

Tymczasem on bez słowa podał jej kartę Ellen.

- EKG - zauważył. - Mówiłaś, że jest w porządku.

- Bo jest.

- Lepiej przyjrzyj się dokładniej. Skonsternowana wyjęła z koperty zapis pracy serca

Ellen. U góry widniała jej własna parafka, znak, że oglądała wykres. Teraz przez minutę wpatrywała się w dwanaście czarnych stożków i nie wierzyła własnym oczom. Zapis nie pozostawiał cienia

wątpliwości. Nawet student trzeciego roku medycyny nie miałby problemu z postawieniem diagnozy.

- Dlatego umarła - podsumował sucho Guy.

- Ale... To przecież niemożliwe! - wykrztusiła. - Nie popełniłabym tak kardynalnego błędu.

Guy odwrócił wzrok.

- Guy, przecież mnie znasz! - zawołała. - Chyba nie myślisz, że przeoczyłabym coś takiego...

- Daj spokój! Przecież tu jest wszystko czarno na białym. Chryste, kobieto, podpisałaś się na tym gównie!

Mierzyli się wzrokiem, oboje zszokowani jego ostrym tonem.

- Przepraszam. - Odwrócił się i nerwowo przeczesał palcami włosy. - Boże! Dziewczyna miała atak serca, a my ją wzięliśmy pod nóż. - Spojrzał na nią zgnębiony. - Chciałbym się mylić, Kate, ale chyba ją zabiliśmy.

- Mamy tu do czynienia z ewidentnym błędem lekarskim.

Mecenas David Ransom zamknął teczkę Ellen O'Brien i spojrzał zza biurka na swoich klientów. Gdyby miał opisać Patricka i Mary O'Brienów, bez wahania wybrałby przymiotnik: szarzy. Siwe włosy, szare twarze, szare ubrania. Patrick miał na sobie znoszoną tweedową marynarkę, a Mary niemodną sukienkę w drobny biało - czarny wzorek, który zlewał się w kolor starej ścierki.

Patrick cały czas kręcił głową.

- To była nasza jedyna pociecha, mecenasie. Kochana dziewczyna. Czy pan wie, że nie mieliśmy z nią żadnych kłopotów, nawet jak była mała? Leżała sobie w łóżeczku i uśmiechała się. Jak aniołek. Jak mały słodki... - Wzruszenie nie pozwoliło mu dokończyć zdania. Jego twarz pomarszczyła się i jeszcze bardziej poszarzała.

- Panie O'Brien - David przybrał łagodny ton - domyślam się, że nie jest to wielka pociecha, ale obiecuję, że dołożę wszelkich starań, żeby sprawa znalazła należyty finał.

Patrick potrząsnął głową.

- Tu nie chodzi o pieniądze, mecenasie - szepnął.

- Fakt, nie nadaję się już do pracy. Plecy, sam pan rozumie. Ale Ellie miała ubezpieczenie na życie i...

- Na jaką sumę opiewało?

- Pięćdziesiąt tysięcy - odezwała się Mary O'Brien. - Taka właśnie była nasza córka, proszę pana. Zawsze o nas pamiętała. - Jej profil, ostro zarysowany na tle okna, wyglądał jak odlany ze stali. W przeciwieństwie do męża wyplakała już wszystkie łzy. Siedziała wyprostowana, całą sobą wyrażając bezgraniczny ból. David doskonale wiedział, co przeżywa. Rozumiał jej żal. I gniew. Zwłaszcza gniew. Wyraźnie widział go w jej oczach.

Patrick żałośnie siąknął nosem, David sięgnął więc do szuflady i położył przed nim paczkę chusteczek.

- Może przełożymy naszą rozmowę na inny termin - zaproponował. - Gdy państwo poczują, że są gotowi.

Mary gwałtownie uniosła podbródek.

- Jesteśmy gotowi, panie Ransom. Proszę pytać. David spojrzał na Patricka, który w odpowiedzi posłał mu wąły uśmiech.

- Obawiam się, że niektóre z moich pytań mogą wydać się państwu niestosowne lub wręcz bezduszne. Niestety, jestem zmuszony je zadać.

- Proszę zaczynać - ponagliła go pani O'Brien.

- Zapewniam, że jestem zdecydowany wytoczyć szpitalowi proces i zrobię to niezwłocznie. Muszę jednak zapytać państwa o pewne szczegóły, które pomogą precyzyjnie oszacować rozmiar strat, które ponieśli państwo w związku ze śmiercią córki. Mam tu na myśli choćby utracone zarobki, które należałyby się państwa córce, gdyby żyła. Była pielęgniarką, tak?

- Tak, na oddziale położniczym.

- Czy wiedzą państwo, ile zarabiała?

- Nie, ale możemy to sprawdzić.

- Czy miała kogoś na utrzymaniu?

- Nie.

- Czy była zameżna?

Pani O'Brien z westchnieniem pokręciła głową.

- Ellen była naprawdę wspaniałą córką. I piękną kobietą. Do tego mądrą. Niestety, jeśli chodzi o mężczyzn, popełniała błędy.

- Błędy? - David zmarszczył brwi. Wzruszyła ramionami.

- Cóż, takie mamy czasy, mecenasie - odparła. - Kiedy kobieta osiągnie pewien wiek, cieszy się, że w ogóle kogoś ma... - Spojrzała na swoje kurczowo splecione dłonie i zamilkła.

David wyczuł, że poruszyli drażliwą kwestię. Prawdę powiedziawszy, życie uczuciowe zmarłej w ogóle go nie interesowało, jako że nie miało związku ze sprawą.

- Przyjrzyjmy się dokumentacji medycznej - zaproponował i sięgnął po kartę. - Wynika z niej, że córka cieszyła się doskonałym zdrowiem. Czy kiedykolwiek miała problemy kardiologiczne?

- Nigdy.

- Czy kiedykolwiek skarżyła się na ból w klatce piersiowej? Czy miewała problemy z oddychaniem?

- Panie Ransom, Ellie była świetną pływaczką. Długodystansową. Mogła pływać cały dzień i nawet nie dostawała zadyszki. Dlatego nie chce mi się wierzyć w tę historię z atakiem serca - oznajmiła pani O'Brien.

- Mimo to proszę zauważyć, że zapis EKG jednoznacznie potwierdza tę diagnozę. Gdyby przeprowadzono sekcję zwłok, mielibyśmy pewność. Jak rozumiem, w tej chwili jest to już niemożliwe.

Kobieta spojrzała wymownie na męża.

- To Patrick tak zdecydował. Nie mógł znieść myśli, że...

- Chyba już ją wystarczająco pocięli, prawda? - warknął przez zęby.

Zapadła cisza. Pani O'Brien przerwała ją pierwsza:

- Wsypujemy jej prochy do morza. Bardzo kochała morze. Już od dziecka...

Rozmowa dobiegła końca. Jeszcze tylko kondolencje i wymiana uścisków ręki na przypieczętowanie umowy. O'Brienowie ruszyli do drzwi, lecz zanim ostatecznie wyszli, Mary na moment przystanęła.

- Nam naprawdę nie chodzi o pieniądze, mecenasie - powtórzyła.
- Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, czy zobaczymy złamany grosz. Oni nam zrujnowali życie, panie Ransom. Zabrali nam nasze jedyne dziecko. Modłę się, żeby dobry Bóg nie pozwolił im nigdy o tym zapomnieć.

David ze zrozumieniem skinął głową.

- Obiecuję państwu, że nie zapomnę.

Kiedy wyszli, odwrócił się do okna. Zaczerpnął głęboko powietrza, a potem wolno je wypuścił, próbując uwolnić się od zbędnych emocji. Jednak nieprzyjemny ucisk w okolicy żołądka nie

ustępował. Podobnie jak nie mijał smutek. Ani wściekłość. Chciał odsunąć je od siebie jak najdalej, bo mąciły mu trzeźwość myśli.

Przed sześcioma dniami lekarz popełnił karygodny błąd i w konsekwencji czterdziestjednoletnia Ellen O'Brien zmarła. Była tylko trzy lata starsza od niego.

Wrócił za biurko i ponownie sięgnął po teczkę z aktami. Przejrzał zawartość i spośród dokumentów nadesłanych przez szpital wybrał życiorysy dwojga lekarzy.

Opis osiągnięć zawodowych doktora Guya Santiniego był naprawdę imponujący. Czterdzieści osiem lat, chirurg po studiach na Harvardzie, obecnie u szczytu kariery. Pięć bitych stron z wypisanymi maczkami tytułami artykułów i naukowych publikacji, z których większość dotyczy fizjologii wątroby. Raz wytoczono mu proces, przed ośmioma laty. Wygrał. Farciarz. Nieważne. W tym przypadku i tak nie jest głównym oskarżonym. David wziął na muszkę anestezjologa.

Uważnie przejrzał trzystronicowy życiorys doktor Katharine Chesne. Jej przygotowanie zawodowe robiło wrażenie. Zaczęła od licencjatu z chemii na Uniwersytecie Berkeley, by następnie zdobyć dyplom lekarza w akademii medycznej Johns Hopkins. Staż z anestezjologii odbyła w klinice akademii medycznej w San Francisco. Tam również zrobiła pierwszy stopień specjalizacji z intensywnej terapii. Mimo młodego wieku (ma dopiero trzydzieści lat), zdążyła opublikować sporo artykułów. Mniej więcej od roku pracuje w szpitalu Mid Pac jako anestezjolog. Do życiorysu nie dołączono fotografii, lecz David bez trudu wyobraził sobie stereotypową lekarzkę z włosami w nieładzie, fatalną figurą i twarzą kobyły - oczywiście szalenie inteligentną.

Odchylił się w fotelu i zmarszczył czoło. Lekarka z takim wykształceniem nie ma prawa wykazać tak wielkiej niekompetencji. Czy to możliwe, żeby pani doktor popełniła szkolny błąd?

Powoli zamknął teczkę. Nauczony smutnym doświadczeniem wiedział, że pozwana będzie próbowała się wybielić. Jednak bez względu na to, co przedstawi na swoją obronę, fakty pozostają faktami. I są dla niej bezlitosne: doktor Chesne skazała pacjentkę na pewną śmierć pod nożem. I musi ponieść konsekwencje.

Poniesie, mruknął David. Już jego w tym głowa, żeby się nie wywinęła.

George Bettencourt pogardzał lekarzami. I właśnie dlatego swą pracę na stanowisku dyrektora generalnego szpitala Mid Pac uważał za wyjątkowo ciężką i niewdzięczną. Wszystko przez to, że musiał działać w porozumieniu z medykami. Mimo tych niesprzyjających warunków George, specjalista z zakresu zarządzania służbą zdrowia, szcycący się dyplomami prestiżowych uczelni, po dziesięciu latach pracy osiągnął to, o czym jego poprzednicy nie śmieli nawet marzyć. Pod jego rządami podupadający Mid Pac zmienił się w świetnie prosperującą firmę. Mimo tak ewidentnego sukcesu codziennie musiał znosić krytykę ze strony bałwanów w białych fartuchach, którzy najwyraźniej uważali się za bogów. Nie dość, że o wszystko się czepiali, to jeszcze z niezadowoleniem kręcili nosami, gdy próbował wbić im do głów, że ich święta misja musi być podporządkowana jeszcze świętszym prawom wolnego rynku. Prawda była bowiem taka, że z ekonomicznego punktu widzenia ratowanie ludzkiego życia nie różni się niczym od handlowania linoleum. Zarówno jedno, jak i drugie ma przynosić zysk. Bettencourt to rozumiał, a te durnie nie. Przez swą ignorancję przyprawiali go o ból głowy, jak zresztą wszyscy idioci.

A już tych dwoje siedzących w tej chwili naprzeciw niego zafundowało mu migrenę, jakiej nie miał od lat.

Doktor Clarence Avery, siwy jak gołębek szef anestezyjologów, nie stanowił zagrożenia. Był tak bojaźliwy, że lękał się własnego cienia. Nie było więc obawy, że nagle zacznie się stawiać. Odkąd jego żona dostała wylewu, snuł się po szpitalu jak błędny. Nie, ten na pewno pójdzie na współpracę, pocieszał się Bettencourt. Zwłaszcza gdy się mu powie, że chodzi o renomę szpitala.

Gorzej z tą babą, westchnął. Kiepsko ją znał, bo pracowała u nich od niedawna. Wystarczyło jednak, że weszła do gabinetu i od razu wyczuł, że będą z nią kłopoty. Jej oczy miały specyficzny wyraz, a mocno zaciśnięte zęby od razu nasunęły mu skojarzenie z rycerzem ruszającym na krucjatę. W sumie ta cała Chesne jest niebrzydka, i to mimo włosów w nieładzie oraz faktu, że szminki nie używa od miesięcy. Jej największym atutem są piękne zielone oczy. Wystarczyło jedno przenikliwe spojrzenie i mężczyzna natychmiast zapominał, że reszta daleka jest od ideału. Babka niczego sobie, całkiem atrakcyjna.

Tym bardziej szkoda, że pokpiła sprawę. Nie ma wyjścia, musi wpisać ją po stronie strat. Miał cichą nadzieję, że nie okaże się wredną suką i nie pogorszy i tak niełatwej sytuacji.

Kate drgnęła, gdy tuż przed nią wylądowały dokumenty rzucone przez Bettencourta.

- Pani doktor, nasi prawnicy otrzymali dziś ten oto list - zaczął podniośle. - Został doręczony przez kuriera. Uważam, że powinna pani niezwłocznie zapoznać się z jego treścią.

Zerknęła na nagłówek i żołądek ścisnął jej się boleśnie: Uehara i Ransom, kancelaria prawna.

- Jedna z najlepszych w mieście - uściślił Bettencourt, a widząc jej zdumienie, dodał z irytacją: - Naszemu szpitalowi wytoczono proces, pani doktor. Zarzuca się nam popełnienie poważnych błędów lekarskich. Jakby tego było mało, David Ransom ma osobiście poprowadzić sprawę.

Zaschło jej w gardle. Wolno uniosła wzrok.

- Ale jak... jak oni mogą...

- To naprawdę nie wymaga większego zachodu. Zwykle potrzeba zaledwie dwóch osób. Prawnika i martwego pacjenta.

- Przecież już złożyłam obszerne wyjaśnienia. - Z nadzieją zwróciła się do Avery'ego: - Panie doktorze, pamięta pan, prawda? W zeszłym tygodniu powiedziałam panu...

- Tak, tak. Clarence wprowadził mnie w szczegóły tego niefortunnego zdarzenia - przerwał jej obcesowo Bettencourt. - Zresztą nie ono jest przedmiotem naszej rozmowy.

- A co jest?

Bezpośredniość pytania na chwilę zbiła go z tropu. Co? Otóż to, że grozi nam proces i wypłata ogromnego odszkodowania. Milionowego, jeśli chce pani wiedzieć, pani doktor. Szpital, jako pani pracodawca, ponosi pełną odpowiedzialność za wyrządzone szkody. Nie ukrywam, że akurat pieniądze nie są naszym największym zmartwieniem. - Dla zaznaczenia wagi swych słów zrobił znaczącą pauzę. - Jest nim dobre imię naszej placówki.

Słyszając jego złowieszczy ton, natychmiast odgadła, na co się zanosí, i z wrażenia zapomniała języka w ustach. Zamiast się bronić, czekała, aż padnie cios.

- Proces sądowy będzie miał fatalny wpływ na opinię o całym szpitalu - klarował tymczasem Bettencourt. - Jeśli do niego dojdzie,

sprawą natychmiast zainteresują się media. I zrobi się szum, który odstraszy potencjalnych pacjentów. - Spojrzał na leżące na biurku dokumenty. - Jak rozumiem, pani dotychczasowa historia zawodowa jest zadowolająca...

- Zadowolająca? - powtórzyła z niedowierzaniem i spojrzała na Avery'ego. Jako szef najlepiej zna jej zawodową przeszłość. A ta jest bez zarzutu.

Avery skulił się w sobie. Jego wodniste niebieskie oczy wyraźnie umykały w bok.

- No cóż - wymamrotał - historia pracy pani doktor jest, w każdym razie jak dotąd, więcej niż zadowolająca. To znaczy...

Kate słuchała jego bełkotu i hamowała się, by nie krzyknąć: Na litość boską! Człowieku, broń mnie!

- Do tej pory nie było żadnych skarg - zakończył bez przekonania.

- Jednak postawiła nas pani w wyjątkowo nieprzyjemnej sytuacji - zauważył Bettencourt. - Dlatego wolelibyśmy, żeby pani nazwisko nie było dłużej kojarzone z naszą placówką.

Zapadła cisza przerywana nerwowym pokasywaniem Avery'ego.

- Chcielibyśmy, żeby złożyła pani wypowiedzenie.

Stało się. Cios wreszcie padł i ugodził ją boleśnie.

- A jeśli odmówię?

- Proszę mi wierzyć, że w pani przebiegu pracy wypowiedzenie będzie wyglądało o wiele lepiej niż...

- Zwolnienie?

- Widzę, że się rozumiemy.

- Nie! - Podniosła wysoko głowę. Chłodna pewność siebie bijąca z oczu Bettencourta sprowokowała ją do oporu. Nigdy za nim nie przepadała. W tej chwili zniechęciła go na dobre. - Pan mnie nie zrozumiał.

- Jest pani inteligentną kobietą, z pewnością więc rozumie pani, że nie mamy wyboru. Pani powrót na blok operacyjny jest niemożliwy.

- To niezgodne z prawem - oznajmił zniechęcony Avery.

- Proszę? - Bettencourt zmarszczył brwi.

- Nie może pan z dnia na dzień wyrzucić z pracy doktor Chesne. Przecież jest lekarzem. Musi pan postępować zgodnie z określonymi procedurami. Jest komisja...

- Chyba nikt nie zna procedur lepiej niż ja! - zbeształ go Bettencourt. - Po prostu miałem nadzieję, że pani doktor zrozumie powagę sytuacji i odpowiednio się zachowa. Moja propozycja naprawdę jest dla pani korzystna - podkreślił, zwracając się do Kate. - Najważniejsze, że nie zepsuje pani sobie historii pracy. W teczce personalnej znajdzie się jedynie pani wypowiedzenie oraz adnotacja, że umowa została rozwiązana za porozumieniem stron. W ciągu godziny moja sekretarka zredaguje odpowiedni dokument. Wystarczy, że go pani...

Kate niezwykle rzadko wpadała w złość. Z reguły trzymała nerwy na wodzy. Może dlatego dzika furia, w którą wpadła, nie tylko ją zaskoczyła, lecz również przeraziła.

- Proszę oszczędzać papier, panie Bettencourt - powiedziała ze złowrogim spokojem.

- Skoro tak pani zdecydowała... - wycedził przez zęby. - Kiedy odbędzie się najbliższe posiedzenie sądu koleżeńskiego? - rzucił w stronę Avery'ego.

- Zdaje się, że w... hm, w przyszły wtorek, ale...

- Proszę włączyć do porządku obrad sprawę Ellen O'Brien. Pozwólmy pani doktor przedstawić własną wersję zdarzeń. Zostanie pani osądzona przez kolegów po fachu - oznajmił, piorunując ją wzrokiem.

- To sprawiedliwe rozwiązanie, nie uważa pani?

Powstrzymała się od riposty. Gdyby uległa pokusie i powiedziała Bettencourtowi prosto w twarz, co naprawdę o nim myśli, ostatecznie pogrzebałaby szansę na powrót do pracy w Mid Pac. A kto wie, czy nie w każdym innym szpitalu. Wystarczyło, by wszechmocny dyrektor przypiął jej łatkę „wichrzycielka”, i do końca życia miałyby zapaskudzone akta.

Rozstali się kulturalnie. Jak na osobę, której kariera właśnie legła w gruzach, Kate zachowała godny podziwu spokój. Na koniec spojrzała Bettencourtowi w oczy i wymieniła z nim oficjalny uścisk dłoni.

Utrzymała tę pozę do chwili, gdy znalazła się w windzie. Dopiero tam coś w niej pękło i pozwoliła sobie na chwilę słabości. Gdy na dole drzwi się rozsunęły, trzęsła się jak w febrze. Półprzytomnie ruszyła przed siebie, głucha na gwar i ruch panujący w głównym holu. Była

mniej więcej w połowie drogi, gdy brutalna prawda uderzyła ją z całą siłą.

Boże, będę miała proces. Jeszcze nie przepracowałam roku i już mnie pozwali do sądu...

Do tej pory żyła w naiwnym przeświadczeniu, że procesy, podobnie jak inne życiowe katastrofy, przytrafiają się innym. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że zostanie posądzona o brak kompetencji. Brak kompetencji.

Nagle zrobiło jej się słabo. Aby nie upaść, oparła się o kabinę, w której wisiał płatny telefon. Jej wzrok padł na książkę telefoniczną. Gdyby wiedzieli, jak było naprawdę, westchnęła w myślach. Gdybym mogła im wszystko wyjaśnić...

Wystarczyło parę sekund, by odnaleźć właściwą stronę: Uehara i Ransom, kancelaria prawna. Biuro mieściło się przy Bishop Street.

Bez namysłu wyrwała kartkę, a potem, wiedziona desperacką nadzieją, pospiesznie wyszła z budynku.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Pan Ransom jest w tej chwili zajęty! Siwowłosa sekretarka miała stalowe spojrzenie i twarz jakby żywcem wyjętą ze słynnego obrazu „Amerykański gotyk”. Brakowało jej tylko wideł. Pewna swej wszechwładzy, skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na Kate z taką miną, jakby chciała powiedzieć: No, tylko mi tu spróbuj wejść, intruzko!

- Ale ja muszę się z nim zobaczyć! - Kate nie dała się zbyć. - Mam ważne informacje związane ze sprawą...

- A z czym by innym!

- Chcę tylko wyjaśnić...

- Przecież mówię, że mecenas ma teraz ważne spotkanie z partnerami, więc nie może pani przyjąć.

Kate czuła, że jej irytacja za moment osiągnie punkt krytyczny. Pochyliła się nad biurkiem nadętej służbistki i wycedziła z nienaturalną uprzejmością:

- Spotkania nie trwają wiecznie.

- A to właśnie potrwa. - Sekretarka posłała jej lodowaty uśmiech.

- Skoro tak, poczekam.

- Pani doktor, niepotrzebnie marnuje pani czas. Pan Ransom nigdy nie rozmawia z pozwanymi. Jeśli pani sobie życzy, z przyjemnością odprowadzę panią... - Urwała i z wyraźnym niezadowoleniem spojrzała na telefon, który właśnie zadzwonił. - Uehara i Ransom - rzuciła do słuchawki. - Tak? Ależ naturalnie, panie Matheson! - Odwróciła się plecami do Kate. - Jedną chwileczkę, mam te akta przed sobą...

Coraz bardziej sfrustrowana Kate rozejrzała się po recepcji. Zwróciła uwagę na skórzaną sofę, ikebanę oraz rycinę przedstawiającą samuraja. Wszystko szalenie gustowne i bez wątpienia drogie. Najwyraźniej kancelaria odnosi sukcesy. Kosztem lekarzy i ich krwawicy, stwierdziła z niesmakiem.

Naraz jej uwagę przykuły głosy dobiegające z korytarza. Dyskretnie zerknęła w tę stronę i spostrzegła małą armię młodych ludzi, opuszczających salę konferencyjną. Który z nich to Ransom? Przyjrzała się im uważnie, lecz uznała, że są zbyt młodzi jak na współników w poważnej kancelarii. Szybko sprawdziła, co robi sekretarka, a widząc, że wciąż rozmawia odwrócona do niej tyłem,

uznała, że los daje jej niepowtarzalną szansę. Teraz albo nigdy, pomyślała.

Nie tracąc ani chwili, ruszyła w stronę uchylonych drzwi. Jednak w progu gwałtownie przystanąła, oślepiona jasnym światłem.

Przed sobą miała długi stół konferencyjny z teaku. Po jego obu stronach stały skórzane fotele, przez ogromne południowe okna wpadało ostre słoneczne światło, lejąc się wprost na głowę i ramiona mężczyzny siedzącego samotnie przy końcu stołu. W ciepłych promieniach jego jasne włosy lśniły jak złoto. Mężczyzna był tak pochłonięty studiowaniem dokumentów, że nawet nie zauważył, iż nie jest sam.

Kate przez chwilę słuchała cichego szelestu wertowanych stron. Zaraz jednak przypomniała sobie cel swej wizyty i zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Pan Ransom?

Mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na nią bez większego zainteresowania.

- Tak? Przepraszam, kim pani jest?

- Jestem...

- Tak mi przykro, mecenasie! - Wzburzona sekretarka bez pardonu chwyciła Kate za ramię i syknęła: - Mówiłam przecież, że mecenas jest zajęty. Proszę...

- Ale ja chcę tylko porozmawiać!

- Czy pani naprawdę chce, żebym wezwała ochronę?

- A niech pani sobie wzywa! - Energicznie wyszarpnęła się z żelaznego uścisku.

- Proszę mnie nie prowokować, bo...

- Co tu się tutaj dzieje? - Podniesiony głos Ransoma przetoczył się przez pustą salę niczym grom, wprawiając obie kobiety w stan osłupienia. - Dowiem się wreszcie, kim pani jest? - zapytał, przesywając Kate surowym spojrzeniem.

- Nazywam się Kate... - Urwała, by po chwili zacząć silniejszym i pewniejszym tonem: - Jestem doktor Katherine Chesne. Cisza.

- Ach tak. - Ransom wrócił do przerwanej zajęcia. - Pani Pierce, proszę odprowadzić panią doktor do wyjścia.

- Ale ja chcę przedstawić panu fakty! - zawołała, robiąc uniki przed sekretarką, która z wprawą pasterskiego psa spychała ją w stronę drzwi. - A może pan wcale nie chce ich poznać? Czy właśnie

tak działają prawnicy? - Ransom umyślnie ją ignorował. - Nic pana nie obchodzi, jak było naprawdę, tak? Nie chce pan usłyszeć, co się stało z Ellen O'Brien!

Gwałtownie uniósł głowę znad papierów.

- Niech pani zaczeka - powstrzymał sekretarkę.

- Zmieniłem zdanie. Pozwólmy pani doktor zostać.

- Ależ mecenasie, ta kobieta może być niebezpieczna! - ostrzegła go bezgranicznie zdumiona podwładna.

- Proszę się nie obawiać, poradzę sobie. A teraz niech nas pani zostawi samych.

Sekretarka wyszła, mamrocząc coś pod nosem.

- No cóż, pani doktor - zaczął, gdy zostali sami

- Udało się pani dokonać niemożliwego i sforsować zapórę nie do przejścia, czyli panią Pierce. I co dalej? Będzie pani tak stała? - Wskazał jej fotel. - Proszę usiąść. Chyba że woli pani krzyczeć do mnie przez całą salę.

Jego ironia, zamiast pomóc w przełamaniu lodów, przyniosła odwrotny skutek. Kate poczuła się bardziej spięta, on sam zaś wydał jej się jeszcze bardziej nieprzystępny. Po chwili wahania zdecydowała się do niego podejść. Drażniło ją, że uważnie śledzi każdy jej krok. Zresztą sama też go obserwowała. Nie spodziewała się, że będzie tak młody. Przypuszczała, że prawnik o takiej renomie musi być osobą w co najmniej średnim wieku, tymczasem on chyba nie ma jeszcze czterdziestu lat. Wszystko inne poza wiekiem pasowało do stereotypowego wizerunku wziętego adwokata.

Elegancki ubiór, niczym transparent, krzyczał: elita. Wszystko, co na sobie miał, począwszy od dobrze skrojonego szarego garnituru w prążki po spinkę do krawata z emblematem Yale, świadczyło o jego wysokiej pozycji społecznej. Tylko mocna opalenizna i spłowiałe od słońca włosy nieco psuły idealny portret absolwenta prestiżowej uczelni. Wygląda jak surfer, który wydorósł, oceniła. W każdym razie budową ciała przypominał miłośnika ślizgania się na falach. Wysoki i szczupły, miał długie ręce i efektowne szerokie barki. Daleki od klasycznego ideału nos i nieco cofnięty podbródek uchroniły go od etykietki mężczyzny super przystojnego. Jednak największe wrażenie wywarły na niej jego oczy. Chłodne, przenikliwie niebieskie. Z rodzaju tych, przed którymi niczego się nie ukryje. Ich przeszywające

spojrzenie sprawiło, że ledwie się powstrzymała, by w obronnym geście nie skrzyżować rąk na piersi.

- Przyszłam przedstawić panu fakty - powtórzyła.

- W pani subiektywnej ocenie?

- Nie, panie Ransom. Po prostu fakty.

- Proszę sobie darować. - Wyciągnął akta sprawy Ellen i oskarżycielsko rzucił je na biurko. - Tu są fakty. Wszystkie, których potrzebuję.

Żeby cię powiesić, takie było ukryte przesłanie jego słów.

- Myli się pan. To nie jest wszystko.

- Rozumiem, że chce pani uzupełnić luki w mojej wiedzy i podsunąć mi kilka brakujących szczegółów.

- Jego uśmiech wydał jej się złowrogi i groźny. Idealnie równe, białe i ostre zęby nasunęły jej skojarzenie ze szczękami rekina.

Oparła ręce na blacie stołu i pochyliwszy się w jego stronę, rzekła z naciskiem:

- Chcę powiedzieć panu prawdę.

- Naturalnie. - Nonszalancko rozparł się w fotelu, przybierając pozę świadcząca o śmiertelnym znudzeniu. - Niech mi pani coś powie - poprosił zniechęcony.

- Czy pani adwokat wie o tej wizycie?

- Adwokat? Nie mam żadnego adwokata...

- Błąd. Niech go pani sobie jak najszybciej wynajmie. Bo zaręczam, że będzie pani bardzo potrzebny.

- Niekoniecznie. Proszę mi wierzyć, że ta sprawa to jedno wielkie nieporozumienie. Jeśli zechce pan mnie wysłuchać...

- Proszę zaczekać.

- Co pan wyprawia?

Położył na stole dyktafon i włączył nagrywanie.

- Nie chcę uronić żadnej ważnej informacji. Proszę opowiedzieć swoją wersję zdarzeń. Zamieniam się w słuch.

Zdenerwowana wyłączyła dyktafon.

- Nie składam przed panem zeznań. Niech pan to stąd zabiera!

Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem. Ostatecznie dyktafon wrócił do teczki, co Kate potraktowała jak swoje małe zwycięstwo.

- Na czym to stanęliśmy? - zapytał uprzedzająco grzecznym tonem. - A tak, miała mi pani opowiedzieć, co się naprawdę zdarzyło.

- Poprawił się w fotelu, jak widz przed spektaklem.

Ona jednak milczała. Teraz, gdy wreszcie dopięła swego, nie wiedziała, od czego zacząć.

- Jestem bardzo... skrupulatną osobą, panie Ransom - powiedziała wreszcie. - Nigdy nie działałam pochopnie. Może nie jestem genialna, ale za to bardzo solidna. I naprawdę nie popełniam szkolnych błędów.

Jego wysoko uniesione brwi były wystarczająco czytelnym komentarzem. Zignorowała to jednak i ciągnęła:

- Guy Santini przyjmował Ellen na oddział, ale to ja wydawałam polecenia związane z przygotowaniem do operacji i ja sprawdzałam wyniki badań. Między innymi zapis EKG. Była niedziela wieczór i technik miał coś pilnego do zrobienia, więc sama włączyłam elektrokardiogram. Nie spieszyłam się. Wszystko robiłam dokładnie i spokojnie. Szczerze mówiąc, nawet dokładniej niż zwykle, bo przecież Ellen z nami pracowała. Doskonale pamiętam, jak omawiałam z nią wyniki badań. Chciała wiedzieć, czy wszystko jest w normie.

- I pani zapewniła ją, że tak.

- Oczywiście. Również EKG.

- Czyli popełniła pani błąd.

- Już panu mówiłam, że nie popełniam głupich błędów. Tamtego wieczoru też się nie pomyliłam.

- Z akt sprawy wynika coś zupełnie innego...

- Akta pokazują nieprawdę. Musiała nastąpić pomyłka.

- Jest w nich zapis badania, z którego jasno wynika, że pacjentka miała atak serca.

- To nie jest ten zapis EKG, który widziałam! Zrobił minę człowieka, który ma wątpliwości, czy się przypadkiem nie przesłyszał.

- Wynik badania EKG, który widziałam, był prawidłowy.

- Jakim więc cudem w karcie pacjentki znalazł się ten niewłaściwy?

- Ktoś musiał zamienić wyniki. To chyba oczywiste!

- Ktoś, czyli kto?

- Nie mam pojęcia.

- Rozumiem. Już słyszę, jak to zabrzmie w sądzie.

- Panie Ransom, gdybym popełniła błąd, pierwsza bym się do tego przyznała.

- Cóż za godna podziwu uczciwość.

- Pan naprawdę myśli, że byłabym w stanie wymyślić tak... kretyńską historię?

W odpowiedzi wybuchnął śmiechem.

- Nie, przypuszczam, że byłoby panią stać na coś bardziej wiarygodnego. - Skinął zachęcająco głową, po czym rzucił z ironią: - Proszę mówić dalej. Umieram z ciekawości, żeby się wreszcie dowiedzieć, jak doszło do tej nieszczęsnej zamiany wyników. Jak rozumiem, ma pani na ten temat własną hipotezę, tak?

- Nie mam.

- Pani doktor, litości. Proszę nie sprawiać mi zawodu.

- Już mówiłam, że nie mam pojęcia, jak mogło do tego dojść.

- Niech pani przynajmniej coś zasugeruje.

- Może zrobili to kosmici! - rzekła zdenerwowana.

- Ciekawa koncepcja - zauważył poważnie. - Wróćmy jednak na ziemię. Czy jeśli pani woli, do realiów, które w tym przypadku przybrały formę produktu pochodzenia drzewnego, znanego powszechnie jako papier. - Otworzył kartę na feralnym zapisie pracy serca. - Proszę, niech się pani z tego wytłumaczy.

- Przecież panu mówię, że nie potrafię! Odchodzę od zmysłów, próbując to rozgryźć. W szpitalu każdego dnia robimy dziesiątki takich badań. Może ktoś z personelu pomylił karty. Albo nie opatrzył wydruku nazwiskiem pacjenta. Pojęcia nie mam, jak to się stało, że akurat ten zapis trafił do karty Ellen.

- Podpisała się pani na nim. Przecież to pani inicjały.

- Nie, nie moje.

- W szpitalu pracuje jeszcze jedna osoba o inicjałach K.C., lekarz medycyny?

- To znaczy inicjały są rzeczywiście moje, ale to nie ja je napisałam.

- Mam rozumieć, że ktoś sfalszował pani podpis?

- Tak mi się wydaje. To znaczy, na to wygląda... - Zmieszana niecierpliwie odgarnęła niesforne pasemko włosów. Olimpijski spokój Ransoma wytrącał ją z równowagi. Na litość boską, czemu ten człowiek nic nie mówi? Dlaczego siedzi i patrzy na nią z politowaniem?

- No dobrze - odezwał się w końcu.

- Co dobrze?

- Od jak dawna wydaje się pani, że ktoś fałszuje pani podpis?

- Proszę nie robić ze mnie paranoiczki!

- Nie muszę, dobrze pani to wychodzi.

On się z niej śmieje. Wyczytała to z jego oczu. Co gorsza, nie może mieć do niego o to pretensji. Sama czuła, że jej wywody brzmią jak urojenia schizofrenika.

- W porządku - westchnął ugodowo. - Założmy, że mówi pani prawdę.

- Właśnie!

- Widzę dwa potencjalne motywy. Pierwszy to chęć skompromitowania pani. Ktoś postanowił panią zniszczyć...

- Absurd! Nie mam żadnych wrogów!

- Drugi to próba zatuszowania morderstwa - dokończył, a widząc jej zdumienie, uśmiechnął się z irytującą wyższością. - Ponieważ ta druga ewentualność nam obojgu wydaje się niedorzeczna, nie pozostaje mi nic innego, jak uznać, że pani kłamie. - Przysunął się do niej, a jego głos niespodziewanie przybrał poufały, niemal intymny ton. Wilk postanowił przywdziać owczą skórę, należy mieć się na baczności. - No dalej, pani doktor. Zagrajmy w otwarte karty. Niech pani to wreszcie z siebie wyrzuci. Niech mi pani powie, co się naprawdę stało w sali operacyjnej? Chirurgowi zadrżała ręka? Przez pomyłkę podała pani nie ten środek co potrzeba?

- Nic podobnego nie miało miejsca!

- Za dużo głupiego jasia, za mało tlenu?

- Nie popełniliśmy żadnych błędów!

- Więc dlaczego Ellen O'Brien nie żyje?

Nie spodziewała się tak gwałtownej reakcji z jego strony. Lekko oszołomiona i zaskoczona, spojrzała mu w oczy. Ich błękit ją hipnotyzował. Nagle odniosła wrażenie, że przeskoczyła między nimi jakaś iskra. Zszokowana po raz pierwszy pomyślała o tym, że ma do czynienia z atrakcyjnym mężczyzną. Może nawet zbyt atrakcyjnym, sądząc po tym, jak na niego reaguje. Uznała, że sytuacja staje się groźna.

- Doczekam się jakiejś odpowiedzi? - rzucił zaczepnie. Zachowywał się w tak, jakby fakt, że ma nad nią przewagę, sprawiał mu przyjemność. - Może woli pani, żebym to ja powiedział, co się wydarzyło? W niedzielę drugiego kwietnia Ellen O'Brien została przyjęta do szpitala w związku z planowaną operacją usunięcia woreczka żółciowego. Jako anestezjolog zleciła pani wykonanie

rutynowych badań, w tym EKG. Obejrzała je pani przed końcem dyżuru. Być może spieszyła się pani, żeby wyjść. W końcu był niedzielny wieczór. Może była pani umówiona na randkę. Mniejsza o powód pośpiechu, ważne, że popełniła pani tragiczny w skutkach błąd. Zinterpretowała pani krzywą EKG jako prawidłową i podpisała się pani na wydruku. Następnie wyszła pani do domu, nie mając pojęcia o tym, że pacjentka właśnie przechodzi atak serca.

- Ellen nie miała żadnych objawów, które mogłyby na to wskazywać - broniła się. - Nie skarżyła się na ból w obrębie klatki piersiowej...

- A jednak w notatkach pielęgniarki pojawia się wzmianka - szybko odnalazł odpowiednią stronę - że pacjentka uskarża się na bóle brzucha...

- To był ten nieszczęsny woreczek.

- A może serce? Tak czy owak, kolejne zdarzenia są bezsporne. Razem z doktorem Santinim położyliście pacjentkę na stole. Szybko okazało się, że narkoza plus stres to zbyt wiele dla jej osłabionego serca. Więc się zatrzymało. A wy nie byliście w stanie pobudzić go do pracy. - Zrobił dramatyczną pauzę. - Koniec historii, pani doktor. Wasza pacjentka zeszła.

- To nie tak! Ja naprawdę pamiętam EKG, na którym się podpisałam. Było normalne.

- Może warto wrócić do studenckich podręczników i przypomnieć sobie rozdział o odczytywaniu krzywej EKG.

- Nie potrzebuję podręczników. Wiem, co jest normalne! - Nie poznawała własnego głosu odbijającego się echem w przestronnym pomieszczeniu.

Na Ransomie jej wystąpienie nie zrobiło większego wrażenia. Wyglądał wręcz na znudzonego.

- Niech się pani zastanowi - westchnął - czy nie byłoby lepiej przyznać się do błędu?

- Lepiej dla kogo?

- Dla wszystkich. Niech pani rozważy zawarcie ugody. To najszybszy, najprostszy i w miarę bezbolesny sposób zakończenia tej sprawy.

- Ugoda? Przecież to byłoby równoznaczne z przyznaniem się do błędu, którego nie popełniłam!

- Chce pani procesu? - rzucił, nie panując dłużej nad zniecierpliwieniem. - Proszę bardzo. Jednak najpierw opowiem pani, jak pracuję. Jeśli już zdecyduję się prowadzić sprawę, nie uznaję półśrodków. Proszę mi wierzyć, że jeśli w sądzie będę musiał rozerwać panią na strzępy, zrobię to! A kiedy z panią skończę, będzie pani żałowała, że w ogóle przyszło pani do głowy podjąć tę żalostną walkę w obronie honoru. Bo mówiąc szczerze, nie ma pani najmniejszych szans. Prędzej piekło zamrznie, niż pani ze mną wygra.

Miała wielką ochotę złapać go za klapy marynarki i wykrzyzczyć mu prosto w twarz, że w całym tym gadaniu o ugodach i procesach ignoruje się jej uczucia i żal po śmierci Ellen. Jednak nagle gniew, a wraz z nim siła, uszły z niej, zostawiając ją w stanie psychicznego i fizycznego wyczerpania.

- Nawet pan nie wie, ile bym dała, żeby móc przyznać się do błędu - wyznała cicho, zapadając się w fotel. - Chciałabym oznajmić: jestem winna i gotowa ponieść konsekwencje. Bóg jeden wie, jak bardzo bym chciała to powiedzieć. Od tygodnia nie myślę o niczym innym tylko o tym, jak to się mogło stać. Ellen mi ufała, a ja pozwoliłam jej umrzeć. Po raz pierwszy żałuję, że zostałam lekarzem. Naprawdę kocham swoją pracę. Nie ma pan pojęcia, jak mi było ciężko, jak wielką zapłaciłam cenę, żeby osiągnąć to, co osiągnęłam. I nagle, dosłownie z dnia na dzień, mogę wszystko stracić. - Umilkła i opuściła głowę. - Nawet nie wiem, czy po tym doświadczeniu będę w stanie wykonywać swój zawód...

David przyglądał jej się w milczeniu i jednocześnie toczył wewnętrzną walkę z emocjami, które nie wiedzieć czemu się w nim obudziły. Uważał, że zna się na ludziach. Z reguły wystarczyło, że spojrzał człowiekowi w oczy i od razu wiedział, czy ten mówi prawdę. Od kilku minut obserwował mowę ciała pani doktor. Czekał na podświadomy sygnał, znak, który zdradzi, że kłamie jak z nut. Tymczasem ona ani razu nie uciekła przed nim spojrzeniem. Przez całe swoje emocjonalne wystąpienie utrzymywała kontakt wzrokowy. Z jej pięknych oczu, które kojarzyły mu się ze szmaragdami, biła absolutna szczerłość.

Porównanie do szmaragdów lekko go zaniepokoiło. Sytuacja nie sprzyjała szukaniu poetyckich metafor ani w ogóle roztrząsaniu kwestii nie mających związku ze sprawą. Tymczasem, niejako wbrew

własnej woli, nagle zaczął myśleć o tym, że jest sam na sam z bardzo piękną kobietą. Prosta szara sukienka tej kobiety pozwalała odgadnąć, iż pod jedwabistym materiałem kryją się apetyczne krągłości. Twarz miała ładną, aczkolwiek nie na tyle, by zdobić okładkę kolorowego pisma, głównie z powodu zbyt mocno zarysowanej szczęki i wysokiego czoła. Za to jej włosy były przepiękne. Gęste, falujące, o odcieniu wpadającym w mahoń, sięgały łopatek i nie dawały się łatwo ujarzmić. Nie, doktor Chesne z pewnością nie jest klasyczną pięknoscią. Ale też klasyczne piękności nigdy go nie pociągały.

Zdenerwował się w końcu nie tylko na siebie, lecz także na nią, że prowokuje go do takich rozmyślań. Nie był żółtodziobem tuż po studiach. Miał wystarczająco dużo lat i życiowej mądrości, by trzymać na wodzy wyobraźnię i nie pozwalać sobie na idiotyczne zgadywanki w rodzaju: co też ona tam ma pod tą sukienką...

Ostentacyjnie spojrzął na zegarek, po czym wstał.

- Muszę wysłuchać zeznań, a widzę, że już jestem spóźniony - oświadczył. - Pozwoli więc pani, że się pożegnam.

Doszedł do połowy sali, gdy usłyszał ciche:

- Panie Ransom? Zirytowany spojrzął za siebie.

- Słucham?

- Ja wiem, że to brzmi niedorzecznie i że nie ma powodu, żeby pan mi wierzył. Ale przysięgam, że mówię prawdę.

Wyczuł, że desperacko szuka potwierdzenia, iż zdołała się przebić przez grubą skorupę jego sceptycyzmu. Problem w tym, że sam nie wiedział, czy jej wierzy. Złościło go niepomiernie, że intuicja, dzięki której wyczuwał konfabulacje, niespodziewanie go zawiodła. A wszystko z powodu szmaragdowych oczu.

- Moja wiara bądź niewiara nie ma tu nic do rzeczy - odparł sucho. - Proszę nie tracić na mnie czasu, pani doktor. To nie mnie ma pani przekonać do swoich racji, ale sąd. - Nie było jego intencją, by zabrzmiało to tak oficjalnie i chłodno, ale stało się. Sposób, w jaki się wzdrygnęła, zdradził, że poczuła się dotknięta.

- Nie mogę więc nic powiedzieć ani zrobić...

- Absolutnie nic.

- Miałam nadzieję, że da się pan przekonać.

- Skoro tak, to musi się pani jeszcze sporo nauczyć o prawnikach.

Miłego dnia, pani doktor. - Energicznie ruszył do drzwi. - Do zobaczenia w sądzie.

ROZDZIAŁ TRZECI

„Nie ma pani najmniejszych szans. Prędzej piekło zamarznie, niż pani ze mną wygra”.

Siedząc samotnie w szpitalnym barku, bezustannie powtarzała w myślach te słowa. Ciekawe w jakiej temperaturze zamarza piekło? I ile potrzeba na to czasu?

A ile czasu będzie potrzebował Ransom, żeby zniszczyć ją w sądzie?

Do niedawna doskonale radziła sobie w momentach krytycznych. Gdy życie ludzkie wisiało na włosku, nie załamywała rąk i wiedziała, co ma zrobić. I robiła to. W sterylnych ścianach sali operacyjnej czuła się bezpiecznie, bo miała kontrolę nad sytuacją.

Co innego w sali sądowej, która była dla niej obcym terytorium. Tu króluje David Ransom. To on dyktuje warunki, ona zaś jest bezradna i bezbronna jak pacjent na stole operacyjnym. Jak ma odeprzeć atak ze strony człowieka, który zbudował swoją potęgę, bezwzględnie łamiąc kariery lekarzy?

Dotąd nie odczuwała lęku przed mężczyznami. W końcu ramię w ramię zdobywała z nimi zawodowe szlify, a potem pracowała w zespole. David Ransom był pierwszym, przy którym poczuła się onieśmielona. Gdyby chociaż był niski albo łysy. Albo gdyby pokazał, że jak każdy ma słabości. Ale nie. Robiło jej się niedobrze na samą myśl, że w sądzie znów będzie musiała spojrzeć w lodowato zimne niebieskie oczy.

- Coś mi się zdaje, że potrzebujesz towarzystwa - stwierdził znajomy głos.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do Guya Santiniego, który popatrywał na nią dobrotliwie zza szkieł grubych jak denka od butelek.

- Cześć! - Apatycznie skinęła głową.

- Co dobrego, Kate? - zagadnął.

- Poza tym, że jestem bezrobotna? - odparła z kwaśnym uśmiechem. - Świetnie.

- Słyszałem, że stary wycofał cię z bloku operacyjnego. Sorki.

- Powiem ci, że nawet nie mam do niego żalu. Wiadomo, że pocziwina Avery bez szemrania wykonuje polecenia.

- Bettencourta?

- A czyje? Nasz pan dyrektor spisał mnie na straty. Również finansowe.

- Tak to już jest, jak zasrani specje od zarządzania dorwą się do koryta. Jedyne, o czym potrafią gadać, to zyski i straty. Dam głowę, że gdyby Bettencourt mógł zarabiać na złotych zębach, każdy oddział miałby na stanie dentystyczne szczypce.

- I jeszcze kazałby pacjentom płacić za ekstrakcję. Nawet się nie roześmiali.

- Nie wiem, czy ci to w czymś pomoże, ale i tak ci powiem, że w sądzie nie będziesz sama. Mnie też pozwalali.

- O rany, Guy, przykro mi...

- Daj spokój. - Wzruszył ramionami. - To dla mnie nie pierwszozna. Miałem już proces. Uwierz mi, że tylko za pierwszym razem człowiek tak bardzo to przeżywa.

- A co się wtedy stało?

- Wypadek. Facet miał pękniętą śledzionę. Na ratunek było za późno. Jak mi doręczyli pozew, wpadłem w taki dołek, że miałem ochotę wyskoczyć z okna. Susan chciała mnie zamknąć w psychiatryku. Jak widzisz, przetrwałem. I ty też przetrwasz, jeśli będziesz pamiętała, że to nie ciebie atakują, tylko twoją pracę.

- Jakoś nie widzę różnicy.

- I właśnie na tym polega twój problem. Nie potrafisz oddzielić życia prywatnego od zawodowego. Oboje wiemy, ile godzin spędzasz w szpitalu. Do diabła, czasem mi się zdaje, że ty tu mieszkasz. Nie mówię, że pełne zaangażowanie w pracę to wada. Trzeba jednak uważać, żeby nie przeholować.

Najbardziej bolało ją, że Guy ma rację. Często zostawała po godzinach. Być może było jej to potrzebne, bo pozwalało zapomnieć o nieudanym życiu osobistym.

To nieprawda, że żyję tylko pracą - broniła się. Ostatnio znowu zaczęłam chodzić na randki. - Najwyższy czas. Można wiedzieć, z kim? - W zeszłym tygodniu spotkałam się z Elliotem.

- Tym kolesiem od komputerów? - westchnął Guy. Wspomniany Elliot nie mógł uchodzić za wzór męskiej urody: przy wzroście metr osiemdziesiąt parę ważył góra sześćdziesiąt kilogramów i był nieco podobny do Pee - Wee Hermana. - Wyobrażam sobie, jak się ubawiłaś.

- Wiesz co? Właściwie to nawet było fajnie. Po kolacji zaprosił mnie do siebie.

- Poważnie?

- I poszłam.

- No nie żartuj!

- Chciał mi pokazać swój najnowszy elektroniczny gadżet.

- I co było dalej? - Guy przysunął się bliżej.

- Słuchaliśmy kompaktów. Graliśmy w gry komputerowe.

- I?

- Po ośmiu rundach Zorka poszłam do domu. Guy z jękiem zawodu osunął się na krzesło.

- Elliot Lafferty, ostatni z gorących kochanków. Moim zdaniem powinnaś poszukać kogoś na forach randkowych. Jak chcesz, to napiszę twój post. Inteligentna i atrakcyjna pozna...

- Tatuś! - Radosny dziecięcy okrzyk przebił się przez gwar rozmów.

Guy obrócił się, słysząc znajomy tupot małych stóp.

- Patrzcie, kogo tu mamy! - zawołał. - Przecież to mój Will! - Poderwał się z krzesła i chwyciwszy swego pięcioletniego synka, podrzucił go do góry. Chłopczyk był tak lekki, że przez chwilę frunął w powietrzu jak ptak, by w końcu wylądować w ramionach ojca.

- Ty wiesz, szkrabie, że ja tu na ciebie czekam? - zapytał go Guy.
- Co tak długo?

- Mama późno wróciła.

- Znowu?

- Adele była wściekła - szepnął mu Will na ucho.

- Umówiła się z chłopakiem do kina i nie mogła wyjść.

- Ojoj! To ci obciach! A my przecież nie chcemy, żeby Adele była na nas zła, prawda? - Guy spojrzał pytająco na swoją żonę Susan, która szła w ich stronę.

- Czyżbyśmy wykończyli kolejną opiekunkę?

- Przysięgam, że to вина pełni księżyca! - Susan ze śmiechem odgarnęła z oczu pasmo kręconych rudych włosów. - Wszystkim moim pacjentom kompletnie dziś odbiło. Nie mogłam się od nich uwolnić. Dosłownie nie chcieli wychodzić z gabinetu.

- A zarzekała się, że wraca tylko na pół etatu - mruknął Guy, przysuwając się do Kate. - Dobrze sobie! Zgadnij, kogo co noc wzywają do nagłych przypadków?

- Ty się lepiej od razu przyznaj, że brakuje ci domowych obiadków i wyprasowanych koszul. - Susan czule poklepała męża po policzku. Był to jeden z typowo macierzyńskich gestów, z których Susan Santini była powszechnie znana. „Moja kwoczka”, powiedział o niej kiedyś Guy. To będące wyrazem czułości określenie pasowało do niej jak ulał. Jej piękno nie wiązało się z wyglądem zewnętrznym, miała bowiem przeciętnej urody piegowaną twarz i masywną budowę ciała żony farmera. Piękno Susan Santini kryło się w jej łagodnym uśmiechu, którym właśnie obdarzyła swego małego synka.

- Tato! - Will kręcił się wokół nóg Guya niczym elf. - Podrzuc mnie jeszcze raz.

- A co ja jestem, wyrzutnia raketowa?

- Podrzuc! Jeszcze raz!

- Później, Will - przystopowała go Susan. - Musimy odebrać samochód taty, zanim zamkną garaż.

- Proszę!

- Słyszałaś? Powiedział magiczne słowo! - rozpromienił się Guy i rycząc jak lew, porwał chłopca na ręce i podrzucił do samego sufitu.

Susan posłała Kate cierpiętnicze spojrzenie.

- Tak naprawdę mam dwoje dzieci - westchnęła z rezygnacją. - Tyle że jedno waży sto dwadzieścia kilo.

- Wszystko słyszałem. - Guy otoczył żonę ramieniem. - Za karę, moja pani, musisz odwieźć mnie do domu.

- Tyran! Masz ochotę na coś z McDonalda?

- Uhm. Chyba wiem, komu się dziś nie chce gotować. - Guy pomachał Kate i ruszył ze swą rodziną do wyjścia. Słyszała, jak pyta synka, co ma ochotę zjeść.

Odprowadzała ich tęsknym wzrokiem. Z łatwością wyobraziła sobie, jak będzie wyglądał ich wieczór. Najpierw McDonald, gdzie śmiejąc się i żartując, będą na zmianę podtykali jedzenie Williamowi, który nigdy nie był głodny. Potem wrócą do domu i położą go spać. Guy pewnie opowie mu bajkę na dobranoc, a on złapie go za szyję swymi chudymi rączkami i da mu buziaka.

A ja do czego mam wracać? To pustych ścian? - pomyślała ze smutkiem, machając do Guya. Szczęściarz, westchnęła, czując lekkie ukłucie zazdrości.

Po wyjściu z biura David pojechał w górę Nuuanu Avenue i skręcił w gruntową drogę wiodącą na stary cmentarz. Zaparkował samochód w cieniu rozłożystego figowca i stąpając po świeżo skoszonej trawie, rozpoczął wędrowkę pomiędzy marmurowymi nagrobkami, z których spoglądały na niego groteskowe anioły strzegące wiecznego spokoju Dole'ów, Bighamów i Cooke'ów. Minawszy starszą część, przeszedł do nowych kwater, w których miejsce tradycyjnych pomników zajęły wykonane z brązu tablice położone wprost na trawie. Tam zatrzymał się pod okazałym drzewem i spojrzał w dół.

Noah Ransom. Żył lat siedem

Miejsce było wyjątkowo malownicze, usytuowane na łagodnie opadającym stoku, z którego roztaczał się widok na miasto. Zawsze wiał tu lekki wiatr, przylatujący albo od strony morza, albo doliny. David nawet z zamkniętymi oczami potrafił odgadnąć, z której strony wieje; poznawał to po zapachu.

Nie on wybierał to miejsce. Nawet nie pamiętał, kto zdecydował, że Noah ma spocząć właśnie tutaj. A może była to kwestia przypadku, bo akurat ta kwatera była wolna. Kto w obliczu śmierci dziecka ma głowę myśleć o widokach, powiewach wiatru albo drzewach?

Pochylił się i zmiotł ręką liście z tablicy. Potem się wyprostował i milcząc stał przy swoim synu. Był tak skupiony, że ledwie usłyszał szelest długiej spódnicy i rytmiczne głuchoe stukanie laski.

- A więc jesteś, Davidzie - odezwał się głos za jego plecami.

Odwrócił się i ujrzał wysoką siwowłosą kobietę, która powoli kuśtykała w jego stronę.

- Nie powinnaś tu przychodzić, mamó. Masz zwichniętą nogę i dobrze wiesz, że nie wolno ci jej nadwierać - odparł.

- Zobaczyłam cię z kuchni - powiedziała, wskazując laską biały dom sąsiadujący z cmentarzem - i pomyślałam sobie, że pójde się przywitać. Przecież nie będę w nieskończoność czekała, aż się domyślisz, że trzeba mnie odwiedzić.

- Przepraszam - mruknął, całując ją w policzek. - Ostatnio mam mnóstwo pracy. Ale naprawdę chciałem dziś do ciebie zajrzeć.

- Pewnie - burknęła i spojrzała na grób. Chłodny błękit oczu był tylko jedną spośród wielu cech, które po niej odziedziczył. Mimo skończonych sześćdziesięciu ośmiu lat Jinx Ransom miała równie

przenikliwe spojrzenie jak on. - O niektórych rocznicach lepiej zapomnieć - stwierdziła półgłosem.

David nie zareagował.

- Pamiętasz, Noah zawsze mówił, że chce mieć brata. Zastanów się, czy aby nie pora spełnić jego prośbę.

- I co w związku z tym proponujesz? - Zaryzykował słaby uśmiech.

- Coś, co jest naturalną kolejną rzeczą.

- A nie uważasz, że powinienem najpierw się ożenić?

- To chyba oczywiste! Powiedz, masz kogoś na oku? - zapytała z nadzieją.

- Absolutnie nikogo.

- Tak myślałam - przyznała, nie kryjąc zawodu, i wzięwszy go za ramię, westchnęła. - Chodź, synu. Skoro nie czeka na ciebie żadna piękna kobieta, to przynajmniej napij się kawy ze starą matką.

Poszli w stronę domu. Grunt był nierówny, więc Jinx posuwała się wolno i ostrożnie. David klika razy proponował, by wzięła go pod ramię, ale ona uparcie odmawiała. Nie dziwiło go to, bo matka nigdy nie słuchała lekarzy, a kontuzji nabawiła się, grając w tenisa.

Drzwi otworzyła im Gracie, która mieszkała z Jinx i pomagała jej w domu.

- No wreszcie jesteś! - zawołała z wyrzutem, a zwróciwszy się do Davida, dodała tonem skargi: - Uprzedzam, że nie mam żadnej kontroli nad tą kobietą. Żadnej!

- A kto ma? - odparł, wzruszając ramionami. Razem z matką usiadł przy kuchennym stole, obok okna, z którego widać było cmentarz.

- Co za szkoda, że przycięli drzewa - westchnęła.

- Przecież musieli to zrobić - zauważyła Gracie, nalewając kawę.

- Inaczej trawa by nie rosła.

- Ale zepsuli nam widok.

- Nie przesadzaj z tym widokiem - obruszył się David, odsuwając na bok liść paproci, który laskotał go w twarz. Jego matka hodowała taką ilość kwiatów, że kuchnia powoli zmieniała się w dżunglę. - Nie rozumiem, jak można dzień w dzień patrzeć na cmentarz.

- Mnie to nie przeszkadza - odparła. - Kiedy wyglądam przez okno, przypominają mi się starzy przyjaciele. Pani Goto, która leży

pod żywopłotem. Pan Carvalho pochowany pod złotokapem. A na górze jest nasz Noah. Dla mnie oni wszyscy po prostu śpią.

- Mamo, na litość boską, daj spokój!

- Wiesz, synu, na czym polega twój problem? Na tym, że nie uporałeś się z lękiem przed śmiercią. Dopóki tego nie zrobisz, nie uporządkujesz sobie życia.

- Jakieś sugestie, jak to zrobić?

- Jeszcze raz spróbuj zawalczyć o nieśmiertelność. Zafunduj sobie drugie dziecko.

- Póki co nie zamierzam się żenić, więc proponuję zmianę tematu.

Jinx zareagowała tak, jak zwykła była reagować, gdy syn występował z jakąś niedorzeczną prośbą. Zignorowała go.

- Zdaje się, że w zeszłym roku poznałeś na Maui jakąś dziewczynę. Co się z nią stało?

- Wyszła za męż. Za innego.

- Co za pech!

- Też facetowi współczuję.

- Jesteś niemożliwy! Kiedy ty wreszcie dorośniesz?!

Uśmiechnął się i ostrożnie upił łyk smolisto czarnej kawy, tak mocnej, że o mało się nie zakrztusił. Był to jeszcze jeden z powodów, dla których unikał tych wizyt. Nie dość, że matka potrafiła obudzić w nim wspomnienia, od których wolał uciec, to jeszcze musiał pić okropną ciecz, którą Gracie ośmielała się nazywać kawą.

- Jak minął dzień, mamo? - zagadnął.

- Z minuty na minutę coraz gorzej.

- Dolać ci kawy? - zapytała Gracie.

- Nie! - Gwałtownie zasłonił ręką filiżankę, nad którą groźnie zawisł dzióbek dzbanka. Jego żywiołowa reakcja zdumiała Gracie, więc szybko dodał: - Dziękuję bardzo, już mi wystarczy.

- Strasznie jesteś nerwowy - zauważyła Jinx. - Masz jakieś problemy? Oczywiście poza brakiem seksu.

- Po prostu mam więcej pracy niż zwykle. Hiro wciąż ma kłopoty z kręgosłupem, więc cała kancelaria jest na mojej głowie.

- Coś mi się zdaje, że praca nie daje ci już takiej satysfakcji jak kiedyś. Chyba było ci lepiej w prokuraturze. Odkąd poszedłeś na swoje, strasznie się wszystkim przejmujesz.

- Bo jest czym. W końcu to poważne sprawy.

- Pozywanie lekarzy? Ha! Dla mnie to jeszcze jeden sposób, żeby się szybko dorobić.

- Mój lekarz też miał raz proces - przypomniała sobie Gracie. - Straszne, co o nim wygadywali. A to przecież taki porządny człowiek, prawdziwy anioł...

- Nikt nie jest święty - stwierdził ponuro. - A już na pewno żaden lekarz - dodał, błędząc nieobecny wzrokiem gdzieś za oknem.

Znowu wrócił myślami do sprawy O'Brien. Tak naprawdę miał ją w głowie przez cały czas. Nie tyle zresztą samą sprawę, co zielonooką kłamliwą doktor Chesne. Wiedział, że w sądzie będzie dla niego łatwym celem i zamierzał to wykorzystać. Miał zwyczaj przechadzać się po sali w czasie rozprawy, zataczając kręgi wokół podsądnego. W miarę zadawania pytań krąg się zacieśniał. Gdy przychodził czas na ostateczny cios, z reguły stał już twarzą w twarz z ofiarą. Nagle wyobraził sobie, jak to będzie wyglądało w przypadku doktor Chesne, i poczuł irracjonalny lęk. Przestraszył się, że będzie musiał ją obnażyć. Zniszczyć. Na tym polega jego praca. Dotąd był z siebie dumny, że jest tak dobry w tym, co robi. Z przymusem dopił kawę i wstał.

- Muszę jechać - oznajmił i wstał, w ostatniej chwili uchylając się przed wiszącą doniczką z paprocią. - Zadzwoń do ciebie, mamó.

- Kiedy? W przyszłym roku? - prychnęła.

Nie dał się sprowokować, jedynie z sympatią poklepał Gracie po plecach i szepnął jej do ucha:

- Powodzenia! Nie dawaj się. Nie pozwól, żeby doprowadziła cię do szału.

- Ja! Ja ją doprowadzam do szału? - obruszyła się Jinx. - Wolne żarty.

Gracie odprowadziła go do drzwi, a potem patrzyła, jak idzie przez cmentarz do samochodu.

- Biedny człowiek, taki nieszczęśliwy - westchnęła, wróciwszy do kuchni. - Gdyby udało mu się zapomnieć...

- On nie zapomni - odparła smutno Jinx. - Jest taki sam jak jego ojciec. Będzie się z tym zmagał do końca życia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Motorówka z prochami Ellen O'Brien wypływała w morze, zmagając się z silnym wiatrem. Za chwilę doczesne szczątki zmarłej zostaną rozsypane nad wodami, w których powoli chowało się słońce. Tak oto przedwcześnie zgasłe życie powraca tam, skąd wzięło swój początek.

Pastor sprawujący ostatnią posługę rzucił na fale wieniec z żółtych kwiatów. Gdy uniesione przez prąd zaczęły oddalać się od pomostu, symbolizując nieuchronne i ostateczne rozstanie, Patrick O'Brien nie potrafił powstrzymać łez.

Jego rozdzierający szloch poszybował z wiatrem ponad głowami żałobników i dotarł na sam skraj pomostu, gdzie obok podskakujących na wysokiej fali łodzi rybackich stała Kate. Samotna i niezauważona, trzymała się z dala od pozostałych uczestników ceremonii i bezustannie zadawała sobie pytanie, po co właściwie tu przyszła. Czy miał być to rodzaj okrutnej kary, którą sama sobie wymierzyła? Czy może wyraz żalu? Nie umiała odpowiedzieć na te pytania. Wiedziała tylko, że jakiś wewnętrzny głos kazał jej tu się pojawić.

Pośród tych, którzy przyszli pożegnać Ellen, dostrzegła wiele znajomych twarzy. Pielęgniarki ze szpitala zbiły się w grupkę, zjednoczone w cichej żałobie. Obok nich stała para ginekologów sprawiających wrażenie, jakby czuli się nieswojo bez fartuchów. Clarence Avery pochylił nisko głowę, a jego targane wiatrem białe włosy przypominały dmuchawiec. Pojawił się nawet George Bettencourt. Stał sam i miał nieprzeniknioną minę, która upodobniła jego twarz do woskowej maski. Dla tych ludzi szpital był czymś więcej niż miejscem pracy. Często pełnił funkcję drugiego domu, koledzy zaś byli jakby drugą rodziną. Lekarze i pielęgniarki wzajemnie asystowali sobie w czasie porodów, a czasem w chwili śmierci. Ellen była przy nich, gdy rodziły się ich dzieci. Teraz oni stawili się, by odprowadzić ją w ostatnią drogę.

W pewnej chwili uwagę Kate przykuł blask promieni słońca, które utworzyły coś na kształt pomarańczowozłotej aureoli nad jasnowłosą głową. Zaintrygowana spojrzała na przeciwległy kraniec pomostu, gdzie stał David Ransom, górując wzrostem nad pozostałymi. Oczywiście ubrał się stosownie do okazji, w ciemny garnitur, do którego dobrał stonowany krawat, więc wyglądał jak

każdy z uczestników pogrzebu. Jedyńm, co wyróżniało go na tle pogrążonych w smutku ludzi, był brak widocznych oznak jakichkolwiek emocji. Przypominał kamienny posąg. Mimo woli Kate zaczęła się zastanawiać, czy ten facet w ogóle posiada jakieś ludzkie cechy. Czy ty wiesz, co to płacz albo śmiech? Rozumiesz, czym jest rozpacz? Przeżywasz uniesienie, kiedy się z kimś kochasz? - pytała go w myślach.

Ostatnie z pytań przyszło zupełnie nieoczekiwanie. Kochać się z nim? Tak, potrafiła sobie wyobrazić, jak by to wyglądało w jego wykonaniu: to nie jest radość ze wspólnych przeżyć, lecz wypełnianie żądań. Podejrzewała, że David Ransom przynosi do sypialni doświadczenia z sali sądowej. Tam też dyktuje warunki i wymusza całkowitą podległość. Patrzyła, jak gasnące słońce okrywa go blaskiem niczym zbroją, dzięki której zdaje się być niezniszczalny. I jak tu walczyć przeciw takiemu człowiekowi?

Porywisty wiatr wiejący od strony morza zagłuszył ostatnie słowa pastora. Chwilę później ceremonia dobiegła końca, jednak Kate nie potrafiła zebrać sił, by się ruszyć. Żałobnicy mijali ją w milczeniu i tylko Clarence Avery przystanął, by coś powiedzieć, chyba jednak zabrakło mu odwagi, bo skulił się i odszedł. Rodzice Ellen nawet na nią nie spojrzeli. David Ransom wprowadził ją dostrzegł, lecz przeszedł obok niej tak obojętnie, jakby była powietrzem.

Zanim zdołała wyrwać się z odrętwienia, pomost opustoszał. Jedyne maszty jachtów sterczały w górę jak kikuty martwych drzew. Stare deski dudniły głucho pod jej stopami, gdy z trudem stawiała ciężkie kroki. Kiedy doszła do samochodu, była tak zmęczona, jakby przemierzyła dziesiątki mil. Zaczęła szukać kluczyków, lecz robiła to tak niezdarnie, że torebka wysunęła jej się z rąk i upadła na ziemię. W chwili, gdy jej osobiste rzeczy wysypywały się na chodnik, doświadczyła przedziwnego przeczucia nieuchronności pewnych zdarzeń. Biernie przyglądała się, jak wiatr rozwiewa chusteczki, i wyobrażała sobie, że będzie tak stała przez całą noc i kolejne dni, zupełnie jakby wrosła w ziemię. Wizja była absurdalna, lecz ją nurtowało pytanie, czy ktoś by w ogóle zauważył, co się z nią dzieje.

David. On wszystko widział. Pożegnał się już ze swymi klientami i czekał, aż odjadą, lecz cały czas miał świadomość, że gdzieś z tyłu, na pomoście, została Kate Czesne. Nie spodziewał się, że ją tu zobaczy. To, że przyszła na pogrzeb, uznał za przejaw sprytu.

Podejrzewał, że okazując publicznie skruchę, próbuje przypodobać się O'Brienom. Myślał tak, dopóki nie obejrzał się za siebie i nie zobaczył, jak idzie wzdłuż nabrzeża, samotna, z bezradnie opuszczonymi ramionami i zwieszoną głową. Dopiero wtedy uświadomił sobie, ile odwagi wymagało, by tu przysła.

Chłodny głos rozsądku natychmiast przypomniał mu, że niektórzy lekarze zrobią wszystko, byle tylko uniknąć procesu. To wystarczyło, by momentalnie stracił zainteresowanie jej losem. Ruszył do samochodu, lecz w połowie drogi usłyszał, że coś stuknęło o asfalt. Znow się obejrzał i zobaczył ją, jak stoi bezradnie nad torebką, z której wysypała się cała zawartość. Skojarzyła mu się z przestraszonym i zagubionym dzieckiem, które nie wie, co robić. Dopiero po kilku minutach pochyliła się i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Coś kazało mu do niej podejść. Nawet go nie zauważyła. Bez słowa kucnął obok i zebrał rozsypane drobne. Dopiero wtedy go spostrzegła. Zamarła.

- Pomyślałem, że przyda się pani pomoc. Nie odpowiedziała.

- Nic więcej nie zostało - stwierdził, rozglądając się na boki.

Wstali. Ona nadal nic nie mówiła. Dopiero kiedy podał jej drobne, wydusiła z siebie wątłe dziękuję.

- Nie spodziewałem się pani tutaj. Po co pani przysła?

- Myślę, że... to był błąd. - Wzruszyła ramionami.

- Czy to adwokat podsunął pani ten pomysł?

- Niby dlaczego miałyby to robić?

- Żeby pokazać państwu O'Brien, że się pani przejmuje.

- Więc według pana to był element jakiejś... strategii? -

Zaczerwieniła się ze złości.

- Czasem słyszy się o takich rzeczach.

- A pan po co tu przyszedł? Żeby pokazać klientom, że się pan przejmuje? To element pańskiej strategii?

- Cóż, ja rzeczywiście się przejmuje.

- A myśli pan, że ja nie?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale to właśnie pan insynuował.

- Proszę nie brać do siebie wszystkiego, co powiem.

- Na wszelki wypadek biorę do siebie każde pańskie słowo.

- Niepotrzebnie. Niech pani nie zapomina, że to jest moja praca.

- A na czym ona polega? Na niszczeniu ludzi?

- Nie atakuję ludzi, proszę pani. Atakuję błędy, które popełnili. A te zdarzają się nawet najlepszym lekarzom.

- Nie musi mi pan o tym mówić! - Spojrzała w stronę morza, w którym spoczęły prochy Ellen.

- Dla mnie to chleb powszedni. Zmagam się z tym każdego dnia w sali operacyjnej. Dobrze wiem, że moja pomyłka może kosztować ludzkie życie. Oczywiście, my, lekarze, potrafimy sobie radzić ze stresem. Pomaga nam wisielczy humor i mało wybredne żarty. Strach pomyśleć, z czego się czasem śmiejemy. To jednak pozwala nam jakoś przetrwać, jest rodzajem emocjonalnej samoobrony. Dla was, prawników, to abstrakcja. Nie macie bladego pojęcia, jak to jest, kiedy coś pójdzie nie tak i na stole umiera pacjent.

- Za to dobrze wiemy, co wtedy czuje rodzina. Każdy wasz błąd oznacza czyjeś cierpienie.

- A pan nigdy się nie myli, tak?

- Nie ma ludzi nieomylnych. Cały problem polega na tym, że wy, lekarze, wypieracie się swoich błędów.

- Nigdy nie pozwoli mi pan zapomnieć, prawda? - stwierdziła, odwracając się w jego stronę.

Zachodzące słońce zabarwiło na pomarańczowo nie tylko wieczorne niebo, lecz także jej włosy i policzki. David niespodziewanie zastanowił się, jak by to było, gdyby wsunął palce w falujące na wietrze kasztanowe pasma. Albo gdyby ją pocałował. Sam nie wiedział, skąd mu przyszedł do głowy ten niedorzeczny pomysł. Najgorsze, że nie mógł się od niego uwolnić. Nie wolno mu myśleć o takich rzeczach.

Jednak ta kobieta stała tak blisko, że miał do wyboru albo cofnąć się, albo ją pocałować. Oparł się pokusie.

- Jak już mówiłem, jedynie wykonuję swoje obowiązki - powtórzył.

- Nie, tu chodzi o coś więcej. Nie wiem dlaczego, ale odnoszę wrażenie, że pan się mści. Postawił pan sobie za cel rozprawienie się z całym światem medycznym. Zgadłam?

Nie spodziewał się takich oskarżeń. Zaprzeczył, ale dobrze wiedział, że trafiła w sedno. Udało jej się odnaleźć starą ranę i otworzyć ją słowem jak skalpelem.

- Mówi pani, że chcę rozprawić się z lekarzami? - powtórzył. - Niekompetencja osób takich jak pani bardzo ułatwia mi zadanie.

W jej oczach zapłonął gniew. David był niemal pewny, że za chwilę go spoliczkuje. Ona jednak wskoczyła do swojego audi, trzasnęła drzwiami i ruszyła tak ostro, że instynktownie odskoczył na bok.

Patrzył, jak odjeżdża, i żałował swych niepotrzebnych słów. Nie powinien był potraktować jej surowo, ale próbował się bronić. Perwersyjna fascynacja jej osobą stała się na tyle silna, że poczuł się zagrożony. Chciał to w sobie zdławić, raz na zawsze.

Już miał wsiadać do samochodu, gdy kątem oka dostrzegł jakiś błyszczący przedmiot: na jezdni leżało srebrne pióro. Musiało wturlać się pod samochód i dlatego go nie zauważyli. Podniósł je i spojrzał na wygrawerowany napis: dr Katharine Chesne.

Przez chwilę ważył je w dłoni, myśląc o jego właścicielce. Ciekawe, czy podobnie jak on nie ma do kogo wracać po pracy. Nagle, stojąc samotnie na przystani, uświadomił sobie, jak wielką czuje pustkę. Do niedawna błogosławił ten stan, pustka uwalniała go bowiem od cierpienia. Teraz zaś zupełnie nieoczekiwanie zatęsknił za emocjami. Chciał znów coś czuć. Cokolwiek. Choćby tylko po to, by upewnić się, że jeszcze żyje. Jego uczucia ukryły się gdzieś głęboko, na dnie duszy. Domyślał się, że wciąż tam są, bo nieśmiało przypominały o sobie, gdy patrzył w pałające oczy Kate. Nie była to żadna gwałtowna eksplozja, raczej nieśmiała iskierka. Mocniejsze odchylenie na wykresie pracy śmiertelnie chorego serca.

Znak, że pacjent jeszcze nie umarł. Uśmiechnął się do siebie. Podrzucił pióro i zwinnie złapał je w powietrzu. Następnie wsunął je do kieszeni i wsiadł do samochodu.

Pies był już w stanie głębokiej narkozy. Leżał z rozłożonymi łapami i wygolonym brzuchem, który za chwilę miał zostać wysmarowany jodyną. Był to wyjątkowo ładny owczarek niemiecki, ewidentnie bardzo rasowy. I przez nikogo niekochany.

Guy Santini żałował, że takie piękne zwierzę dokona żywota na jego stole, ponieważ jednak ostatnio ciężko było o zwierzęta doświadczalne, musiał brać, co mu dawali. Pocieszał się, że stworzenia, które wykorzystywał do badań, nie cierpiały. Podczas zabiegu były uśpione i nic nie czuły, a po wszystkim dostawały

śmiertelną dawkę pentothalu. Umierały spokojnie. Guy uważał, że tak jest dla nich lepiej, niż gdyby miały skończyć na ulicy. Poza tym ich poświęcenie nie szło na marne. Każdy wykorzystany do badań pies dostarczał nowych danych i przybliżał go do poznania wszystkich tajemnic fizjologii wątroby.

Spojrzał na przyrządy ułożone na tacy: skalpel, kłamry, dreny. Wszystko gotowe. Sięgnął po skalpel.

Naraz znieruchomiał, usłyszał bowiem ciche skrzypnięcie wahadłowych drzwi. I czyjeś kroki na lśniącym linoleum. Podniósł wzrok. Naprzeciw niego stała Ann Richter. W milczeniu spojrzeli sobie w oczy.

- Widzę, że też nie poszłaś na pogrzeb Ellen.

- Chciałam pójść, ale się bałam.

- Bałaś się? Czego?

- Przykro mi, Guy. Naprawdę nie mam już wyboru. - Wyciągnęła rękę, w której trzymała list. - To od adwokata Charliego Deckera. Drażą sprawę Jenny Brook.

- Co takiego? - Błyskawicznie ściągnął rękawiczki i wyszarpnął papier z jej dłoni. Zapoznawszy się z treścią, spojrzął na nią zaniepokojony. - Ann, ty im nic nie powiesz, prawda? Przecież nie możesz...

- Guy, wzywają mnie na świadka.

- Na miłość boską, kto ci każe mówić prawdę?

- Wypuścili Deckera. Nie wiedziałaś? Już miesiąc temu wypisali go ze szpitala. A teraz dzwoni do mnie. Zostawia listy pod drzwiami. Czasem wydaje mi się, że mnie śledzi.

- Nic ci nie zrobi!

- Skąd ta pewność? - Skinęła głową w stronę listu.

- Henry też taki dostał. I Ellen. Parę dni przed...

- Umilkła jakby w obawie, że mówiąc głośno o swych najgorszych lękach, ściągnie na siebie nieszczęście. Guy dopiero teraz zauważył, jak źle wygląda. Miała podkrążone oczy, a popielate włosy, którymi tak zawsze się chlubiła, wyglądały, jakby nie czesała się od wielu dni. To się musi skończyć - dodała po chwili. Nie chcę do końca życia sprawdzać, czy przypadkiem Decker mnie nie śledzi.

Guy zgniótł list, a potem zaczął krążyć po gabinecie. Jego nerwowość graniczyła z paniką.

- Posłuchaj, przecież na jakiś czas możesz zniknąć...

- Na jak długo? Na miesiąc? Na rok?

- Nie wiem. Dopóki sytuacja się nie wyklaruje. Dam ci pieniądze... - Sięgnął do portfela i wyjął pięćdziesiąt dolarów, wszystko, co przy sobie miał.

- Weź to. Obiecuję, że przyślę ci więcej.

- Nie chcę od ciebie pieniędzy.

- Daj spokój. No, bierz.

- Już ci mówiłam, że...

- Na litość boską, bierz! - Jego podniesiony głos odbił się od surowych białych ścian. - Proszę cię, Ann - nalegał, tym razem o wiele ciszej. - Zrób to dla mnie, w imię naszej przyjaźni. Proszę...

Spojrzała na zwitek banknotów. Po chwili wahania wzięła je i ścisnęła w dłoni.

- Wyjadę jeszcze dziś wieczorem. Do San Francisco. Mam tam brata.

- Zadzwoń do mnie, jak dotrzesz na miejsce. Wyślę ci pieniądze, tyle ile trzeba. - Miał wrażenie, że go nie słucha. - Ann? Zrobisz to dla mnie. Prawda?

Wpatrywała się tępo w ścianę. Chciał ją pocieszyć, zapewnić, że wszystko się ułoży, oboje jednak wiedzieli, że to nieprawda. Guy patrzył, jak Ann wolno idzie w stronę drzwi. Zanim wyszła, powiedział:

- Dziękuję ci, Ann.

Nie odwróciła się. Jedyne przystanęła na chwilę, a potem wzruszyła ramionami i zniknęła w drzwiach.

Szła na przystanek, kurczowo ściskając w dłoni pieniądze od Guya. Pięćdziesiąt baksów! I to ma wystarczyć! Nawet tysiąc czy milion byłoby za mało.

Wsiadła do autobusu jadącego do Waikiki. Usiadła przy oknie i przez całą drogę gapiała się na mijane przecznice. Jedna, druga, trzecia... Niewiele brakowało, a wpadłaby przez to w kompletne otepienie. Wysiadła w Kalakaua i szybko ruszyła w stronę swojego domu.

Jeźdźnią sunęły warczące autobusy, dławiące smrodem spalin. W miejskiej duchocie od razu spocily jej się dłonie. Betonowa dżungla zdawała się napierać na nią ze wszystkich stron, turyści co krok zachodzili jej drogę. Przedzierała się przez ten ludzki gąszcz, z każdą chwilą bardziej niespokojna. Przyspieszyła.

Dwie ulice dalej tłum trochę się przerzedził. Gdy na następnym skrzyżowaniu czekała na zielone światło, była zupełnie sama. Niespodziewanie dopadło ją przeczucie, że ktoś za nią idzie. Obejrzała się za siebie. Stary człowiek wolno włókł się chodnikiem, tuż za nim jakaś para pchała dziecięcy wózek. Na wieszakach ustawionych przed sklepem powiewały jaskrawe hawajskie koszule. Nie działo się nic niezwykłego. Pozornie...

Zapaliło się zielone światło. Przebiegła przez ulicę i biegła już przez całą drogę.

W mieszkaniu od razu zaczęła się pakować. Wrzucając rzeczy do walizki, obmyślała, co dalej robić. Samolot do San Francisco odlatuje o północy. Była pewna, że brat na jakiś czas ją przygarnie i nie będzie zadawał zbędnych pytań. Rozumiał, że każdy ma jakieś tajemnice i każdy przed czymś ucieka.

To nie jest jedyne wyjście z sytuacji, podszeptował wewnętrzny głos. Możesz pójść na policję...

I co im powiedzieć? Prawdę o Jenny Brook? Po to, żeby zniszczyć jeszcze jedno niewinne życie?

Bijąc się z myślami, zaczęła nerwowo krążyć po mieszkaniu. W pewnej chwili podchwyciła swoje odbicie w lustrze. Z przerażeniem patrzyła na rozmazany tusz i potargane włosy. Strach tak bardzo wyostrzył jej rysy, że nie poznawała samej siebie.

Wystarczy jeden telefon i w końcu to z siebie wyrzucisz, pomyślała. Wyjawiona tajemnica przestaje być groźna...

Podniosła słuchawkę i drżącymi palcami wystukała domowy numer Kate. Serce jej zamarło, gdy po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

Odchrząknęła, by nadać głosowi w miarę normalny ton. „Dobry wieczór. Mówi Ann Richter. Muszę koniecznie z panią porozmawiać. Chodzi o Ellen. Wiem, dlaczego umarła”.

Rozłączyła się i z nadzieją czekała na telefon.

Minęły godziny, zanim Kate odsłuchiwała wiadomość. Po odjeździe z przystani długo krążyła po mieście. Bez celu, jedynie po to, by odwlec moment powrotu do pustego domu. Był wieczór. Dzięki Bogu, już jest piątek. Postanowiła, że na przekór wszystkiemu spędzi czas przyjemnie. Zaczęła od kolacji w modnym barze z grillem, gdzie wszyscy poza nią świetnie się bawili. Stek, który zamówiła, wydał jej

się zupełnie pozbawiony smaku, a czekoladowy mus był tak słodki, że z trudem go przełknęła. Chyba czuła się winna, bo zostawiła na stoliku nieproporcjonalnie duży napiwek, jakby chciała przeprosić za brak apetytu.

Następnie wybrała się do kina. Pech chciał, że wylądowała pomiędzy wiercącym się ośmiolatkiem a obściskującą się parą nastolatków. Wyszła w połowie filmu. Nawet nie pamiętała tytułu, wiedziała tylko, że była to komedia. Na której nie zaśmiała się ani razu.

Wróciła do domu o dziesiątej. Zaczęła się rozbierać, lecz nagle uszła z niej cała energia, więc przysiadła na brzegu łóżka i apatycznie gapiała się na ściany. Dopiero po jakimś czasie zauważyła migające światelko automatycznej sekretarki. Włączyła więc odtwarzanie i poszła do garderoby.

„Dobry wieczór, pani doktor. Dzwonię z czwórki, żeby powiedzieć, że cukier u pana Berga wynosi dziewięćdziesiąt osiem... Witam, mówi June z sekretariatu doktora Avery'ego. Proszę nie zapomnieć, że we wtorek o czwartej jest posiedzenie sądu koleżeńskiego... Kłania się agencja nieruchomości Winward. Proszę się z nami skontaktować. Mamy dla pani kilka ciekawych ofert...”.

Wieszła spódnice, gdy maszyna odtworzyła ostatnią wiadomość.

„Dobry wieczór. Mówi Ann Richter. Muszę koniecznie z panią porozmawiać. Chodzi o Ellen. Wiem, dlaczego umarła”.

Rozległ się szczeł odkładanej słuchawki, po czym taśma zaczęła się przewijać. Kate podbiegła do telefonu i ponownie odtworzyła wiadomości. Z bijącym sercem czekała na głos Ann.

„Chodzi o Ellen. Wiem, dlaczego umarła”.

Bez namysłu sięgnęła po książkę telefoniczną i odnalazła numer i adres. Niestety, linia była zajęta. Wiele razy próbowała się połączyć, lecz wciąż słyszała przerywany sygnał. Nie zamierzała tracić czasu. Wiedziała, co ma robić. Czym prędzej wróciła do garderoby i zaczęła gorączkowo się ubierać.

Główna arteria Waikiki była zakorkowana.

Chodnikami jak zwykle przelewał się barwny tłum złożony z turystów, żołnierzy na przepustce i bezdomnych. Całe to groteskowe towarzystwo płynęło w morzu jaskrawych świateł wielkiego miasta. Po frontach budynków pełzły cienie palm, przypominające

gigantyczne pająki. Jakiś nobliwie wyglądający dżentelmen wystawił na widok publiczny swe chude białe kończyny, obleczone w bermudy.

Do Waikiki z reguły przyjeżdżało się po to, by dla rozrywki z bliska spojrzeć na kicz, absurd i jarmarczną estetykę. Tej nocy Kate po raz pierwszy nie czuła się rozbawiona tym, co widzi. Nie wiedzieć czemu ulica po prostu ją przerażała. Włokąc się w żółtym tempie, obserwowała z okna samochodu bezbarwne twarze przechodniów, chwiejące się grupy pijanych żołnierzy przed barami i wreszcie ulicznego kaznodzieję, który stojąc na rogu, wymachiwał Biblią i z obłędem w oczach obwieszczał krzykiem rychły koniec świata.

Musiała zatrzymać się na czerwonym świetle, a wtedy on niespodziewanie się odwrócił i na nią spojrział. Wzdrygnęła się, bo odniosła wrażenie, że jego rozgorączkowane oczy przekazują jej jakąś tajemną wiadomość, przeznaczoną wyłącznie dla niej. Gdy zapaliło się zielone światło, z ulgą ruszyła z miejsca. Opętańcze krzyki nieszczęsnego proroka słabły, aż w końcu ucichły.

Dziesięć minut później, wciąż nieco roztrzęsiona, weszła do budynku, w którym mieszkała Ann. Wykorzystała moment, gdy wychodzili stamtąd jacyś ludzie, i wśliznęła się do holu.

Winda długo nie przyjeżdżała, miała więc czas, by trochę ochłonąć. Oparła się o ścianę i zaczęła głęboko oddychać. Cisza panująca w budynku koła jej nerwy. Kiedy wreszcie wsiadała do windy, rytm serca zdążył wrócić do normy. Kabina wolno sunęła w górę, a ona obserwowała, jak kolejno zapalają się światełka z piętrami: trzecie, czwarte, piąte.

Wysiadła na siódmym.

Na korytarzu nie było żywej duszy. Mdła zielona wykładzina rozciągała się przed nią niczym idealnie prosta ścieżka. Ruszyła w stronę mieszkania numer 710. Idąc, miała dziwne wrażenie, że to wszystko jej się śni. Nawet wzorzysta tapeta i drzwi majaczące na końcu długiego wąskiego korytarza zdawały się nierealne. Dopiero gdy do nich podeszła, zauważyła, że są niedomknięte.

- Ann?

Cisza.

Pchnęła delikatnie drzwi. Otwierały się powoli, stopniowo odsłaniając wnętrze. Zamarła, lecz nie od razu dotarło do niej, co widzi. Ze zgrozą patrzyła na poprzewracane krzesła, kolorowe pisma na podłodze, czerwone plamy na ścianach. Podążyła spojrzeniem za

jedną z nich: purpurowy ślad biegnący zygzakiem przez beżowy dywan doprowadził ją do swego makabrycznego źródła, którym było ciało Ann Richter, leżące twarzą do ziemi w wielkiej kałuży krwi.

Ze słuchawki zwisającej ze stołu dobiegał przerywany sygnał. Powinna potraktować go jak alarm ostrzegający przed niebezpieczeństwem i zmuszający do działania. Tymczasem nie była w stanie ruszyć nawet palcem. Stała jak sparaliżowana. Zupełnie jakby ogarnęła ją litościwa niemoc.

Dopiero po chwili zrobiło jej się czarno przed oczami. Aby nie upaść, przyklękła i chwyciła się futryny. Okazało się, że długie lata studiów, zajęcia w prosektorium, praca w szpitalu, ciągły widok krwi nie uodporniły jej na tyle, by potrafiła zapanować nad instynktowną reakcją ciała. Serce biło jej jak oszalałe, w uszach szumiało. Mimo to wychwyciła jakiś niepokojący dźwięk. Nieregularny, rwący się, chrapliwy. Oddech. To nie ona tak oddycha.

W pokoju ktoś jest.

W dużym lustrze wiszącym w salonie spostrzegła nagle jakiś ruch. Przyjrzawszy się uważnie, rozpoznała odbicie sylwetki. Nie dalej jak parę metrów od niej, za komodą, krył się jakiś mężczyzna.

On też ją zauważył. Poprzez lustro spojrzeli sobie w oczy. I choć trwało to zaledwie ułamek sekundy, miała wrażenie, że ogarnęła ją ciemność. Czuła się tak, jakby otoczyła ją otchłań, z której nie ma ucieczki.

Mężczyzna otworzył usta, lecz z jego gardła zamiast słów wydobył się upiorny syk, podobny do tego, który wydaje żmija tuż przed atakiem. Wrażenie było tak koszmarne, że podziałało na nią jak kubeł zimnej wody. Błyskawicznie poderwała się z kolan. Gdy się odwracała, by rzucić się do ucieczki, zdawało jej się, że pokój obraca się wokół niej jak na zwolnionym filmie. Korytarz zdawał się nie mieć końca. Przeraził ją własny krzyk, który odbił się echem od ścian.

Pobiegła do klatki schodowej, którą uznała na jedyną drogę ucieczki. Nie miała odwagi tracić bezcennych minut, czekając na windę. Z całej siły pchnęła drzwi i na oślep ruszyła w dół po betonowych schodach. Była piętro niżej, gdy usłyszała łomot drzwi uderzających o ścianę. Zaraz potem z góry dobiegł przerażający syk, który dla niej brzmiał jak szept szatana.

Chciała wydostać się na korytarz, lecz okazało się, że drzwi są zamknięte. Zaczęła krzyczeć i z całej siły tłuc w nie pięściami. Ktoś na pewno usłyszy! Pomoże!

Nad jej głową zadudniły nerwowe kroki. Nie ma czasu do stracenia, musi biec. Zdyszana dotarła na piąte piętro i z rozpędu całym ciałem napała na drzwi. W kostce poczuła taki ból, że łyzy zakręciły jej się w oczach. Zaczęła szarpać za klamkę i kopać w drzwi, lecz one również były zamknięte na głucho.

A on deptał jej po piętach.

Jak w amoku mijała kolejne piętra. Gdzieś po drodze upuściła torbę, ale nawet nie próbowała jej podnosić. Kostka bolała ją tak bardzo, że miała ochotę wyć. Kulejąc, podbiegła do drzwi na trzecim piętrze. Czy one też są zaryglowane? Wszystkie, aż do parteru? Próbowała sobie wyobrazić, co znajduje się na tyłach budynku. Parking? Ciemny zaułek? Czy rankiem właśnie tam ktoś natknie się na jej zwłoki?

Paniczny strach dodał jej sił. Zapomniała o bólu i szarpnęła drzwi na drugim piętrze najmocniej jak potrafiła. Nie wierzyła w swoje szczęście, gdy ustąpiły pod naporem. Potykając się o własne nogi, wpadła do podziemnego garażu. Nie miała czasu, by obmyślić dalszy plan ucieczki. Instynktownie ukryła się w cieniu. Niemal w tej samej chwili metalowe drzwi otwarły się z hukiem. Przerazona przykucnęła za najbliższym samochodem.

Skuliła się i w napięciu nasłuchiwała kroków. O dziwo, nie usłyszała niczego oprócz szumu własnej krwi. Mijały sekundy, potem minuty. Gdzie on może być? Czyżby przestał ją ścigać? Przywarła do samochodu tak mocno, że zderzak boleśnie wrzynał jej się w udo. Nawet tego nie poczuła. Całkowicie skupiła się na walce o przetrwanie.

Kamyk potoczył się po asfalcie, co w betonowym garażu zabrzmiało jak huk wystrzału. Próbowała ustalić, skąd dochodzi dźwięk, lecz ten, zwielokrotniony echem, zdawał się atakować ją ze wszystkich stron. Odejdź stąd! Dobry Boże, spraw, żeby on stąd poszedł!

Echo wybrzmiało, zapadła cisza, ale Kate i tak czuła przez skórę jego obecność. Wiedziała, że się do niej zbliża. Niemal słyszała jego diabelski szept: Idę po ciebie!

Musiała sprawdzić, gdzie on jest, jak blisko podszedł. Przytrzymując się opony, schyliła głowę i ostrożnie wyjrzała zza samochodu. Niemal w tej samej chwili cofnęła się przerażona. Napastnik był po drugiej stronie. Szedł ku tyłowi samochodu. Za chwilę ją zobaczy.

Podерwała się i czmychnęła jak wystraszony królik. Rzuciła się do panicznej ucieczki między rzędami aut, które zlewały się w jedną niewyraźną masę. Kierowała się w stronę drogi wyjazdowej. Tuż za sobą słyszała przyspieszony oddech. Mężczyzna musiał być naprawdę blisko, tymczasem jej zdrętwiałe od długiego kucania nogi ledwie ją niosły.

Kręty, opadający w dół podjazd zdawał się nie mieć końca. Na każdym wirażu bała się, że się pośliznie i przewróci. Płuca paliły ją tak, jakby za chwilę miały pęknąć.

Zmobilizowała wszystkie siły i pokonała ostatni zakręt, zbyt późno jednak dostrzegła światła wjeżdżającego na górę samochodu. Ostatnim obrazem, jaki zarejestrowała, były twarze dwojga ludzi i ich szeroko otwarte usta. Gdy upadła na maskę, przed jej oczami rozbłysły barwne fajerwerki. Po chwili jednak zgasły i zapadła absolutna ciemność.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Mango pyli - oznajmił sierżant Brophy, kichając w wilgotną chustkę. - Nie ma dla mnie gorszej pory roku. Cholerna alergia. - Dokładnie wytarł nos, a potem kilka razy nim pociągnął, by upewnić się, że kanały są drożne. Przygnębiające okoliczności oraz miejsca, w których się znajdował, nie robiły na nim wrażenia. Zupełnie jakby trupy, ściany zbryzgane krwią i armia techników z laboratorium kryminalistycznego były jego naturalnym środowiskiem. Kiedy łapał go katar sienny, obojętniał na wszystko z wyjątkiem stanu swoich zatok.

Porucznik Francis „Pokie” Ah Ching przywykł do notorycznego kichania młodszego kolegi. Zresztą ta męcząca przypadłość miała dobre strony. Tę na przykład, że zawsze było wiadomo, w którym pomieszczeniu Brophy się znajduje.

Sądząc po odgłosach, teraz była to sypialnia denatki. Pokie ze spokojem wrócił więc do sporządzania notatek. Pisał szybko, posługując się osobliwą stenografią, którą wypracował w ciągu dwudziestosześcioletniej służby, w tym siedemnastu lat w wydziale zabójstw. Tym razem rysunki i adnotacje wypełniły osiem stron, z czego cztery dotyczyły salonu jako miejsca zbrodni. Porucznik nie był wybitnym artystą, lecz jego mało wyrafinowane szkice były wyjątkowo precyzyjne. Ciało tu. Poprzewracane meble tam. Plamy krwi wszędzie.

Lekarka specjalizująca się w medycynie sądowej, piegowata, w typie chłopczycy, znana wszystkim jako M.J., jak zwykle robiła obchód miejsca zbrodni. Miała na sobie dzinsy i tenisówki, dość niechlujny strój jak na lekarza, jednak mogła sobie na to pozwolić, bo jej pacjenci i tak się nigdy nie skarżyli. Krążąc po pokoju, mówiła do dyktafonu:

- Na trzech ścianach ślady krwi tętniczej, na wysokości metr dwadzieścia do półtora metra... Duża plama krwi w miejscu, gdzie leżało ciało... Ofiara to kobieta, włosy blond, wiek między trzydzieści a czterdzieści lat, znaleziona w pozycji leżącej, na brzuchu, prawe ramię podłożone pod głowę, lewe wyciągnięte. Na ramionach i przedramionach nie ma obrażeń. - M.J. przyklękła i przystąpiła do oględzin zwłok. - Na skórze przebarwienia. Hm. - Zmarszczyła brwi i dotknęła ramienia denatki. - Ciało znacznie wychłodzone. Aktualny

czas: dwudziesta czwarta piętnaście. - Wyłączyła dyktafon i przez chwilę milczała.

- Coś nie tak? - zainteresował się Pokie.

- Słucham? Nie, tak się tylko zastanawiam.

- Jakie są pierwsze ustalenia?

- Cóż, wygląda na to, że lewa tętnica szyjna została przecięta wyjątkowo ostrym narzędziem. To się musiało stać w ułamku sekundy. Ofiara nawet nie próbowała się bronić. Przyjrzę się lepiej w kostnicy, jak ją umyją - dodała, wstając. Pokie zauważył, że jej tenisówki są uwalane krwią. Ciekawe, ile miejsc zbrodni już przewędrowały?

- Przecięta tętnica... Czy to ci czegoś nie przypomina? - spytał zamyślony.

- Tak, też o tym pomyślałam. Jak się ten facet nazywał? No wiesz, ten, którego znaleźliśmy dwa tygodnie temu?

- Tanaka. Też miał przeciętą lewą tętnicę.

- Właśnie. Identyczna krwawa jatka.

- Tanaka był lekarzem - zauważył Pokie. - A ona... - spojrzał na zwłoki - jest pielęgniarką.

- Była.

- Ciekawe, nie?

M.J. zatrzasnęła walizeczkę, w której miała podręczne laboratorium.

- W tym mieście mieszkają setki lekarzy i pielęgniarek - stwierdziła. - Fakt, że tych dwoje trafiło na mój stół, jeszcze nie znaczy, że się znali.

Siarczyście kichnięcie obwieściło nadejście sierżanta Brophy'ego.

- Na komodzie w sypialni znalazłem bilet na samolot do San Francisco. Miała lecieć o północy - oznajmił, a zerknąwszy na zegarek, dodał: - Chyba się spóźniła.

Bilet na samolot. Spakowana walizka. Ann Richter zamierzała prysnąć? Dlaczego? Zaintrygowany tym pytaniem Pokie jeszcze raz obszedł mieszkanie. W łazience natknął się na technika, który oglądał umywalkę.

- Widać ślady krwi. Zabójca umył ręce.

- Tak? Szczwana bestia. Są jakieś odciski palców?

- Są, ale w większości stare i raczej zostawione przez ofiarę. Parę świeżych zdjeliśmy z klamki, ale niewykluczone, że zostawił je świadek.

Pokie kiwnął głową i wrócił do salonu. Świadek. W nim, a raczej w niej cała nadzieja. Wykazała się nie lada hartem, gdy mimo obrażeń i powypadkowego szoku wezwała pogotowie na miejsce zbrodni. Rujnując przy okazji jego marzenia o spokojnym śnie.

- Znalazła się torebka doktor Chesne? - zapytał Brophy'ego.

- Nie. Na klatce schodowej jej nie ma, więc ktoś musiał ją zabrać.

Pokie chwilę milczał. Wyliczał w myślach, co kobiety noszą w torebkach: portfel, prawo jazdy, klucze.

- Sierzancie! - zawołał, zamykając notatnik.

- Tak?

- Dajcie doktor dwudziestoczwierogodziną ochronę. Niech jeden człowiek siedzi pod jej salą w szpitalu, a drugi w głównym holu. Chcę też wiedzieć o wszystkich telefonach do niej. Wykonać!

Brophy miał sceptyczną minę.

- Aż tyle tego? Jak długo mamy jej pilnować?

- Dopóki nie wyjdzie ze szpitala. W tej chwili jest łatwym celem.

- Pan naprawdę sądzi, że ten psychol będzie jej szukał w szpitalu?

- Nie wiem - westchnął Pokie. - Na razie nie mamy pojęcia, w co wdepnęliśmy. Ale mamy dwa identyczne morderstwa. A ona jest naszym jedynym świadkiem.

Phil Glickman jak zwykle się naprzykrzał.

W sobotni poranek David mógł spokojnie popracować i uporządkować dokumenty, które w ciągu tygodnia gromadziły się na biurku. Pech chciał, że akurat dziś do kancelarii przylazł Glickman. I zaczął gadać. Facet był młody, agresywny i piekielnie sprytny, ale milczeć niestety nie umiał. David podejrzewał, że trajkocze również przez sen. Teraz od dobrego kwadransa zameczał go drobiazgową relacją z rozmowy, jaką przeprowadził z pozwanym lekarzem, który ostatecznie zgodził się pójść na ugodę. Widząc, że David nie podziela jego entuzjazmu, zapytał:

- A jak tam sprawa O'Brien? Gotowi do kapitulacji?

- O ile znam doktor Chesne, to raczej nie.

- A co, jest mało rozgarnięta?
- Nie, raczej uparta i zadufana w sobie.
- Jak wszystkie białe fartuchy.

David ze znużeniem przeczesał włosy palcami.

- Mam nadzieję, że nie dojdzie do procesu - odparł.
- Dlaczego? Przecież wygrana jest pewna. To będzie jak strzelania do królików w klatce. Łatwe.
- Właśnie. Zbyt łatwe.
- Do tej pory jakoś ci to nie przeszkadzało - roześmiał się Glickman i zaczął zbierać swoje rzeczy.

Właśnie, dlaczego teraz mi przeszkadza? - zastanowił się David. Sprawa O'Brien rzeczywiście jest jak złote jabłko, które wpadło mu prosto w ręce. Wystarczyło, by wypełnił kilka dokumentów, postraszył listownie dyrekcję szpitala i wyciągnął rękę po honorarium. Właściwie już dziś powinien otwierać szampana. Póki co marnuje piękny poranek, snując się po gabinecie i rozmyślając o tym, że z jakiegoś powodu cała ta sprawa wydaje mu się podejrzana. Co gorsza, czuł, że postępuje niemoralnie.

Ziewnął i odchyliwszy się w fotelu, zaczął trzeć zmęczone oczy. Miał za sobą fatalną noc. Najpierw długo nie mógł zasnąć, a potem dręczyły go sny, jakich nie miał od lat. Przyśniła mu się kobieta. Stała nieruchomo na tle okna, przez które sączyło się mleczne światło. Nie rozróżniał rysów jej twarzy, widział jedynie czarny zarys sylwetki. Początkowo wziął ją za swoją byłą żonę Lindę. Jednak coś było nie tak. Tymczasem ona ani drgnęła, zupełnie jak sarna, która nasłuchuje odgłosów lasu. Podeszedł więc do niej i zaczął ją rozbierać. Robił to jednak tak nerwowo i nieporadnie, że urwał jej guzik od bluzki. Roześmiała się gardłowo, a jemu ten śmiech skojarzył się z brandy.

Wtedy już wiedział, że to nie Linda. Podniósł głowę i spojrzał prosto w zielone oczy Kate Chesne. Nie padło między nimi ani jedno słowo. Wystarczyły spojrzenia. I dotyk: delikatnie powiodła palcami po jego twarzy.

Obudził się mokry z pożądania. Zmusił się, by od razu zasnąć, lecz sen uparcie powracał. Nawet teraz, gdy przymykał oczy, znów widział jej twarz i czuł znane mrowienie. Brutalnie zdławił w sobie nedorzeczne pragnienia i podeszedł do okna. Jest już za stary na takie głupoty. Za stary i za mądry, żeby bodaj fantazjować o romansie z pozwaną.

Do diabła, przez jego kancelarię przewijały się dziesiątki atrakcyjnych klientek. I naprawdę nierzadko niektóre z nich wysyłały pod jego adresem jednoznaczne sygnały. Wystarczyło zalotne nachylenie głowy albo niby przypadkowe odsłonięcie uda, by każdy normalny facet wyczuł, co jest grane. Bawiły go takie prowokacje, ale nigdy nie dał się wciągnąć w tę grę; w końcu sypianie z klientkami nie wchodzi w zakres jego obowiązków.

Kate Chesne w żaden sposób go nie prowokowała. Mało tego, otwarcie przyznała, że pogardza prawnikami nie mniej niż on lekarzami. Czemu więc ze wszystkich kobiet, które przekroczyły próg jego gabinetu, to właśnie ona zawładnęła jego myślami?

Sięgnął do kieszeni i wyjął srebrne pióro. Nagle uświadomił sobie, że kobieta raczej nie kupiłaby sobie takiej rzeczy. Czyżby prezent od narzeczonego? Zdumiał się, że to z pozoru niewinne przypuszczenie wywołało w nim zazdrość.

Powinien oddać jej zgubę. Jedna myśl wystarczyła, by uruchomić lawinę skojarzeń. Szpital Mid Pac znajduje się kilka ulic dalej. Może więc podrzucić pióro w drodze do domu? W soboty większość lekarzy robi poranny obchód, jest więc szansa, że spotka Kate. Perspektywa ponownego spotkania z tą kobietą wprowadziła go w zapomniany stan podniecenia: znów poczuł tę mieszaninę niecierpliwego oczekiwania i lęku, które dręczyły go, gdy jako nastolatek zbierał się na odwagę, by podejść do dziewczyny i umówić się na randkę. Uznał to za wyjątkowo niepokojący znak.

Mimo to nie mógł wybić sobie z głowy pomysłu, żeby do niej jechać. Pióro dosłownie parzyło go w rękę. Wrzucił je więc do kieszeni i zaczął pospiesznie pakować dokumenty. Kwadrans później wszedł do holu i skierował się do telefonu, który łączył ze szpitalną centralą.

- Chciałbym skontaktować się z doktor Chesne - rzekł, gdy odezwała się operatorka. - Czy ją zastałem?

- Doktor Chesne? - Zapadła długa cisza. - Tak, wydaje mi się, że jest. A kto mówi?

Już miał się przedstawić, ale uznał, że gdy Kate dowie się, kto dzwoni, nie podejdzie do telefonu.

- Proszę powiedzieć, że dzwoni znajomy - odparł od niechcienia.

- Niech pan chwilę zaczeka.

W słuchawce odezwała się jedna z tych durnych melodyjek, które pewnie od rana do nocy rozbrzmiewają w piekle. Zdegustowany, zaczął nerwowo bębnić palcami o szybę. To mu uzmysłowiło, jak bardzo się niecierpliwi, by wreszcie zobaczyć Kate. Chyba mi kompletnie odbiło, stwierdził i odwiesił słuchawkę. Albo naprawdę oszalał. Albo tak desperacko potrzebuje kobiety.

Właśnie się odwracał, by wyjść z budki, kiedy drogę zaszło mu dwóch budzących respekt policjantów.

- Pan pozwoli z nami - odezwał się jeden z nich.

- Obawiam się, że nie pozwolę.

- To my panu pomożemy - rzucił policjant tonem, który nie pozostawiał złudzeń co do jego intencji.

David był tak zdumiony, że aż się roześmiał.

- Panowie, ale co ja zrobiłem? Zastawiłem komuś wyjazd na parkingu? Obraziłem wasze matki?

W odpowiedzi stróże prawa wzięli go pod rękę i siłą poprowadzili do części biurowej szpitala.

- O co wam chodzi? Jestem aresztowany? - Zirytował się, ale nie stawiał oporu. Oni jednak uparcie milczeli. - Hola, powinniście poinformować mnie o moich prawach. - Nie zrobili tego. - Więc może pora, żebym to ja was pouczył, jakie prawa przysługują zatrzymanemu. - Nadal nie otrzymał odpowiedzi, więc sięgnął po broń najcięższego kalibru. - Jestem adwokatem!

- No to masz pan fart! - usłyszał, gdy stanęli pod drzwiami sali konferencyjnej.

- Dobrze wiecie, że nie możecie mnie aresztować dopóki nie postawicie mi zarzutów!

Bez pośpiechu otworzyli drzwi.

- My tylko wykonujemy rozkazy.

- Czyje?

- Moje! - odparł dobrze mu znany, tubalny głos.

David odwrócił się i ujrzał twarz, której nie widział od czasu, gdy przed ośmioma laty rzucił pracę w prokuraturze. Porucznik Pokie Ah Ching z wydziału zabójstw reprezentował typowy dla Haiti miks kilku ras: w oczach miał coś z Chińczyka, obwisłe policzki i podbródek sugerowały portugalskich przodków, smagła cera zaś była bez wątplenia dziedzictwem polinezyjskim. David stwierdził, że Pokie prawie wcale się nie zmienił. Wprawdzie przybyło mu centymetrów w

pasie, ale wciąż nosił ten sam poliestrowy garnitur, który na pewno już się nie dopinał na potężnym brzuchu.

- Proszę, proszę, kolega Ransom! - mruknął Pokie. - Człowiek rzuca sieci i patrzcie, kto w nie wpada.

- Właśnie. - David wyszarpnął się policjantom.

- Nie ta ryba co trzeba.

- Puśćcie go! - nakazał im Pokie. - Jest czysty. Podwładni natychmiast wykonali polecenie.

- Co jest? - warknął David, gdy zostali sami. W odpowiedzi Pokie podszedł bliżej.

- Widzę, że prywatna praktyka przynosi niezłe dochody - stwierdził z przekąsem. - Sprawileś sobie elegancki garnitur. I drogie buty. Pewnie włoskie. Dobrze ci się powodzi, Davy?

- Nie narzekam.

Pokie przysiadł na brzegu stołu i skrzyżował ręce.

- Jak ci się pracuje w nowym biurze? Brakuje ci czasem starych śmieci?

- Jasne.

- Miesiąc po twoim odejściu awansowali mnie na porucznika.

- Gratuluję.

- Ale wciąż chodzę w starym garniturze. Jeżdżę tym samym zdezelowanym gratem. A moje buty?

- Wyciągnął do przodu stopę. - Tajwańskie.

David czuł, że za chwilę straci cierpliwość.

- Powiesz mi, co jest grane? Czy mam się sam domyślić?

Pokie wyciągnął z kieszeni paczkę tanich papierosów, tych samych od lat.

- Jesteś znajomym Kate Chesne? - zapytał. Zaskoczył go niespodziewaną zmianą tematu.

- Znam ją - odparł lakonicznie.

- Jak dobrze?

- Rozmawiałem z nią parę razy. Znalazłem jej pióro i przyszedłem oddać.

- Więc nie wiesz, że wczoraj w nocy przywieźli ją do szpitala? Z wypadku.

- Co takiego?

- Nic strasznego się nie stało - uspokoił go Pokie. - Ma lekkie wstrząśnienie mózgu i parę siniaków. Pewnie jeszcze dziś puszczą ją do domu.

Emocje z taką siłą ścisnęły go za gardło, że nie był w stanie wydusić słowa. Bezradnie patrzył na Pokiego, który zaciągnął się papierosem, po czym zauważył:

- Patrz, jak to się śmiesznie układa. Prowadziliśmy niedawno śledztwo, które utknęło w martwym punkcie. Akta zostały odesłane do archiwum. Nie było żadnych śladów, które pozwoliłyby nam posunąć się o krok naprzód, aż tu nagle bach! Dopisało nam szczęście.

- Co się stało Kate? - wychrypiął.

- Miała babka pecha i znalazła się w złym czasie w niewłaściwym miejscu. - Pokie wypuścił wielki kłęb dymu. - Wczoraj wieczorem wdepnęła w sam środek koszmarnej sceny.

- Chcesz powiedzieć, że była świadkiem? Ale czego?

- Morderstwa.

Do sali, w której leżała, dobiegały typowe odgłosy szpitala pracującego pełną parą: tu nigdy nie milkły telefony ani trzaski radiowęzła, przez który wzywano lekarzy. Przez całą noc nasłuchiwała tych znajomych dźwięków. Przypominały jej, że nie jest sama. Znużenie i senność ogarnęły ją dopiero w środku dnia. I choć pokój tonął w słonecznym blasku, zasnęła. Nie słyszała ani pukania, ani tego, że ktoś ją woła. Obudził ją dopiero podmuch powietrza towarzyszący otwieraniu drzwi. W półśnie wyczuła, że ktoś zbliża się do jej łóżka. Upłynęła chwila, zanim zmusiła się do otwarcia oczu. Jak przez mgłę zobaczyła twarz Davida.

Mimo fizycznej niemocy, niemal natychmiast zaczęła kielkować w niej złość. Ten pozbawiony skrupułów człowiek nie ma prawa nachodzić jej w chwili, gdy jest zdana na jego łaskę i niezdolna do obrony. Powinna już na wstępie mu wygarnąć, co o nim myśli, jednak wyczerpanie sprawiło, że zabrakło jej siły i słów.

Jemu też ich brakowało. Patrzyli na siebie w milczeniu, jakby nagle oboje zaniemówili.

- To chwyt poniżej pasa, panie Ransom - szepnęła oskarżycielsko. - Nie kopie się leżącego. - Odwróciła głowę. - Zapomniał pan o dyktafonie. Bez niego nie wolno odbierać zeznań. Chyba że chowa go pan w kieszeni.

- Daj spokój, Kate. Proszę cię... Znieruchomiała. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Miała wrażenie, że nagle runął niewidzialny mur, który ich dzielił, nie potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego tak się stało.

- Nie przyszedłem tu kopać leżącego - ciągnął. - W ogóle nie powinno mnie tu być. Kiedy jednak usłyszałem, co się stało, nie mogłem przestać myśleć...

Napotkała jego spojrzenie. Po raz pierwszy nie wydał jej się niedostępny. Musiała wręcz przypomnieć sobie, że ma do czynienia z wrogiem, ta wizyta zaś, bez względu na cel, niczego między nimi nie zmienia. Zdziwiło ją, że nie czuje zagrożenia. Wręcz przeciwnie. Nie wiedzieć czemu poczuła się przy nim bezpieczna. Nie chodziło o ochronę fizyczną, choć jego postura musiała budzić respekt, lecz o bijącą od niego wewnętrzną siłę. Robił wrażenie człowieka ze wszechmiar kompetentnego. W pewnej chwili złapała się na tym, że żałuje, iż nie jest jej obrońcą. Mając w nim sojusznika, nie przegrałaby żadnej bitwy.

- Dowiem się, o czym tak myślałeś? - zapytała. Przystąpił z nogi na nogę, jakby zamierzał wyjść.

Nie potrafił ukryć skrepowania.

- Przepraszam. Niepotrzebnie cię obudziłem.

- Po co przyszedłeś? Zatrzymał się w pół kroku.

- Widzisz, byłbym zapomniał. - Roześmiał się z przymusem. - Przyszedłem, żeby coś ci oddać. Zgubiłaś to na przystani - powiedział, podając jej pióro.

Gdy je od niego brała, mimochodem spojrzała na jego dłonie. Duże i silne.

- Dziękuję ci - szepnęła.

- Ma dla ciebie wartość sentymentalną?

- Poniekąd. Dostałam je w prezencie. Od mężczyzny, z którym...

- Odchrząknęła. - Jeszcze raz dziękuję.

Wiedział, że w tym momencie powinien pożegnać się i wyjść. Spełnił dobry uczynek, więc przeciąganie wizyty nie ma sensu. Tymczasem jakaś siła kazała mu sięgnąć po krzesło i usiąść przy jej łóżku.

Spojrzał na jej splątane włosy i wielki, paskudnie granatowy siniec na twarzy. Niespodziewanie ogarnął go dziki gniew na tego, który próbował ją skrzywdzić.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Jestem zmęczona. Obolała - odparła, wzruszając ramionami. - Ale cieszę się, że żyję.

Zauważyła, że przygląda się śladom na jej policzku, więc instynktownie próbowała je zasłonić. Jednak po chwili opuściła rękę. Jego ten gest zasmucił i przygnębił. Kate najwyraźniej wstydzi się, że padła ofiarą przemocy, i traktuje swoje obrażenia jak rodzaj piętna.

- Nie jestem dziś w szczytowej formie - mruknęła.

- Nie wyglądasz źle. Naprawdę. - Zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to idiotycznie, ale naprawdę tak uważał. Dla niego wyglądała pięknie. - Sińce przecież znikną. Najważniejsze, że jesteś bezpieczna.

- Tak myślisz? - Zerknęła na drzwi. - Przez całą noc pilnował mnie policjant. Słyszałam, jak żartował z pielęgniarkami. Ciekawe, po co go tu postawili?

- Środki ostrożności. Żeby nikt cię nie niepokoił.

- Jak w takim razie udało ci się tu wejść?

- Znam porucznika, który prowadzi sprawę. Współpracowałem z nim jako prokurator.

- Byłeś prokuratorem?

- Tak. Spełniłem swój obywatelski obowiązek. Otarłem się o największe brudy świata. Za głodową pensję.

- Rozmawiałeś z nim o tym, co się stało?

- Powiedział mi, że jesteś jedynym świadkiem. Twoje zeznania są kluczowe dla sprawy.

- Mówił ci, że Ann Richter próbowała się do mnie dodzwonić? Na krótko przed śmiercią zostawiła wiadomość na mojej sekretarce.

- Czego dotycząca?

- Ellen O'Brien.

- Nic mi o tym nie wiadomo - przyznał.

- Panie Ransom, Ann wiedziała o czymś, co miało bezpośredni związek ze śmiercią Ellen. Niestety, nie zdążyła mi o tym powiedzieć.

- Jaka była treść wiadomości?

- „Wiem, dlaczego umarła”. Tak powiedziała.

- To może nic nie znaczyć - odparł, czując, że czar jej zielonych oczu działa na niego coraz silniej. - Niewykluczone, że w końcu odkryła, dlaczego operacja zakończyła się fatalnie...

- Ale ona użyła słowa „dlaczego”. „Wiem, dlaczego umarła”. Sugerowała, że był jakiś powód. Ktoś miał cel w tym, żeby Ellen umarła.

- Morderstwo na stole operacyjnym? - Sceptycznie pokręcił głową. - Bez przesady.

- Mogłam się domyślić, że tak zareagujesz. Gdyby się okazało, że pacjentka została zamordowana, nie mógłbyś wytoczyć mi procesu.

- Co mówi policja?

- A skąd ja mam wiedzieć? - rzuciła rozdrażniona. - Ten twój znajomy, Ah Ching, raczej się nie rozgaduje. Ciągłe tylko coś tam bazgrze w notatniku. Może uważa, że wiadomość od Ann nie ma związku ze sprawą. A może nie chce poznać faktów, które podważą jego hipotezę. - Spojrzała na drzwi. - Tylko po co dał mi ochronę? Może dzieje się coś, o czym nie wiem.

Rozległo się pukanie i do pokoju weszła pielęgniarka z dokumentami potrzebnymi do wypisu ze szpitala. David obserwował, jak Kate podpisuje drżącą ręką formularze i nie mógł uwierzyć, że jest to ta sama kobieta, która siłą wdarła się do jego biura. Wtedy był pod wrażeniem jej determinacji.

Dziś robiła na nim wrażenie swoją słabością.

- Masz się u kogo zatrzymać? - zapytał, gdy po wyjściu pielęgniarki opadła na poduszkę.

- Przyjaciele mają letni dom, z którego prawie nie korzystają. Podobno stoi przy samej plaży. - Westchnęła i wyjrzała tęsknie przez okno. - Plaża dobrze mi zrobi.

- Będiesz tam mieszkała sama? To bezpieczne? Milczała. Nadal spoglądała za okno. Nie czuł się komfortowo ze świadomością, że będzie zupełnie sama, na jakimś odludziu, bez ochrony. Zaraz jednak przypomniał sobie, że troska o jej bezpieczeństwo nie jest jego problemem, a wikłanie się w jakikolwiek z nią związek byłoby z jego strony czystym szaleństwem. Niech o jej bezpieczeństwo martwi się policja. Wstał, by się pożegnać. Przyjęła to obojętnie. Dalej siedziała skulona, obejmując się ramionami. Kiedy wychodził z pokoju, usłyszał jej cichy głos:

- Chyba już nigdy nie będę czuła się bezpieczna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Uprzedzam, że to żadna rewelacja - zastrzegła Susan Santini, gdy jechały drogą wzdłuż wybrzeża. - Parę pokoi, stara kuchnia. Powiedziałabym, wręcz prehistoryczna. Ale dom jest przytulny. I tak cudownie słycać w nim szum morza. - Skręciła w boczną drogę wśród zarośli i ruszyła w stronę morza, zostawiając za sobą obłok czerwonego pyłu. - Odkąd wróciłam do pracy, prawie tu nie przyjeżdżamy. Guy parę razy wspominał, że powinniśmy sprzedać dom, ale ja nie chcę o tym słyszeć. W dzisiejszych czasach jest coraz mniej takich rajszych zakątków.

Opony zachręściły na zwirowym podjeździe i oczom Kate ukazał się mały dom w stylu kolonialnym, ulokowany w cieniu starych drzew. Z dachem zasypianym brunatnym igliwem i spłowiałym zielonym szalunkiem wyglądał jak zaniedbany domek dla lalek.

Kate wysiadła z samochodu i przez chwilę stała w zielonym cieniu, wsłuchując się w szum fal rozlewających się leniwie na piasku. W promieniach południowego słońca morze lśniło ostrym szafirem.

- Tam są! - zawołała Susan i wskazała plażę, po której płaśał radośnie jej synek. Poruszał się z wdziękiem małego elfa, wymachując chudymi kończynami i śmiejąc się, aż mu odskakiwała głowa. Luźne spodenki kąpielowe ledwie trzymały się na jego wąziutkich biodrach. Na tle jasnego nieba wyglądał jak pajacyk z patyków albo bajkowa zjawa, która w każdej chwili może zniknąć.

Na kocu obok siedziała młoda kobieta i od niechcienia kartkowała kolorowe pismo.

- To Adele - szepnęła Susan. - Nawet nie wiesz, ile trwało, zanim ją znaleźliśmy. Obawiam się jednak, że się nie utrzyma. Szkoda, bo William zdążył ją polubić.

Chłopiec, który nagle je zauważył, przestał podskakiwać i zaczął machać do nich ręką.

- Cześć, mammo!

- Cześć, słońce! - odrzyknęła, po czym wzięła Kate pod rękę i powiedziała: - Wywietrzyliśmy i wysprzątailiśmy dom. Mam nadzieję, że czeka na nas świeżo parzona kawa. Telefon działa, więc masz kontakt ze światem - dodała, gdy weszły do kuchni. - W lodówce znajdziesz jedzenie na kilka dni. Same podstawowe rzeczy, ale Guy

obiecał, że jutro przywieziemy tu twój samochód, więc będziesz mogła sama jeździć po zakupy. A teraz chodź, pokażę ci twój pokój.

Zaprowadziła ją tam i podszedłszy do okna, rozsunała firanki. Promienie wdarły się do środka i dodały blasku jej rudym lokom.

- Popatrz, to ten niesamowity widok, o którym ci mówiłam. - Z miłością spojrzała na morze. - Moim zdaniem ludzie nie potrzebowaliby psychiatrów, gdyby każdego dnia patrzyli na takie cuda. Gdyby tak jeszcze mogli wylegiwać się na słońcu, słuchać szumu fal i śpiewu ptaków - rozmarzyła się. - No ale mów, co o tym myślisz? - zapytała, przybrawszy rzeczowy ton.

- Myślę, że... - Kate popatrzyła na wywoskowaną podłogę, przejrzyste firanki, plamy słońca, w których wirowały drobinki kurzu - nie będą chciała się stąd wyprowadzić - dokończyła z uśmiechem.

Na werandzie zadudniły kroki, stuknęły drzwi.

- Koniec ciszy i spokoju! - westchnęła Susan. Wróciły do kuchni, gdzie mały William, podśpiewując, układał na szafce znalezione na plaży patyki.

- Popatrz, mamó! - zawołał, dumny ze swoich skarbów.

- Ojej, ale kolekcja! - odparła Susan z entuzjazmem. - Co zrobisz z tych wszystkich kijów?

- Mamó, to nie są kije, tylko miecze - pouczył ją. - Do zabijania potworów.

- Potworów? Skarbie, tyle razy ci mówiłam, że potwory nie istnieją!

- Właśnie, że istnieją!

- Zapomniałeś, że tata zamknął je w więzieniu?

- Ale nie wszystkie! - odparł z przekonaniem, nie przerywając układania. - Pochowały się w krzakach. Dziś w nocy słyszałem, jak wyją.

- Williamie, o jakich potworach mówisz? - Susan cierpliwie drażyła temat.

- O tych, które siedzą w krzakach.

- Aha, teraz rozumiem, dlaczego o drugiej w nocy przyszedł do nas spać. - Susan zerknęła porozumiewawczo na Kate.

- Proszę bardzo, masz tu sok. - Adele postawiła przed nim kubek.

- A co ty masz w kieszeni? - zapytała.

- Nic.

- Jak to nic? Przecież widzę, że coś się tam rusza. William zlekceważył ją i siorbiąc, wypił sok. Nagle jego kieszeń wyraźnie się wybrzuszyła.

- William, proszę mi to natychmiast oddać - rzekła stanowczo Adele, wyciągając rękę.

Chłopiec spojrział błagalnie na najwyższą instancję, czyli własną matkę. Ta jednak pokręciła głową, westchnął więc ciężko i sięgnął do kieszeni, by po chwili położyć coś na dłoni opiekunki.

Jej mrożący krew w żyłach krzyk najbardziej przeraził sprawczynię zamieszania, czyli małą jaszczurkę, która wykorzystawszy okazję i zwinnie skoczyła na podłogę, zostawiając wszakże swój wijący się ogon w ręce zszokowanej dziewczyny.

- Ucieka! - jęknął William.

Ponieważ wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozplakać, wszystkie trzy rzuciły się na kolana i zaczęły szukać uciekinierki. Zanim ją złapały i uwięziły w słoiku, zdążyły dostać zadyszki i kolki ze śmiechu.

- Nie do wiary! - wysapała Susan, siadając na podłodze i opierając plecy o lodówkę. - Trzy stare wariatki przeciwko jednej maleńkiej jaszczurce. Jesteśmy chyba beznadziejne, co?

William podszedł do niej i długo patrzył na jej lśniące w słońcu włosy. Potem wziął jeden lok i z zachwytem patrzył, jak włosy przesypują mu się między palcami.

- Moja mamusia... - szepnął.

Susan uśmiechnęła się do niego, a potem ujęła jego buzię w dłonie i czule go pocałowała.

- Moje maleństwo.

- Nie powiedziałeś mi wszystkiego - oznajmił David. - Chcę usłyszeć resztę. Pokie Ah Ching odgryzł duży kęs Big Maca i długo go przeżuwał. Miał przy tym skupioną twarz człowieka, który zbyt długo odmawiał sobie posiłku.

- Skąd pomysł, że coś przed tobą ukrywam? - zapytał, ścierając z brody resztkę keczupu.

- Zapędziłeś do roboty ludzi od zadań specjalnych, posadziłeś pod drzwiami Kate strażnika, obstawiłeś główny hol. To mi wygląda na grubszą sprawę.

- Taaa... rzeczywiście. Chodzi o morderstwo. - Pokie wygrzebał z kanapki plasterek kiszzonego ogórka i z obrzydzeniem rzucił go na stos pomiętych serwetek. - Ale co ty mnie, chłopie, tak przepytujesz? Myślałem, że już nie jesteś prokuratorem.

- Może i nie, ale zawodowa ciekawość została.

- Ciekawość? Mam wierzyć, że przyszedłeś tu wyłącznie z ciekawości?

- Tak się składa, że Kate jest moją znajomą.

- Nie wciskaj mi tu ciemnoty, Davy! – Pokie skarcił go wzrokiem. - Chyba zapomniałeś, że jestem gliną, a moja robota polega na zadawaniu pytań. Wiem, że nasza miła pani doktor nie jest twoją znajomą. Ma być oskarżona w sprawie, którą prowadzisz. A tak swoją drogą, odkąd to zacząłeś spoufalać się z pozwaną?

- Odkąd zacząłem wierzyć w to, co mówi o przypadku Ellen O'Brien. Dwa dni temu przyszła do kancelarii i sprzedała mi tak idiotyczną historyjkę, że po prostu ją wyśmiałem. I nawet zacząłem podejrzewać, że ma paranoję. A tu nagle ktoś podrzyna gardło tej pielęgniarce, Ann Richter. Więc zaczynam mieć wątpliwości. Czy Ellen O'Brien naprawdę umarła z powodu błędu lekarza? Czy może ktoś ją zabił?

- Zabił? - Pokie odgryzł następny kęs. - Przypominam, że morderstwa to moja działka, a nie twoja.

- Słuchaj, złożyłem do sądu pozew, w którym oskarżam lekarkę o błąd w sztuce. Jeśli w trakcie procesu miałyby się okazać, że to było morderstwo, to nie tylko straciłbym czas, ale i opinię. Więc zanim wygłupię się przed sędzią i ławą przysięgłych, chciałbym poznać wszystkie fakty. Bądź ze mną szczerzy, Pokie. Przez wzgląd na stare dobre czasy.

- Ty tu mnie nie bierz pod włos, Davy. To ty rzuciłeś robotę, nie ja. Domyślałam się, że ciężko było się nie skusić na taką kasę. Ty robisz szmal, a ja co? Nic. Wciąż tu tkwię. - Z hukiem zatrzasnął szufladę. - Razem z tym badziewiem, które nazywają meblami.

- Wyjašnjmy sobie jedną rzecz. Nie odszedłem dla pieniędzy.

- Więc dlaczego?

- Z powodów osobistych.

- Taaa... Z tobą to tak zawsze. Cholernie jesteś dyskretny. Zamykasz się w sobie jak ślimak w skorupie.

- Mamy rozmawiać o śledztwie, które prowadzisz. Pokie odchylił się w fotelu i przez chwilę badawczo mu się przyglądał. Drzwi do pokoju zostawił otwarte, więc gdy obaj umilkli, jeszcze natrętniej wdzierał się do środka typowy posterunkowy harmider: niemilknące telefony, donośne głosy, klikanie klawiatury. Widocznie Pokie nabawił się uczulenia na ten hałas, bo zde gustowany wstał i zatrzasnął drzwi.

- Okej - westchnął z rezygnacją, wracając za biurko. - Co cię interesuje?

- Szczegóły.

- A konkretnie?

- Dlaczego zabójstwo Ann Richter ma takie znaczenie dla śledztwa?

Zamiast odpowiedzieć, Pokie zaczął szperać w stosie papierów na biurku. W końcu wyciągnął dużą kopertę i podał ją Davidowi.

- Wstępne wyniki sekcji zwłok. Poczytaj sobie. Raport medyczny składał się z trzech stron druku, na których z chłodną, zatrważającą precyzją zostały podane wnioski z oględzin i autopsji, a także szczegółowy opis sposobu, w jaki popełniono zbrodnię. David w swej pięcioletniej karierze zastępcy prokuratora przeczytał niejeden taki dokument, lecz tym razem aż się wzdrygnął.

„Głęboka rana cięta lewej tętnicy szyjnej... zadana wyjątkowo ostrym narzędziem podobnym do brzytwy... uraz prawej skroni, prawdopodobnie na skutek uderzenia o róg stołu... liczne ślady krwi na ścianach”.

- Widzę, że M.J. nie straciła talentu do krwawych opisów. Aż się żołądek wywraca, jak się to czyta - skomentował, przewracając kartkę. Nagle zastanowiła go informacja, którą ujrzał na drugiej stronie.

- Powiem ci, że pewne wnioski są bez sensu. M.J ma pewność co do czasu zgonu?

- Przecież ją znasz, to solidna firma. Też ją zastanowiło, dlaczego zwłoki były już takie zimne i miały plamy opadowe.

- Nic z tego nie rozumiem. Morderca podrzyna kobiecie gardło, a potem przez trzy godziny siedzi w jej mieszkaniu. Po co? Żeby rozkoszować się widokiem?

- Żeby posprzątać. Pozacierać ślady.

- Zginęło coś?

- Problem w tym, że nie - westchnął Pokie. - Pieniądze i biżuteria leżały na widoku, ale morderca ich nie tknął.

- Tło seksualne?

- Odpada. Ofiara była ubrana. Poza tym to była niemal natychmiastowa śmierć. Gdyby to był psychol, nie zabiłby jej z taką kliniczną precyzją. Chciałby mieć z tego radochę.

- Jednym słowem mamy brutalne morderstwo i żadnych motywów. Czy są jakieś nowe tropy?

- Przeczytaj opis rany.

- Głęboka rana cięta lewej tętnicy szyjnej zadana wyjątkowo ostrym narzędziem podobnym do brzytwy. I co z tego wynika?

- Dwa tygodnie temu M.J. sporządziła niemal identyczny raport. Tyle że wtedy ofiarą mordercy padł ginekolog położnik. Nazywał się Henry Tanaka.

- Ann Richter była pielęgniarką.

- Właśnie. A teraz najciekawsza informacja. Zanim Richter zaczęła pracować na bloku operacyjnym, dorabiała dyżurami na położnictwie. Jest więc bardzo prawdopodobne, że znała Tanakę.

David machinalnie pomyślał o innej pielęgniarce, która pracowała na oddziale położniczym. I która, podobnie jak Ann Richter, już nie żyła.

- Co wiesz o tym ginekologu? - zapytał. Pokie sięgnął po papierosa i popielniczkę.

- Nie będzie ci przeszkadzało?

- Nie, jeśli będziesz mówił.

- Od rana marzę o fajkach - westchnął Pokie.

- Przy tym Brophym nawet nie można zajarać, bo zaraz jęczy, że dym podrażnia mu zatoki. - Pstryknął zapalniczką i po chwili wciągnął do płuc dawkę nikotyny. - No dobra. - Z błogą miną wypuścił obłok dymu.

- Tanaka miał prywatną klinikę na Liliha. Dwa tygodnie temu został w pracy dłużej, podobno miał jakąś papierkową robotę. W każdym razie tak powiedział żonie, która twierdzi, że zawsze późno wracał. Dała przy tym do zrozumienia, że to wcale nie praca zatrzymywała go w klinice.

- Kochanka?

- A co innego?

- Żona podała konkretne nazwisko?

- Nie. Ale podejrzewała, że to któraś z pielęgniarek. Fakt jest taki, że o siódmej wieczorem portier znalazł w klinice ciało Tanaki. Początkowo skłanialiśmy się ku hipotezie, że padł ofiarą jakiegoś nagrzanego ćpuna. Było to o tyle prawdopodobne, że z szafki zginęły leki.

- Narkotyki?

- Właśnie nie. Porządny towar był zamknięty na zapleczu. O dziwo zabójca zabrał lekarstwa, za które na ulicy nie dostałby złamanego centa. Uznaliśmy, że albo był kompletnie naćpany, albo głupi jak but. Miał jednak na tyle rozumu, żeby nie zostawić śladów. Nie mieliśmy żadnego punktu zaczepienia, więc szybko znaleźliśmy się w ślepych zaułku. Jedyne tropem były zeznania portiera, który widział na parkingu jakąś kobietę. Nie przyjrzał jej się, bo padało i było już ciemno, ale zapamiętał, że była blondynką.

- Był pewny, że to była kobieta?

- A niby kto? Facet w peruce? - Pokie był wyraźnie rozbawiony własnym dowcipem. - Wiesz, że o tym nie pomyślałem. A to w końcu całkiem prawdopodobne.

- I dokąd zaprowadził was ten trop z blondynką?

- Właściwie donikąd. Pytaliśmy o nią kogo się dało, ale nikt nic nie wiedział. Nawet zaczęliśmy podejrzewać, że tajemnicza blondynka to jakaś podpucha. Wtedy zginęła Ann Richter. A ona była blondynką. - Pokie znów wypuścił dym przez nos. - Dzięki Kate Chesne mamy nadzieję na przełom w śledztwie. Teraz przynajmniej wiemy, jak wygląda koleś, którego szukamy. W poniedziałek opublikujemy w gazetach portret pamięciowy. Może wreszcie padną jakieś nazwiska.

- Jaki rodzaj ochrony dajecie Kate?

- Ulokowaliśmy ją w bezpiecznym miejscu na północnym wybrzeżu. Kazałem, żeby co kilka godzin koło domu przejechał radiowóz.

- To wszystko?

- Przecież nikt jej tam nie znajdzie.

- Zawodowiec raczej sobie z tym poradzi.

- A co twoim zdaniem mam zrobić? Dać jej całodobową ochronę? Popatrz na te akta, Davy! Jestem dosłownie zawałony tym śmieciem. Uważam się za szczęściarza, jeśli noc minie bez nowego trupa.

- Zawodowcy nie zostawiają świadków - przypomniał mu David.

- Nie wiadomo, czy to zawodowiec. Poza tym sam wiesz, jak u nas ze wszystkim krucho. Tylko popatrz na ten syf! - Ze złością kopnął biurko. - Ma co najmniej dwadzieścia lat i jest zżarte przez korniki. Że już nie wspomnę o przestarzałym komputerze. Jak mi zależy na czasie, wysłałem odciski palców do Kalifornii, żeby je sprawdzili w rejestrze. - Sfrustrowany, klapnął na swój dwudziestoletni fotel. - Posłuchaj, Davy. Jestem przekonany, że pani doktor będzie bezpieczna. Chciałbym dać ci gwarancję, ale sam wiesz, jak to jest.

Jasne, pomyślał David, wiem aż za dobrze. Niektóre aspekty pracy policji się nie zmieniały. Zbyt wiele potrzeb, za mały budżet. Sam nie wiedział, kiedy zaczął sobie wmawiać, że interesuje się tą sprawą wyłącznie jako prawny przedstawiciel strony pozywającej; w końcu zadawanie pytań należy do jego podstawowych obowiązków. Musiał się upewnić, czy w świetle nowych faktów sprawa, którą prowadzi, nie zmieni charakteru. Jednak im dłużej przekonywał siebie do tej wersji, tym częściej wyobraźnia podsuwała mu obraz osamotnionej i bezradnej Kate w szpitalnym łóżku.

Chciał wierzyć, że Pokie właściwie ocenił sytuację.

Z doświadczenia wiedział, że jest dość kompetentny. Lecz z drugiej strony miał świadomość, że nawet najlepsi policjanci czasami się mylą. Pech chciał, że stróża prawa i lekarze mają jedną wspólną cechę: zarówno jedni, jak i drudzy rzadko przyznają się do błędów.

Słońce tak ją rozleniwiło, że zapadła w niespokojny sen. Leżała na brzuchu z rękami pod głową, pozwalając, by fale leniwie masowały jej stopy, a wiatr bezkarnie przewracał strony książki. Odludny fragment plaży, gdzie ciszę zakłócały jedynie krzyki ptaków i szum drzew, okazał się idealną kryjówką przed światem. I miejscem, gdzie można spokojnie leczyć rany.

Westchnęła przez sen i poczuła kokosowy zapach olejku do opalania. Zaczęła się budzić, łaskotana przez wiatr rozwiewający włosy. Jednak ostatecznie obudził ją głód. Od śniadania nic nie jadła, a popołudnie zaczynało już przechodzić w wieczór.

Ociągała się z otwarciem oczu, lecz nagle instynktownie wyczuła, że nie jest sama. To wystarczyło, by natychmiast strząsnęła z siebie resztki snu. Wiedziała, że ktoś ją obserwuje. Dlatego nie poczuła się zaskoczona, gdy przewróciwszy się na bok, zobaczyła Davida.

Stał nieopodal, ubrany w dżinsy i bawełnianą koszulę, w której dla wygody podwinał rękawy. Wiatr rozwiewał mu włosy, w których lśniło popołudniowe słońce. Nic nie mówił, stał z rękami w kieszeniach i po prostu jej się przyglądał. Kostium, który miała na sobie, zdecydowanie nie był skąpy, ale poczuła się zawstydzona, gdyż miała wrażenie, że rozbiera ją wzrokiem. Przez jej ciało przepłynęła nagle fala gorąca.

- Ciężko cię namierzyć - stwierdził.

- Na tym polega idea kryjówki. Chodzi o to, żeby nikt cię nie znalazł.

Rozejrzał się po pustej plaży.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby tak się wystawiać - zauważył.

- Ma pan rację. - Sięgnęła po książkę i ręcznik, po czym wstała. - Nigdy nie wiadomo, kto się włóczy po okolicy. Może jakiś złodziej. Albo morderca. - Zarzuciła ręcznik na ramię i ruszyła w stronę domu.

- Albo co gorsza prawnik.

- Kate, muszę z tobą porozmawiać.

- Mam już prawnika. Proponuję, żeby się pan z nim skontaktował.

- Chodzi o sprawę Ellen O'Brien.

- Wystarczy, jeśli powie mi o tym w sali sądowej - rzuciła przez ramię i przyspieszyła kroku.

- Raczej się tam nie spotkamy! - zawołał.

- Co za szkoda!

Dogonił ją przed domem, ale zdążyła wbiec na werandę i zatrzasnąć mu przed nosem drzwi.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

Sens jego słów dotarł do niej, gdy była na środku kuchni. Tam też się zatrzymała. Odwróciła się powoli i spojrzała na niego przez ekran z drobniotkiej metalowej siatki wypełniającej drzwi.

- Chyba nie będzie mnie w sądzie - powtórzył.

- Jak mam to rozumieć?

- Rozważam rezygnację z prowadzenia tej sprawy.

- Dlaczego?

- Wytlumaczę, jak mnie wpuścisz.

Nie spuszczał go z oczu, pchnęła siatkowe drzwi.

- Niech pan wejdzie, panie Ransom. Faktycznie pora, żebyśmy porozmawiali.

Bez słowa wszedł do środka i stanął przy stole. Obserwował ją. Była boso, co dodatkowo powiększyło i tak dużą różnicę wzrostu między nimi. Zapomniała, że jest tak wysoki i patykowaty. Może dlatego, że dotąd widywała go w garniturze, który dodawał mu trochę masy. Zdecydowanie wolała go w dżinsach. Nagle uświadomiła sobie, jak skąpo jest ubrana. Niepokoił ją sposób, w jaki David podążał za nią wzrokiem. Niepokoił, a jednocześnie podniecał. Tak jak może podniecać zabawa zapalkami w pobliżu beczki prochu. Ciekawe, czy pan Ransom jest równie wybuchowy?

- Muszę... się ubrać. Przepraszam na chwilę. Uciekła do swojego pokoju i złapała pierwszą z brzegu czystą sukienkę. Biała przewiewna tunika z hinduskiego sklepu niebezpiecznie trzeszczała w szwach, gdy pośpiesznie wciągała ją przez głowę. Przed wyjściem policzyła do dziesięciu, ale i tak lekko drżały jej ręce.

W kuchni zastała Davida nad książką, którą czytała.

- Powieść wojenna - rzuciła. - Taka sobie, ale pozwala zabić czas, którego mam ostatnio pod dostatkiem. Proszę usiąść. Zaparzę kawę.

Banalnie prosta czynność napełniania czajnika wodą i postawienia go na kuchni wymagała od niej maksymalnej koncentracji. Później było coraz gorzej. Najpierw niechcący wrzuciła do zlewu papierowy ręcznik, potem rozsypała kawę.

- Pozwól, że ja to zrobię. - Delikatnie odsunął ją na bok.

Bez protestu pozwoliła mu sprzątnąć bałagan. Nic nie mówiła, gdyż nagle poczuła się przytłoczona jego bliskością. I falą pożądania, które pojawiło się nie wiadomo skąd. Na miękkich nogach wróciła do stołu i usiadła.

- A tak przy okazji - rzucił przez ramię - czy możemy darować sobie pana Ransoma? Mam na imię David.

- Aaa, tak. Wiem. - Skrzywiła się, zirytowana własnym głosem, który brzmiał tak, jakby nagle zabrakło jej powietrza.

David usiadł, ich spojrzenia się spotkały.

- Jeszcze wczoraj chciałeś mnie powiesić - przypomniała mu. - Można wiedzieć, co cię skłoniło do zmiany zdania?

W odpowiedzi wyjął z kieszeni kopię artykułu.

- Ukazał się dwa tygodnie temu - powiedział, kładąc kartkę na stole.

Spojrzała na tytuł: „Lekarz zaszlachtowany we własnym gabinecie”.

- Jaki to ma związek ze mną?

- Znałaś go? Nazywał się Henry Tanaka.

- Wiem, że pracował u nas na położnictwie, ale nie miałam z nim do czynienia.

- Przeczytaj opis rany.

- Piszą, że zmarł w wyniku ran na szyi i karku.

- Zadanych bardzo ostrym narzędziem. Szyja została rozplątana jednym cięciem, z lewej strony, w miejscu, gdzie znajduje się tętnica. Czyli wyjątkowo skutecznie.

- Ann też... - Niespodziewanie zawiódł ją głos. Skinął głową.

- Identyczna metoda. I taki sam tragiczny skutek.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Porucznik Ah Ching od razu zwrócił uwagę na te podobieństwa. Dlatego posadził pod twoimi drzwiami policjanta. Jeśli między tymi dwoma morderstwami istnieje jakiś związek, możemy założyć, że zabójca działa w sposób systematyczny, w pewnym sensie racjonalny.

- Racjonalny? Co może być racjonalnego w zamordowaniu lekarza? Albo pielęgniarki? Tak może działać tylko psychopata!

- Morderstwo to naprawdę dziwne zjawisko. Czasem wydaje się, że zostało popełnione bez powodu, czasem ten straszliwy akt ma logiczne uzasadnienie.

- Zabicie człowieka nigdy nie ma logicznego uzasadnienia! - rzekła z oburzeniem.

- A jednak jest zjawiskiem powszednim. I zawsze istnieje jakiś przyziemny powód. Pieniądze. Walka o władzę. - Zawiesił głos. - I wreszcie są zbrodnie popełniane z namiętności. Ponoć Tanaka miał romans z pielęgniarką.

- Nie on pierwszy, nie ostatni. A o której pielęgniarce mówimy?

- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz.

- Przykro mi, ale nie śledzę szpitalnych plotek.

- Nawet jeśli dotyczą twojej pacjentki?

- Mówisz o Ellen? Ja... naprawdę nie wnikam w prywatne sprawy tych, których lecę. No, chyba że mają wpływ na stan ich zdrowia.

- W przypadku Ellen mogło tak właśnie być.

Cóż, była bardzo atrakcyjna, więc na pewno w jej życiu pojawiali się mężczyźni. - Jeszcze raz spojrzała na artykuł. - Ale co to ma wspólnego z Ann Richter?

- Być może nic. Albo bardzo wiele. W ciągu ostatnich dwóch tygodni zmarło troje pracowników Mid Pac. Dwoje zostało zamordowanych. Jedna osoba zmarła na stole operacyjnym w wyniku nagłego zatrzymania akcji serca. Przypadek?

- Mid Pac to spory szpital. Pracuje w nim mnóstwo ludzi.

- Tych troje na pewno się znało. Przez pewien czas razem pracowali.

- Jak to? Przecież Ann była instrumentariuszką.

- Która kiedyś pracowała na oddziale położniczym.

- Naprawdę?

- Osiem lat temu rozwiodła się i została z furą niezapłaconych rachunków. Potrzebowała pieniędzy, więc zaczęła brać dodatkowe dyżury na ginekologii. Nocne dyżury. Podobnie jak Ellen O'Brien. Tanaka, Richter i O'Brien się znali. Wszyscy troje nie żyją.

Donośny gwizd czajnika przerwał ciszę, ale ona nawet nie drgnęła. David wyręczył ją więc i zajął się parzeniem kawy. Ocknęła się dopiero, gdy po kuchni rozszedł się aromatyczny zapach.

- Dziwne - rzekła zamyślona. - Widywałam Ann codziennie. Rozmawiałyśmy o książkach, o filmach, ale nigdy o sobie. Zresztą ona bardzo strzegła swojej prywatności. Była raczej niedostępna i bardzo powściągliwa.

- Jak zareagowała na śmierć Ellen?

Przez chwilę w milczeniu wspominała straszne chwile poprzedzające śmierć koleżanki. Gdy życie Ellen wisiało na włosku, Ann okropnie zbladła i dosłownie zeszywniała.

- Była wtedy jak... sparaliżowana - rzekła cicho. - Wszyscy byliśmy okropnie zdenerwowani. Jeszcze tego samego dnia poszła na zwolnienie i już nie wróciła do pracy. Wtedy widziałam ją po raz ostatni. Żywą...

- Tak jak mówiłaś, Ann musiała o czymś wiedzieć - uznał, podsuwając jej kubek. - O czymś potencjalnie groźnym. Może wiedzieli o tym wszyscy troje.

- Słuchaj, przecież to byli zwykli ludzie, pracownicy szpitala. Jakie oni mogli mieć tajemnice?

- W szpitalach dzieją się różne rzeczy. Zdarzają się kradzieże narkotyków, wyłudzenia odszkodowań, niemoralne miłosne związki. Niewykluczone, że również morderstwa.

- Skoro Ann wiedziała o czymś takim, dlaczego nie poszła z tym na policję?

- Być może obawiała się, że zostanie oskarżona o współudział w przestępstwie. Mogła też kogoś kryć.

Mroczny sekret? - powtarzała w myślach. Czy możliwe, żeby jej koledzy z pracy rzeczywiście go mieli?

- O ile dobrze rozumiem, jesteś skłonny uwierzyć, że Ellen została zamordowana - badała.

- Owszem. I dlatego tu jestem. Przyszedłem do ciebie po konkretną odpowiedź.

- Na jakiej podstawie mam ci jej udzielić? - Z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Masz wiedzę medyczną. Byłaś świadkiem zdarzenia. Jeśli to faktycznie było morderstwo, zastanów się, jak mogło do niego dojść.

- Myślałam o tym tysiąc razy.

- Więc spróbuj tysiąc pierwszy. No dalej, Kate, rusz głową! Przekonaj mnie, że to była zbrodnia. Jeśli ci się uda, zrezygnuję z prowadzenia sprawy.

Nie pozostawiał jej wyboru. Jego ponaglący wzrok zmuszał ją, by trochę się wysiliła i przypomniała sobie każdy szczegół i każde zdarzenie tamtej feralnej niedzieli. Cofnęła się więc pamięcią do chwil, gdy jeszcze nic nie zapowiadało tragedii. Początkowo wszystko szło gładko i sprawnie. Narkoza, intubacja, dokładne sprawdzenie kroplówek i butli z tlenem. Miała stuprocentową pewność, że wszystko jest dobrze podłączone.

- I co? - naciskał.

- I nic. Naprawdę nic nie przychodzi mi do głowy.

- Skup się!

- To był rutynowy zabieg!

- Dobrze, a sama operacja? Od strony chirurgicznej?

- Bez zarzutu. Guy jest naszym najlepszym chirurgiem. Ale dobrze... Przystąpił do operacji. Przeciął mięśnie brzucha, zaczął narzekać, że... - Urwała.

- Że co?

- Że mięśnie są za bardzo napięte. Nie mógł ich rozsunąć.

- Więc?

- Więc podałam scolinę.

- To normalne postępowanie, tak?

- Oczywiście. Scolina jako lek zwiotczający mięśnie jest podawana przy każdej operacji. Ale na Ellen jakoś nie zadziałała. Musiałam wstrzyknąć jej drugą dawkę. Pamiętam, że prosiłam Ann, żeby przyniosła mi jeszcze jedną fiolkę.

- Miałaś tylko jedną?

- Tak. Zazwyczaj mam ich kilka, ale tego dnia była tylko jedna.

- Co się stało po podaniu drugiej dawki?

- Minęło dziesięć, może piętnaście sekund. I wtedy... - Powoli podniosła wzrok. - Jej serce przestało bić.

- Gdybyś była w stanie to udowodnić... - Wpatrywał się w nią przenikliwie.

- Nie jestem! Pusta fiolka trafiła to utylizacji razem z resztą śmieci. Ciało zostało skremowane. - Bezradnie uciekła spojrzeniem w bok. - Ten, kto to zrobił, jest bardzo przebiegły. Dokładnie wszystko przemyślał.

- Niewykluczone, że dla własnego dobra. - Jak mam to rozumieć?

- Nasz hipotetyczny morderca niewątpliwie ma doświadczenie i wiedzę medyczną. Orientował się, które leki będziesz podawała w czasie operacji. I zdołał zamienić fiolki albo wstrzyknąć do nich coś, co zabiło Ellen. Kto ma dostęp do szafek, w których anestezjologzy przechowują leki?

- Praktycznie wszyscy, bo trzymamy je w salach operacyjnych. Na pewno lekarze. Pielęgniarki. Ale ciężko byłoby dyskretnie coś podrzucić, bo na bloku operacyjnym zawsze ktoś się kręci.

- A w nocy? Albo w czasie weekendu?

- Jeśli akurat nie ma żadnej planowej operacji, prawdopodobnie zamykają cały blok. Na dyżurze zawsze zostaje pielęgniarka, na wypadek, gdyby zdarzyło się coś nagłego.

- Czy przez cały czas przebywa na bloku? Bezradnie pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia.

- Skoro blok operacyjny nie jest pilnowany, praktycznie każda osoba pracująca w szpitalu może się tam wśliznąć.

- Przecież morderca nie jest pracownikiem szpitala! Widziałam go. To zupełnie obcy człowiek.

- A nie przyszło ci do głowy, że może mieć wspólnika? Na przykład kogoś, kto u was pracuje? I kogo dobrze znasz?

- Chcesz powiedzieć, że to spisek?

- Czy nie zastanowiło cię, że zabójca działa w sposób planowy? Zupełnie jakby miał listę ofiar. To taka czarna loteria, w której stawką jest śmierć. Więc pytam: kto będzie następny?

Drgnęła, przestraszona stuknięciem własnego kubka o spodek. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo drżą jej ręce. Widziałam go, pomyślała spłoszona. Jeśli naprawdę ma listę, na pewno na niej jestem.

Na dworze zapadał zmrok. Roztrzęsiona, wstała od stołu i podeszła do drzwi. Tam zatrzymała się i długo patrzyła na morze. Wiatr, który wiał przez cały dzień, teraz zupełnie ucichł. W powietrzu zapanował bezruch, jakby wieczór wstrzymywał oddech.

- On tam jest - szepnęła. - Szuka mnie. A ja nawet nie znam jego imienia. - Wzdrygnęła się, gdy David położył dłoń na jej ramieniu. Stał tak blisko niej, że czuła na włosach jego oddech. - Ciągle mi się przypomina, jak na mnie patrzył w lustrze. Nigdy nie zapomnę jego oczu, czarnych i zapadniętych. Jak u głodujących dzieci z plakatów organizacji charytatywnych.

- Nic ci nie zrobi, Tutaj cię nie znajdzie. - Ciepły oddech musnął jej kark. Przeszył ją dreszcz - tym razem nie strachu, lecz podniecenia. Nie musiała patrzeć na Davida, by obudziło się w niej pragnienie.

Nagle dotknął ustami jej karku. Potem zanurzył twarz w jej gęstych włosach i przytulił się mocno do jej szyi. Chwycił ją za ramiona, jakby się bał, że się od niego odsunie. Nie mogła jednak tego zrobić. Zbyt mocno go pragnęła.

Jego usta zaznaczyły ciepły wilgotny ślad na jej ramieniu. Po chwili odwrócił ją i zaczął całować. Natychmiast uległa sile tego pocałunku, czując, jakby leciała w bezdenną studnię. Oprzytomniała dopiero, gdy poczuła za plecami ścianę. Przywarli do siebie mocno,

połączeni pocałunkiem. Wiedziała, że na tym się nie skończy, że David będzie chciał mieć ją całą.

Zapałka została zapalona; beczka prochu za chwilę wybuchnie, a ona razem z nią. Chciała spłonąć na własne życzenie. Nie padło żadne słowo. Ciszę wypełniły przyspieszone oddechy i westchnienia, mieszające się z jękami pożądania. Była tak w nie wsłuchana, iż nie od razu dotarł do jej uszu dzwonek telefonu. Dopiero po którymś z kolei natarczywym dźwięku zmusiła się do reakcji.

- Telefon... - szepnęła rwącym głosem, próbując wysunąć się z jego objęć.

- Niech dzwoni - mruknął, całując jej szyję.

- Davidzie, proszę... - Nie potrafiła udawać, że nie słyszy ostrych, ponagających dzwonek.

Syknął zniecierpliwiony, ale wypuścił ją z objęć.

Spojrzeli sobie w oczy, oboje jednakowo zdumieni tym, do czego między nimi doszło. Telefon znowu się rozdzwonił. Jego głośny nieprzyjemny dźwięk w końcu ją otrzeźwił. Podeszła do ściany, na której wisiał, odchrząknęła i sięgnęła po słuchawkę.

- Halo? - Musiała być wciąż bardzo rozkojarzona, bo nie od razu dotarło do niej, że po drugiej stronie kabla panuje cisza. - Halo?

- Doktor Chesne?

- Tak?

- Jest pani sama?

- Nie, jestem z... Ale kto mówi? - zapytała zduszonym głosem, czując, jak ze strachu robi jej się zimno.

Cisza. Tak długa i absolutna, że usłyszała szalone bicie własnego serca.

- Halo! Kto mówi? - krzyknęła histerycznie.

- Bądź ostrożna, Kate Chesne. Śmierć depcze nam po piętach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Słuchawka wysunęła się z jej ręki i głośno stuknęła o podłogę.

- To on! - szepnęła, chwytając się kurczowo blatu szafki. - To on!
- zawołała, nie panując nad nerwami.

David w mgnieniu oka znalazł się przy niej.

- Kto mówi? Halo! Halo! - wołał, chwyciwszy słuchawkę. - A niech cię jasny szlag! - Z trzaskiem odwiesił ją na widełki. - Co ci powiedział? Kate! - Potrząsnął nią energicznie. - Co powiedział?!

- Żebym była ostrożna, bo... śmierć depta nam po piętach.

- Gdzie masz walizkę?

- Co?

- Twoja walizka. Gdzie ona jest?

- W garderobie, w moim pokoju.

- Prowadź!

Posłusznie pokazała mu drogę.

- Pozbieraj swoje rzeczy - nakazał, widząc, że biernie mu się przygląda. - Nie możesz tu zostać.

Nie pytała, dokąd ją zabiera. Zdała się na instynkt, który mówił, że musi uciekać, bo każda minuta spędzona w domu przy plaży zwiększa niebezpieczeństwo. Ogarnięta panicznym lękiem o życie, chwyciła walizkę, którą David ściągnął z górnej półki, i zaczęła się gorączkowo pakować. Gdy wszystko było gotowe, nie oglądając się za siebie, pobiegła za nim do samochodu.

W środku przeraziła się, że nie uruchomiła silnika. Była niemal pewna, że skończą życie w aucie jak ofiary marnego horroru. Na szczęście tym razem czarny scenariusz się nie sprawdził, bmw okazało się niezawodne. Opony zabuksowały, sypiąc gradem kamieni, lecz zaraz odzyskały przyczepność i samochód skoczył do przodu jak zwierzę wypuszczone z niewoli, by po chwili na pełnych obrotach wjechać na wyboistą drogę.

- Jak on mnie tu znalazł? - zapytała przez łzy, gdy oddalili się od domu na bezpieczną odległość.

- Wiele bym dał, żeby wiedzieć - odparł, przyspieszając, gdyż właśnie wydostali się na główną drogę.

- Przecież nikt nie wie, gdzie jestem. Tylko policja.

- Musiał być jakiś przeciek. Albo - zerknął we wsteczne lusterko - ktoś cię śledził.

- Śledził? - Z przerażeniem spojrziała za siebie, lecz nie zobaczyła niczego prócz opustoszałej szosy.

- Kto cię tam zawiózł?

- Moja koleżanka, Susan.

- Wstępowałyście po drodze do ciebie?

- Nie.

- A ubrania? Kto ci je przywiózł?

- Kobieta, od której wynajmuję mieszkanie. Spakowała mi walizkę i zostawiła ją w szpitalu.

- Ten łajdak mógł się zacząć w holu, a potem za wami pójść.

- Nie zauważyłam, żeby ktoś za nami szedł.

- Nic dziwnego. Ludzie patrzą na to, co jest z przodu, a nie z tyłu. Pojechał za wami do letniego domu, a potem odnalazł numer w książce telefonicznej. Na skrzynce pocztowej jest nazwisko Santinich.

- Przecież to wszystko nie ma sensu - jęknęła zgnębiona. - Skoro chce mnie zabić, dlaczego tego jeszcze nie zrobił? Po co dzwoni i mnie straszy?

- Kto wie, o co mu chodzi? Może podnieca go lęk ofiar. A może próbuje cię zastraszyć, żebyś nie współpracowała z policją.

- Przecież cały dzień byłam sama. Mógł mnie dopaść na plaży... - Nie mogła pozbyć się natrętnej wizji własnej krwi wsiąkającej w piasek.

Mijali po drodze coraz więcej domów. Gdy patrzyła w ich jasne okna, każdy wydawał się oazą bezpieczeństwa. Pytała więc samą siebie, gdzie pośród tej czarnej nocy znajdzie spokojną przystań. Przymknęła oczy i starała się o niczym nie myśleć. Miarowy szum silnika uspokajał ją.

- ...jest naprawdę mnóstwo miejsca. Możesz zostać, jak długo chcesz.

- Słucham? - Spojrzała na niego półprzytomnie. Dojechali już do miasta i mijali jasno oświetlone ulice.

- Mówię, że możesz zostać, jak długo chcesz. Nie są to żadne luksusy, ale jest bezpieczniej niż w hotelu.

- Przepraszam, ale nic nie rozumiem. Dokąd my jedziemy?

Odwrócił się w jej stronę i odparł neutralnym tonem:

- Do mnie.

- Jesteśmy w domu - oznajmił, otwierając drzwi. Wnętrze tonęło w mroku. Przez olbrzymie okna w salonie sączyło się światło

księżycyca, kładąc się poświatał na wypolerowanej drewnianej podłodze i meblach.

David wprowadził ją do pokoju i posadził na sofie. Dopiero potem, wyczuwając jej tęsknotę za ciepłem i światłem, zapalił wszystkie lampy. Kate nie widziała go, więc nie miała pojęcia, co robi. Usłyszała tylko pobrzękiwanie butelek i charakterystyczne bulgotanie.

- Proszę, wypij to. - Podał jej szklaneczkę.

- Co to jest?

- Whisky. Śmiało. Sam też chętnie się napiję. Bez dyskusji pociągnęła spory łyk. Alkohol zapiekł ją w gardle, aż w oczach stanęły jej łzy.

- Niezła! - wykrztusiła.

- Prawda?

Zorientowała się, że zamierza zostawić ją samą i natychmiast dopadł ją irracjonalny lęk.

- David! - zawołała wystraszona. Zatrzymał się w pół kroku.

- Spokojnie, Kate - rzekł łagodnie. - Będę w kuchni. Dopij drinka - poprosił, dotykając pieszczotliwie jej policzka, po czym wyszedł.

Z przerażeniem patrzyła, jak znika w drzwiach. A potem usłyszała jego głos: rozmawiał z kimś przez telefon. Domyśliła się, że z policją. Tak jakby ta mogła teraz w czymkolwiek pomóc.

Sięgnęła po szklanekę i wypijała kolejny łyk. Łzy sprawiły, że pokój zafalował jej przed oczami. Kilka razy mrugnęła powiekami, a gdy kontury odzyskały ostrość, rozejrzała się po salonie. Miał zdecydowanie męski wystrój. Wypełniały go proste funkcjonalne meble, na podłodze nie leżał nawet najmniejszy dywan. Za wielkimi oknami, ujętymi w ramy długich białych zasłon, huczały fale rozbijające się o falochron. Brutalna siła natury dawała o sobie znać.

Lecz nie była w stanie dorównać grozie, jaką budzi przemoc stosowana przez człowieka.

David skończył rozmowę, ale chwilę zwlekał z powrotem do salonu. Czekał, aż opadną w nim emocje. Nie chciał, by Kate zauważyła jego zdenerwowanie. Ponieważ jednak nie chciał zostawiać jej długo samej, wziął głęboki oddech i wyszedł z kuchni.

Siedziała skulona na brzegu sofy i kurczowo ścisnęła szklanekę, z której ubyła połowa whisky. Zauważył, że alkohol przyniósł dobroczynny efekt; rozgrzał ją na tyle, że jej policzki lekko się

zaróżowiły. Przypominały mu płatki róży, na których osiadł szron. Wziął od niej szklanekę i nalał do pełna. Podając ją, musnął palcami jej dłoń. Była lodowata. Kate wyglądała na kompletnie zagubioną. Najchętniej wziąłby ją w ramiona i ogrzał ciepłem własnego ciała. Może zdołałby sprawić, by do jej zziębniętych członków wróciło życie. Nie dotknął jej nawet palcem, choć pokusa była naprawdę silna. Nie uległ jej jednak, bo dobrze wiedział, że nie skończyłoby się na przytulaniu. Kate oczekuje teraz od niego ochrony. Wsparcia. Przede wszystkim musi odbudować jej poczucie bezpieczeństwa. I to mimo brutalnej prawdy, iż jej świat rozsypał się jak domek z kart.

Nalał sobie whisky i pociągnął spory łyk. Zaraz jednak odstawił szklanekę. Jako gospodarz powinien zachować trzeźwość.

- Zadzwoiłem na policję - rzucił przez ramię.

- I co powiedzieli? - zapytała cicho.

- Żebyś się stąd nie ruszała. I pod żadnym pozorem nie wychodziła sama. - Zerknął na szklanekę i pomyślał „A do diabła z tym”, wychylił ją do dna. Po czym wziął butelkę i usiadł obok Kate. Nie dzieliło ich więcej niż kilkanaście centymetrów, lecz nagle wyrosła między nimi niewidzialna bariera. Kate poruszyła się nerwowo i zerknęła w stronę kuchni.

- Moi... znajomi nie wiedzą, co się ze mną dzieje. Chyba powinnam do nich zadzwonić.

- Nie martw się o to. Póki zawiadomi ich, że jesteś bezpieczna. Powinnaś coś zjeść - powiedział.

- Nie chce mi się jeść.

- Moja gospośka robi świetny sos do spaghetti. Uniosła jedno ramię, jakby nie miała dość energii, by podnieść również drugie.

- Tak - ciągnął w przyływie entuzjazmu. - Raz w tygodniu pani Feldman lituje się nad niedożywionym starym kawalerem i przyrządza garnek sosu. Dodaje do niego mnóstwo czosnku, świeżej bazylii i dobrego wina.

Nie zareagowała.

- Każda kobieta, którą nim częstowałem, przysięgała, że to potężny afrodyzjak.

Przynajmniej się uśmiechnęła, choć słabiutko.

- Miło z jej strony - skwitowała.

- Uważa, że źle się odżywiam, choć prawdę mówiąc, nie wiem, na jakiej podstawie tak sądzi. Może natchnęły ją puste opakowania po mrożonych daniach, które znajduje w koszu na śmieci.

Znowu się uśmiechnęła. Zaczął się martwić, że jak tak dalej pójdzie, rozśmieszy ją najwcześniej za tydzień. Żałował, że taki marny z niego komik. Z drugiej strony nie powinien się dziwić, że w tak ponurych okolicznościach Kate nie ma ochoty się śmiać.

Głośne tykanie zegara przypominało o przedłużającej się ciszy. Kate nagle drgnęła, wystraszona pobrząkiwaniem szyb, o które uderzył silny podmuch wiatru.

- Tu często tak wieje - uspokoił ją. - Przyzwyczaisz się. Jak jest sztorm, dom dosłownie trzeszczy. Czasem boję się, że za chwilę odfrunie mi dach.

- Spojrzał z sympatią na potężne belki stropowe. - Ma już trzydzieści lat i dawno powinien być zburzony. Kiedy go kupowaliśmy, myśleliśmy wyłącznie o jego potencjale.

- My? - zapytała głucho.

- Tak, byłem wtedy żonaty.

- Aha. Rozumiem, że się rozwiodłeś?

- Tak wyszło. Ale udało nam się przeżyć razem siedem lat. Uważam, że to całkiem niezły wynik.

- W jego śmiechu nie było ani odrobiny radości.

- Wbrew stereotypowi nie rozstaliśmy się z powodu zdrady. Oddalaliśmy się od siebie, aż wreszcie łączące nas uczucie zupełnie wygasło. Mimo to do dziś się przyjaźnimy. Linda wyszła za męża. Muszę przyznać, że lubię jej partnera. Jest bardzo zaangażowany w związek, czuły, oddany. Czyli odwrotnie niż ja...

- Uciekł wzrokiem w bok. Nie lubił o sobie opowiadać; miał wtedy niemiłe wrażenie, że się odsłania. Jednak tym razem z premedytacją poświęcał swoją prywatność, licząc na to, że intymna rozmowa wyrwie Kate z odętwienia. - Linda mieszka teraz w Portland - dodał szybko. - Podobno spodziewa się dziecka.

- Nie mieliście dzieci? - Pytanie było jak najbardziej na miejscu. Jednak wolałby, żeby nigdy nie padło.

- Mieliśmy. Syna.

- Ile ma lat?

- Nie żyje. - Zdawał sobie sprawę, że powiedział to tak beznamiętnie, jakby śmierć Noaha była takim samym tematem do

uprzejmej konwersacji jak pogoda. Już widział, jak na usta Kate cisną się pytania. Za chwilę zacznie go pocieszać i zapewniać, że bardzo mu współczuje. Nie chciał tego słuchać.

- Tak więc jestem kawalerem z odzysku - rzucił, zmieniając temat. - Nie przeszkadza mi to. Widocznie należę do facetów, którym małżeństwo nie służy. A jak na tym zyskuje moja praca! Wreszcie nic mnie od niej nie odciąga.

Cholera. W jej oczach wciąż widział pytania, których tak się bał. Postanowił więc uciec przed nimi, przerzucając na nią niewdzięczną rolę przesłuchiwanego.

- A ty? Jesteś lub byłaś mężatką?

- Nie. - Spojrzała na szklanę, jakby rozważała, czy wzmocnić się kolejną porcją alkoholu. - Przez jakiś czas z kimś mieszkałam. Prawdę mówiąc, to dla niego przeniosłam się do Honolulu. - Roześmiała się gorzko. - Mam nadzieję, że będzie to dla mnie nauczka.

- Że niby co?

- Że nie warto rzucać wszystkiego dla jakiegoś durnia.

- To mi wygląda na rozstanie w kiepskim stylu.

- Wręcz przeciwnie, rozstaliśmy się bardzo kulturalnie - odparła ze wzruszeniem ramion. - Nie jest łatwo być dobrym we wszystkim. Nie mogłam dać mu tego, czego potrzebował: obiadu na stole, uwagi.

- Tego od ciebie oczekiwał?

- A który facet tego nie oczekuje? Ja w każdym razie nie widziałam się w roli kapłanki domowego ogniska. Specyfika mojej pracy wymaga, żebym była do dyspozycji przez całą dobę. Nie potrafił tego zrozumieć.

- Warto było?

- Co, jeśli wolno spytać?

- Poświęcić miłość dla kariery.

Opuściła głowę, jakby potrzebowała czasu na zebranie myśli.

- Kiedyś byłam pewna, że tak - rzekła cicho. - Natomiast jak sobie teraz pomyślę o tych wszystkich nadgodzinach, zrujnowanych planach na weekend... Myślałam, że jestem niezastąpiona. I nagle życie zmusiło mnie, żebym przejrzała na oczy. Już wiem, że mnie też mogą wyrzucić z pracy. Wystarczy jeden pozew. Niezły kubek zimnej wody na głowę, - Uniosła do góry szklanę. - Dzięki, panie mecenasie.

- O co masz do mnie pretensje? Czy to moja wina, że ktoś mnie wynajął?

- Obiecując sowitą zapłatę, jak się domyślam.

- Uprzedziłem ich, że mogę wycofać się z prowadzenia sprawy. Więc pewnie nie zobaczę złamanego grosza.

- Zrezygnowałeś z pieniędzy? Dlatego, że mi wierzysz? - Ze zdumieniem pokręciła głową. - Nie sądziłam, że prawda tak wiele dla ciebie znaczy.

- Ty to potrafisz zrobić ze mnie skończonego łajdaka! Ale jeśli chcesz wiedzieć, to tak, prawda jest dla mnie ważna. Nawet bardzo.

- Coś takiego! Prawnik z zasadami! Myślałam, że tacy nie istnieją.

- I tu się mylisz. Stanowimy osobny podgatunek. - Nawet nie wiedział, kiedy jego wzrok zaczął błędzić w okolicach jej dekoltu. Wspomnienie jedwabistej skóry na jej szyi tak podziałało mu na wyobraźnię, że musiał ratować się następną porcją whisky. Nie przyniósł sobie szklanki, więc w desperacji napił się prosto z butelki. Pięknie, pomyślał rozdrażniony. Brakuje tylko, żebyś się narąbał. Ciekawe, ile do rana zdążysz napleść głupot.

Prawdę powiedziawszy, oboje byli już lekko wstawieni. Tłumaczył sobie, że Kate dobrze to robi. Jeszcze dwadzieścia minut temu była w głębokim szoku. Teraz przynajmniej zaczęła mówić. Ba, nawet zdołała go obrazić. Uznał to za dobry znak.

- Boże, jak ja nienawidzę whisky! - wyznała w porywie płomiennej szczerości, po czym jednym haustem opróżniła szklankę.

- Właśnie widzę. Śmiało, nie żałuj sobie.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Coś mi się zdaje, że próbujesz mnie upić.

- Skąd ten pomysł? - Śmiejąc się, podsunął jej butelkę.

Chwilę jej się przyglądała, a potem z nieskrywaną odrazą napełniła szklankę niemal po brzeg.

- Stary dobry Jack Daniels - westchnęła, zakręciwszy butelką niezbyt pewną ręką. - Co za ironia losu! Po prostu śmiech na sali!

- Można wiedzieć, co cię tak śmieszy?

- To był ulubiony trunek mojego taty. Zarzekał się, że pije wyłącznie ze względów zdrowotnych. Nie lubił, jak zaczynałam mu dokuczać, że jeśli coś nią leczy, to wyłącznie kaca. Ależ by się uśmieł, gdyby mnie teraz zobaczył. - Pociągnęła łyk i natychmiast się

skrzywiła. - Chryste, ojciec chyba jednak miał rację. Coś, co ma tak paskudny smak, musi być lekarstwem.

- Rozumiem, że był lekarzem.

- Marzył o tym. Chciał zostać wiejskim lekarzem, wiesz, takim, który odbiera porody w zamian za tuzin jajek. Nic mu jednak z tych planów nie wyszło. Ożenił się, ja przyszłam na świat. Rodzice potrzebowali pieniędzy, więc... - Westchnęła melancholijnie. - Prowadził mały warsztat naprawczy w Sacramento. Naprawdę miał złote ręce. Zdobył siedemnaście patentów, żaden niewart złamanego centa. Może o którymś słyszałaś? Na przykład o krajalnicy do jabłek?

- Niestety, nie.

- Szkoda. Na pewno byłbyś pod wrażeniem.

- I tak jestem. Dlatego, że stworzył ciebie. Pewnie się cieszył, że poszłaś na medycynę.

- O tak! Po ceremonii rozdania dyplomów wyznał mi, że to najszczęśliwszy dzień w jego życiu. - Jej uśmiech nagle zbladł. - Nie sądzisz, że to strasznie przygnębiające? Przeżył życie, ale najszczęśliwszy poczuł się tego akurat dnia... - Odchrząknęła. - Po jego śmierci mama sprzedała sklep i wyszła za mąż za energicznego bankiera z San Francisco. Nie masz pojęcia, co to za szuja! Nienawidzimy się. - Znów umilkła. - Często wspominam warsztat taty. Tęsknię za tą starą piwnicą pełną różnych gratów i za...

Chryste, tylko nie to! Ona się zaraz rozplacze! - pomyślał spanikowany, widząc drżenie jej ust. Potrafił radzić sobie z płaczącymi klientami. Wyciągał paczkę chusteczek, klepał ich po plecach, i sprawa była załatwiona. Nie tym razem. Po pierwsze, nie siedział w kancelarii, tylko w domu. Po drugie, wzruszona do łez kobieta nie jest jego klientką, tylko kimś, kogo bardzo lubi. Gdy już był pewien, że za chwilę zacznie chlipać, wzięła się w garść. Łzy błysnęły w jej oczach, ale zdołała je powstrzymać. Dzięki Bogu. Gdyby się rozkleiła, nie potrafiłby jej pomóc.

- Myślę, że starczy na dziś - oznajmił, zabierając jej szklanekę. - Pora spać, pani doktor. Chodź. - Chciał wziąć ją za rękę, ale się odsunęła. - Coś nie tak?

- Nie. Ale...

- Tylko mi nie mów, że nie wypada, żebyś u mnie nocowała. Chyba się tym nie przejmujesz?

- Trochę, ale nie przesadnie. Śmieszne, jak bardzo lęk zmienia spojrzenie na to, co wypada, a co nie.

- I co jest etyczne z punktu widzenia prawa - dodał, a widząc jej zdziwienie, wyjaśnił: - Nigdy tego nie robiłem.

- Chcesz powiedzieć, że nie zapraszałeś kobiet?

- Cóż, tego też od dawna nie robiłem. Ale miałem na myśli prywatne kontakty z klientkami.

- Więc jestem wyjątkiem?

- Żebyś wiedziała. Uwierz lub nie, ale nie obłapiam kobiet, które przychodzą do kancelarii.

- A które obłapiasz? - Uśmiechnęła się lekko.

- Wyłącznie zielonookie. - Przysunął się do niej, wiedziony pożądaniem. - I takie, które mają sińce tu i ówdzie - mruknął, dotykając jej policzka.

- To mi wygląda na zboczenie - szepnęła.

- Wcale nie. - Ton jego głosu sprawił, że znieruchomiała. Zdawała sobie sprawę, że zrobiło się niebezpiecznie. Obok niej siedzi człowiek, który jeszcze niedawno zarzekał się, że ją zniszczy. Paktowanie z wrogiem, pomyślała. Powinna natychmiast się odsunąć, ale nie mogła się do tego zmusić. Miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Że śni jakiś duszny alkoholowy sen, w którym siedzi na kanapie z mężczyzną do niedawna przez nią pogardzanym i nie może się doczekać, kiedy on wreszcie zacznie ją całować.

Tym razem jego usta były niezwykle delikatne. To nawet nie był pocałunek, tylko muśnięcie warg. Ostrożne delektowanie się wyobrażeniem o tym, co może się za chwilę między nimi zdarzyć. Ale już to wystarczyło, by ogarnęła ją słodka gorączka.

- A co na to powie twoja korporacja? - wyszeptała.

- Powie, że to skandal.

- Kompletny brak etyki zawodowej.

- I czyste szaleństwo. Bo to prawda. - Odsunął się i spojrzał jej w oczy. Widać było, że ze sobą walczy.

Ku jej rozczarowaniu rozsądek wziął górę nad pożądaniem. Jeszcze chwilę ją obejmował, a potem wstał.

- Jak będziesz składała na mnie skargę w korporacji, nie zapomnij nadmienić, jak bardzo ubolewałem nad swym niestosownym zachowaniem.

- A twoja skrucha będzie miała jakieś znaczenie?

- Dla nich nie. Ale mam nadzieję, że dla ciebie tak. Stali naprzeciw siebie tuż przy oknie.

- Pora iść do łóżka - stwierdził.

- Co takiego?

- Osobno.

- Jasne.

- No chyba że...

- Że...

- Nie chcesz.

- Czego?

- Pójść do łóżka.

- Chyba jednak się położę...

- Właśnie. Dobra myśl. - Odwrócił się i nerwowo przeczesał palcami włosy.

- Davidzie?

- Tak? - Spojrzał na nią przez ramię.

- Czy to naprawdę wbrew zasadom waszej etyki zawodowej? No wiesz, to, że u ciebie zostaję?

- Biorąc pod uwagę okoliczności? - Wzruszył ramionami. - Myślę, że nie grożą mi żadne konsekwencje. No, prawie żadne. Pod warunkiem, że do niczego między nami nie dojdzie. - Zabrał butelkę ze stolika i na wszelki wypadek schował ją do barku.

- Oczywiście, że nie! Nie potrzebuję dodatkowych komplikacji. Zwłaszcza teraz.

- Ja też nie. Jednak chwilowo jesteśmy sobie potrzebni. Ja zapewniam ci schronienie, a ty pomagasz mi odkryć, co naprawdę się wydarzyło w sali operacyjnej. Myślę, że to uczciwy układ. Mam tylko jedną prośbę.

- Mianowicie?

- Nie afiszujmy się z tym, dobrze? Nie tylko dopóki u mnie jesteś, ale również, kiedy wrócisz do siebie. Po co mamy psuć sobie opinię.

- Rozumiem.

- W takim razie... dobrej nocy. - Odwróciła się i na miękkich nogach poszła w stronę holu.

- Kate?

Serce skoczyło jej do gardła.

- Tak?

- Drugie drzwi na lewo.

- Dzięki. - Poczowała, jak jej rozedrgane serce robi się ciężkie jak kamień. Z żalem zostawiła Davida w salonie i poszła do sypialni. Mogła tylko się pocieszać, że David wyglądał na nie mniej zawiedzionego niż ona.

Zbiegała na oślep po niekończących się schodach, coraz niżej i niżej, aż pograżyła się w totalnej ciemności. Nie miała pojęcia, co czeka na nią u kresu morderczego biegu. Wiedziała, że przed czymś ucieka, lecz nie rozumiała przed czym. Bała się tak bardzo, że nawet nie próbowała się odwrócić. Po omacku wyciągała ręce, szukając wyjścia, lecz nie mogła natrafić na żadne okno czy drzwi. Jej paniczna ucieczka odbywała się w absolutnej ciszy, jak na filmie z wyłączoną fonią. Ta cisza była najbardziej przerażająca.

Obudził ją własny płacz. Otworzyła szeroko oczy i ujrzała obcy sufit. Gdzieś dzwonił telefon. Przez okna zaglądał już dzień i wpadał znajomy odgłos fal uderzających o beton. Telefon przestał dzwonić. Zza ściany dobiegł przytłumiony i niewyraźny głos Davida.

Jestem bezpieczna, pomyślała z ulgą.

Poderwała się gwałtownie, słysząc pukanie.

- Kate? - wołał David przez drzwi.

- Tak.

- Przepraszam, że cię budzę, ale musisz wstawać. Dzwonił Pokie. Mamy przyjechać na komisariat.

- Teraz?

- Tak. Teraz.

Zaniepokoił ją jego ponagląjący ton. Natychmiast wyskoczyła z łóżka i otworzyła drzwi.

- Ale co się stało?

Prześliznął się spojrzeniem po jej sylwetce.

- Podobno mają nazwisko mordercy - odparł.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pokie położył przed Kate kartotekę ze zdjęciami.

- Niech się pani przyjrzy. Poznaje pani kogoś? Zaczęła przerzucać strony. Dość szybko natknęła się na twarz, która od razu przykuła jej uwagę. Zrobiony podczas zatrzymania portret porażał swym bezlitosnym realizmem; ostre światło lamp wyostrzyło każdą zmarszczkę. Uwieczniony na zdjęciu mężczyzna patrzył w obiektyw szeroko otwartymi oczami, z których wyzierała zagubiona dusza.

- To on - powiedziała cicho.

- Jest pani pewna?

- Pamiętam jego oczy.

David i policjant przyglądali się jej w napięciu. Pewnie bali się, że zaraz zemdleje albo wpadnie w histerię. Tymczasem ona czuła się wyprana z wszelkich emocji. Miała wrażenie, że jej dusza oderwała się od ciała i uleciawszy pod sufit, obserwuje z wysoka scenę typową dla każdego komisariatu: oto świadek pokazuje palcem zdjęcie, na którym rozpoznał mordercę.

- No to cię mamy, bracie - mruknął Pokie.

- Kto to jest? - zapytała.

- Taki jeden czubek. Nazywa się Charlie Decker. Sfotografowaliśmy go pięć lat temu, jak został aresztowany.

- Za co?

- Za czynną napaść. Siłą wdarł się do gabinetu i próbował udusić lekarza.

- Lekarza? - zainteresował się David. - Którego? Pokie rozparł się w swym wysłużonym fotelu, który na znak protestu donośnie zaskrzypiał.

- A jak myślisz? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Henry'ego Tanakę.

- Bingo! - Pokie wyszczerzył żółte od nikotyny zęby. - Trochę trwało, ale w końcu dogrzebaliśmy się do nazwiska Deckera.

- W rejestrze zatrzymanych?

- Tak. Pewnie wpadlibyśmy na ten trop wcześniej, ale zmyliły nas zeznania żony tego lekarza. Rutynowo zapytaliśmy ją, czy mąż miał jakichś wrogów. Wymieniła parę nazwisk, ale wszyscy okazali się czyści. Dopiero potem wspomniała, że pięć lat wcześniej Tanakę zaatakował jakiś szaleniec. Nie mogła sobie przypomnieć nazwiska,

ale była przekonana, że do tej pory siedzi w psychiatryku. Zajrzeliśmy do archiwum i odnaleźliśmy protokół z aresztowania. Na dodatek dzisiaj rano wreszcie dostałem wyniki badań daktyloskopijnych. Wiecie, do kogo należą odciski palców zdjęte z klamki w mieszkaniu Ann Richter?

- Do Deckera?

- Właśnie! A teraz nasz jedyny naoczny świadek - Pokie spojrzął na Kate - rozpoznaje go na zdjęciu. No i mamy ptaszka.

- A motyw? - zapytał David.

- Już ci mówiłem. To psychol.

- Jak tysiące innych. Pozostaje pytanie, dlaczego akurat on zaczął mordować?

- Hej, przecież nie jestem jego psychiatrą! - obruszył się Pokie.

- Ale na pewno masz już odpowiedź. Zgadłem?

- Na razie to tylko hipoteza. - Pokie wyraźnie uchylał się od odpowiedzi.

- Poruczniku, ten człowiek chciał mnie zaatakować. O mały włos przez niego nie zginęłam. Chyba mam prawo wiedzieć o nim coś więcej.

- Kate ma rację - poparł ją David.

- Dobra, niech wam będzie. - Pokie z westchnieniem sięgnął po notatnik. - Tylko uprzedzam, że informacje nie są potwierdzone - zastrzegł, po czym zaczął czytać: - Decker, Charlie Louis, lat trzydzieści dziewięć, urodzony w Cleveland. Rodzice rozwiedli się, piętnastoletni brat padł ofiarą porachunków między gangami. Siostra mieszka na Florydzie.

- Rozmawiałaś z nią?

- Tak, sporo nam powiedziała. Co my tu jeszcze mamy? W wieku dwudziestu dwóch lat wstąpił do marynarki wojennej. Stacjonował w wielu bazach.

Sześć lat temu skierowany do Pearl Harbour. Służył na okręcie USS „Cimarron” jako sanitariusz.

- Sanitariusz? - podchwyciła Kate.

- Tak. Był pomocnikiem okrętowego chirurga. W opinii dowódców typ samotnika. Skryty, małomówny. Żadnej wzmianki dotyczącej problemów psychicznych czy emocjonalnych. To tyle, jeśli chodzi o oficjalne informacje. - Przewrócił kartkę. - Przebieg służby

bez zarzutu, parę razy dostał pochwałę. Zdobywał kolejne stopnie. I nagle, pięć lat temu, coś mu odbiło.

- Załamanie nerwowe? - zapytał David.

- Gorzej. Facet kompletnie sfiksował. Ponoć z powodu kobiety.

- Miał dziewczynę?

- Tak. Poznał ją tu, na Hawajach. Chciał się żenić i nawet dostał zgodę przełożonych. Ślub się nie odbył, bo jego okręt wypłynął na półroczne manewry. Koledzy pamiętają, że Decker każdą wolną chwilę spędzał na pisaniu wierszy do ukochanej. Musiał chłopina mieć hopla na jej punkcie. - Pokie westchnął. - W każdym razie kiedy po sześciu miesiącach „Cimarron” zawinął do portu w Pearl, narzeczona nie czekała na nabrzeżu. I tu zaczynają się schody. Decker bez zgody dowódcy zszedł z okrętu. I szybko dowiedział się, co się stało.

- Znalazła sobie innego? - domyślił się David.

- Nie. Okazało się, że dziewczyna nie żyje. W pokoju zapadła cisza.

- Co jej się stało? - zapytała Kate.

- Zmarła w czasie porodu. Dostała jakiegoś wylewu. Jej córeczki też nie udało się uratować. Decker nawet nie wiedział, że była w ciąży.

Kate popatrzyła na fotografię Charliego. Próbowała sobie wyobrazić, co czuł tamtego dnia, gdy statek zawinął do portu. Na nabrzeżu jak zwykle tłum. Wszędzie widać radosne twarze bliskich oczekujących na marynarzy. Jak długo szukał pośród nich jej twarzy? Ile czasu minęło, zanim dotarło do niego, że jej tam nie ma?

- Wtedy mu odbiło - ciągnął Pokie. - W jakiś sposób dowiedział się, że jej ciążę prowadził Tanaka. No i napadł na niego w gabinecie. Trafił do aresztu, ale następnego dnia wyszedł za kaucją. I nielegalnie kupił sobie tani pistolet. Ale nie po to, żeby skończyć z lekarzem, tylko z sobą. Wsadził lufę do ust i pociągnął za cyngiel.

Krok ostateczny, przebiegło jej przez myśl. Wziął pistolet i rozwalił sobie łeb. Musiał bardzo kochać swoją kobietę. Czy jest lepszy sposób, by tego dowieść, niż oddając za nią życie?

Tylko że Charlie przeżył. I zaczął mordować.

Pokie podchwycił jej pytające spojrzenie.

- Pistołek był mały i tandetny. Pocisk spalił na panewce - wyjaśnił. - Ale okaleczył mu jamę ustną. Ledwie przeżył. Po

kilkumiesięcznej rehabilitacji trafił do szpitala psychiatrycznego. Z jego karty wynika, że wrócił do równowagi, ale mowy nie odzyskał.

- Jest niemową? - zapytał David.

- Niezupełnie. W czasie reanimacji pozrywali mu struny głosowe. Dlatego mówi niemal bezgłośnie. Podobno brzmi to tak, jakby syczał.

Syk. Kate wzdrygnęła się na wspomnienie nieludzkiego dźwięku, który słyszała na klatce schodowej. Jak syk żmii szykującej się do ataku.

- Mniej więcej przed miesiącem Decker wyszedł ze szpitala. Miał być pod stałą kontrolą psychiatryczną i zgłosić się do niejakiego doktora Nemechka - mówił Pokie. - Problem w tym, że się nie pokazał.

- Rozmawiał pan z tym lekarzem? - zapytała Kate.

- Tylko telefonicznie, bo jest na jakiejś konferencji. Zarzekał się, że jego pacjent jest niegroźny. Podejrzewam, że próbuje chronić tyłek. Kiepska sprawa, kiedy czubek, którego właśnie wypuściło się ze szpitala, zaczyna podryznąć ludziom gardła.

- A więc mamy motyw. Zemsta za śmierć ukochanej - podsumował David.

- Na razie to tylko hipoteza - przypomniał Pokie.

- Ale dlaczego zabił Ann Richter?

- Pamiętacie tajemniczą blondynkę, którą w dniu śmierci Tanaki widział portier?

- Myśli pan, że to była Ann?

- Wygląda na to, że ona i Tanaka byli... jak by to sformułować... bardzo bliskimi znajomymi.

- Czy dobrze rozumiem, co chce pan powiedzieć?

- Ujmijmy to w ten sposób: sąsiedzi Ann Richter rozpoznali Tanakę na zdjęciach. Ponoć był u niej częstym gościem. Możemy założyć, że feralnego wieczoru udała się do niego z rewizytą. I zobaczyła coś, co ją śmiertelnie przeraziło. Niewykluczone, że widziała Deckera. A on ją.

- Więc dlaczego nie pobięła prosto na policję?

- Bo nie chciała, żeby wydało się, że ma romans z żonatym mężczyzną. Albo bała się, że zostanie posądzona o zabicie kochanka. Kto wie?

- A więc była naocznym świadkiem - szepnęła Kate. - Jak ja...

- Z tą różnicą, że pani nic nie grozi - uspokoił ją Pokie. - Nikt poza nami trojgiem nie wie, gdzie się pani ukrywa. - Spojrzał znacząco na Davida. - Czy pani doktor może nadal u ciebie mieszkać?

- Tak - odparł z nieodgadnioną miną.

- To dobrze. O ile to możliwe, proszę nie jeździć swoim samochodem.

- Ale dlaczego? - spytała zaskoczona.

- Decker ma pani torebkę. Mówiła pani, że były w niej kluczyki do audi. Skoro więc Decker wie, jakim samochodem pani jeździ, może się gdzieś zaciąć i wypatrywać takiego auta.

Przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz.

- Jak długo to potrwa? - zapytała.

- Co, jeśli wolno spytać?

- Zanim to wszystko się skończy i będę mogła wrócić do normalnego życia?

- Niestety, nie mogę pani obiecać, że złapiemy Deckera dziś albo jutro. Proszę być dobrej myśli. Prędzej czy później musi wpaść. Przecież nie będzie się wiecznie ukrywał.

A jeśli? - zapytała go w myślach. Na Oahu nie brakuje miejsc, w których można się zaszyć. Na długo. Są przecież mroczne zaułki Chinatown, gdzie nikt nie zadaje zbędnych pytań. Są blaszane komórki rybaków na Sand Island czy betonowe blokowiska Waikiki. Gdzieś tam przyczał się Charlie Decker, by w samotności oplakiwać śmierć ukochanej.

Zaczęli zbierać się do wyjścia.

- Poruczniku, a co z Ellen O'Brien? - zapytała.

- Skąd to pytanie? - Pokie uniósł na nią wzrok.

- Czy jej śmierć ma jakiś związek z tą sprawą?

- Moim zdaniem nie - odparł i spojrzawszy jeszcze raz na zdjęcie Deckera, zamknął kartotekę.

- A ja jestem pewna, że to się w jakiś sposób łączy - upierała się, gdy wyszli na zalaną słońcem ulicę.

- Twój przyjaciel musiał przeoczyć jakiś szczegół.

- Albo go przed nami zataił - zauważył David.

- Ale dlaczego? Myślałam, że jesteście dobrymi znajomymi.

- Nie zapominaj, że uciekłem z okopów.

- Mówisz tak, jakby praca w policji polegała na prowadzeniu gier wojennych.

- Niektórzy policjanci tak właśnie do niej podchodzą. Uważają, że prowadzą świętą wojnę. Gdybyś wiedziała, ile godzin Pokie spędza w robocie, nigdy byś nie uwierzyła, że ma żonę i dzieci.

- Twoim zdaniem jest dobrym policjantem? Wzruszył ramionami.

- To typowy wół roboczy. Solidny, ale niezbyt lotny. Parę razy zdarzyło mu się nawalić. Niewykluczone, że idzie fałszywym tropem. Muszę jednak przyznać, że się z nim zgadzam. Ja również nie widzę żadnego związku między tymi morderstwami a śmiercią Ellen.

- Ale przecież słyszałeś, co mówił porucznik! Decker był asystentem chirurga...

- Profil psychologiczny Deckera nie pasuje do profilu mordercy Ellen. Psychopata, który zarzyna ludzi jak Kuba Rozpruwacz, nie będzie się bawił w podmienianie leków i wyników EKG. Do tego potrzeba innej konstrukcji psychicznej.

- Wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? - zawołała sfrustrowana. - To, że nie jestem w stanie udowodnić, że Ellen została zamordowana. Sama nie mam pewności, czy to w ogóle możliwe. David przystanął.

- Okej. Nie jesteśmy w stanie niczego udowodnić. Wobec tego zastanówmy się nad logistyką.

- Morderstwa?

- Tak. Weźmy więc takiego Deckera. Outsajder. Z podstawową wiedzą medyczną, zwłaszcza z zakresu chirurgii. Spróbuj mi powiedzieć, jak ktoś taki mógłby przeprowadzić swój szatański plan. Wiesz, tak krok po kroku. Jak mógłby dostać się do szpitala i zabić kobietę leżącą na stole operacyjnym.

- Chyba powinniśmy... - Szukając inspiracji, rozejrzała się po ulicy i nagle jej wzrok padł na gazeciarza sprzedającego prasę kierowcom zatrzymującym się na światłach. - Dzisiaj jest niedziela - oznajmiła znienacka.

- I co w związku z tym?

- Ellen przyszła do szpitala w niedzielę. Pamiętam, jak wpadłam do niej, żeby chwilę pogadać. Była ósma wieczorem. - Spojrzała na zegarek. - Mamy dziesięć godzin. Możemy po kolei odtworzyć...

- Czekaj, bo się zgubiłem. Co niby mamy zrobić w ciągu tych dziesięciu godzin?

- Popęlnić morderstwo.

Gdy punktualnie o dziesiątej wieczorem podjechali pod szpital, parking był niemal pusty. David zaparkował blisko wejścia, zgasił silnik i spojrzał na Kate.

- Zdajesz sobie sprawę, że niczego w ten sposób nie udowodnimy?

- Po prostu chcę sprawdzić, czy to w ogóle możliwe.

Spojrzała na wejście, nad którym palił się neon „Izba przyjęć”. W niedzielny wieczór w szpitalu jak zawsze panował spokój. Godziny odwiedzin dawno się skończyły. W pokojach pacjenci szykowali się do snu.

- No dobrze. - David otworzył drzwi. - Skoro mamy to zrobić, chodźmy.

Ponieważ o tej porze główne drzwi były zamknięte, weszli przez te prowadzące na oddział nagłych wypadków. Nie niepokojeni przez nikogo minęli stanowisko siostry oddziałowej, która akurat rozmawiała przez telefon, i podeszli do wind.

- Każdy może sobie tutaj tak po prostu wejść? - zapytał David.

- Siostra oddziałowa mnie zna.

- Ledwo na ciebie spojrzała.

- Bo cały czas gapiała się na ciebie.

- Chryste, ale ty masz wybujałą wyobraźnię. - Zatrzymał się i spojrzał na pusty hol. - A gdzie jest ochrona? Nie macie tu żadnego strażnika?

- Mamy. Pewnie robi obchód.

- A jest tylko jeden?

- Szpitale to dość nudne miejsca - odparła, wciskając guzik windy. - Poza tym jest niedziela.

Wjechali na czwarte piętro i wyszli na jasno oświetlony biały korytarz, na którym w karnym rzędzie stały nosze do przewożenia chorych. Kate wskazała dwuskrzydłowe drzwi z napisem: „Wstęp wzbroniony”.

- Wejście na blok operacyjny.

- Możemy się tam dostać?

- Zaraz się przekonamy. - Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi, które rozsunięły się przed nią z cichym świstem. - Jak widzisz, bez problemu.

Na kontuarze przy stanowisku pielęgniarki paliła się lampka i stał kubek niedopitej kawy.

- Tu mamy wykaz operacji zaplanowanych na następny dzień - wyjaśniła, wskazując dużą białą tablicę wiszącą na ścianie. - Jak widzisz, można się z niej dowiedzieć wszystkiego: kto będzie operowany, w której sali, przez kogo, kto będzie znieczulał.

- W której sali operowaliście Ellen?

- W piątce, tam za rogiem. Chcesz zobaczyć?

- Tak.

- Więc chodźmy.

Gdy zapaliła światło, musieli zmrużyć oczy.

- Tam stoi mój wózek.

David podszedł do niego i wyciągnął jedną ze stalowych szufladek. Cicho zagrzechotały fiołki leków.

- Nie mają żadnej handlowej wartości, więc nie ma sensu ich kraść. A narkotyki trzymamy tam - powiedziała, wskazując wiszącą szafkę.

- Więc tak wygląda twoje miejsce pracy. - Rozejrzał się dookoła.

- Przyznam, że robi wrażenie. Kojarzy mi się ze scenografią do filmu fantastycznego.

- Zabawne. Ja się tu czuję jak w domu. - Przeszła się po pokoju, czule klepiąc dobrze sobie znane urządzenia. - Chyba dlatego, że jestem córką majsterkowicza. Nie boję się tych wszystkich gadżetów. Wręcz przeciwnie, lubię te różne przyciski i guziki. Ale rozumiem, że niektórzy mogą się poczuć onieśmieleni.

- A ciebie nic nie onieśmiela?

Odwróciła się i spostrzegła, że David ją obserwuje z tak szczególnym wyrazem oczu, że wstrzymała oddech.

- W sali operacyjnej nic - odparła łagodnie. Przyglądali się sobie w ciszy tak absolutnej, że Kate słyszała przyspieszone bicie swego serca. Dzielilo ich zaledwie kilka kroków, ale miała wrażenie, jakby odgradzała ich od siebie bezdenne przepaść. David pierwszy wrócił do rzeczywistości.

- Jak myślisz, ile czasu potrzeba, żeby podmienić fiołki albo zmienić ich zawartość? - zapytał.

- Myślę, że jakieś dziesięć minut.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle.

- Więc dokonanie morderstwa w sali operacyjnej wcale nie jest takie trudne - zauważył.

- Okazuje się, że nie.

- A co z zamianą wyników EKG? Jak by sobie z tym poradził nasz zabójca?

- Najpierw musiałyby zdobyć kartę pacjenta. Trzymamy je na oddziałach.

- To już chyba nie jest takie proste. Tam się przecież kręci mnóstwo pielęgniarek.

- Owszem. Tylko że niektóre peszą się na widok białego fartucha. Założę się, że gdybyśmy cię przebrali za lekarza, bez trudu przeszedłbyś przez cały oddział i żadna nie odważyłaby się ciebie o cokolwiek zapytać.

- Zrobimy eksperyment?

- Teraz?

- A kiedy? Zorganizujesz mi jakiś fartuch? Zawsze chciałem pobawić się w doktora.

W ciągu paru minut znalazła dla niego strój pozostawiony przez kogoś w szatni chirurgów. Plamy z kawy oraz rozmiar zdradzały właściciela, którym nie mógł być nikt inny, jak tylko Guy Santini.

- Nie wiedziałem, że pracuje u was King Kong - rzucił David, wsuwając ręce w długie rękawy.

- I jak wyglądam? - zapytał, stając przed nią na baczność. - Padną ze śmiechu?

Cofnęła się o krok i przyjrzała mu się krytycznie. Fartuch był na niego za szeroki w ramionach, zawinęła mu się połowa kołnierzyka, ale i tak wyglądał zniewalająco. Poprawiła mu kołnierzyk i przy okazji przelotnie musnęła palcami jego szyję. To wystarczyło, by zaczęła jej żywiej krążyć krew.

- Ujdzie w tłoku - orzekła.

- Aż tak źle wyglądam? - Zerknął na brązowe plamy. - Czuję się jak ostatni flejtuch.

- Czyli jak ten, który nosi ten fartuch na co dzień - roześmiała się. - Więc się nie przejmuj. I powtarzaj sobie ciągle: lekarz, lekarz. Musisz wyrobić sobie odpowiedni sposób myślenia o sobie jako o

lekarzu. Mów więc: jestem genialny, jestem zaangażowany, wczuwam się w sytuację pacjentów - tłumaczyła, gdy szli do windy.

- Nie zapomnij dodać: jestem skromny. Klepnęła go w plecy.

- Do boju, doktorze Kildare.

Wsiadł do windy, ale przytrzymał drzwi i poprosił:

- Tylko nigdzie mi nie zniknij. Jeśli wpadnę w tarapaty, będziesz musiała mnie jakoś wybronić.

- Będę czekała na bloku operacyjnym. Aha, panie doktorze, jeszcze jedna rada.

- Jaka?

- Nie popełnij błędu, bo będziesz musiał wytoczyć sobie proces.

Jęknął z irytacją, lecz nie zdążył nic powiedzieć, bo drzwi zasunęły się i winda zaczęła zjeżdżać. Na korytarzu zapadła martwa cisza.

Kate wiedziała, że nie powinna się denerwować, bo eksperyment był łatwy i nawet gdyby David miał pecha i został zatrzymany przez ochronę, nie grożą mu żadne konsekwencje. A jednak kiedy wracała do sali operacyjnej, czuła się coraz bardziej spięta. Ponieważ mogła tylko czekać, usiadła na swym miejscu u szczytu stołu operacyjnego i zaczęła rozmyślać o wszystkich godzinach, które tu spędziła. To był jej świat. Bardzo mały. I bardzo bezpieczny.

Nagle drgnęła. Gdzieś stuknęły drzwi. Zaniepokoiło ją, dlaczego David tak szybko wraca. Czyżby pojawiły się nieprzewidziane kłopoty? Energicznie zeskoczyła ze stołka i wyszła na korytarz. Tam znieruchomiała.

W sali operacyjnej numer siedem paliło się światło. Zaintrygowana zaczęła nasłuchiwać i po chwili dobiegło do niej ciche pogrząkiwanie szyb w szafkach z lekami i szuranie szuflad. Ktoś grzebie w lekach. Tylko kto? Pielęgniarka? Czy może ktoś do tego nieuprawniony?

Zdenerwowana spojrzała na koniec korytarza, jedyną drogę ucieczki. Gdyby zdołała niezauważenie przemknąć obok siódemki, mogłaby wydostać się z bloku operacyjnego i wezwać ochronę. Może też schować się w którejś z sal, ryzykując, że ten ktoś ją tam znajdzie. Uznała, że jeśli zostanie tu, gdzie jest, wpadnie w pułapkę.

Po cichu zaczęła się skradać w stronę siódemki. Była już blisko, gdy usłyszała stuk zamykanej szafki. Zrozumiała, że nie zdoła uciec. Z przerażeniem patrzyła, jak drzwi otwierają się i na korytarz

wychodzi doktor Avery. Najwyraźniej on również nie spodziewał się tu nikogo zastać, bo gdy ją zobaczył, tak się przestraszył, że coś upuścił. W pustym korytarzu rozległ się chrzęst tłuczonego szkła. Spojrzała na niego i natychmiast zapomniała o lęku. Był tak blady, że przeraziła się, iż za moment dostanie zawału serca.

- Pani doktor, przepraszam, nie spodziewałem się... - jęknął, patrząc w dół. Dopiero teraz zauważyła stłuczoną fiolkę. - Ale narobiłem bałaganu... - mruknął strapiiony.

- Nic się nie stało. Zaraz to posprzątam. Zapaliła światło i przyniosła papierowe ręczniki.

Podawała mu kilka, ale nawet nie drgnął. Uklękła więc i sama zaczęła zbierać okruchy szkła. Przemknęło jej przez myśl, że szef jeszcze nigdy nie wydał jej się tak stary i zmęczony życiem jak dziś. Przy okazji zauważyła, że włożył skarpetki nie do pary, w różnych kolorach. Biedak, westchnęła, sięgając po kawałek fiolki, do którego przyczepiona była etykieta Z nazwą leku.

- To dla mojego psa - wykrztusił cichym głosem.

- Słucham?

- Chlorek potasu. Dla naszej suczki. Jest bardzo chora.

- Przepraszam, ale nie rozumiem. - Spojrzała na niego pytająco.

Zrezygnowany opuścił głowę.

- Musimy ją uspić. Skomlała biedna cały dzień. Nie mogłem tego słuchać, ale nie mam serca zawieźć jej do weterynarza. Przecież to dla niej zupełnie obcy człowiek. Będzie się bała - tłumaczył, ściskając w rękę ręczniki.

- Proszę się nie martwić. Jestem pewna, że weterynarz obejdzie się z nią delikatnie. Nie musi pan tego robić sam - przekonywała.

- Wiem, ale uważam, że tak będzie lepiej. Przeżyła w naszym domu tyle lat! Chcę się z nią spokojnie pożegnać.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się do niego ze współczuciem, a potem weszła do sali i wyjęła z szafki kolejną fiolkę chlorku.

- Proszę. - Wcisnęła mu ją do ręki. - Tyle powinno wystarczyć, prawda?

- Tak, ona nie jest duża. - Odetchnął, po czym odwrócił się, żeby odejść. Nagle przystanął. - Od początku panią lubiłem - wyznał nieoczekiwanie. - Tylko pani nie naśmiewa się ze mnie za moimi plecami. Ani nie opowiada, że powinienem pójść na emeryturę, bo już się do niczego nie nadaję. - Znowu westchnął i pokręcił głową. - Może

zresztą mają rację. Dobranoc, pani doktor. - Zanim odszedł, dodał jeszcze: - Spotkamy się na zebraniu komisji dyscyplinarnej. Będę po pani stronie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy...

Gdy jego kroki ucichły, spojrzęła na okruchy szkła w koszu na śmieci. Chlorek potasu, powtórzyła. Podany dożylnie jest śmiertelnie niebezpieczny. Powoduje nagle zatrzymanie akcji serca. Nagle uświadomiła sobie, że skoro można w ten sposób zabić psa, można i człowieka.

Rejestratorka z oddziału 3B była tak pochłonięta lekturą romansu, że gdy David przechodził obok, nawet nie podniosła oczu znad książki. Dopiero kiedy zawrócił i stanął przed nią, ocknęła się i na niego zerknęła. Wyraźnie speszona, natychmiast zamknęła książkę.

- Dobry wieczór. Mogę w czymś pomóc, doktorze...

- Smith - powiedział i posłał jej uśmiech, który poraził ją niczym grom. Nieźle, pomyślał, patrząc w jej maślane oczy. Magia białego fartucha naprawdę działa. - Potrzebuję kartę pacjenta.

- Którego? - zapytała gorliwie.

- Z sali numer... osiem.

- A czy B?

- B.

- Pani Loomis?

- Właśnie. Dziękuję, nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska.

- Już podaję.

Wstała i kołysząc biodrami, podeszła do segregatora, a potem wyjątkowo długo szukała tej właściwej, mimo iż miała ją pod samym nosem. David spojrzęła na okładkę powieści o wiele mówiącym tytule: „Namiętna panna młoda”, i uśmiechnął się do siebie.

- Proszę bardzo. - Podała mu kartę w taki sposób, jakby ofiarowywała mu najcenniejszy skarb.

- Dziękuję, pani...

- Janet Mann. Panna...

- Oczywiście, panno Janet.

Usiadł jak najdalej od niej i zaczął przeglądać papiery. Szczęście mu dopisało, bo zadzwonił telefon i po chwili romantyczna panna Mann musiała lecieć gdzieś z próbkami krwi do analizy.

I już. Dziecinnie proste, stwierdził, czytając kolejne wpisy w karcie nieszczęsnej pani Loomis, która musiała być kobietą

wyjątkowo słabego zdrowia. Nie dość, że miała do czynienia z chirurgiem i anesteziologiem, to jeszcze jej dolegliwości były konsultowane przez internistę, psychiatrę, dermatologa i ginekologa. Gdzie kucharek sześć... przebiegło mu przez myśl, gdy przeglądał wpisy. Biedna kobieta, jest chyba bez szans.

Pielegniarki miały go jedna po drugiej i żadna nawet nie zapytała, co tu robi. Spokojnie przejrzał całą kartę i doszedł do wniosku, że gdyby ktoś chciał podmienić wyniki EKG, nie miałby z tym problemu. I na pewno nikt by tego nie zauważył.

Okazja czyni złodzieja, pomyślał, albo mordercę. Wystarczy, żeby włożył biały fartuch.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Moim zdaniem udało nam się udowodnić, że można zamordować człowieka na bloku operacyjnym - orzekł.

Siedzieli przy stole, popijając gorące mleko.

- A właśnie że nie. Jedyne, co po dzisiejszej wyprawie wiemy na sto procent, to że stary pocziwina Avery ma chorego psa. Ależ on się mnie przestraszył!

- Chyba nawzajem napędziliście sobie stracha. Słuchaj, a ty wiesz na pewno, że on ma psa? - zapytał podejrzliwie.

- Przecież by mnie nie okłamał! Poza tym widziałam zdjęcie na jego biurku.

- Trzyma tam zdjęcie psa?

- Nie, żony, a ona ma tego psa na rękach. Szkoda mi tego Avery'ego, bo prześladowuje go straszny pech. Nie dość, że jego żona jest sparaliżowana po wylewie, to jeszcze teraz musi sam uśpić psa. Obawiam się, że nie będzie mógł tego zrobić. Niektórzy ludzie nie są w stanie skrzywdzić nawet muchy.

- Za to inni bez mrugnięcia oka poderzną człowiekowi gardło - skwitował.

- Nadal uważasz, że ktoś zabił Ellen? - zapytała niepewnie. Ponieważ długo nie odpowiadał, przeraziła się, że straciła jedynego sprzymierzeńca.

- Sam nie wiem, co mam o tym myśleć. Póki co kieruję się instynktem. A sąd potrzebuje niepodważalnych faktów. I tylko o nich będzie chciał rozmawiać.

- Podobnie jak sąd koleżeński.

- Posiedzenie jest we wtorek?

- Tak. A ja nie mam pojęcia, co im powiedzieć.

- A nie możesz ich poprosić, żeby poczekali jeszcze parę dni? Odwołałbym jutro spotkania i może wspólnymi siłami zdobylibyśmy jakieś dowody.

- Już prosiłam o przesunięcie terminu. Nie zgodzili się. Poza tym obawiam się, że nie ma żadnych dowodów. Są za to dwa morderstwa, które w żaden sposób nie łączą się ze śmiercią Ellen.

- A jeśli policja idzie fałszywym tropem? Charlie Decker wcale nie musi być mordercą.

- Przecież mają jego odciski palców. Poza tym widziałam go w mieszkaniu Ann.

- Ale nie widziałaś, jak ją morduje.

- To prawda. Jeśli więc nie on, to kto?

- Dobrze pytanie. Zastanówmy się. - Sięgnął po solniczkę i postawił ją na środku stołu. - Wiemy, że Henry Tanaka był bardzo zajęty. I nie mówię tu bynajmniej o pracy. Miał romans - mówiąc to postawił obok solniczki pieprzniczkę - z Ann Richter. - Dobrze, ale co miała z tym wspólnego Ellen?

- Oto pytanie za milion dolarów. - Wziął cukiernicę i dołączył do pozostałych przedmiotów. - Co miała z tym wspólnego Ellen?

- Trójkąt miłosny? - odgadła.

- Dlaczego nie? Kto powiedział, że facet ograniczył się do jednej kochanki? Mógł ich mieć dziesiątki. Z kolei każda z nich mogła mieć zazdrosnego męża lub partnera - spekulował.

- Trójkąt w trójkącie? Strasznie karkołomny układ. To, co opowiadasz, brzmi coraz bardziej nieprawdopodobnie. Zupełnie jakby lekarze i pielęgniarki nic innego nie robili, tylko się puszczały na prawo i lewo!

- Przecież to się zdarza. I to nie tylko w szpitalach.

- W kancelariach też?

- Nie powiedziałem przecież, że to robiłem. Ale wszyscy jesteśmy ludźmi.

Uśmiechnęła się.

- Muszę powiedzieć, że kiedy się poznaliśmy, nie wydałeś mi się szczególnie ludzki.

- Nie?

- Nie. Uznałam cię za zagrożenie. Za wroga. Jeszcze jednego cholernego prawnika.

- Czytaj: skończonego łajdaka.

- Bardzo się starałeś, żebym tak pomyślała.

- Wielkie dzięki.

- Ale już tak o tobie nie myślę - dodała szybko. - Zmieniłam zdanie po tym, jak... - Umilkła, gdy spotkały się ich spojrzenia.

- Jak się pocałowaliśmy - dokończył.

Ciepło oblało jej policzki. Gwałtownie wstała i zaniósła szklanekę do zlewu.

- Wszystko się strasznie skomplikowało - westchnęła, czując na plecach jego spojrzenie.

- Dlaczego? Bo okazało się, że jednak jestem człowiekiem?

- Że oboje jesteście ludźmi - wyrzuciła z siebie. Nawet nie patrząc mu w oczy, wyczuwała wibracje, które między nimi przepływały. Były jak iskrzenie, które nie daje się zignorować, a przez to odbiera spokój.

Umyła dokładnie szklanę. Dwa razy. Potem spokojnie wróciła do stołu. Udawała, że nie dostrzega rozbawienia w oczach Davida.

- Też uważam, że bycie człowiekiem jest cholernie uciążliwe - ironizował. - Pomyśl tylko o tych wstrętnych popędach, którym ulegamy.

Cóż za eufemizm, pomyślała zgryźliwie, odnosząc się do swoich rozszalałych hormonów. Aby oderwać myśli od niebezpiecznych wątków, spojrzała na trójkąt ustawiony na stole. Czy możliwe, by podłożem brutalnych morderstw była namiętność i zazdrość?

- Masz rację - stwierdziła, dotykając solniczki.

- Nasza natura jest tak ułomna, że popycha nas do robienia przedziwnych rzeczy. Łącznie z zabijaniem.

Wyczuła jego nagłe ożywienie.

- Nie wierzę, że wcześniej na to nie wpadłem! - zawołał, klepiąc się otwartą dłonią w czoło.

- Na co?

- Że to nie trójkąt, ale czworokąt - wyjaśnił, energicznie dosuwając do cukiernicy swoją szklanę.

- Cóż za imponująca znajomość geometrii - zauważyła uprzejmie.

- A jeśli Tanaka naprawdę romansował z Ellen?

- To mamy trójkąt. Już to ustaliliśmy.

- Ale zapomnieliśmy o kimś bardzo ważnym!

- Pstryknął w pustą szklanę.

Przez chwilę Kate w milczeniu przyglądała się grupie przedmiotów.

- Mój Boże! - szepnęła. - Pani Tanaka...

- Właśnie!

- Ani razu nie pomyślałam o zdradzonej żonie.

- Pora naprawić ten błąd.

Japonka, która otworzyła drzwi kliniki, zaskakiwała dramatycznym makijażem: puder był o wiele za jasny dla jej karnacji, natomiast szminka porażała jaskrawą czerwienią. Wyglądała jak emerytowana gejsza.

- Jesteście z policji? - zapytała na wstępie.

- Nie. Ale chcielibyśmy zadać pani kilka pytań - odparł David.

- Nie rozmawiam z dziennikarzami. - Niedoszła rozmówczyni zaczęła zamykać drzwi.

- Proszę zaczekać! Nie jesteśmy dziennikarzami. Ja jestem prawnikiem. David Ranson. A to jest doktor Kate Chesne.

- Więc czego ode mnie chcecie?

- Zbieramy informacje dotyczące morderstwa, które ma ścisły związek ze śmiercią pani męża.

W oczach kobiety pojawiło się zainteresowanie.

- Mówicie o pielęgniarce? Richter, czy jak jej tam?

- Tak.

- Co o niej wiecie?

- Mamy sporo informacji, którymi chętnie się z panią podzielimy, o ile zechce pani wpuścić nas do środka.

Kobieta zawahała się, rozdarta między ciekawością a obawą. Zwyciężyła ta pierwsza.

- Proszę. - Otworzyła szerzej drzwi.

Jak na Japonkę była bardzo wysoka, wyższa nawet od Kate. Ubrana w prostą niebieską sukienkę, szpilki i srebrne kolczyki prezentowała się bardzo elegancko. Jej kruczoczarne włosy wyglądałyby nienaturalnie, gdyby nie delikatne pasmo siwizny na skroni. Mari Tanaka mimo dojrzałego wieku wciąż była wybitnie urodziwa.

- Przepraszam za bałagan - mówiła, prowadząc ich do sterylnej czystej poczekalni. - Powoli ogarniamy chaos, ale nie jest łatwo. A tu pacjentki czekają, piętczą się rachunki. Wszystko to było dotąd na głowie Henry'ego. Więc teraz, kiedy go zabrakło... - Ze znużeniem opadła na sofę. - Domyślam się, że wiecie, co go łączyło z tą kobietą?

- My tak. A pani? - zapytał David.

- Ja też o niej wiedziałam. To znaczy nie znałam jej nazwiska, ale domyślałam się, że Henry kogoś ma. One też o wszystkim wiedziały. - Skinęła głową w stronę recepcjonistki widocznej za przeszkloną ścianą. - I wszyscy w szpitalu. Tylko ja żyłam w błogiej

nieświadomości. Jak ta przysłowiowa głupia żona, która o wszystkim dowiaduje się ostatnia. Ale do rzeczy. - Uniosła głowę. - Co wiecie o Richter?

- Pracowałam z nią - rzekła cicho Kate.

- Tak? I jaka była? Pewnie ładna?

- Cóż... Ann rzeczywiście była bardzo atrakcyjna - przyznała Kate, starannie dobierając słowa.

- A chociaż inteligentna?

- Tak. Była świetną pielęgniarką.

- Jak ja. - Pani Tanaka zagryzła wargi i odwróciła wzrok. - Słyszałam, że miała jasne włosy. Henry lubił blondynki. Co za ironia losu, prawda? Podobało mu się akurat to, co dla mnie jest nieosiągalne. - Naraz spojrzała wrogo na Davida. - A panu pewnie podobają się Azjatki? - rzuciła oskarżycielsko.

- Podobają mi się wszystkie piękne kobiety, bez względu na rasę. Nikogo nie dyskryminuję - wybrnął.

- A Henry dyskryminował - szepnęła, łykając łzy, które niespodziewanie błysnęły w jej oczach.

- Czy w jego życiu były inne kobiety? Poza panią i Ann? - zapytała Kate łagodnie.

- Myślę, że tak. - Wzruszyła ramionami. - W końcu był prawdziwym mężczyzną - dodała z sarkazmem.

- Czy słyszała pani o Ellen O'Brien?

- Ja też... łączyło coś z moim mężem?

- Tego niestety nie wiemy. Mieliśmy nadzieję, że dowiemy się czegoś od pani.

- Przykro mi. - Potrząsnęła głową. - Henry nie wymieniał żadnych nazwisk. A ja o nic nie pytałam.

- Ale dlaczego? - Kate ściągnęła brwi.

- Żeby nie zmuszać go do kłamstwa.

- Czy prowadzący śledztwo poinformowali panią, że wytypowali podejrzanego? - zapytał David.

- Chodzi wam o Charlesa Deckera? Wczoraj pokazali mi jego zdjęcie.

- Rozpoznała go pani?

- Ja go w życiu nie widziałam, panie Ransom. Nawet nie miałam pojęcia, jak się nazywa. Wiedziałam tylko, że pięć lat temu jakiś

szaleniec zaatakował mojego męża, a ci durnie z policji zamknęli go i następnego dnia wypuścili.

- Stało się tak dlatego, że pani mąż nie chciał złożyć zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa - wyjaśnił David.

- Co takiego?

- Nie chciał rozdmuchiwać tej sprawy.

- Nigdy mi o tym nie mówił.

- A co pani powiedział?

- Jak zwykle parę zdawkowych zdań. O wielu sprawach w ogóle nie rozmawialiśmy. Dzięki temu nasze małżeństwo przetrwało tyle lat. Henry nie wnikał, na co wydaję pieniądze, ja nie pytałam go o kochanki.

- Więc nie może pani nic nam powiedzieć na temat Deckera?

- Niestety. Ale zawołam Peggy, naszą recepcjonistkę. Była tu, kiedy rzucił się na Henry'ego.

Peggy była jeszcze jedną atrakcyjną blondynką przed czterdziestką. Poproszona o zajęcie miejsca, oznajmiła, że woli stać. Najwyraźniej nie chciała siadać zbyt blisko swej chlebodawczyni.

- Czy pamiętam Charlesa Deckera? - powtórzyła.

- Do końca życia go nie zapomnę. Sprzątałam gabinet, kiedy usłyszałam w poczekalni krzyki. Pobiełam tam i zobaczyłam, że ten szaleniec dusi Henry'ego, to znaczy pana doktora. Okropnie przy tym na niego wrzeszczał.

- Ubliżał mu?

- Nie. Ciągłe powtarzał: „Mów, co żeście jej zrobili”.

- Jest pani pewna?

- W stu procentach.

- Czy wie pani, o kogo mu chodziło? O którąś z pacjentek?

- Tak. Doktor bardzo się przejął tym nieszczęściem. To była naprawdę miła dziewczyna, ale zmarła przy porodzie. Najpierw ona, a zaraz potem dziecko.

- Pamięta pani, jak się nazywała?

- Jenny... Jenny... Zaraz sobie przypomnę. No, jak jej tam było? Brook! Tak, na pewno! Jennifer Brook.

- Jak pani zareagowała, widząc, że Decker zaatakował doktora?

- Jak to co? Odciągnęłam go. Opierał się, ale sobie poradziłam. Kobiety wcale nie są takie słabe, wie pan?

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - przyznał David.

- On zaraz potem jakby zasłabł.

- Kto? Doktor Tanaka?

- Nie, ten napastnik. Skulił się w kącie obok stolika i zaczął płakać. Jak przyjechała policja, w ogóle nie stawiał oporu. Słyszałam, że parę dni później próbował się zabić. - Umilkła i przez chwilę wpatrywała się w dywan, jakby szukała śladów tamtych zdarzeń. - Dziwne, ale pamiętam, że było mi go żal. Płakał jak dziecko. Henry chyba też mu współczuł...

- Mam jeszcze jedno pytanie - odezwała się Kate. - Jak długo przechowujecie dokumentację medyczną zmarłych pacjentów?

- Pięć lat. A jeśli był to zgon w czasie porodu, nawet dłużej. Na wypadek, gdyby rodzina chciała złożyć pozew w sądzie.

- Więc nadal macie kartę Jennifer Brook?

- Na pewno. Zaraz poszukam. - Peggy wróciła do recepcji i otworzyła szafkę. Dwukrotnie przeszukała szufladę z kartami pacjentów, których nazwiska zaczynają się na B. Potem sprawdziła jeszcze te na J. W końcu zdenerwowana zasunęła szufladę. - Nic z tego nie rozumiem. Powinna tu być.

- A nie ma? - Kate i David wymienili spojrzenia. - Nie! Ja naprawdę pilnuję porządku w dokumentacji. Nie jestem bałaganiarą - zarzekała się.

- Jak mamy to rozumieć? - wtrącił David. - Czy sugeruje pani, że ktoś tę kartę stąd zabrał?

- Tylko on mógł to zrobić. Ale zupełnie nie rozumiem, po co? - Peggy nie posiadała się ze zdumienia. - Przecież jeszcze nie minęło pięć lat.

- On, to znaczy kto? - dociekał David. Spojrzała na niego jak na opóźnionego w rozwoju.

- Jak to kto? Doktor Tanaka!

- Jennifer Brook - powtórzyła beznamiętnie rejestratorka w szpitalu i szybko wpisała nazwisko do komputera. - Pisane przez „e” na końcu czy bez?

- Nie wiem - odparła Kate.

- Data urodzenia?

- Nie znamy. - Oboje z Davidem spojrzeli po sobie bezradnie.

Rejestratorka łypnęła na nich zza okularów w rogowej oprawie.

- Numeru karty też pewnie państwo nie znają? Pokręcili głowami.

- Tego się obawiałam. - Kobieta pochyliła się nad klawiaturą i wystukała komendę. Po chwili na ekranie pojawiły się dwa nazwiska.

- Czy to któraś z tych osób?

- Niestety nie. - Kate zerknęła na daty urodzenia i rozczarowana stwierdziła, że pierwsza Jennifer ma lat pięćdziesiąt siedem, a druga piętnaście.

- Szkoda. - Rejestratorka westchnęła i usunęła nazwiska z ekranu. - Wolno spytać, pani doktor, do czego są pani potrzebne te informacje? - zapytała z irytującym spokojem.

- Do pracy badawczej - odparła Kate bez wahania. - Doktor Jones i ja...

- Doktor Jones? - Kobieta spojrzała uważnie na Davida. - Nie przypominam sobie, żeby pracował u nas lekarz o takim nazwisku.

- Pan doktor pracuje na uniwersytecie...

- Stanowym Arizony - dokończył szybko David.

- Sekretariat doktora Avery'ego wyraził zgodę na udostępnienie danych - brnęła. - Prowadzimy badania nad śmiertelnością wśród rodzących...

- Śmiertelnością? To ta osoba nie żyje? - rzuciła surowo rejestratorka.

- Tak.

- Nic dziwnego, że nie mogę jej znaleźć! - Prychnęła urażona. - Zgony trzymamy gdzie indziej. - Sądząc z jej tonu, miejsce przechowywania „zgonów” znajdowało się na Marsie albo i dalej. - Proszę chwilę poczekać. Uprzedzam, że to potrwa. - Nie kryjąc niechęci, wstała od komputera i żółtym krokiem poczłapała na zaplecze.

- Dlaczego mam wrażenie, że więcej jej nie zobaczymy? - szepnął David.

Kate osunęła się na kontuar.

- Ciesz się, że cię nie wylegitymowała! Wiesz, jakie miałabym wtedy kłopoty? Przecież dokumentacja medyczna to dane poufne! Nie wolno ich pokazywać nieprzyjacielowi!

- Mówisz o mnie?

- A o kim? To ty jesteś prawnikiem, prawda?

- Co ty opowiadasz? Jestem pocziwy doktor Jones z Arizony! - Rozejrzał się dookoła, a widząc przy jednym ze stolików ziewającego lekarza, obok którego leniwie sunęła pielęgniarka z wózkiem, zauważył z przekąsem: - Ależ tu ruch! O której zaczynają się tańce?

Kate nie zdążyła odpowiedzieć, bo usłyszeli za sobą odgłos kroków. Wbrew obawom Davida rejestratorka wróciła, ale z pustymi rękami.

- Niestety, karty nie ma - oznajmiła.

- Jak to? - Kate nie wierzyła własnym uszom.

- Powinna być w archiwum. Ale jej nie ma.

- Szpital ją komuś wydał? - dociekał David.

- My nie wydajemy oryginałów, panie doktorze – zganiła go. - Przecież ludzie zaraz by je zgubili.

- Oczywiście, rozumiem - zreflektował się. Rejestratorka usiadła przy komputerze i nacisnęła kilka klawiszy.

- Proszę bardzo, mam ją w bazie danych, więc powinna być na swoim miejscu. A ponieważ jej nie ma, pewnie została zgubiona albo gdzieś przełożona. I jak znam życie, już się nie odnajdzie - oznajmiła.

- Chwileczkę, co to za adnotacja? - zainteresował się David, zerkając jej przez ramię.

- Prośba o wydanie kopii. - Ustawiała kursor i wcisnęła enter. Na ekranie pojawiły się dane osoby, która wystąpiła z taką prośbą. - Joseph Kahanu, adwokat, Alakea Street. Data wystawienia kopii: marzec bieżącego roku.

- Zaledwie dwa miesiące temu.

- Zgadza się, panie doktorze.

- Adwokat. Dlaczego nagle zainteresował się zgonem, który miał miejsce pięć lat temu?

- Też bym chciała wiedzieć - odparła sucho rejestratorka.

Farba złażyła płatami ze ścian, na schodach leżał zdeptany dywan. Na drzwiach wisiała tabliczka:

„Joseph Kahanu, adwokat. Specjalizacja: Rozwody, prawa rodzicielskie, testamenty, wypadki, ubezpieczenia, jazda pod wpływem alkoholu, obrażenia cielesne”.

- Świetny adres - mruknął David. - Pewnie ma tu więcej szcurków niż klientów - orzekł i zapukał.

Drzwi otworzył potężny Hawajczyk w przyciasnym garniturze.

- Pan jest David Ransom? - rzucił opryskliwie.
- Tak. A to doktor Kate Chesne. Mężczyzna chwilę jej się przyglądał.
- Wejdźcie. - Odsunął się i wpuściwszy ich do środka, wskazał im dwa chybotliwe krzesła.
- Kate rozejrzała się dyskretnie po nędznie urządzonej dusznym biurze. Było tak małe, że ledwie mieściło się w nim biurko. Widać było, że adwokat z trudem wiąże koniec z końcem.
- Jeszcze nie zawiadomiłem policji - oznajmił, siadając na starym obrotowym krześle.
- Dlaczego, jeśli wolno spytać?
- Nie wiem, jak pan, ale ja nie mam zwyczaju donosić na swoich klientów - odparł z godnością.
- Ale ma pan świadomość, że Decker jest poszukiwany pod zarzutem popełnienia podwójnego morderstwa?
- Energicznie pokręcił głową.
- To jakieś nieporozumienie.
- Tak to panu przedstawił Decker?
- Nie, bo z nim nie rozmawiałem. Od paru dni nie mogę się z nim skontaktować.
- Może pora, żeby go przyprowadziła policja.
- Słuchaj, kolego! Obaj wiemy, że nie gramy w tej samej lidze - warknął. - Słyszałem o twojej wypasionej kancelarii przy Bishop Street i mogę się domyślić, że masz tam na usługach armię współpracowników. Ty spędzasz weekendy na polu golfowym w towarzystwie sędziów i innych ważniaków, a ja? - Zatoczył ręką krąg i roześmiał się ponuro. - Mogę policzyć moich klientów na palcach jednej ręki. W dodatku większość z nich zapomina mi zapłacić. Ale są moimi klientami, więc nie będę przeciwko nim występował.
- Dwie osoby zostały zamordowane - przypomniał mu David.
- Nie ma dowodów, że zrobił to mój klient.
- Policja jest przeciwnego zdania. Uważają, że Charlie Decker jest bardzo niebezpieczny. I w dodatku chory. To człowiek, który potrzebuje pomocy.
- Tak teraz nazywacie więzienie? Miejsce, gdzie wyciągną do ciebie pomocną dłoń? - Zdegustowany otarł chustką spoczone czoło. - Ha, zdaje się, że nie mam wyboru. Za chwilę i tak przyjdzie tu policja.
- Sięgnął do szuflady, wyjął z niej papierową teczkę i rzucił na

zniszczone biurko. - Macie tu to, czego szukacie. Zresztą nie wy jedni - burknął.

- Jak to? Ktoś już się zwracał do pana w tej sprawie? - zaniepokoił się David.

- Owszem, o ile można tak nazwać włamanie.

- Włamali się panu do biura! Kiedy?!

- W zeszłym tygodniu. Nic nie zginęło, ale wybebeszyli mi wszystkie szafki. Jak dzisiaj do mnie zadzwoniliście, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie chodziło im o te dokumenty.

- Jak to się stało, że ich nie znaleźli?

- Akurat wtedy zabrałem je do domu.

- Czy to jedyna kopia?

- Nie. Na wszelki wypadek zrobiłem jeszcze kilka.

- Mogę zobaczyć? - poprosiła Kate.

David się zawahał, ale w końcu podał jej kopertę.

- Proszę, to ty jesteś lekarzem.

Spojrzała na napis: Jennifer Brook. Zaczęła uważnie czytać.

Pierwsze strony wypełniały rutynowe zapiski z izby przyjęć. Wynikało z nich, że dwudziestoosmioletnia zdrowa kobieta w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży zgłosiła się do szpitala we wczesnej fazie porodu i została zbadana przez doktora Tanakę. Wyniki badań krwi matki oraz praca serca płodu były w normie.

Kate przeszła do opisu samego porodu, który początkowo przebiegał normalnie, lecz nagle wszystko zaczęło się komplikować. Z tragicznym skutkiem. Staranne pismo pielęgniarki przy każdym kolejnym wpisie stawało się coraz bardziej chaotyczne, aż przeszło w trudne do odczytania bazgroły. Śmierć młodej matki została opisana w suchym, klinicznym żargonie: „nagle pogorszenie się stanu pacjentki, ogólna zapaść, brak reakcji na valium, prośba o pomoc przy reanimacji, nieregularny oddech, zatrzymanie oddechu... masaż serca, puls płodu słyszalny, ale słabnie, brak pulsu u rodzącej, doktor Vaughn z nagłych wypadków wezwany do cesarskiego cięcia. Noworodek płci żeńskiej, żywy”.

W tym miejscu zapiski stały się zupełnie nieczytelne. I wreszcie ostatni lapidarny wpis:

„Reanimacja wstrzymana. Zgon o 1:30 w nocy”.

- Zmarła z powodu wylewu krwi do mózgu - rzucił Kahanu. - Taka młoda kobieta...

- A dziecko?

- To była dziewczynka. Przeżyła matkę o godzinę.

- Kate - powiedział David półgłosem. - Spójrz, kto przyjmował poród.

U dołu strony widniały trzy nazwiska:

Henry Tanaka, doktor nauk medycznych, Ann Richter dyplomowana pielęgniarka, Ellen O'Brien dyplomowana pielęgniarka.

Kate czytała je i czuła, jak kostnieją jej ręce.

- Brakuje tu czwartego nazwiska - zauważyła. - Wcześniej była wzmianka o tym, że cesarskie cięcie wykonał doktor Vaughn. Powinniśmy z nim porozmawiać. Może powie nam coś istotnego...

- Na pewno nie powie, nawet gdyby chciał - wtrącił Kahanu. - Krótco po tamtym zdarzeniu miał wypadek. Czołowe zderzenie.

- Zginął?

- Tak jak pozostała trójka - podsumował. - Teraz już wszyscy nie żyją.

Kate wypuściła z rąk teczkę. W tych papierach czaiło się szatańskie zło. Nie chciała ich dotykać.

- Cztery tygodnie temu przyszedł do mnie Charlie Decker - mówił tymczasem Kahanu. - Nie mam pojęcia, dlaczego wybrał właśnie mnie. Może ze względów finansowych, a może zupełnie przez przypadek. Prosił o poradę prawną, bo zastanawiał się, czy nie oskarżyć szpitala o błędy lekarskie.

- W tym konkretnym przypadku? - zdziwił się David. - Przecież ta kobieta zmarła pięć lat temu, a on nawet nie był z nią spokrewniony. Wie pan tak jak ja, że każdy sąd odrzuciłby jego pozew.

- On mi zapłacił, panie Ransom. Gotówką - odparł adwokat, akcentując ostatnie słowo. - Spełniłem więc jego prośbę. Załatwiłem mu kopię dokumentacji i skontaktowałem się z lekarzem i dwiema pielęgniarkami, którzy zajmowali się Jenny Brook. Wysłałem do nich listy, na które nie odpowiedzieli.

- Nie zdążyli - stwierdził sucho David. - Decker za szybko ich dopadł.

- Mój klient nikogo nie zabił - upierał się Kahanu. - Pan go przecież na oczy nie widział. A ja tak. I zaręczam panu, że nie jest agresywny.

- Gdyby pan wiedział, jak niepozornie wyglądają czasem zabójcy! Wiem, co mówię, bo spotykam się z nimi w sądzie.

- A ja ich bronię! Podejmuję się obrony kanalii, z którymi nikt nie chce mieć do czynienia. Bez problemu rozpoznaję zabójców. Po oczach. A konkretnie po tym, że w ich wyrazie czegoś brak. Może duszy, nie wiem. Jeszcze raz panu powtarzam, że Decker taki nie jest.

- Niech pan nam o nim opowie - poprosiła Kate.

- Co ja mogę o nim powiedzieć? Jest taki... przeciętny. Ani niski, ani wysoki. Do tego strasznie chudy, sama skóra i kości, jakby nie dojadał. Wygląda na faceta, który przegrał życie. Aż żal na niego patrzeć. Siedział tu, gdzie teraz pani. Mówił, że nie ma za dużo pieniędzy. Ale wyciągnął portfel i zapłacił. Odliczał te dwudziestodolarówki z takim namaszczeniem, że widać było, że to wszystko, co ma. - Smutno pokręcił głową. - Pojęcia nie mam, na co mu to potrzebne. Kobieta nie żyje. Dziecko też. Przecież grzebiąc się w przeszłości, nie przywróci im życia.

- Wie pan, gdzie go znaleźć? - zapytał David.

- Zostawiam mu wiadomości w skrytce pocztowej. Ale od trzech dni nie odbiera listów.

- Ma pan jego adres albo numer telefonu?

- Nie. Słuchajcie, ja naprawdę nie mam pojęcia, gdzie on jest. Niech go sobie szuka policja. W końcu za to im płacą. - Odepchnął się od biurka i wstał. - Powiedziałem wam wszystko, co wiem. O resztę pytajcie Deckera.

- Który nagle przepadł jak kamień w wodę - zauważył cierpko David.

- Albo już nie żyje - burknął Kahanu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W ciągu czterdziestu ośmiu lat pracy na cmentarzu dozorca Ben Hoomalu widział niejedno. Jego znajomi twierdzili, że to całkiem normalne, bo jak ktoś całe dni włóczy się między nieboszczykami, to potem miewa omamy. On zaś był zdania, że to nie umarli robią głupoty, tylko żywi. Napatrzył się więc na napalonych nastoletnich kochanków obściskujących się po ciemku między grobami; na wdowy wyklinające mężów spoczywających w marmurowych grobach, widział też starszego pana, który próbował pogrzebać ukochanego pudła obok ukochanej małżonki. Naprawdę zdumiewające rzeczy może człowiek zobaczyć na cmentarzu. A teraz znowu ten samochód.

Widywał go przez cały zeszły tydzień. Szary ford z przyciemnionymi szybami przyjeżdżał o różnych porach dnia. Kierowca zatrzymywał się obok „Łuku wiecznego odpoczywania”, ale nigdy nie wysiadał z auta. Dziwne. Ben nie pojmował, dlaczego ktoś, kto zadał sobie trud i przyjechał na cmentarz, nawet nie spojrzy na grób swych bliskich. Ludzie miewają naprawdę dziwne pomysły.

Kręcąc głową nad zawilóścią ludzkiej psychiki, wziął się za strzyżenie krzewu hibiskusa. Na moment oderwał się od swego ulubionego zajęcia, bo usłyszał warkot silnika. Na parking wjechał poobijany Chevrolet. Młody chudy mężczyzna od razu wysiadł i pomachawszy Benowi bukietem margerytek, poszedł odwiedzić grób. Ben zabrał się na powrót do roboty, ale dyskretnie podpatrywał, jak mężczyzna spokojnie odprawia swój rytuał. Zaczął jak zwykle od wyrzucenia zwiędłych kwiatów, a potem pozbierał suche liście i gałązki. Dopiero wtedy położył na tablicy świeże kwiaty i przysiadł na trawie. Ben wiedział, że będzie tak siedział długie godziny. Widocznie było mu to potrzebne.

Zdażył przystrzyć hibiskus i wziął się za bugenwillę, gdy mężczyzna wstał i wrócił do samochodu. Ben patrzył na oddalające się auto i czuł dziwny smutek. Nie znał tego człowieka, nie miał pojęcia, jak się nazywa. Ale wiedział, że osoba, którą odwiedza, wciąż jest kochana. Położył na trawie nożyce i podszedł do grobu, na którym leżały margerytki przewiązane różową wstążką.

Nagle jego uwagę zwrócił warkot uruchamianego silnika. Odwrócił się i zobaczył, że szary ford powoli też odjeżdża. Dziwne. Naprawdę dziwne.

Zostawił auto w spokoju i spojrzał na brązową tablicę: Jennifer Brook, żyła lat dwadzieścia osiem. Suchy liść sfrunął z drzewa i lekko drżał na wietrze. Ben pokręcił głową. Taka młoda kobieta. Szkoda.

- Szefie, tu ma pan kanapkę z szynką, tu majonez, a tu rozmowę na czwartej linii - oznajmił sierżant Brophy, kładąc na biurku papierową torbę.

Pokie bez wahania ustalił priorytety. Najpierw jedzenie, potem praca.

- Kto dzwoni?

- Ransom.

- Znowu!

- Domaga się, żebyśmy wszczęli dochodzenie w sprawie śmierci Ellen O'Brien.

- Co go napadło, że tak się nam naprzykrza?

- Coś mi się zdaje, że uderza do tej... - Brophy urwał w pół słowa i głośno kichnął - tej lekarki. Wie pan, serce, kwiatki i te inne sprawy.

- Davy? - Pokie parsknął takim śmiechem, że aż mu wypadł z ust kęs kanapki. - Davy nie wie, co to serce, bo go nie ma! Tacy jak on się nie zakochują.

- Na to nie ma mocnych, poruczniku - zauważył Brophy refleksyjnie. - Co mam mu powiedzieć? - zapytał, wskazując głową migającą diodką.

- Powiedz, że oddzwonię.

- Kiedy?

- Jak będę chciał i ochotę miał. Za rok.

David zaklął pod nosem i wsiadł do samochodu.

- Olali nas, gnoje! - warknął.

- Przecież widzieli kartę Jenny Brook, rozmawiali z Kahanu... - Kate nie potrafiła ukryć zawodu.

- I co z tego? Dalej twierdzą, że nie mają wystarczających dowodów, by wszczęć śledztwo. Z ich punktu widzenia śmierć Ellen była skutkiem błędu lekarzy. Koniec kropka.

- Więc musimy dalej działać na własną rękę.

- Wycofujemy się. Zrobiło się już zbyt niebezpiecznie.

- Przecież od początku było wiadomo, że to ryzykowna zabawa. Dlaczego akurat teraz się boisz?

- Dobra, będę z tobą szczery. Do tej pory sam nie wiedziałem, czy ci wierzę.

- Myślałeś, że kłamię?

- Po prostu miałem wątpliwości. Ale teraz wiem, że dzieje się coś dziwnego. Ze szpitala ginie karta, ktoś włamuje się do biura adwokata. To nie jest dzieło szaleńca, który szuka zemsty. Morderca działa w sposób uporządkowany. Według mnie kluczem do zagadki jest karta Jenny Brook. W tych zapiskach musi być jakiś mroczny sekret, który ktoś chce za wszelką cenę ukryć.

- Przecież przeglądaliśmy ją tysiące razy. I nic.

- Liczę na to, że Charlie Decker pomoże nam rozwiązać tę zagadkę. Dlatego uważam, że musimy się przyczaić i czekać, aż go złapią. Jutro spróbuję przycisnąć Pokiego - oznajmił, zmieniając pasy na zakorkowanej jezdni. - Postaram się go namówić, żeby wszczęli śledztwo.

- A jeśli powie, że brakuje mu dowodów?

- To mu powiem, żeby ruszył tyłek i je znalazł. My na pewno nie będziemy ich szukali za niego.

- Posłuchaj, ja nie mogę się wycofać. Tu stawką jest moja praca. Moje zawodowe być albo nie być.

- A co z twoim życiem?

- Bez pracy nie ma dla mnie życia.

- Chyba przesadzasz!

- Ty tego nie zrozumiesz. - Odwróciła się od niego. - W końcu nie walczysz o siebie.

A jednak rozumiał. I bardzo się martwił, bo znając jej upór, wiedział, że łatwo się nie podda. Jak samuraj, prędzej rzuci się na nagi miecz, niż pogodzi z porażką.

- Nie mów, że cię nie rozumiem, bo to nieprawda.

- Okej. Ale nie masz nic do stracenia.

- Czyżby? Nie zapominaj, że wycofałem się z prowadzenia sprawy, na której mogłem nieźle zarobić.

- Cóż, przykro mi, że poniosłeś przeze mnie straty.

- Myślisz, że chodzi o pieniądze? Jeśli tak, to mnie nie znasz. Naraziłem na szwank swoją opinię, czyli największy kapitał prawnika. Wszystko przez to, że uwierzyłem w twoją historię. Zabójstwo na stole operacyjnym! Jeśli nie zdołam tego dowieść, wyjdę na skończonego durnia! Więc nie mów mi, że nie mam nic do stracenia! -

wykrzyczał. Emocje wymknęły mu się spod kontroli. Kate może zarzucać mu różne rzeczy, jakoś by to zniósł. Ale nie ma prawa twierdzić, że niczym się nie przejmuje. - Wiesz, co jest w tym najgorsze? - rzucił głucho, gdy trochę ochłonał. - To, że nie umiem kłamać. O'Brienowie pewnie się zorientowali, że kręcę.

- Nie powiedziałeś im prawdy?

- Że moim zdaniem ich córka została zamordowana? Do cholery, nie! Chciałem ułatwić sobie życie, więc poczęstowałem ich gładką formułką o konflikcie interesów. I dodałem, że przekazuję sprawę bardzo dobrej kancelarii, więc nie powinni czuć się pokrzywdzeni.

- Co takiego?

- Kate, do niedawna byłem ich adwokatem. Przecież nie mogłem zostawić ich na lodzie.

- Naturalnie.

- Uwierz mi, to nie była łatwa decyzja.

- Domyślam się.

- Nie lubię sprawiać klientom zawodu. Uważam, że po tragedii, którą przeżyli, należy im się sprawiedliwość. Dlatego czuję się bardzo nie w porządku, gdy nie mogę wywiązać się z obietnicy. Rozumiesz mnie?

- Oczywiście, że rozumiem.

Kłamię. Zdradził ją urażony ton. Zdenerwowała go tym, bo uważał, że powinna wykazać się zrozumieniem.

Dojechali do domu, ale żadne nie kwapiło się, by wysiąść z samochodu. Siedzieli w mrocznym garażu i nie odzywali się do siebie. Kate pierwsza przerwała nieprzyjazną ciszę:

- Naraziłam na szwank twoje dobre imię, tak? Kiwnął głową.

- Przykro mi.

- Posłuchaj, zapomnijmy o tym, dobrze? - Wysiadł i otworzył drzwi po jej stronie. Nawet nie drgnęła. - Nie wejdiesz do środka?

- Wejdę. Żeby się spakować.

Lęk chwycił go za serce, lecz to ukrył.

- Chcesz się wyprowadzić?

- Doceniam, co dla mnie zrobiłeś, i jestem ci za to wdzięczna. Naraziłeś się na przykre konsekwencje, choć wcale nie musiałeś mi pomagać. Początkowo rzeczywiście byliśmy sobie potrzebni, ale układ przestał być dla ciebie korzystny. I dla mnie też.

- Rozumiem. - Uważał, że Kate zachowuje się jak dziecko. - Dokąd zamierzasz się przenieść?

- Do znajomych.

- Świetnie. Uważasz, że to w porządku narazić Bogu ducha winnych ludzi na niebezpieczeństwo?

- Masz rację. Zatrzymam się w hotelu.

- Zapomniałaś już, że zgubiłaś torebkę? Nie masz dokumentów, pieniędzy, kart kredytowych. - Zrobił dramatyczną pauzę. - Nie masz nic.

- W tej chwili nie, ale...

- Zamierzasz poprosić mnie o pożyczkę?

- Nie żartuj! Nie potrzebuję twojej pomocy! - zirytowała się. - I nigdy nie potrzebowałam. Ani od ciebie, ani od żadnego innego faceta!

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie uciec się do starej sprawdzonej metody siłowej. Doszedł jednak do wniosku, że tylko pogorszyłby sprawę.

- Zrobisz, jak zechcesz - rzucił i wszedł do domu.

Kiedy pakowała walizkę, nerwowo krążył po kuchni, zastanawiając się, co robić. Gotów był zmusić ją do posłuszeństwa. Już nawet szedł do jej pokoju, by oznajmić, że ma zostać, ale w porę się opamiętał. Przystanął w drzwiach i patrzył, jak starannie składa ubrania. Jego wzrok padł na wciąż widoczny siniec na jej twarzy, i wzruszenie ścisnęło mu gardło. Uświadomił sobie, jak bardzo jest krucha i bezbronna. Kate pozuje na twardą i niezależną, lecz w rzeczywistości jest samotną kobietą na ostrym życiowym zakręcie.

- Prawie skończyłam - oznajmiła, rzucając na wierzch nocną koszulę. Mimo woli spojrział na obłok brzoskwiniowego jedwabiu i poczuł, jak ciężar, który uciskał mu krtań, przesuwa się w dolne partie brzucha. - Zamówiłeś mi taksówkę?

- Nie.

- Za minutę będę gotowa. Możesz zamówić?

- Nie mam zamiaru.

- Słucham? - Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie będę zamawiał żadnej taksówki.

- No to zamówię sama. - Chciała wyjść, ale złapał ją za rękę.

- Kate, daj już spokój! Powinnaś tu zostać.

- Niby dlaczego?

- Bo na zewnątrz grozi ci niebezpieczeństwo.
- Świat generalnie jest niebezpieczny. Ale, jak widzisz, jakoś sobie radzę.
- Jasne! Jesteś twarda! Zaimponowałaś mi! Można wiedzieć, co zrobisz, jak cię dopadnie Decker?
- Nie masz innych zmartwień? - Wyrwała mu się.
- Na przykład?
- Twoja etyka zawodowa. Już się nie boisz, że zrujnuję ci opinię?
- Ty się o moją opinię nie martw. Sam potrafię o nią zadbać.
- Chyba pora, żebym zaczęła lepiej dbać o swoją. Stali tak blisko siebie, że poczuli, jak narasta między nimi napięcie. Przypominało falę gorąca, która napłynęła nie wiadomo skąd. I nagle stało się coś, co było jak niekontrolowany samozapłon. Jedno spojrzenie w oczy.
- Do diabła z opinią. - Pożądanie zmieniło jego głos. - I tak już ją zszargaliśmy.

I do diabła z konsekwencjami. Postanowił o nich zapomnieć i ulec pokusie, która nie dawała mu spokoju przez cały dzień. Przytulił Kate i zaczął ją całować. Wyczuł jej opór, lecz nie trwało to długo. Wystarczyła sekunda, by rozluźniła się i zaczęła odwzajemniać pocałunki. On tylko na to czekał. Tak bardzo się spieszył, by rozpiąć jej sukienkę, że nie mógł sobie z tym poradzić. Zupełnie jak młody chłopak, który dopiero odkrywa tajemnice kobiecego ciała. W końcu jakoś uporał się z guzikami i sukienka z cichym szelestem zsunęła się z jej ramion. Oboje zrozumieli, że tym razem nie ma już odwrotu. Spełnienie jest naprawdę blisko.

Wspólnymi siłami zdjęli jego koszulę, a reszty garderoby pozbyli się w sypialni. Łóżko skrzypnęło ostrzegawczo, gdy padli na nie ciasno objęci, ani na chwilę nie przerywając pocałunków. Darowali sobie wyrafinowaną grę wstępną, gdyż oboje zbyt długo czekali na tę chwilę, by odkładać ją na potem. David wsunął dłonie we włosy Kate i całując ją z obłąkaną namiętnością, wszedł w nią tak głęboko, że krzyknęła.

- Przepraszam, zabolalo cię? - Oprzytomniał.
- Nie, nie. Nie przestawaj! - Wbiła paznokcie w jego łopatki i próbowała poruszyć biodrami, ale ją przytrzymał. Spojrzała na niego spod przymkniętych powiek. Walczył ze sobą. Robił wszystko, by wytrzymać jeszcze chwilę dłużej. Tylko że ona nie miała zamiaru czekać. Odkąd pierwszy raz go zobaczyła, wiedziała, że prędzej czy

później będzie jej mężczyzną. A ona jego kobietą. Głos rozsądku podpowiadał, że to szaleństwo, ale ona i tak wiedziała swoje. I nie pomyliła się.

Z całej siły napała na niego biodrami i zaczęła nimi kołysać. Tym razem nie próbował jej okiełznać. Pozwolił, by doprowadziła go do miejsca, z którego nie ma powrotu. Gdy poczuł, że oboje są już na krawędzi, rzucił się na oślep i zaczął spadać, pociągając ją za sobą. Żadne z nich nie przeżyło nigdy większego zawrotu głowy. Musiała minąć wieczność, nim wrócili do względnej równowagi. Ich oddechy zaczęły się w końcu wyrównywać, krople potu obeschły. Za oknami fale wściekle biły o falochron.

- Nareszcie wiem, co to znaczy zostać zżartym przez namiętność - szepnęła drżącym głosem.

- A ja myślę, że jeszcze mógłbym co nieco skubnąć - roześmiał się, delikatnie gryząc ją w ucho.

- Naprawdę nie myślałam, że może być tak cudownie. - Przymknęła oczy, z rozkoszą poddając się pieścizocie.

- A było?

- Było.

- I co? Czujesz się zaskoczona?

- Owszem.

- A można zapytać, czego się spodziewałaś?

- Że będę się kochała z kostką lodu. A tu taka niespodzianka!

- Zdaję sobie sprawę, że sprawiam wrażenie oziębłego - przyznał. - To spadek po ojcu, który nie był zbyt wylewny. Wyobrażam sobie, co czuli ci, którzy stawali z nim twarzą w twarz w sądzie.

- Też był prawnikiem?

- Sędzią w sądzie okręgowym. Zmarł cztery lata temu, podczas rozprawy. Czyli tak jak chciał.

- Aha. Nic tylko prawo i sprawiedliwość, tak? Znam ten typ. I nie przepadam.

- Właśnie. Żeby było zabawniej, moja matka jest zupełnie inna. To urodzona rebeliantka i anarchistka.

- Musieli tworzyć mieszkanke wybuchową.

- Zgadłaś. Zupełnie jak my dzisiaj. - Dotknął palcem jej ust. - Nie rozumiałem, jak ze sobą wytrzymują, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że jest między nimi chemia.

- Byli szczęśliwi?

- Tak. Bywali sobą zmęczeni, czasem sfrustrowani, ale na pewno szczęśliwi.

Przez okno sączyło się łagodne światło gasnącego dnia, ogrzewając ich ciała ostatnimi promieniami.

- Jesteś taka piękna - westchnął, gładząc ją z zachwytem. - Naprawdę nigdy bym się nie spodziewał, że pójde do łóżka z lekarką, która nienawidzi prawników. To tak a propos niestandardowych kochanków.

- A ja czuję się jak mysz, która zabawia się z kotem.

- Boisz się mnie?

- Trochę. Bardzo!

- Ale dlaczego?

- Chyba dlatego, że wciąż mi się zdaje, że stoimy po przeciwnych stronach barykady.

- Skoro należymy do wrogich obozów, to rozumiem, że jedna ze stron właśnie skapitulowała.

- Nie potrafisz myśleć o niczym innym?

- Odkąd cię poznałem, nie.

- A przedtem?

- Moje życie było nudne i bezbarwne.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

- Nie mówię, że żyłem jak mnich. Po prostu jestem z natury ostrożny. Trudno mi... zbliżyć się do kogoś.

- Dzisiaj całkiem nieźle ci poszło.

- Nie mówię o bliskości fizycznej, tylko emocjonalnej. Taki już jestem. Uczucia to niezwykle delikatna materia. I skomplikowana, więc po prostu sobie z nimi nie radzę. Za łatwo można wszystko zepsuć.

- A co się zepsuło w twoim małżeństwie? - zapytała.

- W moim małżeństwie? - Z westchnieniem przewrócił się na plecy. - Właściwie nic. W każdym razie ja nie czuję się niczemu winny, co raczej nie przemawia na moją korzyść, ale trudno. Linda miała mi za złe, że nie potrafię wyrażać uczuć. Zarzucała mi, że jestem zimny. Uważałem, że przesadza. Dziś myślę, że miała rację.

- Ja mam na ten temat własną teorię. - Ona również przewróciła się na bok, by spojrzeć mu w oczy. - Moim zdaniem to jest z twojej

strony gra. Ty się chowasz za maską oziębłego i nieprzystępnego. Zresztą ludzie okazują uczucia na wiele różnych sposobów.

- Od kiedy zajmujesz się psychologią?

- Odkąd wplątałam się w znajomość z facetem o wyjątkowo złożonej psychice.

- Facet, o którym mówisz, jest piekielnie głodny - jęknął i przyciągnął ją do siebie. - Co ty na to, żebyśmy zrobili sobie spaghetti z sosem pani Feldman, napili się wina, a potem...

- A potem? - szepnęła.

- A potem... - zbliżył usta do jej ust - pokażę ci, jak prawnicy radzą sobie z lekarkami.

- No no!

- No co? Pożartować nie można? - wołał, zasłaniając się przed ciosem, który chciała mu wymierzyć. - Chodź! I przestań tak na mnie patrzeć, bo nigdy stąd nie wyjdziemy. Chcesz, żebyśmy tu umarli z głodu?

- Ech, cóż by to była za piękna śmierć...

Obudziło ją znajome mlaskanie fal. Balansując między jawą a snem, wyciągnęła rękę w stronę Davida, lecz trafiła na poduszkę nagrzaną przez poranne słońce. Otworzyła oczy, a gdy spostrzegła, że go nie ma, poczuła się straszliwie samotna.

- David?

Odpowiedziała jej cisza. Wstała z łóżka i zaczęła krążyć po sypialni, z wypiekami na twarzy wspominając minioną noc. Butelka wina. Słowa szeptane w chwili uniesienia. Łóżko jak po przejściu huraganu.

- David! - Ciekawe, gdzie może być?

Zajrzała do łazienki; tam go nie było. Ani w zalanym słońcem salonie, gdzie na stoliku wciąż stała pusta butelka. W kuchni również go nie znalazła. Dom bez niego straszył przygnębiającą pustką. Sprawiał wrażenie porzuconej skorupy lub opuszczonej jaskini, a nie radosnego miejsca, w którym żyją ludzie.

Stęskniona zaczęła szukać śladów jego obecności. Zajrzała do garderoby, w której rzędem wisiały eleganckie garnitury i unosił się znajomy zapach wody kolońskiej. Potem weszła do pełnego książek gabinetu, który ze swymi solidnymi dębowymi meblami i lampami z mosiądzu wydał jej się miejscem pozbawionym duszy.

W swej wędrówce dotarła wreszcie do ostatniego pokoju, na końcu korytarza. Chwilę stała przed drzwiami, zastanawiając się, czy dobrze robi, myszkując bez pozwolenia po domu.

Nie robiła tego z niezdrowej ciekawości; uznała za naturalne, że chce dowiedzieć się jak najwięcej o człowieku, z którym dopiero co spędziła miłosną noc. Stwierdziwszy, że ma do tego prawo, delikatnie nacisnęła kłamkę.

Uderzył ją charakterystyczny zapach dawno niewietrzonego wnętrza. Zaciekawiona rozejrzała się dokoła. Stała w progu dziecięcego pokoju.

Na suficie i na ścianach pokrytych tapetą w niebieskie koniki tańczyły maleńkie tęcze z zawieszonych przy oknie pryzmatów. Skakały też po półkach pełnych zabawek i łóżku przykrytym kolorową narzutą. Najpierw długo wpatrywała się w nie jak zahipnotyzowana. A potem, wbrew swej woli, ostrożnie weszła dalej. Zupełnie jakby wciągnęła ją tam niewidzialna mała dłoń. Nagle dłoń gdzieś się rozplynęła, a ona została sama, boleśnie sama pośrodku opuszczonego pokoju. Ogarnął ją palący wstyd. Poczula się jak profan, który zbezczeszczył sanktuarium.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, nim ocknęła się z bezruchu. Kiedy minął pierwszy szok, wolno podeszła do komody, na której leżały książki czekające na powrót właściciela. Sięgnęła po pierwszą z brzegu i otworzyła ją. Na karcie tytułowej widniał podpis. Noah Ransom.

- Przepraszam. Bardzo cię przepraszam! - szepnęła i wybiegła na korytarz.

W kuchni znalazła w końcu wiadomość, którą zostawił dla niej David. Siedząc nad kubkiem kawy, wielokrotnie odczytała lakoniczną treść:

„Zabrałem się z Glickmanem. Możesz wziąć mój samochód. Zobaczymy się wieczorem”.

Miłosny list to raczej nie jest, pomyślała rozgoryczona. Ani jednego czulego słowa. I nawet się nie podpisał. Jedyne sucha informacja. A więc taki jest David. Chodząca bryła lodu, samotny pan bezdusznych wnętrz. Spędziła z nim cudowną noc, kompletnie straciła głowę, a on jej zostawia karteczkę na kuchennym stole.

Zdumiewało ją, jak rygorystycznie poszufladkował swoje życie. Wszystkie uczucia i emocje zepchnął w jeden kąt, od którego

odgrodził się grubym murem. Tak jak odgrodził się drzwiami od pokoju syna. Ona tak nie potrafiła. Tęskniła za nim, może nawet go kochała, mimo że było to szalone i pozbawione sensu.

Zła na siebie, poderwała się z krzesła. Nie pojmowała, jak może tracić czas na analizowanie jego zawilej psychiki, mając na głowie mnóstwo własnych problemów. Przecież już po południu ma stanąć przed sądem koleżeńskim. Jej kariera wisi na włosku. A ona się zamartwia, że kochanek okazał się nieczuły!

Na jednej z szafek leżała karta szpitalna Jennifer Brook. Sięgnęła po nią i zaczęła ją przeglądać. Nadal nie pojmowała, jaką tajemnicę kryją standardowe medyczne notatki. Coś strasznego musiało się wydarzyć tamtej nocy, gdy nieszczęsna Jenny rodziła swą córeczkę. Jakaś potężna niszczycielska siła dosięgła osoby wymienione w raporcie. Jedną po drugiej, wszystkie zabrała śmierć. Matka i dziecko. Lekarze i pielęgniarki. Jedyne Charlie Decker mógł wytłumaczyć, co oznacza ta czarna loteria. Charlie, sam w sobie stanowiący rozsypankę, której elementy nijak do siebie nie pasują.

Psychopata, jak mówili o nim prowadzący śledztwo. Potwór, który podrzyna ludziom gardła.

Zupełnie niegroźny, jak twierdził Kahanu. Zagubiona dusza, przegrany człowiek, który stracił wszystko, co kochał. Człowiek o dwóch obliczach.

Zamknęła kartę szpitalną i długo wpatrywała się w jej tylną okładkę. Awers i rewers.

Człowiek o dwóch obliczach.

Wyprostowała się. Przecież to oczywiste!

Doktor Jekyll i mister Hyde.

- Rozszczepienie osobowości to rzadkie zjawisko, ale jest dobrze opisane w literaturze psychiatrycznej.

Susan Santini obróciła się w fotelu i sięgnęła po książkę. Zdjęła ją z półki wiszącej w sąsiedztwie pokażnej kolekcji dyplomów dokumentujących gruntowne wykształcenie medyczne oraz będących namacalnym dowodem na to, że Susan odnosi sukcesy nie tylko jako matka i żona, lecz także jako lekarka.

- Proszę, tu masz wszystko - powiedziała, otwierając odpowiedni rozdział. - Od Ewy po Sybillę, wszystkie znane i opisane przypadki.

- A ty spotkałaś się z czymś takim?

- Niestety nie. A bardzo bym chciała.
- Jednym słowem człowiek może mieć dwie osobowości?
- Może. Nasza psychika składa się z elementów pozostających ze sobą w ostrym konflikcie. Powiedzmy: ego kontra id, albo z jednej strony impuls, a z drugiej kontrola. Spójrz choćby na zjawisko przemocy. Większość z nas potrafi zapanować nad brutalną stroną swej natury. Ale nie wszyscy. A dlaczego? Któż to wie. Może ktoś się nad nimi znęcał w dzieciństwie? Może wystąpiły problemy z chemią mózgu? Bez względu na przyczynę, tacy ludzie to chodzące bomby z opóźnionym zapłonem. Nie wiadomo, kiedy i dlaczego przestają nad sobą panować. Najgorsze, że żyją między nami, a my nie jesteśmy w stanie ich rozpoznać.
- Myślisz, że Charlie Decker jest taką bombą?
- Naprawdę trudno powiedzieć. - Susan odchyliła się w fotelu. - Szczerze mówiąc, wątpię. O ile wiem, użył broni tylko raz, przeciwko sobie. Z drugiej strony, gdyby przeżył jakiś silny stres...
- Przeżył.
- Masz na myśli to? - Susan wskazała kartę Jenny.
- Tak. Policja uważa, że Decker mści się za śmierć narzeczonej i dziecka.
- Cóż, nie można wykluczyć tej hipotezy. Zwłaszcza że, jakkolwiek brzmi to nieprawdopodobnie, do popełnienia zbrodni najczęściej pcha ludzi ślepa miłość. Pomysł o wszystkich zazdrosnych małżonkach czy porzuconych kochankach, którzy w akcie desperacji sięgają po broń.
- Miłość i przemoc - szepnęła Kate w zamyśleniu. - Dwie strony tej samej monety.
- Właśnie. - Susan oddała jej kartę. - Pamiętaj, że to co powiedziałam, nie jest wiążące. Żeby postawić jednoznaczną diagnozę, musiałabym porozmawiać z Deckerem. Czy policji udało się go namierzyć?
- Nie mam pojęcia. Nie chcą ze mną rozmawiać, więc muszę prowadzić prywatne śledztwo.
- Żartujesz? Można wiedzieć, za co im płacą?
- Cały problem w tym, że oni podchodzą do tego właśnie jak do pracy. Czyli rutynowo. Ot, jeszcze jedna sprawa, którą trzeba jak najszybciej zamknąć.

- Zerknęła na zegarek. - Ojej, już trzecia. Ja cię tu zatrzymuję, a twoi pacjenci czekają - zreflektowała się.

- Przecież wiesz, że zawsze chętnie ci pomogę.

- Susan wstała z za biurka i podeszła z nią do drzwi.

- Czy tam, gdzie teraz przebywasz, na pewno jesteś bezpieczna? - zapytała, kładąc rękę na jej ramieniu.

- Myślę, że tak. Dlaczego pytasz? - Kate dostrzegła w jej oczach niepokój.

Susan zawahała się.

- Nie chcę cię straszyć, ale jeśli Decker rzeczywiście ma rozszczepienie osobowości, jest wyjątkowo niestabilny emocjonalnie. I kompletnie nieprzewidywalny. W ułamku sekundy z normalnego człowieka może zmienić się w potwora. Dlatego proszę cię, bądź bardzo, bardzo ostrożna.

Kate poczuła, że zasycha jej w gardle.

- Uważasz, że jest aż tak groźny?

- Śmiertelnie! - odparła Susan z powagą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wyglądali jak pluton egzekucyjny, a jej przypadła niewdzięczna rola skazańca z zawiązanymi oczami.

Siedziała przy wielkim stole konferencyjnym naprzeciw sześciu mężczyznom i jednej kobiecie. Wszyscy byli lekarzami. Doktor Clarence Avery wbrew obietnicy nie stawił się na posiedzenie. Jediną przyjazną duszą w tym ponurym gronie był Guy Santini, ale on występował w charakterze świadka. Siedział daleko, na szarym końcu stołu, i sprawiał wrażenie zestresowanego.

Pytania członków komisji były bardzo wnikliwe. Chyba dlatego mimo klimatyzacji piekły ją policzki.

- Osobiście sprawdziła pani wyniki EKG?

- Tak, doktorze Newhouse.

- A potem dołączyła je pani do karty pacjentki?

- Zgadza się.

- Czy konsultowała pani te wyniki z innym lekarzem?

- Nie.

- Nawet z doktorem Santinim?

- Interpretacja wyników EKG należy do moich obowiązków.

Poza tym doktor ufał mojej opinii.

Ile razy będę musiała opowiadać tę historię? Ile razy mam odpowiadać na te same idiotyczne pytania?

- Doktorze Santini? Jakies uwagi?

- Potwierdzam słowa pani doktor. Ufałem jej.

- Guy zrobił pauzę. - I nadal ufam.

Dzięki, pomyślała z ulgą, a gdy na siebie spojrzeli, lekko się do niego uśmiechnęła.

- Spróbujemy szczegółowo odtworzyć kolejne etapy operacji - ciągnął Newhouse. - Twierdzi pani, że zaczęła od rutynowego podania pentothalu, dożylnie...

Koszmar powrócił. Ellen O'Brien umarła raz jeszcze, a wszystkie detale jej zgonu zostały poddane autopsji jak zwłoki w prosektorium. Gdy przesłuchanie dobiegło końca, udzielono jej głosu.

- Szanowni koledzy - zaczęła cicho i spokojnie.

- Zdaję sobie sprawę, że moja wersja zdarzeń wydaje się nieprawdopodobna. Ponadto nie mam żadnych dowodów na jej poparcie. Wiem jedno: podczas operacji zajmowałam się Ellen

O'Brien według swojej najlepszej wiedzy. Niczego nie zaniedbałam. Z dokumentacji wynika, że popełniłam tragiczny w skutkach błąd. Pacjentka zmarła. Pozostaje pytanie, czy to ja ją zabiłam. Nie sędzę. Naprawdę nie sędzę. - Nie pozostało nic więcej do dodania. - Dziękuję.

Dwadzieścia minut później wezwano ją na ogłoszenie decyzji. Do szacownego grona sędziów dołączyły dwie osoby: George Bettencourt i zatrudniony przez szpital prawnik. Dyrektor sprawiał wrażenie zadowolonego. Może dlatego od razu wiedziała, co za chwilę usłyszy.

Decyzję odczytał doktor Newhouse.

- Przedstawiona przez panią wersja zdarzeń diametralnie różni się do tego, co pokazują wyniki badań. Ponieważ jednak właśnie one są dla nas miarodajnym źródłem wiedzy o stanie zdrowia pacjenta, z przykrością musimy stwierdzić, że pani opieka nad Ellen O'Brien była niewłaściwa, by nie powiedzieć, całkowicie nieprofesjonalna. - Skrzywiła się lekko, gdyż ostatnie słowa zabrzmiały w jej uszach jak obelga. Tymczasem doktor Newhouse zdjął okulary znużonym gestem człowieka, który dźwiga na barkach ciężar całego świata, i oznajmił sucho: - Pracuje pani z nami krótko, tym bardziej więc martwi nas, że z pani winy doszło do nieszczęśliwego wypadku. Po naradzie postanowiliśmy skierować pani sprawę do komisji dyscyplinarnej, która ostatecznie zadecyduje, jakie konsekwencje powinny zostać wobec pani wyciągnięte. - Tu spojrział znacząco na Bettencourta. - Zgadza się z decyzją dyrekcji, że do tego czasu powinna pani zostać odsunięta od wykonywania obowiązków zawodowych.

Już po wszystkim, pomyślała z goryczą. Głupia byłam, licząc na inny werdykt.

Przewodniczący ponownie udzielił jej głosu, ale mu podziękowała. Całą energię skupiła na tym, by nie rozpłakać się przy ludziach, którzy właśnie zrujnowali jej życie. Po ich wyjściu nadal siedziała jak zakłęta.

- Przykro mi, Kate! - Guy ze współczuciem dotknął jej ramienia. Chwilę zwlekał z odejściem, jakby chciał coś dodać, ale rozmyślił się i również wyszedł.

Została sam na sam z Bettencourtem i prawnikiem. Zwróciła na nich uwagę dopiero wtedy, gdy dyrektor po raz drugi wymówił jej nazwisko.

- Czas porozmawiać poważnie - oznajmił prawnik.

Popatrzyła na nich zdumiona.

- Porozmawiać? O czym?

- O ugodzie.

- Nie uważają panowie, że na to za wcześnie?

- Jeśli już, to za późno - skrzywił się Bettencourt. - Kilka godzin temu przyszedł do mnie dziennikarz. Okazało się, że O'Brienowie poszli ze swoją historią do mediów. Obawiam się, że zostanie pani poddana publicznemu osądowi w prasie.

- Przecież pozew został złożony w ubiegłym tygodniu!

- Widocznie tyle czasu wystarczyło, żeby sprawa zaczęła żyć własnym życiem. W naszym interesie jest doprowadzenie do jak najszybszej ugody ze stroną przeciwną. Zaproponuję im pół miliona dolarów, ale liczę się z tym, że zażądadają więcej.

Oburzyła ją łatwość i niefrasobliwość, z jaką prawnik przelicza na pieniądze wartość ludzkiego życia.

- Nie! - powiedziała twardo.

- Słucham? - Prawnik wytrzeszczył na nią oczy.

- Każdego dnia pojawiają się nowe fakty. Jestem pewna, że zanim dojdzie do procesu, udowodnię, że...

- Żadnego procesu nie będzie! Zawrzemy ugodę, pani doktor. Z pani zgodą lub bez.

- Wobec tego wynajmę adwokata, który będzie reprezentował wyłącznie moje interesy - uprzedziła.

- Proszę wybaczyć, ale pani chyba nie rozumie, czym jest proces.

- Prawnik postanowił przemówić jej do rozsądku. - Uprzedzam, że będzie pani poddana wyjątkowo ciężkiej próbie. Zwłaszcza że stronę przeciwną będzie reprezentował David Ransom, który jest znany z tego, że nie przebiera w środkach.

- Pan Ransom wycofał się z prowadzenia tej sprawy - oznajmiła z satysfakcją.

- Od kogo usłyszała pani tę wyssaną z palca bzdurę?

- Od samego pana Ransoma.

- Chce pani powiedzieć, że z panią rozmawiał? Mało że rozmawiał, to jeszcze ze mną spał, odpowiedziała w myślach, głośno zaś odparła;

- Owszem, w zeszłym tygodniu poszłam do jego kancelarii. Opowiedziałam mu o EKG.

- Chryste! - Prawnik zbladł jak ściana. - No to koniec! - orzekł. - Teraz to dopiero mamy kłopoty...

- Dlaczego?

- Po tym, co od pani usłyszał, będzie chciał wyciągnąć od nas jeszcze więcej pieniędzy.

- Ale on mi uwierzył. Właśnie dlatego zrezygnował z prowadzenia sprawy.

- Nie uwierzył pani. Wiem, co mówię, bo go znam. Ponieważ zdawała sobie sprawę, że i tak ich nie przekona, pokręciła głową i spokojnie powtórzyła:

- Nie pójdę na żadną ugodę. Sfrustrowany prawnik zatrzasnął aktówkę.

- George? - zwrócił się do Bettencourta. Ten zaś przyglądał się jej z miną pokerzysty.

- Niepokoję się o pani przyszłość - oznajmił. - Chyba zdaje sobie pani sprawę, że komisja dyscyplinarna każe nam zwolnić panią w trybie natychmiastowym. Zapewne nie muszę dodawać, że mając coś takiego w aktach, nie będzie pani łatwo znaleźć zatrudnienie. - Zawiesił głos, tak by sens jego słów dotarł do niej w pełni. - Dlatego daję pani alternatywę. Myślę, że ugoda jest lepszym rozwiązaniem niż karne usunięcie z pracy.

Spojrzała na dokument, który jej podawał. Było to gotowe podanie o zwolnienie za porozumieniem stron.

- Niech pani to podpisze. Dla własnego dobra. To dla pani jedyna szansa, żeby pozostać w zawodzie. Proszę.

Długo przyglądała się kartce, myśląc o tym, jak sprawnie zostało to przeprowadzone. Wystarczy jeden dokument i jej podpis. Znak kapitulacji.

- Pani doktor, czekamy - naciskał Bettencourt. Wstała i wzięła od niego kartkę, po czym, patrząc mu w oczy, przedarła ją na pół.

- Oto moja prośba o zwolnienie - oznajmiła i spokojnie wyszła. Dopiero po chwili dotarło do niej, że właśnie spaliła za sobą wszystkie mosty. Powrotu nie ma, więc nie pozostało jej nic innego jak brnąć dalej i na własną rękę szukać rozwiązania tej zagadki.

Szła coraz wolniej, aż w końcu stanęła. Miała ochotę się rozplakać, lecz łzy nie chciały płynąć. Patrzyła niewidzącymi oczami na pielęgniarki biegnące do windy. Było już po piątej, wszyscy szli do domu. Tylko w sekretariacie Avery'ego paliło się światło. Nie było w

tym nic dziwnego, szef często zostawał po godzinach. Postanowiła skorzystać z okazji i zapytać go, dlaczego nie przyszedł na posiedzenie, mimo iż zdawał sobie sprawę, jak bardzo potrzebuje jego wsparcia.

Okazało się, że w gabinecie jest tylko sekretarka.

- Doktor Avery już wyszedł?

- A, pani doktor! Nic pani jeszcze nie wie?

- O czym?

Sekretarka ze smutkiem spojrzała na stojącą na biurku fotografię.

- Dziś w nocy zmarła żona pana doktora. Dlatego nie było go w szpitalu.

Kate bezwładnie oparła się o framugę.

- Jego... żona?

- Tak. Nagle, na atak serca. Pani doktor, dobrze się pani czuje?

- Tak, tak! Nic mi nie jest! - Czym prędzej wycofała się na korytarz i chwiejnym krokiem ruszyła do windy. Jadąc w dół, przypomniała sobie stłuczoną fiolkę leżącą u stóp Avery'ego.

„Trzeba ją uspić... Będzie lepiej, jeśli zrobię to sam. Chcę się z nią spokojnie pożegnać”.

Drzwi rozsunęły się. Wyszła do jasno oświetlonego holu i nagle poczuła przemożną chęć ucieczki. Musi natychmiast znaleźć schronienie. I Davida! Jeśli się pospieszy, może jeszcze go zastanie w kancelarii. Wiedziona gwałtowną tęsknotą, pobiegła do samochodu.

Kancelaria mieściła się w śródmieściu zabudowanym wysokimi biurowcami, w których odbijało się popołudniowe słońce. Szerokimi ulicami wolno sunął sznur samochodów. Uwięziona między nimi, czuła się jak ryba płynąca pod prąd. Z każdą mijającą minutą rosło w niej pragnienie, by go zobaczyć. I lęk, że dotrze na miejsce za późno. Że już go tam nie będzie i zastanie drzwi zamknięte na głucho. Nic nie było ważniejsze niż to, by znaleźć schronienie w jego ramionach.

Bądź tam! - błagała go w myślach. Proszę...

- Słowo wyjaśnienia, panie Ransom. Tydzień temu mówił pan, że zwycięstwo mamy w kieszeni. A teraz rezygnuje pan z prowadzenia naszej sprawy. Chcę wiedzieć dlaczego.

David spojrzał niepewnie na panią O'Brien. Nie miał zamiaru zwierzać się jej, że ma romans z podsądną, ale chwilowo żadne sensowne tłumaczenie nie przychodziło mu do głowy. Tymczasem

stalowoszare oczy starszej kobiety mówiły mu, że powinien jej podać poważny powód. Starał się skupić, lecz rozpraszało go charakterystyczne skrzypienie drewna i skóry: to zdenerwowany Glickman wiercił się w fotelu. Rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale i tak cały czas się bał, że młodszy kolega go wsypie.

- Zrezygnowałem z powodu konfliktu interesów - odparł ogólnikowo, lecz zgodnie z prawdą.

- Ja nie wiem, co to znaczy, proszę pana - zniecierpliwiła się. - Mam rozumieć, że podjął pan współpracę ze szpitalem?

- Niezupełnie.

- Więc o co chodzi?

- Pani wybaczy, ale to są informacje... poufne. Zapewniam, że przekazuję sprawę renomowanej kancelarii. Oczywiście, o ile państwo wyrażą zgodę.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie! - Pochyliła się w jego stronę. Szpony zemsty, pomyślał, patrząc na jej kościste palce zaciśnięte na krawędzi biurka.

- Bardzo mi przykro, pani O'Brien. Niestety, w świetle zaistniałych okoliczności nie jestem w stanie zachować obiektywizmu. Dlatego muszę zrezygnować.

Tym razem pożegnanie przebiegło w zupełnie innej atmosferze. Po wymianie oficjalnych uścisków dłoni obaj z Glickmanem odprowadzili swą niedoszłą klientkę do wyjścia.

- Mam nadzieję, że zmiana kancelarii nie spowoduje żadnych opóźnień? - Spojrzała na niego wyczekująco.

- Nie sędzę. Wszystko jest gotowe, więc sprawa może natychmiast trafić na wokandę. - Zmarszczył brwi, bo wydało mu się, że sekretarka jest czymś zaniepokojona.

- Myśli pan, że szpital pójdzie na ugody?

- Właściwie nie ma się tu nad czym zastanawiać. - Urwał, gdyż sekretarka wyglądała na spanikowaną.

- Ale przecież pan zapewniał, że dojdzie do ugody!

- Słucham? - Poczul, że ma dość, więc aby pozbyć się jej jak najszybciej, gestem wskazał wyjście. - Proszę się o nic nie martwić. - Z trudem skrywał zniecierpliwienie. - Jestem pewny, że negocjacje ze szpitalem są w toku i...

Staął jak wryty. Poczul się jak figura odlana z betonu, niezdolny do najmniejszego ruchu.

Naprzeciw niego stała Kate. Jej zdumiony wzrok wolno przeniósł się na Mary O'Brien.

- Jezu! - jęknął Glickman.

Scena żywcem wyjęta z opery mydlanej, przebiegło mu przez myśl. Zwaśnione strony niespodziewanie się spotykają i mierzą się niechętnym wzrokiem.

- Wszystko pani wyjaśnię - zaczął, próbując ratować sytuację.

- Wątpię - odparła pani O'Brien.

Kate odwróciła się i wyszła. Huk zatrzaśniętych drzwi wyrwał go z odrętwienia. Zanim wybiegł na korytarz, usłyszał jadowite słowa byłej klientki:

- Konflikt interesów, tak? Teraz już rozumiem, co to za interesy!

Nie zdążył złapać Kate, zanim wsiadła do windy. Na następną czekał całą wieczność. A potem krążył po kabinie jak dzikie zwierzę po klatce, wyrzucając z siebie przekleństwa, jakich nie używał od lat. Pędem wypadł z budynku i stanawszy na chodniku, zaczął gorączkowo się rozglądać. Za skrzyżowaniem był przystanek, do którego właśnie podjeżdżał autobus.

Zaczął biec, odpychając przechodniów. Złapał Kate w ostatniej chwili i siłą ściągnął ją ze schodków.

- Puszczaj!

- A ty gdzie, do jasnej cholery?!

- O, przepraszam! Zapomniałam. - Wyciągnęła z kieszeni kluczyki i niemal rzuciła mu je w twarz. - Nie chcę zostać oskarżona o kradzież twojego cennego bmw.

Autobus odjechał, więc uwolniwszy się, ruszyła przed siebie pieszo. Poszedł za nią.

- Pozwól sobie wszystko wytłumaczyć!

- Co powiedziałeś swojej klientce? Że przyniesiesz jej w zębach ugody, bo durna lekarka je ci z ręki?

- To, co się między nami wydarzyło, nie ma żadnego związku z tą sprawą!

- Właśnie że ma! Od początku liczyłeś na to, że namówisz mnie do podpisania ugody!

- Ja cię tylko prosiłem, żebyś się nad tym zastanowiła.

- Aha! Tego was uczą na studiach? Jak wszystko inne zawiedzie, zaciągnij stronę przeciwną do łóżka?

To była kropla, która przepelniła czarę. Niewiele myśląc, chwycił ją za rękaw i wciągnął do pobliskiego pubu. W środku, nie bacząc na spory tłum klientów, zawlókł ją do wolnego stolika i bezceremonialnie pchnął na drewnianą ławę. Sam zajął miejsce naprzeciw i spojrzał na nią w taki sposób, iż w lot pojęła, że dla własnego dobra powinna go wysłuchać.

- Po pierwsze... - zaczął.

- Dobry wieczór! - powitał ich szczebiotliwy głos.

- Co znowu? - warknął na kelnerkę, która chciała przyjąć zamówienie.

- Czy życzą sobie państwo... czegoś? - zapytała niepewnie, kuląc się w swym zielonym stroju.

- Dwa piwa!

- Dobrze, proszę pana! - Spojrzała na Kate ze współczuciem i uciekła, szeleszcząc spódnicą.

Przez pełną napięcia minutę mierzyli się wrogimi spojrzeniami. David ochłonął pierwszy. Ze świstem wypuścił powietrze i powiedział:

- Okej, spróbujmy jeszcze raz.

- Od czego zaczniemy? Od tego, co się działo, zanim odprowadziłeś swoją klientkę do wyjścia?

- Czy ktoś ci już mówił, że masz kiepskie wyczucie czasu?

- I tu się pan myli, mecenasie. Akurat wyczucie czasu mam pierwszorzędne. Czy mi się zdaje, czy naprawdę słyszałam, jak mówisz, że negocjacje ze szpitalem są w toku?

- Próbowałem się jej pozbyć!

- Jak zareagowała na wieść, że starasz się dogodzić obu stronom sporu?

- Nikomu nie staram się... dogadzać.

- Tak? To dlaczego, pracując dla niej, poszedłeś ze mną do łóżka?

- Jak na wyjątkowo inteligentną kobietę, masz zdumiewający problem ze zrozumieniem prostej informacji: wycofałem się z prowadzenia tej sprawy. Ostatecznie i dobrowolnie. O'Brien przyszła dowiedzieć się, dlaczego tak postąpiłem.

- Powiedziałeś jej... o nas?

- Masz mnie za idiotę? Naprawdę myślisz, że będę gadał na prawo i lewo, że przeleciałem oskarżoną?

Poczuła się, jakby ją spoliczkował. Więc tak to odebrał? Do tej pory uważała, że nie był to tak zwany seks dla higieny. Dla niej było to spotkanie dusz. Dla niego romans z nią oznacza same problemy. Wściekła klientka, przymusowa rezygnacja z prowadzenia sprawy. A na koniec upokarzająca konieczność przyznania się do zakazanego związku. Nic dziwnego, że za wszelką cenę starał się ukryć, co ich naprawdę łączy. Ludzie zwykle ukrywają fakty, których się wstydzą.

- Weekendowy zawrót głowy, tak? - rzuciła drwiąco. - Tak do tego podchodzisz?

- Nie powiedziałem tego.

- Niech pan się nie martwi, mecenasie! - rzekła, wstając. - Obiecuję, że nie będę pana więcej kompromitowała. Będę kulturalna i zniknę z pana życia, zabierając ze sobą wstydliwą prawdę o naszym przelotnym związku.

- Siadaj! Ale to już! - wycedził przez zęby. - Proszę - dodał nieco łagodniej. - Proszę cię - wyszeptał.

Wolno wróciła na swoje miejsce. Kelnerka postawiła przed nimi piwa, a gdy odeszła, David wyznał cicho:

- Nie jesteś dla mnie przygodą na jedną noc. A O'Brienom nic do tego, jak spędzamy weekendy. Już wcześniej zdarzało mi się rezygnować z prowadzenia spraw, ale zawsze mogłem podać powód rezygnacji, nie czerwieniąc się jak burak. Niestety, tym razem... - Roześmiał się z przymusem. - Po prostu za stary jestem, żeby się czerwienić.

Opuściła wzrok. Nienawidziła piwa. A jeszcze bardziej tego, że się pokłócili.

- Jeśli wyciągnęłam pochopne wnioski, przepraszam. Wszystko przez to, że nie ufam prawnikom.

- A ja lekarzom - zrewanżował się.

- Wobec tego nietypowa z nas para. Co jeszcze z tego wynika?

Mężnie przetrwali kolejną chwilę nieprzyjemnej ciszy.

- Trudno nam się dogadać, bo prawie się nie znamy - stwierdziła Kate.

- Chyba że pójdziemy do łóżka, no ale tam raczej nie ma czasu na prezentację swojego punktu widzenia.

Uniosła głowę i spostrzegła, że David uśmiecha się kącikiem ust. Włosy miał w nieładzie, przekrzywiony krawat. Dla niej był przystojny jak nigdy.

- Będiesz miał przeze mnie kłopoty? - zapytała.
- Co będzie, jeśli O'Brienowie złożą skargę w korporacji?

Nonszalancko wzruszył ramionami.

- Nie obchodzi mnie to - stwierdził. - Najwyżej wykreślą mnie z rejestru adwokatów. Albo wsadzą do więzienia. Albo posadzą na krzesło elektrycznym.

- David!

- Masz rację, zapomniałem, że na Hawajach nie stosuje się krzesła. - Zauważył, że Kate się nie śmieje.

- Dobrze, to był beznadziejny żart. - Sięgnął po szklanekę i już miał się napić, gdy wreszcie zauważył jej smętną minę. - Zapomniałem o sędzie koleżeńskim. I co?

- Bez niespodzianek.

- Wydali niekorzystny dla ciebie wyrok?

- Delikatnie mówiąc. Stwierdzili, że postąpiłam nieprofesjonalnie i uznali moją pracę za niespełniającą oczekiwań. Czyli w uprzejmy sposób powiedzieli mi, że jako lekarka jestem do niczego.

Delikatnie uścisnął jej dłoń.

- Zabawne, ale nigdy nawet nie pomyślałam o innym zawodzie niż lekarz. I dopiero teraz, kiedy mnie wylali, dotarło do mnie, że do niczego innego się nie nadaję. Nie umiem szybko pisać na komputerze. Nie mam pojęcia o stenografii. Chryste, nawet nie umiem gotować.

- Uuu, to poważna wada. Obawiam się, że będziesz musiała zacząć żebrać.

Żart znów był kiepski, ale przynajmniej się uśmiechnęła.

- Obiecujesz, że wrzucisz mi parę centów do kapelusza?

- Jako człowiek z natury hojny zaproszę cię na kolację.

- Dzięki. Jakoś straciłam apetyt.

- Lepiej nie wybrzydź. Nie wiadomo, kiedy się trafi następna okazja, a jeść przecież trzeba.

- Wiesz, czego tak naprawdę chcę? - zapytała, patrząc mu w oczy. - Chcę wrócić z tobą do domu.

Przysiadł się do niej i otoczył ją ramieniem. Właśnie tego potrzebowała. Ciepła i bliskości, przyjaciela.

W końcu dała się namówić na kolację. Smaczny posiłek i kilka kieliszków wina zdecydowanie poprawiły jej humor. Kiedy wracali do

biurowca po samochód, Kate tuliła się do ramienia Davida. Miała ochotę śpiewać i skakać z radości, że wracają razem do domu.

W samochodzie zupełnie się odprężyła. Po długim i ciężkim dniu wreszcie poczuła się bezpieczna. To przyjemne uczucie towarzyszyło jej niemal przez całą drogę. Rozwiało się, gdy w pewnej chwili David zerknął w lusterko i cicho zaklął. Zdezorientowana rozejrzała się na boki. Nie dostrzegła nic prócz świateł następnego samochodu, które, odbite we wstecznym lusterku, rozjaśniały jego twarz.

- Co się dzieje? Mocniej wcisnął gaz.
- Powiedz, co się dzieje! - powtórzyła niespokojnie.
- Widzisz ten samochód? Myślę, że nas śledzi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Jesteś pewny? - Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na widoczne w oddali dwa jasne punkty.

- Zwróciłem na niego uwagę, bo ma przepalone lewe światło postojowe. Na pewno wyjechał za nami z garażu. I cały czas siedzi nam na ogonie.

- Ale to przecież nie znaczy, że nas śledzi!

- Zróbmy małe doświadczenie.

- Dlaczego zwalniasz?

- Chcę zobaczyć, co on robi. - Zdjął nogę z gazu. Po chwili jechali sześćdziesiąt mil na godzinę, czyli poniżej minimalnej prędkości na autostradzie. Mimo to jadący za nimi samochód nie zamierzał ich wyprzedzić.

- Mądrała! - mruknął David. - Nie podjeżdża, żebyśmy nie mogli odczytać tablic.

- Za chwilę będzie zjazd. Błagam cię, skrećaj!

Bez kierunkowskazu zjechali gwałtownie na dwupasmową drogę biegnącą przez gęsty tropikalny las. Po kilkunastu metrach Kate odwróciła się. W oddali majaczyły światła reflektorów.

- To on! - szepnęła ze zgrozą.

- Co za kretyn ze mnie! - syknął David. - Powinienem był przewidzieć, że zaczai się pod szpitalem! Trzymaj się! Spróbuję go zgubić!

Zdażyła chwycić się mocno siedzenia, gdy samochód wykonał gwałtowny zwrot. Siła odśrodkowa rzuciła ją najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Zamknęła oczy i starała się nie myśleć o najgorszym. Wszystko w rękach Davida. To on jest gwiazdą tego show.

Jasne okna domów migają za szybami, gdy bmw gnało w mroku, ścinając zakręty niczym narciarz w slalomie. Pas boleśnie wbił się w jej ciało, kiedy David z piskiem opon zjechał z ulicy na czyjś podjazd, a potem gwałtownie zahamował w ciemnym garażu. W ułamku sekundy zgasił silnik, a potem złapał ją za kark i pociągnął w dół. Schyliła się najniżej jak mogła i zastygła przyciśnięta do dźwigni zmiany biegów. Czowała oszalałe bicie jego serca, słyszała urywany oddech.

W lusterku wstecznym pokazała się delikatna luna, która z każdą chwilą stawała się jaśniejsza. Z ulicy dobiegł warkot silnika. David przywarł do niej mocniej. Wstrzymała oddech. Nasłuchiwała. Drgnęła dopiero, gdy warkot zaczął się oddalać. Gdy zupełnie ucichł, ostrożnie się podnieśli i obejrzel.

- Co teraz? - zapytała drżącym szeptem.

- Spadamy, póki można. - Uruchomił silnik i nie włączając świateł, wolno wytoczył się z garażu. Jakiś czas kluczyli między domami, by w końcu wrócić na autostradę. Dopiero wtedy odetchnęła.

- Co ty robisz? - zaniepokoiła się, widząc, że David zawraca do Honolulu.

- Nie możemy jechać do domu.

- Przecież go zgubiliśmy!

- Skoro cię śledził, wie, że pojechałeś do kancelarii. Pewnie widział nas razem, zna moje nazwisko. Nie mam zastrzeżonego numeru, więc w książce telefonicznej mógł znaleźć mój adres.

Zdruzgotana osunęła się w fotelu. Zmrużyła oczy, gdyż raziły ją światła jadących z naprzeciwka samochodów.

Co ja mam teraz zrobić? - zastanawiała się bezradnie. Ile czasu zostało, zanim mnie dopadnie? Czy będę miała czas, żeby uciec? Albo chociaż krzyknąć?

- To moja ostatnia deska ratunku - przyznał po namyśle. - Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Najważniejsze, że ani na moment nie zostaniesz sama. - Umilkł i w skupieniu patrzył na drogę. - Tylko o jedno cię proszę. Nie pij tam kawy - dodał w przyływie czarnego humoru.

- Co? - spytała zaskoczona. - Słuchaj, a dokąd my właściwie jedziemy?

- Do mojej matki - odparł takim tonem, jakby ją przeproszał.

Otworzyła im drobna siwowłosa kobieta w rozchełstany szlafroku i różowych futrzanych kapciach.

Najpierw długo im się przyglądała, mrużąc oczy jak zaskoczona mysz.

- Patrzcie państwo! David! - zawołała wreszcie, radośnie klaszcząc w dłonie. - Jak miło, że wpadłeś! Tylko szkoda, że przedtem nie zadzwoniłeś. A tak to sam widzisz, złapałeś nas w piżamach, jak dwie stare...

- Nie przejmuj się, Gracie. Wyglądasz super - przerwał jej i wciągnął Kate do środka, po czym zamknął drzwi na klucz. - Mama jeszcze nie śpi? - zapytał.

- Jeszcze nie. - Gracie zerknęła w stronę salonu.

- Na miłość boską, kobieto, nie wiem, kto przyszedł, ale weź go przepędź i natychmiast wracaj! - zawołał gniewny głos. - Teraz twoja kolej! I wymyśl coś inteligentnego, bo mam słowo z potrójną premią.

- Znowu wygrywa - westchnęła Gracie z goryczą.

- To znaczy, że ma dobry humor?

- A skąd ja mam wiedzieć? Odkąd pamiętam, zawsze ma zły.

- Przygotuj się - mruknął do Kate. - Mamo! - zawołał radośnie. Zbyt radośnie.

W salonie urządzonym w mahoniu i kolorze lilaróż tyłem do wejścia siedziała dystygowana dama, wspierając stopy o puf obity gniecionym aksamitem. Na stoliku przed nią leżała plansza do scrabble'a.

- Nie wierzę! - powiedziała. - Chyba ze starości mam już omamy słuchowe. - Obejrzała się. - Syn przyszedł mnie odwiedzić! Czyżby zbliżał się koniec świata?

- Miło cię widzieć, mamó. - Przywitał się z nią niezbyt wylewnie, a potem nabrał powietrza, niczym człowiek, który zamierza sam sobie wyrwać bolący ząb. - Musisz nam pomóc.

Jinx spojrzała ciekawie na Kate. Jej oczy, niezwykle czujne i bystre, lśniły jak kryształy. Nagle spostrzegła, że jej syn opiekuńczo obejmuje swą towarzyszkę, i na jej twarzy pojawił się uśmiech. Wolno wzniosła oczy ku niebu i mruknęła:

- Alleluja!

- Ty mi nigdy nic nie mówisz! - poskarżyła się, gdy godzinę później usiedli w kuchni, by wypić kakao. Niegdyś był to ich wspólny rytuał, lecz zarzucili go, gdy David przestał być dzieckiem. Jak mało trzeba, by znów poczuć smak dzieciństwa, pomyślał. Wystarczył łyk kakao i karcące spojrzenie matki, by dopadło go dobrze znane poczucie winy. Kochana kobieta. Jak nikt umiała sprawić, że człowiek w sekundę młodniał. On w każdym razie czuł się przy niej jak sześciolatek.

- Wreszcie znalazłeś sobie kobietę i ją przede mną ukrywasz - gderwała. - Wstydzisz się jej czy co? A może to mnie się wstydzisz? Albo nas obu?

- Naprawdę nie ma o czym opowiadać, mammo. Ja i Kate znamy się bardzo krótko.

- Wstydzisz się przyznać, że jednak masz w sobie ludzkie odruchy?

- Mammo, oszczędź mi tej psychoanalizy!

- Nie zapominaj, że to ja zmieniałam ci pieluchy i opatrywałam rozbite kolana. Na moich oczach omal nie złamałeś ręki przez ten cholerny skateboard. Bardzo rzadko płakałeś. I nadal nie płaczesz. Obawiam się, że nawet nie potrafisz. To taki feler, który odziedzyczyłeś po ojcu. Ja to nazywam klątwą Plymouth Rock. Nie jesteś zupełnie pozbawiony uczuć, ale za żadne skarby nie chcesz ich okazać. Nawet kiedy umarł Noah...

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Widzisz? To już osiem lat, jak odszedł, a ty wciąż się spinasz, gdy ktoś wypowie przy tobie jego imię.

- Mammo, przejdź do rzeczy.

- Kate.

- Co z nią?

- Trzymałeś ją za rękę.

- Ma bardzo ładne, delikatne dłonie.

- Spałeś już z nią?

Zszokowany zakrztusił się i wypluł kakao na stół.

- Mammo!

- No co? Nie ma się czego wstydzić. Wszyscy dorośli ludzie to robią, więc nie mów mi, że jesteś wyjątkiem. I przestań mi tu kręcić. Widziałam, jak na nią patrzysz.

Bez słowa wstał i zaczął czyścić koszulę.

- Mam rację? - nie dawała za wygraną.

- I skąd ja teraz wezmę czystą koszulę? - zapytał poirytowany.

- Weźmiesz jedną z tych, które zostały po ojcu. Dowiem się wreszcie, czy mam rację?

- Z czym, mammo?

Wykonała gest, jakby chciała go udusić.

- Zawsze wiedziałam, że posiadanie jednego dziecka jest błędem.

Na górze rozległ się głuchy łomot.

- Co ta Gracie tam wyprawia? - zapytał.

- Szuka ubrań dla Kate.

Wzdrygnął się. Znajac fatalny gust Gracie, miał prawo przypuszczać, że za chwilę zobaczy Kate w jakiejś mdląco różowej kreacji. W sumie było mu wszystko jedno, co na siebie włoży, byleby wreszcie zeszła. Nie było jej raptem kwadrans, a już zaczął za nią tęsknić. Bardzo go to denerwowało, bo uczucia, których ostatnio doświadczał, sprawiały, że czuł się po ludzku słaby...

Skrzypnęły schody, więc natychmiast się odwrócił. Niestety, była to tylko Gracie.

- Jinx, czy mi się zdaje, czy ty pijesz kakao? - zapytała czujnie. - Przecież wiesz, że po mleku masz sensacje żołądkowe. Zaparzę ci herbatę.

- Nie chcę herbaty!

- Chcesz.

- A właśnie że nie!

- Gdzie Kate? - wszedł im w słowo.

- Zaraz przyjdzie. Jest w twoim pokoju, ogląda modele samolotów. Powiedziałam jej, że to jedyny dowód na to, że David też był kiedyś dzieckiem.

- Zaśmiała się, patrząc porozumiewawczo na Jinx.

- Mój syn dzieckiem? Nie żartuj! Wylazł z mojego brzucha jako w pełni ukształtowany dojrzały człowiek. Może u niego proces przebiega odwrotnie. Będzie się stawał coraz młodszy, aż w końcu dzieciennieje.

- Jak ty, mammo?

Gracie nastawiła wodę na herbatę.

- Jak miło mieć towarzystwo! - westchnęła rzewnie, lecz słysząc dzwonek telefonu, od razu się nasrożyła: - A komu to się zachciewa gadać o dziesiątej w nocy?

- Ja odbiorę. - David sięgnął po słuchawkę. - Halo!

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość! - oznajmił Pokie, z miejsca przechodząc do rzeczy.

- Namierzyłeś samochód, który nas śledził?

- Zapomnij o tym samochodzie. Mamy ptaszka.

- Deckera?

- Doktor Chesne musi go zidentyfikować. Wyrobicie się w pół godziny?

David spojrział na Kate, które właśnie zeszła na dół i patrzyła na niego pytająco. Podniósł kciuk.

- Zaraz u ciebie będziemy - powiedział do Pokiego. - Gdzie go macie? Na posterunku?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Nie, nie na posterunku.

- Więc gdzie?

- W kostnicy.

- Mam nadzieję, że macie mocne nerwy i żołądki. - M. J. energicznie pociągnęła za uchwyt metalowej szuflady, która wysunęła się bezszelestnie. Potem jednym ruchem rozsunęła czarny worek. W ostrym jarzeniowym świetle ciało wyglądało sztucznie, jak odlana z wosku nędzna imitacja człowieka.

- Jakiś żeglarz natknął się na niego wieczorem w zatoce - wyjaśnił Pokie.

Kate poczuła, jak David mocniej ją obejmuje. Po chwili wahania zmusiła się, by spojrzeć na twarz zmarłego. Mimo oznak rozkładu od razu rozpoznała jego oczy. Nawet po śmierci były lekko obłąkane.

- To on - szepnęła.

- No to bingo! - ucieszył się Pokie.

Ten wybuch radości w koszmarnej kostnicy wypadł dość surrealistycznie.

- Ma uraz czaszki. - M. J. przesunęła dłonią w rękawiczce po głowie denata, po czym rozchyliła worek i odsłoniła jego tors. - Musiał długo leżeć w wodzie.

Kate zebrało się na wymioty. Odwróciła się szybko i ukryła twarz w ramieniu Davida. Zapach jego wody kolońskiej zabił wstrętny odór formaliny.

- Na miłość boską, M.J., zamknij go!

- Davy, skarbie, co z tobą? - roześmiała się pani patolog. - Kiedyś nie byłeś taki wrażliwy.

- Człowiek się zmienia. Chodźmy stąd!

- Dobrze, już dobrze. Zapraszam do siebie. Pokój, w którym urzędowała, był zadziwiająco wesoły i przytulny jak na makabryczne miejsce, w którym pracowała. Gdy usiedli, Pokie przyniósł im po kubku kawy, po czym usadowił się naprzeciw.

- A więc tak to się nam ładnie skończyło - westchnął z satysfakcją. - Obędzie się bez sądu i całego tego zamieszania. Mamy

trupa, który pojawił się w idealnym momencie i załatwił sprawę. Oby zawsze tak gładko szło.

- Wiadomo już, jak zginął Decker? - zapytała go Kate.

- Jeszcze nie, ale nietrudno sobie wyobrazić, jak mogło do tego dojść. Koleś pewnie za dużo wypił, zleciał z pomostu i rozwalił łeb o skały. Ciągłe wyławiamy takich topielców. Co myślisz, M.J.?

- Ciężka sprawa - rzekła z ustami pełnym jedzenia. Kate spojrzała na kanapkę ociekającą keczupem i poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. - Trochę sobie chłopak popływał, więc ciało jest w kiepskim stanie. Muszę mu zrobić sekcję.

- Trochę to znaczy ile? - indagował David.

- Co najmniej jeden dzień. Jak nie dłużej.

- Jeden dzień?! To kto nas dzisiaj śledził? - David spojrzał pytająco na Pokiego.

- Coś mi się zdaje, bracie, że poniosła cię wyobraźnia.

- Mówię ci, że jechał za nami samochód.

- I co w tym dziwnego? Przecież to publiczna droga, ruch jest spory.

- Jedno jest pewne. To nie był mój klient z szuflady - wtrąciła M. J. - O ile wiem, umarlaki nie siadają za kółkiem.

- Kiedy będzie wiadomo, co było bezpośrednią przyczyną śmierci? - zapytał David.

- Wezmę go na warsztat jeszcze dzisiaj. Zrobię mu rentgen czaszki i sprawdzę, czy ma wodę w płucach. Ale najpierw muszę zjeść - zaznaczyła, odgryzając kęs jabłka. - A póki co - obróciła się w fotelu i sięgnęła po kartonowe pudełko - obejrzyjcie sobie, co przy nim znaleźliśmy.

Mówiąc to, zaczęła wyjmować przedmioty szczelnie zamknięte w plastikowych woreczkach.

- Grzebień, papierosy winstony, pół paczki. Zapalki, bez etykiety, brązowy portfel z imitacji skóry, a w nim czternaście dolarów. Różne karty - wyliczała metodycznie. - I wreszcie to. - Położyła na stole woreczek, w którym był klucz.

Na plastikowej przywieszce widać było jaskrawy czerwony napis: Hotel Victory.

- Tam mieszkał? - Kate wzięła klucz do ręki.

- Tak, już tam byliśmy - odparł Pokie. - Koszmarna dziura. Wszędzie szczury, wielkie jak konie. Ostatni raz widzieli go tam w sobotę w nocy.

Kate odłożyła klucz i jeszcze raz przyjrzała się osobistym drobiazgom Deckera. Przypomniała sobie jego twarz odbitą w lustrze i obłąkane spojrzenie ciemnych oczu. Nagle ogarnął ją wielki żal i współczucie dla człowieka, którego marzenia zostały tak brutalnie zniszczone. Kim byłeś naprawdę, Charlie? - zapytała go w myślach. Szaleńcem? Mordercą? Miała przed sobą okruchy jego życia. Bardzo skromne i zwyczajne...

- Sprawa skończona, pani doktor. - Pogodny głos Pokiego wyrwał ją z zamyślenia. - Pani prześladowca nie żyje, więc może pani wracać do domu.

Spojrzała na Davida, ale on patrzył w inną stronę.

- Tak - mruknęła ze znużeniem. - Mogę wracać do domu.

Kim byłeś, Charlie? - powtarzała jak refren, gdy ciemną nocą wracali z Davidem do domu. Z jakiegoś powodu nie mogła przestać myśleć o człowieku, który tak wiele wycierpiał. Dla niej on również był ofiarą, jak pozostałych troje.

A teraz zostały tylko zwłoki, które pojawiły się w wyjątkowo dogodnym momencie.

- To wszystko jest zbyt proste - stwierdziła z przekonaniem.

- Co takiego?

- Finał. Wiesz, ciągle myślę o Deckerze. Dopiero teraz zrozumiałam, co wtedy widziałam w jego oczach. Byłam zbyt przerażona, żeby to od razu rozpoznać.

- Co to było?

- Strach. On też się czegoś bał. Musiał znać jakąś straszną tajemnicę. I to go zgubiło. Jak pozostałych...

- Uważasz, że on też jest ofiarą? Skoro tak, po co cię straszyl? Po co dzwonił do ciebie?

- Skąd wiesz, że chciał mnie zastraszyć? Może on próbował mnie przed czymś ostrzec?

- Ale dowody...

- Jakie znów dowody? Parę odcisków palców na kłamce?

- Jest jeszcze naoczny świadek. Przecież widziałas go w mieszkaniu Ann.

- A jeśli on był prawdziwym świadkiem zbrodni? Tylko pomyśl, zginęły cztery osoby. Łączy je to, że zetknęły się z kobietą, która też nie żyje. Gdybym tylko mogła się dowiedzieć, o co chodzi z tą Jenny Brook!

- Niestety, żaden zmarły ci tego nie powie. Niekoniecznie.

- Hotel Victory - powiedziała niespodziewanie. - Wiesz, gdzie to jest?

- Kate, Decker nie żyje. Musisz pogodzić się z tym, że zabrał tajemnicę do grobu.

- Ale jest szansa, że...

- Słyszałaś, co mówił Pokie. Sprawa jest zamknięta.

- Nie dla mnie.

- Na litość boską, zaczynasz mieć obsesję - rzucił ze złością. Gdy po chwili znów się odezwał, był już spokojny. - Posłuchaj, rozumiem, jak bardzo ci zależy, żeby oczyścić się z zarzutów. Zastanów się jednak, czy na dłuższą metę opłaca się o to walczyć. Jeśli liczysz na to, że w sądzie uda ci się zrehabilitować, to się mylisz.

- Skąd możesz wiedzieć, jak będzie głosowała ława przysięgłych?

- Moja praca polega między innymi na tym, żeby przewidzieć werdykt ławników. Odniosłem zawodowy sukces w mieście, gdzie wielu prawników ledwie zarabia na czynsz. Udało mi się wcale nie dlatego, że jestem od nich mądrzejszy. Po prostu starannie wybieram sprawy. A gdy jakąś wezmę, idę na całego. Nie przebieram w środkach, więc kiedy proces dobiega końca, oskarżony żałuje, że w ogóle się urodził.

- Wykonujesz przepiękny zawód.

- Mówię ci o tym tylko dlatego, że naprawdę nie chciałbym, aby coś takiego cię spotkało. Uważam, że powinnaś pójść na ugodę z O'Brienami. Najlepiej, żeby ta sprawa przycichła. Im mniej szumu, tym lepiej. Pamiętaj, że jeśli raz przeczołgają cię przez błoto, część brudu przyłgnie do ciebie na zawsze.

- Tak to się załatwia w prokuraturze? „Przyznaj się do winy, a my już za ciebie wszystko załatwimy”?

- Uwierz mi, że nie ma nic złego w podpisaniu ugody.

- Ty na moim miejscu byś podpisał?

- Tak. Podpisałbym.

- Z tego wniosek, że bardzo się różnimy. Bo ja się nie zgadzam na wyciszenie sprawy. Nie poddam się bez walki.

- Więc przegrasz. - Nie było to ostrzeżenie, lecz wyrok. Równie ostateczny jak głuche stuknięcie młotka sędziego.

- Jak rozumiem, prawnicy nie podejmują się prowadzenia przegranych spraw?

- Ten, z którym rozmawiasz, nie.

- Zabawne. Lekarze stykają się z nimi na co dzień. Spróbuj dogadać się z wylewem. Albo z rakiem. My nigdy nie paktujemy z wrogiem.

- Dzięki temu mam z czego żyć - odparł. - Zbijam fortunę na arogancji lekarzy.

To był cios między oczy. Natychmiast pożałował swych słów. Musiał jednak ostro zareagować, bo Kate szuka guza, a on nie chciał, by sobie go nabiła.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Po raz pierwszy atmosfera była ciężka. Oboje czuli, że ich wspólne sprawy mają się ku końcowi. Od początku było jasne, że ta chwila kiedyś nastąpi. I oto przyszła.

Do domu weszli wprawdzie razem, lecz zachowywali się jak dwoje obcych ludzi. Gdy Kate wyciągnęła walizkę i zaczęła się pakować, poprosił, by zaczekała z tym do rana. To wszystko. Nie zdobył się na to, by jej otwarcie wyznać, iż chce, by z nim została. Po prostu zabrał jej walizkę i zamknął w garderobie. Potem podszedł do niej i zaczął ją całować. Jej wargi były chłodne, przytulił ją więc mocno i ogrzał własnym ciepłem.

Oczywiście potem się kochali. Ostatni raz. Niby wszystko było w porządku, ale oboje czuli, że jest to miłość na zgliszczach. Właściwie nie miłość, tylko zaspokojenie pożądania. Przynoszące ulgę, ale nie dające satysfakcji.

Kiedy zasnęła, David leżał w ciemności i słuchał jej równego oddechu. Też chciałby zasnąć, ale nie mógł. Zbyt intensywnie zastanawiał się, dlaczego nie potrafi nikogo pokochać.

Nie lubił tego stanu. Czuł się wtedy bezbronny. Od śmierci Noaha wytrwale pracował nad tym, by niczego nie czuć. Funkcjonował jak dobrze zaprogramowany robot, oddychał, jadł, spał i uśmiechał się wyłącznie wtedy, gdy należało. Zamknięty w sobie jak ostryga w skorupie prawie nie zauważył, że odeszła od niego żona. Właściwie w ogóle nie przeżył tego rozstania. Dla niego było ono jeszcze jedną

kroplą w morzu cierpienia. Kochał Lindę, lecz tego uczucia nie dało się porównać z ogromną bezwarunkową miłością, którą darzył syna. Według niego siłę uczucia należy mierzyć stopniem cierpienia po utracie obiektu uczuć.

I nagle pojawiła się ta kobieta. Odwrócił się i spojrzał na jej ciemne włosy rozrzucone na poduszce. Jej poprzedniczka była chyba blondynką. Ale kiedy to było? I jak się nazywała? Nie miał pojęcia.

A Kate? Z nią było inaczej. Oczywiście pamiętał jej imię. I to jak zasypia, skulona niczym zmęczony kociak. Oraz to, że gdy jest obok, mrok zaczyna się rozjaśniać. Miał to wszystko wyryte w pamięci.

Wstał z łóżka i pchany dziwną tęsknotą poszedł do pokoju Noaha. Od bardzo dawna w nim nie był. Nawet tam nie zaglądał, bo nie mógł znieść widoku pustego łóżka. Wystarczyło, że rzucił na nie okiem, i od razu budziły się wspomnienia. Przypominał sobie, jak wieczorem zakradał się na palcach, by sprawdzić, czy synek śpi i czy się nie odkrył. A on zawsze się wtedy budził. I zaczynali w ciemności rozmowę, która z czasem stała się ich rytuałem:

To ty, tatusiu?

Tak, Noah. Śpij.

Najpierw mnie przytul. Proszę cię.

Dobranoc, pchły na noc.

Usiadł na łóżku i długo wsłuchiwał się w echa przeszłości, przypominając sobie, jak niewyobrażalny ból niesie ze sobą miłość. Potem wrócił do sypialni, położył się obok Kate i zasnął.

Wstał bladym świtem i od razu poszedł pod prysznic, by z premedytacją zmyć z siebie wszelkie ślady miłości. Czuł się jak człowiek, który przeżył odnowę. Potem zaczął się ubierać. Wkładał każdy fragment garderoby w taki sposób, jakby kompletował zbroję, która osłoni go przed światem. Pijąc w kuchni kawę, rozmyślał o tym, że nie ma żadnego logicznego powodu, by Kate dłużej u niego została. Spełnił swój obowiązek, odegrał rolę rycerza na białym koniu.

Nigdy jej nie obiecywał, że zwiąże się z nią na dłużej, sumienie miał więc czyste. Pora, by wróciła do swojego życia. Może po kilku dniach bez niej spojrzy na wszystko z dystansem i dojdzie do wniosku, że przeżył chwilową burzę hormonów. A może po prostu usiłuje oszukać samego siebie.

Martwił się o nią. Nie chciał, by interesowała się przeszłością Deckera, ale wiedział, że ona nie przestanie węszyć. Wczoraj nie

wyjawił Kate, że w głębi duszy przyznaje jej rację. Tajemnicze morderstwa na pewno nie były dziełem szaleńca opętanego żądzą zemsty. Cztery osoby straciły życie. Nie chciał, by Kate była piątą.

Zamiast wyjść do biura, wrócił do sypialni i usiadł w nogach łóżka, by z bezpiecznej odległości popatrzeć, jak Kate śpi. Taka piękna, uparta, wściekle niezależna kobieta. Do tej pory twierdził, że ceni w kobietach niezależność, teraz nie był już tego taki pewny. W pewnym sensie żałował, że Decker nie żyje.

Gdyby nadal jej zagrażał, przynajmniej potrzebowałaby jego pomocy. Cóż za skrajny egoizm!

Nagle uświadomił sobie, że nadal może jej się do czegoś przydać. Przeżył w jej ramionach dwie cudowne noce, miał więc wobec niej dług wdzięczności.

- Kate? - Delikatnie nią potrząsnął.

Wolno otworzyła oczy. Cudne, sensne, zielone oczy. Miał ochotę ją pocałować, ale wolał nie kusić losu.

- Hotel Victory - powiedział cicho. - Nadal chcesz tam jechać?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pani Tubbs, kierowniczka hotelu Victory, przypominała nadętą ropuchę. Mimo upału miała na sobie szary wełniany sweter i dziurawe rajstopy, z których wystawał spuchnięty jak balon brudny paluch.

- Charlie? - powtórzyła, przyglądając im się podejrzliwie przez szparę w drzwiach. - Zgadza się, mieszkał tu taki jeden.

W pokoju za nią bębnił telewizor.

- Debilu jeden! Żeś nie mógł tego zgadnąć?!

- Gruby męski głos komentował występ uczestnika teleturnieju.

- Ebbie! Do diabła, weźże to przycisz. Nie słyszysz, że rozmawiam? - wrzasnęła przez ramię. - A ten Charlie, co się pytacie, to już tu nie mieszka - oznajmiła. - Wziął się i zabił. Tak mi mówiła policja.

- Jeśli można, chcielibyśmy obejrzeć jego pokój.

- A po co?

- Szukamy informacji.

- A wy co, też z policji?

- Nie, ale...

- Bez nakazu nikogo tam nie wpuszczę! - oznajmiła z naciskiem.

- Policja zabroniła. A mnie już starczy kłopotów. - Dla podkreślenia wagi swych słów zaczęła zamykać drzwi, ale David je przytrzymał.

- Widzę, że przydałby się pani nowy sweter.

- Przydałoby mi się sporo nowych rzeczy - rzuciła, ale uchyliła drzwi nieco szerzej. - A zwłaszcza nowy mąż - dodała, gdy z pokoju dobiegło głośne beknięcie.

- Przykro mi, ale w tej sprawie pomoc nie mogę. - David się uśmiechnął.

- Pewnie. Tylko sam Pan Bóg może coś z tym zrobić.

- A on, jak wiadomo, potrafi czynić cuda - odparł i dyskretnie wsunął jej do ręki dwadzieścia dolarów.

- Jak właściciel hotelu się dowie, to mnie zabije.

- Nie dowie się - zapewnili ją zgodnym chórem.

- Skąd ta pewność? Żebyście wiedzieli, jakie ja grosze dostaję za prowadzenie tej budy - jęknęła i zaczęła wyrzekać na swój ciężki los.

David miał nadzieję, że następne dwadzieścia dolarów ulży nieco jej niedoli.

- Ale nie jesteście żadnymi inspektorami? - upewniła się, upychając pieniądze w staniku. - Nie, na pewno nie. Jeszcze nie widziałam, żeby któryś z tych łachudrów przyszedł tu tak wystrojony jak pan. No dobra. Szkoda czasu na gadanie. Chodźcie.

Po wąskich schodach wspięła się z nimi na piętro, sapiąc przy tym jak kowalski miech.

- To tutaj! Pokój dwieście trzy - wykrztusiła, purpurowa z wysiłku. - Ten wasz Charlie mieszkał u mnie miesiąc. Spokojny chłopak, nie powiem. Nie miałam z nim żadnych kłopotów. Nie to, co z resztą tego tałatajstwa.

Drzwi na drugim końcu korytarza otworzyły się z trzaskiem i dwie dziecięce główki wyjrzały na zewnątrz.

- Charlie wrócił? - zapytała chuda dziewczynka.

- Przecież już wam mówiłam, że nie ma go i nie będzie - huknęła pani Tubbs.

- A kiedy wróci?

- Wy głuche jesteście, czy co? A w ogóle, to dlaczego nie poszła do szkoły?

- Bo Gabe zachorował - wyjaśniła dziewczynka. Dla potwierdzenia jej słów młodszy brat kichnął, a potem rozsmarował sobie wszystko na twarzy.

- A gdzie mama?

- W pracy.

- Tak... I znowu zostawiła was samych, żebyście mi tu chałupę z dymem puścili.

- Zabrała zapalki - zapewnił Gabe.

- Dobra, już was tu nie ma! - Pani Tubbs pogroziła im pięścią, po czym wzięła się za otwieranie drzwi do pokoju Charliego.

- Proszę bardzo - wysapała, puszczając ich przodem. - Wchodźcie śmiało. Możecie sobie patrzeć, ile dusza zapragnie. Tylko niczego nie zabierajcie! - zastrzegła.

Weszli do środka, wywołując panikę wśród stada karaluchów, które w sekundę rozpierzchnęły się do swych kryjówek. Ich gospodyni podeszła do okna i rozsunęła przetarte zasłony. Jasny blask słońca wyostrzył przygnębiającą nędzę ciasnego pokoiku, w którym unosił się zatechły smród papierosów i starego tłuszczu.

Kate rozejrzała się i pojęła, dlaczego pani Tubbs tak bardzo obawia się wizyty inspektorów. Pokój był bowiem zapuszczoną norą, nie spełniającą żadnych norm sanitarnych.

Przygnębiona popatrzyła na skotłowaną brudną pościel, przepełnioną popielniczkę i stół zawalony jakimiś notatkami. Podeszła bliżej i ostrożnie sięgnęła po pierwszą kartkę z brzegu.

Ósme urodziny były super
Dziewiąte też niczego sobie
A teraz przyszła pora na dziesiąte.
Kochana moja Jocelyn,
Przyjmij najlepsze życzenia
Wszystkich marzeń spełnienia
I pamiętaj: najlepsze dopiero przed tobą.

- Kto to jest Jocelyn? - zapytała panią Tubbs.

- Ta mała z pokoju obok. Same kłopoty z tymi bachorami, matki nigdy nie ma, więc robią, co chcą. Dawno już bym ich wywaliła, ale płacą na czas.

- Ile kosztuje pokój?

- Cztery stówy za miesiąc.

- Czyba pani żartuje?

- Przecież taka świetna lokalizacja musi kosztować - oburzyła się. - Blisko stąd do autobusów. Nie pobieramy opłat za wodę i światło. - Okazały prusak przebiegł tuż obok jej stóp. - I przyjmujemy zwierzęta - dodała, nie tracąc rezonu.

- Jaki był Charlie? - zapytała ją Kate.

- Jaki był? Strasznie skryty. Siedział tu sobie cichutko jak mysz pod miotłą. Nie puszczał głośno muzyki. Na nic nie narzekał. Aż czasem człowiek zapominał, że tu jest. Ech, porządny był z niego gość - westchnęła z żalem.

Zaczęli przeszukiwać pokój. Szybko okazało się, że Charlie prawie nic nie miał. Zostawił po sobie kilka wymiętych koszul, skarpetki, bieliznę i parę puszek zupy „Campbell”.

Kate podeszła do okna i wyjrzała na ulicę zasłaną potłuczonym szkłem. Okolica była nie mniej przygnębiająca niż pokój. Wyglądała jak ślepy zaułek. Miejsce przekłete przez Boga i ludzi, w którym lądują życiowi rozbitkowie, gdy sięgną dna. Nie, tak naprawdę można upaść jeszcze niżej.

W końcu zawsze pozostaje grób.

- Kate, pozwól na chwilę. Znalazłem tu jakieś lekarstwa! - zawołał David, który przeglądał nocną szafkę. - Haldol. Wydany na receptę wystawioną przez doktora Nemechka ze stanowego szpitala.

- To psychiatra Deckera.

- Spójrz, mam coś jeszcze.

Pokazał jej niewielkie zdjęcie w ramce. Od razu wiedziała, kim jest uwieczniona na nim kobieta. Wzięła je od Davida i podeszła do okna, by mu się przyjrzeć. Fotka została zrobiona na jakiejś plaży. Młoda kobieta, właściwie dziewczyna, uśmiechała się do obiektywu, mrużąc lekko oczy. Kate od razu zwróciła na nie uwagę, były bowiem bardzo piękne. Ciemne, wesołe, życzliwe całemu światu, były największą ozdobą ładnej twarzy. Dziewczyna miała na sobie prosty biały kostium. Klęczała na piasku, celowo przybierając seksowną pozę. Była w niej jednak wrodzona niewinność, która sprawiała, że wyglądała jak mała dziewczynka wystrojona w ubranie mamy.

Delikatnie wyjęła fotografię z ramki. Brzegi były wytarte, widocznie ktoś ich często dotykał. Na odwrocie widniała dedykacja. „Wracaj do mnie szybko. Jenny”.

- Jenny - szepnęła wzruszona. Długo przyglądała się kobiecie, w której oczach płonął wieczny blask. I myślała o tym, że dla Charliego ta blaknąca fotografia była najcenniejszym skarbem. - Co się stanie z tymi rzeczami? - zapytała panią Tubbs.

- A bo ja wiem? Chyba spróbuję to sprzedać. Biedaczysko nie zapłacił mi za ostatni tydzień, więc muszę to sobie jakoś odbić. Tylko że to wszystko nic niewarte. No, może z wyjątkiem tego, co pani trzyma.

- Śliczna była, prawda? - Kate spojrzała ciepło na uśmiechniętą Jenny.

- Ja nie mówię o zdjęciu, tylko o ramce. Jest srebrna - wyjaśniła pani Tubbs.

Jocelyn i jej brat bujali się na łańcuchach odgradzających chodnik od jezdni. Kiedy Kate i David wyszli z hotelu, zeskoczyli na ziemię i zaczęli im się uważnie przyglądać. Mieli przy tym takie miny, jakby spodziewali się jakichś niezwykłych zdarzeń. Ponieważ nic niezwykłego nie nastąpiło, dziewczynka postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

- On umarł, prawda? - zawołała, a kiedy Kate kiwnęła głową, powiedziała do jednej z plam na swojej sukience: - Widzisz, mówiłam ci, że tak będzie. Dorośli to straszne głupki. Nigdy nie mówią prawdy.

- A co wam powiedzieli o Charliem? - zapytała Kate.

- Że gdzieś wyjechał. Ale nie uwierzyłam, bo nie dał mi prezentu.

- Na urodziny?

- Mam już dziesięć lat! - oświadczyła z dumą, spoglądając na swój nieistniejący biust.

- A ja siedem - wtrącił Gabe, który przez cały czas kurczowo trzymał się brzegu siostrzanej spódnicy.

- Charlie był waszym przyjacielem, tak? - David próbował być miły, ale tylko niepotrzebnie ją speszył.

- Charlie nie miał żadnych przyjacieli - odparła z powagą. - Ja też nie mam. Tylko Gabe'a, ale on się nie liczy, bo to brat.

Gabe uśmiechnął się i wytarł nos o jej spódnicę.

- A czy mieszka tu ktoś, kto znał Charliego tak dobrze jak wy? - ciągnął David.

Jocelyn chwilę się zastanawiała.

- Możecie zapytać u Maloneya, tu niedaleko.

- A kto to jest?

- Nikt.

- Jak to nikt? Przecież mówisz, że znał Charliego.

- Bo to nie jest żaden on. Maloney to miejsce.

- Jasne. Ale ze mnie głuptak - zreflektował się David.

- A co wy tu robicie, gnojki? Uciekać mi stąd! I to już! Chcecie, żeby mi przez was zabrali pozwolenie?!

Jocelyn i Gabe udawali, że niczego nie słyszą i pobiegli prosto do baru.

- Przyprawiliśmy panią i pana, którzy chcą z tobą pogadać, Sam - wyjaśniła dziewczynka, wdrapując się na wysoki stółek.

- Nie widzieliście, co jest napisane na drzwiach?

- burknął barman. - Żeby tu wejść, trzeba mieć dwadzieścia jeden lat!

- A ja mam już siedem. Dasz mi oliwkę? - zagadnął Gabe.

- Masz i zmykaj! - Mężczyzna położył przed nim kilka sztuk. W tej samej chwili spostrzegł Davida i Kate. Tak się ich przestraszył, że

aż podskoczył. - To nie moja wina - zastrzegł od razu. - Te małe szelmy ciągle tu przyłazą. Właśnie próbuję ich stąd wykurzyć.

- Sam, to nie są żadni inspektorzy - szepnęła Jocelyn. - To my ich tu przyprowadziliśmy.

- Zbieramy informacje o jednym z klientów - wyjaśnił David, by nie trzymać barmana w niepewności.

- Czy może pan nam coś powiedzieć o Charliem?

Barman obrzucił go taksującym spojrzeniem. Jego chytrze przymrużone oczy zdradzały tok myśli: elegancki garnitur, jedwabny krawat, wszystko warte kupę szmalu.

- Charlie nie żyje - rzucił lakonicznie.

- Wiemy.

- Nie powiem złego słowa o umarłym - zastrzegł, po czym zrobił znaczącą pauzę. - Podać coś państwu?

- Dwa piwa - westchnął David, siadając na stołku.

- I dwa soki ananasowe - dodała szybko Jocelyn.

- Robi się. Dwanaście dolarów.

- Tanio u pana - stwierdził David, kładąc na barze dwadzieścia dolarów. - Reszty nie trzeba.

- Co powie pan o Charliem? - zapytała Kate.

- Zawsze siadał przy tamtym stoliku. - Barman machnął ścierką w kierunku mrocznego kąta.

- I?

- I nic. Mówię, że tam siadał.

- I co robił?

- To co wszyscy. Pił. Najczęściej czystą whisky. A jak miał ochotę, to robiłem mu „kwaśnego Sama”. Mój wynalazek - pochwalił się i umilkł. Jak automat, który czeka, aż ktoś wrzuci następną monetę.

- Chętnie spróbuję pana wynalazku - rzekła Kate.

- Proszę bardzo. - Dokładnie odmierzył dzin, wodę sodową i sok z cytryny. - Pięć dolarów - poinformował, stawiając przed nią szklankę. - I co? Dobre?

- Interesujący smak - wybrnęła, upiwszy mały łyk.

- Wszyscy tak mówią.

- Rozmawiamy o Charliem. - David pilnował, by rozmowa nie zbaczła z właściwych torów.

- A tak. No więc przychodził do nas prawie co wieczór. Chyba lubił być między ludźmi, choć rzadko z kimś rozmawiał, bo coś tam

miał nie tak z gardłem. Siadał sobie w tym swoim kącie i pił, ale nigdy nie przesadzał. Zwykle kończył na dwóch...

- Czystych whisky - powiedział David.

- Właśnie. Znał umiar, nie to co inni. Przychodził tak przez cały miesiąc, a potem raptem przestał. Szkoda.

- Wie pan, dlaczego zniknął?

- Podobno gliny go szukały. Poszła plotka, że kogoś zabił.

- A co pan o tym myśli?

- Charlie miałby kogoś zabić? - Barman parsknął śmiechem. -

Wolne żarty!

- Czy kiedykolwiek wspominał o Jenny Brook? - zapytała Kate.

- Już mówiłem, że mało gadał. Zresztą często był zajęty, bo pisał te swoje wiersze. Mógł tak bazgrać godzinami. A potem nagle coś w niego wstępowało i zaczynał je drzeć na strzępy. Tylko sprzątanie potem było.

- Nie wiedziałam, że był poetą - powiedziała zaskoczona.

- Dzisiaj to każdy się za poetę uważa. Ale ten Charlie traktował to poważnie. Jak tu był ostatnim razem, zabrakło mu pieniędzy. Wyciągnął więc jeden z tych swoich wierszy i mi go dał. Bierz, Sam, mówi. Kiedyś to będzie sporo warte. Co miałem robić, wziąłem. Straszny ze mnie frajer, nie?

- Ma pan ten wiersz? - zainteresowała się.

- Tak, powiesiłem go tu, na ścianie.

Wyrwana z zeszytu kartka dyndała na paru kawałkach taśmy klejącej. W mrocznym wnętrzu z trudem dawało się odczytać słowa:

Oto co od nich usłyszałem:

„Potrzeba czasu...

Czas leczy rany, pozwala zapomnieć".

Oto co im odpowiedziałem:

„Uzdrowienie nie polega na zapominaniu

Lecz na pamięci

O tobie.

O zapachu morza na twojej skórze;

O odcisniętych na piasku śladach twoich drobnych pięknych stóp.

Pamięć jest bezkresna.

Leżysz więc, teraz i na zawsze, na brzegu morza.

Otwierasz oczy. Dotykasz mnie.

Słońce przepływa przez twoje palce.
I czuję się uleczony. Czuję się uleczony".

- I co? Myślicie, że to coś warte? - Barman spojrzał na nich z nadzieją.

- No pewnie! Przecież to Charlie napisał! - powiedziała z przejęciem.

- Zdaje się, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek - skomentował David, gdy wyszli na zalaną słońcem ulicę.

Równie dobrze mógł to powiedzieć o ich związku. Gdyby chociaż się do niej uśmiechnął lub dał jakiś znak, że ich przygoda jeszcze się nie kończy. On jednak milczał. Patrzyła, jak stoi z rękami w kieszeni na chodniku zaśmieconym szkłem z potłuczonych butelek, na tle krzykliwej fasady kina porno, i powoli godziła się z myślą, że ich wspólny czas dobiega końca.

- W tej sprawie jest mnóstwo niezbadanych wątków - stwierdziła, gdy ruszyli do samochodu. - Nie rozumiem, dlaczego policja zamknęła śledztwo.

- W tej pracy tak już jest. Zawsze zostają jakieś wątpliwości i niezbadane wątki.

- To smutne, kiedy człowiek umiera i prawie nic po nim nie zostaje - westchnęła, zerkając w stronę hotelu.

- Myślisz, że z nami będzie inaczej? Jeśli nie napiszesz wspaniałej książki albo nie zbudujesz imponującego gmachu, kto będzie o tobie pamiętał? Nikt.

- Z wyjątkiem dzieci. Długo milczał.

- O ile zdarzy ci się to szczęście, by je mieć - zauważył z goryczą.

- Przynajmniej dowiedzieliśmy się jednego o Deckerze - dodała na pocieszenie. - Bardzo ją kochał. Tę swoją Jenny.

Ciekawe, jakie to uczucie, być tak kochaną? - przebiegło jej przez myśl. I co takiego miała w sobie ta kobieta, że zasłużyła na tak wielką miłość?

- Fajnie wrócić wreszcie do domu - stwierdziła bez przekonania.

- Naprawdę?

- Tak. Przywykłam do tego, że jestem sama.

- Podobnie jak ja.

Wycofali się do swych emocjonalnych narożników. Zostało im już tak niewiele czasu, a oni cedzili słowa jak nieznajomi. Rano, zanim pojechali do hotelu, rozmawiali o wszystkim z wyjątkiem tego, co najbardziej leżało jej na sercu. Pakując walizki, w napięciu czekała, aż David poprosi, by została. Nie wahałaby się ani chwili.

Nawet się na ten temat nie zająknął.

Dziękowała Bogu, że obdarzył ją silnym charakterem. W trudnych chwilach nigdy nie zalewała się łzami ani nie próbowała emocjonalnego szantażu. Nawet Eric, jej były partner, to doceniał. Zawsze jesteś taka rozsądna, powiedział, gdy się rozstawali.

Teraz też zachowała rozsądek. Całą drogę do domu udało jej się utrzymać minę rasowego pokerzysty.

David zaniósł jej walizkę pod drzwi. Poruszał się przy tym jak człowiek, któremu bardzo się spieszy.

- Może wstąpisz na kawę? - zaproponowała, wiedząc, że odmówi.

- Teraz nie mogę. Ale zadzwonię do ciebie. Słynne ostatnie zdanie. Oczywiście w mig pojęła jego ukryty sens. Było żywcem wyjęte z kanonu rozstań.

David ostentacyjnie spojrział na zegarek. Pora ruszać w drogę. Tyle że każde z nas w swoją, pomyślała.

Przekręciła klucz w zamku i lekko pchnęła drzwi. Otwierały się powoli, stopniowo odsłaniając znajome wnętrze. Znieruchomiała. Nie wierzyła własnym oczom. Miała wrażenie, że ogląda scenę z sennego koszmaru.

Boże, dlaczego mnie to spotyka? I dlaczego teraz?

Poczuła na ramieniu rękę Davida. Podtrzymał ją, gdy cofając się, zaplątała się we własne nogi. Zdawało jej się, że pokój faluje. Chcąc skupić na czymś wzrok, spojrzała na przeciwległą ścianę. I po raz drugi ugięły się pod nią kolana. Na jasnej tapecie w delikatny roślinny wzór ktoś napisał krwistoczerwonym sprejem: „NIE WTYKAJ NOSA W NIE SWOJE SPRAWY”. A pod spodem narysował trupa czaszkę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Davy, przestań mi wiercić dziurę w brzuchu! Ile razy mam ci powtarzać, że wznowienie śledztwa nie wchodzi w grę?

Pokie Ah Ching sunął przez zatłoczony posterunek, wychlapując kawę z plastikowego kubka. Niewzruszony i majestatyczny niczym fregata prująca wzburzone fale, mijał kolejno: sierżanta wyklócającego się z kimś przez telefon, asystentki biegające tam i z powrotem z segregatorami, śmierdzącego pijaka ubliżającego dwóm wyraźnie zmęczonym policjantom.

- Czy ty nie rozumiesz, że to było ostrzeżenie?

- Nawet jeśli, to pewnie zostawił je Decker.

- Sąsiadka Kate podlewała kwiatki we wtorek i wszystko było w porządku. Więc to się musiało stać później, kiedy Decker już nie żył.

- Może jakieś małolaty zrobiły jej głupi dowcip.

- Naprawdę uważasz, że jakiś małolat pisałby: „Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy”?

- Słuchaj, Davy. Ty rozumiesz dzisiejsze dzieciaki? Bo ja nie! Ze swoimi nie mogę się dogadać, a co dopiero z jakąś patologią, którą chowa ulica. - Pokie wszedł do pokoju i ciężko opadł na fotel. - Stary, wybacz, ale ja naprawdę nie wiem, w co najpierw ręce włożyć.

David oparł się o biurko.

- Wczoraj mówiłem ci, że ktoś nas śledził. Stwierdziłeś, że sobie to wymyśliłem.

- Nadal tak uważam.

- Potem okazało się, że Decker nie żyje. Naprawdę uważasz, że to był nieszczęśliwy wypadek?

- Coś mi tu pachnie teorią spiskową.

- Pogratulować węchu!

- Okej! - westchnął. - Masz minutę, żeby przedstawić mi swoją teorię. Czas start. Uprzedzam, że za sześćdziesiąt sekund wywalę cię za drzwi.

David gwałtownie przysunął sobie krzesło.

- Dobra. Mamy cztery trupy. Tanaka, Richter, Decker. I Ellen O'Brien...

- O, przepraszam. Zgony podczas operacji to nie moja działka.

- Ale morderstwa tak! Pokie, w tej grze jest jeden cholernie sprytny rozgrywający. W ciągu dwóch tygodni udało mu się

wyeliminować cztery osoby. To ktoś cholernie inteligentny, nierzucający się w oczy i posiadający wykształcenie medyczne. I śmiertelnie wystraszony, a przez to nieobliczalny.

- I niby czego tak się boi?

- Nie czego, tylko kogo? Kate Chesne, Może Kate zadaje za dużo pytań. Może wie o czymś, ale nie zdaje sobie z tego sprawy. Jedno jest pewne. Musiała zrobić coś, co bardzo zdenerwowało mordercę.

- Mówisz, niewidzialny gracz? Domyślam się, że masz dla mnie listę podejrzanych.

- Otwiera ją szef anestezjologów. Sprawdziliście już tę historię z jego żoną?

- Tak. Zmarła we wtorek w nocy. Śmierć z przyczyn naturalnych.

- Jasne. Kopnęła w kalendarz równą dobę po tym, jak jej stary wyniósł ze szpitala leki, za pomocą których można zabić człowieka.

- Przypadek.

- Słuchaj, facet mieszka sam. Nikt tak naprawdę nie wie, co robi po godzinach.

- Weź ty mnie nie rozśmieszaj! - prychnął Pokie.

- Już widzę tego starego capa, jak lata ze skalpelem. Geriatryczny Kuba Rozpruwacz! - szydził. - Niby dlaczego miałby podrzynać gardła kolegom z pracy? - zapytał, poważniejąc.

- Nie wiem - przyznał David. - Ale to musi mieć jakiś związek z przypadkiem Jenny Brook.

Odkąd ujrzał tę kobietę na zdjęciu, nie mógł o niej zapomnieć. Bez przerwy myślał o tym, jak umarła, przypominał sobie fragmenty dokumentacji medycznej, w której opisano jej zgon. „Gwałtowne pogorszenie się stanu pacjentki. Noworodek płci żeńskiej, żywy”.

Matka i dziecko, dwa żywe płomyki zdmuchnięte za jednym zamachem w sali operacyjnej. Dlaczego po pięciu latach tamta śmierć zagraża Kate?

- Panie poruczniku? - Sierżant Brophy, wycierając załzawione oczy, położył na biurku Pokiego plik dokumentów. - Przyszedł wreszcie ten raport, na który pan czeka.

- Dzięki, sierżancie. Sam widzisz, Davy. Wybacz, ale muszę brać się do roboty.

- Wznowisz śledztwo?

- Zastanowię się nad tym.

- A co z Averym? Na twoim miejscu...

- Powiedziałem, że się zastanowię! - przerwał mu grubiańsko i otworzył raport.

David zrozumiał, że równie dobrze mógłby walić głową w mur. Zaciśnął więc zęby i bez słowa wstał.

- Czekaj, Davy!

- Co znowu? - Zdziwił go nienaturalnie ostry ton kolegi.

- Gdzie jest ta twoja Kate?

- U mojej matki. A co?

- Znaczą się, jest bezpieczna?

- Jeśli towarzystwo mojej matki można uznać za bezpieczne, to owszem - stwierdził z przekąsem.

Pokie machnął w jego stronę raportem.

- M.J. przysłała wyniki sekcji. Decker nie utonął.

- Co?! - David w ułamku sekundy znalazł się przy biurku i wyrwał mu papiery.

„Zdjęcie rentgenowskie wykazało uszkodzenie czaszki, do którego doszło na skutek silnego ciosu zadanego twardym narzędziem. Przyczyna śmierci: krwiak zewnątrzoponowy mózgu”.

Pokie ze znużeniem osunął się w fotelu i wypluł z siebie wyjątkowo ordynarne przekleństwo.

- Ktoś wrzucił do wody trupa.

- Zemsta? - zamyśliła się Jinx, odgryzając kawałek ciastka. - Moim zdaniem to całkiem racjonalny motyw zabójstwa. Oczywiście zakładając, że odebranie komuś życia nie jest z zasady aktem irracjonalnym.

Razem z Kate siedziały na tylnej werandzie z widokiem na cmentarz. Popołudnie było bezwietrzne. Chmury wisiały nieruchomo jak żaglówki w czasie flauty, na drzewach nie drgnął nawet jeden listek, a powietrze nad doliną było ciężkie i gęste.

- Będzie padać! - zawyrokowała Gracie.

- Charlie Decker był poetą. Bardzo kochał dzieci. - Kate wróciła do przerwanej opowieści. - Co więcej, dzieci też do niego lgnęły. Nie uważa pani, że gdyby był uosobieniem zła, one by to wyczuły?

- Nonsens. Dzieci są tak samo durne jak my wszyscy. A fakt, że Decker pisał romantyczne wiersze, jeszcze o niczym nie świadczy. Przez pięć lat rozdrapywał swoje rany i oplakiwał śmierć ukochanej.

Moim zdaniem to wystarczająco długo, by obsesja przerodziła się w chorobliwą żądzę odwetu.

- Wszyscy, którzy go znali, zgodnie twierdzą, że nie był agresywny.

- Każdy nosi w sobie agresję. Ujawnia ją zwłaszcza wtedy, gdy musi bronić tych, których kocha. Miłość i nienawiść od zawsze idą w parze.

- Smutne, co pani mówi o ludzkiej naturze.

- Ale prawdziwe. Mój mąż był sędzią, syn prokuratorem. Nasłuchałam się w życiu takich historii, które raz na zawsze pozbawiły mnie złudzeń. Niech mi pani wierzy, rzeczywistość często bywa gorsza od naszych najbardziej mrocznych wizji.

- Dlaczego David zrezygnował z pracy w prokuraturze? - zapytała Kate, błędząc wzrokiem po zielonym zboczu usianym brązowymi tablicami, które wyglądały jak ślady stóp odcisnięte na trawie.

- Nie mówił pani?

- Wspominał coś o niskich zarobkach. Zdziwiłam się, bo mam wrażenie, że pieniądze nie są dla niego najistotniejsze.

- W ogóle go nie obchodzi - wtrąciła Gracie.

- Więc dlaczego odszedł?

Jinx rzuciła jej jedno ze swych bystrych spojrzeń.

- Muszę przyznać, Kate, że jest pani dla mnie zagadką. Po pierwsze dlatego, że David nigdy dotąd nie przedstawił mi żadnej swojej znajomej. A kiedy usłyszałam, że jest pani lekarką... - Pokręciła głową.

- David nie lubi lekarzy - wyjaśniła Gracie.

- „Nie lubi” to trochę zbyt słabe określenie, moja droga - pouczyła ją Jinx.

- Prawda - przyznała Gracie po zastanowieniu. - On ich z całego serca nienawidzi.

Jinx bez słowa sięgnęła po laskę i wstała.

- Chodźmy - zwróciła się do Kate. - Myślę, że powinna pani coś zobaczyć.

Przez postrzępioną szczelinę w żywopłocie dostały się na cmentarz i w powolnym uroczystym tempie doszły do cienistego zakątka pod wielkim drzewem. Tam zatrzymały się i przez chwilę w

skupieniu spoglądały na leżącą u ich stóp wiązaną wieńcówką kwiatów.

Noah Ransom Żył lat siedem

- To mój wnuk.

- Dla Davida to musiało być straszne - szepnęła Kate.

- Nie tylko dla niego. Dla nas wszystkich. Ale on do tej pory się nie pozbierał. - Jinx odsunęła końcem łaski listek. - Chciałabym opowiedzieć pani o moim synu. Zacznę od tego, że w jednym przypomina ojca: nie szafuje uczuciami. Jak biedak, który dziesięć razy obejrzy monetę, zanim ją wyda, tak on oszczędza emocje. Ale jeśli już kogoś pokocha, to na całe życie. Właśnie dlatego tak ciężko przeżył śmierć Noaha. Ten chłopiec był jego największym szczęściem, najcenniejszym skarbem. Do dziś nie pogodził się z jego odejściem. Może dlatego traktuje panią tak nieufnie. Czy powiedział pani, dlaczego Noah zmarł?

- Mówił, że na zapalenie opon mózgowych.

- Właśnie. Bakteryjne zapalenie opon mózgowych. Choroba całkowicie uleczalna, prawda?

- Owszem, jeśli zostanie zdiagnozowana we wczesnym stadium.

- Jeśli. To słowo do dziś prześladowuje mojego syna. - Ze smutkiem spojrzała na więdnące kwiaty. - Kiedy Noah zachorował, David był akurat w Chicago na jakiejś konferencji. Początkowo Linda nie przejęła się kiepskim samopoczuciem małego. Wiadomo, dzieciaki non stop chorują. Tyle że tym razem gorączka była bardzo wysoka i nie dała się niczym zbić. Potem Noah zaczął się skarżyć na straszny ból głowy. Jego lekarz był na urlopie, więc Linda poszła z nim do innego doktora z tej samej przychodni. Dwie godziny przesiedzieli w poczekalni. A pan doktor poświęcił chłopcu całe pięć minut i kazał im wracać do domu.

Kate popatrzyła na grób, z lękiem myśląc o tym, co za chwilę usłyszy.

- W nocy Linda dzwoniła do lekarza trzy razy. Widocznie czuła, że z dzieckiem dzieje się coś złego. Skończyło się na tym, że pan doktor ją zbeształ i nawyzywał od histeryczek. To zwykłe przeziębienie, a pani z tego robi śmiertelną chorobę, zżymał się. Kiedy w końcu zawiozła małego na ostry dyżur, majaczył. Podobno bez

przerwy wołał tatę. Lekarze ze szpitala stawali na głowie, żeby go uratować, ale... - Bezradnie wzruszyła ramionami. - Obydwoje bardzo przeżyli jego śmierć. Linda nie umiała sobie poradzić z poczuciem winy, a David... po prostu się wycofał. Zamknął się w sobie i nikogo do siebie nie dopuszczał. Nie dziwię się, że Linda od niego odeszła.

Jinx na chwilę umilkła.

- Wkrótce okazało się, że lekarz, który zbagatelizował chorobę Noaha, jest alkoholikiem. W Kalifornii, gdzie przedtem pracował, stracił przez to prawo do zawodu. Kiedy David się o tym dowiedział, rozpoczął swoją prywatną wojnę. Ciągał faceta po sądach, aż go zniszczył. Ale w życiu nie ma nic za darmo, zwycięstwo też ma swoją cenę. David zapłacił za nie rozpadem małżeństwa i zrujnowanym życiem osobistym. Właśnie wtedy odszedł z prokuratury. Szybko się dorobił, niszcząc niedbałych lekarzy. Ale to nie pieniądze go motywują. Myślę, że już do końca życia podświadomie będzie krzyżował lekarza, przez którego stracił dziecko.

I dlatego nic z tego nie będzie, pomyślała Kate. Zawsze będę dla niego wrogiem, którego trzeba zniszczyć. Wdeptać w ziemię.

Jinx wolno pokuśtykała w stronę domu, a ona została sama w cieniu wielkiego drzewa. Myślała o Noahu, który żył lat siedem. I o tym, jak potężną siłą może być miłość do dziecka, równie okrutną i obsesyjną, jak ta między kobietą a mężczyzną. Zastanawiała się, czy byłaby w stanie rywalizować ze wspomnieniami. Albo czy David przestałby widzieć w niej kogoś, kto jest winien śmierci jego syna?

Przez długie lata cierpliwie pielęgnował ból, aż przekształcił go w źródło niewyczerpanej energii, która pozwalała mu staczać wciąż tę samą bitwę. Charlie Decker również czerpał moc z cierpienia. Tylko dzięki niemu przetrwał pięć długich lat przymusowego pobytu w szpitalu psychiatrycznym.

Zmarszczyła czoło, gdyż nagle przypomniała sobie o leku, który znaleźli w pokoju Charliego. Haldol. Silny lek uspokajający i przeciwpsychotyczny. Czy Charlie rzeczywiście cierpiał na chorobę psychiczną?

Spojrzała w stronę domu. Weranda była pusta, Jinx i Gracie musiały wejść do środka. Powietrze było tak gęste, że niemal czuła na barkach jego ciężar. Nadciąga burza, pomyślała i spojrzała na zegarek. Jeśli wyjedzie teraz, może zdąży do szpitala stanowego, zanim lunie.

- Charlie Decker w ogóle nie powinien był się tu znaleźć. - Doktor Nemecek przystanął na środku trawnika i powiódł zatroskanym spojrzeniem po swym smutnym królestwie zmaconych umysłów. - Od początku im mówiłem, że nie jest psychopata, ale sąd oparł swój wyrok na opinii jakiegoś eksperta od siedmiu boleści. No i skazali go na przymusowe leczenie. - Z naganą pokręcił głową. - Na tym polega problem z naszym wymiarem sprawiedliwości. Sądy patrzą w pierwszej kolejności na dowody. A nie na człowieka.

- A co pan widział, patrząc na Charliego?

- Widziałem kogoś zamkniętego w sobie. Cierpiącego na silną depresję. Czasem miewającego urojenia.

- To znaczy, że jednak miał problemy psychiczne.

- Owszem, ale nie takie, o jakie go oskarżano. - Nemecek odwrócił się w jej stronę, jakby chciał się upewnić, że zostanie dobrze zrozumiany. - Obłąd bywa groźny. Lecz zdarzają się przypadki, gdy należy potraktować go jak niegroźną przypadłość. Jako rodzaj specyficznej ochrony przed cierpieniem. I właśnie tak było z Charliem. Odniosłem wrażenie, że dla niego choroba była aktem samoobrony. Urojenia powstrzymywały go przed kolejną próbą samobójczą. Dlatego nigdy nie próbowałem ich wytłumić. Czułem, że pozbawiając go tych iluzji, wydałbym na niego wyrok śmierci.

- Policja uważa go za seryjnego mordercę.

- Bzdura!

- Skąd ta pewność, doktorze?

- Stąd, że Charlie był z natury łagodny i przyjaźnie nastawiony do wszystkiego, co żyje. Schodził z drogi, byle nie rozdeptać świerszcza.

- Może w przypadku ludzi nie miał takich skrupułów?

- Proszę wybaczyć, ale to niedorzeczne. Charlie nie miał powodu, żeby kogokolwiek zabijać.

- A Jenny? Czy nie próbował mścić się za jej śmierć?

- Ależ skąd! Jego urojenia nie miały nic wspólnego z Jenny. On się pogodził z jej śmiercią.

- Więc czego dotyczyły?

- Dziecka. Któryś z lekarzy powiedział mu, że urodziło się żywe. Od tej pory nie potrafił myśleć o niczym innym. Wmówił sobie, że jego córeczka żyje i obsesyjnie próbował ją odnaleźć. Każdego roku, w sierpniu, urządzał jej urodziny. Mój aniołek kończy dziś pięć lat,

mówił. Chciał ją odzyskać i wychować jak księżniczkę. Marzył, że będzie kupował jej piękne sukienki i lalki. Wiedziałem, że w istocie nigdy nie będzie próbował jej odnaleźć. Z obawy, że może się okazać, że dziecko naprawdę zmarło.

Kiedy spadły pierwsze wielkie krople ciepłego deszczu, oboje spojrzeli w górę. Nagle zerwał się wiatr i zaczął targać fartuchami pielęgniarek, które w pośpiechu zaganiały chorych do budynku.

- Doktorze, a jeśli Charlie miał rację? Jeśli jego córeczka żyje?

- To niemożliwe, pani doktor. - Pierwsza fala rześistego deszczu zawisła między nimi jak kurtyna. - Dziecko na pewno nie żyje. Przez ostatnie pięć lat istniało wyłącznie w umęczonej głowie Charliego.

Dziecko na pewno nie żyje. Jadąc autostradą, po której snuła się gęsta mgła, Kate powtarzała w myślach słowa Nemechka. „Dziecko na pewno nie żyje. Przez ostatnie pięć lat istniało wyłącznie w umęczonej głowie Charliego”.

A gdyby okazało się, że jednak jego córeczka żyje?

Ciekawe, jak by wyglądała? Czy odziedziczyłaby po nim ciemne włosy? I czy miałyby w oczach taki sam cudny, niegasnący blask jak jej mama?

Pamięć podsunęła jej obraz pogodnej twarzy Jenny Brook, uśmiechniętej figlarnie na tle błękitnego nieba. Mgła na drodze zgęstniała, ograniczając widoczność niemal do zera. Kate wyteżyła wzrok i całkowicie skupiła się na prowadzeniu. Twarz Jenny zbladła i po chwili zupełnie znikła, a w jej miejscu pojawiła się inna wizja. Drobną szczupłutką dziecięcą buzią, a za nią bujna zieleń drzew. Silny podmuch wiatru rozdarł ołowiane chmury; mgła uleciała. Zaświeciło słońce. Razem z jego promieniami na Kate spłynęło olśnienie. Niewiele brakowało, a gwałtownie wcisnęłaby hamulec.

Dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej?! Dlaczego nie zorientowałam się, że... dziecko Jenny Brook żyje? Jest radosnym, pięcioletnim chłopcem.

- Gdzie ona jest, do cholery?! - David z wściekłością rzucił słuchawkę. - Nemechek mówi, że wyjechała ze szpitala o piątej. Już dawno powinna być w domu!

- Rozdrażniony spojrział niechętnie na Glickmana, który z apetytem zajadał chiński makaron.

- Powiem ci, że ta sprawa cholernie się skomplikowała - mruknął, zwinnie chwytając go palcami.

- Zaczęło się banalnie, od oskarżenia o błąd w sztuce, a skończyło na serii zabójstw. Co będzie dalej?

- Sam chciałbym wiedzieć. - David obrócił się do okna i spojrzał na stalowoszare chmury, które szczelnie zasnuły niebo. Zrobiło się późno. Zwykle o tej porze szedł do domu, dziś jednak chciał spokojnie przemyśleć parę spraw. A nigdzie nie myślało mu się lepiej niż właśnie przy tym wielkim oknie.

- Swoją drogą, niezła metoda z tym podrzynaniem gardeł - zauważył Glickman sarkastycznie. - Człowieku, ile przy tym krwi! Jak w rzeźni. Trzeba mieć stalowe nerwy!

- Albo być doprowadzonym do ostateczności.

- Słuchaj, wcale nie tak łatwo zabić człowieka w taki sposób. - Glickman machnął palcem jak nożem. - Żeby przeciąć tętnicę, trzeba podejść naprawdę blisko. A przecież są mniej skomplikowane metody.

- Widzę, że przemyślałeś temat...

- A ty nie? Każdy ma swoje mroczne fantazje. I kogoś, kogo chętnie posłałby na tamten świat. Mnie się wydaje, że nietrudno zabić człowieka, i to wcale nie musi być prymitywna zbrodnia. Inteligentny morderca działa subtelnie. Sięgnie po truciznę albo inny specyfik, który nie pozostawia śladów w organizmie ofiary. Nie wiem jak ty, ale ja wierzę w morderstwo doskonałe.

- Zapominasz o jednym.

- O czym?

- O satysfakcji. Skąd ją czerpać, skoro ofiara nie cierpi?

- No tak, jest z tym pewien problem - zgodził się Glickman. - Ale i to da się załatwić. Przecież ofiarę można przedtem zastraszyć. Zastosować terror psychiczny. Wysłać list z pogróżkami.

David poruszył się niespokojnie. Przypomniał sobie czaszkę narysowaną czerwonym sprejem. Nie mógł uwolnić się od dręczącego przeczucia, iż nadciąga katastrofa. Wstał i zaczął się pakować. Nie ma sensu tu siedzieć. Równie dobrze może zadreć się u matki.

- Jedna rzecz ciągle nie daje mi spokoju - przyznał Glickman, kończąc kolację. - To EKG, wiesz... Tanaka i Richter zostali zamordowani w wyjątkowo krwawy sposób. Skoro morderca nie miał

psychicznych oporów, żeby ich zaszlachtować, dlaczego w przypadku O'Brien upozorował atak serca?

- W prokuraturze nauczyłem się jednego. Nigdy nie doszukuj się logiki w działaniu mordercy - wyrecytował David, zamykając teczkę.

- Święte słowa. Tak czy owak, zabójca zadał sobie sporo trudu, żeby zrzucić winę na Kate Chesne.

David, który chwycił już za kłamkę, gwałtownie się zatrzymał.

- Co powiedziałeś?

- Że zadał sobie sporo trudu, żeby wina spadła na kogoś innego.

- Nie! Użyłeś innego sformułowania. Powiedziałeś: „zrzucić winę”, tak?

- Może i tak. A co?

- Komu zwykle wytacza się proces, gdy pacjent umiera nagle na stole operacyjnym?

- Z reguły wina rozkłada się między... - Glickman umilkł. - Chryste! Dlaczego o tym nie pomyślałem?!

David złapał za telefon i gorączkowo wystukał numer policji. W myślach przeklinał siebie za krótkowzroczność i głupotę. Zabójca przez cały czas jest blisko. Obserwował sytuację, wyczekiwał na dogodną chwilę. Wiedział, że Kate prowadzi prywatne dochodzenie, że zbliża się do poznania prawdy. Wtedy się przestraszył. Tak bardzo, że zaczął ich śledzić. A kto wie, czy nie na tyle, by popełnić jeszcze jedną zbrodnię.

Dochodziło wpół do szóstej. O tej porze większość pracowników archiwum dokumentacji medycznej była już w drodze do domu. Nadaśana rejestratorka, która pełniła samotną wartę przy komputerze, bez entuzjazmu przyjęła od Kate formularz zamówienia.

- Ta osoba nie żyje - burknęła, wpatrując się w informacje, które wyrzucił komputer.

- Wiem. - Kate z niechęcią wspomniała ostatnią próbę wyciągnięcia karty z archiwum zgonów.

- Nie mam tej osoby w bazie danych.

- Rozumiem. Czy mimo wszystko mogę dostać jej kartę?

- To trochę potrwa. Nie może pani przyjść jutro? Kate miała ochotę złapać ją za falbaniastą bluzkę i potrząsnąć.

- Karta jest mi potrzebna teraz! - Z trudem pohamowała się, by nie krzyknąć, że to sprawa życia lub śmierci.

Rejestratorka spojrzała na zegarek, postukała ołówkiem w biurko, a potem wstała i bez pośpiechu poszła do kartoteki. Kwadrans później Kate usiadła przy małym stoliku w rogu sali i spojrzała na okładkę: Brook, płeć żeńska. Dziewczynka nawet nie miała imienia.

Zaczęła przeglądać dokumentację, ale nie znalazła w niej nowych informacji. Dziecko zmarło siedemnastego sierpnia o drugiej w nocy z powodu niedotlenienia mózgu. Na wszelki wypadek porównała zapiski z tymi, które znalazły się w karcie Jenny. Kopię miała ze sobą. Czytała je setki razy, lecz dopiero teraz zwróciła uwagę na adnotację u dołu jednej strony: „W rodzinie ciężarnej były przypadki rozszczepienia kręgosłupa, w związku z tym zalecono badania prenatalne. W osiemnastym tygodniu ciąży wykonano amniopunkcję. Wyniki nie wykazały żadnych zmian w budowie płodu”.

Amniopunkcja. Lekarz pobrał próbkę wód płodowych, by sprawdzić, czy dziecko nie ma wad wrodzonych. Przy okazji mógł określić jego płeć.

Wyniki amniopunkcji nie zostały dołączone do karty Jenny Brook. Nie była tym zaskoczona. Pewnie znalazły się w karcie przechowywanej w klinice Tanaki. A ta, jak wiadomo, przepadła.

Zostawiła karty na stoliku i podeszła do rejestratorki.

- Chciałabym prosić o wyszukanie jeszcze jednej karty.
- Też z archiwum zgonów?
- Nie, ta osoba żyje.
- Nazwisko?
- William Santini.

Tym razem poszukiwania zajęły niecałe pięć minut. Kate wzięła kartę, ale długo jej nie otwierała. Bała się zajrzeć do środka. Stała więc przy kontuarze i zastanawiała się, czy rzeczywiście chce poznać prawdę.

Po chwili ostrożnie otworzyła kartę. Na pierwszej stronie znajdował się akt urodzenia.

Imię i nazwisko: William Santini Data urodzenia: 17 sierpnia
Godzina: 3:00

Siedemnasty sierpnia, ta sama data. Tylko pory różne. Równą godzinę po tym, jak córeczka Jenny Brook zeszła z tego świata, pojawił się na nim William Santini.

Dwoje dzieci. Jedno zmarło, drugie żyje. Czy trzeba lepszego pretekstu, by zabić?

- Nie mów, że kazali ci uzupełnić zapiski w dokumentacji! - usłyszała za sobą wesoly tubalny głos.

Z przerażenia struchlała, nie straciła jednak zimnej krwi. Zanim Guy Santini zdążył do niej podejść, złożyła dokumenty i zamknęła kartę. Obawiała się, że dojrzy nazwisko na okładce, więc przycisnęła ją do siebie.

- Chciałam sprawdzić, czy uzupełniłam wszystkie wpisy - skłamała gładko. - A ty co tu robisz o tej porze?

- Samochód jest znowu w naprawie, więc muszę czekać na Susan. Pomyślałem, że odwałę papierkową robotę. Gdzie ta baba znów polazła? - zirytował się, widząc puste miejsce przy komputerze.

- Przed chwilą tu była - odparła, przesuwając się dyskretnie do wyjścia.

- Słyszałaś o żonie Avery'ego? W sumie lepiej, że umarła, bo... - Spojrzał na nią, a ona ze strachu zeszywniała. Do drzwi zabrakło jej dwóch kroków.

- Wszystko w porządku? - zapytał, marszcząc brwi.

- Tak. Słuchaj, naprawdę muszę lecieć! Trzymaj się!

Już niemal przestępowała próg, gdy usłyszała wołanie:

- Pani doktor, wolnego! Musi pani oddać kartę! Przecież pani wie, że nie wolno jej zabierać.

Odwróciła się i spojrzała na rejestratorkę. Gdyby wzrok mógł zabijać, gorliwa służbistka już byłaby trupem. Wiedziała, że musi oddać kartę, ale nie mogła tego zrobić w obecności Guya. Gorączkowo szukała sensownego wyjścia z sytuacji, ale stres sprawił, że nic nie przychodziło jej do głowy.

- Jeśli pani jeszcze nie skończyła, mogę ją dla pani odłożyć - zaproponowała rejestratorka.

- Nie trzeba...

- A co ty tam masz? - zainteresował się Guy. - Jakieś tajemnice państwowe?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ściska kartę tak kurczowo, jakby bała się, że ktoś ją wydrze siłą. Na miękkich nogach podeszła do kontuaru i położyła ją tak, by adnotacja z nazwiskiem znalazła się na spodzie.

- Chciałabym jeszcze do niej zajrzeć - powiedziała nienaturalnie słabym głosem.

- Dobrze, już mówiłam, że ją odłożę - przypomniła rejestratorka. - A pan, doktorze, niech sobie usiądzie. Zaraz panu przyniosę dokumentację.

Pora brać nogi za pas, pomyślała i ruszyła do wyjścia. Czuła, że Guy ją obserwuje, więc zwolniła i spokojnie wyszła na korytarz. Dopiero gdy zamknęły się za nią drzwi, straszliwa prawda uderzyła ją z całą mocą. Guy Santini był jej kolegą. A nawet więcej, przyjacielem.

Tylko ona jedna wiedziała, że jest również brutalnym mordercą.

Guy znał Kate od roku, ale pierwszy raz widział ją tak zdenerwowaną. No cóż, każdy z nas miewa gorszy dzień, skwitował i usiadł przy stoliku w rogu sali. To było jego ulubione miejsce. Widocznie ktoś inny podzielał jego upodobania, bo na blacie zostały dwie karty. Już miał je odsunąć, gdy jego wzrok padł na adnotację z danymi pacjenta. Najpierw zastygł w bezruchu, a potem poczuł, jak wiotczeją mu mięśnie. Bezwładnie opadł na krzesło.

Brook, płeć żeńska. Zmarła.

Dobry Boże, spraw, żeby to była inna Brook. Drżącą ręką zaczął przerzucać kartki, szukając nazwiska matki wypisanego na akcie zgonu.

Matka: Jennifer Brook.

A więc to jednak ona. I jej dziecko. Myśl, chłopie! I nie panikuj, powtarzał sobie. Póki co, nie miał się czym przejmować. Wątpił, by ktoś łączył jego nazwisko z nazwiskiem Jenny Brook, a tym bardziej z jej dzieckiem. Cztery osoby, jedyni świadkowie tragedii sprzed pięciu lat, nie żyją. Nie ma powodu, by ktokolwiek inny interesował się tą sprawą. A jeśli ktoś taki jest?

Zerwał się i podszedł do kontuaru. Karta, z którą Kate Chesne tak niechętnie się rozstała, wciąż leżała tam, gdzie ją położyła. Spodem do góry. Odwrócił ją. I ujrzał imię i nazwisko swojego syna.

A więc Kate wie. Jakoś się do tego dokopała.

- Proszę bardzo, doktorze. Chyba mam wszystko, o co pan prosił.
- Rejestratorka wróciła z kartoteki. - Dokąd pan idzie? - zapytała zdumiona. - Doktorze Santini!

Nie odpowiedział. Nawet się nie odwrócił. Wybiegł na korytarz.

Kate ustawiła się w kolejce do telefonu. Jak na złość, jeden aparat był zepsuty, a drugi zajęty. Czekala więc, aż jakiś mężczyzna skończy rozmowę, i modliła się, by porucznik Ah Ching był jeszcze w pracy.

Właściwie to nie z nim chciała rozmawiać. Dałaby wszystko, by usłyszeć głos Davida.

Wielkie szyby frontowej elewacji drżały pod naporem nawałnicy. Główny hol szybko pustoszał. Nawet strażnik gdzieś sobie poszedł. Wolontariuszka właśnie zamykała punkt informacyjny. Kate rozejrzała się na boki. Za nic nie chciała zostać tu sama. Ponieważ nic nie wskazywało na to, by mężczyzna szybko skończył gadać, postanowiła wracać do domu matki Davida.

Zaparkowała pożyczony od niej samochód na samym końcu parkingu, więc nim do niego dobiegła, przemokła do nitki. Parę sekund zajęło jej znalezienie kluczyków, kolejnych kilka straciła, otwierając drzwi. Tak się spieszyła, by skryć się przed deszczem, że nie zwróciła uwagi na masywną postać biegnącą od strony budynku. Właśnie siadała za kierownicą, gdy poczuła na ramieniu czyjaś rękę. Odwróciła się i ujrzała nad sobą Guya Santiniego.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Przesiadź się!
- Guy! Moja ręka! Boli mnie...
- Powiedziałem, żebyś się przesiadła!

W panice zaczęła się rozglądać. Łudziła się, że ktoś będzie przechodził i usłyszy jej krzyk. Parking był prawie pusty. I tylko deszcz bębnił o dach samochodu.

Ucieczka nie wchodzi w grę. Zanim zdążyłaby otworzyć drzwi po stronie pasażera, Guy by ją złapał. Co robić? - myślała rozgorączkowana. Zabrakło jej czasu na odpowiedź, bo Guy brutalnie przepchnął ją na siedzenie pasażera i zajął miejsce za kierownicą.

- Kluczyki! - warknął. Nawet nie drgnęła.

- Mówię, dawaj kluczyki! Ogłuchłaś?! - Ponieważ nadal nie reagowała, sam je wziął i zaczął szukać stacyjki. Właśnie na ten moment czekała. Gdy pochylił głowę, rzuciła się na niego, usiłując dosięgnąć paznokciami jego twarzy. On jednak dostrzegł kątem oka jej ruch i zdążył złapać ją za łokieć. - Uprzedzam, że jeśli będę musiał, złamię ci rękę - zagroził, odepchnąwszy ją z całej siły.

- Dokąd jedziemy? - zapytała drżącym głosem, gdy z piskiem opon wyjechał na ulicę.

- Gdzieś. Sam jeszcze nie wiem. W każdym razie tam, gdzie spokojnie mnie wysłuchasz.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- Ty już wiesz co, więc nie udawaj głupiej! Uniosła się lekko na siedzeniu, wyciągnęła szyję.

Zbliżali się do skrzyżowania. Gdyby wyskoczyła...

Guy przejrzał jej plany. Przycisnął ją ramieniem do fotela i nie zwalniając, przemknął na pomarańczowym świetle. To były ostatnie światła przed autostradą. I ostatnia szansa na ucieczkę. Zdruzgotana patrzyła na szybkościomierz, który pokazywał rosnącą prędkość. Gdyby teraz wyskoczyła, jak nic skręciłaby kark.

Guy znał ją na tyle, by wiedzieć, że nie będzie ryzykowała. Cofnął rękę.

- To nie był twój interes, Kate! - rzekł z wyrzutem. - Nie miałaś prawa wtykać nosa w nie swoje sprawy!

- Jak to?! Przecież Ellen była moją pacjentką. Naszą pacjentką, Guy!

- I co z tego? Czy to ci daje prawo, żeby zrujnować mi życie?

- A co z jej życiem? Albo z życiem Ann? I pozostałych? Przecież oni wszyscy nie żyją!

- I bardzo dobrze. Razem z nimi umarła przeszłość. I niech już tak zostanie.

- Boże, a ja myślałam, że cię znam! Uważałam cię za przyjaciela!

- Muszę chronić syna. I Susan. Myślisz, że będę stał bezczynnie i patrzył, jak ktoś niszczy ich życie?

- Przecież po tylu latach nikt by wam nie zabrał Williama. Sąd na pewno przyznałby wam prawo do opieki.

- Nie martwię się o stronę prawną. Żaden sędzia przy zdrowych zmysłach nie oddałby dziecka takiemu świrowi jak Decker! Muszę chronić Susan.

Słuchała go, lecz ani na moment nie przestawała myśleć o ucieczce. Na razie mogła tylko czekać, bo gdyby zaatakowała teraz, na pewno wpadliby w poślizg i zginęli oboje. Wypatrywała więc innego samochodu, jakiegoś korka czy innej przeszkody, która zmusiłaby go, by zwolnił.

- Nic z tego nie rozumiem! Dlaczego tak martwisz się o Susan?

- Bo ona o niczym nie wie! Jest pewna, że urodziła Williama.

- Jak może nie wiedzieć?

- To proste. Od pięciu lat mam swoją słodką tajemnicę. Jej poród to był koszmar. Zamieszanie, panika, cesarskie cięcie. To było nasze trzecie dziecko, ostatnia szansa. Córeczka urodziła się martwa. - Umilkł, a kiedy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwało echo tamtego cierpienia. - Straciłem głowę. Nie wiedziałem, co robić, co powiedzieć Susan. Była pod narkozą. Niczego nieświadoma, spała jak dziecko. A ja stałem nad nią z naszą martwą córeczką i...

- Postanowiłeś wziąć sobie synka Jenny Brook.

Nerwowo potarł ręką twarz.

- Uznałem, że to był znak od Boga. Rozumiesz? Bóg tak zdecydował. Tak to wtedy pojmowałem. Kobieta umarła w czasie porodu, a jej maleńki synek płakał żałośnie w sali obok. Wszyscy mówili, że ojciec jest nieznan. Kobieta przyszła do szpitala sama. Nie było żadnych dziadków, kuzynów, którzy mogliby się nim opiekować. Susan odzyskiwała przytomność. Zrozum! Gdybym jej powiedział, że nasze dziecko urodziło się martwe, chybaby tego nie przeżyła. Bóg zesłał nam tego chłopca! Widocznie taki był jego plan.

To było wspólne odczucie nas wszystkich. Moje, Ann, Ellen. Tylko Tanaka...

- Nie chciał się zgodzić.

- Początkowo. Zacząłem go przekonywać. Krzyczeć na niego, wreszcie błagać. Poddał się dopiero, kiedy Susan poprosiła, żebyśmy jej przynieśli dziecko. Ellen poszła po tego chłopczyka. Położyła go na jej brzuchu. Susan popatrzyła na niego i zaczęła płakać. - Otarł oczy rękawem. - Wszyscy zrozumieliśmy, że podjęliśmy dobrą decyzję.

Tak, ona też dostrzegła niezwykłość tamtej chwili. Los podsunął rozwiązanie na miarę Salomona. Osierocony chłopczyk znalazł rodziców. Tyle że konsekwencją tej samej decyzji była śmierć czterech osób. Wkrótce do czarnej listy miała dołączyć piąta.

Nie zamierzała stać się owieczką potulnie idącą na rzeź. Coraz bardziej niecierpliwie wyczekiwała odpowiedniej chwili. Miała nadzieję, że gdy wjadą do tunelu, Guy będzie musiał zwolnić. On jednak wybrał inną drogę. Zjechał z autostrady i po chwili skręcił w gęsty las. Na poboczu mignęła tablica: Punkt widokowy Pali. Mój ostatni przystanek, przebiegło jej przez myśl. Miejsce to, położone malowniczo na szczycie stromego urwiska, od dawna przyciągało kochanków planujących samobójczy skok. Przed wiekami plemienni wojownicy stracali tu w przepaść pokonanych wrogów. Trudno o lepszą scenerię dla kolejnego morderstwa.

Wiedząc, że nie zostało jej wiele czasu, podjęła ostatnią desperacką próbę. Szarpnęła za klamkę, ale Guy znów ją złapał. Rzuciła się więc na niego z pięściami. Zaczęli się szarpać. Próbował ją powstrzymać, ale stracił panowanie nad kierownicą. Samochód wypadł z drogi i wjechał między drzewa. Kate czuła, że za chwilę się rozbija, ale było jej wszystko jedno. Myślała tylko o tym, żeby się ratować.

Znowu przegrała. Nie miała szans w konfrontacji z potężnym mężczyzną. Guy zdołał ją obezwładnić i jednocześnie opanować samochód. Mocno odbił kierownicą w lewo i trąc zderzakiem o pień najbliższego drzewa, wyjechał z powrotem na drogę.

Przestała walczyć. Przyciśnięta do siedzenia, bezradnie patrzyła, jak dojeżdżają do punktu widokowego. Guy zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Długo nic nie mówił. Siedział nieruchomo, jakby zbierał siły, by dokończyć swe makabryczne dzieło.

- Niewiele brakowało, a byłabyś nas zabiła - powiedział cicho. - Dlaczego to zrobiłaś?

Opuściła głowę. Ogarnęło ją obezwładniające zmęczenie. I przecucie, że stanęła twarzą w twarz ze swym przeznaczeniem.

- Po co mnie pytasz, skoro wiesz? Nie chciałam czekać, aż mnie zabijesz. Tak jak tamtych...

- Co ty wygadujesz?

Spojrzała mu w oczy, łudząc się, że zdoła obudzić w nim ostatni ludzki odruch.

- Powiedz, nie było ci ciężko? - zapytała łagodnie. - Gdy poderżnąłeś Ann gardło, a potem patrzyłeś, jak się wykrwawia...

- Ty naprawdę myślisz, że ja... że mógłbym... O Boże! - Ukrył twarz w dłoniach. I nagle zaczął się śmiać. Najpierw cicho, potem coraz głośniej. Aż wreszcie zaczął się trząść i wydawać z siebie histeryczne odgłosy, które bardziej przypominały szloch niż śmiech.

Był w takim stanie, że nawet nie zauważył świateł innego samochodu przecinających mgłę jak bliźniacze latarnie morskie. Za to Kate od razu je dostrzegła. Odwróciła się i ujrzała auto jadące pod górę. Właśnie na taką chwilę czekała. Powinna natychmiast rzucić się do ucieczki, lecz nawet nie drgnęła. Dotarło do niej, że Guy nigdy nie chciał jej zabić. Nie był zdolny do morderstwa.

Tymczasem on bez słowa otworzył drzwi i wysiadł. Poszła za nim przez wilgotną mgłę. Nic nie mówiła. Tylko delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Więc to nie ty? - szepnęła po chwili.

- Dla Williama oddałbym diabłu duszę. Ale zabić?

- Potrzęsnał głową. - Boże! Nie byłbym w stanie. Owszem, zastanawiałem się, czy nie zlikwidować Deckera. Kto by płakał po takim ludzkim... śmieciu? To byłoby najprostsze rozwiązanie. Kto wie, czy nie najlepsze. Ten cholerny świr nie odpuszczał. Nachodził ludzi, zadreślał pytaniami. Za wszelką cenę chciał odnaleźć dziecko.

- Jak się o nim dowiedział?

- W porodzie uczestniczył jeszcze jeden chirurg...

- Doktor Vaughn?

- Decker do niego dotarł. I pewnie usłyszał o parę słów za dużo...

- A potem Vaughn zginął w wypadku.

- Miałem nadzieję, że na tym się skończy. Ale Decker wyszedł ze szpitala. Wiedziałem, że prędzej czy później ktoś nie wytrzyma i

wszystko się wyda. Tanaka nie chciał dłużej milczeć. Ann była przerażona. Dałem jej pieniądze, kazałem wyjechać na kontynent. Nie zdążyła. Decker ją dopadł i załatwił.

- Guy, przecież to nie ma sensu. Po co miałby zabijać ludzi, którzy byli dla niego bezcennym źródłem informacji?

- Przecież to psychopata!

- Nawet tacy kierują się jakąś logiką.

- To musiał być on. Nikt inny...

Gdzieś za nimi szczerknął metal. Znieruchomieli, w napięciu wsłuchując się w odgłos ciężkich kroków. Z mroku wyłoniła się ciemna postać. Zbliżała się bez pośpiechu, by wreszcie stanąć kilka kroków od nich. Nawet o wieczornym zmierzchu rude włosy Susan Santini przypominały języki ognia. Jednak to nie one przykuły wzrok Kate, lecz matowoszary pistolet.

- Odsuń się od niej, Guy. - Głos Susan zabrzmiał zaskakująco łagodnie.

Mąż jej nie posłuchał. Był jednak zbyt zszokowany, by wykonać najmniejszy ruch.

- To ty... - Kate miała wrażenie, że ogląda scenę wyjętą z horroru. - Nie Decker, ale ty!

- Nie zrozumiesz tego. - Mżawka zacierała kontury. Susan ze swą bladą twarzą wyglądała jak zjawa.

- Nie masz dzieci, dlatego nie masz pojęcia, co to znaczy drzeć o nie, lękać się, że ktoś je skrzywdzi. Albo ci je zabierze. Matki myślą o tym bezustannie. Zamartwiają się.

- O mój Boże, Susan! - Guy wydał z siebie głuchy jęk. - Masz pojęcie, co zrobiłaś?

- Przecież ty nie byłbyś do tego zdolny, więc nie miałam wyboru. Dlaczego nie powiedziałeś mi prawdy? Dlaczego musiałam się dowiedzieć o wszystkim od Tanaki?

- Susan, zabiłaś cztery osoby!

- Nie cztery, tylko trzy! Nie zabiłam Ellen. Ona to zrobiła! - Ruchem głowy wskazała Kate.

- Ty chyba żartujesz? - rzekła Kate.

- Wręcz przeciwnie. W fiolce zamiast scoliny był chlorek potasu. Wstrzyknęłaś Ellen śmiertelną dawkę.

- Przeniosła wzrok na męża. - Nie chciałam, żebyś miał kłopoty, skarbie, dlatego podmieniłam EKG. I sfalszowałam jej podpis. Guy, proszę, odsuń się! Ja naprawdę muszę to zrobić. Dla dobra Williama.

- Nie, Susan!

- Chcesz, żeby go nam zabrali? - zapytała z niedowierzaniem. - Chcesz im oddać moje dziecko?

- Nie pozwolę go zabrać! Przysięgam!

- Już za późno, Guy. Ona wie, więc musi zginąć.

- Ja też wiem! Mnie też zabijesz?! - zawołał histerycznie.

- Ty mnie nie zdradzisz. Jesteś moim mężem.

- Susan, oddaj mi broń! - Wyciągnął rękę i wolno ruszył w jej stronę. - Proszę cię, kochanie - odezwał się łagodnym głosem. - Obiecuję ci, że nic złego się nie stanie. Wszystkiego dopilnuję. Tylko oddaj mi broń.

Cofnęła się, ale na nierównym gruncie straciła równowagę. Guy zastygł w bezruchu, gdyż na ułamek sekundy znalazł się na linii strzału.

- Nie będziesz do mnie strzelała, prawda?

- Proszę cię, Guy... Zrobił krok w jej stronę.

- Nie strzelisz? - upewnił się. - Kocham cię.

- To mi oddaj pistolet. Spokojnie, skarbie. No...

Był tuż przy niej. Jego ciepły szept kusił ją obietnicą bezpieczeństwa. Jeszcze kilka centymetrów i odbierze jej broń. Nie protestowała, porażona nieuchronnością klęski.

Guy uznał, że się poddała. Podszedł do niej i chwyciwszy za lufę, próbował delikatnie odebrać jej pistolet. Ona jednak nie zamierzała składać broni.

- Zostaw mnie! - krzyknęła, cofając rękę.

- Oddaj to! Susan, opamiętaj się! Ogłuszający huk wystrzału unieruchomił ich jak w stop - klatce. Popatrzyli na siebie z niedowierzaniem, nie pojmując, co się właściwie stało. Dopiero po chwili Guy zachwiał się i chwycił za nogę.

- Nie! - Przeróżliwy krzyk Susan odbił się echem od skał i popłynął ku zamglonej dolinie. Jeszcze nie zdążył wybrzmieć do końca, gdy wolno odwróciła się w stronę Kate. W oczach miała obłęd.

Kate rzuciła się do ucieczki. Biegła na oślep, byle dalej, byle szybciej. Gdzieś z tyłu huknął kolejny strzał. Kula ze świstem przeleciała tuż obok niej i wbiła się w piach. Nie miała czasu

obmyślać planu ucieczki ani zastanawiać się, którądy biec, by dostać się na drogę. W pewnej chwili poczuła, że teren zaczyna się wznosić. Po paru metrach poprzez woal mgły ujrzała grań porośniętą krzewami. Przed sobą miała przepaść. Zawrócić nie mogła, gdyż wpadłaby prosto na Susan. Nie pozostało jej nic innego jak skrócić w lewo i biec w dół starą i od dawna nieuczęszczaną drogą, która ponoć w kilku miejscach się zapadła.

Nagle zachrzęściły kamienie. Słyszac kroki, przeskoczyła przez niską betonową barierę i zaczęła zsuwać się w dół po błotnistym gruncie. Łapała się pnączy i gałęzi, by choć trochę wyhamować. Chwilę później, wystraszona i podrapana, zatrzymała się na równym, twardym podłożu. Odgadła, że jest to stara droga Pali.

Nad jej głową zaszeleściły krzaki.

- Tu nie ma dokąd uciec, Kate! - Zwielokrotniony głos Susan zdawał się dobiegać ze wszystkich stron. - Ta droga zaraz się kończy! Jeden fałszywy krok i runiesz w przepaść. Więc lepiej uważaj!

Uważaj, uważaj... podchwyciło echo. Na górze znów poruszyły się zarośla. Susan nie dawała za wygraną, ale nie spieszyła się. Schodziła w dół uważnie. Mogła sobie na to pozwolić, bo doskonale wiedziała, że jej ofiara znalazła się w śmiertelnej pułapce.

Jednak pułapka to nie to samo co bezradność. Kate poderwała się i zaczęła biec przed siebie. Co chwila potykała się na wyboistej drodze, pełnej dziur, kawałków skał i korzeni, które rozsadyły asfalt. Mrok gęstniał z każdą chwilą. Zapadała noc.

Gdzie się skryć? Po prawej stronie miała niemal pionową ścianę litej skały. Po lewej, tuż za krawędzią drogi, zaczynało się urwisko. Nie miała wyjścia, tylko biec, dopóki starczy sił.

Kilka razy upadła, ale natychmiast wstawała i mimo bólu startych do krwi kolan biegła dalej. Jej umysł pracował gorączkowo.

Silniejszy powiew wiatru rozgonił na moment mgłę i wtedy dostrzegła wejście do jaskini. Znajdowało się dość wysoko ponad drogą, ale uznała, że warto spróbować. Jeśli zdoła się tam wspiąć, zanim Susan ją dogoni, ukryje się i zaczeka, aż nadejdzie pomoc. O ile nadejdzie.

Zdeterminowana, by nie poddawać się bez walki, rozpoczęła mozolną wspinaczkę po mokrym, śliskim zboczu. Wczepiała palce w szczeliny, chwytala się gałęzi i korzeni i pięła coraz wyżej. Skóra cierpła jej na myśl, że w każdej chwili może zrzucić jakiś kamień,

który narobi hałasu i zaalarmuje Susan. Na skale byłaby dla niej łatwym celem. Wystarczyłby jeden strzał.

Słyszając zbliżające się kroki, znieruchomiała i mocno przywarła do zbocza. Kroki zwolniły. Na moment zapadła cisza. A potem buty znów zgrzytnęły o asfalt. Kate odważyła się ruszyć dopiero, gdy przestała je słyszeć.

Kiedy wreszcie dojrzała do dolnej krawędzi grotu, miała tak zgrabiałe i obolałe dłonie, iż z trudem zdołała wczołgać się do środka. Tam padła w błotnistą maź i długo leżała, z trudem łapiąc oddech. Otoczył ją ostry zapach ziemi i butwiejących roślin. Gdzieś z góry woda kapiała prosto na jej twarz. Nagle coś zaszeleściło i przebiegło po jej dłoni. Domyśliła się, że to jakiś robak, ale nie miała siły go strącić. Wyczerpana, drżąc z wysiłku, skuliła się jak zmordowany szczeniak.

Wiatr rozgonił chmury, mgła zrzędła. Jeszcze trochę i noc stanie się czarna jak smoła. Musi wytrwać, to jej jedyna szansa. Paradoksalnie mrok stał się jej jedynym sprzymierzeńcem. Przymknęła oczy i zaczęła myśleć o Davidzie. Wiedziała, że i tak jej nie pomoże, ale wspomnienie o nim dodawało jej otuchy. Ciekawe, jak zareaguje, kiedy dowie się o jej śmierci? Czy poczuje żal? Czy raczej przejdzie nad tym do porządku dziennego? Jego obojętność zabolalaby ją najbardziej.

Ukryła twarz w ramionach. Krople lodowatej górskiej wody zmieszały się na jej policzkach z zimnymi łzami. Nigdy dotąd nie czuła się bardziej samotna i opuszczona. Nagle przestało ją obchodzić, czy przeżyje, czy zginie. Pragnęła tylko jednego: żeby komuś na niej zależało.

Jak to? Przecież mnie zależy!

Niespodziewanie poczuła napływ świeżej energii. Podczołgała się do otworu w skale i ostrożnie wyjrzała. Rozsadzał ją gniew, że w każdej chwili może stracić życie i że w chwili najcięższej próby mężczyzna, którego pokochała, nie stoi u jej boku.

Tylko ja sama mogę siebie ocalić.

Kroki, które usłyszała, uświadomiły jej, że może nie doczekać zapadnięcia zmroku. W oddali widziała falistą linię gór, znak, że mgła całkiem się rozwiała. Wraz z nią znikła jej jedyna osłona.

- Jesteś tam, prawda? - zawołała Susan. - Wiesz, dlaczego jaskinie są kiepskim schronieniem? Bo mają tylko jedno wyjście.

Z dołu dobiegł charakterystyczny odgłos osuwających się kamieni. Wspina się. Idzie po mnie...

Nie ma wyboru. Musi wydostać się z jaskini, zanim Susan zagrozi jej drogę. Nie chciała ginąć jak szczur w pułapce. Zaczęła macać grunt, aż znalazła kamień wielkości pięści. Nie jest to żadna broń przeciw kuli, ale jedyna dostępna. Znów podpełzła do otworu i ostrożnie spojrziała w dół. Susan pokonała już połowę drogi.

Spojrzały sobie w oczy. I zrozumiały, że żadna się nie podda. Jedna walczyła o życie, druga o dziecko. Przy takiej stawce kompromis nie wchodzi w grę. Tu nie będzie kapitulacji. Chyba że uznać za nią śmierć.

Susan wycelowwała, starając się mierzyć w głowę. Kate cisnęła w nią kamieniem. Trafiła ją w ramię. Mocno, bo jej przeciwniczka z głośnym krzykiem zsunęła się po skale parę metrów w dół. W ostatniej chwili złapała się gałęzi i zawisała nad ziemią.

Kate wykorzystała moment przewagi, by wydostać się z jaskini. Niewiele myśląc, zaczęła pięć się w górę. Rozsądek podpowiadał jej, że nie da rady, gdyż zbocze jest zbyt strome, lecz instynkt wygrał z rozumem. Centymetr po centymetrze wciągała się coraz wyżej. Ręce miała poranione do żywego, lecz zwierzęcy strach okazał się bardzo skutecznym środkiem znieczulającym.

Kula odbiła się od skały, zasypując jej twarz piaskiem i odłamkami kamienia. Na szczęście Susan nie była w stanie porządnie złożyć się do strzału. Kate spojrziała w górę. Nad sobą miała skalny nawis, z którego zwisały liany. Nie była pewna, czy ma dość sił, by wciągnąć się na górę, i czy liany utrzymają jej ciężar.

Huknął kolejny strzał. Tym razem kula przeszła tuż przy jej policzku. Przerażona złapała najgrubszą z lian i dźwignęła się do góry. Bezskutecznie próbowała znaleźć jakieś oparcie dla stóp, lecz te wciąż ześlizgiwały się z nagiej skały. Wreszcie natrafiła na szczelinę. I tak centymetr po centymetrze pięła się po czarnym i ostrym wulkanicznym gładzie. Ponad jej głową przepływały chmury, mając ją obietnicą wolności. Ile kul zostało w magazynku?

Wystarczy, by została jedna...

Każdy kolejny centymetr był prawdziwą agonią. Napięte mięśnie pękały z bólu. Gdyby w tej chwili przeszła ją kula, pewnie nawet by tego nie poczuła.

Kiedy wreszcie wdrapała się na szczyt nawisu, była zbyt wyczerpana, by się cieszyć. Podciągnęła się resztką sił, a potem sturlała do płytkiego wgłębienia. Było wąskie i porośnięte wilgotnym mchem, ale ona poczuła się w nim jak w królewskim łożu. Marzyła o chwili odpoczynku. O tym, by zamknąć oczy i zasnąć. Musi poprzestać na marzeniach. Susan depta jej po piętach.

Poderwała się i ruszyła przed siebie. Zmęczone mięśnie nóg drżały, w bosą stopę wbijały się ciernie; nawet nie pamiętała, gdzie i kiedy zgubiła but. Na szczęście zbocze nie było już tak piekielnie strome. Do grani brakowało jeszcze kilku metrów.

Nie zdążyła tam dotrzeć.

Ostatni strzał obudził uśpione echo. Zaskoczona stwierdziła, że ból rozrywanych tkanek wcale nie jest taki ostry, jak myślała. Poczula, jakby ktoś mocno uszczypnął ją w łopatkę. Niebo zawirowało nad jej głową. Zakołysała się jak trzcina na wietrze, a potem upadła i zaczęła staczać się w dół urwiska, na które z takim mozolem się wspinała. Prosto w otchłań.

Życie uratowało jej drzewo - jedna z tych mocnych żywotnych roślin, która wczepia się potężnymi korzeniami w żyzną glebę. To o jego pień zaczepiła nogami. Dość długo leżała bez ruchu, usiłując zrozumieć, gdzie jest i co się stało. Nagle wydało jej się, że słyszy jakieś wycie. W pierwszej chwili pomyślała, że to płacz maleńkiego dziecka, które musi być gdzieś niedaleko.

Dziwny odgłos pomógł jej oprzytomnieć. Z trudem uniosła powieki. Na sobą miała zachmurzone niebo, a płacz niemowlęcia zmienił się w rytmiczne zawodzenie policyjnych syren. Nadciąga pomoc. Wybawienie.

Nagle jakiś czarny kształt przesłonił niebo. Zrozumiała, że ktoś nad nią stoi. Na jednolicie szarym tle chmur twarz Susan wyglądała jak czarna maska z ognistymi włosami targanymi przez wiatr.

Nie odzywała się. Po prostu wycelowwała lufę w jej skroń. Porywisty wiatr uderzył w nią z taką siłą, że na moment straciła równowagę.

Syreny umilkły. Ciszę sennej doliny zmałyły podniecone męskie głosy.

Kate z wysiłkiem dźwignęła się na kolana. A potem usiadła i spojrzała prosto w czarną czeluść lufy.

- Susan, przecież nie ma powodu, żebyś mnie zabiła.

- Jest powód! Wiesz o Williamie.
- Oni też wiedzą. - Z wysiłkiem skinęła głową w stronę, z której dobiegły głosy.
- Nie, oni jeszcze o niczym nie wiedzą.
- Skąd wiesz, że im nie powiedziałam? Lufa uniosła się do góry.
- Nieprawda! - W głosie Susan zabrzmiała nuta paniki. - Nie mogłaś im powiedzieć! Nie byłaś pewna!
- Susan, ty potrzebujesz pomocy. Ja ci ją mogę zapewnić. Przysięgam, że ci pomogę.

Lufa ponownie odnalazła cel. Wystarczy delikatny ruch wskazującego palca, metaliczne stuknięcie spustu, i świat się rozplynie. Kate była zdumiona, że stojąc w obliczu śmierci, odczuwa niczym niezmacony spokój. Walczyła do ostatka. Przegrała. Teraz może już tylko z podniesionym czołem czekać na koniec.

Nagle z wiatrem przyleciało rozpaczliwe wołanie. Męski głos wykrzykiwał jej imię. Omamy słuchowe, oceniła. Mózg zaczyna umierać.

Wtedy znowu usłyszała swoje imię.

I rozpoznała głos Davida. Ogarnęła ją przemożna wola życia. Zrozumiała, że musi zapomnieć o dumie i powiedzieć mu to, co do tej pory nie przechodziło jej przez gardło. Życie było zbyt cenne, by marnować je, grzebiąc się w przeszłości. Gdyby tylko zachciał dać jej szansę, pomogłaby mu zapomnieć o cierpieniu, którego doświadczył.

- Susan, proszę... - szepnęła. - Odłóż broń.

Susan poruszyła się, ale nie spełniła prośby. W napięciu słuchała głosów dobiegających od strony starej drogi Pali.

- Czy ty nie rozumiesz, że jeśli mnie zastrzelisz, zaprzepaścisz jedyną szansę, żeby William z tobą został?

Susan przygarbiła się, jakby nagle uleciała z niej energia. Wolno opuściła broń. Dość długo stała z pochyloną głową, a potem podeszła do krawędzi skalnej półki i spojrzała na drogę.

- Już za późno - powiedziała ledwie słyszalnym głosem. - Ja go i tak już straciłam.

Głośne okrzyki świadczyły o tym, że ludzie przybywający z pomocą właśnie je dostrzegli. Susan spojrzała na nich znad krawędzi.

- Tak będzie lepiej - stwierdziła zagadkowo. - Wolę, żeby zostały mu po mnie jak najlepsze wspomnienia. Właśnie takie powinno być szczęśliwe dzieciństwo. Pełne cudownych wspomnień...

To, co nastąpiło, wyglądało tak, jakby wyjątkowo silny podmuch zmiotł ją ze skały. Kate nigdy nie zrozumiała, co się naprawdę stało. Pamiętała tylko, że Susan się zachwiała, a potem zniknęła jej z oczu.

Spadała w całkowitej ciszy, bez jednego krzyku.

Za to Kate zaczęła głośno szlochać. Padła na twardą skałę i patrząc w niebo, które obracało się nad nią coraz szybciej, opłakiwała kobietę, która właśnie umarła, odebrawszy przedtem życie czterem niewinnym ludzkim istotom. Tyle bólu i tyle cierpienia. A wszystko to w imię miłości.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

David dotarł do niej pierwszy. Znalazł ją na dwudziestym drugim metrze stromego zbocza, na skalnym nawisie, nieprzytomną i wstrząsaną dreszczami. Tego, co potem zrobił, nie można było nazwać racjonalnym działaniem. Po raz pierwszy od bardzo dawna uległ panice. Najpierw zdarł z siebie kurtkę i okrył jej wyziębnięte ciało.

- Nie możesz umrzeć. Słyszysz mnie, Kate? Nie wolno ci umrzeć! - mamrotał, klękając przy niej.

Potem przytulił ją do siebie i jak w transie powtarzał jej imię, łudząc się, że zdoła zatrzymać jej duszę, by nie uleciała tam, gdzie on nie ma wstępu. Krew z jej rany przesączyla mu się przez koszulę i ogrzała skórę lepkiem ciepłem, gdy, głuchy na wycie syren i krzyki ratowników, wsłuchiwał się w rytm jej płytkiego oddechu.

Przerażał go chłód jej bezwładnego ciała. Gdyby mógł, oddałby własną krew, byle tylko ją rozgrzać. Raz już żałował, że nie może tego zrobić. Trzymał wtedy w ramionach swojego umierającego syna. Tylko nie to!

Powtarzał swe rozpaczliwe prośby przez całą drogę na dół. Tam musiał się odsunąć, by ustąpić miejsca tym, którzy potrafią ją uratować. Sam mógł tylko przyglądać się ich walce, bo akurat tej bitwy wygrać nie umiał.

Karetka na sygnale odjechała. Odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła. Nie chciał myśleć, co się będzie działo w sali operacyjnej. Nie mógł znieść, że za kilkanaście minut ludzie w białych fartuchach położą Kate na stole, bezradną i samotną, i skierują na nią ostre, nieprzyjazne światło wielkich lamp.

- Jak tam, Davy? W porządku? - Pokie lekko klepnął go w ramię.

- Tak...

- Nie martw się, bracie. Wyjdzie z tego. Ja mam nosa do takich spraw. Nigdy się nie mylę

Ledwie zdążył wspomnieć o nosie, tuż za nimi rozległo się gromkie kichnięcie. Sierżant Brophy jak zwykle ciężko odchorował wypad na łono natury.

- Panie poruczniku, przynieśli ciało Susan Santini. Skręciła sobie kark. Chce pan rzucić okiem, zanim ją zabiorą do kostnicy?

- Daruję sobie. Wystarczy, że pan ją widział. A jak na wiadomość o jej śmierci zareagował doktor Santini?

- Dziwnie - odparł Brophy. - Jak mu o tym powiedziałem, miał taką minę, jakby... się tego spodziewał.

- Możliwe - westchnął Pokie. - Niewykluczone, że wiedział o wszystkim, ale wypierał to ze świadomości.

- Dokąd jedziemy, poruczniku? - zapytał Brophy, otwierając drzwi radiowozu.

- Do szpitala. Ale szybko. - Pokie wskazał głową Davida. - Kolega bardzo się spieszy.

Minęły cztery godziny, zanim pozwolono mu ją zobaczyć. Cztery wyczerpujące, nieskończone długie godziny nerwowego spacerowania po korytarzu i spoglądania na zegarek. Po upływie trzech godzin miał kryzys. Ile może trwać wyjmowanie kuli?

Wreszcie o północy do poczekalni zajrzała pielęgniarka.

- Pan Ransom?

- Tak!

- Doktor Chesne jest już po operacji.

- Ale czy... Co z nią?

- Wszystko dobrze, proszę pana.

Odetchnął. Poczul się tak lekki, że mógłby się unosić nad ziemią.

- Jeśli chce pan jechać do domu, obiecuję, że zadzwonimy, jak tylko...

- Muszę ją zobaczyć.

- Jest jeszcze nieprzytomna.

- Muszę ją zobaczyć!

- Przykro mi, ale wpuszczamy tylko najbliższą rodzinę. - Ucichła, spostrzegłszy groźny błysk w jego oczach. - Pięć minut, panie Ransom. Rozumiemy się?

Rozumiał aż za dobrze. I miał to gdzieś. Minał ją bez słowa i wszedł na oddział pooperacyjny.

Znalazł ją na ostatnim łóżku, zalaną ostrym białym światłem i skrępowaną dziesiątkami plastikowych rurek. Przystanął w nogach łóżka. Bał się podejść bliżej, a tym bardziej jej dotknąć, wydała mu się bowiem delikatna i krucha jak porcelanowa lalka. Przebiegło mu przez myśl, że wygląda jak księżniczka w kryształowej trumnie, leżąca w szmaragdowym lesie: nietykalna, nieosiągalna. Tuż przy jej głowie cicho pikał kardiomonitor, rejestrując miarową pracę serca,

mocną, niczym niezakłóconą. Dla niego była to najcudowniejsza muzyka. Muzyka jej serca.

Stał nieruchomo jak posąg, a wokół gorączkowo krzątały się pielęgniarki i lekarze. Czuł się niepotrzebny. Jak głąz, który tylko wszystkim przeszkadza. Rozsądek podpowiadał, że powinien wyjść, mimo to stał, jakby wrósł w ziemię. Wreszcie jedna z pielęgniarek straciła cierpliwość.

- Przepraszam, ale pan nam przeszkadza. Proszę wyjść z sali - poleciła surowo.

Nie wyszedł. Wiedział, że będzie tak stał, dopóki się nie upewni, że Kate już nic nie zagraża.

- Wybudza się.

Przez zamknięte powieki przeciskało się światło tysiąca słońc. Zewsząd otaczały ją niewyraźne głosy; niektóre wydały jej się dziwnie znajome.

Otworzyła oczy i natychmiast je zmrużyła, gdy poraziła ją straszliwa jasność. Dopiero po chwili zorientowała się, że widzi uśmiechniętą twarz kobiety, którą chyba kiedyś знаła. Dopiero gdy spojrzała na identyfikator, zrozumiała, gdzie się znajduje.

- Czy pani mnie słyszy? - zapytała Julie Sanders, pielęgniarka.

Apatycznie kiwnęła głową.

- Jest pani w sali pooperacyjnej. Czy coś panią boli?

Nie wiedziała. Jej zmysły dopiero budziły się z uśpienia. Powoli zaczynały docierać do niej różne bodźce. Słyszała ciche syczenie tlenu i pikanie kardiomonitora. Ale ból? Nie, bólu nie czuła. Jedynie przeraźliwą wewnętrzną pustkę. I wyczerpanie. Marzyła, żeby znowu zasnąć...

Wokół niej pojawiły nowe twarze. Rozpoznała jedną z pielęgniarek i jak zawsze nasrożonego doktora Tama. Nagle usłyszała swoje imię.

Odwróciła głowę w kierunku, z którego dobiegał. Na tle rozjarzonej lampy twarz Davida wyglądała jak czarna plama. Wyciągnęła rękę, by go dotknąć, lecz rurki od kroplówek ograniczały jej ruchy. Zbyt słaba, by się z nich wyplątać, opuściła rękę na łóżko.

Wtedy on podszedł bliżej i ujął jej dłoń. Zrobił to tak delikatnie, jakby lękał się, że ją uszkodzi.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął, przyciskając ją do ust. - Dzięki Bogu, że żyjesz...

- Nic nie pamiętam.

- Miałaś operację. - Próbował się uśmiechnąć, lecz nie wypadło to przekonująco. - Trwała trzy godziny. Myślałem, że już nigdy się nie skończy.

Nagle wszystko sobie przypomniała. Wiatr. Grzbiet skały. I Susan znikającą jej z oczu. Jak zjawą.

- Ona nie żyje?

- Niestety. Zginęła na miejscu.

- A Guy?

- Przez jakiś czas nie będzie mógł chodzić. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mu się dojść do telefonu i wezwać pomoc.

- Uratował mi życie - szepnęła przez łzy. - A sam wszystko stracił...

- Nie wszystko. Przecież ma syna.

Tak, William już zawsze będzie synem Guya, pomyślała. Co prawda nie z krwi i kości, lecz czegoś znacznie trwalszego: z miłości.

- Panie Ransom, naprawdę nie może pan tu dłużej zostać. Proszę już wyjść - ponaglił go lekarz.

Skinął głową, a potem pochylił się nad Kate i pocałował ją w taki sposób, jakby robił to z obowiązku. Gdyby choć powiedział jedno czułe słowo, być może muśnięcie jego suchych warg sprawiłoby jej przyjemność. On jednak bez słowa puścił jej rękę i cofnął się, by nie przeszkadzać personelowi.

Wiedziała, że musi powiedzieć mu coś ważnego, lecz po kolejnym zastrzyku przeciwbólowym ogarnęła ją taka senność, że nie była w stanie zebrać myśli. Walczyła ze sobą, ale w głowie miała taki zamęt, że nawet nie potrafiła odróżnić jego głosu. A potem pielęgniarka pchnęła łóżko, by zawieźć ją na oddział.

Przeraziła się, że jeśli ją zabiorą, straci jedyną okazję, by wyznać Davidowi miłość. Chciała prosić, by zostawili ich na chwilę samych, lecz nagle nie wiadomo skąd dała o sobie znać jej wrodzona duma. Więc nie powiedziała ani słowa, tylko przymknęła powieki i zapadła w sen.

David został przy niej do świtu. Siedział przy łóżku, trzymał ją za rękę, odgarniał włosy z twarzy. Domyślił się, że musiała dostać końską dawkę leków, bo przez cały ten czas nawet się nie poruszyła. Gdyby choć raz zawołała go przez sen lub wymówiła pierwszą sylabę jego imienia, byłby szczęśliwy. Przynajmniej wiedziałby, że jest jej

potrzebny, i może w końcu zdobyłby się na to, by powiedzieć, że on też bardzo jej potrzebuje. Takich wyznań nie czyni się przecież na zawołanie. W każdym razie on tak nie potrafił. Przyszło mu nawet do głowy, że jest w o wiele trudniejszym położeniu niż biedak Charlie Decker, który prawie nie mówił, ale pisał wiersze i w ten sposób opowiadał światu o swych uczuciach.

Droga powrotna dłużyła mu się niemiłosiernie. Ledwie wszedł do domu, zadzwonił do szpitala.

- Stan stabilny - usłyszał.

Zawsze tak mówią, ale musi wierzyć im na słowo. Następny telefon wykonał do kwiaciarni. Zamówił bukiet róż i kazał go doręczyć do pokoju Kate. Ponieważ nie był w stanie wymyślić żadnej sensownej treści, na bilecie polecił napisać „David”. Potem zaparzył kawę i zjadł grzanekę. Wreszcie, brudny i nieogolony, wykończony psychicznie i fizycznie, padł na kanapę w salonie.

Zamiast spać, zaczął się zastanawiać, dlaczego nie jest zdolny do miłości. Zamyślony rozejrzał się po wnętrzu, które własnoręcznie stworzył. Lśniące podłogi, proste zasłony, książki w przeszklonej bibliotece. Nagle uderzyła go sterylność tego miejsca. Nie wyglądało jak dom, lecz jak skorupa, w której można skryć się przed światem.

Po jaką cholere ja o tym myślę, zirytował się. Co z tego, że nie potrafi mówić o uczuciach; Kate pewnie i tak nie zechce z nim być. W końcu podstawą ich przelotnego związku była wzajemna potrzeba. Ona czuła się zastraszona, on dał jej schronienie. Niebawem wyjdzie ze szpitala, wróci do swego dawnego życia, do pracy, która jest dla niej najważniejsza. I gdzie w tym wszystkim miałyby się znaleźć miejsce dla niego?

Podziwiał ją i mocno jej pragnął. Ale czy ją kocha?

Miał nadzieję, że nie. Wiedział bowiem, że miłość jest niczym więcej jak preludium do cierpienia.

- Można? - zapytał niepewnie doktor Avery.

W rękę trzymał kilka sztucznie barwionych zielonych goździków, które tak taktował, jakby nie miał pojęcia, co się robi z kwiatami. Zwłaszcza zielonymi. Nawet nie wyjął ich z folii z nazwą supermarketu, nie mówiąc już o usunięciu naklejki z ceną.

- To dla pani - wyjaśnił na wypadek, gdyby sama się nie domyśliła. - Mam nadzieję, że nie ma pani alergii...

- Nie. Bardzo panu dziękuję, doktorze.

- O, widzę, że już pani dostała kwiaty. - Sposepniał, spoglądając na efektowne purpurowe róże, przy których jego goździki prezentowały się nad wyraz skromnie.

- Jeśli mam być szczerą, wolę te od pana. Gdyby był pan tak dobry i włożył je do wody...

Podczas gdy napełniał wazon, myślała o tym, że przecież nie skłamała. Rzeczywiście wolała tanie goździki z supermarketu, bo przynajmniej ofiarodawca przyniósł je osobiście. Czego nie da się powiedzieć o różach. Doręczono je, gdy spała. Na dołączonej do bukietu karteczce nie było nic prócz imienia Davida. On sam ani do niej nie zadzwonił, ani się nie pokazał. Domyśliła się, że postanowił wykorzystać moment, by rozstać się bez wyjaśnień czy nie daj Boże scen. Ranek minął jej więc na dywagacjach, czy wywalić róże do kosza, czy przytulić je do piersi - i przy okazji poranić się kolcami.

Doktor Avery postawił kwiaty tam, gdzie mu poleciła, czyli na szafce obok łóżka. Potem przysunął sobie krzesło i dość długo kontemplował w milczeniu ich nieco zmęczoną urodę. Wreszcie odchrząknął.

- Pani doktor - zaczął tak cicho, że ledwie go słyszała. - Moja wizyta nie ma charakteru wyłącznie towarzyskiego.

- Nie?

- Oczywiście jestem bardzo ciekaw, jak pani się czuje, jednak przyszedłem, żeby porozmawiać o pani pracy w naszym szpitalu.

- O czym tu rozmawiać? Decyzja już zapadła.

- Owszem, ale wiemy, że pojawiły się nowe fakty. - Bezradnie wzruszył ramionami. - Proszę wybaczyć, że nie broniłem pani od początku. Bardzo tego żałuję, ale cóż. W każdym razie jestem tu, żeby zaproponować pani powrót na dawne stanowisko. W pani dokumentach nie będzie żadnej wzmianki o zarzutach, które pani postawiono. Jedynie adnotacja, że do sądu wpłynął pozew, który strona skarżąca szybko wycofała.

- Moje dawne stanowisko - szepnęła. - Powiem panu szczerze, że sama nie wiem, czy chcę na nie wrócić.

- Chce pani przenieść się do innego szpitala?

- Do innego miasta. Miałam sporo czasu, żeby wszystko przemyśleć. Postanowiłam sprawdzić, czy przypadkiem gdzie indziej

nie będzie mi lepiej niż tu. Więc poszukam czegoś z dala od... oceanu.
- I Davida.

- Szkoda.

- Proszę się nie martwić. Jestem pewna, że bez trudu znajdziecie kogoś na moje miejsce.

- Nie o to chodzi - odparł. - Jestem zaskoczony pani decyzją, gdyż biorąc pod uwagę ogrom pracy wykonanej przez pana Ransoma, sądziłem, że...

- Przepraszam, ale nie rozumiem. Co pan Ransom może mieć wspólnego z moją pracą?

- Och, bardzo energicznie działał w pani sprawie. Kontaktował się ze wszystkimi członkami zarządu.

Pożegnalny gest. Powinna być mu za to wdzięczna.

- Nie ukrywam, że bardzo nas zaskoczył. Bo sama pani przyzna, że to dość nietypowe, by adwokat strony pozywającej prosił, a wręcz się domagał przywrócenia do pracy pozwanego lekarza! Kiedy dziś rano przedstawił nam policyjny raport ze śledztwa i zeznania doktora Santiniego, w ciągu pięciu minut podjęliśmy decyzję na pani korzyść. Pan Ransom dał nam do zrozumienia, że jest pani zainteresowana powrotem do pracy.

- Rzeczywiście byłam - przyznała, spoglądając na róże. Zastanowiło ją, dlaczego nie czuje ani odrobiny satysfakcji. - Cóż, sytuacja się zmieniła. Jak to w życiu, prawda?

- No tak - westchnął. - W każdym razie, jeśli zechce pani wrócić, przyjmujemy panią z otwartymi ramionami. Będzie nam pani bardzo potrzebna, pani doktor. Być może jeszcze pani nie wie, ale zdecydowałem się odejść na emeryturę.

- Naprawdę?

- I tak zbyt długo z tym zwlekałem. Zawsze obiecywaliśmy sobie z żoną, że jak przestanę pracować, będziemy podróżowali. Razem już tego nie zrobimy, ale żona na pewno by chciała, żebym miał coś z życia.

- Na pewno, doktorze.

- Pójdę już, pewnie jest pani zmęczona. - Spojrzał na więdnące goździki. - Rzeczywiście są ładne. Nawet ładniejsze niż róże. O wiele ładniejsze - mrucał pod nosem, opuszczając pokój.

Popatrzyła na kwiaty. Purpurowe róże. Zielone goździki. Co za absurdalne połączenie. Zupełnie jak ona i David.

Było późne deszczowe popołudnie, gdy David zjawił się z wizytą. Kate siedziała właśnie na przeszklonej werandzie i przez mokre szyby wyglądała na zielony dziedziniec. Pielęgniarka umyła i uczesała jej włosy, które teraz schły, zwijając się w loki jak u małej dziewczynki.

Nie usłyszała, jak wszedł. Odwróciła się dopiero, gdy ją cicho zawołał. Miała nadzieję, że ją obejmie, przytuli. On jednak ograniczył się do pocałunku w czoło.

- Już nie leżysz. Lepiej się czujesz, tak?

- Nigdy nie mogłam za długo wytrzymać w łóżku.

- Proszę, to dla ciebie - przypomniał sobie i podał jej elegancko zapakowane pudełeczko czekoladek.

- Dziękuję. I za róże też. Są naprawdę piękne. - Odwróciła się do smaganego deszczem okna.

Umilkli, jakby nagle zabrakło im tematu do rozmowy.

- Rozmawiałem z Averym. Mówił, że chcą cię z powrotem przyjąć do pracy.

- Tak. Był tu u mnie. Zdaje się, że za to też należą ci się podziękowania.

- O czym mówisz?

- O pracy. Powiedział mi, że kontaktowałeś się w mojej sprawie z członkami zarządu.

- Bez przesady. Po prostu wykonałem kilka telefonów. - Odetchnął głęboko. - Tak więc niebawem wracasz na blok operacyjny. Pewnie dadzą ci podwyżkę - ciągnął ze sztucznym ożywieniem. - Cieszysz się?

- Wiesz, że nie. Zastanawiam się, czy w ogóle chcę tam wracać.

- Co? Ale dlaczego?

- Rozważam inne możliwości. Chętnie przeniosę się gdzie indziej.

- Do innego szpitala?

- Tak, ale nie na Hawajach. - Nie zareagował, więc dodała: - Tutaj nic mnie nie trzyma.

Znów zapadła długa cisza.

- Naprawdę?

Nie odpowiedziała. Obserwował ją i doskonale wiedział, że będzie tak siedziała do końca świata i nic więcej mu nie powie. Była pod tym względem taka sama jak on. Dobraliśmy się w korcu maku,

pomyślał z goryczą. Niby dwoje inteligentnych dorosłych ludzi, a nie są w stanie się porozumieć.

- Pani doktor? - Na werandę zajrzała pielęgniarka.

- Czy chce pani wracać już do pokoju?

- Tak. Chyba się zdrzemnę.

- Wygląda pani na zmęczoną - przyznała. - Pora kończyć wizytę, proszę pana.

- Nie! - oznajmił, wstając.

- Słucham?

- Powiedziałem, że jeszcze nie wychodzę. - Spojrzał Kate prosto w oczy. - Najpierw zrobię tu z siebie głupca. Czy może pani zostawić nas samych?

- Ale proszę pana...

- Bardzo panią proszę!

Zawahała się, ale musiała dostrzec determinację w jego oczach, bo w końcu wyszła.

Kate przyglądała mu się niepewnie. Może nawet z lękiem. On zaś delikatnie dotknął jej twarzy.

- Powtórz, co powiedziałaś - poprosił. - Wiesz, że nic cię tutaj nie trzyma.

- Przecież to prawda.

- A teraz powiedz mi, jakie są prawdziwe powody twojej decyzji.

Milczała. On jednak wyczytał odpowiedź z jej oczu. Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Boże, jesteś jeszcze większym tchórzem niż ja!

- Tchórzem?

- Tak. - Odwrócił się od niej i włożywszy ręce do kieszeni, zaczął chodzić po werandzie. - Nie miałem zamiaru ci tego mówić, w każdym razie jeszcze nie teraz, ale skoro grozisz, że wyjedziesz... Cóż, nie mam wyboru. No dobrze! - Odetchnął. - Ponieważ ty tego nie powiesz, zrobię to ja, ale nie jest to dla mnie łatwe. Po śmierci Noaha wmówiłem sobie, że raz na zawsze uodporniłem się na uczucia. Wydawało mi się, że wyeliminowałem je z życia. Nagle okazało się, że się mylę. Wystarczyło, że cię poznałem... - Roześmiał się. - Boże, dlaczego nie mam przy sobie któregoś z wierszy Deckera! Mógłbym coś zacytować. Rzucić jakieś mądre zdanie. Powiem ci, że mu zazdroszczę. Przynajmniej był elokwentny. - Znowu się uśmiechnął. -

Jeszcze tego nie powiedziałem, prawda? Ale rozumiesz, do czego zmierzam?

- Tchórz!

- No dobrze. Niech będzie. Powiem to. Kocham cię! A wiesz, za co?

- Nie mam pojęcia.

- Za twój upór. I dumę. I jeszcze niezależność. Naprawdę nie chciałem, żeby mnie to spotkało. Było mi dobrze samemu. Ale skoro już się stało, nie wyobrażam sobie, żebym miał cię nie kochać. - Nagle odsunął się, jakby chciał powiedzieć: możesz odejść, droga wolna.

Nie odeszła. Nawet nie drgnęła. Siedziała z boleśnie zaciśniętym gardłem, ściskając czekoladki, i pytała samą siebie, czy to dzieje się naprawdę.

- Uprzedzam, że to nie będzie łatwe.

- Co?

- Życie ze mną. Nieraz będziesz chciała skrócić mi kark. Będziesz na mnie krzyczała, bylebym tylko powiedział „kocham cię”. Pamiętaj, to że nie mówię, wcale nie znaczy, że nie kocham. - Westchnął jak człowiek, któremu kamień spadł z serca. - Dobrze, to już wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. Cieszę się, że przynajmniej mnie wysłuchałaś. Jeśli nie, twoja strata, bo drugiego spektaklu nie będzie.

- Słuchałam cię. Bardzo uważnie.

- I? - W napięciu wpatrywał się w jej twarz. - Jaki wydałaś na mnie wyrok? A może ława przysięgłych jeszcze się naradza?

- Ława przysięgłych jest w stanie ciężkiego szoku - szepnęła. - Więc trzeba natychmiast zastosować sztuczne oddychanie.

Jeśli chciała się dotlenić, pocałunek przyniósł zgoła odwrotny efekt. Ledwie dotknął ustami jej ust, pokój zawirował jej przed oczami, a ciało ogarnęła przyjemna niemoc.

- No dobrze, kończymy reanimację - mruknął.

- Teraz twoja kolej. Słucham?

- Kocham cię.

- Liczyłem na taki wyrok.

Ona zaś liczyła, że znów ją pocałuje. I przeliczyła się.

- Jesteś bardzo blada. - Przyjrzał się jej zaniepokojony. - Zawołam siostrę. Może poda ci tlen...

- Tlen? A kto tu potrzebuje tlenu? - szepnęła, tuląc się do niego.

EPILOG

W całym domu słycać było donośny płacz maleńkiego dziecka.

Zaniepokojona Jinx zajrzała do pokoju.

- A co to się dzisiaj dzieje z naszą Emmą?

- Czy ja wiem? - Przerazona Gracie próbowała zmienić pieluchę rozszoszczonemu niemowlakowi. - Powiem ci, że całkiem wyszłam z wprawy.

- Z jakiej wprawy? Czy ty kiedykolwiek opiekowałaś się dziećmi?

- Faktycznie, nie robiłam tego. Pewnie dlatego tak kiepsko mi idzie - przyznała Gracie samokrytycznie.

- Nie martw się, z dziećmi jak z pianinem, trzeba ćwiczyć i nabiera się biegłości - pocieszyła ją Jinx.

- Zdecydowanie łatwiej ćwiczyć gamy, niż zmieniać pieluchy - jęknęła, mocując się z agrafką, którą próbowała wbić w pampersa. - Widziałaś, jakie beznadziejne pieluchy teraz robią? I jak tu się przebić przez ten papier i plastik? Jinx parsknęła śmiechem.

- I co cię tak bawi? - zapytała ją urażona.

- Jak to, co? Jeszcze się nie zorientowałaś, że pampersów nie spina się agrafkami? Są jednorazowe, kobieto. Zapina się je na rzepy!

Listek oderwał się od gałęzi i wylądował obok bukietu świeżych margerytek. Promienie słońca przeświecały przez konary, kładąc się złotymi refleksami na włosach Davida. Ile razy stał samotnie nad grobem syna w cieniu wielkiego drzewa? Ile razy łączył się duchowo ze swym dzieckiem? Wszystkie poprzednie wizyty zlały się w jedno smutne żałobne rozpamiętywanie.

Dziś po raz pierwszy, stojąc w tym miejscu, uśmiechnął się. Mógłby przysiąc, że rozbrzmiewający w jego wyobraźni głos Noaha też był radosny.

To ty, tatusiu?

Tak, Noah. To ja. Masz siostrzyczkę.

Poważnie? Zawsze chciałem mieć siostrę.

Ssie dwa palce, identycznie jak ty.

Naprawdę?

I zawsze się uśmiecha, gdy wchodzę do jej pokoju.

Tak jak ja. Pamiętasz?

Tak, synku. Pamiętam.

I nigdy nie zapomnisz, tatusiu? Obiecuj, że nie zapomnisz.

Nie zapomnę, synu. Przysięgam, że nigdy, przenigdy nie zapomnę...

Odwrócił się i przez łzy ujrzał Kate. Stała kilka kroków dalej. Nie potrzebowali żadnych słów. Wystarczyło spojrzenie. I wyciągnięta dłoń.

Objęci ruszyli w stronę domu. Kiedy wyszli z cienia na pełne słońce, David przystanął i wziął ją w ramiona.

Dotknęła jego twarzy. Ciepło słońca przepłynęło przez jej palce. Poczul się uleczony.

Wreszcie.